

*Dla Brama, w
podziękowaniu za inspirację i opiekę*

DACRE STOKER

IAN HOLT

DRACUL
A
Nieumarły

Przekład
Monika Bukowska

Wydawnictwo Znak
Kraków 2009

Prolog

List Miny Harker do syna, Quinceya Harkera

(Należy otworzyć w razie nagłej lub nienaturalnej śmierci Wilhelminy Harker)

9 marca 1912 roku

Najdroższy synu!

Przez całe życie podejrzewałeś, że mamy przed Tobą jakieś tajemnice. Nie myliłeś się. Obawiam się, że nadszedł czas, byś poznał prawdę. Dalsze jej ukrywanie mogłoby bowiem zagrozić zarówno Twojemu życiu, jak i zbawieniu Twojej duszy.

Twój ojciec i ja postanowiliśmy ukryć przed Tobą sekrety z naszej przeszłości, by uchronić Cię przed mrokiem, który spoił ten świat. Pragnęliśmy zapewnić Ci dzieciństwo wolne od koszmarów, które nam samym nie dawały spokoju. Gdy dorósł, milczeliśmy dalej z obawy, że uznasz nas za szaleńców. Wybacz nam. Skoro czytasz ten list, oznacza to, że zło, przed którym tak usilnie - a być może niesłusznie - próbowaliśmy Cię strzec, powróciło. I teraz Ty, podobnie jak i my wiele lat temu, jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

W 1888 roku, kiedy Twój ojciec i ja byliśmy jeszcze młodzi, otrzymaliśmy surową lekcję. Dowiedzieliśmy się, że po świecie krąży straszliwe zło, a ofiarą najłatwiej mogą paść ci, którzy je lekceważą albo w ogóle nie wierzą w jego istnienie.

Jako młody notariusz ojciec Twój został wysłany do serca dzikiej Transylwanii. Miał za zadanie pomóc księciu Draculi

w sfinalizowaniu zakupu posiadłości w Whitby - starego klasztoru zwanego opactwem Carfax.

Podczas pobytu na zamku Draculi Twój ojciec odkrył, że jego gospodarz nie jest człowiekiem, ale postacią znana z legend i ludowych opowieści, bestia, która aby zachować nieśmiertelność, żywi się krwią żywych istot. Takich jak miejscowi zwą Nosferatu - „nieumarłymi”, a my - wampirami.

Księżę w obawie, że Twój ojciec mógłby zdradzić jego tajemnicę, uwięził go w swoim zamku, a sam wyruszył w podróż do Anglii na statku „Demeter”, gdzie spędził wiele dni schowany w jednej ze skrzyń przewożonych w ładowni. Musiał ukrywać się w taki sposób, ponieważ wampiry, chociaż dysponują niezwykle siłą i mają zdolność przybierania wielu postaci, obracają się w popiół, gdy tylko padną na nie promienie słoneczne.

W owym czasie przebywałam w Whitby, u mojej najdroższej przyjaciółki Lucy Westenry. Pewnej nocy, gdy znad morza nadciągał sztorm, a zdradliwe klify Whitby spowite były gęstą mgłą, Lucy, nie mogąc zasnąć, ujrzała z okna miotany wiatrem statek zmierzający wprost na skały. Wybiegła z domu, by wezwać pomoc, ale było już za późno. Gdy się obudziłam, spostrzegłam w panice, że Lucy nie ma w pokoju, i pośród szalejącej burzy wybiegłam na jej poszukiwania. Znalazłam ją leżącą na krawędzi klifu, nieprzytomną, z dwiema małymi rankami na szyi.

Zaraz potem Lucy zaniemogła śmiertelnie. Jej narzeczony Artur Holmwood, syn lorda Godalminga, oraz jego bliski przyjaciel, przybyły do niego w odwiedzin z dalekiego Teksasu Quincy P. Morris, nie odstępowali jej łoża ani na krok. Nie było w Whitby doktora, którego Artur nie prosiłby o pomoc, ale żaden z nich nie potrafił znaleźć przyczyny choroby Lucy. Wtedy to nasz wspólny przyjaciel, dyrektor zakładu dla obłąkanych w Whitby doktor Jack Seward, wezwał z Holandii swojego mistrza, profesora van Helsinga.

Profesor van Helsing był uczonym biegłym nie tylko w sztuce medycznej, lecz i zaznajomionym z wiedzą tajemną.

To on rozpoznał, że przyczyną choroby Lucy było ugryzienie wampira.

W tym samym czasie dostałam długo wyczekiwane wiadomość od Twojego ojca. Dowiedziałam się, że udało mu się zbiec z zamku Draculi i schronić w klasztorze, gdzie - tak jak Lucy - walczył ze śmiercią. Musiałam więc opuścić chorą przyjaciółkę i udać się do niego. To właśnie tam, w Budapeszcie, wzięliśmy ślub.

Twój ojciec opowiedział mi o przerażających wydarzeniach, których był świadkiem, i tak oto dowiedzieliśmy się, kim był wampir, który ukąsił Lucy, a teraz zagrażał i nam: był to książę.

Po powrocie z Budapesztu dowiedzieliśmy się, że Lucy zmarła. Najgorsze jednak miało dopiero nastąpić. Kilka dni po śmierci Lucy wyszła z grobu - stała się wampirem i zaczęła się żywić krwią małych dzieci. Doktor van Helsing, Quincey P. Morris, doktor Seward i Artur Holmwood musieli podjąć straszliwą decyzję. Nie pozostało im nic innego, jak wbić w jej serce drewniane kołki, by ocalić od potępienia jej nieszczesną duszę.

Wkrótce potem pod osłoną nocy książę powrócił i zaatakował mnie. Po tej napaści wszyscy złożyliśmy przysięgę, że nie spoczniemy, dopóki nie odnajdziemy tej bestii i nie uwolnimy od niej świata. Nasza nieustraszona grupa wyruszyła w pościg za i dotarła za nim aż do jego zamku w Transylwanii. Tam wywiązała się bitwa, w której zginął Quincey P. Morris. Przed śmiercią jednak, jako prawdziwy bohater, zdołał jeszcze wbić nóż w serce Draculi. W promieniach zachodzącego słońca książę na naszych oczach stanął w płomieniach, a potem obrócił się w proch.

Nareszcie byliśmy wolni, a przynajmniej tak nam się wydawało. Tymczasem mniej więcej rok po Twoich narodzinach zaczęły mnie nawiedzać straszliwe koszmary. To prześladował mnie we śnie. Wtedy Twój ojciec przypominał mi o jego ostrzeżeniu: „Jeszcze powrócę z zemstą, a rozciągnie się ona na wieki. Czas działa na moją korzyść”.

Od tamtej nocy nie zazналиśmy już spokoju. Każdego dnia trwożliwie rozglądamy się na boki. Teraz zaś obawiam się, że nie jestełmy już dłużej w stanie chronić Cię przed Draculą. Tak bardzo pomyliłam się co do jego charakteru.

Musiałam Ci to wyznać, mój synu, abyś mógł przetrwać spotkanie ze złem, które za Tobą podąża. Otwórz się na tę prawdę, wejrzyj głąboko w swoje młode serce i - podobnie jak niegdys Twój ojciec i ja - odnajdź w sobie odwagę bohatera. Draculą jest wrogiem przebiegłym i inteligentnym. Nie uciekniesz przed nim ani nie znajdziesz schronienia. Jedyne, co możesz zrobić, to stanąć do walki.

Powodzenia, najdroższy synu, i nie lękaj się. Jeśli van Helsing miał rację i wampiry rzeczywiście są istotami ciemności, to w tej walce Bóg będzie po Twojej stronie.

*Twoja kochająca matka,
Mina*

Rozdział I

Ta inskrypcja była jedyną rzeczą, na której mógł się skupić doktor Jack Seward, gdy ogarniała go ciemność. Ciemność przynosiła ulgę - dawała schronienie przed ostrym światłem, które podkreślało żalosne strzępy, jakie zostały z jego dawnego życia. Przez lata walczył z ciemnością. Teraz zaś witał ją z utęsknieniem.

Nocą Seward znajdował ukojenie we wspomnieniach o cudownej Lucy. W swoich snach wciąż czuł ciepło jej objęć. Na krótką chwilę wracał do szczęśliwych czasów w Londynie, kiedy to badania i pozycja społeczna nadawały znaczenie jego egzystencji. Takie właśnie życie chciał dzielić z Lucy.

Krzyki straganiarzy i stukot wózków po brukowanych ulicach Paryża wdarły się brutalnie w myśli Sewarda i przywróciły go do rzeczywistości. Zmusił się do otwarcia oczu - piekły go bardziej niż świeża rana przemyta jodyną. Gdy jego wzrok padający na popękany sufit zatęchłej paryskiej nory, którą wynajmował, odzyskał ostrość, Seward po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo zmieniło się jego życie. Zmartwiło go, że w jego mięśniach nie pozostał nawet ślad dawnej sprężystości. Ramię zwiotczało, zmiękło niczym ręcznie szyta muślinowa torebeczka na herbatę, którą właśnie wyciągnięto z imbryka. Żyły na jego ręce przypominały rzeki na starej mapie. Był cieniem samego siebie z przeszłości.

Modlił się, by śmierć nadeszła szybko. Doczesne szczątki zapisał swojej macierzystej uczelni - miały być użyte do celów naukowych. Pocięchą była mu myśl, że po śmierci przysłuży się zastępom przyszłych doktorów i naukowców.

Po jakimś czasie przypomniał sobie o zegarku, który wciąż tkwił w jego lewej dłoni. Otworzył go. Wpół do siódmej! Na chwilę ogarnęła go panika. A niech to diabli! Zaspał! Stał się chwiejnie na nogach. Pusta szklana strzykawka potoczyła się po stole, a potem roztrzaskała o brudną drewnianą podłogę. Mała ciemnobrązowa butelka morfiny o mało nie podzieliła jej losu,

na szczęście Seward złapał ją szybko, odpiąwszy wcześniej wyćwiczonym ruchem skórzany pasek z lewego przedramienia. Gdy opuszczał rękaw i wsuwał spinki do mankietów wytartej koszuli, do ręki powróciło normalne krążenie. Zapiął kamizelkę i włożył marynarkę. Wallingham & Sons byli najlepszymi krawcami w Londynie. Gdyby tę marynarkę uszył ktokolwiek inny, rozpadłaby się już dziesięć lat temu. Próżność czasem popłaca - pomyślał Seward i uśmiechnął się ponuro.

Musiał się pospieszyć, jeśli chciał zdążyć na pociąg. Gdzie jest ten adres? Seward był pewien, że umieścił go w bezpiecznym miejscu. Teraz jednak, gdy adres był mu potrzebny, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go zostawił. Wyrzucił wypchany słomą materac, sprawdził pod rozklekotanym stolikiem, na końcu zerknął pod skrzynki na warzywa, które służyły mu za krzesła. Przerzucił też stos starych wycinków z gazet, których nagłówki mignęły mu przed oczyma. Straszliwa historia Kuby Rozpruwacza, rok 1888. Zdjęcia z obdukcji pięciu odnalezionych ofiar. Okaleczone kobiety leżały z rozłożonymi nogami, jak gdyby gotowe na przyjęcie swojego obłąkanego zabójcy. Kubę Rozpruwacza nazywano rzeźnikiem kobiet - ale rzeźnik ma więcej litości dla ubijanych zwierząt. Seward czytał notatki z sekcji zwłok tysiące razy. Luźne kartki papieru, kawałki podartej tektury i rozłożone pudełka po zapalniczkach zapisane jego teoriami i hipotezami unosiły się wokół niego jak miotane wiatrem liście.

Spływający z brwi pot zaczął drażnić przekrwione oczy. Do diabła, gdzie jest ten adres? Jego mocodawca zdobył dla niego tę informację z wielkim poświęceniem. Myśl, że mógłby rozczarować jedyną osobę, która jeszcze w niego wierzyła, była dla Sewarda nie do zniesienia. Pozostali - Harkerowie, rodzina Holmwoodów - wszyscy oni uznali, że postradał zmysły. Seward wiedział, że wygląd pokoju potwierdziłby tylko ich teorie. Spojrzał na ściany z odpadającym tynkiem, które nosiły ślady jego podsycanych morfiną monologów, nieokielzanych potoków myśli pisanych atramentem, węglem, winem, a nawet własną krwią. Trudno o bardziej oczywiste oznaki szaleństwa. Seward był jednak pewien, że pewnego dnia napisy te staną się dowodem na to, że dobrze wiedział, co czyni.

Pomiędzy zapiskami zauważył wyrwaną z książki kartkę przybitą do ściany nożem Bowie z ostrzem poplamionym zaschniętą krwią. Strona przedstawiała portret olśniewającej piękności o kruczoczarnych włosach. Pod zdjęciem widniał podpis: „Hrabina Elżbieta Batory, ok. 1582 roku”.

- No tak, dobrze go schowałem. - Zaśmiał się z siebie, wyjmując ze ściany nóż i biorąc do ręki kartkę, po czym odwrócił ją na drugą stronę. Znalazł tam napisany własnym ledwo czytelnym pismem adres marsylskiej willi. Zdjął jeszcze ze ściany krucyfiks, drewniany kołek i wieniec czosnku wiszące obok zdjęcia hrabiny Batory i podniósł z podłogi posrebrzany nóż. Potem umieścił to wszystko pod podwójnym dnem swojej torby i przykrył typowymi lekarskimi utensyliami.

Pociąg wyruszył z Gare de Lyon o czasie. Seward płacił za bilet, gdy zorientował się, że lokomotywa właśnie ruszyła. Natychmiast rzucił się pędem przez oszpecony zaciekami dworcowy hali i dopadł dyszącego kolosa w momencie, gdy ten opuszczał stację. Dobiegł do ostatniego wagonu i podciągnął się w górę, zanim pociąg nabrał szybkości. Po tym śmiałym wyczynie jego serce wezbrało dumą. Podobne rzeczy robił za młodu, podczas ekscytujących wypraw z Quinceyem P. Morrisem, Tekszańczykiem, i jego dawnym przyjacielem Arturem Holmwoodem.

- Młodość... - Seward westchnął i uśmiechnął się do siebie na wspomnienie owych bez trosk dni, pełnych niewinności i... naiwności.

Doktor zajął miejsce w eleganckim wagonie restauracyjnym. Pociąg sunął powoli na południe. Zbyt powoli. Seward rzucił okiem na zegarek - od chwili kiedy wyruszył, minęło zaledwie pięć minut. Ubolewał, że nie może już zajmować czasu pisaniem dziennika, niestety nie było go stać na taki luksusowy zakup. Według rozkładu pociąg powinien dojechać do Marsylii za dziesięć godzin. Tam wreszcie znajdzie potwierdzenie swoich domysłów i udowodni wszystkim tym, którzy go skreślili, że nie jest szaleńcem, że od samego początku to on ma rację.

Ta podróż zapowiadała się na najdłuższe dziesięć godzin w jego życiu.

-Billets, s'il vousplait!¹

Seward spojrzał szeroko otwartymi oczyma na stojącego przed sobą konduktora, który wpatrywał się w niego zniecierpliwionym, surowym wzrokiem.

- Przepraszam - wybąkał. Wręczył konduktorowi bilet i poprawił szalik, by ukryć podartą kieszonkę na piersi.

- Jest pan Anglikiem? - spytał konduktor z silnym francuskim akcentem.

-Tak.

¹ *Billets s'il vousplait* (franc.) - Bilety do kontroli. (Wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumaczki).

- Lekarzem? - Konduktor wskazał głową na torbę lekarską umieszczoną między stopami Sewarda.

-Tak.

Szare oczy konduktora lustrowały zmęczoną życiem postać w zbyt dużym garniturze i znoszonych butach. Seward wiedział, że nie pasuje do wizerunku szanowanego lekarza.

- Proszę otworzyć torbę.

Seward spełnił jego prośbę - zresztą nie miał wyboru. Konduktor powoli wyjmował buteleczki z medykamentami i po przeczytaniu napisów na etykietach wrzucał je z brzękiem z powrotem, jedna po drugiej. Seward dobrze wiedział, czego szuka mężczyzna, i pozostała mu tylko nadzieja, że nie będzie grzebał zbyt głęboko.

- Morfina - oznajmił konduktor głośno, tak że oczy wszystkich pasażerów zwróciły się w ich stronę. Podniósł do góry brązową buteleczkę.

- Podaję ją czasem jako środek uspokajający - wyjaśnił Seward.

- Poproszę pańską licencję.

Doktor zaczął szukać po kieszeniach. Ponad miesiąc wcześniej podpisano Międzynarodową Konwencję Opiumową, która zakazywała importu, eksportu, sprzedaży i dystrybucji morfiny osobom bez licencji lekarskiej. Konduktor już miał pociągnąć za hamulec ręczny, kiedy wreszcie Seward odnalazł żądany dokument. Był wetknięty w jego paszport. Konduktor sprawdził licencję i marszcząc brwi, skierował swoje stalowe spojrzenie na paszport. Wielka Brytania była pierwszym krajem, w którym wprowadzono zdjęcia w paszportach. Od czasów, gdy zrobiono tę fotografię, Seward ogromnie stracił na wadze. Miał dużo więcej siwych włosów i rzadko się golił. W niewielkim stopniu przypominał mężczyznę na zdjęciu.

- Po co jedzie pan do Marsylii?

- Mam tam pacjenta.

- Na co cierpi?

- Na narcystyczne zaburzenie osobowości.

- *Qu'est-ce que c'est?*²

- To zaburzenie psychiczne, które sprawia, że pacjent przejawia skłonności autoerotyczne, antyspołeczne, drapieżcze i pasożytnicze oraz próbuje sprawować kontrolę nad swoim otoczeniem. Podobnie jak...

² *Qu'est-ce que c'est?* (franc.) - Co to takiego?

- *Merci* - przerwał konduktor, wręczając mu szybkim ruchem dokumenty i bilet. A potem odwrócił się i odezwał do mężczyzn siedzących przy następnym stoliku: *-Billets, sil vousplait.*

Jack Seward westchnął. Chowając dokumenty do kamizelki, nerwowo spojrzął na zegarek. Wydawało mu się, że ta kontrola trwała całe godziny, a minęło raptem pięć minut. Zasunął zasłone, żeby uchronić oczy przed światłem słonecznym, i oparł się na bordowym pluszowym siedzeniu.

„Miłości bez granic, Lucy”.

Przycisnął ukochany zegarek do serca i pogrążył się we wspomnieniach.

To było dwadzieścia pięć lat temu. Seward trzymał w dłoni ten sam zegarek i kierował go w stronę światła, by lepiej przyjrzeć się dedykacji: „Miłości bez granic, Lucy”.

Była tam z nim. Cała i zdrowa.

- Nie podoba ci się - nadała się.

Nie mógł oderwać wzroku od jej pięknych szmaragdowych oczu. Lucy miała zwyczaj wpatrywania się w usta swego rozmówcy, jak gdyby delektowała się każdym następnym wychodzącym z nich słowem. Miała tak ogromny apetyt na życie. Jej uśmiech potrafił skruszyć nawet najtwardsze serce. Teraz, w ten wiosenny dzień, gdy tak siedziała na ławce w ogrodzie, Seward zachwycał się blaskiem promieni słonecznych, igrających na kosmykach rudych włosów, które tańczyły na wietrze, otaczając jej twarz niczym aureola. Woń kwitnącego bzu mieszała się z pachnącym solą nadmorskim powietrzem Whitby. Od tamtej pory, za każdym razem gdy Seward czuł zapach bzu, przypominał mu się ów piękny, pełen gorzycy dzień.

- Mogę tylko wnioskować - zaczął i odchrząknął, by drzenie głosu nie zdradziło jego emocji - że skoro napisałaś na bileciku: „Drogiemu Przyjacielowi”, a nie „Narzeczonemu”, zdecydowałaś się odrzucić moje oświadczenia.

Lucy odwróciła wzrok, a jej oczy zaszyły łzami. Ta odpowiedź nie pozostawiała złudzeń.

- Pomyślałam, że lepiej, abyś usłyszał to ode mnie - odparła wreszcie z westchnieniem. - Postanowiłam wyjść za Artura.

Artur był przyjacielem Jacka Sewarda z czasów dzieciństwa. Seward kochał go jak brata, mimo to zazdrościł mu, że wszystko przychodzi mu tak łatwo i że zawsze osiąga to, czego chce. Był przystojny, bogaty i nigdy w życiu nie doświadczył troski ani żadnych przeciwności losu. Ani miłosnego zawodu.

- Rozumiem. - Głos Sewarda w jego własnych uszach zabrzmiał jak zgrzyt.
- Naprawdę cię kocham - wyszeptała Lucy. - Ale...
- Ale nie aż tak jak Artura. - Oczywiście. On, Jack Seward, nie mógł się równać z majętnym Arturem, nie miał też takiej aparycji ani fantazji jak Teksańczyk Quincey P. Morris, kolejny z adoratorów Lucy.
- Wybacz mi - dodał łagodniejszym tonem wystraszony nagle, że mógłby ją zranić. - Zapomniałem, gdzie moje miejsce.
Lucy pogładziła go po dłoni z czułością zastrzeżoną dla ukochanego pieska.
- Zawsze będę przy tobie.
Seward poruszył się przez sen. Wiele by dał, by pamiętać tylko piękno w oczach Lucy, nic więcej. Ostatnim razem, gdy w nie spoglądał, a było to tamtej straszliwej nocy w grobowcu, widział w nich jedynie ból i cierpienie. Rozdzierające krzyki konającej Lucy na nowo rozbrzmiały w jego głowie.

Po wyjściu z pociągu Seward brnął w strugach deszczu przez labirynt białych marsylskich budynków, przeklinając w duchu pogodę. Niestety to, czego szukał, przybyło na Riwierę Francuską w marcu, jedynym deszczowym miesiącu w roku.

Seward obejrzał się za siebie, by rzucić okiem na fort Saint-Jean, który wyglądał jak kamienny wartownik na tle ciemnogrnatowego portu. Potem zaczął się rozglądać po mieście, które wyrosło wokół starej osady powstałej ponad dwa i pół tysiąca lat temu. Wciąż można tu było znaleźć pozostałości pradawnych czasów, ślady greckich i rzymskich założycieli miasta. Seward ubolewał, że do tego malowniczego portu przywiódł go tak mroczny powód. Choć przecież nie byłoby to pierwsze nieszczęście, jakie nawiedziło okolicę. Przez całe ubiegłe stulecie Marsylia padała ofiarą zarazy i piratów.

Seward zatrzymał się przed dwupiętrową śródziemnomorską willą z wielkimi drewnianymi okiennicami i żelaznymi kratami w oknach. Marcowy księżyc przedzierający się przez chmury rzucał na białe ściany niepokojący blask. Dach, pokryty dachówkami z czerwonej terakoty, przypominał mu stare hiszpańskie domy, które widział wiele lat temu w Teksasie podczas odwiedzin u swego przyjaciela Quinceya P. Morrisa. Jednak to miejsce miało w sobie coś złowrogiego, coś, co wcale nie zachęcało do odwiedzenia tego pięknego domu. Budynek wydawał się zupełnie pozbawiony życia. Serce Sewarda zamarło na myśl, że może przybył za późno. Sprawdził adres.

Wszystko się zgadzało.

Nagle dobiegł go głośny tętent końskich kopyt i odgłos kół powozu dzwoniących o mokry bruk. Seward bez namysłu wskoczył między pozbawione liści krzewy winorośli po drugiej stronie ulicy. Czarny powóz ozdobiony złotem wjeżdżał na szczyt wzgórza, ciągnięty przez dwie lśniące czarne klacze. Zwierzęta zatrzymały się bez żadnej komendy, a Seward dostrzegł ze zdziwieniem, że na koźle nie ma woźnicy. Jak to możliwe?

Z powozu wyłoniła się wysoka postać. Klacze wygięły karki, zaczęły kąsać i parskać. A potem, ku zdziwieniu Sewarda, bez żadnej komendy ruszyły równym krokiem. Elegancko ubrana postać oparła osłoniętą czarną rękawiczką dłoń na lasce, drugą ręką szukając w kieszeni kluczy, kiedy nagle zatrzymała się w pół ruchu, jakby coś ją zaniepokoiło.

- Do licha! - zaklął Seward pod nosem.

Postać przechyliła głowę, jak gdyby mimo ulewnego deszczu dosłyszała głos Sewarda, a następnie zaczęła powoli odwracać się w stronę winnicy. Mężczyznę ogarnęła panika, poczuł skok adrenaliny, mimo to wstrzymał oddech. Zaraz potem omal nie jęknął, gdy zobaczył kaskadę czarnych loków uwolnioną spod aksamitnego cylindra.

Seward nie mógł wyjść ze zdumienia. To ona! Jego mocodawca miał rację!

Oto bowiem u drzwi marsylskiej willi stała hrabina Elżbieta Batory. Wyglądała dokładnie tak jak na portrecie sprzed ponad trzystu lat.

Rozdział II

Błyskawice tańczyły po nocnym niebie, rozświetlając krople deszczu, które przypominały klejnoty rozsypane na czarnym aksamitnym suknie. Seward wiedział, że powinien szybko ukryć się przed wzrokiem hrabiny, ale nie mógł się ruszyć, wpatrując się jak w hipnotycznym transie w urzekającą i niebezpieczną piękność. Jasna cera ostro kontrastowała z jej kruczoczarnymi włosami. Kobieta poruszała się zmysłowo niczym drapieżnik czyhający na ofiarę. Zimne niebieskie oczy uważnie wypatrywały śladu najmniejszego ruchu, gdy kolejna błyskawica rozświetliła drogę. Kiedy hrabina odwróciła się w stronę winnicy, Seward rzucił się szybko na rozmokniętą ziemię, by go nie zauważono.

Wstrzymał oddech, starając się nie poruszyć i ignorując skurcz w nodze. Rozpaczliwie pragnął podnieść głowę, ale światło błyskawicy, oświetlając jego bladą twarz, natychmiast by go zdradziło, przywarł więc całym ciałem do ziemi. Po kilku chwilach, które zdawały się wiecznością, odważył się wreszcie spojrzeć przygotowany na najgorsze - na to, że ujrzy hrabinę tuż obok, przycajoną jak kobra, gotową, by zadać śmiertelny cios. Nigdzie jej jednak nie było.

Walcząc z narastającym strachem, Seward wygrzebał się z błota, które wydało przy tym głośnie plaśnięcie. Zbyt głośnie. Rozejrzał się szybko wokół. Chciał się ruszyć, ale krążenie nie wróciło jeszcze do jego zdrtwiałych nóg. W ubraniu nasiąkniętym wodą czuł się niezgrabny i ociężały.

Wiatr zawył przejmująco. Seward odwrócił się przerażony. Wciąż ani żywej duszy. Gdy wreszcie ruszył zdecydowanym krokiem w kierunku willi, but utknął mu w błocie. Zaklął pod nosem, gdy stracił równowagę, próbując włożyć go z powrotem. Szedł dalej, potykając się co chwila. Świadomy, że robi przy tym mnóstwo hałasu, miał nadzieję, że ulewny deszcz wszystko zagłusza. Wreszcie dotarł do przylegającego do budynku drzewa i z rozpaczą spojrzął w górę. Kiedy był małym chłopcem, we wspinaczce po drzewach nie miał sobie równych. Teraz, po pięćdziesięciu latach, nie mógł się już poszczycić tymi umiejętnościami-

mi. Musiał jednak spróbować. Wziął głęboki oddech i podciągnął się na najniższą gałąź.

Z drzewa mógł się już bez problemu dostać na dach werandy. Dachówki były śliskie od deszczu, ale Seward złapał równowagę, przytrzymując się żelaznej balustrady. Rozejrzał się w obawie, że hrabina Batory może się czaić w ukryciu i naśmiewać z jego nieporadności. Dojrzał daszek nad jednym z okien na piętrze i ruszył w tamtą stronę. Gdy już ukrył się w jego cieniu i uspokoił oddech, zaczął nasłuchiwać, ale usłyszał jedynie bębnienie deszczu o dach, zestrojone z biciem własnego serca.

Zajrzał przez okno do wielkiego pomieszczenia, które musiało być kiedyś salą balową. To miejsce, pozbawione życia, za to pełne cieni, napawało go dziwnym niepokojem. Czuł się, jakby oglądał muzeum nocą. Albo gorzej... grobowiec.

Jego rozmyślenia przerwało wkroczenie do sali balowej dwóch jasnych postaci. Poruszały się płynnie i bez wysiłku. Niosły coś, co wyglądało jak kufer podróżny lub duża skrzynia. Nie chcąc przebywać zbyt długo w jednym miejscu, by go nie wytropiono, Seward chwycił się poręczy i prześlizgnął na balkon, pod następne okno.

Teraz, w blasku świec i żaru kominka, przekonał się, że postaci, które wziął za duchy, były w rzeczywistości młodymi kobietami w powłóczystych białych sukniach. Gdzie jest hrabina? Nie mógł się pozbyć przerażającego wrażenia, że stoi za jego plecami.

Serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi, gdy oszklone drzwi sali otworzyły się z hukiem. Do środka wkroczyła hrabina Batory. Widząc ją tam, odetchnął pełną piersią i ukrył się głębiej w cieniu.

Hrabina odwiązała pelerynę i zarzuciła ją niedbale przez ramię, odsłaniając posągowe kształty. Miała na sobie smoking, dopasowaną białą koszulę i czarny krawat. Strój podkreślał kobiecą figurę, znamionując jednocześnie męską siłę.

Podeszła do kobiet.

- Moje kochane - przywitała je. Choć ton jej głosu był zmysłowy, to jednak brzmiało w nim coś złowrogięgo. Seward zadrżał, widząc, jak hrabina namiętnie całuje każdą z kobiet w usta. - Jaką dziś macie dla mnie maskotkę? - spytała.

Blondynka rozłupała kłódkę kufra gołymi rękami, jakby była to dziecinna zabawka. Niezwykły gest u kogoś o tak delikatnej aparycji. Podniosła wieko

teatralnym gestem, niczym kelner z dumą prezentujący główne danie. W środku znajdowała się młoda kobieta - związana, zakneblowana i śmiertelnie przerażona.

Hrabina sięgnęła do cholewki buta i wydobyla stamtąd zakrzywiony nóż. Był to lancet używany do amputacji kończyn.

Na widok noża oczy uwięzionej rozszerzyły się ze strachu. Ruchem tak szybkim, że niemal niezauważalnym, hrabina wysunęła ostrze w stronę ofiary. Knebel oraz sznury kępujące dłonie opadły na brzuch dziewczyny. Gdy hrabina umieściła czubek ostrza pod jej brodą, Seward odruchowo złapał za rękojeść swojego posrebrzanego noża.

Jednak hrabina nie zadała ciosu, lecz użyła lancetu, by delikatnie wyprowadzić kobietę ze skrzyni. Seward rozluźnił uścisk. Dziewczyna dotknęła twarzy i nadgarstków, by sprawdzić, czy ostrze ją zraniło. Nie było nawet draśnięcia.

Seward obserwował, jak hrabina obchodzi ofiarę, przyglądając się jej skromnej wełnianej sukience sięgającej od szyi aż do kostek. Ogarnęła go wściekłość, gdy domyślił się, jak widzi ją hrabina - oto piękny prezent, który zaraz zostanie odpakowany.

Nagle ostrożnie przejechała ostrzem po gorsecie. Cięcie. Sukienka i bielizna opadły natychmiast, ale skóra pozostała nietknięta. Dziewczyna gorączkowo starała się przytrzymać kawałki materiału, te jednak opadały po kolei, odkrywając jej nagość.

Hrabina upajała się widokiem swej ofiary, która drżąc ze strachu, cofnęła się do cienia, zakrywając ciało rękoma. Kobiety w Bieli zachichotały.

Seward przeszedł pod następne okno, skąd mógł lepiej obserwować całą scenę. Oczy hrabiny zwężyły się nagle, kiedy migoczące płomienie świec odbiły się od małego złotego krzyżyka na szyi dziewczyny. Lancet hrabiny ruszył błyskawicznie do przodu, a potem cofnął się tak szybko, że Seward niemal zwątpił, czy w ogóle się przesunął. Ale nie było mowy o złudzeniu - głuchy brzęk krzyżyka uderzającego o marmurową podłogę oraz leżący obok niego urwany łańcuszek były dowodem, że się nie mylił. Dziewczyna jęknęła - we wgłębieniu jej szyi, gdzie jeszcze do niedawna znajdował się krzyżyk, błysnęła niczym klejnot mała kropla krwi. Kobiety w Bieli rzuciły się na nią jak dzikie psy.

- Mario, Matko Boża, miej ją w opiece - zaczął się modlić Seward. Obserwował w przerażeniu, jak podciągają nagą dziewczynę do góry i wieszają głową w dół, przywiązawszy ją za kostki do liny na wielokrążku. Ciemnowo-

sa bestia wręczyła hrabinie czarny skórzany bicz, którego rzemienie zakończone były metalowymi haczykami. Na myśl o nadchodzącej przyjemności czerwone usta hrabiny wykrzywiły się w ponurym uśmiechu, jednak ani na chwilę nie spuściła wzroku z kropli krwi spływającej po ciele ofiary. Zwinnym ruchem uderzyła dziewczynę biczem, rozkoszując się widokiem czerwonego strumienia.

Seward odwrócił się, nie mogąc dłużej oglądać cierpienia młodej kobiety, jednak przed jej krzykiem nie było ucieczki. Ścisnął mocno krucyfiks na szyi, ale nie przyniosło to żadnej ulgi. Serce kazało mu pędzić dziewczynie na ratunek, ale byłoby to z pewnością lekkomyślne posunięcie. Jeden starszy mężczyzna nie miał szans przeciw tym trzem. Rozerwałyby go na strzępy.

„Nieważne, co widzisz czy czujesz - nic nie może oderwać cię od twojej misji". To była ostatnia wiadomość od jego mocodawcy. Zebrał się wreszcie na odwagę, by spojrzeć do ogarniętego szaleństwem wnętrza sali balowej.

Hrabina uderzała z impetem, a ostre rzemienie cięły ze świstem powietrze. Pod wpływem razów ciało ofiary kołysało się niczym wahadło. Krew płynęła kaskadami. Kobiety w Bieli leżały na podłodze z otwartymi ustami, łapiąc zachłannie każdą kroplę tego upiornego deszczu.

Seward był świadkiem obłąkańczej orgii. Wiedział, że kiedy o brzasku te trzy potwory zalegną bezbronne w trumnach, będzie miał jedyną sposobność, by uwolnić świat od tego zła. A wtedy wbije posrebrzane ostrze w ich serca, odetnie im głowy, wypcha usta czosnkiem i spali ich ciała.

Teraz jednak nie mógł zwalczyć poczucia winy, że stoi tu bezczynnie, kiedy na jego oczach katuje się biedną, niewinną dziewczynę. Zacisnął rękę wokół ostrza noża, aż krople krwi zaczęły sączyć się spomiędzy jego palców. Jeśli nie mógł oszczędzić tej dziewczynie bólu, może go chociaż z nią dzielić. Krzyki dziewczyny wreszcie ucichły, a jednak dalej rozbrzmiewały echem w jego głowie, przywołując bolesne wspomnienia śmierci Lucy. Nie tej pierwszej, ale tej drugiej. Tej, w której sam dopomógł. Teraz, w ciemności, dopadły go wszystkie te uczucia, tak długo tłumione: gniew, który czuł, gdy myślał, że sprofanowano grób jego ukochanej; a potem wstrząs, jakim było odkrycie, że jej ciało, po tylu dniach od śmierci, wciąż jest ciepłe i zaróżowione, tak pełne życia; widok Artura, kiedy wbijał kołek w jej serce, krzyki tego potwora o wyglądzie jego Lucy i lzy, które przełykał, wypełniając usta bestii czosnkiem i zamykając grób na zawsze. Ale najbardziej wstydlive i palące było uczucie, które próbował ukryć przez te wszystkie lata nawet przed sobą samym - satysfakcja, jaką

dawała mu świadomość, że Artur stracił ukochaną. I że jeśli on, Seward, nie mógł mieć Lucy, przynajmniej nie będzie jej miał nikt inny. Wstydił się swoich uczuć. Całe nieszczęście, jakie dotknęło go po śmierci Lucy, było zasłużone. Podjęcie się tej misji było aktem skruchy.

Z koszmarnych wspomnień przywołała go do rzeczywistości nagła cisza. Dziewczyna zemdlła z bólu. Seward widział, że oddech porusza jeszcze jej pierś - a zatem wciąż żyła. Hrabina odrzuciła bicz rozwścieczona jak kocica, która skręciwszy myszy kark, nie ma się już czym bawić. Seward poczuł łzy spływające mu po twarzy.

- Przygotować kąpiel! - rozkazała hrabina.

Kobiety w Bieli popchnęły ofiarę, która przesunęła się po metalowej szynie do następnego pomieszczenia. Hrabina po drodze umyślnie nastąpiła na złoty krzyżyk i miażdżyła go stopą, dopóki nie usłyszała, jak pęka na pół. Zadowolona, ruszyła dalej, po drodze zdejmując z siebie kolejne części garderoby.

Seward wychylił się przez balkon, by sprawdzić, czy będzie w stanie dojrzeć, co dzieje się w przyległym pokoju. Deszcz ucichł. Mężczyzna nie mógł już liczyć na to, że bębnienie kropel będzie nadal tłumić odgłosy jego kroków. Stąpając ostrożnie po mokrych dachówkach, skierował się do następnego okna i zajrzał przez nie do środka. Mechanizm kończył się dokładnie nad stylową wanną. Dziesiątki świec oświetlały hrabinę, która właśnie powoli zdejmowała spodnie. Po raz pierwszy Seward mógł się jej dokładnie przyjrzeć - i do tego w całej okazałości. Hrabina Batory w niczym nie przypominała kobiet z marginesu, które spotykał w burdelach na Camden. Widząc bujne, zmysłowe kształty jej ciała i białą gładką jak porcelana skórę, mało kto zwróciłby uwagę na wyrachowane okrucieństwo malujące się w jej oczach. Seward znał to spojrzenie. Widział je już wcześniej.

Choć przeżył i widział wiele, scena, którą ujrzał chwilę później, zmroziła mu krew w żyłach. Młoda kobieta, z której gardła wydobywało się rozpaczliwe rżenie, wisiała nad krawędzią mozaikowej wanny, w której stała hrabina - z rozpostartymi rękami, z głową odchyloną do tyłu, naga i majestatyczna. Odwróciła dłonie wnętrzem do góry. Na ten znak ciemnowłosa Kobieta w Bieli pazurem poderżnęła ofierze gardło i popchnęła ją, tuż nad głowę hrabiny, która otworzyła szeroko usta i odsłaniając kły, z rozkoszą kąpała się w fontannie krwi.

Do diabła! Seward nie wytrzymał i sięgnął do swojej torby po małą kuszę, ukrytą pod podwójnym dnem, naciągając na nią niewielki, zakończony

* fr

srebrem belt. Jeśli ta nagła decyzja będzie go kosztować życie, trudno. Lepiej umrzeć, niż pozwolić, by takie wcielone zło dalej chodziło po świecie.

Ustawił kuszę między żelaznymi prętami, wycelował ją w hrabinę i już miał wystrzelić, kiedy nagle coś przykuło jego wzrok. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na sekretarzyku pod oknem leżał duży plakat i błyszczał złowieszczo oświetlony blaskiem księżyca. Tłoczone litery głosiły:

RICHARD III
William Shakespeare

7 mars, 1912
Theatre de l'Odeon
rue de Vaugirard 18
Telef. 811.42
8 heures
Paris France

Avec l'acteur roumain
Basarab
dans le premier role

Seward bezwiednie zrobił krok w tył, zapominając o pochyłości dachu. Kiedy dachówka pękła pod jego stopą, a jej ułamana część ześlizgnęła się w dół i roztrzaskała o brukowany chodnik, Seward zamarł.

Jasnowłosa Kobieta w Bieli odwróciła się błyskawicznie, zbiegła do drzwi i otworzyła je. Przez chwilę wpatrywała się w ciemność. Nikogo jednak nie dostrzegła. Nie wychodząc z cienia, podeszła do miejsca, skąd dobiegł hałas. Tam też nic. Już miała wrócić do środka, gdy zobaczyła na ziemi brudną ułamana dachówkę, a na niej kroplę świeżej krwi. Ludzkiej krwi. Jej ostrego zapachu nie można było pomylić z niczym innym. Nachyliła się skwapliwie, by jej spróbować, ale natychmiast wypluła. 'Krew była zanieczyszczona chemikaliami.

Zwinnie jak jaszczurka wspięła się na mur, by zbadać dokładnie sytuację. Na dachu werandy pod jednym z okien jej wampirze oczy dostrzegły posrebrzany

nóż poplamiony krwią. Tylko niedoświadczony łowca wampirów mógł być na tyle głupi, by brać ze sobą nóż z posrebrzonym ostrzem.

Kobieta w Bieli zrozumiała, że ona i jej pani nie są już bezpieczne. Musiały uciekać z Marsylii natychmiast.

Seward wiedział, że hrabina i jej towarzyszki znikną jeszcze tego wieczoru. Był pewien, że udadzą się do Paryża. Wiedział też, że potrafią latać, podróż zatem nie powinna zająć im wiele czasu. Jednak to, że dostrzegł afisz, dało mu znowu przewagę. Znał ich plany. Wiedział, że hrabina Batory i jej towarzyszki jutro wieczorem odwiedzą teatr.

Seward uśmiechnął się ponuro. Zatem właśnie tam rozegra się bitwa.

Rozdział III

Rozkazuję ci zmienić postać! - wykrzyknął młody mężczyzna w meloniku, z wyciągniętymi rozkazująco rękami. Mówił zdecydowanym, choć drżącym głosem.

Taka jest siła magii i mych czarów.
Tyś, Fauście, znakomitym czarownikiem.
Jeżeli możesz wydawać rozkazy,
A wielki słucha ich Mefistofeles:
*Quin redis Mephistophilis fratris imagine*³.

Syk. Ściana dymu. Potem nagle nie wiadomo skąd pojawiły się płomienie, a do tego lampy gazowe huknęły zniecacka. Niewielki tłum, który zgromadził się w Ogrodzie Luksemburskim, wydał z siebie zbiorowy jęk.

Quinceya Harkera, zwróconego plecami do publiczności, zalała nagle fala dumy z powodu własnej pomysłowości. Z szelmowskim uśmiechem odrzucił melonik, przyprawił sobie kozią bródkę, włożył na głowę spiczasty kapelusz, na ramię narzucił pelerynę i obracając się w powietrzu płynnym, wyćwiczonym ruchem, wskoczył na krawędź fontanny Medyceuszów. Było to idealne miejsce na jednoosobowe wystawienie *Fausta*, bo nie dość, że członkowie tego florenckiego rodu byli mecenasami awangardowej sztuki, to jeszcze krążyły plotki, że zaprzysięgli duszę diabła. Quincey poruszający się z niezwykłą nonszalancją na tej prowizorycznej scenie rozkoszował się teraz zarówno własną grą, jak i przemyślnością.

Zdecydował się w tej sztuce na szapografię polegającą na zmianie nakryć głowy przy zmianie postaci - powszechnie znaną, choć rzadko stosowaną techniką teatralną. Wymagała bowiem wysokiego poziomu umiejętności i dlatego

³ Christopher Marlowe, *Tragiczna Historia Doktora Fausta*, tłum. Juliusz Kydryński, Kraków 1982, s. 17.

korzystali z niej tylko najbardziej uzdolnieni aktorzy... albo najbardziej arogancy.

Cień rzucany przez rzeźby na fontannie wzmógł złowrogi efekt, gdy Quincey, rozwijając pelerynę i przybierając groźną postawę, wymruczał głębokim diabelskim głosem:

Coż chciałbyś, Fauście, żebym teraz zrobił?⁴

Quincey zrobił pauzę, oczekując owacji ze strony publiczności. Ale odpowiedziała mu cisza. Chłopak podniósł wzrok i ze zdziwieniem zauważył, że publiczność jest zaabsorbowana czymś innym, jakimś poruszeniem w północnej części parku. Nie pozwolił, by zachowanie widzów zbiło go z tropu. Wiedział, że jego talent jest ponad to. Odgrywał już to przedstawienie w londyńskim Hipodromie i był tak dobry, że jego występ umieszczono tuż przed gwiazdą programu Charlesem Chaplinem, mistrzem pantomimy. Mówiono, że Chaplin zamierza wyjechać z Londynu, by szukać szczęścia w Ameryce, i chłopak liczył, że zajmie jego miejsce. Niestety, jego despotyczny ojciec Jonathan Harker zniszczył te marzenia, przekupując dyrektora teatru i wysyłając syna do Paryża, do więzienia bez krat - na studia prawnicze na Sorbonie.

W serce Quinceya zakradła się panika, bo oto jego skromne audytorium zaczęło się wykruszać i kierować w stronę tej części parku, gdzie najwyraźniej działo się coś niezwykłego. Sprawdziwszy, czy aby jego doprawiana broda nie jest przekrzywiona, chłopak w desperackiej próbie odzyskania uwagi publiczności zbiegł po schodach fontanny i pośpiesznie wyrecytował gromkim głosem monolog Mefistofelesa:

Jam jest wielkiego sługą Lucyfera, Nie
mogę służyć ci bez jego zgody. Ani nic
robić, czego on nie każe⁵.

Przez chwilę wydawało się, że uda mu się odzyskać publiczność, ale wszystkie nadzieje prysły, kiedy Mefistofeles poślizgnął się na mokrym kamieniu fon-

⁴*Ibid.*, s. 17.

⁵*Wd.*, s. 18.

tanny i wyłożył się jak długi. Ostatni oddalający się widzowie pożegnali go salwą śmiechu.

Quincey uderzył pięścią w ziemię i zdarł z twarzy brodę, tym razem wdzięczny losowi, że - choć był już dojrzałym, dwudziestopięcioletnim mężczyzną - nie ma pod nią żadnego zarostu. I właśnie wtedy ujrzał śmiejącego się szydlerczy Braithwaite'a Loweryego, swojego zniechęconego współlokatora i kolegę ze studiów.

Co on tu robi? - pomyślał. - Ten prostak nie ma pojęcia o sztuce.

Braithwaite zerknął sponad okularów na kilka drobnych monet, które widzowie rzucili niedbale na bruk.

- Harker, jesteś głupi jak but. Wiesz, ile zarabia prawdziwy adwokat?

- Mam gdzieś pieniądze.

- Bo urodziłeś się w bogatej rodzinie. Ja pochodzę z rybackiej rodziny z Yorkshire. Chcąc mieć majątek, będę musiał na niego zarobić.

Gdyby tylko Braithwaite wiedział, z czego musiał zrezygnować Quincey, żeby zapewnić sobie finansowe wsparcie rodziny...

- Czego chcesz? - spytał Harker, zbierając swój zarobek.

- Przyszła do ciebie poczta. Kolejny list od twojego ojca - odrzekł Braithwaite z nieukrywaną satysfakcją, którą odczuwał za każdym razem, gdy Quincey dostawał od ojca listy z połajankami.

- Wiesz, co w tobie lubię, Braithwaite?

- Nie mam pojęcia.

- Ani ja - odrzekł Quincey, wrywając kopertę Braithwaitebwi i odpędzając go drugą ręką.

**List Jonathana Harkera, Exeter, Do
Quinceya Harkera, Sorbona, Paryż**

29 lutego 1912 roku

Drogi synu!

Otrzymałem bardzo niepokojący list dotyczący Twoich postępów w nauce, a raczej ich braku. Doniesiono mi również,

że wciąż zbyt dużo czasu poświęcasz na zajęcia niezwiązane ze studiami. To nie do przyjęcia. Choć nie było Cię w domu przez ostatnie trzy lata - co zresztą bardzo rani Twoją matkę - pragnę Ci przypomnieć, że studiujesz i utrzymujesz się dzięki moim pieniądząom. Jeśli nie zaliczysz tego semestru, nawet moje znajomości nie będą w stanie zapobiec Twojemu wydaleni z uczelni. Oczywiście będzie to jednoznaczne z zaprzestaniem przeze mnie wypłacania...

Quincey przerwał czytanie. Rozpraszali go mijający go ludzie, ale cieszył się, że dzięki nim oderwał się od protekcjonalnego tonu ojca, który przebijał z każdego słowa tego napisanego na maszynie listu. Policzył strony. Cholera! Aż trzynaście! Harkerowie słynęli z pisania rozwlekłych epistoł, chociaż przy stole podczas posiłków nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Chłopaka minęła kolejna grupa zaaferowanych ludzi.

- Co tam się dzieje? - zapytał jednego z nich.

Mężczyzna, nie zatrzymując się nawet, krzyknął przez ramie:

- Basarab zaraz tu będzie!

Basarab? Quincey przypomniał sobie, że kilka dni temu czytał w „Le Temps”, że Basarab, światowej sławy szekspirowski aktor, ma przyjechać na występy do Paryża. I chociaż gorąco pragnął zobaczyć go na scenie, musiał wybić to sobie z głowy, wiedząc, że nigdy nie uda mu się ukryć kosztu biletu w sprawozdaniu ze swoich wydatków, które co miesiąc musiał wysyłać do ojca. Już tyle razy próbował go oszukać, że ojciec przejrzał wszystkie jego sztuczki.

Co za szczęśliwy traf! A może to, że jest tutaj w momencie przyjazdu Basaraba, nie jest przypadkiem, ale przeznaczeniem? Nagle poczuł ulgę, uświadomiwszy sobie, że to nie jego przedstawienie spowodowało odejście widowni. Po prostu nie wytrzymał konkurencji z prawdziwą gwiazdą. Nie dbając o kostiumy i rekwizyty, które zostały koło fontanny, pobiegł za tłumem z nadzieją, że uda mu się choć przelotnie *ujrzeć* wielkiego Basaraba na własne oczy.

Quincey wyszedł z parku na rue de Vaugirard, gdzie ujrzał rozemocjonowany tłum. Wszyscy zwróceni byli w stronę teatru Odeon, białego gmachu ze zwieńczającą schody kolumnadą. Ułożona z mosiężnych liter nazwa odbijała się jasno w świetle księżyca.

Chciał podejść bliżej, ale tłum zepchnął go w stronę pomnika wystawionego ku czci francuskiego dramaturga Emile'a Augiera. Niezrażony, wspinał się na cokół, by mieć lepszy widok.

Automobil Benz Tourer objechał rondo i skierował się pod wejście do teatru, klaksonem torując sobie drogę wśród tłumu. Quincey wspinał się jeszcze wyżej. Samochód zatrzymał się tuż przed schodami wiodącymi do teatru. Kierowca wyszedł ze środka i podszedł do drzwi od drugiej strony, by otworzyć je swojemu pasażerowi. Dwa lata spędzone na próbach pozwoliły Quinceyowi odczuć na własnej skórze, jak traktuje się aktorów - od czasów Szekspira zawód ten uważany był za zajęcie godne pijaków, prostytutek, włóczęgów i innych wyrzutków społeczeństwa. Teraz natomiast miał przed oczyma aktora, którego cała Francja zdawała się witać, jak gdyby był księciem z dalekiego kraju.

Z samochodu wyłonił się młody, energiczny człowiek o ciemnych włosach i wyjątkowo męskich rysach twarzy. Rozpoznał w nim Basaraba, którego zdjęcie widział wcześniej w „Le Temps”. Aktor miał na sobie pelerynę podobną do tej noszonej przez księcia Edwarda, tyle że uszytą z czerwonej skóry - dowód niezwyklej ekstrawagancji. Na schodach teatru stali już reporterzy z aparatami ustawionymi na drewnianych statywach, gotowi, by uwiecznić jego przybycie. Gdy Basarab odwrócił się w ich stronę i uśmiechnął, wokół rozbłysła magnezja. Następnie ruszył, wyciągając dłonie na spotkanie z tłumem. Quincey roześmiał się na widok kobiety, która dotknąwszy łokcia Basaraba, zemdląła. Dużo by dał, by wzbudzać podobne reakcje.

Dyrektor teatru, korpulentny Andre Antoine, czekał już u szczytu schodów, by uścisnąć dłoń swego gościa. Obok stał mężczyzna z drewnianym kinematografem i filmował całą scenę powitania. U boku przystojnego i smukłego Basaraba okrągły dyrektor Antoine wyglądał wręcz komicznie. Tłum wykrzykiwał imię aktora. Quincey, zanim się spostrzegł, dał się ponieść zbiorowemu szaleństwu i skandował:

- Ba-sa-rab! Ba-sa-rab! Ba-sa-rab!

Nic dziwnego, że ludzie go uwielbiają - pomyślał. Nawet on był pod wrażeniem. Basarab nie powiedział nawet jednego słowa, a jednak kontrolował zachowanie wszystkich tych ludzi. To musi być niezwykle doznanie - móc go oglądać na scenie. Nie wątpił, że ten człowiek potrafił ożywić słowa Szekspira.

Basarab skinął na Antoine'a i obaj zniknęli we wnętrzu teatru. Tłum nie rozchodził się jeszcze przez chwilę w nadziei na powtórne pojawienie się swojego

idola. A wtedy ze środka wyłonił się niewysoki człowieczek i ogłosił, że kasy z biletami na przedstawienie *Króla Ryszarda III* będą otwarte również w nocy.

Ludzie rzucili się w stronę drzwi. Quincey zmarkotniał. Ogromnie pragnął zobaczyć Basaraba na scenie, ale nie mógł sobie na to pozwolić. Pieniądze, jakie dawał mu ojciec, z trudem pokrywały wydatki na podstawowe potrzeby - Jonathan Harker chciał w ten sposób powstrzymać Quinceya od marnowania pieniędzy na „błahostki”, jak to nazywał. Do cholery, czym jest życie bez teatru?

Quincey przeliczył te kilka monet, jakie zarobił po ostatnim przedstawieniu. Był na tyle młody, że mógł pozwolić sobie na ryzyko. Nawet jeśli będzie to oznaczało wydanie ostatniego franka, nawet jeśli będzie musiał narazić się na gniew ojca. Pójdzie jutro na premierowy występ Basaraba w Odeonie.

-

Rozdział IV

1 A in^o trz ydzieści lat od chwili, kiedy Jack Seward po raz ostat-
t\ \ "n" płynął po tych wodach. Wiosłował łodzią, którą „pożyczył”
/ y \> w porcie Villefranche-sur-Mer, i oddalał się coraz bardziej od
^J E • Marsylii. Jego czyn zakwalifikuje się jako kradzież tylko wtedy,
gdy zostanie złapany.

Musiał jak najszybciej dostać się do Paryża. Nawet jeśli stać by go było na bi-
let, pociąg wyjechałby z Marsylii dopiero o dziesiątej rano, a do Paryża dotarłby
o jedenastej wieczorem. A on musiał być w teatrze Odeon przed ósmą.

Przywiązawszy łódkę do brzegu, wyszedł chwiejnym krokiem na drewnia-
ny pomost i odczekał chwilę, aż ustały zawroty głowy. Znajomy widok Lazaretu
od razu poprawił mu nastrój. Był wtedy młodym lekarzem, z głową pełną idea-
łów, zatrudnionym do badań finansowanych przez francuski rząd. Pracował
z najwybitniejszymi umysłami epoki, między innymi z Karolem Darwinem.
Projekt miał na celu badanie związków między zachowaniem zwierząt, takich
jak szympansy, szczury i myszy, a zachowaniem ludzi, w nadziei na znalezienie
kolejnych dowodów popierających teorię ewolucji. Podczas obserwacji u jedne-
go lub dwóch procent przypadków zauważono anomalne zachowania i to one
właśnie zafascynowały Sewarda. Interesowało go źródło tych odchyłeń i to, czy
da się je naprawić. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych czasów, spacerów
brzegiem morza w towarzystwie innych uczonych, kiedy to podczas niekończą-
cych się debat starali się odkryć tajemnice świata, stawić czoło zacofanym po-
glądom Kościoła. Ich badania były tak kontrowersyjne, że francuskie władze
zdecydowały na wycofanie funduszy i przerobienie ośrodka na laboratorium
oceanograficzne. Oczywiście wszyscy pracujący nad projektem otrzymali so-
witą rekompensatę za milczenie - i to właśnie dzięki tym pieniądzom Seward
założył swój zakład w Whitby.

Seward przystanął na chwilę, by dać odpocząć obolałym nogom. Jego celem
był szczyt wzgórza, z którego rozciągał się widok na port. Znajome nadmorskie

miasto niewiele zmieniło się od czasów, gdy je opuścił. Seward przypomniał sobie przełomowe wyniki, jakie osiągnął, pracując z jednym ze swoich pacjentów - R.N. Renfieldem, u którego stwierdził rzadki przypadek zoofagii. To, że Renfield zawsze uchodził za „normalnego” człowieka i dopiero jako dorosły zaczął przejawiać oznaki choroby umysłowej, czyniło z niego idealny przypadek do badań.

- Renfield - wymruczał Seward na głos. Był taki pełen nadziei, kiedy ten pacjent zjawiał się w jego zakładzie. Oto obiecujący prawnik zmienia się w pożerającego żywe istoty szaleńca. Gdyby go wyleczył, mógłby udowodnić swoją hipotezę, że obłąkanie jest rzeczywiście chorobą i że nie jest dziedziczne. To by potwierdziło jego badania prowadzone w Lazarecie i wzmocniło argumenty Darwina na rzecz wspólnego przodka wszystkich istot żywych. Biedny Renfield. Nieszczęsny pionek za wcześnie wprowadzony do gry. Był jedną z wielu pozycji na liście porażek Sewarda.

Niedaleko szczytu znajdował się dom jego dawnego przyjaciela Henriego Salmeta, którego poznał na przełomie wieków, zaraz po tym jak stracił wszystko: swój zakład, pracę i rodzinę. Ostatnim razem ich ścieżki skrzyżowały się cztery lata temu, w Le Mans we Francji, podczas historycznego wydarzenia, kiedy to bracia Wright demonstrowali swoją latającą maszynę. Ta zaledwie dwuminutowa seria lotów zwiastowała początek nowej ery. Seward pokręcił głową z niedowierzaniem, jak szybko zmienia się świat wokół niego. Może i Francuzi mają kiepskie koleje, ale za to w wyścigu ku niebu radzą sobie doskonale.

Zmęczenie na skutek głodu morfinowego zaczęło brać nad nim górę. Odczuwał każdego siniaka i każde skaleczenie powstałe na skutek upadku z dachu. Starzał się. Choć całe jego ciało domagało się morfiny, zwalczył to pragnienie, nadchodząca bitwa wymagała bowiem od niego pełnej koncentracji.

Ze szczytu wzgórza ujrzał znajomy widok farmy Henriego osadzonej u podnóża Alp. Urodzajną niegdyś winnicę zaorano i zbudowano na jej miejscu pas startowy. Stodoła zamiast plonów mieściła samoloty i warsztat. Na dachu zaś zamiast wiatrowskazu stała wieża radiotelegraficzna.

- Dzięki Bogu, Henri jest w domu - westchnął Seward, ujrawszy światło w oknach farmy przyjaciela.

_ Kogóż to ja widzę? Jack Seward! - wykrzyknął Henri Salmet, gdy otworzył drzwi. - A gdzie się podziała reszta ciebie? *Mon Dieu*, co ci się stało w rękę?

- *Bonsoir*, Henri - powiedział Seward. Dopiero teraz spostrzegł, że przez chusteczkę, którą owinał dłoń, sączy się krew. - Wiem, że godzina jest już późna, ale...

Trudno było nie zauważyć, że Henri niewiele się zmienił. Jego podkreślane wąsy były nieco bardziej sumiaste - to była ostatnia myśl, która przeszła przez umysł doktora, zanim zmęczenie wzięło nad nim górę i zemdlął.

Ostre światło dnia zmusiło Sewarda do otwarcia oczu. Był cały mokry od potu. Od razu zauważył świeży bandaż na swojej dłoni. Muszę się dostać do teatru - pomyślał. To było teraz najważniejsze. Wygrzebał się z łóżka i chwiejnym krokiem wyszedł z pokoju.

- Henri? - zawołał. - Ile czasu...?

W kuchni zastał Henriego, jego żonę Adeline oraz ich troje dzieci, które bardzo urosły, od kiedy widział je ostatnio. Na widok doktora dzieci zachichotały, a Seward poczuł, jak krew napływa mu do twarzy.

- *Regarde*⁶, Adeline. - Henri roześmiał się. - Nasz przyjaciel zmartwych wstał.

- Muszę się dostać do Paryża - powiedział drżącym głosem, zresztą całe jego ciało się trzęsło. Modlił się w duchu, by Henri wziął to za objawy zwykłego zmęczenia.

- Chcesz polecieć do Paryża?

- Wiem, że dotarcie do samego Paryża jest niemożliwe, ale chociaż tak blisko stolicy, jak tylko się da... na przykład do Lyonu...

- Przypuszczam, że nie wiesz, o co prosisz. Ale zawsze powtarzam, że dla przyjaciela w potrzebie zrobiłbym wszystko. Tylko najpierw musisz odpocząć kilka dni. Ostatniej nocy przestraszyłeś nas nie na żarty.

- Doceniam twoją gościnność, Henri, ale muszę być w Paryżu jeszcze dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem! - wykrzyknął Henri, rzucając Adeline zdziwione spojrzenie. - Jesteś tak wykończony, że ledwo stoisz na nogach! Co może być aż tak ważne?

⁶ *Regardez* (franc.) - Spójrz.

- To sprawa życia lub śmierci. Chodzi o pacjenta. - Kłamstwo przeszło mu przez usta zdumiewająco łatwo. - Jeśli nie dostanie specjalnej mikstury przed... siódmą wieczorem... obawiam się najgorszego.

Henri jeszcze raz spojrzął na żonę. Skinęła głową.

- Dobrze więc - odrzekł. - Skoro chodzi o czyjeś życie, pomoc jest naszą chrześcijańską powinnością. Usiądź zatem i jedz, by odzyskać siły. Wylatuje my za godzinę.

Seward z ulgą zasiadł za stołem.

- Nie wiem, jak ci dziękować, przyjacielu - zaczął, ale Adeline szybko uciżyła go, kładąc przed nim kopiaty talerz jedzenia.

Henri zwrócił się do dzieci:

- Chodźcie pomóc tacie przygotować się do lotu.

Godzinę później Seward szedł ze swoją torbą lekarską w stronę stodoły. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak porządnie jadł. Miał nadzieję, że ten posiłek da mu siłę do wytrzymania głodu morfinowego.

Mechanik wyniósł na zewnątrz metalowe kanistry z benzyną. Henri, pochylony nad telegrafem, na widok Sewarda wyprostował się.

- Telegrafuję do przyjaciela, by oczekiwał nas na swoim polu w Vichy - wyjaśnił. - To w połowie drogi do Paryża i tam właśnie zatankujemy.

- Czy ja też mogę wysłać wiadomość? - zapytał Seward.

- Oczywiście, przyjacielu.

Seward wydobył z kieszeni małą kartkę.

- To adres prywatnej stacji w teatrze Odeon. Ta wiadomość **musi dotrzeć** do pewnej osoby. Kod pocztowy jest na kartce.

- A jak brzmi wiadomość?

Telegram.

Dr Jack Seward do Basaraba.

Teatr Odeon, Paryż.

HRABINA BATORY JEST W PARYŻU.

STRZEŻ SIĘ. -

Parę chwil później szli już w stronę należącego do Henriego samolotu typu Bleriot. Patrząc na niego z daleka, Seward pomyślał, że wygląda jak jedna z kon-

strukcji wymyślonych przez Leonarda da Vinci, sklecona z masy papierowej i sznurka. Zauważył też, że poszycie samolotu zrobione było jedynie ze sklejki. Dwa koła rowerowe podtrzymywały kokpit, a śmigło składało się zaledwie z dwóch zakrzywionych łopatek.

- A oto i moje cudo - rzekł Henri, promieniejąc z dumy. - Pięćdziesiąt koni mechanicznych, może wznieść się na wysokość dwóch tysięcy stóp.

Seward przełknął ślinę. Syn Henriego w tym czasie wziął od niego torbę lekarską i przymocował w luku bagażowym z tyłu kokpitu, a potem pomógł mu ułożyć się na tylnym siedzeniu. Seward patrzył, jak Henri całuje żonę i dwie córeczki, a potem dumnie maszeruje w stronę samolotu. Trudno mu było uwierzyć, że za kilka chwil znajdzie się w powietrzu.

- Załóż okulary! - wykrzyknął Henri, nasuwając na oczy gogle. Seward zrobił to samo. - I nie otwieraj ust podczas startu, chyba że lubisz jeść owady!

Syn Henriego zakręcił śmigłem i silnik powolnym mručeniem oznajmił, że budzi się do życia. Mechanik podtrzymywał ogon, gdy maszyna chwiejnie ruszyła do przodu. To był chyba kiepski pomysł, pomyślał Seward i zacisnął zęby przerażony, gdy samolot zaczął się niebezpiecznie zbliżać w stronę urwiska. Jednak tuż przed krawędzią lekko poderwał się do góry. Doktor poczuł na-^{rs}-Q gle, jak gdyby wszystkie jego narządy wewnętrzne wgniecione zostały w fotel. X Spoglądając na znajomą linię wybrzeża, rozpoznał Chateau d'If, słynne wię-^{>^}: zienie u wybrzeży Marsylii. Wiosłowanie do Villefranche-sur-Mer zajęło mu parę godzin, teraz zaś pokonali ten dystans w zaledwie kilka minut. Hrabina, jak wszyscy nieumarli, cieszyła się umiejętnością latania. Teraz ich siły były wyrównane.

Cztery godziny później Seward i Henri byli już pod Vichy i tankowali paliwo. Aż trzech mężczyzn musiało toczyć beczkę z benzyną ze stodoły na pole, gdzie wylądował samolot Henriego. Gdy wreszcie udało im się postawić ją pionowo, Sewardowi powierzono zadanie ręcznego przepompowania paliwa do samolotu. Gdy opary benzyny zapiekły go w oczy, doktor odwrócił głowę i ujrzał, jak Henri obchodzi maszynę, sprawdzając każdą śrubę i każdą część wąskiego poszycia. Myśli Sewarda znów odpłynęły, a jego uwagę przyciągnął cień rzucany przez samolot, poruszający się wraz ze słońcem wędrującym po południowym niebie. Ponownie ogarnęła go ciemność.

- Pompuj! - Okrzyk Henriego wystraszył Sewarda. - Musimy się wznieść w powietrze, zanim wiatr zmieni kierunek. Nie wystarczy nam paliwa, by dotrzeć

do Paryża, jeśli będziemy musieli zmagać się z przeciwnym wiatrem. Nie wiem, jak ty, *monfrere*⁷, aleja nie mam zamiaru dokonać żywota, rozbijając się o czyjaś stodołę.

Benzyna zaczęła wylewać się z baku samolotu. Henri skinął na Sewarda, by zostawił pompę i zakrzyknął:

- *Cest tout!*^{*}

Seward otrząsnął się z czarnych myśli.

⁷ *Monfrere* (franc.) - Mój bracie.

⁸ *Cest tout!* (franc.) - Wystarczy!

Rozdział V

Gdy samolot wylądował wreszcie na polu pod Paryżem, Seward odpiął pasy, padł na ziemię i ucałował ją. -Póki żyję, nigdy więcej nie wsiądę do tej piekielnej maszyny -powiedział, gdy silnik ucichł, i spojrzał na Henriego, który cieszył się jak dziecko.

- Według moich szacunków od ostatniego przystanku przelecieliśmy dwieście pięćdziesiąt mil! - wykrzyknął Henri. - Udało się!

Zaczął kalkulować na głos.

- Jaka miejscowość oddalona jest o dwieście pięćdziesiąt mil od Paryża?

- Chyba Londyn - odpowiedział Seward, wspominając dom, i wyjął z sa molotu torbę lekarską.

- Teraz, gdy mam już pewność, że moje чудо jest w stanie pokonać ten dystans, polecę z Londynu do Paryża, gdzie będzie już na mnie czekać prasa i udokumentuje mój wyczyn. To mnie uczyni *tres fameux*⁹! Muszę pospieszyć do miasta i nabyć dużo benzyny. Tylko jak, do diabła, mam ją tu przytaszczyć?

- Dziękuję za wszystko, Henri - rzekł Seward, siląc się na uśmiech.

- *Bon chance, mon ami*¹⁰.

Henri ucałował Sewarda w oba policzki i energicznie uściskał mu dłoń.

Seward obserwował przez chwilę Henriego, który biegł w stronę drogi. Wiedział, że być może po raz ostatni widzi jowialną twarz przyjaciela. Nie mógł znaleźć żadnych wielkich słów, by wyrazić swoje uczucia, wybrał więc proste pożegnanie.

Pomachał mu ręką i wykrzyknął:

- Żegnaj, przyjacielu!

Seward odwrócił się i spojrzał na zegarek. W sam raz, by wrócić do mieszkania, zebrać arsenał i zdążyć do teatru. Stanie do walki z hrabiną i jej harpiami

⁹ *Tresfameux* (franc.) - Bardzo sławnym.

¹⁰ *Bon chance, mon ami* (franc.) - Powodzenia, przyjacielu.

w pełnym rynsztunku. Gdy słońce miało już zniknąć za horyzontem, Seward przystanął na chwilę, z zachwytem obserwując niezwykle kolory nieba. Przez długi czas nie doceniał piękna natury, tylko samotnie krył się w ciemności. Cieszył się, że dziś wieczorem, niezależnie od tego, jak zakończą się sprawy, będzie mógł się wygrzewać w promieniach Bożej łaski.

Quincey przyjechał do Odeonu nieco wcześniej, by kupić bilet, wykorzystał więc czas pozostały do przedstawienia na spacer po foyer starego teatru. Każdą ścianę zdobiły popiersia, medaliony i portrety znanych aktorów. Chłopak nie mógł się nasycić tym widokiem. Wśród nich rozpoznał wielki portret Sarah Bernhardt, oprawiony w ramę ze złotymi liśćmi. Pod zdjęciem widniało nazwisko i tytuł: „*La reine de l'Odeon*” - „królowa Odeonu”. Na chwilę zatrzymał się też przy zdjęciu sir Henrygo Irvinga wykonanym podczas jego *tournee z Hamletem*. Wielu uważało go za najlepszego interpretatora dramatów Szekspira. Większość aktorów wykorzystywała swój talent, wzbudzając emocje publiczności, opierała się na własnych przeżyciach, szukając jedynie okazji, by poruszyć czułą strunę w sercu widza. Irving inaczej budował rolę. Zawsze starał się odtworzyć intencje twórcy dzieła i osobistą historię granej przez siebie postaci, miał bardziej intelektualne podejście. Chociaż nie znalazł tym uznania u kolegów po fachu, jego styl gry urzekł widownię. W podobnym tonie prasa wyrażała się o Basarabie. Jeden z krytyków określił go nawet mianem spadkobiercy sir Henrygo Irvinga, artysty, który przejął po nim miano „najlepszego aktora na świecie”.

Quincey przypomniał sobie, że trzyma w ręku starannie złożoną kopertę. Kupił dziś najlepszy papier listowy i zapłacił kilka franków ulicznemu artyście, żeby ozdobił kopertę teatralnymi maskami w kolorze krwistej czerwieni. Posługując się doskonałą kaligrafią, której to sztuki nauczyła go matka, sam zaadresował kopertę: „Do Basaraba od Quinceya Harkera”. Będąc świadkiem historycznych owacji, jakie urządzili wczoraj pod teatrem wielbicieli aktora, Quincey doszedł do wniosku, że zapewne Basarab dostaje setki listów pełnych uwielbienia, i chciał, by jego koperta rzuciła się w oczy. Miał nadzieję, że list wygląda na ważny, i modlił się, by Basarab nie uznał zdobień za zbyt pretensjonalne.

Quincey dostrzegł odzianego w uniform niskiego, starszego mężczyznę z wielkim pękiem kluczy w jednej ręce i elektryczną latarką w drugiej. Domyślił się, że to musi być dozorca teatru.

- Przepraszam - zaczął, wyciągając w jego stronę kopertę. - Czy mógłby pan to dostarczyć za kulisy?

Mężczyzna rzucił okiem na nazwisko na kopercie, pokręcił głową i rzucił krótkie: *-Non*. Quincey nie dał się zbić z tropu.

- Skoro tak, to muszę się natychmiast widzieć z monsieur Antoineem.

- Andre Antoineem? Powiedział, żeby mu nie przeszkadzać.

- Jednak wydaje mi się, że dyrektor teatru ma prawo wiedzieć, dlaczego jego gwiazda nie wystąpi dziś wieczorem.

Dozorca przyjrzał się Quinceyowi uważnie.

- O czym pan mówi?

- Monsieur Basarab oczekuje na ten list. Jest bardzo zaniepokojony, oba wiam się, że jeśli go nie otrzyma, jego stan ducha może nie pozwolić mu na...

- Dobrze zatem - przerwał mu dozorca, wyciągając rękę po list. - Za niosę mu.

- *Merci*. - Quincey podał mu kopertę, ale mężczyzna nie cofnął ręki, do póki chłopak nie wręczył mu kilku monet. Wtedy dopiero oddalił się za kulisy.

Gdy Quincey się odwrócił, ujrzał, że snobistyczne towarzystwo w swych najlepszych strojach wieczorowych zaczęło już wypełniać wnętrze teatru. Wiedział, że większość tych ludzi przybyła tu raczej, by się pokazać, niż obejrzeć sztukę. Wielu z nich - tak jak jego ojciec - uważało, że aktorzy to banda włóczęgów i degeneratów. Hipokryci. A już największym z nich był jego ojciec. Najwyraźniej zapomniał, że jest synem szewca, zwykłym notariuszem, do którego los się uśmiechnął. Jonathan Harker odziedziczył firmę po śmierci jej właściciela, pana Hawkinsa, bo pan Renfield, starszy wspólnik, który miał przejąć kancelarię, popełnił samobójstwo w zakładzie dla obłąkanych. Quinceya ogarnęło nagle dziwne uczucie, zupełnie jakby temperatura w pomieszczeniu gwałtownie opadła. Zaczął rozglądać się dookoła, szukając źródła tego nagłego chłodu, kiedy jego uwagę przykuł osobliwy widok. Oto do foyer weszła niezwykle wysoka kobieta, swą postacią górująca nad zebranymi osobami. Ludzie stojący najbliżej spoglądali na nią z dezaprobatą. Kobieta ubrana była w męski smoking. Bardzo obcisły smoking.

Elżbieta Batory nie mogła uwierzyć, że to jest ten sam Theatre de l'Odeon. Oparła dłoń na poślacanej kolumnie i rozejrzała się po wnętrzu. Ostatnim razem była tu 18 marca 1799 roku, w noc wielkiego pożaru. Odbudowany teatr wydawał się teraz mniejszy. Spojrzała do góry na umieszczone na suficie malowidło

na szkle oświetlone elektrycznym światłem. Przedstawiało tańczące kobiety, które zdawały się unosić w powietrzu. Niektóre z nich ubrane były w białe powłóczyste szaty, większość jednak była naga. Mimo to robiły wrażenie raczej niewinnych dziewcząt niż istot seksualnych. Oczywiście artysta nie rozumiał, że kobiety miały takie same potrzeby jak przedstawiciele jego płci. Jedynie religijny mężczyzna mógł przedstawić kobietę z takim lekceważeniem.

Hrabina zatrzymała wzrok na wizerunku pływającej beztrudno dziewczyny o kruczoczarnych włosach, ubranej w białą zwiewną szatę. Ona sama zbyt dobrze wiedziała ze swojej mrocznej przeszłości, że życie młodej dziewczyny bynajmniej nie jest sielankowe.

Piętnastoletnia Elżbieta Batory jęknęła przerażona, gdy brutalnie zdarto z niej bogato zdobioną suknię ślubną. Spojrzała okrągłymi ze strachu oczami na swojego napastnika, który obmacywał jej piersi - był to jej świeżo poślubiony mąż, hrabia Ferenc Nadasdy, gruby, brudny pijak, starszy o niej o ponad dwa-dziesięć lat.

- Jesteś moją żoną i twoim świętym obowiązkiem jest zaspokoić mnie... pani Batory! - bełkotał Nadasdy, a dziewczynę uderzył w nozdrza odór wina. Jako że jej rodzina była potężniejsza od jego, Elżbiecie pozwolono zachować panieńskie nazwisko, a podkreślenie tego przez jej małżonka było oznaką, że wciąż był wściekły z tego powodu. Gdy uznał, że jej ruchy są zbyt opieszale, uderzył ją z całej siły wierzchem dłoni w twarz, rozcinając wargę sygnetem. Próbowwała krzyknąć, ale zakrył jej usta. Czowała zapach łajna na jego niemytych rękach. Wtedy też po raz pierwszy miała w ustach krew - swoją własną.

Elżbieta od dzieciństwa zaczytywała się książkami i wierszami napisanymi po węgiersku, łacinie i niemiecku. Spotkanie dwojga kochanków zawsze opisywano tam jako cudowną bajkę przypieczętowaną pocałunkiem. Jako piętnastolatka nie wiedziała nic o miłości fizycznej ani bólu utraty dziewictwa, o takich sprawach nie mówiło się bowiem otwarcie, i jak każda młoda dziewczyna marzyła o dniu swojego ślubu. Niestety, dla niej ten sen stał się koszmarem na jawie, z którego nie mogła się przebudzić.

Jej małżeństwo zostało zaaranżowane, by zapewnić sojusz militarny i majątkowy obu rodzin. Kontrakt ten nie obejmował miłości. Dla hrabiego Elżbieta była dziką klaczą, którą trzeba było ujarzmić, a każdy otwór jej ciała stał się miejscem zaspokajania jego perwersyjnych żądz. Jej uczucia nie znaczyły dla niego nic.

Gdy nareszcie zapadł w pijacki sen, Elżbieta wyrwała się z małżeńskiej alkowy i pod osłoną nocy wymknęła poza zamkowe mury. Zamek w Csjethe, jej prezent ślubny, był położony w samym sercu Karpat. W przeciwieństwie do tętniącego życiem majątku w Nyirbator na Węgrzech, gdzie dorastała, był to malowniczy zakątek, który tworzyła sielankowa mozaika pól i krętych kamiennych murów. Sam zamek osadzony był wysoko między postrzępionymi skałami ośnieżonych gór. Był maj, ale na tej wysokości wciąż panował mróz. Elżbieta rozebrała się do naga. Lodowate powietrze uśmierzało ból, a krew powoli krzepła na skórze. Zamarnąć na śmierć było z pewnością lepszym losem niż życie z tym potworem, za którego ją wydano. Ale nawet w tej kwestii Bóg nie okazał jej miłosierdzia. Służące zauważyły jej nieobecność, wybiegły za nią z zamku i okryły ją kocami. Gdy zaczęła stawiać opór, siłą zaciągnęły ją z powrotem do męża. Z zamku nie było ucieczki. Elżbieta stała się więźniem we własnym domu.

- Co się dzieje, pani? - zapytała z troską jej jasnowłosa przyjaciółka. Jej dotyk przywołał hrabinę z powrotem do rzeczywistości.

Nie powiedziała nic, ale cały czas miała przed oczami widok niewinnej dziewczyny z malowidła. Pomyślała, że długo czekała z zemstą, i teraz nadeszła na nią pora.

Czy od chwili kiedy Seward ostatni raz brał swoje „lekarstwo”, naprawdę minęły prawie dwa dni? Straszliwie drżały mu ręce. Miał coraz mniej czasu. Albo zaraz zażyje morfinę, albo będzie zbyt słaby, by przypuścić skuteczny atak na hrabinę.

Był wdzięczny, gdy okazało się, że jego mocodawca zostawił w kasie bilet na jego nazwisko, na miejsce w pierwszym rzędzie, przy orkiestrze. Musiał więc otrzymać jego telegram i wiedział, czego Seward będzie potrzebował. W tym stanie, pogarszającym się z godziny na godzinę, wślizgnięcie się ukradkiem do teatru nie byłoby możliwe. Pomimo tego jakże znakomitego miejsca, nie będzie mu jednak dane cieszyć się spektaklem. Czując coraz silniejsze mdłości, cały złany potem, dotarł wreszcie pod drzwi z napisem: „*Personnel du Thedre seulement*”^m. Były zamknięte. Już zaczął się rozglądać za innymi sposobami dostania się na tyły teatru, kiedy nagle ujrzał hrabinę i jej dwie pomocnice.

Za wcześniej! Seward wyrzał zza kolumny, przytrzymując się jej lepkimi od potu rękoma. Hrabina wpatrzona była w sufit. Seward podążył za jej wzrokiem

^m *Personnel du Thedre seulement* (franc.) - Jedynie dla pracowników teatru.

i ujrzał niezwykle renesansowy plafon podobny do dzieł Michała Anioła. Jego uwagę przykuła postać w centrum malowidła. Przewyższała wzrostem pozostałe kobiety, a jej przenikliwe niebieskie oczy kontrastowały z burzą czarnych włosów. Ciemnowłosa Afrodyta, uderzająco podobna do hrabiny. Jeśli to rzeczywiście była ona, teatr był idealnym miejscem, by dokonała w nim żywota.

Z rozmyślań wybił go brzęk kluczy. Odwrócił się i ujrzał niskiego mężczyznę zmierzającego w stronę zaplecza z ozdobną kopertą w ręku. Mężczyzna wyglądał na zdenerwowanego. Zanim drzwi się za nim zamknęły, Seward zablokował je stopą. A potem, upewniwszy się, że nikt go nie widzi, jak gdyby nigdy nic wszedł do środka.

Obok niego przemknęli aktorzy w niekompletnych strojach, jacyś mężczyźni wnosili na scenę kamienie z masy papierowej, a szwaczka poprawiała kostium na aktorze, który w tym czasie ćwiczył głos. Seward musiał szybko znaleźć bezpieczne schronienie, zanim ktoś odkryje jego obecność i wyrzuci go za drzwi.

- Co pan tu robi? - usłyszał nagle głos z rosyjskim akcentem. Odwrócił się tak szybko, że na chwilę świat zawirował mu przed oczyma. Czyżby go złapano?

Spojrzał zażawionymi, przekrwionymi oczami na Rosjanina wpatzonego w niskiego człowieka z kluczami, zapewne dozorcę teatru. Był zatem bezpieczny... na razie. Nie chcąc nadużywać swojego szczęścia, ukrył się szybko w cieniu, za stojącym obok tronem.

Niski mężczyzna podniósł wzrok na rosnącego Rosjanina i rzekł:

- Mam przesyłkę dla pana Basaraba. Podobno jej oczekuje.

- Przekażę mu ją - rzekł Rosjanin, zabierając zdobioną kopertę. Podeszedł do oznaczonych gwiazdą oraz imieniem „Basarab” drzwi, zapukał i wsunął pod nie kopertę. Sewarda ogarniały coraz większe mdłości i czuł, że jest bliski omdlenia. Siły opuszczały go bardzo szybko. Spojrzał do góry na krokwie pełne lin i worków z piaskiem - musi tam wejść, ale najpierw powinien zażyć swe „lekarstwo”.

Gdy wyjmował spod płaszcza torbę, przyszedł mu do głowy cytat ze sztuki, która zaraz miała się rozpocząć, słowa, które mogły być jego dewizą:

Niech bełkot snów nie trwoży naszych dusz
wyraz „sumienie” powstał, aby tchórze
mieli czym straszyć mocniejszych¹².

¹² William Szekspir, *Król Ryszard III*, tłum. Stanisław Barańczak, Poznań 1996, akt V, scena III, s. 200.



Skryty przed ludzkim wzrokiem, wyjął skórzany pas i mocno zacisnął go wokół wątlego ramienia, a następnie napełnił szklaną strzykawkę morfiną. Tym razem tylko pół dawki - szepnął.

Wprawdzie przyjmowanie narkotyku było ryzykowne, ale Seward nie był już w stanie dłużej się bez niego obyć. Poczł gwałtowne buzowanie morfiny w żyłach. Już po paru minutach odzyskał kontrolę nad ciałem i gdy tylko jego nogi przestały drżeć, zaczął wspinać się po linie na krokwie.

Podczas gdy na scenie poniżej wojna Dwóch Róż rozgrywała się z użyciem drewnianych mieczy i sztucznej krwi, Seward przygotowywał się do prawdziwie krwawej bitwy. Wyjął broń ze schowków swojego płaszcza. Był już gotowy do następnego posunięcia. Figury zostały ustawione, zaczęła się gra.

Rozdział VI

Była za dwadzieścia dziewiąta. Za ledwie dwie minuty upłynęły, od chwili kiedy Quincey po raz ostatni patrzył na zegarek. Spektakl miał się rozpocząć dokładnie o ósmej i publiczność niecierpliwiła się coraz bardziej. Quincey, dzięki temu, że pracował w teatrze, wiedział, ile możliwych komplikacji może opóźnić przedstawienie. Straszliwe myśli załęgły mu się w głowie. A co jeśli Basarab rzeczywiście nie może wystąpić? Możliwe, że właśnie poprawiają jego kostiumy, by pasowały na jakiegoś nieszczęsnego dublera. W normalnych warunkach zastępca mógłby to traktować jako uśmiech losu, ale nie dziś. Dziś bowiem publiczność zapłaciła za to, by zobaczyć Basaraba. On też za to zapłacił, i to słono. Dubler nie zostałby dobrze przyjęty. Jeśli Basarab nie wystąpi, będą to pieniądze wyrzucone w błoto.

Obok niego jakiś człowiek żalił się żonie. Mówili po francusku, a Quincey znał świetnie ten język.

- Ten Basarab zachowuje się tak karygodnie jak ta Angielka Sarah Bernhardt. Byłem raz na jej przedstawieniu, które zaczęło się z godzinnym opóźnieniem. Żaden Francuz nigdy by...

Quincey już miał wystąpić w obronie wszystkich angielskich artystów, kiedy nagle światła na widowni zaczęły gasnąć, jedno po drugim. Teatr pograżył się w ciemnościach. Quincey spodziewał się, że zaraz zabłyśnie światło na scenie, ale przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Publiczność znowu zaczęła niecierpliwie wiercić się w fotelach, a Quincey próbował dojrzeć cokolwiek na ciemnej scenie.

Nagle w sali rozległ się miękki baryton:

I oto zimę naszych rozgoryczeń
Słonecznym latem uczynił syn Yorku¹³.

¹³ *Ibid.*, akt I, scena I, s. 9.

Jedna mała lampa zabłysła na scenie, oświetlając od dołu bladą twarz Basaraba niesamowitym światłem. Spod ciemnych brwi aktor przenikliwym wzrokiem obserwował widownię. Transformacja przystojnego Basaraba w odrażającego Ryszarda III była zdumiewająca. Aktor był cały ubrany na czarno, na plecach miał garb, a jego lewa ręka zwisała bezwładnie. Mimo ciężkich kostiumów ruch ciała i sposób mówienia nie pozostawiały wątpliwości, że osoba na scenie jest arystokratą.

Lecz ja, któremu cielesna szpetota
Nie daje
prawa do owych igraszek, Ba, do zerknięcia z
podziwem w zwierciadło.

Światła na scenie zapalały się powoli. W oczach Basaraba wyraźnie malował się ból. On nie recytował słów Szekspira, on wydobywał z nich głębszą myśl i przesłanie.

Ja w tych łagodnych jak tony fujarki
Czasach pokoju jedną mam rozrywkę:
Cień swój oglądam w słońcu i na temat
Własnej ohydy układam wariacje.

Basarab zrobił pauzę i wbił wzrok w jedną z łóż. Quincey spojrział w tamtą stronę i rozpoznał kobietę w smokingu, którą widział przedtem w hallu.

Skoro nie mogę grać roli kochanka
I tych dni pięknych wypełniać miłością -
Postanowiłem zostać nikczemnikiem¹⁴.

Hrabina Batory była zaskoczona, że Basarab tak śmiało spogląda w jej stronę. Biorąc pod uwagę, że światła świeciły mu prosto w oczy, zastanawiała się, czy naprawdę ją dostrzegł, czy też był to czysty przypadek. Odpowiedziała mu zimnym spojrzeniem. Ciemnowłosa Kobieta w Bieli wyszeptwała: - To on, pani?

¹⁴*Ibid.*, akt I, scena I, s. 9-10.

- Tak, to on - odparła hrabina. Przejechała paznokciami po poręczy fotela, z którego posypało się na podłogę kilka wiórów, bo właśnie dotarło do niej, że ten lajdak wystawiał pełną, nieokrojoną wersję tej koszmarnej sztuki. Siedzieć tutaj przez cztery godziny i oglądać tę szmirę było większą torturą niż cokolwiek, co wymyśliła hiszpańska inkwizycja. Historia opowiedziana w sztuce wydała się jej aż nazbyt znana.

Ferenc Nadasdy nie grzeszył inteligencją. Elżbieta wkrótce odkryła, że myślał tylko jedną częścią ciała, tą poniżej pasa. To właśnie brak polotu sprawił, że Elżbieta postanowiła go przechytrzyć. Uśpiła jego czujność, udając, że czerpie przyjemność z jego sadystycznych praktyk. Trzy lata po ślubie w nadziei pozbycia się go na zawsze wykorzystwała przeciwko niemu jego próżność, przekonując go, by stanął na czele wojsk wyruszających przeciwko imperium otomańskiemu. Wmówiła mu, że triumf na wojnie umocniłyby pozycję jego rodziny, i zapewniła go, że po jego powrocie, podczas zwycięskiej parady, publicznie zmieni swoje nazwisko na Nadasdy.

Podczas nieobecności hrabiego strażę z początku bacznie jej pilnowały, ale ich czujność Elżbieta również uśpiła. Robiła wszystko, by otoczenie uwierzyło, że bardziej niż ucieczką zainteresowana jest zarządzaniem swoimi włościami. Zajęła się sprawami swych węgierskich i słowackich poddanych, sprowadziła dla nich pomoc medyczną, udzielała też wsparcia kobietom pozbawionym środków do życia, między innymi tej, której mąż został wzięty do niewoli przez Turków, oraz tej, której córka zaszła w ciążę w wyniku gwałtu. A tymczasem co noc modliła się do Boga, by zesłał jej mężowi śmierć na polu bitwy.

Zaznajomiona z astronomią Elżbieta z realizacją swojego planu czekała na odpowiedni moment. W noc całkowitego zaćmienia Księżyca, kiedy egipskie ciemności spowiły ziemię, ubrała się w czarną opończę i wymknęła z zamku. Z pomocą wieśniaków, których kupiła za pieniądze męża oraz własną - nie bezinteresowną - życzliwością, Elżbieta uciekła do swojej ciotki Karli. Ta uchodziła za pobożną kobietę i dziewczyna miała nadzieję, że w jej domu odnajdzie wreszcie Bożą miłość i schronienie.

Ciotka była ponurą matroną, która obnosiła się ze swoją surowością i pobożnością. Ubierała się skromnie, na czarno od stóp do głów, z wyjątkiem wielkiego złotego krzyża na szyi. Elżbieta sądziła, że ciotka nosi stale żałobę po którymś ze swoich małżonków. Karla była bowiem czterokrotnie zamężna, a każdy

z jej mężów zginął w straszliwych, niewyjaśnionych okolicznościach. Na widok przybyłej Elżbiety ubranej w czerwoną aksamitną suknię, zamiast przywitać bratanicę serdecznie, Karla rzekła srogo:

- Jasne stroje są oznaką pychy, a to jeden z siedmiu grzechów głównych. Bóg tego nie pochwała.

Choć na zewnątrz Karla wydawała się osobą oschłą i zasadniczą, po bliższym poznaniu okazała się dużo cieplejszą kobietą. Wysłuchiwała z uwagą opowieści bratanicy i starała się ją podnieść na duchu. Coraz bardziej zbliżały się do siebie, aż pewnej nocy, gdy nadmiar wina rozwiązał jej język, ciotka Karla wyznała Elżbiecie, że zamordowała swoich mężów, ponieważ odkryli, dlaczego unikała ich łoża. Przyczyną nie była bynajmniej ogromna miłość do Boga, która każe rozumieć Biblię dosłownie i wierzyć, że miłość fizyczna dopuszczalna jest tylko wtedy, gdy ma na celu spłodzenie potomstwa. Prawda była taka, że nie pociągało jej męskie ciało. Ciotka Karla mogła znaleźć rozkosz tylko z innymi kobietami.

Elżbieta wpatrywała się w krzyż na szyi Karli, nie mogąc uwierzyć w hipokryzję tej kobiety. Ale wyznanie ciotki pozwoliło jej zrozumieć kilka elementów własnej osobowości, których dotychczas nie pojmowała. Będąc młodą dziewczyną, lubiła się „bawić” ze swoim służącymi, aż pewnego dnia przyłapała ją na tym matka i zbesztła okrutnie. Rodzice wezwali wtedy księdza, by modlił się wraz z ich grzeszną córką, a wkrótce potem wydali ją za Nadasdyego.

Widząc zmieszanie na pięknej twarzy Elżbiety, ciotka Karla łagodnie pogłaskała ją po głowie, cały czas spoglądając tęsknie w jej błękitne oczy. Zanim Elżbieta zorientowała się, co się dzieje, poczuła na swych wargach usta Karli.

Dziewczyna odepchnęła ją. Zachowanie ciotki napawało ją obrzydzeniem.

- Czy Biblia nie mówi, że morderstwo i takie żądze są grzeszne? Czy nie występujesz w ten sposób przeciwko Bogu?

Karla wstała i wybuchła:

- Jakaś ty głupia i naiwna! Miałam ryzykować, że któryś z nich mnie wyda? W najlepszym razie pozbawiono by mnie majątku, wygnano, a na ciele wypalono gorącym żelazem znak heretyczki. W najgorszym zaś spalono żywym na stosie. To nie były morderstwa, ale walka o przetrwanie! Lepiej, żebyś nie oceniała mnie tak surowo, zwłaszcza biorąc pod uwagę twoją sytuację. Bo co możesz zrobić? Zostać ze mną i kochać mnie, ja ochronię cię przed mężem. Możesz też pójść do klasztoru, zmarnować tam swoją urodę i najlepsze lata

życia, aż pewnego dnia obudzisz się stara, gruba i pomarszczona jak ja. Zawsze też możesz wrócić do tego zwyrodnialca Nadasdyego. Wybór należy do ciebie.

Elżbieta potrzebowała czasu, by uporządkować myśli, ale Karla nie była cierpliwą osobą. Nieco zagubiona dziewczyna poddała się wszystkim pragnieniom ciotki.

Nigdy wcześniej nie doświadczyła takiej miłości. Dlaczego jej mąż nie dotykał jej w ten sposób? Gdy po raz pierwszy w swoim życiu szczytowała, nie myślała już więcej o tym, co robi ani z kim. Nareszcie odnalazła swoje prawdziwe ja. Zastanawiała się, jak coś tak przyjemnego może być nazywane grzechem. Czy miłość nie pochodzi od Stwórcy? To właśnie wtedy w jej sercu zaległy się ziarna buntu przeciwko Bogu.

Hrabina podskoczyła nagle w fotelu poderwana krzykiem aktora ze sceny. Nie, nie wytrzyma ani chwili dłużej na tym koszmarnym przedstawieniu. Podniosła się z miejsca.

- Co się stało, pani? - spytała jasnowłosa Kobieta w Bieli.

- Muszę stąd wyjść - odparła, wpatrując się w aktora odgrywającego na scenie postać Christophera Urswicka, duchownego.

- A co z Basarabem?

- Wiecie, co macie robić. Nie zawiedźcie mnie.

Quincey nawet nie podejrzewał, ile wrażeń miał mu przynieść ten wieczór. Nie dość, że nigdy nie widział inscenizacji całego *Króla Ryszarda III*, to jeszcze nie wyobrażał sobie, że może być ona tak widowiskowa. Kostiumy wyglądały jak żywcem przeniesione z epoki, a monumentalna scenografia dopracowana została w każdym detalu. A najwspanialszy z tego wszystkiego był Basarab grający makiawelicznego króla z takim przekonaniem, że - na krótką chwilę - Quincey zapomniał, że to tylko przedstawienie. Basarab sprawił, że wersy Szekspira brzmiały jak jego własne słowa. Wiersze, które Quincey znał na pamięć, nagle nabrały życia. Przedstawienie zmierzało do punktu kulminacyjnego. Gesty i głos Basaraba były tak nabrzmiałe poczuciem winy, że jego skrucha nie budziła wątpliwości. Był to dramat człowieka, który wie, że jest już za późno, by naprawić zło, które wyrządził.

- Konia! Hej, konia! Królestwo za konia!¹⁵ - grzmiał na scenie król Ryszard, wywijając mieczem.

¹⁵ *Ibid.*, akt V, scena IV, s. 203.

Serce Quinceya tłukło się jak oszalałe. Zapomniał się i chwycił fotel przed sobą tak kurczowo, że o mało nie przewrócił siedzącego tam nieszczęśnika. Rozległy się wojenne okrzyki. Kilku aktorów grających żołnierzy wskoczyło na scenę i zaatakowało Basaraba, który posługiwał się swoim mieczem z taką zręcznością i wprawą, jak gdyby był urodzonym wojownikiem. Chłopak na widok nowej grupy żołnierzy niemal poderwał się z miejsca. Wyglądało to tak, jakby król Ryszard walczył sam przeciw wszystkim. Quincey nigdy nie widział tak zdumiewającego pokazu szermierki. Żadne słowa nie byłyby w stanie oddać tej sugestywności, z jaką odtworzono bitwę, która położyła kres dynastii Plantagenetów.

Gdy Richmond zanurzył swój miecz w piersi króla, Quincey jęknął. Aktorzy na scenie zastygli w bezruchu i zgasły wszystkie światła, z wyjątkiem jednego. Choć wiadomo było, że sztuka kończy się śmiercią króla Ryszarda, cała widownia zamarała w oczekiwaniu. Wszyscy na sali wstrzymali oddech. Wtedy Basarab zatoczył się i we wspólnym stylu padł na scenę.

Widownia zaczęła bić brawo jak oszalała, zagłuszając końcowy monolog Richmonda. Kiedy kurtyna opadła, publiczność powstała z miejsc, klaszcząc ze wszystkich sił. Nikt nie wiwatował mocniej niż Quincey.

Po ponownym podniesieniu kurtyny Basarab wrócił na scenę, uklonił się publiczności, po czym utkwiał wzrok w oklaskującym go Quinceyu. Serce chłopaka o mało nie wyskoczyło z piersi. A potem spojrzenie Basaraba przeniosło się na łóżę, gdzie siedziała przedtem kobieta w smokingu. Miejsce było teraz puste. Kim były te kobiety? Czy Basarab je znał? Kiedy Quincey spojrział z powrotem na scenę, kurtyna znowu opadła, oddzielając Basaraba od oklaskującej go widowni. Chłopak nie mógł się doczekać, aż spotka się z tym niezwykłym człowiekiem twarzą w twarz.

W jego sercu nie było już żadnych wątpliwości. To był jego świat - teatr, a nie jakaś ponura kancelaria prawna. Musiał jak najszybciej dostać się za kulisy i dowiedzieć, czy Basarab otrzymał jego list. Odczekał chwilę, aż tłum znacznie opuszcza widownię i ruszył w stronę przejścia między rzędami. A wtedy zauważył, że dozorca pokazuje go palcem panu Antoine'owi, dyrektorowi teatru, który podszedł do Quinceya i wyszeptał:

- *Allons*¹⁶. Monsieur Basarab chce się z panem widzieć.

¹⁶ *Allons* (franc.) - Proszę za mną.

Quincey, podążając za dyrektorem Antoineem przez labirynt teatru, czuł się jak współczesny Tezeusz. Widział na scenie przebranych za konie mężczyzn, którzy uwolniwszy się zaledwie częściowo ze swo- niezwykle kostiumów, przypominali teraz centaury. Obok przemknęły półnagie aktorki. Dyrektor Antoine zatrzymał się wreszcie. Stali przed drzwiami oznaczonymi gwiazdą i imieniem Basaraba. Dyrektor zapukał.

- *Excusez-moi*, monsieur Basarab? Przybył ów młody dżentelmen.

Nastąpiła chwila ciszy. W głowie Quinceya już zaczęła kiełkować obawa, że jednak nie dane mu będzie poznać Basaraba, gdy zza drzwi dobiegł ich głos:

- Proszę go wpuścić.

Quincey wziął głęboki oddech, próbując opanować nerwy, i otworzył drzwi. Basarab siedział przed lustrem i czytał jego list. Nie podnosząc wzroku, zaprosił go gestem do środka i powiedział:

- Proszę wejść.

Quinceyowi nie trzeba było dwa razy powtarzać - wszedł do środka, zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po przestronnej garderobie. W rogu stał równo ułożony stos kufrów podróżnych, tworząc małą fortecę. Do zawieszonej na ścianie tkaniny poprzypinane były oprawione plakaty z poprzednich sztuk z udziałem Basaraba. Bogate umeblowanie z różnych epok zdecydowanie odbiegało od prostego wyposażenia garderoby zwykłego aktora. Obok małego eleganckiego stolika na jednej nodze, na którym stał serwis do herbaty, znajdował się niezwykle szezlong w egipskim stylu. Basarab nie przerywał czytania. Quincey stwierdził, że pewnie spogląda na jego list po raz pierwszy.

- Proszę mi wybaczyć, panie Harker - zaczął Basarab serdecznym tonem - ale pana list niebywale mnie oczarował. Do tego stopnia, że chciałem go uważnie przeczytać po raz drugi.

Wyglądało to tak, jakby Basarab czytał w jego myślach. Quincey rzekł pośpiesznie:

- Nie mogę uwierzyć, że stoję przed panem. Nie potrafię tego wyjaśnić, lecz gdy patrzę na pana, całe moje życie zaczyna nabierać sensu.

Gdy tylko wyrzekł te słowa, stwierdził, że to najgłupsza rzecz, jaką mógł powiedzieć. Ku jego zaskoczeniu, Basarab uśmiechnął się ciepło i rzekł:

- Proszę mi wybaczyć złe maniery. Nie takiej gościnności uczył mnie mój ojciec. Może usiądzie pan i napije się ze mną herbaty?

Quincey bał się spocząć na tym delikatnym meblu, nie chciał jednak obrazić swojego gospodarza, przysiadł więc ostrożnie na krawędzi szeszlongu. Basarab zaczął rozlewać herbatę do dwóch szklanych filiżanek, których oprawy i uchwyty pokryte były srebrem, a boki ozdobione inicjałami I.L., podobnie jak imbryk, miecznik i cukiernica. Quincey zaczął się zastanawiać, kim był ów I.L.

- Iwan Lebedkin - rzekł Basarab.

Quincey spojrział na niego zdumiony - znowu wyglądało to tak, jakby Basarab czytał w jego myślach. A wtedy zdał sobie sprawę, że nieświadomie wodził palcem po monogramie. Basarab nie był jasnowidzem, tylko bystrym obserwatorem ludzkiego zachowania. Co bez wątpienia stanowiło jeden z powodów, dla których był tak znakomitym aktorem.

Basarab ciągnął: - Ten człowiek był nadwornym probiercą cara. Jego inicjały świadczą o tym, że to rzeczywiście srebro.

- Cara?

- Tak. Ten serwis, podobnie jak i sama herbata, lapsang souchong, jest prezentem od cara Mikołaja. *Na zdrowie!* - Basarab wznosił filiżankę. Już chciał ją przybliżyć do ust, kiedy zdał sobie sprawę, że jego nos, a raczej nos Ryszarda III, stoi mu na przeszkodzie. Uśmiechnął się, odkładając naczynie. - Proszę mi wybaczyć - rzekł i podszedł do lustra.

Quincey nie mógł się nadziwić, jak niezwykle i nieprzewidywalne są koleje ludzkiego losu. Jeszcze wczoraj więziła go Sorbona, a teraz pił herbatę, wybraną przez samego rosyjskiego cara, z najznakomitszym aktorem w Europie.

- Znam pana, panie Harker - rzekł aktor, zdejmując sztuczny woskowy nos.

- Naprawdę? - Czyżby Basarab zapamiętał go z wczorajszego wieczoru, kiedy to Quincey oglądał z pomnika jego przybycie?

- Widziałem pana w londyńskim Hipodromie. Występował pan w monodramie *Faust*.

Quincey o mało nie zachłysnął się herbatą. Wielki Basarab był ponad rok temu w tamtym teatrze?

- Widział mnie pan na scenie?

- Tak, i bardzo mi się podobała pana gra. Ma pan swój styl, a to nieczęsto się zdarza w tej profesji. Po przedstawieniu poszedłem nawet za kulisy, by panu pogratulować, ale zastałem pana w trakcie ostrej wymiany zdań z jakimś starszym dżentelmenem.

Quincey dobrze wiedział, o czym mówi Basarab. Tamtego wieczoru na widowni był również jego ojciec Jonathan Harker, z czego chłopak zbyt późno zdał sobie sprawę. Po przedstawieniu próbował wymknąć się z teatru niezauważony, ale jego ojciec był już na zapleczu i wrzeszczał na dyrektora teatru.

- ... i jeśli myśli pan, że może mi pan przeszkodzić...

- Ojcie, błagam! - krzyknął chłopak na jego widok.

- Nie wtrącaj się, Quincey! - odwarknął Jonathan. - Twoja noga już nigdy nie postanie w tym miejscu.

- Nie możesz...

- Jedyną rzeczą, której nie mogę, jest pozwolić ci, byś dalej był aktorem. To zajęcie przyciąga zbyt wiele uwagi... scena to zbyt niebezpieczne miejsce dla ciebie.

- Nie jestem już dzieckiem! Sam mogę decydować o własnym życiu.

- Jeśli tego chcesz, proszę bardzo. Skoro tak - rzekł Jonathan zimno, obniżając ton głosu - będziesz się musiał obyć bez mojego finansowego wsparcia i radzić sobie jak twoi koledzy po fachu.

Quincey, choć święcie przekonany o swojej racji, wobec takich argumentów był bezsilny. Jego milczenie było odpowiedzią na niewypowiedziane pytanie ojca.

- Tak myślałem - burknął Jonathan. - Dopóki żyjesz na mój koszt, będiesz robił to, co ja ci każę.

Jonathan Harker nie marnował czasu - zaraz po tej rozmowie uruchomił wszystkie swoje kontakty i tydzień później jego syn zaczął studia na Sorbonie.

Quincey pochylił się nad filiżanką egzotycznej herbaty. Nawet ten wspaniale zapowiadający się wieczór musiało zepsuć wspomnienie ojca.

- Zmusił pana do studiowania prawa? Domyślam się zatem, że pana ojciec również jest prawnikiem.

- Słucham? A, tak - odpowiedział Quincey, uświadomiwszy sobie, że musiał myśleć na głos.

- Teraz już rozumiem, dlaczego od tamtego czasu nic o panu nie słyszałem- No cóż, to, że ojciec pragnie, by syn szedł w jego ślady, to dosyć częsty scenariusz. I tak stary jak ludzkie panowanie na tym świecie. Ale może chociaż ma pan rodzeństwo, które jest bardziej zainteresowane prawem i mogłoby przejąć interesy ojca?

- Jestem jedynakiem. Muszę więc sam dźwigać to brzemię.

- Może się pan uważać za szczęściarza - stwierdził Basarab. - Mógł pan mieć młodszego brata faworyzowanego przez całą rodzinę. A porównanie z rodzeństwem zawsze rodzi konflikty.

Quinceyowi nigdy przedtem nie przyszło na myśl, że Basarab może mieć brata. Jego życie prywatne owiane było mgłą tajemnicy i trudno było go sobie wyobrazić w otoczeniu jakiegokolwiek rodziny. Wydawało się, że wyrasta ponad przyziemne troski, jak gdyby był ulepiony z innej gliny. Quincey odchrząknął i rzekł:

- Domyślam się, że pański brat nie jest aktorem.

- I słusznie się pan domyśla. On i ja jesteśmy różni jak ogień i woda. - Wskazał na koronę, którą nosił na scenie. - Śmiem nawet twierdzić, że król Ryszard i jego brat byli w lepszych stosunkach... co ja mówię, nawet Kain i Abel byli ze sobą bardziej związani niż mój brat i ja. - Roześmiał się. - Los czasem łączy ludzi w niezwykle sposób - stwierdził Basarab z zadumą i już miał unieść filiżankę do ust, kiedy nagle z korytarza dobiegło ich nieludzkie wycie.

Basarab skoczył na równe nogi.

Jednocześnie ktoś zaczął walić do drzwi i krzyczeć:

- Panie Basarab! Niech się pan ratuje!

Gdy ruch na tyłach teatru powoli zamarł, Kobiety w Bieli, niezauważone przez nikogo, przemknęły cicho korytarzem i zatrzymały się przed drzwiami oznaczonymi złotą gwiazdą. Momentalnie pociemniały im oczy, a na twarze wypełził drapieżny uśmiech. Wyciągnęły szable i obnażyły kły. Ciemnowłosa ostrożnie sięgnęła do klamki, a blondynka przykucnęła jak kot szykujący się do ataku.

Nagle z góry spadł worek piasku i uderzył w blondynkę, która upadła na podłogę. W tej samej chwili Seward zjechał w dół po jednej ze zwisających

lin. Szybko wyjął szklaną buteleczkę ze znakiem krzyża i pokropił obie kobiety wodą święconą. Ich skóra momentalnie zaskwierczała i pokryła się pęcherzami. Zaczęły wyc przeraźliwie, a ich wrzaski rozległy się echem po całym korytarzu. Rzuciły się do ucieczki, wijąc się z bólu, a Seward stanął pod drzwiami Basaraba i zaczął w nie walić z całej siły, krzyząc:

- Panie Basarab! Niech się pan ratuje!

Basarab odwrócił się szybko do Quinceya i wskazał na wielkie kufry stojące w kącie.

- Schowaj się, tam będziesz bezpieczny - rzucił rozkazująco.

Chłopak natychmiast wykonał polecenie. Z korytarza dochodziły go krzyki i odgłosy zamieszania. Basarab chwycił stojący w kącie miecz. Quincey mógłby przysiąc, że ostrze było ostre jak brzytwa, choć wiedział, że musiała to być tylko tępa atrapa. Basarab szybkim ruchem otworzył drzwi, wznosił miecz i wyskoczył na korytarz gotowy do walki. Ale poza kilkoma wystraszonymi pracownikami teatru nie było tam nikogo. Aktor spojrzął na leżący na ziemi worek i podniósł głowę do góry, a potem rozejrzał się ostrożnie po korytarzu. Wyglądało to tak, jak gdyby spodziewał się kolejnego ataku, a wcześniejsze krzyki i walenie do drzwi miały na celu jedynie odwrócenie jego uwagi.

Jego zachowanie było na tyle zagadkowe, że Quincey zaczął podejrzewać, iż kryje on jakiś sekret.

Seward biegł korytarzem za uciekającymi kobietami, aż wreszcie dopadł je na scenie oddzielonej od widowni opuszczoną kurtyną. Nagle ujrzał cień na podłodze i padł na ziemię w tym samym momencie, gdy szabla czarnowłosej diablicy świsnęła obok jego głowy. Blondynka natarła na niego z drugiej strony. Seward szybko wy dobył nóż Bowie i rzucił nim w serce blondynki. Ta z nadludzką szybkością uchyliła się, unikając tym samym śmiertelnego ciosu. Ostrze minęło serce, ale utkwilo jej głęboko w ramieniu. Czarnowłosa wampirzyca chwyciła Sewarda za gardło, nie zauważywszy srebrnego łańcuszka na jego szyi, na którym wisiało kilka małych srebrnych medalików. Gorąca para uniosła się z sykiem znad jej poparzonej ręki. Seward triumfował. Właśnie po to nosił ten łańcuszek. Zranione kobiety wycofały się. Seward mógł być z siebie dumny. Choć słaby i nie pierwszej młodości, to on odniósł zwycięstwo.

Kobiety w Bieli przedarły się przez czerwoną aksamitną kurtynę i zeskoczyły na widownię, przeskakując jak dzikie koty po oparciach foteli. Seward również skoczył ze sceny, ale skręcił kostkę przy lądowaniu. Choć kulał, nie zaprzestał jednak pościgu.

Nagle na końcu przejścia wyrósł jak spod ziemi niski dozorca, którego Seward wcześniej widział na tyłach teatru, i spytał zdezorientowany:

- *Quest-ce qui se passe?*¹⁷

Jasnowłosa Kobieta w Bieli, której stanął na drodze, odepchnęła go mocno, rzucając nim o kolumnę. Biegąc, szybkim ruchem wyciągnęła nóż Bowie tkwiący w ramieniu. Seward zatrzymał się na chwilę przy mężczyźnie, ale pewniwszy się, że oddycha, ruszył dalej w pogoń.

Zziębnięty, zatrzymał się u szczytu głównych schodów. Na zimnym powietrzu z jego ust wydobywały się kłęby pary. Przez gęstą zasłonę mgły, która opadła tej nocy na Paryż, z trudem dostrzegł niewyraźne postaci wampirzyce skrytych za posągami po drugiej stronie ulicy. Zdradziło je migotanie szabel w świetle gazowych lamp. Zatem pora do ataku. Aby dodać sobie odwagi, Seward dotknął swojego srebrnego zegarka. Zabije jedną z tych diabolic w imię Lucy, a drugą, by pomścić pamięć tej biednej dziewczyny z Marsylii. Wyjął miecz przytroczony u pasa. Był Bożym szaleńcem. Bożym wysłannikiem.

Z wojennym okrzykiem na ustach uniósł miecz nad głowę i zbiegł po kamiennych schodach, nie zważając na ból w kostce. Dwie wampirzyce obserwowały spokojnie jego szarżę. Uśmiechnęły się tylko, gdy doktor znalazł się na dole schodów i wybiegł na rue de Vaugirard.

Sewarda dobiegło nagle rżenie konia i w przerażeniu uświadomił sobie, jak fatalną obrał strategię. Skupiony na ataku na dwa czarne pionki, zapomniał, że czarna królowa może uderzyć z każdej strony. Wyłaniający się z mgły czarny powóz bez woźnicy pędził wprost na niego. Nie mając czasu na reakcję, Seward został w okamgnieniu rzucony pod koła powozu i stratowany przez końskie kopyta.

Leżąc w kałuży krwi, myślał tylko o tym, że zawiódł nie tylko swojego mocodawcę, ale i samego Boga. Czuł palący wstyd, większy nawet niż ból w jego połamanym ciele. Przez piekące łyzy dojrzał jeszcze, jak obydwie kobiety z nadludzką

¹⁷ *Qu'est-ce qui se passe?* (franc.) - Co tu się dzieje?

szybkością dopadają do pędzącego powozu i lekko wskakują do środka. Brunetka, zanim zniknęła mu z oczu, zaśmiała się jeszcze pogardliwie.

Seward dostrzegł swój srebrny zegarek leżący na ziemi, kilka centymetrów od swojej ręki. Chciał po niego sięgnąć, ale nie miał już żadnej władzy nad ciałem. Nagle nachylił się nad nim jakiś człowiek, więc próbował poprosić go, by podał mu zegarek. Ten zorientował się, o co chodzi, i podniósł go. A potem powiedział:

- Tam, dokąd idziesz, nie będzie ci już potrzebny.

I gdy tak życie powoli z niego uchodziło, Seward mógł tylko obserwować bezradnie, jak obcy człowiek ucieka z najdroższą rzeczą, jaką posiadał.

Rozdział VIII

Antoine ponaglił Quinceya do wyjścia. Przed teatrem młody człowiek ujrzał pokiereszowane ciało leżące w kałuży krwi. Wokół rannego zebrał się tłum gapiów, natychmiast wezwano policję i lekarza. J - Mój Boże - westchnął chłopak, wstrząśnięty tym widokiem. - Co tu się stało?

Nagle zewsząd rozległy się gwizdki przybyłej na miejsce policji. Antoine pociągnął Quinceya w dół schodów, próbując odciągnąć go od zbiegowiska.

- O ile się orientuję, jakiś szaleniec zaatakował w teatrze dwie kobiety.

Quincey ujrzał, jak włóczęga pochyla się nad rannym, by z nim porozmawiać. Nagle mężczyzna porwał zegarek uszkodzonego i zaczął uciekać. Nie namyślając się, Quincey wrzasnął: „złodziej!”, i rzucił się w pościg.

Było jednak za późno na pogoń. Złodziej był już daleko i chłopak nie miał szans go dogonić. Zawiedziony, że stracił szansę na bohaterski wyczyn, dołączył do reszty obserwatorów, wskazując tylko policji kierunek ucieczki złodzieja. Po kilku chwilach dwóch policjantów wróciło na miejsce ze schwytanym włóczęgą i odzyskanym zegarkiem.

Antoine złapał Quinceya za rękę i odciągnął na bok.

- Pan Basarab kazał mi osobiście dopilnować, by bezpiecznie dotarł pan na Sorbonę. Proszę za mną, młody człowieku. To nie jest miejsce dla pana.

Podobnie jak Antoine, Quincey nie śmiał się sprzeciwić poleceniom słynnego aktora. Gdy przeciskali się przez tłum, wyszeptał:

- A co z panem Basarabem?

- Nie sądzi pan chyba, że osoba publiczna jego formatu chciałaby być w jakikolwiek sposób kojarzona z taką tragedią? Niech pan pomyśli o reputacji jego zespołu.

Quincey przytaknął, ale dalej nurtowało go, co tak naprawdę zdarzyło się na tyłach teatru i dlaczego Basarab został w garderobie, skoro nie był tam

bezpieczny. Obejrzał się i wreszcie udało mu się dojrzeć twarz rannego. Wydała mu się dziwnie znajoma.

Seward spojrział w nocne niebo i zdał sobie sprawę, że nie czuje już bólu. Wydając ostatnie tchnienie, wyszeptał tylko jedno, jedyne słowo: - Lucy.

Czarny powóz bez woźnicy pędził przez Boulevard du Palais w stronę mostu, którym przeprawi się na drugą stronę Sekwany. Miasto światła mieniło się blaskiem latarni. To właśnie taki widok kazał poetom nazwać Paryż „miastem kochanków”. Hrabina żyła jednak na tyle długo, by wiedzieć, że blask ten jest ulotny jak i sama miłość.

Młoda Elżbieta Batory stała się gorliwą uczennicą swojej ciotki i poddawała się jej we wszystkim w obawie, że Karla mogłaby zaprzestać nauki. Jednak gdy dziewczyna pogodziła się ze swoją naturą i nareszcie poczuła się bezpieczna i szczęśliwa, uświadomiła sobie, że więcej rozkoszy dałby jej związek z kimś w podobnym wieku, a dokładnie: z Ilką, pomocą kuchenną. Dziewczyna była młoda, piękna, słodka i niewinna. A co ważniejsze, zawsze patrzyła w przyszłość, w przeciwieństwie do Karli, która często rozwodziła się nad przeszłością. Z Ilką Elżbieta mogła dzielić swoją młodzieńczą energię, biegać po polach i szukać przygód. Nie chciała skrzywdzić ciotki, a usprawiedliwienie romansu znalazła w swojej nowej filozofii, która głosiła, że miłość nigdy nie może być zła.

Gdy ciotka Karla zorientowała się, co się dzieje, zaślepiona zazdrością, zrobiła z liki złodziejkę i dopilnowała, by dziewczyna szybko zawisła na szubienicy. Gdy w odwecie Elżbieta zakazała jej wstępu do swego łóża, ciotka wydała ją rodzinie.

Kilka dni później po Elżbietę przybyła uzbrojona eskorta. Kiedy dziewczyna próbowała stawić opór, związano ją, zakneblowano, zarzucono jej kaptur na głowę i wywieziono ją do domu. Powiedziano jej, że rodzina odsyła ją z powrotem do męża, by spełniła śluby złożone przed Bogiem i dała hrabiemu potomka.

To właśnie wtedy Elżbieta zaczęła wierzyć, że miłość jest tylko złudzeniem danym człowiekowi przez Boga tylko na chwilę, by potem zesłać na niego jeszcze większe cierpienie.

Spoglądając przez zasłonę na tak zwane miasto kochanków, hrabina przysięgła, że pewnego dnia spali Paryż, zrówna go z ziemią, a potem odcisnie ślad swojej stopy na jego zgliszczach.

* p

Odwróciła się od okna pędzącego powozu.

- Musimy się pospieszyć z naszym planem.

- Bardzo sprytnie to wszystko wymyśliłaś, pani - rzekła jasnowłosa towarzyszka z nutą zaniepokojenia w głosie.

- Łowca wampirów nie żyje i nikomu już nie zdradzi, co widział w Marsylii - uzupełniła druga, marszcząc brwi.

- Znałam go - odpowiedziała. - Był jednym z wielu. Pewnie za nim przyjdą następni - ale to my uderzymy pierwsze.

Rozdział IX

• *śk* ina Harker stała na niewielkim tarasie swojego domu. Zamyśliła. Na, spoglądała tęsknie w noc. Na dźwięk dzwonów z pobliskiej ka-y y W tedry przebiegł ją dreszcz, chociaż nie było jej zimno. Spojrzała ^>r * w stronę świątyni i zobaczyła nienaturalną czerwoną mgłę opadającą z chmur, jak gdyby to samo niebo krwawiło. Mgła przemieszczała się płynnie w kierunku jej domu, choć wiatr wiał z przeciwnej strony. Przerażona Mina cofnęła się do gabinetu męża i zamknęła okiennice. W przypływie paniki zaczęła biegać od okna do okna i zamykać jedno po drugim. Nagle wiatr uderzył wściekle o szyby i to z taką mocą, że Mina odskoczyła, bojąc się, że podmuch rozbije szybę. Wyjący wiatr przybierał na sile. A potem momentalnie zapadła głucha cisza. Mina nadstawiła uszu, próbując wyłowić jakikolwiek dźwięk, jakiegokolwiek poruszenie. Odważywszy się wreszcie wyrzeć przez szpary w okiennicach, zobaczyła, że dom jest otulony czerwoną mgłą. W odległości cała od okna nie dało się niczego dojrzeć.

Głośne, głuche pukanie do drzwi wejściowych rozległo się echem po całym hallu. Mina podskoczyła gwałtownie. Kolejne uderzenie, i kolejne. Pukanie stawało się głośniejsze i coraz mocniejsze.

Nie poruszyła się. Chciała uciec, ale znieruchomiła pod wpływem mrocznej myśli, że może to być o n. Że wrócił. Wiedziała, że to niemożliwe. Nie żył. Wszyscy widzieli, jak umiera. Nagle dobiegł ją dźwięk tłuczonego szkła dochodzący z parteru. Usłyszała, jak z impetem otwierają się drzwi wejściowe, a potem i szuranie, jakby coś ciągnięto po marmurowej podłodze. Jonathan jak zwykle wyszedł z kolegami. Manninga, ich służącego, Mina zwolniła już na noc. Zatem ktoś inny - albo coś innego - znajdował się w jej domu. Mina cofnęła się do kąta i skuliła ze strachu. Własne tchórzostwo wzbudziło w niej irytację. Nie będzie więźniem we własnym domu. Jej doświadczenia w kontaktach z siłami nadnaturalnymi nauczyły ją, że chowanie się w kącie w niczym nie pomaga. Konfrontacja była jedynym sposobem walki z ciemnością.

Pochwyciła wiszący na ścianie samurajski miecz - kataną - prezent od jednego z klientów Jonathana. Paradoksalnie, zawsze miała za złe mężowi, że zawiesił broń w tak widocznym miejscu. Posuwając się wzdłuż ściany, zbliżyła się do szczytu schodów i przyklekła, by wyjrzeć na dół przez zdobioną balustradę. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież. Kręty ślad rozmazanej na podłodze krwi wiódł od progu przez hali aż do salonu. Minie przyszło nagle do głowy, że to Jonathan wrócił do domu ranny, i ta przerażająca myśl wyparła wszystkie jej lęki. Szybko zbiegła po schodach do salonu i podążając wzrokiem za krwawym śladem, ujrzała w kącie pod portretem, za którym krył się rodzinny sejf, skulonego mężczyznę. Nagle błyskawica przecięła nocne niebo, oświetlając cały salon upiornym blaskiem. Mina jęknęła wstrząśnięta tym, co ujrzała. Znała tego człowieka.

- Jack?

Nie dość, że był cały umazany krwią, to jeszcze wyglądał tak krucho i tak miernie, że trudno było w nim rozpoznać tamtego krzepkiego i energicznego mężczyznę. Jack Seward podniósł na nią wzrok, otworzył usta, próbując przemówić. Jednak zamiast słów z jego gardła wydobyło się gulgotanie, a z ust popłynęła krew. Mina upuściła miecz i przyklekła obok niego.

-Jack, nic nie mów. Wezwę doktora.

Gdy próbowała się podnieść, Seward chwycił ją za rękę i energicznie potrząsnął głową. Wskazał na podłogę, gdzie wcześniej napisał własną krwią: S-T-R-Z-E-Ż S-I-Ę.

- Strzec się? - spytała Mina. - Ale czego... kogo?

Nagle Seward krzyknął przeraźliwie i zaraz umilkł. Wystraszona Mina odwróciła się i ujrzała jego twarz zastygłą w przerażeniu. Jack Seward nie żył.

Mina krzyknęła ze strachu i otworzyła oczy.

Z ulgą stwierdziła, że jest bezpieczna we własnym pokoju, we własnym łóżku. Jednak przez krótką chwilę po przebudzeniu, kiedy jeszcze trudno rozróżnić, co jest jawą, a co snem, Mina mogłaby przysiąc, że ujrzała czerwoną mgłę uciekającą z jej sypialni i sączącą się przez okno na zewnątrz. Ogarnęło ją też dziwne uczucie, że ktoś jest w pokoju, choć zaraz potem stwierdziła, że musi to być wpływ sennego koszmaru. Westchnęła i opadła na poduszki, obserwując zasłony nadymające się od wiatru.

Była pewna, że zamknęła okno, zanim ułożyła się do snu - pamiętała wyraźnie, jak ryglowała zasuwę.

Kiedy odezwały się katedralne dzwony, Mina spojrzała na zegarek nad kominkiem. Było kwadrans po dwunastej.

Podbiegła do okna, sięgnęła do zasuw. I zamarła. Czerwona mgła, o której myślała, że jest tylko wytworem jej sennej wyobraźni, zasnuwała teraz jej podwórze, wpełzając między żywopłot i drzewa, jak gdyby uciekała z jej domu.

Zaciągnawszy zasłony, Mina zbiegła na dół do pokoju Jonathana, by znaleźć ukojenie w ramionach męża. Niestety, jego sypialnia była pusta, a pościel nietknięta. Jonathan nie wrócił jeszcze do domu.

- Do diabła z nim - zaklęła Mina. Miał wrócić pociągiem wyjeżdżającym ze stacji Paddington o szóstej trzydziści jeden i dotrzeć pięć minut po dziesiątej na St David. Spojrzała jeszcze raz w okno, zastanawiając się, czy nie zadzwonić do Marka z pubu Half Moon i sprawdzić, czy ma jakieś wieści o Jonathanie. Ale zaraz przypomniała sobie niedawny upokarzający incydent, kiedy to jej mąż wdał się w bójkę z innym pijakiem, rywalizując o względy jakiejś starej dziwki. Mina wciąż czuła ten palący wstyd, gdy musiała jechać do miasta i wyciągać swojego męża z aresztu.

Mimo tamtej koszmarnej historii i tak pragnęła, by Jonathan tu był. Ostatnio jej mąż rzadko bywał w domu. Teraz, gdy Quincey mieszkał w Paryżu, Mina często zostawała sama w wielkim pustym domu. Tej nocy odczuwała samotność szczególnie dotkliwie, a dom przypominał jej grobowiec.

Mina spojrzała na fotografie stojące na kominku. Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi? Niektórzy z nich umarli, ale większość po prostu zniknęła jej z pola widzenia. Jak to się stało, że całe moje życie przeciekło mi przez palce? - zastanawiała się Mina. Jej wzrok padł na jedną z jej ulubionych fotografii. Wzięła ją do ręki - było to zdjęcie jej i Lucy, zrobione, zanim ciemność wkroczyła w ich życie. Zanim ona, Mina, dokonała brzemiennej w skutki wyboru. Młodzieńcza naiwność na tych uśmiechniętych twarzach podziałała na nią kojąco. Wciąż dobrze pamiętała tamten piękny sierpniowy dzień 1885 roku, kiedy to na przyjęciu w Exeter poznała miłość swojego życia, Jonathana Harkera.

Lucy wyglądała olśniewająco w letniej sukience sprowadzonej z Paryża. Czekala kilka miesięcy, żeby móc się w niej pokazać. Mina natomiast mogła mówić o szczęściu, skoro pasowała na nią sukienka Lucy sprzed dwóch sezonów. Niestety, ciężko w niej było oddychać - Mina nie była w talii tak wąska jak przyjaciółka, a gorset zbyt mocno ścisnął jej piersi. Wyzywające sukienki były raczej w stylu Lucy. Jednak Mina, chociaż nie czuła się w niej najlepiej,

po cichu rozkoszowała się tym, że przyciąga spojrzenia mijających ją młodych mężczyzn.

Lucy postanowiła przedstawić Minę kilku gościom z Londynu, szczególnie Arturowi Fraserowi Walterowi, którego rodzina od stu lat była w posiadaniu gazety „London Times”, i udała się na jego poszukiwanie. W pewnym momencie otoczył ją wianuszek adoratorów z prośbą, by wpisała ich do swego karnetiku na wieczorny bal. Lucy ze swoim perlistym śmiechem i udawanym entuzjazmem doskonale wiedziała, jak się zaprezentować. Gdyby tylko znali ją od tej strony, od której znała ją Mina... Miała wrażenie, że Bóg celowo nazaczył Lucy ognistymi rudymi włosami, by ostrzec mężczyzn przed jej dziką, niespokojną naturą.

- Jeśli szybko nie dokonamy pewnych zmian, nasze społeczeństwo ulegnie rozkładowi - usłyszała męski głos, który niemalże powtarzał myśli Miny. Odwróciła się i ujrzała młodego mężczyznę z czarną czupryną rozwichrzonych włosów, ubranego w wymięty wełniany garnitur i potrząsającego jakimś kartkami przed oczyma lorda Henryego StarTorda Northcotea. Lord, zagorzały tradycjonalista, członek Izby Gmin z okręgu Exeter, spoglądał na swojego interlokutora z wyraźną rezerwą.

- Przytulki dla bezrobotnych nie są żadnym rozwiązaniem - ciągnął młody człowiek. - Wiele dzieci pozbawionych środków do życia żyje z kradzieży albo z jeszcze gorszych rzeczy. Trzeba coś zrobić z systemem edukacyjnym, aby dzieci te nie były zagrożeniem ani dla prawa i porządku, ani dla moralności.

- Panie Harker - odezwał się najwyraźniej poirytowany lord Northcote. - Przecież uchwalono prawo, na mocy którego uczęszczanie do szkół dzieci między piątym a trzynastym rokiem życia stało się obowiązkowe.

- Ale nauka kosztuje dziewięć pensów tygodniowo za każde dziecko. Wiele rodzin nie może sobie pozwolić na taki wydatek.

- Są przecież sposoby, by dzieci zarabiały pieniądze.

- Owszem, pracują w fabryce, w niewolniczych warunkach, osiemnaście godzin na dobę i nie mają przez to czasu na naukę. Czy można się zatem dziwić, że żyjąc w nędzy, zwracają się ku kradzieży czy prostytutce? - Lord Northcote podniósł brew i w osłupieniu spoglądał na Harkera, który kontynuował: - Nie mieli tyle szczęścia co pan, by urodzić się w bogatej rodzinie, a według pana powinni dać się wykorzystywać, by zarobić na to, co pan dostał darmo.

- Jak pan śmie! - wykrzyknął oburzony lord Northcote.

- Pana Harkera najwyraźniej poniosły emocje - przerwała im Mina. Uści snęła ramię młodego człowieka, by zapewnić go, że w pełni go popiera. - Jestem pewna, że pan Harker chciał w ten sposób powiedzieć: niech pan sobie wyobrazi, że nie umie pan czytać ani pisać. Z pewnością nie mógłby pan studiować na Oksfordzie, nie dostałby pan też posady w Biurze Spraw Zagranicznych ani nie wybrano by pana do parlamentu. Darmowy dostęp do edukacji dla brytyjskich dzieci stanowiłby wspaniałą inwestycję w przyszłość naszego kraju, byłby dla nich szansą, by walczyć o lepszy los dla siebie i dla całego społeczeństwa. Każdy rodzic pragnie dla swoich dzieci jak najlepiej, zapewniają nam przecież nie śmiertelność. Nie zgadza się pan z tym, wasza lordowska mość?

- Jak mógłbym się nie zgodzić z taką mądrością? - rzekł lord Northcote ze śmiechem. - Doprawdy, panno Murray, kobieta tak piękna jak pani marnuje czas, obciążając swój umysł tak poważnymi sprawami. Lepiej, by podążyła pani za znakomitym przykładem swojej przyjaciółki panny Westenry i skupiła się na znalezieniu dobrej partii.

Nie dając młodemu Harkerowi szansy na replikę, lord Northcote wyciągnął ramię w kierunku swojej żony i oboje zniknęli w tłumie. Harker odwrócił się w stronę Myny z wyrazem zdziwienia, ale i szacunku na twarzy.

- Niech mi będzie wolno podziękować pani za jej starania. Nie mógłbym lepiej tego wyrazić. Ale to i tak na marne, gdyż ci głupcy są ślepi i nie potrafią dostrzec mądrości. A przecież jeśli nie podążymy za przykładem Stanów Zjednoczonych Ameryki, które wprowadziły w 1839 roku powszechną bezpłatną edukację, nasze społeczeństwo zostanie w tyle i nie będziemy w stanie konkurować w dziedzinie nauki czy przemysłu, tak ważnych w obecnych czasach. Proszę zapamiętać moje słowa.

Mina uśmiechnęła się.

- Skoro tak doskonale orientuje się pan w kwestiach prawnych, mogę się założyć, że albo jest pan prawnikiem, albo planuje pan karierę polityczną. Mam rację?

- To pierwsze. Choć tak właściwie jestem zaledwie notariuszem w firmie pana Petera Hawkinsa. Próbowałem ostatnio przekonać jednego ze współników, pana Renfielda, by pozwolił mi zająć się sprawą dwóch trzynastoletnich aresztowanych za prostytutkę. *Pro bono*, oczywiście. Bez nagłośnienia tej sprawy raczej trudno mi będzie wybić się w tym zawodzie. A do tego dwie dusze zostaną stracone.

Mina była pod wrażeniem pasji tego młodego człowieka. Przypomniało jej się pewne stare żydowskie powiedzenie, chociaż nie mogła sobie przypomnieć,

skąd je zna: „Kto ratuje jedno życie, jakby cały świat ratował”. A oto ten człowiek chce uratować dwa.

- Czytał pan może artykuły Williama Murraya w „Daily Telegraph”? Wy daje się, że ma poglądy zbliżone do pana. Mógłby być pana cennym sprzymierzeńcem w tej materii.

- Panno Murray! Czy to możliwe, że jest pani krewną Williama Murraya? Od tygodni już próbuję się z nim skontaktować, wygląda jednak na to, że nikt go nie zna. Ilekroć zjawiałem się w jego biurze, było ono puste. To dosyć tajemniczy człowiek. Gdybym miał szansę go poznać, byłbym niezmiernie rad uścisnąć mu rękę i podziękować za to, że porusza w prasie sprawy tak drogie nam obojgu.

Mina wyciągnęła rękę do Harkera. Na początku na jego twarzy pojawiło się zmieszanie, ale zaraz potem przeszło w uśmiech niedowierzania.

- To pani jest Williamem Murrayem?

- Wilhelmina Murray, do pańskich usług. Przyjaciele mówią na mnie Mina.

- Jonathan Harker. - Ujął dłoń Miny i potrząsnął nią energicznie i po męsku, ze zdumienia najwyraźniej zapominając o etykiecie. - To dla mnie niezwykły zaszczyt poznać panią, panno Murray.

- Proszę mi mówić Mina.

Jonathan Harker rzucił jej spojrzenie pełne szacunku i wtedy właśnie Mina pomyślała, że tego mężczyznę mogłaby bez trudu pokochać. Wiele lat później Jonathan powiedział jej, że w tamtej chwili on również się w niej zakochał.

- Lubi pan tańczyć, panie Harker?

- Nie - odparł Jonathan. - Obawiam się, że nie jestem dobrym tancerzem.

Jest nieśmiały - stwierdziła w duchu Mina, a na głos rzekła:

- I dobrze. Wolę spędzić czas na rozmowie o dwóch dziewczynkach, które można uwolnić od koszmaru prostytutki. Miałby pan ochotę wypić ze mną filiżankę herbaty?

- Byłbym zachwycony.

Większość mężczyzn odrzuciłaby tę propozycję, uznając ją za zbyt śmiałą. Gorliwość, z jaką Jonathan ją przyjął, sprawiła, że pokochała go jeszcze bardziej.

Wytrącona z równowagi koszmarnym snem Mina nie mogła z powrotem zasnąć. Włożyła prostą, długą wełnianą suknię i udała się do salonu na wczesne śniadanie.

Służba przybyła o świcie i podała herbatę. Mina spojrzała na swoje odbicie w srebrnej tacy. Bezsenne noce nie miały żadnego wpływu na jej urodę. Jakiś filozof, którego nazwiska nie mogła sobie teraz przypomnieć, powiedział: „Cienie, które człowiek rzuca o poranku, powrócą o zmroku, by go prześladować”. Tak, wydawało się, że przeszłość Mina spowija jej życie wieczną ciemnością. W towarzystwie często słyszała żartobliwe uwagi, że zapewne podobnie jak Dorian Gray opisany przez Oscara Wilde’a na łamach „Lippincotts Magazine”, i ona trzymając w sstrychu swój starzejący się portret. Dla Jonathana nie było w tych żartach jednak nic zabawnego, gdyż przypominały mu o jej zdradzie. Mina widziała, z jaką niechęcią spogląda na nią ostatnio, choć starała się mu przypodobać, ubierając się poważniej, niż musiała. Ale nawet najbardziej nobliwie stroje nie były w stanie ukryć jej fizycznej młodości. Jonathan miał teraz pięćdziesiąt lat, lecz wyglądał o dziesięć lat starzej. Mina była w stanie zrozumieć, jak bardzo cierpi i dlaczego pije. Nigdy tak naprawdę nie dowiedziała się, przez co przeszedł, gdy był więźniem w tamtym zamku. Słyszała czasem, jak krzyczy przez sen, ale nie zwierzał się jej ze swoich koszmarów. Czyżby wciąż nie potrafił jej zaufać?

Jonathan często nie wracał na noc, ale tym razem jego nieobecność wydała jej się szczególnie niepokojąca. Nigdy nie zniknął na tyle dni bez słowa.

Manning położył przed nią poranne wydanie „Daily Telegraph” i „London Times” i Mina zabrała się do lektury. Wiadomość z pierwszej strony sprawiła, że udało jej się na chwilę zapomnieć o koszmarach ostatnich nocy - oto francuski lotnik Henri Salmet przeleciał z Londynu do Paryża w niecałe trzy godziny i ustanowił tym samym nowy rekord świata. Mina zamyśliła się nad pomysłowością ludzi i zaczęła się zastanawiać, kiedy wyczyn jakiejś kobiety okaże się na tyle ważny, że znajdzie się na pierwszej stronie gazety.

Kwadrans po dziesiątej do pokoju wtoczył się Jonathan. Był nieogolony, ubrany w szary tweedowy garnitur wymięty tak samo jak jego twarz. Z jękiem opadł na krzesło.

- Dzień dobry, Jonathanie.

Spojrzał na nią mętłym wzrokiem i wymruczał:

- Dzień dobry, Wilhelmino.

Był serdeczny jak zwykle, co na swój sposób było jeszcze bardziej bolesne niż gniew.

Manning wrócił do salonu. Położył na stole porcję pieczywa, obok postawił filiżankę herbaty, po czym szybko wyszedł z pokoju. Pracując tyle lat dla

Harkerów, zdążył się już przyzwyczać do problemów w ich małżeństwie i zawsze potrafił wyczuć panujące między nimi napięcie.

Na dźwięk zamykanych drzwi Jonathan drgnął. Spróbował podnieść się z krzesła.

- Ty wciąż jesteś pijany?

Rzucił jej spojrzenie, jak gdyby zaskoczony, że jego żona wciąż tam jest. Sięgnął po herbatę.

- Tak, wydaje mi się, że tak.

- Gdzie spędziłeś trzy ostatnie noce? Na ulicy? A może z jedną z tych swoich... przyjaciółek?

- Nie spałem na ulicy, mogę cię zapewnić - odrzekł kąśliwie.

Przez twarz Mino przebiegł skurcz bólu.

- Dlaczego jesteś taki okrutny?

Podniósł filiżankę, jak gdyby wznosił toast.

- To świat jest okrutny, moja droga. Ja jestem jedynie jego odbiciem.

Stroił sobie z niej żarty, nawiązując do jej młodego wyglądu, który powiewał się w wiszącym obok lustrze.

- Jonathan, proszę. - Postanowiła zostawić tę uwagę bez komentarza, za to rzekła stanowczo: - Może i nasze małżeństwo nie spełniło naszych oczekiwań.

Może i śpimy w osobnych łóżkach, ale czasami potrzebuję, żebyś był w domu!

- Zapomina pani, pani Harker, że ja też pani kiedyś potrzebowałem.

Mina przygryzła wargę. Postanowiła zmienić temat.

- Znowu wróciły tamte sny.

- O nim? - Jonathan sięgnął po „London Timesa”.

- Te sny są inne niż do tej pory.

Spojrzał na nią poważnie znad gazety i rzekł:

- Wydaje mi się, Mino, że ty przyciągasz te sny, że gdzieś w skrytości ducha wciąż go pragniesz. Wzbudza w tobie namiętność, której ja nigdy nie mogłem zaspokoić.

Namiętność! W Minie aż się zagotowało. Wyprostowała się momentalnie jak kobra gotowa do ataku.

- O, nie...

- Dlaczego? - przerwał jej. - Dlaczego on zawsze musi stawać między nami, Mino, tocząc nasze małżeństwo jak rak?

- To ty, nie ja, stawiasz go między nami. Ja wybrałam ciebie.

Jonathan powoli odwrócił się i spojrzał na nią z taką tęsknotą, że po raz pierwszy tego ranka Mina miała wrażenie, że naprawdę posłuchał jej słów.

- Och, moja kochana, moja droga Mino, wciąż tak piękna jak tego dnia, kiedy cię poznałem... Czy to dlatego, że tak bardzo mnie kochasz, tak często wzywasz go przez sen?

Serce o mało nie pękło jej z żalu. On dalej nic nie rozumiał.

- Jak długo zamierzasz mnie karać za moje błędy? Byłam wtedy młodą, głupią dziewczyną. Nie potrafiłam dostrzec, że pod maską kryje się potwór.

- Co on ci takiego zrobił? Podczas gdy ja się starzeję, ty... - Objął wzrokiem jej młode ciało, potrząsnął głową i wychylił szybko zawartość filiżanki.

Namiętność i żar Jonathana, jego troska o innych utonęły w galonach whisky. Człowiek, którego miała przed sobą, zabił jej męża, miłość jej życia. Nienawidziła tego łajdaka. Nie miał nic wspólnego z człowiekiem, którego kiedyś pokochała.

Jeśli chciał grać w taką właśnie grę, niech tak będzie. Skrywając swoje emocje pod maską uprzejmości, której wiktoriańskie społeczeństwo wymagało od kobiet, Mina usiadła i znowu sięgnęła po gazetę, jak gdyby nic się nie stało. Otworzyła „Daily Telegraph” na kronice towarzyskiej i jej wzrok przkuł tytuł:

„BYŁY DYREKTOR ZAKŁADU DLA UMYSŁOWO
CHORYCH W WITHBY ZGINAŁ W PARYŻU”.

Przerażona Mina szybko przeczytała pierwszy akapit.

- Jack Seward nie żyje! - wykrzyknęła.

- Co ty wygadujesz?

- Śmierć Jacka śniła mi się ostatniej nocy... - Rzuciła gazetę na stół przed Jonathanem. - To nie może być zbieg okoliczności.

Jonathan wziął gazetę do ręki i zaczął czytać, starając się odzyskać trzeźwość umysłu.

- Niech Bóg ma w opiece jego udręczoną duszę - wyszeptał.

Nachylił głowę, wczytując się uważnie w artykuł. Kiedy podniósł wzrok, w powietrzu zawisło niewypowiedziane pytanie.

Czy to on powrócił, by się zemścić?

Przez chwilę siedział w milczeniu, jak gdyby w jego głowie ważyła się jakaś decyzja. A potem zgarbił się i znowu pogrążył w dawnym marazmie. Oddał Minie gazetę.

- Został potrącony przez powóz. Napisano, że był to wypadek. -I dla podkreślenia swoich słów postukał palcem w gazetę.

W Minie zawrzał gniew.

- Stałeś się starym, zapijaczonym, ślepym głupcem, Jonathanie!

Pożałowała tych słów już w momencie, gdy je wypowiadała. Chciała pobuzić go do działania, a wiedziała, że tylko zraniła tego kruchego człowieka.

- Zazdroszczę Jackowi - wyszeptał Jonathan, a jego podkrążone oczy zaškliły się od łez. - Jego cierpienie nareszcie się skończyło. - To rzekłszy, podniósł się i ruszył w stronę drzwi.

Miną znowu wstrząsnął dreszcz. Jej sny mówiły prawdę. Zagrozało im coś strasznego. Wiedziała, że tym razem sama będzie musiała stawić czoło niebezpieczeństwu.

W panice wybiegła za mężem przed dom.

- Przepraszam, Jonathanie. Kocham cię. Zawsze cię kochałam. Ile jeszcze razy muszę to powtarzać?

Jonathan nawet się nie obejrzał. Wsiadł do samochodu i włożył gogle.

- Kiedyś Jack prosił mnie, bym po jego śmierci zajął się wszystkimi formalnościami. Muszę skontaktować się z jego byłą żoną i córką w Nowym Jorku i uporządkować sprawy. Wciąż jestem wykonawcą jego testamentu.

Po czym nacisnął pedał gazu i ruszył z rykiem silnika.

Obserwowała, jak samochód Jonathana skręca w kierunku stacji kolejowej St David. Jego odjazd miał w sobie coś z rozstania. Myśl o tym sprawiła, że do jej oczu napłynęły łzy. Nagle poczuła na sobie czyjś wzrok. Ktoś krył się w pobliskich zaroślach.

Rozdział X

Inspektor Colin Cotford szedł Fenchurch Street, kierując się w stronę centrum dzielnicy Whitechapel. To było najkoszmarniejsze miejsce na ziemi. W ciągu trzydziestu lat służby w Scotland Yardzie Cotford zetknął się z najbardziej odrażającą stroną ludzkiej natury. Nie wierzył już w ideę nieba i piekła, o których uczono go w dzieciństwie. Albowiem on, Cotford, widział piekło na ziemi - a piekłem tym była Whitechapel. Ta dzielnica fabryk we wschodnim Londynie przyciągała zewsząd najuboższych, którzy liczyli na jakikolwiek zarobek. Ale ludzi było więcej niż miejsc pracy, dzielnica była więc przeludniona, a jej mieszkańcy żyli w skrajnej nędzy. Okolicę przenikał silny smród - mieszanina ludzkich odchodów, zepsutego jedzenia, brudu i odoru gnijącego ciała. Idąc Commercial Street, Cotford starał się nie oddychać przez nos w nadziei, że nie poczuje tego obrzydliwego zapachu. Był wczesny rano. Dzień dopiero budził się do życia, a w stronę Covent Garden ciągnęli już handlarze, wlokąc za sobą wózki z owocami, mlekiem i wodą. Po bruku przetoczył się z klekotem wózek jakiegoś ślusarza. Cotford szedł dalej, odwracając wzrok od starych nędzarek, które bieda i niedołęstwo doprowadziły na samo dno. Nie miały nawet sił, by zebrać o jedzenie. Zbite w gromadę dla ochrony przed chłodem, czekały już tylko, aż śmierć głodowa zakończy ich nędzną egzystencję.

Z samego rana Cotford otrzymał od nadinspektora telefon z „prośbą”, aby jak najszybciej zbadać okoliczności śmierci jakiegoś Anglika, który zmarł w Paryżu. Cotford rozmawiał już z porucznikiem Jourdanem, oficerem francuskiej policji przydzielonym do tej sprawy. Cotford nie widział sensu, by prowadzić tu jakiegokolwiek śledztwo. W Londynie pod kołami powozów każdego dnia ginęło co najmniej kilku obłąkanych mężczyzn bez grosza przy duszy. Zakładał, że w Paryżu statystyki są podobne.

Dla Jourdana sprawa nie była jednak tak oczywista. Po pierwsze, ofiara miała przy sobie posrebrzany nóż. A po drugie, według akt zmarły prowadził kiedyś badania naukowe finansowane przez francuski rząd. W przeciwieństwie

do policji w Londynie czy wielu innych metropoliach świata, policja w Paryżu nie podlegała władzom miasta, lecz francuskiemu rządowi - a ten chciał się upewnić, że śmierć doktora Jacka Sewarda nie była wynikiem przestępstwa.

Słuchając przez telefon paplaniny Jourdana w łamanej angielszczyźnie, Cotford powoli tracił cierpliwość. Francuz insynuował jakiś dziwny spisek i groził, że jeśli Cotford nie pomoże mu w śledztwie, poinformuje o tym jego zwierzchników. Cotford przystanął przed odrapaną kamienicą czynszową naprzeciwko ogromnego magazynu na Wentworth Street. Zanim wszedł do środka, pociągnął jeszcze łyk ze swojej srebrnej piersiówki, dla rozgrzewki.

Kiedy wstępował do Scotland Yardu, myślał o sobie jak o psie myśliwskim, teraz mógłby się raczej porównać do labradora. Kiedyś sądził, że po tylu latach pracy w policji będzie zastępcą komisarza albo - w najgorszym razie - kอมendantem. W końcu był najmłodszym człowiekiem w historii Scotland Yardu, który dostał nominację na policjanta śledczego, i to od samego inspektora Fredericka Abberline'a. Teraz, choć od tamtej pory minęło już dwadzieścia pięć lat, Cotford ciągle był tylko inspektorem i wciąż pracował w tym samym rewirze. Zamiast siedzieć w ciepłym, przestronnym biurze w nowej siedzibie Scotland Yardu, musiał włączyć się po Londynie i zbierać dowody w beznadziejnych sprawach.

Gdy dotarł na ostatnie piętro, wszedł do mieszkania pod wskazanym adresem. W środku cuchnęło straszliwie. Okna były zabite deskami od wewnątrz, a w kamienicy nie było elektryczności, Cotford wyciągnął więc z kieszeni płaszcz latarkę. Jej światło przecięło gęste od kurzu powietrze i padło na kilka książek porozrzucanych po pokoju. Cotford przyjrzał się tytułom - wszystkie dotyczyły okultyzmu. Wokół okien i drzwi poprzyczepiane były główki suszonego czosnku i liście ostrokrzewu. Z sufitu zwisały symbole najprzeróżniejszych religii świata. Między krawędzie lustra wetknięto poźółkłe wycinki z londyńskich gazet, tak wyblakłe, że Cotford bez okularów nie był w stanie ich odczytać. Światło latarki złowiło też sporego insekta, który natychmiast czmychnął w kąt.

Po kilku minutach na miejsce przybył też sierżant Lee w towarzystwie dwóch konstabli, którzy mieli mu pomóc w pakowaniu wszystkiego i wysłaniu do La Surete Nationale, francuskiego odpowiednika Scotland Yardu.

- Jasna cholera! - zaklął Lee po wejściu do środka. Cotford nie był pewien, czy przekleństwo było komentarzem do stanu pomieszczenia czy też zadania, jakie ich czekało. Jako niezwykle wysoki mężczyzna, Lee co rusz uderzał głową

w zwisające z sufitu świecidelka, które kołysały się niczym upiorna wersja ozdób choinkowych.

Dla sierżanta Lee Cotford był legendą, stary inspektor pracował niegdyś bowiem przy najsłynniejszej sprawie w historii Scotland Yardu. Ciężka sława otaczającej tamtą historię padła również na Cotforda. Niestety, jako że sprawa nigdy nie została rozwiązana, była tym samym największą porażką inspektora, która zniszczyła jego reputację zarówno w policji, jak i wśród opinii publicznej. Cotford czuł, że nie zasługuje na uwielbienie sierżanta. Pokładał w nim wielkie nadzieje i życzył mu, by osiągnął sukces, który jego samego ominął. Poza tym, że w przeciwieństwie do niego, Lee miał rodzinę, inspektor niewiele wiedział o życiu osobistym swego podwładnego i wolał, by tak pozostało.

Promień z latarki Cotforda padł teraz na ściany oklejone stronami wyrwanymi z Biblii. Inspektor podszedł bliżej. Nagryzmołony czymś czerwonym, co wyglądało na krew, napis głosił: *Vivus est*.

- Kompletny szaleniec - stwierdził Lee. - Co to znaczy?

- Nie jestem pewien, chłopcze - odrzekł Cotford. - Ale to chyba po łacinie.

Cotford podniósł z podłogi oprawioną w skórę książkę, zdmuchnął z niej kurz i otworzył. Zza okładki wypadła czyjaś fotografia. Lee podniósł ją i pokazał napis na odwrocie - „Lucy Westenra, moja miłość. Czerwiec 1887”. Cotford pokręcił głową. Nic ciekawego. Sierżant wrzucił zdjęcie do pudła, które pakował jeden z konstabli. Cotford już miał zamknąć książkę, kiedy jego wzrok przykuło coś znajomego. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. A może to powrót do serca White-chapel sprawił, że zmysły płatały mu figle?

- O co chodzi, sir? - spytał Lee.

Cotford ponownie odszukał tamten ustęp i przeczytał go raz jeszcze. Nie było mowy o pomyłce. Wszystko widniało czarno na białym. Ale czy mogła być to prawda? Stuknął palcem w stronę i, bez patrzenia w tekst, wyrecytował słowa, które już zdążyły mu się wryć w pamięć - „Profesor wyciągnął pilę chirurgiczną i zaczął odcinać części ciała Lucy”.

Inspektor rzucił się do pudła i wyciągnął zdjęcie Lucy Westenry. Zamilkł na chwilę, oplakując dziewczynę, której nawet nie znał. Przez te wszystkie lata wciąż się obwinał. Przypomniały mu się słowa wypowiedziane chyba przez Karola Marksa - „Przeszłość kładzie się cieniem na teraźniejszości”.

Chwilę później biegł do drzwi.

- Kończcie pakować te dzienniki i natychmiast za mną, sierżancie Lee.

W ciągu godziny Cotford i Lee byli z powrotem na stacji Victoria Embankment. Zajechali pod neogotycki budynek z czerwonej i białej cegły, siedzibę Scotland Yardu, bez słowa skierowali się do archiwum zwanego także „drugą kostnicą” i od razu zabrali się do poszukiwania akt sprawy.

Kilka godzin później ich entuzjazm zaczął opadać.

- Do jasnej cholery! - nie wytrzymał Cotford. - Gdzie, u licha, są te dokumenty?

- Niektórych chyba nie ma, sir.

- No przecież widzę! Ale dlaczego ich nie ma? Wszystkie te akta powinny stać w hallu, w najbardziej widocznym miejscu, żeby przypominać nam o naszej nieudolności!

- Za pozwoleniem, sir. Śledztwo w tej sprawie toczyło się, gdy nasze biuro mieściło się jeszcze przy Whitehall.

- Wiem, że biuro było wtedy przy Whitehall! Pracowałem przecież nad tą cholerną sprawą!

- A gdy przenoszono Scotland Yard do tego budynku, niektóre akta gdzieś się zapodziały.

Cotford warknął:

- Ta sprawa jest plamą na honorze zarówno moim, jak i tej instytucji. Jeśli ktokolwiek się dowie, że gdzieś zapodziliśmy jej akta, prasa znowu za cznie wieszać na nas psy.

- Sir, tu coś jest. - Lee wyciągnął wysokie czarne kartonowe pudło o postrzępionych brzegach, związane czerwonym sznurkiem. Cotford rozpoznał je od razu. Wziął je ostrożnie z rąk policjanta, jak gdyby był to bezcenny antyk. Kartka z opisem sprawy, teraz pożółkła ze starości, wciąż była dobrze przytwierdzona. Napisane na maszynie czerwone litery głosiły: „Morderstwa w Whitechapel, 1888 rok”. Pod spodem nakreślony pismem Cotforda widniał numer sprawy: 57825.

A jeszcze poniżej słowa: „Kuba Rozpruwacz”.

Między 31 sierpnia a 9 listopada 1888 roku Londynem wstrząsnęła seria brutalnych morderstw dokonanych na pięciu prostytutkach w dzielnicy Whitechapel przez nieznanego sprawcę. Zabójcy nigdy nie schwytano. Atakował w nocy i znikał bez śladu. To właśnie dzięki tej sprawie inspektor Abberline awansował młodego obiecującego konstabla Cotforda, by móc go w ten sposób włączyć do śledztwa. Kandydatura Cotforda, którego rewirem był właśnie

rejon Whitechapel i pod którego adresem zdążyło już spłynąć mnóstwo pochwał, wydawała się strzałem w dziesiątkę. Cotford nigdy nie zapomniał, że tamtej pamiętnej nocy był o krok od schwytania mordercy. 30 września Cotford przybył na Dutfields Yard, gdzie właśnie zamordowano trzecią ofiarę, Elizabeth Stride. Na końcu ulicy ujrzał ciemną postać, która uciekała z miejsca zbrodni, zostawiając za sobą ślad krwi. Wezwał gwizdkiem kolegów na pomoc, a sam ruszył w pościg. Już miał dopaść podejrzanego, gdy nagle potknął się o krawężnik. Nie zauważył go z powodu mgły, która każdej nocy napływała z rzeki. Gdy się podniósł, po podejrzanym nie było ani śladu - zresztą w tej mgle nie mógł dojrzeć nawet czubka własnego nosa. Do tego najwyraźniej się zgubił i długo nie mógł znaleźć drogi powrotnej do miejsca zbrodni.

Tej samej nocy popełniono jeszcze jedno morderstwo. Czwartą ofiarę znaleziono na Mitre Square, niedaleko miejsca, gdzie przewrócił się Cotford. Wraz z tym upadkiem cała jego kariera legła w gruzach. Gdyby tylko był szybszy, przeszedłby do historii jako człowiek, który schwytał Kubę Rozpruwacza. Jakże inaczej wyglądałoby teraz jego życie! Nigdy nie przyznał się przed Abberlineem, jak blisko był schwytania mordercy. Cotford uwielbiał wielkiego detektywa i bał się utraty jego szacunku. Jednak miał przeczucie, że Abberline wie albo przynajmniej podejrzewa, że Cotford coś ukrywa. Mimo to stanął murem za Cotfordem i całym zespołem śledczym, gdy opinia publiczna chciała zlinczować ich wszystkich za nieudolność. Ten bezinteresowny dowód lojalności został jednak całkowicie zignorowany i prawdopodobnie przyczynił się do szybszego opuszczenia przez Abberlinea szeregów policji. Dla jego ludzi zachowanie zwierzchnika znaczyło za to naprawdę wiele.

Gdy wyciągnął akta sprawy zawierające zapisy z przesłuchań podejrzanych, Cotford poczuł, jak gdyby cofnął się w czasie. Oto doktor Aleksander Pedaczenko, rosyjski lekarz, znany także jako hrabia Luiskovo. Gdy zamordowano piątą ofiarę, Mary Jane Kelly, doktor Pedaczenko był pensjonariuszem zakładu dla obłąkanych w Whitby, więc Abberline musiał wykreślić go z listy podejrzanych.

Cotford otworzył następną teczkę z napisem „tajne”. Przypomnił sobie, dlaczego została tak oznaczona. Podejrzanym był bowiem doktor William Guli.

- Doktor Guli? Nadworny lekarz królowej? - spytał Lee, zerkając Cotfordowi przez ramię.

- Ten sam - odparł Cotford. - Śledziliśmy go w tajemnicy, ale trop ten okazał się ślepą uliczką. W 1888 roku doktor Guli miał siedemdziesiąt lat i był

po zawale. Miał w większości sparaliżowaną lewą część ciała. To raczej nie jego więc ścigałem tamtej nocy.

- Której nocy?

Cotford nie odpowiedział na to pytanie. Wyjął następną teczkę. Jest! Jego szansa na odkupienie. Emocje wzięły nad nim górę i Cotford zaczął się śmiać z radości jak wariat.

Lee skwitował zdziwionym spojrzeniem nietypowe zachowanie Cotforda.

- Nie rozumiem, sir.

Cotfordowi było to obojętne. Oto jego marzenie, by odkryć tożsamość Kuby Rozpruwacza i postawić go przed obliczem sprawiedliwości, było wreszcie bliskie spełnienia. Profesor, o którym pisał Seward w swoich dziennikach, był tą samą osobą, która była głównym podejrzanym Abberline'a. Mimo iż nigdy nie znaleziono żadnego dowodu na to, że przebywał na miejscu zbrodni, jego straszliwa biografia nie pozwalała skreślić go z listy podejrzanych. Tym podejrzanym był znany lekarz, owiany złą legendą profesor. Świetny chirurg, który razem z licencją utracił uniwersytecką posadę za ekperymentowanie na swoich pacjentach oraz za wykradanie ciał z uniwersyteckiej kostnicy w celu przeprowadzania ohydnych rytuałów okaleczania zwłok.

Cotford triumfalnym gestem wręczył teczkę podejrzanego swemu zastępcy.

- Zapamiętaj moje słowa. Cierpliwość popłaca.

Sierżant Lee spojrział niepewnie na teczkę i przeczytał imię podejrzanego: „Profesor Abraham van Helsing”.

Rozdział XI

•T*¹ ak długo zamierzałeś kryć się w tych krzakach, kochanie? - spytała Mina. Patrzyła dokładnie w jego kierunku, chociaż ukrywał się za ży-I wopłotem.

C^^ Po jej słowach Quincey powoli wyszedł z zarośli, starając się zbytnio nie pokaleczyć.

- Czekałem, aż ojciec odjedzie - odpowiedział, otrzepując ubranie. - Skąd wiedziałaś, że to ja?

- Jestem twoją matką, głuptasku - rzekła Mina ze śmiechem. Ucisnęła go czule, a potem odsunęła nieco, by lepiej mu się przyjrzeć. - Tęskniłam za tobą - dodała.

- Ja za tobą też, mamó... - Quincey zamilkł, kiedy zauważył, że płakała. - Co się stało?

- Nic takiego - odparła Mina, wyjmując mu liście z włosów.

- Chodzi o ojca? - uniósł się chłopak. - Znowu pił?

- Quincey, proszę, wyrażaj się o ojcu z szacunkiem - skarciła go.

- Tak jest, mamó - odparł łagodniejszym tonem. - Przepraszam.

- Wejźmy do środka - rzekła Mina. - Cieszę się, że cię widzę, mój młody przystojniaku. Wyglądasz, jakbyś od tygodni nie jadł niczego porządnego.

Ostatnie trzy lata Quincey spędził poza domem - najpierw wraz z wędrowną trupą teatralną zjechał całą Wielką Brytanię i Irlandię, a od roku siedział w Paryżu. W tym czasie wiele doświadczył i poznał życie w jego najprzeróżniejszych odcieniach. Dom, w którym dorastał, wydał mu się teraz nieco nierzeczywisty. Gdy znalazł się w hallu, miał wrażenie, jakby czas stanął w miejscu. Oto balustrada głównych schodów, po której uwielbiał zjeżdżać, gdy był mały - wbrew woli ojca powtarzającego, że może sobie zrobić krzywdę. Zajrzał do salonu. Wszystko wyglądało tam dokładnie tak jak ostatnim razem - jak gdyby nigdy stąd nie wyjeżdżał. Oto ulubiony serwis do herbaty jego matki, a obok stos porannych gazet. Quincey rozpo-

znał też kryształową karafkę ojca, napełnioną do połowy walijską whisky. Pamiętał, że w dzieciństwie zbil podobną i dostał za to ostrą burę. Trudno było stwierdzić, czy ojca bardziej bolała utrata drogiego kryształu, czy zawartego w nim trunku. Kiedy tak stał zamyślony, Mina podeszła do stołu i wzięła jedną z gazet. Gdy ją składała, Quincey dostrzegł, że jej ręka drży.

- Mamo, czy na pewno wszystko w porządku?

- Tak, synku, nie martw się o mnie - odpowiedziała Mina, uśmiechając się do niego łagodnie. - A teraz doprowadź się do ładu, a ja każę przygotować coś do jedzenia.

Gdy wreszcie po trudach wielogodzinnej podróży Quincey włożył czyste ubrania, poczuł się jak nowo narodzony. Rozejrzał się po swoim starym pokoju - sypialni młodego chłopca. Teraz czuł się tu obco.

W salonie zastał swoją matkę pogrążoną w rozmyślaniach, wpatrzoną w fotografię przedstawiającą ją i Lucy, jej przyjaciółkę z dawnych lat, która zmarła młodo na jakąś dziwną chorobę, mając mniej więcej tyle lat ile on teraz. To musiało być okropne stracić przyjaciela w tak młodym wieku. Zawsze wiedział, kiedy jego matka jest zmartwiona, w takich chwilach zawsze sięgała po to zdjęcie. Zupełnie jakby zmarła przyjaciółka wciąż służyła jej radą i wsparciem.

Kiedy tak przyglądał się matce, Quincey nagle uświadomił sobie ze zdumieniem, że podobnie jak dom, który niemal się nie zmienił, Mina również wygląda dokładnie tak samo jak trzy lata temu. Spodziewał się, że czas nie okazał się równie łaskawy dla jego ojca. Przypominał sobie, jak kiedyś w szkole trzech chłopaków rzuciło kilka niestosownych uwag pod adresem jego matki. Quincey był tak wściekły, że rzucił się sam na całą trójkę. Uśmiechnął się teraz na tamto wspomnienie. To, jak dzielnie bronił wtedy honoru matki, zawsze napawało go dumą. Pamiętał też, jak czasem oszukiwali nieznajomych, wmawiając im, że są rodzeństwem. Wiedział, że nadejdzie czas, kiedy i ona zestarzeje się tak jak jego ojciec, ale cieszył się, że ten moment jeszcze nie nadszedł. Gdyby po tak długiej nieobecności zastał matkę zezarzałą i schorowaną, wyrzuty sumienia nie pozwoliłyby mu żyć. Nigdy nie wybaczyłyby tego ojcu. To przez niego tyle lat omijał dom.

Dopiero gdy zaczął jeść, Quincey uświadomił sobie, jak bardzo był głodny. Nie jadł porządnego posiłku, od kiedy wyjechał z domu. Gdy wymiótł talerz do czysta, w salonie zjawiała się Mary, ich służąca, by sprzątnąć ze stołu. Po jej wyjściu Mina spoważniała.

- Teraz, kiedy się najadłeś, może tak łaskawie wyjaśnisz mi, co robisz w domu, a nie na uniwersytecie.

- A obiecasz mi, że nie będziesz się gniewać?

- Wiesz, że nie mogę ci tego obiecać - odparła.

- Zatem trudno. Przypuszczam zresztą, że tego nie da się łatwo powie dzieć. - Wziął głęboki oddech i wyrzucił z siebie jednym tchem: - Poznałem kogoś. Kogoś wyjątkowego.

Mina otworzyła usta, by coś rzec, jednak najwyraźniej oniemiała. Quincey już chciał kontynuować, gdy do salonu weszła Mary z herbatą i jego ulubionymi ciastkami.

Po jej wyjściu Mina odzyskała głos:

- A zatem powiedz mi, kim jest ta szczęśliwa młoda dama.

- Młoda dama? - powtórzył zdziwiony Quincey.

- Powiedziałaś przecież, że poznałeś kogoś wyjątkowego.

- Owszem, ale... Mamo, nie uwierzysz. Poznałem osobiście Basaraba.

- Kogo? - spytała Mina.

- Nie słyszałaś o nim? To niesamowity człowiek - ciągnął z entuzjazmem Quincey. - Cały Paryż o nikim innym teraz nie mówi. To najlepszy szekspirowski aktor na świecie!

- Och, Quincey, nie zaczynaj znowu, błagam.

- Basarab poradził mi, bym zamiast zaspokajać ambicje ojca, podążył za własnymi marzeniami, póki jestem młody.

- Musi być widocznie niezwykle zadufanym w sobie artystą, skoro wydaje mu się, że wie, co jest dla ciebie najlepsze - dorzuciła ostro Mina.

- Jego zdaniem, mam duży potencjał - bronił się chłopak.

- Tak samo myślimy ja i twój ojciec. A co ze studiami?

- Basarab przekonał mnie, że prawo na Sorbonie nie jest dla mnie, postanowiłem więc zapisać się na naukę aktorstwa w prestiżowym londyńskim te atrze Lyceum.

- Quincey, nie wiem, co powiedzieć... - Mina westchnęła z niedowierza niem. - Zawarłeś z ojcem umowę. Gdybyś został na prawie, dowiedziałbyś się, że ustne porozumienia są tak samo wiążące jak umowy pisemne.

- Mamo, proszę cię. Przecież musiałem się zgodzić. Nie odłożyłem nawet grosza. Posunął się nawet do tego, że przekupił dyrektora teatru i zmusił go, by ten wyrzucił mnie z pracy. Mogłem albo przyjąć jego propozycję, albo głodować.

- Wstawiłam się za tobą, dałam słowo, że cię przypilnuję. Twój ojciec chciał cię zapisać na Cambridge, przekonałam go jednak, by wysłał cię na Sorbonę do Paryża, a w zamian za to ty ukończysz studia i podejdziesz do egzaminu adwokackiego.

- Wiem, do Paryża, bym przynajmniej przebywał blisko świata sztuki - przerwał jej. - Tak, oczywiście, pamiętam, mamo. Lepiej by było, gdybym jednak poszedł do Cambridge. Wiesz, jak to jest chcieć czegoś tak strasznie mocno, mieć to obok siebie codziennie na wyciągnięcie ręki i nie móc po to sięgnąć? Taki zakazany owoc może doprowadzić do szaleństwa.

- Rozumiem cię lepiej, niż mógłbyś się spodziewać. Jednak nie zmienia to faktu, że dałeś słowo. Obiecałeś, że skończysz studia. To zobowiązuje.

- Jeśli jestem tak zdolny, jak uważa Basarab, dostanę się do Lyceum i zacznę zarabiać własne pieniądze. A wtedy ten stary głupiec będzie mógł iść do diabła.

Mina pochyliła się i wymierzyła synowi siarczasty policzek. Ta sytuacja zaskoczyła ich oboje. Ani ojciec, ani matka nigdy wcześniej nie podnieśli na niego ręki.

- Cjuincey Arturze Johnie Abrahamie Harkerze! - Mina robiła wszystko, by ukryć emocje, jakie nią targały. - Jonathan jest wciąż twoim ojcem i bardzo cię kocha.

- To dlaczego tego nie okazuje?

- Jesteś zbyt młody i niedoświadczony, by zrozumieć całą tę sytuację, ale twój ojciec myśli o tobie każdego dnia. Znam go bardzo dobrze i wiem, że nie działa bez celu. Chodzi mu o coś więcej niż samolubne ambicje. Nie Cjuincey, nie zgadzam się z twoją decyzją. Musisz uwierzyć, że naprawdę wiemy, co jest dla ciebie najlepsze.

Quincey był załamany. Zawsze był blisko związany z matką, to ona wprowadziła go w świat kultury i sztuki. To jej zwierzał się ze swoich nadziei i marzeń i to ona zachęcała go, by za nimi podążał. Teraz po raz pierwszy próbowała zabić w nim jego tęsknoty, postępowała dokładnie jak ojciec. Jednak pewne rzeczy się tu zmieniły. Zawsze wiedział, że są sprawy, które rodzice utrzymywali przed nim w tajemnicy, które chcieli zachować tylko dla siebie. Nie miało to już najmniejszego znaczenia.

- *Ego sum qui sum*. Jestem, jaki jestem, i chyba powinienem już pójść.

Mina zalała się łzami, a jej twarz skrzywiła się w grymasie, który Quincey odczytał jako przerażenie. Jeszcze raz próbowała przemówić do syna.

- Proszę cię, Quincey, nie rób tego.

Zegar wybił jedenastą. Odpowiedział chłodno:

- Muszę zdążyć na pociąg. Wynajmę mieszkanie w Londynie. Nie będę dla was dłużej ciężarem.

Bojąc się spojrzeć matce w oczy, chłopak odwrócił się szybko i po raz pierwszy w życiu opuścił dom, nie pocałowawszy Miny na pożegnanie.

|

Rozdział XII

A hrabia ubrany w znoszony smoking i czarno-czerwoną pelerynę spoglądał groźnie spod zmarszczonych brwi, uśmiechając się

1 I złowieszczo.

i - Mógłby pan to powtórzyć, profesorze? - odezwał się ze środkowo-europejskim akcentem.

Starszy mężczyzna w tweedowym garniturze, druga z postaci przebywających w zakurzonej sali, westchnął i odpowiedział z twardą niemiecką intonacją:

- Spytałem, czy chciałbyś wiedzieć, hrabio, co przepisałem naszej chorej pani Westenrze.

Hrabia uśmiechnął się szeroko:

- Ależ, tak! Wszystkie pana działania dotyczące mojej drogiej Lucy bardzo mnie interesują, profesorze.

Profesor van Helsing wyjął wielki drewniany krucyfiks i odwrócił się w stronę hrabiego. zaszczał, skulił się i cofnął, zarzuciwszy pelerynę. Przydeptał ją przy tym niechcący i upadł na meble, przewracając stojącą na stole lampę, z której zaczął wydobywać się dym. i van Helsing odskoczyli przestraszeni.

Hrabia nie mógł opanować kaszlu.

- Teraz, gdy już wiecie... ty i ten notariusz Jonathan Harker... dowiedzieliście się, że to, co myślicie, to znaczy myślicie, że się dowiedzieliście, profesorze van... Helstock... - Van Helsing przewrócił oczami. Hrabia kontynuował: - Czas, byś opuścił te brzegi, by... - Znow zapomniał, co ma powiedzieć. Lecz tym razem olśnienie nie nadeszło. - ... wrócić do twojej krainy drewnianych chodaczków.

- Moje imię brzmi van Helsing, idioto! - zawołał profesor. - Czy chodzi ci o moją ojczyznę Holandię, hrabio?

- Ty bezczelny aktorzyño! - odkrzyknął . - Czy masz pojęcie, jakiego formatu artysta stoi przed tobą?

- Widzę jedynie zapijaczone beztalencie, które nawet nie potrafi zapamiętać paru linijek tekstu!

Wściekły hrabia odwrócił się w stronę światel i zakrzyknął:

- Stoker! Masz natychmiast zwolnić tego kretyna! - Van Helsing złapał go za pelerynę i narzucił mu ją na głowę, wtedy chwycił profesora za kołnierz. Mężczyźni zaczęli się szamotać, hrabią wstrząsnął nowy atak kaszlu. - Połknąłem ten cholerny kiel! - wrzasnął. Zdarł z głowy pelerynę i uderzył van Helsinga prawym sierpowym. Z nosa buchnęła krew.

- Słamałeś mi nos! - wyseplenił van Helsing, po czym pochylił głowę i na tarł na Draculę.

- Trzymaj się ode mnie z daleka, głupcze! - zakrzyknął hrabia. - Zabru dzisz mi krwią smoking!

Stojący na tyłach teatru Lyceum Quincey Harker nie mógł uwierzyć własnym oczom. A więc ten zataczający się człowiek ubrany w tandetną pelerynę maga to wielki John Barrymore z Ameryki. Spodziewał się też większej oglądy po grającym van Helsinga Tomie Reynoldsie, którego widział kiedyś w inscenizacji *Madame Sans-Genie* w roli Vinaigre'a. Zamroczony bólem Reynolds, nie bacząc na swój dorobek artystyczny, walił na oślep chwiejącego się na nogach Barrymorea.

Quinceyowi ciężko było na to patrzeć. Dla niego teatr był miejscem świętym, jak kościół. Takie kompromitujące zachowanie aktorów było potwierdzeniem słuszności najgorszych stereotypów krążących wśród społeczeństwa. Mimo to był tak pewny swego wyboru jak nigdy dotąd. Basarab miał klasę, był profesjonalistą. I to jemu chciał dorównać. Jednak to, co wyprawiali na scenie ci dwaj, nie było jedyną *rzeczą*, która go niepokoiła.

Bram Stoker, stary krzepki Irlandczyk z lekko siwiejącymi rudymi włosami i brodą, siedział w pierwszym rzędzie. Stukał łaską o podłogę, żeby zwrócić na siebie uwagę walczących aktorów, ale bez powodzenia.

- Panowie! Zachowujcie się, jak przystało na dżentelmenów!

Hamilton Deane, młody dystygowany Anglik, wskoczył na scenę, by przerwać walkę, i krzyknął:

- Tego już za wiele! Zachowujecie się jak dzieci!

- To on zasął! - prychnął Reynolds, podkładając ręce pod krwawiący nos.

Barrymore próbował stanąć prosto. Wymamrotał w kierunku pierwszego rzędu:

- Panie Stoker, nie będę tolerował takiego obraźliwego zachowania ze strony tej zakompleksionej miernoty! Proszę się go pozbyć!

- Panie Barrymore, niech się pan uspokoi - odezwał się Stoker.

- Uspokoić się?! Tu idzie o mój honor!

- Nie zapominajcie, panowie, że to ja jestem producentem tej sztuki - przerwał im Deane. - I to ja decyduję, kto ma być zwolniony, a kto nie. Nie mam zamiaru zwiększać kosztów przedsięwzięcia przez poszukiwanie nowych aktorów. Pan Reynolds zostaje.

- Wobec tego, panie Deane, producencie szmiry, właśnie stracił pan gwiazdę swojego przedstawienia! - Barrymore odwrócił się na pięcie i zszedł ze sceny.

Podpierając się ciężko na swojej lasce, Stoker podniósł się i rzekł:

- Sprowadziłem tu pana z Ameryki z szacunku dla pańskiego świętej pamięci ojca. Zadebiutował na tej właśnie scenie. Proszę przestać traktować tę sztukę jak jedną z komedii, w których pan zazwyczaj grywa. Ma pan potencjał, by być wielkim dramatycznym aktorem, większym nawet niż Henry Irving. Ale on przynajmniej doprowadził się do ruiny piciem już p o tym, jak stał się sławny. A pan jest na najlepszej drodze do tego, by stoczyć się na samo dno, zanim publiczność będzie mieć szansę dostrzec pański talent.

- Zwolni pan tę miernotę czy nie? - powtórzył groźnie Barrymore.

- Nie ma mowy. Pan Reynolds jest aktorem tego teatru od ponad trzydziestu lat.

- Zatem zabieram się pierwszym lepszym statkiem do Ameryki - rzekł tamten, po czym odwrócił się i pomaszerował w stronę drzwi.

- Panie Barrymore, niech się pan dobrze zastanowi! - zakrzyknął za nim Stoker. - Nikt w Nowym Jorku pana nie zatrudni!

Aktor odwrócił się chwiejnie w jego stronę i rzekł:

- Myśli pan, że pańska oferta jest jedyną, jaką otrzymał taki talent jak ja? Jadę do Kalifornii. Zaproponowano mi tam rolę w produkcji z użyciem tego nowego wynalazku, kinematografu. Niech pan zapamięta moje słowa: będzie pan żałował tej decyzji do końca swoich dni!

Quincey wiedział, o czym mówi Barrymore, widział bowiem kilka niemych filmów w Paryżu. Jednak jego zdaniem była to tania rozrywka. Brak

dźwięku wymuszał na artystach przesadną ekspresję i choćby z tej przyczyny żaden poważny aktor nie angażowałby się w coś takiego. Barrymore zderzył się z nim w drzwiach.

- Uważaj, jak chodzisz, chłopcze - wymamrotał.

- Najmocniej pana przepraszam, panie Barrymore.

Drzwi za słynnym aktorem zamknęły się z hukiem. Quincey stał przez chwilę oniemiały. Deane i Stoker dopiero teraz go zauważyli.

- A ty kim, u diabła, jesteś? - zapytał Deane. - To jest zamknięta próba.

- Przepraszam, przybyłem za wcześnie - wyjaśnił Quincey. - Jestem umówiony na rozmowę z panem Hamiltonem Deaneem.

- Ach, tak. To ty starasz się u nas o praktykę. Możesz mi przypomnieć, jak twoja godność?

- Quincey Harker.

Stoker o mało się nie zakrztusił.

- Czy dobrze usłyszałem? - mówił dalej **Quincey**. - **Jedną z postaci w pana sztuce jest notariusz o imieniu Jonathan Harker?**

- A co? - zapytał wyzywająco Stoker.

- Mój ojciec nazywa się Jonathan Harker. I jest prawnikiem.

Kilka minut później wszyscy trzej tłoczyli się w ciasnym biurze Stokera. Na ścianach wisiały oprawione afisze z czasów, gdy gwiazdą teatru był Henry Irving. Gdy Deane wręczył Quinceyowi książkę w jasnożółtej okładce i z czerwonym tytułem, na twarzy Stokera odmalował się niepokój.

- Pierwotwór bohatera powieści, niesamowite. Ojciec nigdy mi o tym nie wspominał - rzekł Quincey, przewracając strony książki. Wreszcie znalazł dowód na to, jak wielkim hipokrytą był jego ojciec. Niesamowite. Zaczynał mieć coraz więcej pytań. Zamierzał zadać jedno, jednak ugryzł się w język. Nie chciał w ten sposób rozpoczynać współpracy, a już na pewno okazać braku szacunku, jak wcześniej Barrymore. Zwykły aktor nie dyskutuje ani z reżyserem, ani z producentem, jeśli chce zachować miejsce w zespole. A on dopiero ubiegał się o pracę.

Stoker wyrwał książkę z rąk chłopaka.

- To niedorzeczne - warknął. - Nazwisko wzięłem od Josepha Harkera, scenografa, który pracował u nas trzydzieści lat temu. Wszelkie podobieństwo do pana ojca jest czystym zbiegiem okoliczności.

- Dostyc sporym, nie sãdzisz, Bram? - spyta Deane.

- to moja powieœæ, czysta fikcja - zaciætrzewi³ siê Stoker.

- Nikt nie twierdzi inaczej - odpar³ Deane. - Choæ coœ mi siê przypomina, æe zorganizowa³eœ jej publiczne czytanie, æeby nikt nie móg³ podwaæyæ twoich praw autorskich. Wciãæ nie moge pojàæ, po co ci to by³o.

- Tu nie ma nic do pojmwania. To ja wymyœli³em tã ksiãækã od poczãtku do koñca - oznajmi³ twardo Stoker i nagle skierowa³ swój gniew na Quinceya.

- Bardzo nam przykro, m³ody cz³owieku, ale Lyceum nie potrzebuje teraz æadnego praktykanta. Dziêkujemy panu.

- Aleæ...

Stoker juæ ruszy³ w stronã drzwi, kiedy Deane po³oæy³ mu rãkã na ramieniu i wyszepta³:

- Bram, kaæda pomoc, która nic nas nie kosztuje, jest na wagã z³ota. Juæ i tak przekroczy³iœmy budæet. A do tego straci³iœmy odtwórcã g³ównej roli...

Nagle Quinceyowi zaœwita³a w g³owie pewna myœl.

- Byæ moæe jestem w stanie rozwiãæ panów problem. - Gdy obaj mææczyñni spojrzeli na niego, ch³opak poczua, æe rysuje siê przed nim wielka szansa. - Co by by³o, gdybym zjedna³ dla tego przedsiãwziãcia najwiãkszego aktora naszych czasów? Cz³owieka, którego krytycy okrzyknãli prekursorem nowego realizmu i który, cytujã: „gra Szekspira tak, æe widz ma wraæenie, iæ widzi autentycznã postãæ, która naprawdã brodzi we krwi i walczy na œmieræ i æycie”.

- Mówisz o Basarabie - odgad³ Deane.

- Tak - potwierdzi³. - Znam go osobiœcie. I jestem pewien, æe jego nazwisko na afiszach zwiãkszy zyski i usprawiedliwi wszelkie wydatki.

Deane uniós³ brew, rozwaæajãc tã propozycjã.

Stoker uderzy³ laskã w pod³ogã.

- To John Barrymore jest gwiazdã tãj sztuki. Zobaczycie, æe wróci - oznajmi³, po czym wymaszerowa³ z biura, mruczãc pod nosem: - Te ruchome obrazki to æaloszny wynalazek.

Gdy by³ juæ na tyle daleko, æe nie móg³ ich us³yszeæ, Deane rzek³:

- Pan Stoker chyba nie zdaje sobie sprawy, æe minã trzy tygodnie, zanim Barrymore w ogóle dotrze do Kalifornii. Nawet jeœli zorientuje siã, æe pope³ni³ straszliwy b³ãd i wróci z podkulonym ogonem, do tego czasu nasz teatr zdãæy juæ zbankrutowaæ.

- Basarab jest tylko o dzień drogi stąd, w Paryżu. Dla mnie wybór jest prosty. Deane spojrzał Quinceyowi prosto w oczy.
- Czy jest pan człowiekiem honoru, panie Harker? Czy nie rzuca pan słów na wiatr?
- Mogę o tym pana zapewnić z całego serca, panie Deane.
- To dobrze. Zatem zapraszam na kolację. Mamy chyba wiele do omówienia.

Rozdział XIII

• ^{af}uid verum atque decens - „to, co uczciwe i sprawiedliwe” - słowa te
były mottem rodziny Stokerów. Jego ojciec wpoił tę zasadę wszystkim swoim siedmiorgu dzieciom, ale on, Bram, miał w ostatnich dniach problemy z wcielaniem jej w życie.

Ł - *Tanam an Diabhal* - zaklął pod nosem po gaelicku. Zwlekał z opuszczeniem biura, aż wyjdzie stąd ten cały Quincey Harker. Ku swojemu niezadowoleniu usłyszał, że chłopak wychodzi w towarzystwie Hamiltona Deanea. Udali się do Ye Olde Chesire Cheese, ulubionej knajpy Deanea, bez wątplenia po to, by omówić sprawę Basaraba. Wyglądało na to, że wbrew jego nadziejom Deane nie zrezygnuje tak łatwo z tego pomysłu. A chociaż z powodu porzucenia stabilnej pracy notariusza wszyscy uznali go za człowieka lubiącego ryzyko, on wolał mieć wszystko pod kontrolą. Każde z jego działań zawsze było częścią większego, dobrze przemyślanego planu. Nieprzewidywalna zmienna w osobie Quinceya Harkera bardzo go niepokoiła.

był ostatnią szansą Brama Stokera. Ostatnią szansą, by wykazać się jako pisarz, ostatnią szansą, by spełnić marzenie i zatrzymać teatr. Teraz, gdy jego syn dorósł i opuścił rodzinne gniazdo, nie musiał już tyle myśleć o rodzinie. Zachowanie żony sprawiało, że nie czuł się mile widziany we własnym domu, a w jego wieku puste łóżce nie było już problemem. To teatr Lyceum był od lat jego prawdziwym domem i wolałby umrzeć, niż pozwolić, by ktoś pokroju Hamiltona Deane'a go tego pozbawił.

Podpierając się laską, Stoker wszedł na scenę. Tyle wspaniałych przedstawień, taka wspaniała publiczność, co za miejsce, a jednak i ono nie było wieczne. Ile czasu już minęło? Nie było już wspaniałego sklepienia kopułowego, a dwa dodatkowe rzędy napierały na orkiestrę. Oburzało go, że Deane zamienia jego ukochany teatr w kabaret. Nie miał nic przeciwko nowoczesności, rozwojowi, jednak teatr nie był zwyczajnym obiektem. Teatr był świątynią sztuki. Czy ktoś próbowałby przebudować gotyckie katedry w Wenecji? Zaśmiał się na samą

myśl o tym. Pewnie Deane by się podjął i takiego zadania. W końcu fascynowały go wszystkie te wynalazki i ciągle sprowadzał nowe do teatru. Zainstalował aparat Marconiego pod pretekstem, że powstrzyma on aktorów przed ciągłym wychodzeniem i sprawdzaniem nowej poczty. Zainstalował lampy tego wynalazcy Edisona, bo podobno dają lepsze światło, a nawet sprowadził osławionego architekta Bertiego Crewea, żeby popracował nad wnętrzem, bo niby poprawi to akustykę sali. Stoker nie znosił tego zamięłowania Deanea do wszystkiego, co „nowe i nowoczesne”. Jednak rozumiał także, że ta sama pasja i pociąg do nowości zwróciły uwagę producenta na jego powieść. Opowieści grozy, kiedyś zarezerwowane dla kucharek, teraz zdobywały coraz większą rzeszę sympatyków. Wystawienie *Draculi* mogło zapewnić niezły dochód, stając się atrakcją porównywalną do udanych adaptacji *Frankensteina* czy *Doktora Jekylla i pana Hyde’a*. Stanowili zgrany duet: on miał teatr, Deane pieniądze. Jednak był w tej branży na tyle długo, by zapamiętać rządzącą nią zasadę: ten, kto trzyma kasę, ustala reguły. Deane przestał go słuchać. A dlaczego miałby? Jeśli on, Stoker, był taki mądry, dlaczego doprowadził teatr na skraj bankructwa?

Od zawsze marzył o tym, by zostać pisarzem, jednak posłuszny woli rodziców, poszedł na studia prawnicze. Mimo to nie przestawał pisać. Miał nadzieję, że gdy nauczyciele dostrzegą jego talent, rodzina zaakceptuje zmianę zawodu. Niestety, przyćmiła go sława przyjaciela i szkolnego kolegi Oscara Wilde’a, z którym rywalizował nie tylko na niwie pisarskiej, ale także sercowej. Florence Balcombe była najpiękniejszą kobietą, jaką znał, i darzył ją szczerym uczuciem. Jednak to nie porywy jego serca, lecz wiersze Wilde’a zdobyły jej uznanie.

Być może Florence podejrzewała, że Wilde woli towarzystwo młodych mężczyzn, gdyż ich znajomość wkrótce się zakończyła, a Florence w końcu zwróciła na niego uwagę. Z czasem uświadomił sobie, że jej wybór był raczej powodowany troską o bezpieczeństwo finansowe niż miłością. Życie u boku notariusza w kancelarii prawnej było stabilniejsze od życia u boku artysty włóczędzy. Poza tym dawało dostęp do świata wyższych sfer, a na tym zależało jej najbardziej. Pokręcił głową. Florence nigdy nie rozumiała artystów. Choć Oscar Wilde stracił kobietę, on zazdrościł mu literackiego geniuszu. Nie zrezygnował jednak zupełnie ze świata sztuki. Dla zaspokojenia ambicji pisał nieodpłatnie recenzje teatralne dla „Dublin Mail”. Po napisaniu entuzjastycznej recenzji *Hamleta* Henry Irving zaprosił go do kręgu swoich przyjaciół.

Porzucił wtedy pracę w kancelarii i został partnerem w interesach Irvinga oraz kierownikiem jego teatru. Czuł, że los się do niego uśmiechnął. Choć nie mógł spełniać własnych marzeń, mógł przynajmniej kąpać się w blasku sławy Irvinga. Florence gderwała, że przez niego wylądują na bruku, ale regularny napływ pieniędzy sprawił, że zmieniła zdanie. Zaczął obracać się w kręgu ludzi formatu malarza Jamesa McNeilla Whistlera, poety Francisca Featherstonea i sir Arthura Conan Doyle'a. Jednak czuł, że dostał się do tego elitarnego grona kuchennymi drzwiami i gdyby nie Irving, nikt nie zwróciłby na niego uwagi. Pragnął zasłynąć jako twórca, jednak wielki aktor, mimo jego usilnych próśb, nie miał zamiaru wystawić żadnego z jego dramatów. Bezustannie powtarzał Stokerowi, że jest tylko zwykłym buchalterem. Niezależnie od tego, jak bardzo przykładał się do pracy, pomagał Irvingowi - nawet w organizowaniu schadzek z kobietami - ten nie chciał słyszeć o żadnej jego sztuce.

Szansa, by wkroczyć do świata literatury, nadarzyła się wreszcie w 1890 roku. Oto bowiem jego dawny przyjaciel Oscar Wilde ogłosił niezwykłą powieść grozy - *Portret Doriana Graya*, która zyskała natychmiast wielki rozgłos. Zaraz potem, zupełnie nieoczekiwanie, jego rywal został aresztowany i oskarżony w głośnym procesie o naruszenie dobrych obyczajów. Uwięzienie Wilde'a zostawiło po sobie literacką próżnię. Postanowił ją wypełnić, pisząc własną powieść. Chciał wykorzystać nowy trend, który pojawił się wraz z dziełami Wildea, Mary Shelley i Johna Polidoriego. Podczas pamiętnego zimnego lata 1816 roku lord Byron założył się ze swoimi gośćmi, kto z nich napisze najlepsze opowiadanie grozy. Wszyscy stawiali na kogoś z dwojga uznanych literatów: gospodarza, lorda Byrona, lub Percyego Shelleya, nie spodziewając się, że żona Percyego, Mary Shelley czy doktor John Polidori mogą stworzyć coś wybitnego. To właśnie wtedy zrodził się pomysł powieści *Frankenstein* i opowiadania *Wampir*. W ten oto sposób dwoje niedoświadczonych autorów stworzyło dwa niezwykle popularne dzieła. Marzył, by im dorównać. Chciał wreszcie wyjść z cienia Wilde'a i Irvinga. Nie był w tym wszystkim oportunistą, wierzył, że ciężka praca w końcu przynosi owoce.

To, że jego wydawca nie podziela jego optymizmu, bardzo go nie zaskoczyło. Miał już na swoim koncie kilka książek, tyle że z innej dziedziny. Biografie w końcu nie miały wiele wspólnego z popularnymi horrorami. Najbardziej zraniła go jednak reakcja Florence, jej całkowity brak wiary w powodzenie tego projektu. Uważała, że marnuje czas, pisząc powieść. Było to zajęcie niegodne

jego osoby i obniżające ich znaczenie w towarzystwie. Zrozumiał, że w swej walce o status pełnoprawnego pisarza pozostał zupełnie sam.

Gdy myślał tak teraz o tym wszystkim, dotarło do niego, że powinien był szukać innego wydawcy. Był pewien, że wszyscy czekali jedynie na jego upadek, na chwilę, kiedy odzyska zdrowy rozsądek i zajmie się jakimś pożytecznym zajęciem. Ci idioci w wydawnictwie nie tylko zmienili tytuł powieści z *Nieumarłego* na *Draculę* ale jeszcze wycięli setki niezwykle ważnych stron z jego książki. Oscara z pewnością nigdy nie cenzurowano - mógł się o to założyć. Wydawca ani myślał przedstawić go jako następcę Wildea, a potem jeszcze dziwił się, dlaczego tak kiepsko się sprzedaje.

Wciąż czuł, że żyje w cieniu dawnego kolegi. Nawet po aresztowaniu Wildea, ba, nawet po jego śmierci *Portret Doriany Graya* sprzedawał się tak szybko, że nie nadążano z dodrukiem. Miał nadzieję, że Irving chociaż publicznie skomentuje *Draculę*. Zamiast tego aktor stwierdził, że powieść jest odrażająca, i tym jednym komentarzem na zawsze stracił jego sympatię i szacunek. Nie mógł mu wybaczyć tej zdrady.

Po śmierci Irvinga okazało się, że zapisał mu w spadku teatr Lyceum. Czy miała to być forma przeprosin? Niezależnie od przyczyn tej decyzji Stoker ucieszył się - nareszcie miał pełną kontrolę nad teatrem. Jednak bez Irvinga przedstawienia nie przyciągały publiczności, aż w końcu najlepsi aktorzy odeszli do innych zespołów. Teatr pochłaniał mnóstwo pieniędzy i nadmiar zmartwień doprowadził u niego do rozwoju choroby. Doznał udaru.

Był świadom, że zostało mu już niewiele życia i że jest to ostatnia szansa, by wywieść z cienia jego powieść. Gdyby inscenizacja *Draculi* odniosła sukces, z pewnością pociągnęłoby to za sobą wzrost sprzedaży książki. Jeśli jednak przedstawienie okaże się klapą, to przy jego stanie zdrowia kolejna szansa już się nie nadarzy. Marzył, by napis na jego nagrobku brzmiał: „Autor *Draculi* największej gotyckiej powieści swoich czasów”. Nie chciał przejść do historii jako przypis w biografii Irvinga. To on miał zapewnić sławę temu przedstawieniu, nie Hamilton Deane czy Quincey Harker.

Spojrzał na pokryte czerwonym pluszem fotele teatru Lyceum. To dzięki niemu ta sala zapełni się widzami. Musi sprowadzić Barrymorea z powrotem i przywrócić właściwą hierarchię ważności. To zabawne, że użyje wynalazku sprowadzonego przez Deanea, by zatelegrafować do Southampton, błagając aktora, by nie wyjeżdżał do Ameryki. To on był jego gwiazdą. Nie miał ani czasu, ani ochoty na zbędne dyskusje.

Rozdział XIV

O dległy dzwon na Westertoren wybił kolejną godzinę. Odzywał się co kwadrans. Starszy człowiek nie zwracał już na ten dźwięk zupełnie uwagi, tak często go słyszał. Ostatnio miał jednak wrażenie, że dzwon stał się głośniejszy, jak gdyby szyderczo odliczał minuty, jakie zostały mu do końca życia. Większość dni spędzał w swoim mieszkaniu na Haarlemmer Houttuinen, spoglądając z okna trzeciego piętra w kierunku kanału Prinsengracht. Za całe towarzystwo miał książki licznie wypełniające półki, a jego jedynym łącznikiem ze światem zewnętrznym był stos gazet, które dostarczał mu razem z jedzeniem pod koniec każdego tygodnia młody chłopak na posyłki.

Stary nałożył na nos okulary i wziął do ręki „London Timesa”. Rzucił okiem na pierwszą stronę. Oto jakiś Francuz ustanowił nowy podniebny rekord. Staruszek pokręcił głową. Człowiek nie powinien latać. Nawet grecka mitologia przed tym ostrzegała. Grecy przekazywali sobie z pokolenia na pokolenie historię o Ikarze, który wznosił się ku niebu i znalazł zbyt blisko słońca. Morał z tej historii: „Duch wyniosły poprzedza upadek”¹⁸. Ta nowa industrialna era była jedynie przejawem arogancji człowieka. Staruszek otworzył gazetę na pierwszej lepszej stronie, którą okazała się kronika towarzyska. Nie interesowały go plotki z życia londyńskich wyższych sfer, ale tym razem jego wzrok przykuł nagłówek: „BYŁY DYREKTOR ZAKŁADU W WHITBY ZGINAŁ W PARYŻU”.

Stary powiódł trzęsącym się, pomarszczonym palcem wzdłuż linijek tekstu. Z ciężkim sercem przeczytał słowa potwierdzające jego najgorsze obawy: ofiarą był doktor Jack Seward.

Na temat jego śmierci nie podano wielu szczegółów - wspomniano tylko, że wpadł pod koła powozu. Co Jack porabiał w Paryżu? Zerknął na datę w nagłówku - doktor zmarł prawie tydzień temu. Gazeta dotarła do niego ze sporym

¹⁸ Biblia Tysiąclecia, Prz 16, 18.

opóźnieniem. A niech to diabli! Przejrzał szybko pozostałe gazety. Odszukał ostatnie wydania „Le Temps”. Znalazł w nich drugi artykuł na ten temat, z gazety wydanej dzień po śmierci Jacka. Niewiele już pamiętał z francuskiego, więc czytanie nie szło mu najlepiej. Zresztą znalazł tam niewiele nowych informacji. Była gęsta mgła, woźnica się nie zatrzymał, Jack zmarł przed wejściem do teatru Odeon. Ot, tragiczny wypadek.

Staruszek już miał zamknąć gazetę, kiedy coś na nowo przykuło jego uwagę. Cytowano relację świadka, który twierdził, że na miejscu wypadku widział dwie kobiety, które wskakiwały do powozu. Oraz - choć policja podważała wiarygodność tej relacji - że na koźle nie było woźnicy.

Te mało znaczące szczegóły nic nie mówiły francuskiej policji, ale dla niego była to ważna informacja. Zawsze twierdził, że na świecie nie istnieje coś takiego jak przypadek.

- *Hij leefi...* On żyje - wyszeptał, a jego serce zaczęło walić ze strachu jak oszalałe. Poczł nagle ostry ból, jak gdyby przeszył go rozgrzany do czerwoności nóż.

Zaraz potem coś ścisnęło go za serce. Sięgnął do kieszeni po mosiężną fiolkę z lekarstwami, musiał się spieszyć, bo zaczynała mu drętwieć lewa ręka. Drżącymi palcami prawej starał się otworzyć mały zatrzask. Śmierć nagle ścisnęła mocniej i stary upuścił tabletki na dywan. Otworzył usta i chciał krzyknąć, lecz spomiędzy jego spierzchniętych warg wydobył się tylko cichy jęk. Osunął się na podłogę. Wiedział, że jeśli teraz umrze, jego ciało zostanie odkryte dopiero za tydzień, kiedy przyjdzie tu chłopak z gazetami. Do tego czasu będzie tu leżał i gnął samotny i zapomniany. A wtedy kątem oka dostrzegł pojedynczą tabletkę nitrogliceryny, która wypadła z fiołki, sięgnął po nią i umieścił pod językiem. Teraz pozostało mu tylko czekać, aż lek zacznie działać. Ogień w kominku zamigotał, a pomarańczowe oczy wypchanych zwierząt błysnęły niepokojąco. Wpatrywały się w niego szyderczym wzrokiem.

Po kilku minutach poczuł, że krew na nowo krąży mu w kończynach. Kostucha po raz kolejny wypuściła go ze swoich objęć. Spojrzał jeszcze raz na gazetę. Wiedział, że nie może zakończyć żywota z tak banalnego powodu jak zwyyczajny atak serca. Musi istnieć jakaś przyczyna, dla której Bóg trzyma go przy życiu. Zebrał w sobie wszystkie siły i podciągnął się na krzesło. Wiedział, co powinien zrobić.

Rozdział XV

- ^{^^B^} Quincey nie pamiętał wyprawy z Londynu do Dover ani oczekiwa-
• jnia na prom, który miał go zabrać do Calais we Francji. Przez całą
• ^{\i^J|P} dwudziestoczęterogodziną podróż nie oderwał wzroku od kart
• ^{^^} powieści Brama Stokera. Czytał dalej, jadąc koleją północną ze
• stacji Calais Frethun do Gare du Nord w Paryżu.

Uznał zastosowanie narracji pierwszoosobowej w formie dzienników i listów za dosyć ciekawy pomysł i pomimo że główny bohater - żywy trup - był postacią zupełnie fikcyjną, musiał przyznać, że go zafascynował. Łączył w sobie sprzeczności - jednocześnie tragiczny bohater i uosobienie czystego zła; mroczny łowca, który sam musi uciekać przed myśliwymi. Czuł się absurdalnie, widząc swoich rodziców w roli bohaterów powieści. Stoker opisał nawet ich dom w Exeter, wspominał też, że jego ojciec odziedziczył kancelarię prawniczą pana Hawkinsa. Sugestie pisarza, że stosunki Myny z Draculą były nie do końca niewinne, sprawiły, że w chłopaku zawrzało. Na szczęście pod koniec książki Stoker zwrócił honor jego matce, podkreślając, jak bardzo przyczyniła się do zwycięstwa bohaterskiej grupy nad Draculą. Zabawne, Cjuincey nigdy by nie podejrzewał ojca o heroizm. Musiał istnieć jakiś powód, dla którego Stoker uczynił właśnie jego rodziców głównymi bohaterami swojej powieści. Miał nadzieję, że podczas następnego spotkania pisarz będzie nieco bardziej rozmowny.

Perspektywa adaptacji *Draculi* podniecała Quinceya nie tylko dlatego, że była szansą wykazania się w branży teatralnej, i to nie tylko talentem aktorskim. Chciał także udowodnić tym Stokerowi i całemu światu, że jest godzien zostać członkiem zespołu teatru Lyceum.

Gdy dotarł do teatru, było już po czwartej.

- Witam, monsieur Harker! - przywitał go serdecznie dyrektor Antoine, uściskawszy mu dłoń. Była to niezwykła odmiana w stosunku do powitania, jakie zgotowano mu zaledwie tydzień temu. - Jak minęła podróż do Londynu?

- Rzekłbym, że z przygodami - odparł Quincey. - Czy monsieur Basarab jest w swojej garderobie?

- *Non*, obawiam się, że żaden z aktorów jeszcze nie przyjechał. Próby przed spektaklem zaczną się dopiero za dwie godziny.

Quincey był na to przygotowany. Wyjął z torby *Draculę*, a w środku za okładką umieścił zapieczętowaną kopertę.

- Może pan dopilnować, żeby to otrzymał?

- Dostarczę mu to osobiście.

Gdy Antoine zniknął mu z pola widzenia, Quincey wyruszył do Dzielnicy Łacińskiej na poszukiwanie noclegu. Ze zmęczenia ledwo powlóczył nogami. Nie spał od wyjazdu z Londynu i czuł się teraz niemal jak żywy trup z powieści Stokera. Chciałby wrócić do teatru po występie, obawiał się jednak, że gdy tylko przyłoży głowę do poduszki, od razu zaśnie kamiennym snem.

Tak się też stało. Tej nocy śnił o swojej świetlanej przyszłości, w której jego nazwisko pojawiało się na afiszach obok nazwiska Basaraba. Gdy obudził się następnego ranka, czuł się jak nowo narodzony. Wiele by dał, by już teraz wiedzieć, co Basarab myśli o jego propozycji i samej książce. Wszystko zależało teraz od jego reakcji. Chłopak nie mógł się doczekać, aż pójdzie do teatru, i stanie twarzą w twarz ze swoim przeznaczeniem. Ubrał się szybko, udał się na lekkie śniadanie, a potem skierował swe kroki do Odeonu. Wiedział, że nie zastanie jeszcze Basaraba, ale chciał się rozejrzeć, pomarzyć o przyszłości.

Przez następnych kilka godzin przechadzał się uliczkami Paryża, nie przestając rozmyślać o powieści Stokera. Zastanawiał się nad tym, kto był pierwowzorem postaci Draculi, a może był on jedynie wytworem genialnej wyobraźni autora. W swojej książce Stoker napisał, że był rumuńskim arystokratą. Uświadomił sobie, że Basarab może znać historię mrocznego hrabiego. Jako dobry producent, on także powinien znać historię bohatera, jeśli miał przekonać do współpracy gwiazdę. Postanowił zabłysnąć przed Basarabem wiedzą na temat Draculi i z tą myślą udał się w okolice uniwersytetu, na Boulevard du Montparnasse, gdzie znajdowało się kilka dobrych księgarń.

W ciągu kolejnych godzin Quincey odwiedził wiele antykwariatów i w żadnym nie znalazł nawet jednego egzemplarza *Draculi* Stokera. Z tego wniosek, że książka nie została dobrze przyjęta. Zaczął się martwić, że może jednak jego wybór nie był najszcześniejszy. Dopiero w czwartej księgarni, znanej z tego, że można w niej znaleźć tytuły z niemal całego świata, znalazł dwie książki o Dra-

culi, obie tłumaczone z niemieckiego. Mniejsza z nich była w zasadzie długim poematem zatytułowanym: *Historia Krwiożerczego Szaleńca z Wołoszczyzny Zwanego Draculą*. Druga, grubsza, nosiła znacznie dłuższy tytuł: *Zatrważająca i Niezwykła, jednak ze Wszech Miar Prawdziwa Historia Nikczemnego Krwio pijcy i Tyrana Zwanego Księciem Draculą*.

Czy Niemcy zawsze musieli dawać takie długie tytuły?

Podjeżenia Quinceya okazały się trafne. Wampir Stokera, hrabia, miał historyczny pierwowzór. Chociaż Quincey starał się nie szastać pieniędzmi, kupił obie książki jako potencjalny materiał do badań nad postacią. Oszczędności poczyni, rezygnując z kilku posiłków, ale to poświęcenie było konieczne. Chciał wiedzieć wszystko o tym tajemniczym człowieku.

W drodze powrotnej wstąpił do Francuskiego Towarzystwa Telegraficznego przy Boulevard Saint-Germain i wysłał telegram do Hamiltona Deanea, informując go o swoim odkryciu na temat Draculi. A potem udał się do Ogrodu Luksemburskiego i resztę dnia spędził z obiema książkami na swojej ulubionej ławce. Opowieść o brutalnych czynach diabolicznego księcia tak go pochłonęła, że nawet nie zauważył, iż zbliża się wieczór. Zorientował się w momencie, gdy nie mógł już odczytać liter. Dochodziła ósma! Ruszył szybko w stronę teatru.

- Monsieur Harker, pan Basarab spodziewał się pana dziś wieczorem. Poprosił mnie, bym wręczył panu bilet na przedstawienie - przywitał go Antoine.

Quincey był zachwycony, że dane mu będzie po tygodniu obejrzeć jeszcze raz tę fascynującą inscenizację. Tym razem, gdy oglądał Basaraba na scenie, zwrócił uwagę, jak łatwo mógłby się wcielić w postać Draculi. Ryszard III i rumuński książę mieli ze sobą wiele wspólnego: obaj byli dumnymi wojownikami, przebiegłymi, ambitnymi, okrutnymi i urzekającymi zarazem. Mimo wolnie zaczął sobie wyobrazać, jak by to było żyć w piętnastym wieku i stanąć twarzą w twarz z brutalnym Draculą. Sama myśl o tym mroziła mu krew w żyłach. Książę nabił na pal czterdzieści tysięcy ludzi. Quincey mógł sobie tylko wyobrazić ból, jaki zadano ofiarom. W porównaniu z tym wiele zbrodni Ryszarda III wydawało się amatorszczyzną. Nawet Kuba Rozpruwacz miał przynajmniej tyle litości, by podrzynać gardło swoim ofiarom, zanim zaczynał kroić je na kawałki.

Po przedstawieniu chłopak udał się za kulisy. Panował tam straszliwy harmider, gdyż właśnie pakowano dekoracje z *Króla Ryszarda III*. Trupa Basaraba

przyjechała do Paryża tylko na tydzień, stąd tak wyśrubowane ceny biletów. *Tournee* zwróciło się z nawiązką. Quincey skierował się w stronę garderoby aktora, wziął głęboki oddech i zapukał.

- Panie Basarab?

- Proszę wejść.

Gdy wszedł do środka, ujrzał jak Basarab, ubrany w czarno-czerwoną bonzurkę, wycina ze stosu gazet poświęcone sobie artykuły i starannie umieszcza je w zeszytach.

- Widzę, że znalazł pan recenzje na swój temat - odezwał się Quincey.

Basarab uśmiechnął się.

- Proszę pamiętać, panie Harker, skromność zastępuje pewność siebie u tych, którym brak talentu.

- Zapamiętam, proszę pana.

Zanim jeszcze dostrzegł jedzenie stojące na stoliku, poczuł jego zapach. Miał nadzieję, że Basarab nie usłyszy burczenia w jego żołądku.

Po wklejeniu ostatniego wycinka aktor sięgnął za drewniane pudełko z przyborami do charakteryzacji i wyciągnął stamtąd *Dracule*.

- Przeczytałem książkę, którą mi zostawiłeś - rzekł.

- I co pan o niej sądzi? - spytał Quincey zaskoczony tak szybkim tempem lektury.

- Dosty dziwny tytuł - stwierdził Basarab.

- Poszperałem trochę na ten temat. - Chłopak z dumą wyjął z torby nie mieckie książki. - Tytuł nabiera sensu, jeśli się wie, kim był piętnastowieczny rumuński książę Vlad. A był prawdziwym złoczyńcą.

- Raczej nie nazwałbym go złoczyńcą - zaoponował Basarab. - Był ojcem mojego narodu.

Quincey uśmiechnął się do siebie. Pieniądze, jakie zainwestował w książki, zamiast kupić sobie jedzenie, zaczynały się zwracać. Aktor podszedł do parawanu stojącego obok kufrów i zupełnie jakby czytając w jego myślach, wskazał na talerze:

- Proszę się częstować.

- Dziękuję. - Miał nadzieję, że nie widać było po nim, jak niecierpliwie czekał na tę propozycję i smakowicie wyglądającego kurczaka; najlepsze go, jakiego w życiu jadł, jak stwierdził po chwili. - Przepyszne. Co to takiego? - spytał.

Nagle poczuł, że coś zaczyna go palić w ustach. Zakaszłał i sięgnął po szklankę wody, by ugasić ogień w przelyku.

- Stój - powstrzymał go Basarab. - Woda tylko pogorszy sprawę. Zjedz trochę ryżu.

Quincey usłuchał i rzeczywiście pieczenie ustąpiło. Gdy już ochłonął, spróbował znowu, tym razem mieszając kurczaka z ryżem.

- Ta potrawa zwie się *paprika hendl*. Jest bardzo popularna w moich rodzinnych stronach.

- Pyszna, choć naprawdę ostra - stwierdził Quincey, po czym postanowił wreszcie zmienić temat. - Mogę zapytać, jakie ma pan plany po zakończeniu występów w Paryżu? Wraca pan do Rumunii?

- Jeszcze nie zdecydowałem, co dalej. Teatr w Madrycie stale ponawia pro pozycję współpracy, ale na razie jej nie przyjąłem.

Chłopak z trudem powstrzymał się od uśmiechu. Najwyraźniej szczęście mu sprzyjało. Zaczął znowu tak obojętnym tonem, na jaki go było stać:

- Mówił pan, że jest uznawany za ojca pańskiego narodu. Z tego, co czytałem, wynika, że nadział żywcem na pal tysiące ludzi, co, przyzna pan, jest wyjątkowo okrutną śmiercią, a do tego mówiono, że pił ich krew.

- To stary pogański rytuał - wyjaśnił Basarab. - Wierzono, że ci, którzy piją krew wrogów, wchłaniają ich moc.

- Znalazłem też tłumaczenie jego imienia - dodał Quincey. Odszukał w książce odpowiedni fragment i pokazał go Basarabowi. - „,„ znaczy „syn diabła”.

- Symbolem diabła w krajach prawosławnych jest smok. Prawdziwe tłumaczenie imienia Draculi to „syn smoka”. Jego ojciec był rycerzem w katolickim zakonie, który przyrzekł chronić chrześcijaństwo przed muzułmanami. I stąd ta pomyłka.

Aktor stał przed lustrem i usiłował zawiązać krawat. Quincey widział wiele razy, jak jego matka pomaga w tym ojcu. Podeszedł więc do Basaraba, by wybać go z opresji.

- Przypuszczam, że tak jak w wielu przypadkach, prawda zależy od punktu widzenia. Mimo to ten cały wydaje się ciekawą postacią, nie sądzi pan?

Chwila, gdy Basarab patrzył na niego, ważąc następne słowa, zdawała się trwać wieki.

- A więc o to chodzi. Chce pan, żebym zagrał Draculę na scenie. A pan, jak się domyślam, wcieliłby się w rolę swojego ojca, Jonathana Harkera?

- W końcu zawsze chciał, żebym poszedł w jego ślady - uśmiechnął się Quincey.

Basarab roześmiał się i położył rękę na jego ramieniu.

- Twoja ambicja robi na mnie wrażenie, chłopcze. W ciągu tygodnia z obiecującego praktykanta zostałeś producentem i aktorem pierwszego planu. Z takim człowiekiem trzeba się liczyć.

- Zatem przyjedzie pan do Anglii?

Ale tamten tylko chwycił swój kapelusz, rękawiczki i laskę. Chłopak przeklinał w myślach własną niecierpliwość. Milczenie Basaraba było nie do zniesienia.

Wreszcie wielki aktor spojrzał na niego i rzekł:

- Nie mogę niczego obiecać. Aczkolwiek uwielbiam grać arystokratów, zwłaszcza pańskich rodaków. Potrafią umierać w pięknym stylu. Właściwie za wdzięczam swoją karierę rolom spektakularnie konających Anglików.

Roześmiali się i całe napięcie nagle gdzieś się ulotniło. Chłopak pomyślał wtedy, że właśnie o takich stosunkach ze swoim ojcem zawsze marzył - pragnął razem z nim się śmiać i być dla niego powodem do dumy.

- Wybieram się na nocne przedstawienie do Folies Bergere - rzekł Basarab.

- Może pójdzie pan ze mną?

To był dobry znak. Zresztą Quincey zawsze chciał się wybrać do słynnej paryskiej rewii znanej ze swoich egzotycznych przedstawień, ale nigdy nie mógł sobie na to pozwolić. Z radością przystał więc na propozycję Basaraba.

- Napijemy się czegoś i omówimy pańską propozycję - dodał aktor.

Quincey ledwo się powstrzymał, żeby nie zakrzyknąć głośno z radości.

Skierowali się na północ, w stronę osiemnastej dzielnicy. Basarab wypytywał Quinceya o produkcję *Draculi*, o teatr Lyceum, o jego plan promocyjny, rozmawiali nawet o wynagrodzeniu aktora. Quincey nareszcie poczuł się na tyle pewnie, by samemu zadać pytanie:

- Zastanawia mnie jedna rzecz. W tej książce o *Draculi*, którą kupiłem, ciągle pojawia się pewne słowo, domyślam się, że rumuńskie. Jest czasem określany mianem „*fepef*”. Wie pan, co to znaczy?

Basarab odwrócił się gwałtownie w jego stronę z wykrzywioną ze złości twarzą i wycedził:

* fr

- To okropne słowo używane przez politycznych wrogów Draculi, żeby go skompromitować. Nigdy tak o nim nie mów!

Po kilku krokach aktor zatrzymał się i odwrócił. Jego gniew stopniał tak szybko, jak się pojawił. Na Quinceya znów patrzył dawny, czarujący Basarab. I jakby zdał sobie sprawę, że był zbyt ostry wobec tego młodego człowieka, wyjaśnił z tonem przeprosin w głosie:

- „*Tepef*” znaczy „palownik”.

Rozdział XVI

Smok z Fleet Street wbijał w niego swoje ślepie. Z okna kancelarii „Hawkins & Harker” Jonathan widział, jak siedzi na Tempie Bar, drwiąco na niego spoglądając. W tym miejscu był niegdyś kamienny łuk, który oddzielał Fleet Street od Strand. Niedaleko znajdował się kościół o nazwie Tempie, należący niegdyś do zakonu templariuszy, dlatego też gdy gildia prawników zorganizowała się w grupę o nazwie „Legał London”, zaczęto ją popularnie zwać właśnie Tempie Bar. W osiemnastym wieku na tych murach wystawiano na widok publiczny głowy zdrajców. Łuk został rozebrany w 1878 roku, a dwa lata później wzniesiono w jego miejsce pomnik. Zwieńczenie wysokiego na czterdzieści stóp cokołu stojącego na samym środku ulicy stanowił czarny smok. Smok z Fleet Street. Firma „Hawkins & Harker” była jedną z wielu kancelarii prawnych w okolicy.

Śmierć Jacka Sewarda otrzeźwiła Jonathana na tyle, że przyśpieszył swój wyjazd do Londynu. Spędził kilka dni w biurze, starając się zgromadzić wszystkie dokumenty konieczne do spełnienia ostatniej woli zmarłego przyjaciela. Nie było to łatwe zadanie. Ta niegdyś świetnie prosperująca kancelaria, zatrudniająca kilkunastu prawników, stopniowo podupadała, aż jedyną pracującą w niej osobą został sam Jonathan. Pewnie nawet nie byłby w stanie utrzymać tego biura, gdyby Peter Hawkins nie wykupił całego budynku. Na ironię losu zakrawało, że konkurencyjne kancelarie, które wynajmowały od niego pokoje na innych piętrach, były teraz jedynym pewnym źródłem zysku dla firmy. Chcąc się odebrać od przygnębiającej pracy, jaką była próba uporządkowania chaotycznego życia Jacka, Jonathan często zachodził do pobliskiego pubu Mooney & Sons, by zaopatrzyć się tam w whisky.

Zastanawiał się, czy nie marnuje czasu, zajmując się sprawą testamentu Jacka. W końcu przez tyle lat nie kontaktowali się ze sobą. Jego przyjaciel wbił sobie do swojej szalonej, przeżartej narkotykiem głowy, że ten demon wciąż żyje, i domagał się rozmowy z Miną. Jonathan wyrzucił go na zбитy pysk. To

była ostatnia rzecz, jaką zawracałby głowę Minie. Spodziewał się, że pewnego dnia otrzyma z jakiejś kancelarii adwokackiej list z informacją, że nie jest już egzekutorem woli Jacka, jednak taka przesyłka nigdy do niego nie dotarła. Zatem jako członek palestry miał obowiązek spełnić ostatnie życzenie dawnego przyjaciela.

Gdy trzeciego dnia wybudził się z alkoholowego ciągu, okazało się, że do biura dostarczono telegram. Wynikało z niego, że Jack zmienił swoją ostatnią wolę. Nadawca twierdził, że był naocznym świadkiem ustnej poprawki zgłoszonej do testamentu. Jack zdecydował się nie oddawać ciała nauce, pragnął, by po śmierci jego szczątki pochowano na cmentarzu. Jonathan przyjął tę wiadomość z ulgą, pierwotna prośba przyjaciela wzbudzała w nim bowiem mieszane uczucia. Oprócz tego w telegramie znalazła się informacja, że nieznany ofiarodawca przelał pieniądze do banku Child & Co., jednego z najstarszych prywatnych banków w Anglii, który mieścił się tuż obok na Fleet Street. Nadawca instruiował Jonathana, by za te pieniądze sprowadził ciało Jacka do Londynu i pokrył wszelkie koszty związane z pogrzebem. Reszta przelanej sumy miała być zapłatą za jego usługi. Choć nie było żadnego dowodu, że nadawca telegramu mówi prawdę, Jonathan uznał, że tak właśnie należy postąpić. Polecono pochować Sewarda na cmentarzu w Hampstead, niedaleko grobowca rodziny Westenrów. A więc Jack miał znaleźć wieczny spokój obok kobiety, którą kochał. Jedyne pytanie, które nasuwało się Jonathanowi na myśl, brzmiało: kim jest ów ofiarodawca i skąd Seward go znał...?

Jonathan nie czuł się dobrze z tym, jak potraktował Jacka, kiedy widzieli się po raz ostatni. Powinien był zaferować swoją pomoc, ale widząc szalone zachowanie przyjaciela, sam także nie zareagował całkowicie racjonalnie. Wszystkie myśli o Jacku prowadziły do tamtej podróży do piekieł, z której nikt z nich tak do końca nie powrócił. Jonathan rozejrzał się po pustym gabinecie i przypominał sobie dzień, kiedy się poznali. Był to dzień, który na zawsze miał odmienić jego życie.

- Doktor Jack Seward - podkreślił niski, muskularny mężczyzna i podniósł się, by uścisnąć dłoń Jonathana Harkera.

- Doktor Seward jest przyjacielem rodziny Westenrów - wyjaśnił korpu-lentny adwokat Peter Hawkins, sadowiąc się z powrotem w skórzanym fotelu. - Zajmie się leczeniem pana Renfielda.

- Co się właściwie stało panu Renfieldowi, jeśli można spytać? - odezwał się Jonathan.

- Tego dalej nie wiemy - rzekł Hawkins. - Jedyne, co możemy powiedzieć na pewno, to że znaleziono go półnagiego na śniegu na cmentarzu w Monachium.

- W Monachium? - powtórzył zdziwiony Harker.

- Przejeżdżał przez to miasto w drodze na spotkanie z klientem.

- Gdy go znaleziono - wtrącił Seward - darł się histerycznie i wyśpiewywał wersety z Biblii.

- To akurat nic niezwykłego. Pan Renfield lubił cytować Pismo - wyjaśnił Jonathan.

- Tym razem było to coś innego - rzekł Hawkins. - Recytował na głos fragment Księgi Objawienia i bełkotał coś o tym, że spojrzął w oczy diabła.

- Wielkie nieba - westchnął Harker. - Co mogło spowodować ten atak?

- Trudno stwierdzić cokolwiek, dopóki nie zacznę go leczyć - odparł doktor Seward. - Przypuszczam, że był świadkiem jakichś straszliwych wydarzeń, a obraz diabła to mechanizm obronny jego umysłu. Ale niech się pan nie martwi, mój zakład w Whitby jest najlepiej wyposażony w całej Anglii.

- Tymczasem, panie Harker - odezwał się Hawkins - musi pan dokończyć sprawę Renfielda.

- Ja, sir? Jestem tylko zwykłym notariuszem.

- Niech pan nie będzie taki skromny - zaśmiał się Hawkins. - Dla nas jest pan kimś więcej. W ciągu tego roku, od kiedy pracuje pan w naszej kancelarii, wielokrotnie okazał się pan bardzo pomocny... co ja mówię, wręcz nieoceniony! Szczególnie sprawa tych dwóch dziewcząt - nie dość, że uratował im pan życie, to jeszcze rozgłos wokół tej sprawy przysporzył nam wielu nowych klientów. To, co zrobił pan wspólnie z panem Murrayem z „Daily Telegraph”, było dziełem ze wszech miar prawniczego umysłu. Dobry prawnik musi nie tylko znać przepisy, ale też rozumieć zawłości polityki i rolę prasy w życiu publicznym.

Jonathan uśmiechnął się zawstydzony.

- Nie wiem, co powiedzieć. Dziękuję.

- Znam świetny sposób, aby mi się pan odwdzieczył. Po pana piątkowym egzaminie, gdy zostanie pan powołany do adwokatury...

- A co, jeśli nie zdam? - przerwał mu Jonathan.

- Nie biorę tego pod uwagę. Chciałbym, by dokończył pan sprawę byłego klienta Renfielda. To ksiązę ze wschodniej Europy, dla którego trzeba sfi-

lizować transakcję zakupu kilku nieruchomości w Londynie. Nie możemy sobie pozwolić na utratę takiego klienta.

- Książę, powiada pan? - rzekł do niego Seward, a potem zwrócił się do Jonathana: - Zatem gratulacje są jak najbardziej na miejscu, panie Harker.

Jonathan nawet w najskrytszych marzeniach nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Nie mógł się doczekać, aż przekaze tę wieść swojej ukochanej Minnie, która pracowała po drugiej stronie ulicy, w redakcji „Daily Telegraph”. Gdy tylko uda mu się stąd wyrwać, pobiegnie do niej i zabierze ją na kolację. Trzeba uczcić tak doniosłą chwilę. Spotkanie z księciem mogło odmienić ich życie.

- A oto wszystkie niezbędne dokumenty - rzekł Hawkins, wręczając Jonathanowi skórzaną teczkę. - Resztę wysłaliśmy już jego wysokości pocztą.

To rzekłszy, poklepał Jonathana po ramieniu i wrócił do swojego biurka po cygaro.

Gdy chwilę później obaj młodzi mężczyźni wyszli na ulicę, Seward odezwał się:

- Panie Harker, byłbym zaszczycony, gdyby dał się pan dziś zaprosić do mnie na kolację. Chciałbym, żeby opowiedział mi pan o Renfieldzie, o tym, jaki był przed chorobą. A ponieważ to dla pana wielki dzień, uczymy to najlepszym szampanem z moich zapasów.

- Czy miałby pan coś przeciwko, gdybym przyprowadził narzeczoną? - spytał Jonathan.

- Byłbym zachwycony, mogąc ją poznać. Mam zresztą nadzieję, że wkrótce wszyscy będziemy przyjaciółmi.

Gdy tylko uścisnęli sobie ręce na pożegnanie, zaciekawiony Jonathan otworzył teczkę, którą dostał od Hawkinsa, i przeczytał nazwisko swojego arystokratycznego klienta.

- .

Dźwięk własnego głosu rozbrzmiewającego w pustym gabinecie przyprawił Jonathana o dreszcze. Imię to zostawiło ohydny smak w jego ustach. Nie wypowiedział go od dwudziestu pięciu lat. Cóż z tego, skoro i tak był zawsze obecny w jego życiu, niczym niewidzialny mur między Jonathanem a jego rodziną. Spojrzał przekrwionym oczami na stojącą na biurku fotografię Miny i małego Quinceya. Quincey. Jonathan nie chciał dawać synowi tego imienia, ale nie potrafił sprzeciwić się woli Miny, która w ten sposób chciała uczcić pamięć zmarłego

przyjaciela. Bynajmniej nie był człowiekiem bez serca, a śmierć Morrisa nie była mu obojętna. Pragnął jedynie, by syn startował w życie wolny od koszmarów z ich przeszłości.

Po narodzinach Quinceya poczuł, że ma już w życiu wszystko, co potrzebne jest do szczęścia, i udało mu się na jakiś czas wyrzucić z pamięci tamte straszliwe wydarzenia. Dziecko było dla niego najbardziej niezwykłym darem losu. Postanowił więc pracować jeszcze ciężiej, aby synowi niczego nie brakowało. I co się teraz stało z tym małym chłopcem, który tak go kochał? Tym małym Quinceyem, który czaił się w krzakach przed domem, a gdy Jonathan przechodził obok, wyskakiwał i obejmował ojca ze wszystkich sił, obsypując go pocałunkami?

Z każdym rokiem upływający czas coraz widoczniej odciskał swoje piętno na nich obu i coraz bardziej rzucało się w oczy, że od spotkania z Draculą Mina fizycznie w ogóle się nie zmieniła. Jonathan czuł, że większość mężczyzn zazdrości mu młodej i pięknej żony. Ale cena za ten przywilej była dla niego zbyt wysoka. Chociaż Mina z wyglądu nic się nie zmieniła, w środku stała się inną kobietą. Jej apetyt seksualny był wręcz nieposkromiony. Kolejna rzecz, na którą większość mężczyzn by się nie uskarżała. Problem jednak w tym, że Jonathan nie był w stanie zaspokoić jej potrzeb. Zaczęła mu nawet przypominać trzy wampirzyce z zamku Draculi. Nigdy nie pogodził się z tym, że to z nimi, a nie z Miną stracił dziewictwo. To poczucie winy sprawiło, że zawiódł ją już ich pierwszej wspólnej nocy. A potem przyszedł tamten pamiętny wieczór, kiedy ich syn miał jakieś trzynaście lat. Zaczynali się kochać, gdy Mina wyznała, że to był jej pierwszym kochankiem. To on ze swoim kilkusetletnim doświadczeniem wprowadził ją w świat doznań cielesnych. Jonathan, choćby nie wiadomo jak się starał, nie miał szans mu dorównać. Czyż nie jest prawdą, że pierwszy kochanek odgrywa wyjątkową rolę w sercu kobiety? Jonathan słyszał tę opinię tyle razy, że sam w nią uwierzył. Narastająca gorycz i poczucie winy tylko pogarszały problem, a skutkiem tego pragnienia Myny pozostawały niezaspokojone. Wciąż była tak piękna jak w dniu, kiedy się poznali. Nie mógł tego znieść, butelka stała się jego jedyną przyjaciółką.

Jonathan, wpatrzony w fotografię, cicho westchnął. Chciał przecież chronić syna, zapewnić mu bezpieczeństwo. Jednak im mocniej próbował zatrzymać go przy sobie, tym bardziej chłopak się wyrывał. Jonathan, który sam niegdyś

nienawidził swojego ojca, ze zgrozą zaczął w ciągu ostatnich lat dostrzegać ten sam wyraz nienawiści w oczach Quinceya. Wiedział, że wszystkich zawiódł. Zawiódł firmę, żonę, syna, przyjaciół.

Wyjrzał przez okno na pięciopiętrowy budynek z wykutymi w kamieniu literami „Daily Telegraph”. Jakże inaczej potoczyłyby się ich losy, gdyby nie pojechał do Transylwanii albo oblał egzamin adwokacki.

Mina porzuciła karierę publicystyczną zaraz po tym, jak Jonathan odziedziczył kancelarię Hawkinsa. Dzięki naukom Lucy wiedziała, jak zaistnieć w towarzystwie. Wydawała przyjęcia, udzielała mu wskazówek i rad co do garderoby i zachowania, była wzorową, oddaną żoną poświęconą bez reszty karierze męża. W głowie Jonathana rozbrzmiały na nowo ostatnie słowa, jakie wypowiedziała Mina do niego trzy dni temu: „Przepraszam, Jonathanie. Kocham cię. Zawsze cię kochałam. Ile jeszcze razy muszę to powtarzać?”.

Poświęciła dla niego swoje plany i marzenia. Bez niej nie byłby w stanie wznieść się ponad swoje niskie urodzenie. Nagle ujrzał całą tę sytuację w nowym świetle. Czy nie na tym polega miłość - na poświęceniu dla drugiego człowieka? Mina postanowiła zrezygnować ze swoich pragnień i żyć jego marzeniami. Choć było to sprzeczne z jej charakterem, została przykładną żoną, by on mógł odnieść sukces. I co by było, gdyby w tamtej sądnej chwili nie wybrała jego, tylko tego potwora? Zresztą gdyby nie ona, nigdy nie byłiby w stanie odnaleźć i zniszczyć Draculi.

Jonathan z wściekłością rzucił butelką whisky w mahoniową ścianę.

- Cholera! Ale za mnie głupiec!

Spojrzał na zegarek. Jeśli się pośpieszy, ma szansę zdążyć na dziesiątą trzydzieści jeden, na pociąg do Exeter, do Miny, o ile go przyjmie. Może uda mu się jej wszystko wynagrodzić. Może pojedą razem do Paryża zobaczyć się z Quinceym. Tak, czuł, że musi spotkać się z synem. I jeśli Mina się zgodzi, nareszcie wyznają mu wszystkie rodzinne sekrety. A wtedy zaczną wszystko od początku. To dzięki Jackowi przejrzał na oczy. Jego śmierć nie pójdzie zatem na marne. Z tą myślą chwycił kapelusz i płaszcz, zamknął za sobą drzwi i wybiegł na ulicę, by złapać dorożkę i dotrzeć na stację Charing Cross. Psiakrew! Żadnej nie było w pobliżu. A on, choć minęło zaledwie dwadzieścia minut, od kiedy rozbił swoją whisky, już zaczynał odczuwać głód alkoholowy. Pomyślał o do połowy opróżnionej butelce, którą trzymał na biurku na czarną godzinę. Stał się tak słaby. Musi szybko znaleźć dorożkę.

Zauważył nagle stojący na ulicy czarny powóz ze złotymi zdobieniami, bez woźnicy na koźle. Pojazd wyglądał na porzucony - dziwny widok jak na tak późną porę.

Dwoje młodych kochanków wytoczyło się z tawerny, całując się namiętnie. Jonathan zauważył, że kobieta omdlewa przy najbliższym dotyku mężczyzny. Jego pragnienie narastało. Który to już raz znalazł się w takiej sytuacji? W ciągu ostatnich lat wiele razy dochodził do wniosku, że wciąż kocha Minę, bardziej niż cokolwiek na świecie, że chce z nią być, pragnie, by wybaczyli sobie wszystkie błędy i potknięcia. A wtedy zawsze odzywały się jego lęki. Wiedział, że wcześniej czy później znajdą się w sypialni i wszystkie jego kompleksy znów wezmą nad nim górę. Nie wyrwie się z tego błędnego koła. Nie wiedział, czy teraz przemawia do niego pokrętna logika jego uzależnienia, czy też zdrowy rozsądek. Jego niemożność zaspokojenia Miny, zazdrość o romans z Draculą oraz własna niezdolność do tego, by zmierzyć się z wieczną młodością żony, zawsze miały na nowo wpędzać go w depresję. I w alkohol, który czekał na niego cierpliwie i nigdy nie robił mu wyrzutów.

- Jest zimna noc, skarbie. Nie potrzebujesz aby czegoś na rozgrzewkę? - dobiegł dźwięczny głos zza pleców Jonathana. Odwrócił się i ujrzał wyłaniającą się z mgły piękną, zmysłową blondynkę ubraną w zwiewną śnieżnobiałą suknię. Kusila go okrągłą miedzianą flaszką, którą trzymała w wyciągniętej dłoni.

To było niesprawiedliwe. Przecież postanowił już wrócić do Miny. Był tak blisko. Kobieta oblizwała czerwone usta i upiła łyk. Jonathan uświadomił sobie, jak bardzo jest słaby. Nie był wart Miny.

Zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę.

- Można...?

Jedynie resztki przyzwoitości powstrzymały go od wychylenia jednym haustem całej zawartości flaszki.

- Może się przejdziemy? - rzekła kobieta. Wskazała na labirynt uliczek, które prowadziły w kierunku Victoria Embankment.

- Nie śmiałybym odmówić - Jonathan zaproponował jej ramię.

Kobieta zaśmiała się i wzięła go pod rękę. Zanurzyli się w pustą uliczkę otuloną zasłoną mgły. A potem zaczęli się namiętnie całować. Jonathan przycisnął kobietę do ściany.

- Masz na imię Mina - wyszeptał i wcisnął język między jej czerwone wargi.

- Mów do mnie, jak chcesz, szefie - odparła.

Jonathan, rozerwawszy jej gorset, zaczął całować jej szyję i pieścić obfite piersi.

- Powiedz mi, jak masz na imię.

- Mina.

Jonathan podciągnął jej sukienkę, wślizgnął rękę między jej uda, a drugą zaczął rozpinać spodnie.

- Powiedz mi, Mino, jak bardzo ci ze mną dobrze.

- Zaraz ci pokażę - jęknęła jasnowłosa Kobieta w Bieli. Odwróciła się gwałtownie i teraz ona przyparła go do muru. Osunęła się na kolana i otworzyła usta. Jonathan uśmiechnął się, gdy poczuł jej zimny oddech.

Ale kiedy spojrzał raz jeszcze na jej twarz, zobaczył coś, co go sparaliżowało. Oczy kobiety stały się czarne, a potem uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając kły. Warcząc nieludzko, rzuciła się do przodu. Jonathan krzyknął przerażony. Ze wszystkich sił odepchnął ją na ziemię, podciągnął spodnie i rzucił się do ucieczki.

Kobieta w Bieli dopadła go z sykiem i chwyciła za stopę. A potem wyprężyła się jak kot i rzuciła nim o stos zgromadzonych pod ścianą drewnianych skrzynek i pustych beczek z taką siłą, że drewno roztrzaskało się na kawałki. Jonathan nie mógł się ruszyć. Jego ciało przeszywał ból. Dlaczego nie poszedł za głosem serca i nie pojechał do domu, tak jak planował?

Mrucząc drapieżnie, wampirzyca podniosła go ze stosu połamanego drewna. Próbował się bronić i uwolnić z jej żelaznego uścisku, ale kobieta była zbyt silna. Odchyliła jego głowę do tyłu, odsłaniając szyję, i obnażyła kły.

Jonathan zakrzyknął:

- Boże, błagam, nie!

Kątem oka dostrzegł pełznący w ich stronę cień, który nagle okręcił się wokół kobiety, a potem oderwał ją od Jonathana i rzucił nią o mur. Jonathan sparaliżowany strachem obserwował, jak cień złowieszczo unosi się nad Kobieta w Bieli, która zakrzyknęła przerażona:

- Pani, ratuj!

Harker podążył za jej wzrokiem. Zobaczył czerwoną mgłę, która zbliżała się w ich kierunku, i pomyślał o śmierci. Poczul nagle wilgoć na swojej twarzy. Odwrócił się i ujrzał leżące w cieniu wnętrzności, dalej urwane ręce i nogi. Otarł ręką czoło - uświadomił sobie, że ma na dłoniach krew kobiety.

Nagle na wietrze rozległ się męski głos:

- Uciekaj, głupcze! Uciekaj!

Jonathan rzucił się pędem w kierunku Fleet Street, a po chwili obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy nic go nie ściga. I ujrzał coś dziwnego. Czerwona mgła oparła się o cień, jak gdyby ten zablokował jej drogę. Czerwień okręciła się jak kobra i uderzyła w swojego napastnika, przebijając go na wylot. Cień rozpadł się i rozproszył. Jonathan zrozumiał, że to był jego obrońca, a czerwona mgła, która nacierała na niego z ogromną prędkością - prawdziwym wrogiem. Jednak czymkolwiek był ten cień, nie mógł się równać z zabójczą czerwienią. Do Fleet Street zostało mu jeszcze tylko kilka metrów. Tam byli ludzie, którzy mogli mu pomóc. Ocalenie było na wyciągnięcie dłoni.

Nagle usłyszał rzenie koni. Z mgły wyłonił się czarny powóz bez woźnicy i zablokował mu drogę. Wiedział już, że nie zdąży dobiec do uliczki. Miał tylko jedno wyjście. Skręcił w lewo, w następny zaułek. Biegł ostatkiem sił, błagając krzykiem o pomoc. Był słaby, alkohol odebrał mu całą energię. Nagle ugięły się pod nim kolana i runął na bruk. Otoczyła go czerwona mgła. Kim jesteś? Czego chcesz? - powtarzał w myślach.

- O Boże!

Ostatnią rzeczą, którą usłyszał Jonathan, był jego własny wrzask. Pomyślał o Minie.

Sto osiemdziesiąt mil od tego miejsca, w Exeter, Mina Harker obudziła się z krzykiem.



Rozdział XVII

Inspektor Cotford siedział w pubie Red Lion pochylony nad papierami. Ten najdalszy, najciemniejszy zakątek pubu był jego ulubionym miejscem. Nie musiał się obawiać, że ktoś mu je zajmie - było zbyt oddalone od baru i centrum wydarzeń. Cotford pomyślał, że gdyby lokal ten nie był zwykłą speluną, jego odosobniony kątek byłby wymarzone miejsce dla młodych kochanków. Ale to był bar dla prawdziwych facetów. Dla miłośników mocnych trunków. A zwłaszcza dla policjantów. Młode damy nigdy tu nie zaglądały. Tu mocna whisky łała się strumieniami, jedyną oznaką uczuć było klepanie po plecach, a zamiast czułych słówek padały świńskie dowcipy.

Red Lion, jako pub położony najbliżej Izby Gmin, siedziby Scotland Yardu oraz rezydencji premiera przy Downing Street, wśród swoich stałych klientów miał głównie polityków, policjantów i urzędników służby cywilnej. Wszyscy szczęściarze, którzy mieli rodziny, o tej porze byli już w domach. Tylko ci, którzy nie mieli innego życia, upijali się alkoholem i własną samotnością. Cotford doskonale pasował do tego towarzystwa. Ponury kąt wśród ścian wyłożonych ciemną boazerią, gdzie długie cienie tworzyły barierę między nim a resztą bywalców pubu, był wymarzone miejsce dla niego. On także pragnął prywatności, by zostać sam na sam z jedyną rzeczą, jaka mu pozostała - swoją pracą.

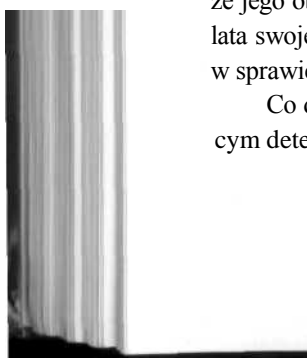
Dał znać kelnerce, żeby podała mu kolejne piwo, i wrócił do zajęć. Właśnie sprawdzał zgodność ręcznych zapisków z przepisnymi na maszynie zeznaniem, które miał wysłać do Koronnej Służby Prokuratorskiej. Od tych raportów mieniło mu się już w oczach. Sprawa dotyczyła szajki złodziei rowerów. Trudno było zaprzeczyć, że pomoc biednym, ciężko pracującym ludziom w odzyskaniu ich jedynej środka lokomocji była ze wszech miar szlachetnym zajęciem. Jednak Cotford nic nie mógł poradzić na to, że odczuwał to jako degradację. Zresztą praca rok w rok w tym samym biurze bez szans na awans nie była żadną mobilizacją.

Kelnerka zastąpiła jego pusty kufel ciepłym piwem. Cotford odwiedzał ten bar od trzydziestu lat i dobrze znał tę kobietę. Niestety przez te wszystkie lata nie udało mu się zamienić z nią nawet słowa.

Inspektor wiedział, że po tamtej sprawie nie jest już anonimowy. Zastanawiał się, czy kelnerka nie ignoruje go celowo, by okazać mu pogardę dla jego nieudolności. A może po prostu wyczuła, że Cotford nie jest zbyt towarzyskim człowiekiem? A zaraz potem w jego głowie pojawiła się trzecia, niezbyt pocieszająca możliwość: mianowicie że tak się zestarzał, roztył, rozpił i zgorzkniał, iż najzwyczajniej w świecie działał na nią odpychająco. Cotford skierował wzrok na twarze spoglądające surowo z portretów na ścianach. Oto elita Scotland Yardu. Walka ze światem przestępczym wydawała się czasem walką z wiatrakami. Może właśnie dlatego każdy policjant uważał, że im więcej spraw rozwiąże, im więcej osób doprowadzi za kratki, im bardziej przechyli szalę Temidy na korzyść wymiaru sprawiedliwości, tym więcej warte będzie jego życie. Ci wspaniali ludzie, którzy widnieli na tej ścianie, przyczynili się bardziej niż ktokolwiek inny do utrzymania bezpieczeństwa w tym mieście. Oto starszy inspektor Donald Swanson. Dalej komisarz Thomas Arnold, który zrezygnował ze służby, by walczyć w wojnie krymskiej, a po zakończeniu konfliktu powrócił w szeregi policji. Na najbardziej zaszczytnym miejscu wisiał portret starszego inspektora Fredericka Abberline'a, jego dawnego mentora. Uśmiechnął się na jego widok. Nie da się ukryć, Abberline zawsze wyglądał bardziej na dyrektora banku niż na detektywa - pomyślał. Cotford wzniosł za nich wszystkich toast.

Gdy był jeszcze młodym policjantem z głową pełną ideałów, zastanawiał się, dlaczego taki dobroduszny człowiek jak Abberline podjął się dźwigać na swych barkach ciężar świata. Dopiero z wiekiem Cotford zrozumiał. Stary inspektor uważał po prostu, że przyprowadzenie zbrodniarzy przed oblicze sprawiedliwości jest jego świętym obowiązkiem. Nie było szlachetniejszego powołania. Dwadzieścia pięć lat temu, gdy nie udało im się złapać Kuby Rozpruwacza, oburzenie opinii publicznej było tak duże, że Abberline zmuszony został do przejścia na emeryturę. Mimo to ze względu na jego wcześniejsze zasługi nikt nie miał wątpliwości, że jego obecność na tych ścianach jest w pełni zasłużona. Inspektor przez długie lata swojej chwalebnej kariery rozwiązał tyle zagadek kryminalnych, że porażka w sprawie morderstw pięciu prostytutek nie nadszarpnęła jego reputacji.

Co do Cotforda, sprawy miały się jednak inaczej. Był wówczas początkującym detektywem u progu kariery, która - jak się okazało - skończyła się szyb-



ciej, niż się zaczęła. Wiedział, że oczekiwano od niego honorowego zachowania i rezygnacji, ale on był na to zbyt krnąbrny. Te pięć prostytutek było zmorem jego życia. Póki nie znajdzie ich zabójcy i nie zmyje tej plamy na swym honorze, nie było mowy, aby dobrowolnie odszedł z policji. Modlił się, żeby odkrycia z dziennika doktora Sewarda zmasowały jego winę.

Nagle drzwi do pubu otwarły się z hukiem. Każda para pijanych, przekrwionych oczu zwróciła się w stronę młodego policjanta. Chłopak, zziębnięty i zlany potem, stanął na środku baru i krzyknął:

- Czy jest tu inspektor Cotford?

Ciszę w barze, która zapadła na chwilę, przerwały szepty między klientami.

- Tu jestem - dobiegł gromki głos Cotforda wyłaniającego się z cienia.

Młody policjant zsalutował i wręczył mu złożoną kartkę papieru.

- Inspektorze Cotford, sierżant Lee kazał mi to panu doręczyć w trybie natychmiastowym. Domyślam się, że to pilna sprawa.

Cotford lubił tego chłopaka - był idealistą, pełnym poświęcenia dla swojej pracy, tak jak on sam za młodu. Inspektor rozłożył kartkę i przeczytał wiadomość - najpierw raz, a potem drugi. Ruszył w stronę drzwi. Młody policjant krzyknął za nim:

- Inspektorze! Jestem już po służbie, więc jeśli potrzebuje pan pomocy, jestem do usług!

Cotford zastanowił się przez chwilę, a potem rzekł:

- Tam na stole leżą moje notatki. Proszę je szybko dostarczyć do Koronnej Służby Prokuratorskiej. Nie zawieź mnie, młody człowieku. Sprawiedliwość spoczywa w twoich rękach.

- Tak jest! Może pan na mnie liczyć, sir!

A potem Cotford ruszył ku swemu mrocznemu przeznaczeniu, z nadzieją, że oto wkracza na nową ścieżkę, która doprowadzi go do konfrontacji ze złem. Do konfrontacji, na którą czekał dwadzieścia pięć lat.

Nagły błysk magnezji oślepił sierżanta Lee. Przed oczami zamigotały mu niebieskie plamki, po chwili jednak jego wzrok na nowo przystosował się do tego makabrycznego widoku. Policyjny fotograf naładował z powrotem magnezję i zrobił kolejne zdjęcie. Tym razem Lee się odwrócił. Z rozrzewnieniem wspominał czasy, kiedy na miejsce przestępstwa wzywano rysowników, a nie fotografów.

Od kiedy wstąpił do Scotland Yardu, zastanawiał się, jak by to było pracować nad sprawą słynnego Kuby Rozpruwacza. Kiedy doszło do tamtych brutalnych morderstw, Lee był zaledwie małym chłopcem, jednak dokładnie pamiętał tamte dni. Właściwie to owe słynne zabójstwa były przyczyną, dla której w 1902 roku, po drugiej wojnie burskiej, porzucił armię i wstąpił do londyńskiej policji. A teraz, dziesięć lat później, stał w wąskiej uliczce w centrum Londynu i spoglądał na okaleczone szczątki młodej kobiety. Podczas wojny wiele razy widział zakrwawione i rozerwane ciała, były to jednak zwłoki mężczyzn. Widok zmasakrowanej kobiety był czymś dużo gorszym. Oderwana noga, odcięta głowa, serce wyjęte z piersi, a wszystko to w kałuży krwi. Koszmaru dopełniały wypatroszony korpus i wyprute z niego wnętrzności.

Stalowe oczy sierżanta Lee wodziły za przydzielonym do tej sprawy inspektorem Huntleyem, który z rękoma założonymi za plecy nadzorował działania dwóch konstabli, zbierających i spisujących dowody.

Nagle w zaułku rozległ się ostry kaszel. Lee, Huntley i dwaj młodzi policjanci odwrócili się w stronę Tempie Bar. Z mgły wyszedł chwiejący się na nogach korpulentny mężczyzna. Huntley skierował światło latarki w jego stronę. Lee od razu rozpoznał Cotforda. Miał nadzieję, że stary inspektor wykazał na tyle rozsądku, by nie pokazywać się tu pod wpływem alkoholu. Lee posłał po Cotforda, nie pytając przełożonych o zdanie, jeśli więc ten zrobi z siebie głupca przed inspektorem Huntleyem, który lubił demonstrować swoją władzę, sierżanta z pewnością czeka surowa nagana. Ujrawszy niepewny krok swojego mentora, Lee zaczął obawiać się, że ten akt lojalności może go drogo kosztować.

Huntley świecił latarką prosto w czerwoną, spoconą twarz Cotforda, który mimo to nie odwrócił wzroku, ale spoglądał wprost w nią, niemal prowokacyjnie.

- Inspektor Cotford? - odezwał się Huntley. - Chyba pomylił pan drogę. Do pubów idzie się w górę Fleet Street.

Dwaj młodzi policjanci zarechotali. Lee znał swojego mentora i obawiał się jego reakcji. Na szczęście Cotford spokojnie ominął Huntleya i podszedł do ciała ofiary. Huntley i jego podopieczni wymienili zdziwione spojrzenia. Czy on naprawdę zamierza prowadzić tu jakieś śledztwo? Teraz już wybuchnęli szczerym śmiechem. Do Cotforda zdawało się to w ogóle nie docierać, ale Lee wstydził się za niego.

- Przybył pan w samą porę, inspektorze - rzekł Huntley. - Właśnie zamie rzałem przedstawić wnioski z dotychczas zebranych dowodów. Może pan po słuchać i przy okazji czegoś się nauczyć.

Lee miał ochotę rozkwasić Huntleyowi tę jego bezczelną gębę. Cotford jednak w ogóle nie zważał na jego słowa zaabsorbowany krwawymi szczątkami.

Huntley rzekł:

- Sądząc z bogato zdobionej sukni ofiary, nie była dziwką z Whitechapel. Albo więc została tu zaciągnięta przez zabójcę siłą, albo też miała się z nim spotkać z własnej woli. Na Tempie Bar nawet o tej porze panował ruch, gdyby więc przywleczono ją siłą, przechodnie z pewnością usłyszeliby jej krzyki. Możemy zatem wnioskować, że przyszła tu na spotkanie ze swoim kochankiem. Coś jednak poszło nie tak. Być może odrzuciła jego zaloty i pokłócili się, a wtedy mąż czyżna próbował wziąć siłą to, czego nie dostał po dobroci. Doszło do rękoczynów, a gdy kobieta próbowała uciekać, jej kochanek wyjął nóż.

Sierżant był pod wrażeniem dedukcji Huntleya.

Stary inspektor jednak wciąż nie zwracał na nich uwagi. Podniósł z ziemi odciętą głowę Kobiety w Bieli. Na twarzy ofiary malowało się przerażenie. Cotford, niewzruszony, odwrócił ją i włożył palec w zakrwawioną szyję, wygrzebując stamtąd strzępy rozerwanej skóry. A potem podrzucił głowę do góry, złapał ją i spojrział w otwarte oczy martwej kobiety.

Lee przestał się już bać, że dostanie nagane. Teraz zaczął się bać o swoją pracę.

Cotford odłożył odciętą głowę na ziemię, po czym chwiejnym krokiem podszedł w stronę rozbitych skrzyń. Huntley, obserwując go, pokręcił głową z politowaniem, po czym wrócił do swojej przemowy:

- Nasz zabójca rzucił się na nieszczęsną ofiarę, a potem brutalnie ją zamordował i okaleczył zwłoki. Jestem przekonany, biorąc pod uwagę bogaty strój ofiary, że morderca również należy do towarzystwa. Cała ta krwawa jatka miała tylko zmylić trop. Zabójca liczył bowiem, że jakiś nieudolny śledczy zacznie szukać winnego tej okrutnej zbrodni wśród plebsu. Tempie Bar to okolica ludzi wysoko postawionych, prawników i bankierów. To właśnie w ich szeregach powinniśmy szukać zabójcy.

Nagle dobiegł ich jakiś trzask z głębi zaułka. I znów wszystkie oczy skierowały się na Cotforda. Na pierwszy rzut oka wyglądało to tak, jak gdyby stary inspektor przewrócił się na ocalałe skrzynie. Po chwili jednak Lee uświadomił

sobie z przerażeniem, że w rzeczywistości jest jeszcze gorzej. Cotford podniósł się bowiem, cofnął się o kilka kroków, rozpedził, a potem ponownie rzucił się na skrzynki całym ciężarem ciała. Gdy znowu próbował się wygramolić, zorientował się wreszcie, że wszystkie oczy zwrócone są na niego.

- Najmocniej przepraszam, panie inspektorze - rzekł. - Proszę sobie nie przeszkadzać i nie zwracać na mnie uwagi.

Jeden z policjantów odezwał się do Huntleya:

- A co z tym krwawym śladem buta na desce, inspektorze?

- Właśnie do tego zmierzam. Zabójca po popełnieniu zbrodni spostrzegł, że jest cały umazany krwią, i zaczęło do niego docierać, co zrobił. Rzucił się wtedy do ucieczki. Biegając, nadepnął na deskę, i dzięki odciskowi jego buta wiemy, że uciekł w stronę Tempie Bar.

- Dobra robota, kolego - odezwał się Cotford.

Huntley odwrócił się w jego stronę, by podziękować za uznanie, ale onie miał na widok klęczącego Cotforda, który kręcił deską, jak dziecko bawiące się bąkiem.

Na szczęście przyjazd koronera, który miał dokonać oględzin zwłok, odciągnął uwagę od starego inspektora.

- No dobra, chłopcy, skoro zjawił się konował, nasza robota skończona - rzekł Huntley z zadowoleniem. - Stawiam pierwszą kolejkę w pubie! - Po czym cała trójka oddaliła się ze śmiechem.

Tymczasem koroner na widok szczątków ofiary o mało nie zwrócił kolacji.

Lee, jako wojskowy w trzecim pokoleniu, został wychowany przez ojca w duchu dyscypliny oraz szacunku dla regulaminu i hierarchii. Posyłając po Cotforda, postąpił wbrew swoim zasadom. Dlatego teraz musiał zająć się człowiekiem, którego niegdyś uważał za bohatera, a który najwyraźniej stoczył się na samo dno. Lee wziął głęboki oddech i odwrócił się w stronę Cotforda. Jednak stary inspektor gdzieś zniknął. Gdzie go znowu licho poniosło?

Sierżant ruszył na jego poszukiwanie w głąb krętej uliczki, w stronę Fleet Street. Tam ujrzał Cotforda, który pochylał się na czworakach nad czymś ciemnym, a potem podniósł to z ziemi i powąchał. Lee zorientował się, że to koński nawóz.

Ze współczuciem ukłęknał przy starszym koledze i położył mu rękę na plecach.

- Inspektorze, może odprowadzę pana do domu?



Cotford strzepnął łajno z palców, wytarł ręce o spodnie i spojrzał na sierżanta. Był zupełnie trzeźwy, a oczy błyszczały mu w podnieceniu. Podnosząc się z ziemi, rzekł:

- Huntley może i jest nadętym dupkiem, ale całkiem nieźle dedukuje. W jego rozumowaniu są jednak pewne luki. Te skrzynie zostały zrobione z utwardzonych dębowych desek, specjalnie po to by dźwigać ogromne ciężary. Jak widzisz, nie jestem wątlwym człowiekiem. Choć rozpędziłem się i rzuciłem całym ciężarem ciała na te skrzynie, mimo moich wysiłków nie pękła nawet jedna.

- Co pan chce przez to powiedzieć, inspektorze?

- Owszem, Huntley miał rację, że mężczyzna i kobieta mieli tu miłosną schadzkę. Ale moim zdaniem zaatakował ich ktoś trzeci.

- Skąd to przypuszczenie?

- Spójrz pod nogi. Widzisz te krwawe odciski na bruku? To męskie dłonie. Lee spojrzał w dół. Rzeczywiście, były tam ślady, których Huntley nie za uważał.

- *7M^VÓC* uwagę na kciuki - rzekł Cotford. - Człowiek ten przewrócił się do tyłu, starając się złagodzić upadek, i dlatego kciuki skierowane są do przodu. Ta osoba najwyraźniej się cofała.

- Przed czym?

- Widzisz to końskie łajno? Skoro były tu konie, to przypuszczalnie ciągnęły jakiś powóz, który zagroził mężczyźnie drogę. Człowiek ten chciał uciec w stronę Fleet Street i już wtedy był cały we krwi.

Sierżanta ogarnął wstyd, że kiedykolwiek zważył w Cotforda.

- Uciekał przed ową trzecią osobą - Lee dokończył myśl inspektora.

- Właśnie! To musiał być bardzo silny mężczyzna, bo z ogromną siłą rzucał naszą nieznaną drugą ofiarą o te skrzynie. Do tego na ciele kobiety nie ma ran od noża, który odciąłby głowę od torsu. Postrzępiona tkanka na szyi może wskazywać na tylko jedną rzecz. Czyjeś bardzo silne ręce po prostu oderwały jej głowę od ciała.

Lee nie mógł wyjść ze zdumienia.

- Zaraz, zaraz, inspektorze. Powiedział pan przed chwilą, że ludzkie ciało rzucone o te skrzynie nie mogłoby ich roztrzaskać. A oderwać głowy nie zdołałby nawet mężczyzna mojej postury!

- Dowody mówią same za siebie. To, że czegoś nie jesteśmy w stanie wytłumaczyć, nie oznacza, że możemy to ignorować. Według mojego doświadczenia,

sierzancie Lee, szaleniec w ataku furii może mieć siłę dziesięciu mężczyzn. Już raz ścigałem takiego człowieka.

Cotford odwrócił się i skręcił w uliczkę wiodącą w stronę nabrzeża. Lee podążył za nim. Inspektor zatrzymał się w pewnej chwili, podniósł z ziemi mały błyszczący przedmiot i rzucił go sierżantowi. Był to mosiężny guzik z wygrawerowanym monogramem: W&S.

- Wallingham & Sons - rozszyfrował skrót Lee.

- Tak jest - potwierdził inspektor. - Jeden z najlepszych krawców w Londynie.

Na guziku były ślady świeżej krwi.

- Nasza druga ofiara była również zamożna - dodał.

- Ale skąd pan wiedział, że tu należy szukać?

- Widziałeś wcześniej, jak kręciłem deską. Taki kawałek drewna, gdy ktoś nadepnął na niego w biegu, mógł podskoczyć do góry i zawirować na nierównym bruku jak bąk. Odcisk buta kazał się domyślać Huntleyowi, że jego podejrzany uciekał w kierunku Tempie Bar. Inspektor jednak się mylił. Ślad na desce wskazuje zły kierunek. Był to but należący do drugiej ofiary, a człowiek ten bynajmniej nie był sprawcą przestępstwa, który chciał zbiec z miejsca zbrodni. On uciekał przed trzecią osobą, prawdziwym zabójcą. Pościg zakończył się tutaj.

Cotford znowu przyklęknął, zanurzył palec w krwi rozbryzgniętej na bruku i pokazał go sierżantowi.

- Chciałbym, żeby wyświadczył mi pan jeszcze jedną przysługę, sierzancie, a mianowicie przekazał mi raport z sekcji zwłok.

Lee zawahał się. Byłoby to kolejne naruszenie regulaminu. Ale czuł, że ten stary wyga znalazł właściwy trop. Odparł więc:


- Jak pan sobie życzy, sir.

Cotford kiwnął głową i ruszył z powrotem w stronę mgły. Lee dodał jeszcze:

- Krwi tu niewiele, inspektorze. Może jeszcze będziemy mieć żywego świadka.

- Szczerze w to wątpię - odparł Cotford. Pochylił głowę i przeżegnał się. - Obawiam się, sierzancie, że jutro rano będzie pan wzywał inspektora Huntleya w kolejne miejsce zbrodni. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Rozdział XVIII

ate Reed nienawidziła Londynu o poranku, a zwłaszcza tłumu ludzi spieszących do pracy. Perspektywa podróży metrem, w którym była by zgnieciona niczym sardynka w puszcze, napawała ją obrzydzeniem, tak samo jak myśl o tych wszystkich ludziach, którzy mieliby się o nią ocierać. Wstała więc przed mężem i obudziła dzieci, gdy za oknem było jeszcze ciemno. Pragnęła bowiem załatwić swoją sprawę o świcie i wrócić do domu jeszcze przed godziną porannego szczytu.

Mając u boku małego synka, a przed sobą ciężki wózek, z trudem gramoliła się w górę schodów na stacji Piccadilly. Minęło ją kilka osób, ale nikt nie zaproponował jej pomocy. Nie ma już na świecie porządných ludzi - pokręciła głową ze smutkiem. Zresztą całe Piccadilly Circus działało na nią przygnębiająco. Ostatnimi czasy plac zupełnie podupadł. Dwa lata temu pewna kompania piwowarska zainstalowała tutaj wielką reklamę oświetloną przez dziesiątki migoczących żarówek. Niestosowny plakat kłał piękną architekturę okolicznych budynków. Kate nie mogła stać z założonymi rękami, zwłaszcza teraz gdy miała małe, podatne na wpływy z zewnątrz dzieci, dlatego przyłączyła się do protestu tysięcy osób, które żądały usunięcia reklamy. Było wielu, którzy twierdzili, że jeden plakat nie stanowi żadnego zagrożenia, ale Kate wiedziała, że jeśli jedna występna kompania dostanie pozwolenie na propagowanie swoich niemoralnych dóbr, za jej przykładem pójdą następne. Nocą światło tej reklamy przyciągało zdeprawowany tłum. Piccadilly Circus, onegdaj jedno z głównych miejsc Londynu, w zamyśle miał być eleganckim placem podobnym do paryskich bulwarów, potem jednak przekształcił się w centrum dzielnicy teatralnej. Prostacka strona miasta - pomyślała z pogardą. Reklama piwa była tylko kolejnym na to dowodem. Noga Kate nigdy by nie postąpiła w tym rozpustnym miejscu, gdyby buty jej męża nie potrzebowały naprawy, a nie było lepszego szewca od Johna Tucka, który miał warsztat na Piccadilly. Ustępował jedynie Lobbowi z St James, ale na niego nie było jej stać.

Gdy wreszcie wyszła ze stacji metra, wybrała dłuższą trasę, by uniknąć niesławnej reklamy. Nie chciała, by jej migotanie kusilo małego Matthew. Niestety, alternatywna droga także nie była wolna od nieprawości. Prowadziła bowiem obok wzniesionego ku czci lorda Shaftesburyego pomnika, którego zwieńczeniem - o zgrozo! - była naga uskrzydłona postać. To było chyba jeszcze gorsze.

Posąg był zbyt lubieżny, by uhonorować nim takiego trzeźwo myślącego, szanowanego filantropa, jakim był lord Shaftesbury. Władze miasta starały się wyciszyć kontrowersje wokół pomnika, nazywając go chrześcijańskim Aniołem Miłosierdzia. Ale prawdziwi chrześcijanie, tacy jak Kate, nie dali się nabrać. Po mieście krążyły pogłoski, jak tak naprawdę miał się nazywać ten pomnik - Eros, grecki bożek miłości. Pogańskie bóstwo wzniesione ku pamięci dobrej chrześcijańskiej duszy. Kate, zgorzonna, odwróciła oczy.

Matthew wyrwał się matce i pobiegł ku otwartej przestrzeni Piccadilly Circus, by puścić samolocik ze świerkowych gałązek i papieru, zrobiony dla niego przez ojca. Silny wiatr wiejący z przeciwnej strony zawrócił zabawkę, ale zafascynowany tajemnicą podniebnych lotów Matthew nie poddawał się.

- Jestem Henri Salmet! Lecę nad kanałem La Manche! - wykrzyknął i pobiegł, by odzyskać swój samolocik.

- Matthew, wracaj! - krzyknęła Kate. - Mamy mało czasu. Po wizycie u szewca mamusia musi jeszcze iść na Covent Garden, zanim wykupią nam naj lepsze ryby.

Odczekawszy, aż sznur dorożek przejedzie Regent Street, Kate podeszła do krawężnika i wyciągnęła rękę do syna.

- Idziemy, Matthew.

Ale chłopca tam nie było. Poirytowana, że straciła szansę przejścia na drugą stronę, odwróciła się, by sprawdzić, gdzie zniknął jej syn. Dostrzegła go, jak stał na środku placu z zadartą do góry głową.

- Matthew, chodź no tu!

Chłopiec się nie poruszył. Samolocik leżał na ziemi u jego stóp. Czyżby się gapił na ten nieprzyzwoity posąg?

- Matthew! Chodź tu natychmiast!

Kate, manewrując wózkiem między spieszącymi się ludźmi, podeszła do chłopca.

- Czy nie słyszałaś, jak cię wołałam, synu?

Ifr*

Matthew wciąż nie reagował na jej słowa. Za to trząsł się jak osika. Kate poczuła zapach moczu i ujrzała kałużę tworzącą się u stóp chłopca. Przyklekła na jedno kolano i chwyciła go za ramiona.

- Matthew, co się z tobą dzieje?

Chłopiec podniósł do góry drżącą rączkę. W jego oczach było coś, czego nigdy przedtem nie widziała. Przerazenie.

Podniosła głowę. Jej syn wskazywał na pobliskie drzewo. Zaraz, zaraz - pomyślała Kate - na Piccadilly Circus nigdy nie było drzew.

I wtedy wrzasnęła tak przeraźliwie, że wszyscy na placu przystanęli.

Natychmiast porwała syna i zakryła mu oczy, a sama dalej darła się histerycznie. Ludzie zbiegli się na ratunek. Jakiś mężczyzna spytał:

- Co się stało, proszę pani?

Kate uniosła rękę i odpowiedziała drżącym głosem:

- Szatan zawitał do Londynu.

Wszyscy spojrzeli we wskazanym kierunku. Nie wierzyli własnym oczom. Przez tłum przeszła najpierw fala pomruku, która zaczęła się wzmagać, aż wreszcie przerodziła się w jeden wielki przeraźliwy krzyk.

Rozległy się gwizdki policji zaniepokojonej tą nagłą zbieraniną. Kobiety zaczęły mdleć. Mężczyźni wymiotowali. Samochody hamowały z piskiem. Wózki handlarzy zaczęły wpadać jeden na drugi. Istne pandemonium.

Oto bowiem na środku Piccadilly Circus, górując nad chrześcijańskim Aniołem Miłosierdzia, stał liczący czterdzieści stóp drewniany pal. Na jego wierzchołek nabity był nagi człowiek. Pal przechodził przez jego ciało, a zaostrzony koniec wywłócił wnętrzności, które wylewały się teraz przez usta, pomiędzy zmiażdżonych szczęk. Był cały we krwi. Nagle ciałem wstrząsnęły drgawki i wydobył się z niego mrozący krew w żyłach jęk. Ten nieszczęśnik wciąż żył.

Zaiste, było to dzieło szatana.

Rozdział XIX

Kiedy wieczór wcześniej Quincey spotkał się z Basarabem, nie był pewien, czego się spodziewać. Aktor poinformował go, że nie wraca ze swoim zespołem do Rumunii, ale też ani słowem nie wspomniał, że pojedzie z nim do Londynu. Chłopaka ogarnęły czarne myśli. Zapewne Basarab miał już dość jego towarzystwa.

Aktor, widząc jego ponurą minę, roześmiał się tylko i wyjął z kieszeni kontrakt. Oficjalnie poprosił Quinceya, by dołączył do jego zespołu, został jego pełnomocnikiem i zajął się wszystkimi przygotowaniem związanych z wyjazdem do Londynu.

Quincey nie posiadał się z radości. Nawet potoki deszczu zalewające Paryż nie mogły zepsuć mu nastroju.

Podczas gdy przechodnie rozbiegli się, szukając schronienia, Quincey szedł spokojnie w stronę Gare du Nord, a deszcz łaskotał go po twarzy. Jako Anglik był przyzwyczajony do takiej pogody. Tyle że w jego ojczyźnie deszcz sprawiał, że świat stawał się szary, w Paryżu natomiast nadawał wszystkiemu złoty odcień. Miasto światła błyszczało teraz podwójnie. To była zapowiedź jego jasnej, świetlanej przyszłości. Czuł w sobie lekkość, jakiej nie pamiętał od czasu, kiedy ojciec wyciągnął go siłą z teatru. Wskoczył do pociągu jadącego w kierunku Calais i usadowił się w wagonie restauracyjnym. Gdy wkładał bilet i paszport do wewnętrznej kieszonki płaszcza, znalazł tam telegram. W całym tym podekscytowaniu zupełnie o nim zapomniał.

Mina nie wiedziała, gdzie może zastać syna, Deane musiał więc przesłać telegram do teatru Odeon w nadziei, że tam złapie Quinceya. Dyrektor Antoine wręczył mu go poprzedniego dnia. Od tamtej pory chłopak nosił wiadomość przy sobie, ale jeszcze jej nie przeczytał. Domyślał się zresztą, co miała mu do powiedzenia matka. Zapewne pod naciskiem nieugiętego ojca błagała go, by przemyślał raz jeszcze swoją decyzję i wrócił na Sorbonę. Chłopaka dalej dręczyło poczucie winy, że nie pożegnał się z matką, ale nie był jeszcze gotowy na to, żeby się z nią pogodzić. Najpierw chciał umocnić swoją pozycję w branży teatralnej, a dopiero potem skontaktować się z rodzicami i zaprosić ich na premierę *Draculi* Brama Stokera. Miał nadzieję, że będą z niego dumni, gdy zobaczą nazwisko syna na afiszu, i to w podwójnej roli - współproducenta i aktora.

* #

Do tego czasu chciał uniknąć konfrontacji z rodzicami. Musiał być silny. Skoncentrowany na celu. I nie chciał, by cokolwiek psuło mu teraz nastrój.

Quincey zamówił herbatę i usadowił się wygodnie w fotelu. Czekala go miła podróż z powrotem na francuskie wybrzeże. Jego myśli krążyły wokół udanego spotkania z Deanem w Lyceum i podpisania kontraktu. Chwilę później rozmyślenia doprowadziły go do kupionych książek i do historii księcia palownika. Dlaczego Stoker nazywał Draculę hrabią, a nie zgodnie z prawdziwym tytułem księciem? Dziwne. Może chciał oddzielić swoją fikcyjną postać od krwawej spuścizny jej historycznego pierwowzoru, licząc na to, że czytelnicy obdarzą bohatera większą sympatią.

Gdy przyniesiono mu herbatę, odłożył książki i notes na stolik. Spojrzał na siedzącego przed nim pasażera, który czytał popołudniowe wydanie gazety „Le Temps”.

Chłopak o mało nie upuścił filiżanki.

Wyrwał mężczyźnie gazetę, a ten, ujrawszy wyraz jego twarzy, nie ośmielił się zaprotestować. Choć szorstki papier, który czuł pod palcami, świadczył, że to nie sen, Quincey wciąż nie mógł uwierzyć w ten tytuł:

„HOMME EMPALE”. „MEŹCZYŻNA
NABITY NA PAL”.

Pod tytułem umieszczony był rysunek ofiary. Oczy Quinceya powędrowały do ryciny w książce, na której widniał książę spożywający posiłek w otoczeniu nabitych na pal jeńców. Gdy czytał artykuł, serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe:

„Un homme a ete decouvert empale hier raa-
tin a Piccadilly Circus”.

„Wczoraj rano na Piccadilly Circus znale-
ziono człowieka nabitego na pal”.

Ręce tak mu się trzęsły, że trudno mu było czytać. Odłożył gazetę na stolik i zaczął artykuł od nowa. Zbyt dobrze znał francuski, żeby mieć jakiegokolwiek wątpliwości. Zaczęło mu brakować tchu. Gdy doszedł do ostatniego wiersza, o mało nie zemdlął. Zmusił się do przeczytania tych słów po raz kolejny:

„Ofiara okazał się Jonathan Harker, zna-
ny adwokat z Exeter, małego miasteczka na
zachód od Londynu”.

Rozdział XX

Inspektor Cotford chwycił białe bawełniane prześcieradło, które w świetle lampy wodorowej błyszczało opalizująco. Odwrócił się w stronę Miny Harker, która właśnie nabierała oddechu, by uspokoić nerwy.

Obserwował kobietę bardzo uważnie od momentu, gdy przekroczyła próg kostnicy. Nie wzdygnęła się w drzwiach, jak większość wdów, które przychodzą obejrzyć zwłoki mężów. Jej postawa i skupiony wzrok znamionowały ukrytą siłę. Miała na sobie elegancką, stonowaną czarną suknię. Jasne loki upięła w kok w ten sam sposób, jak robiła to matka Cotforda. Zauważył też, że mimo swojego nobliwego stroju pani Harker wygląda na dużo młodszą, niż jest w rzeczywistości. Na jej uderzająco pięknej twarzy, gładkiej jak porcelana, nie było nawet śladu zmarszczek. Czas obszedł się z nią wyjątkowo łaskawie. Cotford stwierdził, że Jonathan Harker musiał być idiotą, skoro szukał towarzystwa dziwek, mając w domu tak wspaniałą kobietę.

Starął się zachować kamienną twarz. Gdy ponownie zbadał miejsce przestępstwa, znalazł kilka nowych dowodów, ale wiedział, że jego zwierzchnicy nie uznaliby ich za jednoznaczne. Lee pokazał mu raport z sekcji zwłok kobiety, której tożsamości do tej pory nie udało im się ustalić. Krwawe odciski palców, znalezione w zaułku, należały do Jonathana Harkera, zgadzała się także grupa krwi. Cotford nie miał wątpliwości, że to Harker był drugą ofiarą napastnika. Czuł niezwykłą satysfakcję, jak za każdym razem gdy potwierdzały się jego przypuszczenia. Czytając dziennik Sewarda, inspektor zdał sobie sprawę, że jest on właściwie spowiedzią. Doktor wprost, z imienia i nazwiska, wskazał pozostałych członków szajki, która dokonywała zbrodni dokładnie takich samych jak te przypisywane Kubie Rozpruwaczowi. Wreszcie stało się jasne, dlaczego Abberline nie był w stanie schwytać tajemniczego mordercy. Kuba Rozpruwacz nie był bowiem jednym człowiekiem, ale szajką obłąkanych okultystów. Sewarda zabito zapewne, by go uciszyć. Przywódca zaczął się obawiać zdrady ze strony członków swojej grupy. Cotford był pewien, że śmierć doktora zapoczątkuje nową serię morderstw. Zabójstwo kobiety w białych szatach także nie było dla

niego niespodzianką. Wiedział, że poczuwszy na nowo rozbudzoną żądzę krwi, przywódca szajki wróci do zabijania kobiet.

Doktor Seward pisał w swoich dziennikach również o Minie Harker, ale odnosił się do niej z wielką nabożnością, jakby była świętą. Cotford wątpił, żeby była bezpośrednio zamieszana w morderstwa, jednak z pewnością o nich wiedziała. Miał teraz nadzieję, że Mina okaże się kluczem do wyjaśnienia zagadki z przeszłości.

Gdy umówiwszy się na spotkanie z panią Harker, inspektor zażądał, by z kostnicy usunięto wszystkie krzesła, Lee spełnił polecenie bez mrugnięcia okiem. Jeśli brać dzienniki Sewarda za prawdę, a nie za bredzenie szaleńca, trzeba było przyjąć, że Mina Harker jest silną kobietą. I fantastycznym przeciwnikiem. Jediną szansą na to, by zdradziła wszystko, co wie, było wyprowadzenie jej z równowagi. Zmuszenie do identyfikacji zwłok męża powinno być ku temu znakomitą okazją. I oby wystarczyło. W chwili gdy Mina weszła do środka, Cotford wiedział już, że będzie musiał być wobec niej tak szorstki, jak nigdy nie był wobec żadnej kobiety.

Wciąż trzymając prześcieradło, rzekł:

- Muszę panią ostrzec, że ciało pani męża nie prezentuje się najlepiej.

- Niech mi pan uwierzy, inspektorze - wyszeptła Mina - po tym, co wi działam w życiu, niewiele rzeczy może zrobić na mnie wrażenie.

Cotford dramatycznym gestem odsunął prześcieradło. Pod nim na białym żelaznym łóżku leżały zwłoki Jonathana Harkera. Po tym jak usunięto z niego drewniany pal, ciało się zapadło. Leżało tu już od dwóch dni. Procesy gnilne odcisnęły na nim swój widoczny ślad. Skóra denata przybrała zielonkawoniebieski odcień, co pod wodorową lampą wyglądało jeszcze bardziej upiornie. Po odsłonięciu prześcieradła fetor stał się nie do zniesienia.

Większość kobiet na widok zwłok męża, a co dopiero tak okaleczonych, wpadłaby w histerię albo zemdląła. Natomiast Mina Harker po prostu przez chwilę wpatrywała się w ciało. Po chwili, jak gdyby uświadomiła sobie, co ma przed sobą, odwróciła się. Jej oczy, szeroko otwarte ze zdumienia, zaszkliły się, ale nie popłynęły z nich łzy. Kobieta zachowała powściągliwość i wyprostowała plecy. Wyglądało to tak, jakby ze wszystkich sił starała się, by jej trzeźwy umysł wziął górę nad sercem. Cotford był pod wrażeniem jej siły. Ma żelazną męską wolę ukrytą w delikatnym ciele kobiety - pomyślał. Doktor Seward idealnie opisał Minę Harker.

- Dobry Boże, Jonathanie - westchnęła. Rozejrzała się po pokoju, szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Z braku krzeseł jej wzrok powędrował w stronę

drzwi. Chciała stąd wyjść. Jej reakcja była dokładnie taka, na jaką liczył Cotford. Teraz musiał tylko pójść za ciosem.

Szyki pokrzyżował mu koroner, który pojawił się nagle ze szklanką wody w jednej ręce i chusteczką w drugiej. Mina uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, Cotford natomiast miał ochotę dzielić go po łbie. Tak się starał, żeby utrudnić pani Harker życie, a ten dureń psuje cały jego misterny plan, zgrywając miłosiernego samarytanina. A teraz na dodatek wyjął z kieszeni butelkę soli trzeźwiących. Idiota. Przecież ta kobieta nie ma zamiaru mdleć. Cotford spojrział z dezaprobatą na zdezorientowanego sierżanta Lee. Trzeba było jakoś przeciwdziałać. Rzekł więc lekkim tonem:

- Niezły szaszłyk.

Za jego plecami rozległ się chichot trzech podwładnych sierżanta.

Koroner postąpił naprzód i wykrzyknął:

- Uważam, że pańska uwaga była wysoce niestosowna!

Cotford jeszcze raz spojrział na kolegę, który zagroził drogę koronero-
wi. Najwyraźniej onieśmiał go swoją posturą. Obniżając głos, sierżant rzekł:

- Pana zadaniem jest wykonywanie poleceń. Swoje komentarze proszę za-
trzymać dla siebie.

Cholerny Lee. Jego szept był na tyle głośny, że Mina z pewnością go dosły-
szała. Teraz już wie, że zastawili na nią pułapkę.

- Pańskie współczucie, panie inspektorze, jest mi ogromną pociechą
- rzekła.

Policjanci stłumili chichot i odchrząknęli zawstydzeni. Niezłe posunięcie,
pani Harker - pomyślał Cotford i spojrział na sierżanta. Musiał wykorzystać
swoją przewagę, zanim na dobre ją utraci.

- Proszę mi wybaczyć, ale w końcu sama pani powiedziała, że mało co robi
jeszcze na pani wrażenie.

Mina nie odpowiedziała.

Cotford oparł się o biurko i uderzył ręką w stos oprawionych w skórę
dzienników.

- Wnioskując z notatek świętej pamięci doktora Sewarda, przedwczesna
śmierć nie jest niczym nowym dla pani i pani przyjaciół.

Mina, spojrzawszy na dzienniki, na których spoczywała ręka inspektora,
otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Przez chwilę Cotford myślał, że ją zła-
mał, ale kobieta znów stłumiła wszelkie emocje.

- Mogę zapytać, co pan sugeruje? - spytała hardo.
- Śmierć wydaje się pani stałym towarzyszem. Imiennik pani syna, Quincy P- Morris. Amerykanin. A raczej Tekszańczyk, gwoli ścisłości...
- ... zginął dwadzieścia pięć lat temu podczas wyprawy łowieckiej do Rumunii - przerwała mu.

Cotford zmienił temat.

- Czy ma pani pojęcie, kto mógłby zrobić pani mężowi coś takiego? Miał może jakichś wrogów?

- Mój mąż był prawnikiem - odparła. - W tym zawodzie nietrudno się narazić.

No, to już jest coś - pomyślał Cotford, a na głos rzekł:

- Tak brutalne morderstwo świadczyłoby raczej o motywie osobistym.

- Do czego pan zmierza, inspektorze?

Cotford wiedział, że chodzi jej po głowie jakieś nazwisko. Teraz trzeba tylko było zmusić ją, by je zdradziła.

- Ktoś zdobył się na niemały wysiłek postawienia na środku Piccadilly Circus wielkiego pala i nadziania nań pani męża. Jakoś trudno mi to uznać za zabójstwo w afekcie. Takie działanie wymaga planów i przygotowań. Sprawca musiał żywić w sercu coś więcej niż tylko przelotną urazę. Pani Harker, jeśli w państwa życiu pojawił się kiedykolwiek ktoś, kto jest zdolny do takiego aktu barbarzyństwa, jego imię z pewnością jest pani znane.

To nie mógł być on - pomyślała Mina. Nieważne, ile tak naprawdę wiedział Cotford, i tak już wiedział za dużo. Mina przez chwilę bała się, że zemdleje. Wiedziała, że jej ukochany jest martwy. Żył już tylko w jej koszmarach. Ale nawet jeśli jakimś cudem przeżył, Mina nigdy nie uwierzy, że byłby on w stanie skrzywdzić ją w ten sposób. To nie mógł być on - powtórzyła w myślach. A jeśli - to dlaczego teraz? Dlaczego czekał dwadzieścia pięć lat? A z drugiej strony... czy kogoś innego stać by było na takie okrucieństwo?

Nie mogła zebrać myśli. Wyrzuty sumienia po ostatniej, pełnej gorzkich słów rozmowie z Jonathanem ciążyły jej na sercu. Nie dane im było się pogodzić. Już nigdy nie będzie mieć okazji, by powiedzieć mu, co czuje. Przyrzekła sobie, że nie popełni tego błędu wobec syna.

W kostnicy było zimno. Ostre światło jedynie pogarszało sprawę. Słyszała z oddali tykanie zegara. Czas nie był jej sprzymierzeńcem.

Inspektor sięgnął do leżącej na biurku teczki. Mina rozpoznała faliste brzegi papieru fotograficznego i przygotowała się na najgorsze.

- Zna pani tę kobietę?

Spojrzała na zdjęcie. Widniała na nim odcięta głowa. Mina stwierdziła z ulgą, że nie rozpoznaje ofiary.

- Nie - odparła. - A powinnam?

- No cóż, pani mąż z pewnością ją poznał. W sensie biblijnym, rozumie pani. Dowody wskazują, że był obecny w miejscu, gdzie została zamordowana.

Mina zrozumiała, że ten trop nigdzie Cotforda nie doprowadzi, i poczuła, jak wracają jej siły.

- Dlaczego niby miałyby mnie to obchodzić, inspektorze?

- Krew pani męża znaleziono niedaleko zdekapitowanego ciała tej kobiety. Podobnie jak i to...

Trzymając w ręce mosiężny guzik z wygrawerowanymi inicjałami W&S, Cotford podszedł niedbałym krokiem do łóżka, na którym leżał krciało, a obok strzępy szarego garnituru.

- Znaleźliśmy ubranie pana Harkera kilkadziesiąt metrów od miejsca zbrodni. Ów oderwany guzik dokładnie do niego pasuje.

Na potwierdzenie swoich słów umieścił guzik tam gdzie go brakowało, zmuszając tym samym Minę, by jeszcze raz spojrzała na zwłoki. Wiedziała, że Cotford manipuluje sytuacją. Czowała, że na jej twarzy wykwitł rumieniec. Nie mogła już dłużej patrzeć na to, co robiono z jej mężem. Odór śmierci stawał się nie do zniesienia. Zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Nie miała już siły. Musiała stąd wyjść. Musiała stąd uciec.

Cotford tymczasem kontynuował:

- Krew na tym guziku nie należy do pani męża. Jest to krew zamordowanej kobiety.

- Oskarża pan mojego męża o zabójstwo? - spytała Mina wyzywająco.

- To właśnie zamierzam ustalić. Czy pani mąż utrzymywał stosunki z innymi kobietami?

- Mój mąż miał wiele przywar, ale na pewno nie był zdolny do morderstwa - rzekła gniewnie. - Czy mogę już iść?

Cotford nie odpowiedział, tylko utkwiał w niej wzrok, jak gdyby próbował wydobyć z jej duszy najgłębsze sekrety. Mina wiedziała, że musi się pilnować, by nie zdradzić się żadnym nieopatrznym słowem.

Następnie inspektor wziął do ręki mały poplamiony krwią kawałek papieru.
- Francuska policja znalazła w kieszeni doktora Sewarda starą kartę wizytową- Wizytówkę z nazwiskiem tej samej osoby znaleziono w portfelu pani męża.
Artur Holmwood.

- Do czego pan zmierza, inspektorze?

- Lord Godalming przestał posługiwać się tym imieniem tuż przed waszą wyprawą łowiecką do Rumunii.

Choć w kostnicy było zimno, Mina poczuła, że robi jej się nagle bardzo gorąco. Ten człowiek najwyraźniej wiedział więcej, niż mogła sobie wyobrazić. Czy Jack opisał wszystkie ich straszliwe przeżycia w tym dzienniku? Jeśli wyzna policji prawdę, zamkną ją w zakładzie dla obłąkanych. Mina uświadomiła sobie, że w żaden sposób nie może się obronić. Jej jedyną szansą na ratunek była ucieczka.

Opryskliwy głos Cotforda przerwał jej rozmyślenia.

- Rumunia jest raczej dziwnym miejscem na wyprawy łowieckie, jeśli wolno mi zauważyć. Na co państwo polowali?

- Na wilki - odpowiedziała Mina ze złością. Ruszyła w stronę drzwi. Cotford rzucił zakrwawioną wizytówkę na łóżko, skoczył wokół stołu i zagroził jej drogę. Jak na człowieka takiej tuszy był bardzo zwinny.

- Czy często pani poluje, pani Harker? Czy też tylko obserwuje pani ten krwawy sport?

Nareszcie udało jej się stanąć tak, by mieć zwłoki Jonathana za plecami i nie musieć na nie patrzeć. Zapach nie pozwalał jednak zapomnieć o poruszającym widoku.

- Inspektorze, domyślam się, że chce mnie pan o coś spytać. Może więc po prostu...

- Sierżant Lee złożył dziś rano wizytę lordowi Godalmingowi, który przy sięgnął, że nigdy nie spotkał świętej pamięci doktora Sewarda... ani pani męża. Domyśla się pani, dlaczego tak odpowiedział?

- Nie - odpowiedziała Mina zgodnie z prawdą.

- Nie lubię pytań bez odpowiedzi, pani Harker. A ta sprawa aż się od nich roi. Mamy tutaj dwóch mężczyzn, którzy skończyli żywot w tragicznych okolicznościach w ciągu zaledwie tygodnia. W mojej pracy nie istnieją takie rzeczy jak przy padki. Obaj byli powiązani z lordem Godalmingiem, a ten zaprzecza, że ich znał. Pani, droga pani Harker, jest ostatnim żyjącym ogniwem łączącym ich wszystkich.

Minę zalała fala wspomnień o tamtych wydarzeniach. Chociaż stała na środku pokoju, czuła się jak w jednym ze swych koszmarów.

- Inspektorze, proszę. Muszę teraz odnaleźć syna i powiedzieć mu, że jego ojciec nie żyje.

Cotford zachowywał się jak lew krążący wokół ofiary. Mina czuła, że już dłużej nie wytrzyma. Nad jej brwiami gromadziły się krople potu. Znow zerknęła nerwowo w stronę wyjścia.

- Jeszcze tylko jedna rzecz - powiedział Cotford. - Właśnie otrzymaliśmy to z Paryża. Rozpoznaje to pani?

Mina wzięła do ręki zdjęcie poplamionego krwią srebrnego zegarka z dewizką. Nie była w stanie ukryć przed Cotfordem emocji, które ją ogarnęły, gdy przeczytała po cichu inskrypcję: „Miłości bez granic, Lucy”.

Dotknęła czule fotografii. Odpowiedziała drżącym głosem:

- To należało do Jacka. Był to prezent od jego dawnej przyjaciółki... Lucy Westeny.

- Byłej narzeczonej lorda Godalminga. Wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?

Mina gwałtownie uniosła głowę. Cotford najwyraźniej starał się złapać ją na niekonsekwencji lub kłamstwie. Czy to przesłuchanie dotyczyło w jakiś sposób śmierci Lucy? Nie miała wątpliwości, że Cotford szuka pretekstu, by zakuć ją w kajdanki, ale dlaczego - tego nie wiedziała. Jedno nieopatrzne słowo i mogła trafić za kratki. A przecież nie mogła pozwolić, by Quincey błąkał się sam po świecie narażony na niebezpieczeństwo, podczas gdy ona będzie tracić cenny czas na zmagania z prawem. Ostrożnie ważąc słowa, rzekła:

- Domyślam się, że zna pan już odpowiedź, inspektorze. Lucy zmarła dwa dzieścia pięć lat temu.

- Wśród pani przyjaciół panuje dosyć wysoki wskaźnik śmiertelności, pani Harker - stwierdził z przekąsem Cotford.

- Niestety nie jest zbrodnią - stwierdziła cicho. A potem, choć wiedziała, że postawi ją to w jeszcze bardziej niekorzystnym świetle, dodała: - Proszę zejść mi z drogi, inspektorze. Jeśli ma pan więcej pytań, proszę je zadać za pośrednictwem mojego adwokata. Muszę się teraz zająć pogrzebem męża. Do widzenia.

- Jak sobie pani życzy. W każdym razie mogę panią zapewnić, że wkrótce się spotkamy.

Cotford odsunął się, by zrobić jej przejście. Mina wiedziała, że nie można mu ufać. Ale teraz myślała tylko o Quinceyu. Szybko przeszła w stronę wyjścia. Zapach śmierci ustąpił. Serce zwolniło. Jeszcze tylko kilka kroków i będzie wolna.

A wtedy Cotford zakrzyknął za nią:

-1 proszę pozdrowić ode mnie Abrahama van Helsinga!

Na te słowa Mina omdlała.

Na widok Miny Harker opadającej na puste metalowe łóżko Cotford poczuł nieopisaną satysfakcję. Odzyskawszy zmysły, kobieta odwróciła się powoli i spojrzała na niego z przerażeniem. Tym razem w jej oczach nie było zdumienia, ale autentyczny strach. Podniosła się i wybiegła z kostnicy. A więc zdradziła się, narzeczone. Zastanawiał się, dlaczego nawet po śmierci broniła swojego niewiernego męża. Jeśli nie miłość, to co było spoiwem ich małżeństwa? Syn? Nie, na pewno nie. Quincey opuścił już rodzinne gniazdo. Jonathana i Minę Harkerów łączyło coś głębszego. Jakiś mroczny sekret. Ta słynna solidarność złodziei i spiskowców. Teraz już Cotford miał pewność, że to, co przeczytał w dzienniku doktora Sewarda na temat Lucy Westenry, było prawdą. Mina coś ukrywała. Coś straszliwego. Zbrodnie Abrahama van Helsinga. Wyraz jej twarzy, gdy padło nazwisko profesora, powiedział Cotfordowi wszystko, co chciał wiedzieć. Teraz musiał wydobyć z archiwum akt zgonu Lucy Westenry. Z pewnością stwierdza on śmierć z przyczyn naturalnych. Jego instynkt łowcy podpowiadał mu, że było to kłamstwo, które spreparował i opłacił majątny Artur Holmwood.

Lee przerwał jego rozmyślenia.

-1 co teraz?

Cotford wyjął z kieszeni pękate amerykańskie cygaro marki Iwan Ries, po czym obwąchał je ze wszystkich stron, delektując się aromatem wybornego tytoniu.

- Teraz, sierżancie Lee, poczekamy, aż sępy zlecą się do padliny.

Lee podszedł do niego z zapalką i zapalił mu cygaro. Cotford zaciągnął się z zadowoleniem. Po raz pierwszy czuł się godny uwielbienia sierżanta.

Rozdział XXI

czasie podróży do domu Miny nie opuszczały lęk i przerażenie. Im bliżej była Exeter, tym silniejszy odczuwała niepokój. Jej serce biło niespokojnie. Nie mogła się już doczekać, aż znajdzie się we własnych progach, tymczasem pociąg włókł się niemilosiernie. To była najgorsza podróż w jej życiu.

Bardzo zraniło ją zachowanie Quinceya, to, że jej unikał. Jak we wszystkich rodzinach, czasem dochodziło między nimi do kłótni, ale dotyczyły one drobnych spraw związanych z pieniędzmi lub teatrem. Mina była pewna, że gdy tylko Quincey dowie się o śmierci ojca, wszystko, co stało się między nimi, pójdzie w zapomnienie. Jedną straszliwą myśl nie dawała jej jednak spokoju. Co jeśli Quinceyowi stała się krzywda? Albo jeśli przed kimś ucieka i jest w niebezpieczeństwie? Jej syn był za młody, by móc się samemu bronić, nie wiedział, jak silny jest jego przeciwnik.

Ta podróż zabierała jej cenny czas, lecz musiała wrócić do domu po paszport potrzebny na wyjazd do Paryża.

W przeciwieństwie do tego, co powiedziała temu irytującemu Cotfordowi, postanowiła nie urządzać pogrzebu Jonathana. Quincey był teraz najważniejszy. Wiedziała, że jej mąż by to zrozumiał. Zresztą, co tu kryć, organizowanie pogrzebu nie miało większego sensu. Bo kto by się na nim pojawił? Quincey gdzieś przepadł, Jack nie żył, Artur odciął się od wszystkich, a Jonathan nie miał już żadnych wiarygodnych klientów. Został jedynie Abraham van Helsing. Ale zaproszenie go do Londynu byłoby zbyt wielkim ryzykiem. Cotford tylko na to czekał.

„Proszę pozdrowić ode mnie Abrahama van Helsinga”. Nie mogła się uwolnić od słów inspektora. Nie, nie sprowadzi van Helsinga do jaskini lwa, nie da tej tłustej irlandzkiej świni satysfakcji. Cholerny Cotford! Liczyła się dla niego jedynie kariera. Tak jakby i bez niego wszystko to nie było wystarczająco skomplikowane... I po co drąży przeszłość? Czy nie wie, że niektóre rzeczy powinny na zawsze pozostać ukryte?

Mina nakazała w zakładzie pogrzebowym poddać szczątki męża kremacji. Jęgo P^{rocn}y odbierze w późniejszym terminie. Przynajmniej to zapewni mu wieczny spokój. Odmówiła w ciszy modlitwę za Jonathana. Wiele by dała, by cofnąć czas i te okrutne słowa wypowiedziane w gniewie.

Gdy dotarła wreszcie do domu, była przemoczona do suchej nitki. Odziedziczyli tę posesję po Peterze Hawkinsie. Jak miała tu teraz żyć? Ten dom był zbyt duży. Zbyt pusty. Owszem, ostatnio Jonathan rzadko bywał w domu, ale tym razem to było co innego. Coś się skończyło. Ale nie pora na czcze rozmyślanie. Miała tylko godzinę, by się wysuszyć, przebrać, zabrać kilka niezbędnych rzeczy i złapać pociąg do Portsmouth. Tam chciała wsiąść na prom płynący przez kanał La Manche do Cherbourga. Potem czekała ją podróż koleją do Paryża - w sumie dwa dni w trasie. Dwa dni, kiedy jej synowi grozi niebezpieczeństwo. A ten gburowaty inspektor mógł po nią przyjść w każdej chwili. W Paryżu przynajmniej będzie poza jego zasięgiem. Jeśli Cotford zacznie grzebać zbyt głęboko, wkrótce może być ścigana za współudział w morderstwie. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ostrzec Artura przed inspektorem, ale odpuściła sobie. Artur zapewne zatrasnąłby jej drzwi przed nosem.

Włożywszy klucz do zamka, Mina zdała sobie sprawę, że coś jest nie tak. Drzwi były otwarte. Znieruchomiała. Czyżby spiesząc się na pociąg do Londynu, przez nieuwagę ich nie zamknęła? Nie, dokładnie pamięta, że przekreślała klucz w zamku. Służba dostała kilka dni wolnego, zatem dom powinien być pusty. Lecz Mina czuła, że jest inaczej.

Bardzo powoli uchyliła drzwi. Była przygotowana na atak. Jednak za drzwiami nie było nikogo. Ostrożnie wetknęła głowę do środka i rozejrzała się po hallu. Gdy zobaczyła płaszcz syna, rzucony na marmurową podłogę, serce skoczyło jej z radości. Quincey wrócił! Z salonu dobiegł ją hałas, Mina natychmiast rzuciła się w tamtą stronę. To, że jej syn był w domu, nie znaczyło wcale, że był bezpieczny.

Quincey usłyszał trzask zamykanych drzwi. Odwrócił się i ujrzał matkę stojącą w progu. Przez chwilę nie była w stanie się ruszyć wstrząśnięta widokiem zde-molowanego pokoju.

- Quincey, wszystko w porządku? Nic ci nie jest?

- Nie, nic mi nie jest. - Chłopak silił się na uprzejmy ton, ale i tak kipiał gniewem.

- Wszędzie cię szukałam, synku. - Rozejrzała się po zdewastowanym salonie. - Na litość boską, Quincey...

Jak dobry prawnik, który najpierw musi poznać fakty, żeby wyrobić sobie opinię o sprawie, Quincey dotarł do wszystkich rodzinnych sekretów, które leżały teraz przed nim na podłodze. Za pomocą młota otworzył sejf rodziców, a potem wyważył każdą skrytkę i przetrząsnął każdą szufladę. Efektem poszukiwań był stos listów, prywatnych dzienników Míny i wycinków z gazet, które starannie ułożył w kolejności chronologicznej. Leżała przed nim cała przeszłość jego rodziców.

Quincey trzymał w dłoni białą kopertę, drugą ręką sięgnął po kilka pisanych ręcznie listów. Podniósł do góry kopertę tak, by Mína mogła rozpoznać pismo.

List Míny Harker do syna, Quinceya Harkera

(Należy otworzyć w razie nagłej lub nienaturalnej śmierci Wilhelminy Harker)

Emocje wymalowane na twarzy Míny zdradzały na przemian ulgę i rozpacz. Quincey rzucił listami w stronę matki, kartki papieru opadały wolno jak płatki śniegu.

- Nawet w obliczu śmierci nie potrafiłaś wyznać mi prawdy. Aż tak się jej wstydzisz? Bierzesz mnie za głupca. Myślałaś, i się nie myliłaś, że będziesz w stanie ukryć przede mną powody swojej niezwyklej młodości, udając przed obcy mi, że jesteśmy rodzeństwem. Brawo, ze wszystkich zakpiłaś.

Mína odpowiedziała błagalnie:

- Wszystko, co powinieneś wiedzieć, jest w tym liście. Powinniśmy wyznać ci z ojcem prawdę lata temu, ale baliśmy się, jak zareagujesz.

- Kłamiesz! - Wściekłość wzięła górę. Nie miał już ochoty na dalsze uprzejmości ani konwenanse. - Skąd znasz Brama Stokera? - krzyknął do matki.

- Kogo?

Zdziwienie Míny wydawało się autentyczne. Jeszcze wczoraj chłopak uwierzyłby w każde jej słowo. Ale jeden dzień wszystko zmienił.

- Na początku, gdy to przeczytałem, myślałem, że to jakaś bajka, ale teraz... Rzucił w stronę matki książkę w jasnożółtej okładce. Wpatrywał się uważnie w jej twarz wrażliwy na najmniejszy fałszywy sygnał.

- Brama Stokera. - Minie zaparło dech. Drżącymi palcami kartkowała książkę. Spojrzała z niepokojem na syna i spytała: - Skąd to masz?

Musiał przyznać, że jest doskonałą aktorką. Kochał ją ponad wszystko i powierzał najskrytsze sekrety. Brał jej stronę przeciwko ojcu. Teraz zdał sobie sprawę, że tak naprawdę nigdy nie znał swojej matki.

- Nie udawaj niewiniątka - rzekł z goryczą. - Te strony kryją straszliwy sekret, który zniszczył naszą rodzinę.

- Quincey, przysięgam - broniła się Mina. - Nigdy nie słyszałam o tej książce.

- Twoje słowa jakoś mnie nie dziwią. Stoker ujawnił prawdę, którą tak skrupulatnie pominęłaś w swoim liście. Napisał, że z tym potworem, Draculą, łączyły cię jakieś „stosunki”. Obawiam się, że wyraził się przy tym zbyt delikatnie.

- Quincey, jak śmiesz! - uniosła się Mina.

Matka wyglądała tak młodo. Chłopak przypomniał sobie trzech kolegów, których stłukł na kwaśne jabłko za znieważenie jej. Jak widać, niepotrzebnie. Wyrwał książkę z rąk Miny.

- To ta krwiożercza bestia stała się między tobą a ojcem. Mam rację?

- Nie masz pojęcia, o czym mówisz, synu.

- Spiskowałaś z Draculą przeciwko ojcu. Piłaś jego krew! - wykrzyknął Quincey. A potem znów wyrecytował z pamięci: - Rozdział dwudziesty pierwszy... „Na łóżku pod oknem leżał Jonathan Harker”.

- Dosyć! - krzyknęła Mina przez łzy.

Jeszcze do niedawna Quincey nie zniósłby myśli, że matka płacze z jego powodu, ale teraz myśl o tym, że piła krew tego potwora, podczas gdy jego ojciec spał niczego nieświadomy, napawała go obrzydzeniem.

Przez te wszystkie lata uważał, że to Jonathan swoim nałogiem zniszczył rodzinę. Teraz wreszcie poznał prawdę. To zdrada jego matki wpędziła ojca w alkoholizm. To ona była tą, która ściągnęła nieszczęście na ich dom i doprowadziła go do ruiny. I wreszcie dotarło do niego:

- Stoker tego nie wymyślił. To sprawił, że ciągle jesteś młoda.

- Nic nie rozumiesz - szlochała Mina. - Świat nie jest czarno-biały, zło przy biera wiele postaci.

- Ależ rozumiem. - Quincey znowu potrząsnął książką. - Teraz nareszcie wszystko zrozumiałem. To dlatego ojciec tak cierpiał, to dlatego chciał mnie trzymać pod kontrolą. Wszystko, by strzec mnie przed bolesną prawdą, kim na prawdę jest moja matka!

- Twój ojciec chciał dzielić z tobą swój świat, by móc cię w ten sposób chronić przed niebezpieczeństwem.

Teraz rozumiał, że gdy jego ojciec mówił o bezpieczeństwie, nie miał na myśli zabezpieczenia finansowego, a jego osobiste bezpieczeństwo. To dlatego tak się denerwował, gdy Quincey pchał się na afisz. Rzucił książkę na stół i chwycił rozłożony egzemplarz „Le Temps”, który suszył się na blacie. Podniósł pierwszą stronę, na której widniał rysunek człowieka nabitego na pał, i podsunął matce przed oczy.

- A w końcu okazało się, że to nie ja, ale ojciec potrzebował ochrony... przed twoim byłym kochankiem! „*Tepef*” znaczy „palownik”!

Mina wzięła głęboki oddech i rzekła:

- Miałam dla twojego ojca tyle samo miłości co dla ciebie.

Miłość. Na te słowa Quincey uśmiechnął się szyderczo. On w zachowaniu Miny wobec Jonathana nie widział śladów żadnego uczucia.

- Przez całe moje życie pozwalałaś, bym potępiał ojca. Gdy sobie przypomniałem wszystkie te rzeczy, które o nim albo do niego mówiłem... I wszystkie te ohydne kłamstwa, którymi mnie karmiłaś. Tego się nie da odwrócić. Nigdy nie uda mi się mu tego wynagrodzić. Nigdy ci już nie zaufam. Ale zapewniam cię, pomszczę śmierć ojca. Żegnaj. I niech Bóg ma cię w opiece!

Chłopak ruszył jak burza w stronę hallu, porywając po drodze z ziemi swój płaszcz. Mina krzyknęła za nim:

- Nie, Quincey, błagam! Ta rodzina dosyć już wycierpiała! Możesz mnie obwiniać, możesz mnie nawet znienawidzić, lecz zapomnij o przeszłości, bo może cię spotkać los jeszcze gorszy niż ojca!

Quincey zatrzasnął drzwi. Nie obejrzał się za siebie.

Los chyba nie mógł ukarać jej dotkliwiej. Przypomniała sobie pełne obrzydzenia i wściekłości spojrzenie syna. Niestety, teraz już rozumiała, co czuł Jonathan, gdy skupiał się na nim gniew Quinceya. Teraz ich syn, źle zrozumiawszy jej intencje, opuścił dom i niechybnie zmierzał na spotkanie z ciemnością, przed którym ona i Jonathan chcieli go uchronić.

Ścisnęła mały złoty krzyżyk, który nosiła na szyi. Czy jej mroczny książę znał sekret, który próbowała przed nim ukryć przez te wszystkie lata? Czyjego gniew jest tak wielki, że wreszcie postanowił zemścić się na niej... i na wszystkich, których kochała?

Rozdział XXII



Deus *fiat lux et facta est lux.* I rzekł Bóg: Niech stanie się światłość. I stała się światłość. To był początek stworzenia świata.

Starzec jechał dorożką przez nocny Londyn. Spojrzał z dezaprobatą na Liverpool Street. Zniknęły gdzieś piękne lampy gazowe wraz z ich romantycznymi, migoczącymi płomieniami. W ich miejscu postawiono teraz nowe latarnie łukowe. Ich ostre i intensywne światło zalewało Londyn taką jasnością, że człowiek dosłownie tracił kontakt z niebem. Samotny wędrowiec na próżno już szukał w gwiazdach przewodnika. Elektryczne lampy całkiem je przyćmiły. I tak oto człowiek stworzył światło. Ślepa wiara w postęp technologiczny doprowadzi wkrótce do jego klęski. Marną pociechę stanowiła dla starego świadomość, że zostało mu niewiele czasu i nie będzie już świadkiem upadku swego gatunku. Przed śmiercią musiał jednak wykonać jeszcze jedno zadanie, a niemal całą swoją energię zużył na podróż z Amsterdamu.

Zdażył już zapomnieć, jak nienawidzi angielskiej pogody. Nieustanny deszcz był przyczyną bólu w stawach i łamania w kościach. A do tego podróż z Amsterdamu zajęła mu więcej czasu, niż zakładał. Niegdyś mógł urządzać takie eskapady nawet kilka razy w miesiącu. Niestety, poruszał się zbyt wolno, przez co spóźnił się w Antwerpii na pociąg i musiał czekać cały dzień na kolejny do Francji. Jego duch wciąż był silny. Przeklinał jedynie swe słabe ciało.

Dorożka zatrzymała się przed znajomym gmachem z czerwonej cegły. Był to ten sam elegancki Great Eastern Hotel, tyle że powiększony o przyległy budynek. A zatem i on zmienił się od czasu, kiedy stary ostatni raz był w Londynie.

Gdy wręczał woźnicy sześciopensówkę, coś dziwnego przykuło jego uwagę. Wszystkie lampy po drugiej stronie ulicy były pogaszone. Jako że elektrody węglowe wypalały się bardzo szybko, było to częste zjawisko. Gazowe lampy natomiast nigdy nie gasły. I oto ten cały postęp technologiczny.

Zauważył podejrzanego młodego człowieka, który stał pod wygaszoną lampą i udawał, że czyta gazetę, a który w rzeczywistości go obserwował.

Podpierając się laską, staruszek powlókł się powoli w stronę wejścia zadowolony, że wreszcie przestało padać. Chłonał z rozkoszą znajome widoki, zapachy i dźwięki, delektując się nimi jak dobrym winem. Z tym miejscem łączyło go wiele wspomnień.

Gdy chłopcy hotelowi wnosili do środka jego bagaże, dozorca zaproponował mu, by wsparł się na jego ramieniu. Staruszek odmówił. Starość i tak nie szczydziła mu upokorzeń. Stawiając ostrożnie kroki, przeszedł po mokrej od deszczu podłodze w stronę recepcji. Gdy wreszcie do niej dotarł, wyrzucił z siebie, z trudem łapiąc oddech:

- Mam u państwa rezerwację.

Recepcjonista uśmiechnął się i otworzył księgę.

- Oczywiście. Jak pana godność?

Staruszek nie odpowiedział od razu. Wydało mu się, że znów ktoś go obserwuje. Odwrócił się w stronę wejścia i dojrzał tego samego mężczyznę w meloniku zerkającego przez oszklone drzwi. W chwili gdy ich oczy się spotkały, na twarzy tamtego pojawił się strach. Mężczyzna szybko zniknął w ciemnościach.

Dlaczego ten młodzieniec go śledzi? Bez wątpienia jest to pomagier tego diabła.

Cotford i Lee weszli na cmentarz Highgate na Hampstead od strony Swains Lane. Po deszczu nadeszła gęsta nocna mgła. Cotford oświetlił latarką mapę, a potem uniósł ją i spojrzał na dwa wielkie obeliski ozdobione liśćmi papirusu i lotosu. Oto zachodnie wejście do alei egipskiej. Tego właśnie szukał. Mężczyźni przeszli przez bramę i udali się w głąb nekropolii. Bezlistne drzewa wyciągały nagie konary do jasnego księżyca. Ostatnie krople deszczu odbijały się echem od cmentarnych alei. Kamienne anioły błyszczały w świetle księżyca jak upiorni strażnicy cmentarza. Przez kępy zarośniętej trawy spoglądały na policjantów ich nieruchome twarze.

Wszystko to przypomniało Cotfordowi dzieciństwo. Lubił wtedy siadać na kolanach matki i wysłuchiwać starych irlandzkich opowieści o krasnoludach, strzygach, a przede wszystkim o Caoineadh, Pani Śmierci.

Gdy był mały, przez Irlandię przeszła epidemia gruźlicy i grypy. W wiosce Cotforda starszyzna orzekła, że choroba jest sprawką diabła. Kiedy chorzy

nie mogli oddychać - tłumaczyli, że czuli na piersi jakiś wielki ciężar. Zabobny doktor uznał, że to wampir, który chwycił ich w swoje szpony i pił ich krew. Panika rozprzestrzeniła się szybciej niż sama zaraza. Wciąż miał w pamięci tamtą noc, gdy ci głupcy przyszli na cmentarz i rozkopali grób jego brata, pierwszej ofiary epidemii. Proboszcz uznał, że to on właśnie był owym wampirem sprowadzającym śmierć na innych. Gdy ksiądz wbił żelazny kołek w pierś zmarłego, ciało wydało jęk, a z jego ust, oczu i uszu popłynęła krew. Proboszcz oświadczył wtedy, że wioska jest ocalona. Cotford w swojej naiwności uwierzył, że jego brat rzeczywiście był wampirem. Ale po śmierci kolejnych pięciu osób jego wiara osłabła.

Wiele lat później, gdy wstąpił do policji i w swojej pracy zaczął się stykać z ciałami zmarłych, nareszcie poznał prawdę. Nauka udowodniła, że to gazy wydzielające się podczas rozkładu powodują nadymanie się zwłok. Gdy więc nakłuwano je ostrym narzędziem, gazy uwalniały się, przechodziły przez struny głosowe i wywoływały ów jęk. A potem ciało zapadało się w sobie, wypychając krew wszystkimi otworami. Nieszczęsny brat Cotforda nie był wampirem, lecz ofiarą przesądów i niewiedzy.

To lęk kazał jego rodzicom przyglądać się beczynnemu, gdy profanowano grób ich syna. Lęk przed nieznanym, przed zakaźnymi chorobami, których przyczyn prosty lud nie potrafił racjonalnie wyjaśnić. Ludzie bali się tego, czego nie rozumieli. Oczywiście po śmierci brata Cotford dowiedział się, że wszystkie ludowe opowieści są stekiem bzdur. Dlatego właśnie opuścił rodzinny dom i udał się do Londynu na studia. Wiara w zjawiska nadprzyrodzone żerowała na strachu. Nauka zaś wyjaśniała tajemnice, które od wieków niepokoiły człowieka. Cotford wiedział, że dzięki niej już nikt go nigdy nie oszuka.

Inspektor znieruchomiał. Doszło go jakieś poruszenie. Księżyc skrył się za chmurami i cały cmentarz pogrążył się w ciemności. Cotford uniósł rękę i Lee natychmiast przystanął. Inspektor nadstawił uszu. Szelest dobiegał z lewej strony. Gdy skierował tam światło latarki, upiorny biały koń odpowiedział mu wściekłym spojrzeniem.

Lee nerwowo wciągnął powietrze. Cotford spojrzął na niego z dezaprobatą. Nie spodziewał się, że mężczyzna takiej postury może dać się zwieść podobnym bzdurom.

- To tylko posąg - rzekł inspektor.

- Nie zauważyłem go, to wszystko. O mało nie uderzyłem głową o kamienną podkowę.

Cotford spojrział krzywo na ogromną rzeźbę. Mech porastający kamienny łeb konia nadawał mu groźny wygląd. Był to nagrobek słynnego woźnicy Jamesa Selbyego, którego rekord w najszybszej podróży powozem konnym nie został do tej pory pobity.

Po wędrówce przez labirynt katakumb i nagrobków mężczyźni dotarli wreszcie do opleczonego bluszczem grobowca. Lee oczyścił go z zeschniętych liści i uschniętych gałęzi, odsłaniając wykute w kamieniu nazwisko: WESTENRA.

Westchnął.

- Jest pan pewien, że chce to zrobić?

Cotford przytaknął. Nie było innego wyjścia. Zgromadzone przez nich wody nie wystarczyłyby, żeby uzyskać odpowiedni nakaz. Inspektor pociągnął z piersiówki dla rozgrzewki.

- Prosi mnie pan o współudział w przestępstwie - dodał Lee.

- To nie jest moja fanaberia, sierżancie. - Cotford wyciągnął zza pazuchy jeden z dzienników Sewarda. - Znalazłem dowód, że dwadzieścia pięć lat temu Kuba Rozpruwacz popełnił zbrodnię, o której do dziś nie mieliśmy pojęcia. Oto zeznanie doktora Sewarda, spisane jego własną ręką.

Z zaznaczonej wcześniej strony, przyświecając sobie latarką, Cotford zaczął czytać na głos:

- „Artur wbił żelazny kołek w jej serce. Po pierwszym uderzeniu drewniane go młotka ten potwór, będący niegdyś piękną Lucy, wrzasnął przeraźliwie. Z pier si trysnęła fontanna krwi. O Boże, to było straszne! Załkałem. Artur kochał Lucy nade wszystko, jednak zdobył się na to, by zadać ten śmiertelny cios. Często przy woływałem w myślach tę scenę. Skoro, jak sądzę, kochałem Lucy jeszcze mocniej niż Artur, czemu go nie powstrzymałem? A zresztą czy zachowałem się lepiej? W końcu to ja odciąłem jej piękną głowę... Przez te wszystkie lata stale powtarzałem sobie, że uratowaliśmy jej duszę. Ale jeśli to prawda, to dlaczego nie potrafię wymazać z pamięci jej krzyków? Ani zapomnieć tamtego straszliwego widoku, gdy profesor van Helsing wyjął pilę chirurgiczną i zaczął odcinać jej kończyny”...

- Niech pan przestanie! - wykrzyknął Lee.

- Proszę bardzo. Gdybyś tylko wiedział, jakie wyrzuty dręczą moje sumienie... Modlę się, by Bóg oszczędził ci w życiu takiego ciężaru. Akt zgonu Lucy Westenry zaświadcza, że zmarła ona z powodu rzadkiej choroby krwi.

Dokument ów podpisał doktor Langella, ten sam człowiek, który zaledwie kilka tygodni wcześniej złożył podpis pod pozwoleniem na zawarcie związku małżeńskiego przez Holmwooda. Wygodne rozwiązanie, nie uważasz? A zatem Arthur Holmwood nie musiał nikogo przekupywać, tak jak na początku myślałem. Lucy nie zmarła spokojnie we własnym łóżu. Ten dziennik nie pozostawia co do tego żadnych wątpliwości.

- A co, jeśli te zapiski to tylko brednie szaleńca morfinisty?

- Czy po tym wszystkim, czego się dowiedzieliśmy, masz jeszcze jakieś wątpliwości? Jeśli zignorujemy tę informację i pozwolimy, by kolejna kobieta zginęła z ręki Kuby Rozpruwacza... - Cotford przerwał i zacisnął zęby. - Wtedy odpowiemy za to przed Bogiem.

Lee przez dłuższą chwilę spoglądał na swojego mentora. Wskazał więc tylko na rozpadający się grobowiec i rzekł ponuro:

- Niech Bóg nam wybaczy, jeśli się mylimy.

- I ma nas w swojej opiece, jeśli mamy rację.

Musieli użyć całej swojej siły, żeby otworzyć żelazne wrota. Zawiasy zaskrzy-piały przeraźliwie.

Na widok światła latarki szczury rozbiegły się z piskiem. Cotford i Lee odsunęli płytę sarkofagu. Uderzył ich odór gorszy niż cokolwiek, co czuli w kostnicy.

Lee zakaszłał i zasłonił ręką nos.

- Jakim cudem stare zwłoki mogą tak koszmarnie cuchnąć? - Przerażony dodał: - Chyba że znajdziemy tu coś nowego.

- Nie, skąd - uspokoił go Cotford. - Tego grobu z pewnością nie otwierano od lat.

Sierżant pokiwał głową. Inspektor miał rację. Ale to nie wyjaśniało, dlaczego ten fetor jest tak mocny. I tak świeży.

Miał cichą nadzieję, że to tylko martwe zwierzę.

Cotford skierował światło latarki na otwarty grób. W środku leżał rozczłonkowany szkielet kobiety. Czaszka z falującymi rudymi włosami leżała oddzielona od reszty ciała. Żelazny kołek wciąż tkwił między kośćmi. Pod ciałem można było dostrzec zaschnięte krople krwi. Cotford spojrział na zbezczeszczone szczątki Lucy Westenry i od razu przypomniał sobie tamte pięć prostytutek znalezionych na Whitechapel. Wszystkie zostały okaleczone w ten

sam sposób. Jednak zdecydowanie w przypadku tej kobiety Kuba Rozpruwacz wznosił się na wyżyny sadyzmu. Zamienił ladacznice na damę z towarzystwa, dopadł ją w miejscu, gdzie nikt nie mógł usłyszeć jej krzyków, i jeszcze ten ostatni cios - zadany żelaznym kołkiem. To mógł być tylko van Helsing. Inspektor poczuł ulgę, że jego przeczucia jednak się sprawdziły, jednocześnie zdjęło go obrzydzenie.

- Szaleńcy! - wyszeptał.

- Mordercy! - dodał ze zgrozą Lee.

Cotford dojrzał na twarzy sierżanta takie samo pragnienie sprawiedliwości, jakie sam od lat odczuwał.

- Sierzancie Lee, życzę sobie, aby dokładnie obfotografowano to miejsce i zabrano szczątki do kostnicy. Proszę wtajemniczyć w tę sprawę tylko tych ludzi, którym pan ufa. Nikt na górze nie może się jeszcze dowiedzieć o naszych poczynaniach. Niech pan też obudzi tego starego konowala, żeby zrobił dokładną obdukcję. Proszę się upewnić, że skończy przed świtem, aby nie wzbudził niczych podejrzeń. I dopilnować, żeby jego raport trafił na moje biurko, jak tylko będzie gotowy.

- Tak jest, panie inspektorze.

Cotford nagle odwrócił głowę i podniósł palec do ust, nakazując sierżantowi milczenie.

Usłyszeli na zewnątrz czyjeś kroki - ktoś biegł w stronę grobowca.

Cotford jak zwykle był bez broni. Może powinien wreszcie odstawić na bok dumę i zacząć nosić pistolet. Ten ktoś był coraz bliżej. Cotford wyłączył latarkę i przygotował się do ataku.

Ciemna postać stanęła w drzwiach dokładnie w chwili, gdy księżyc wyrżał przez chmury. Z kształtów można było wywnioskować, że człowiek ten ma na głowie melonik. Cotford włączył latarkę, jej promień oślepił intruza.

Inspektor już miał uderzyć, kiedy Lee wykrzyknął:

- Konstablu Price! Co pan tu robi bez munduru, do diabła? Mało braku wało, a nieźle by pan oberwał!

Price zdjął swój melonik, włożył go pod pachę i stanął na baczność.

- Powiedział mi pan, żeby nie budzić podejrzeń. Czy zrobiłem coś nie tak, sir...?

Cotford rozpoznał w konstablu owego młodego policjanta, który przyszedł po niego do pubu Red Lion.

- Sierżancie Lee - zaczął Price, zdyszany i czerwony na twarzy. - Prosił pan, by pana poinformować... gdy ten mężczyzna ze zdjęcia... zjawi się w Great Eastern Hotel.

- I przyjechał? - zapytał Cotford zadowolony, że Lee dopuścił Pricea do spisku. Lubił tego chłopaka i ceniał jego niekwestionowany zapal.

- Tak jest, sir. Widziałem na własne oczy, jak się meldował. Bardzo się po starzał, ale i tak go rozpoznałem.

Cotford pociągnął łyk z piersiówki i uśmiechnął się z satysfakcją.

- A zatem zaczęło się.

Rozdział XXIII

Ukryta w gęstej mgle hrabina czekała, aż policjanci i ich towarzysze wyjdą z grobowca rodziny Westenrów. Obserwowała ich poczynania już od kilku nocy. Wzbudziła jej zainteresowanie tydzień temu, kiedy siedziała na dachu w pobliżu Tempie Bar, obserwując, jak tłusty inspektor próbuje odtworzyć okoliczności śmierci jej ukochanej. Tezy tego drugiego, Huntleya, jakoby to Harker, ta kreatura bez charakteru, mógł zabić jej złotowłosą przyjaciółkę, były po prostu absurdalne. Rozerwałaby go na strzępy, gdyby tylko raz jeszcze miała okazję dorwać go w swoje ręce.

Ale ten grubas nie był głupcem. Nie dość, że trafnie ustalił przebieg wydarzeń, to jeszcze domyślił się udziału osoby trzeciej - jej samej. Od tego czasu obserwowała go z rosnącą ciekawością.

Najwyższy z policjantów zwracał się do grubego *per* „inspektorze Cotford”. Cotford... nie kojarzyła tego nazwiska, lecz twarz była jej znajoma - widziała ją w gazetach wiele lat temu, obok tego idioty, Abberlinea. No tak. Teraz przypomniała sobie dokładnie. Zmienił się od tamtego czasu - postarzał i przytył. Niesamowite, co czas robi ze śmiertelnikami, a przecież minęła zaledwie chwila, głupie ćwierć wieku.

Cotford był inteligentniejszy niż większość tych, którzy stanęli na jej drodze, jednak i tak daleko mu było do geniuszu. I cóż z tego, że odnalazł wszystkie elementy układanki, skoro nie potrafił ułożyć ich w sensowną całość? Powstrzymała się od roztrzaskania tej jego kruchoj czaszki o ścianę. Wyobraziła sobie jego zdziwienie, gdyby na własnej skórze przekonał się, jak silna może być kobieta. Od wieków doprowadzało ją do furii to powszechne wyobrażenie, jakoby Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo. Nie świadczyłyby to o Bogu najlepiej. Człowiek był przecież słaby i ograniczony. Gdyby nie technologia, zajmowałby najniższe miejsce w łańcuchu pokarmowym. Hrabina już dawno odkryła prawdę, którą inni drapieżcy znali od wieków: ludzie są łatwą zdobyczą,

a ich krew ma wyborny smak. Hrabina zastanawiała się, czy zwierzęta tak samo jak ona delektują się ludzkim mięsem. Jedynym człowiekiem, dla którego żywiła szacunek, był Karol Darwin. Jego teoria ewolucji wzmocniła jej przekonania i przyznała wyjątkowe miejsce w świecie. Prawo doboru naturalnego mówiło, że w walce o byt szansę na przetrwanie mają tylko najsilniejsi. Hrabina była doskonalsza od człowieka. Jej zmysły wzroku, smaku, słuchu i powonienia były bez porównania lepiej rozwinięte, nie wspominając już o nadludzkiej sile. Do tego dysponowała niezwykłym umysłem. Przez wieki ludzie podziwiali iluzjonistów, którzy potrafili manipulować przedmiotami, czytać w myślach albo wpływać na zachowania innych. Zdolności hrabiny to było coś więcej niż tanie kuglarskie sztuczki. Miała moc wnikania do świadomości człowieka z odległości setek mil i sprawiania, że widział ją pod postacią wilka, gargulca, szczura czy mgły. Potrafiła poruszać się z ogromną prędkością. Mogła nawet latać i nie potrzebowała do tego maszyny. Uważała się nie tylko za lepszą od człowieka, ale za najlepiej przystosowaną.

Hrabina zastanawiała się, czy powinna zgładzić inspektora, czy raczej uczynić go swoim nieświadomym sprzymierzeńcem. W pierwszym odruchu chciała pozbyć się wszystkich trzech jeszcze w grobowcu, zanim ktokolwiek więcej dowie się o ich odkryciach. W końcu zabiła Jacka Sewarda z bardziej błahego powodu, a na dodatek ten odludny cmentarz był idealnym miejscem na morderstwo. Ach tak, grobowiec rodziny Westenrów. Zatem zaczynają grzebać w przeszłości. I zbierać kolejne elementy układanki.

Rozmyślała o losie grubego inspektora. Był jedynie fanatycznym, ograniczonym człowieczkiem. Być może nawet reszta śmiertelników uważała go za szaleńca podobnego do przestępców, których ścigał. Ona uwielbiała hazard, ale nie interesowały jej karty ani pieniądze. Życie i śmierć były lepszą stawką. Zresztą tam, gdzie w grę wchodził przypadek, zawsze wygrywała. Mogła się założyć, że Cotford działał na własną rękę, a ci, którzy mu pomagali, zobowiązani zostali do zachowania tajemnicy. Skoro nie rozpoznał grobu Sewarda, znaczyło, że jednak nie jest tak bystry. Zatem bez problemów mogłaby wykorzystać go do własnych celów. Zostanie przynętą. Hrabina uśmiechnęła się do siebie. Może tym razem Anglia nie okaże się tak nudna jak ostatnim razem.

Zdecydowała, że Cotford i jego współpracownicy jeszcze pożyją. Nie dlatego że miała dla nich litość. Nie czuła nigdy żalu, współczucia ani wyrzutów sumienia.

Była drapieżną idealnym. Ale tej nocy odłoży na bok swoją żądzę krwi. Gra jest ważniejsza. A teraz pora dostarczyć im kolejny element układanki.

Zastukała wykończoną złotem laską w dach. Czarny powóz opuścił cmentarz na Hampstead i popędził w stronę Whitechapel.

Kristan była wykończona. Od całonocnego chodzenia po Commercial Street dorobiła się tylko bąbli na stopach. Gdy kuśtykała w stronę swojej starej kamienicy przy Devonshire Square, usłyszała tętent końskich kopyt. Wolałaby nie zwracać na niego uwagi, ale nie mogła sobie pozwolić na taki luksus. Odwróciła się z wymuszonym uśmiechem i zobaczyła czarny powóz wyłaniający się z gęstej nocnej mgły. Zaraz, zaraz, coś tu było nie tak. Żaden powóz nie jedzie sam z siebie, ktoś go przecież musi prowadzić. Ale gdy dostrzegła złote zdobienia, przysła jej do głowy pewna myśl. Ludzie konstruowali teraz niestworzone rzeczy, a bogatych zawsze stać było na najnowsze zabawki. Ten czarny powóz to pewnie skrzyżowanie samochodu i dwukółki. Na myśl o tym, jaki to może oznaczać dla niej zysk, serce Kristan aż podskoczyło z radości. Wprawdzie obsłużyła tej nocy już pięciu mężczyzn, ale zarobione grosze z trudem wystarczą na jedzenie na następny dzień. Ta nowa maszyna w kształcie powozu musi należeć do bogatego klienta. Jeśli Kristan dobrze go zabawi, zarobi tyle pieniędzy, że starczy na miesięczny czynsz. Tej nocy najwyraźniej los jej sprzyjał.

Powóz zwolnił i zatrzymał się niedaleko. Czekala, aż drzwi się otworzą i ze środka wyjdzie jakiś przystojny dżentelmen. Jego wyścielany powóz będzie wygodniejszy niż zimna ulica. Przez chwilę jednak nic się nie działo i Kristan pomyślała, że ów jegomość chce, by to ona do niego podeszła. Zwilżyła językiem usta spękane od marcowego wiatru, poprawiła bluzkę skrywającą spory biust, jej najlepszy atrybut, po czym przesadnie kręcąc biodrami, podeszła w stronę powozu i zapukała delikatnie do drzwi.

- Szukasz kogoś, złociutki?

Żadnej odpowiedzi. Jegomość udawał niedostępnego.

- Hej, jest tam kto?

Kristan cofnęła się o krok, bo oto zza czerwonej zasłony wysunęła się ręka w czarnej rękawiczce z rubinowym pierścionkiem na palcu i wręczyła jej złotego hiszpańskiego dublona. Kobieta uśmiechnęła się pożądliwie i wyrwała monetę.

- No, teraz gadasz, jak trza, złociutki.

Drzwi otworzyły się powoli. Klient kiwnął palcem, zapraszając Kristan do środka. Za taką cenę ów dżentelmen mógł z nią zrobić, co chciał. Nie była głupia, wiedziała, że w tej części miasta mężczyzna, który płaci tyle pieniędzy, szuka czegoś specjalnego. Nawet jeśli to będzie bolało, zrobi wszystko, co jej każe. A przy odrobinie szczęścia może stanie się jej stałym klientem.

Kristan umieściła monetę za bluzką tak zalotnie, jak tylko potrafiła, i ujęła dłoń w czarnej rękawiczce. Wreszcie miała poznać twarz swojego klienta. Ku jej ogromnemu zdziwieniu okazało się, że nie jest to mężczyzna, ale piękna kobieta o niebieskich oczach i kruczoczarnych włosach, ubrana w męski frak i płaszcz. Zatem nie dość, że sporo zarobi, to jeszcze uniknie kolejnych bolesnych pchnięć. A do tego z podnieceniem myślała o tym, że będzie mogła spełnić najskrytsze pragnienia tej pięknej klientki.

Powóz hrabiny pędził brzegiem Tamizy, podskakując z turkotem na nierównościach bruku. Gorący oddech nadymał końskie nozdrza.

Niedaleko Tower kłacz przystanęły nagle. Łby poleciały im do tyłu, a kopyta wbiły się mocno w ziemię, jak gdyby zatrzymała je jakaś niewidzialna siła. Noc powoli ustępowała, do świtu została jeszcze godzina. Ulice były puste. Doskonale. Nie będzie żadnych świadków. Drzwi od powozu otworzyły się powoli. Bez żadnego wysiłku, jak gdyby było ono kłębkim brudnych szmat, hrabina wrzuciła zakrwawione ciało Kristan do Tamizy.

Dziewczyna miała rozprute gardło, usta otwarte w niemym krzyku i zastygła w przerażeniu twarz. Rozerwany gorset odsłaniał obfity biust, a opuszczona do kostek bielizna dopełniała upokorzenia. Hrabina wykopała na ulicę jej torebkę, z której wysypała się cała zawartość: kilka monet, chusteczka do nosa i różaniec. Na ten widok Elżbieta Batory roześmiała się. Kolejna hipokrytka. Spojrzała na ciało Kristan unoszone prądem rzeki. Jej martwe oczy wpatrzone były w niebo. Hrabina nie była w stanie zrozumieć, jak tacy nieszczęśnicy jak ta dziwka mogli wciąż żywić w sercu miłość do Boga. Czy nie widzieli, że Bóg ich opuścił? Hrabina wrzuciła złotego dublona do wody niedaleko ciała i uśmiechnęła się, widząc, jak Kristan i jej złoto znikają w czarnych odmętach Tamizy.

Kto powiedział, że nie możesz zabrać go ze sobą?

- Twoje znaleźne, inspektorze Cotford - rzekła.

Rozdział XXIV

Krew w nim wrzała, gdy biegł wzdłuż Bohnay Road. Jak mogli go tak okłamać? Dlaczego ojciec mu nie zaufała? Dlaczego musiał umrzeć? Dlaczego jego matka zdradziła swoich przyjaciół? Chłopak usłyszał ¹ gwizd pociągu opuszczającego stację St David. Nie miał czasu na kupno biletu. Dla własnego zdrowia psychicznego musiał jak najszybciej wyjechać z Exeter, a kolejny pociąg do Londynu odjeżdżał dopiero za trzy godziny. Nie zastanawiając się ani chwili, Quincey ruszył pędem wzdłuż torów i wskoczył do ostatniego wagonu. Metalowa poręcz była śliska od deszczu. Chłopak stracił równowagę i już miał spaść na tory, kiedy w ostatniej chwili chwycił się zwisającego łańcucha. Pociąg nabierał prędkości. Quincey zacisnął zęby i z wysiłkiem podciągnął się do góry. Złapał poręcz drugą ręką i wdrapał się na tylną platformę. Gdy był już bezpieczny, spojrzął za siebie, na oddalające się miasto, w którym dorastał. Wiedział, że jego noga więcej tu nie postanie. Skoro jego ojciec nie żył, a matka przestała dla niego istnieć, nie miał po co wracać.

Znalazł miejsce w wagonie pasażerskim. Kolejne natarczywe pytania nie dawały mu spokoju. Ile z tej książki było faktem? Czy nieumarli rzeczywiście chodzą po świecie? Brzmiało to absurdalnie, ale oczy jego matki zdradziły straszliwą prawdę. Te potwory rzeczywiście istnieją. Jeden z nich zniszczył jego rodzinę i zabił ojca. Quincey pragnął zemsty. A jak jej dokonać? Jego przeciwnik to mistrz strategii z doświadczeniem na polach bitew, a do tego ma po swojej stronie diabelskie moce. On natomiast jest zdany tylko na siebie. Świadomość tego przygniatała go. Jedynymi ludźmi, którzy znali prawdę i znali jego przeciwnika, była grupa nieustraszonych. Ich przyjaźń rozpadła się dawno temu, wielu z nich już nie żyło. Lecz najbardziej niezwykły człowiek z całej tej grupy ciągle chodzi po świecie. Mina w swoich dokumentach zebrała wszystkie świadectwa dotyczące jego wyczynów. Służył wraz z Quinceym P. Morrisem w Legii Cudzoziemskiej, elitarniej jednostce armii francuskiej, której umiejętności i bohaterstwo były legendarne. To on walczył w Tuyen Quang, forcie oble-

eanym przez siły chińskiego imperium. Uciekł kanibalom na Markizach, chronił też cesarżową Korei przed japońskimi zabójcami. A do tego stanął do walki z księciem Draculą i ocalał. Nieulekły żołnierz i obieżyświat.

Tak - pomyślał Quincey. - Pojadę. Spotkam się z Arturem Holmwoodem.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy dorożka zajechała pod bramę wejściową siedziby Artura Holmwooda, znanego także jako lord Godalming. Quincey wyskoczył z powozu i rzucił dorożkarzowi kilka monet.

Na widok okazałej rezydencji zaparło mu dech w piersi. Właściciel takiej fortuny mógł całe życie pławić się w luksusach, nie kiwnąwszy nawet palcem. To, że Artur Holmwood wybrał życie pełne niebezpieczeństw, sprawiło, że stał się bohaterem Quinceya, zanim jeszcze chłopak zdążył go poznać.

Powieść Stokera nie wspominała ani słowem, jak doszło do spotkania grupy nieustraszonych. O tym, jak zawiązały się ich długoletnie przyjaźnie, Quincey dowiedział się z dzienników Myny i zgromadzonych przez nią dokumentów. Jack, Artur i jego imiennik Quincey P. Morris uczęszczali w dzieciństwie do elitarniej hugenockiej szkoły z internatem położonej niedaleko Londynu. Jack był katolikiem, ale jego ojciec, znany lekarz, bał się, że nauka w parafialnej szkole może zawęzić horyzonty syna. Posłał więc Jacka do protestanckiej prywatnej szkoły, popularnej wśród brytyjskich wyższych sfer. Tam właśnie Jack poznał Artura. Chłopcy szybko się zaprzyjaźnili. Ojciec Quinceya P. Morrisa, Brutus, był zamożnym ranczerem z Teksasu. Gdy w 1861 roku w Ameryce rozpoczęła się wojna secesyjna, jego stan wystąpił z Unii, lecz nie przyłączył się do Konfederacji. Teksas, próbując zachować niezależność, otworzył w Londynie ambasadę, a na placówkę wysłano właśnie Brutusa Morrisa. Jak przystało na człowieka o jego pozycji, Brutus posłał syna do elitarniej szkoły, właśnie tej, do której uczęszczali Jack i Artur. Quincey P. Morris ogromnie żałował, że był zbyt młody, by wziąć udział w wojnie secesyjnej, aż wreszcie tęsknota kazała mu wrócić za ocean, by walczyć z Indianami i zdobywać Dziki Zachód. Jego wyczyny na Wielkich Równinach stały się bodźcem dla Artura, który również zapragnął przygód, razem więc wstąpili do Legii Cudzoziemskiej. Jack Seward nie dał się namówić i wybrał inną drogę do chwały - naukę - zapisał się na prestiżowy Uniwersytet Vrije w Holandii. Tam właśnie został studentem, a potem i asystentem profesora van Helsinga.

Quincey przystanął u szczytu schodów, by złapać oddech i poprawić ubiór. Nie chciał spotkać się z taką osobistością, wyglądając jak chłopak na posyłki.

Przypominał sobie, że właśnie tu spotykała się grupa nieustraszonych. To tu wykluł się plan, jak pozbyć się Draculi. Mimo że mieli po swojej stronie takiego człowieka jak Artur Holmwood, ich zwycięstwo okazało się pozorne. Dlaczego Quincey miałby mieć więcej szczęścia?

Chłopak wyciągnął rękę, by zastukać kołatką, ale na drzwiach jej nie było. Rozejrzał się i zobaczył wiszący obok framugi sznurek. No tak, oczywiście. Mógł się domyślić, że lord Godalming posiada taki wynalazek jak dzwonek do drzwi.

Quincey pociągnął za sznurek. Rozległ się ponury dźwięk. A potem nastąpiła cisza. Zadzwoił więc raz jeszcze, i znów bez rezultatu. Już miał zacząć walić w drzwi, kiedy uchyliły się one nieznacznie.

- W czym mogę panu pomóc? - zapytał kamerdyner.

- Nazywam się Quincey Harker. Przyszedłem się spotkać z panem... - Chłopak ugryzł się w język. Człowiek taki jak Artur Holmwood zasługiwał na to, by mianować go właściwym tytułem. - ... lordem Godalmingiem. To bardzo pilna sprawa.

Kamerdyner otworzył drzwi nieco szerzej i wystawił niewielką srebrną tacę, by Quincey położył na niej swoją wizytówkę. Na szczęście jako przedstawiciel grupy teatralnej Basaraba został wyposażony w karty wizytowe. Obszukał płaszcz i znalazł ich stos wepchnięty niedbale do naderwanej kieszeni. Kamerdyner spojrzał na niego krzywo. Mężczyźni z towarzystwa nie ruszali się bez wizytowników.

- Chwileczkę - rzekł i zatrzasnął Quinceyowi drzwi przed nosem. To chyba oznaczało, że ma czekać.

Nogi miał jak z waty. W ciągu ostatniego tygodnia sporo się naczytał o Arturze Holmwoodzie. Wyczyny w Transylwanii były tylko początkiem jego pełnego przygód życiorysu. Oprócz dokumentów Myny dotyczących jego wczesnego życia Quincey dotarł też do wycinków z kronik towarzyskich opisujących przygody Artura w okresie ostatnich dwudziestu pięciu lat. Wbrew temu, co pisał Stoker, Artur Holmwood nie posługiwał się mianem lorda Godalminga od razu po śmierci ojca, po którym odziedziczył tytuł, ale dopiero po powrocie z tragicznej wyprawy do Transylwanii. Quincey zastanawiał się, czy uczynił tak dlatego, że wiedział, iż żyje. No, ale lord Godalming na pewno nie był tchórzem, który ukrywałby się w murach posiadłości. Trudno wymienić wszystko, czym wślawił się od tamtego czasu. Był zwycięzcą wyścigów wioślarskich na Tamizie, stał się ekspertem w dziedzinie gry

w polu, a w pojedynkach nie miał sobie równych. W walkach na pistolety lub szable zabił trzech mężczyzn i zranił dwunastu, którzy go obrazili. Czy zresztą można się spodziewać czegoś innego po kimś, kto zaryzykował wszystko, by ocalić honor miłości swojego życia, Lucy Westenry? Człowiek takiego formatu z pewnością będzie gotów raz jeszcze chwycić za broń i stanąć do walki z Draculą.

Quincey pamiętał jak przez mgłę kogoś, kogo nazywał „wujkiem Arturem”, i uświadomił sobie, że chodziło właśnie o Holmwooda. Tyle że lord Godalming nie miał żadnego kontaktu z Harkerami od ponad dziesięciu lat. Czy postępowanie jego rodziców, zdrada jego matki, alkoholizm ojca mogły zaszkodzić wizerunkowi Quinceya w oczach Artura? Mógł jedynie wierzyć w to, że Holmwood puści w niepamięć ich wstydliwą przeszłość i mu zaufa. Miał nadzieję, że tak się stanie, bo desperacko potrzebował jego pomocy.

Mężczyźni tacy jak lord Godalming należeli do wymierającego gatunku. Quincey dowiedział się, że gdy przyjaciel ojca Artura na skutek złych inwestycji stracił cały majątek, młody Holmwood ożenił się z jego córką i tym samym uratował pozycję rodziny. Skoro na prośbę ojca był skłonny poślubić nieznaną kobietę, by pomóc przyjacielowi, Quincey miał nadzieję, że Artur Holmwood jego również nie zawiedzie.

Na myśl o ojcu znów dopadły go wyrzuty sumienia. Nigdy nie będzie miał okazji powiedzieć mu, jak strasznie się mylił i jak bardzo go kochał, choć dopiero teraz to zrozumiał. Jonathan poświęcił dla syna wszystko. Chłopak postanowił udowodnić, że jest wart tego poświęcenia.

Drzwi ponownie się uchyliły.

- Lord Godalming przyjmie pana.

Quincey już chciał wejść do środka, ale kamerdyner dalej zagradzał mu drogę. Odchrząknął i znacząco spojrzął na zabłocone buty chłopaka. Ten, przyłapany po raz drugi na odstępstwie od etykiety, posłusznie przejechał podszwami po metalowej wycieraczce.

Kamerdyner, wprowadziwszy go do gabinetu Artura Holmwooda, odebrał od niego płaszcz i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Pokój pachniał znajomo. Ogarnęło go przeczucie, że już tu kiedyś był. Rozpoznał kosztowne burgundowe tapety projektu słynnego Williama Morrisa oraz kolekcję białej broni. Szable, rapiery, sztylety - wszystko pięknie prezentowało się w tym otoczeniu. Nie były to atrapy, z którymi Quincey często miał



do czynienia podczas pracy w teatrze, ale prawdziwe ostrza. Chociaż niektóre z nich były wyszczerbione, na żadnym nie było śladów krwi.

Quinceya znów nawiedziło wspomnienie. Gdy był mały, sięgał po jedną z tych szabel. Jonathan złapał go wtedy za rękę. Mogłeś się zranić - powiedział.

Pamiętał rzeźbione dębowe meble, witraże i półki wypełnione takim mnóstwem książek, że życia nie starczyłoby na ich przeczytanie.

Przypomniał sobie też, że nad kominkiem wisiał portret pięknej rudowłosej kobiety. Była to ta sama kobieta, której fotografia była tak ważna dla jego matki.

Quincey odwrócił się w tamtą stronę. Po obrazie została jedynie jaśniejsza plama na ścianie.

- Czy był to portret Lucy? - pomyślał na głos.

- Obraz, o którym pan mówi - usłyszał za swoimi plecami - został stąd zdjęty dziesięć lat temu, z szacunku dla Beth, mojej żony.

Artur Holmwood, lord Godalming, siedział za ogromnym mahoniowym biurkiem. Pod piękną secesyjną lampą spoczywała srebrna taca z wizytówką Quinceya.

Chłopak z zaskoczeniem stwierdził, że Artur niewiele się zmienił. Był starszy od Jonathana, ale jeśli ktokolwiek zobaczyłby ich razem, z trudem by w to uwierzył. Patrząc na jego gęste blond włosy, mocno zarysowaną szczękę i stalowe niebieskie oczy, nietrudno było się domyślić, dlaczego Lucy wybrała właśnie jego. Quincey widział kiedyś zdjęcia Jacka. Biedny doktor Seward nie miał żadnych szans.

Chłopak wyprostował się i odchrząknął.

- Dzień dobry, panie... lordzie Godalming. Proszę mi wybaczyć, nie za uważałem pana.

- Domyślam się, że nie przyszedł pan tu rozmawiać o wystroju wnętrza.

Quinceya zbił nieco z tropu jego szorstki ton. Zrobił krok do przodu.

- Jestem synem Jonathana i Miny Harkerów.

- Wiem, kim pan jest, panie Harker. Napije się pan koniaku?

- Nie, dziękuję. - Chciał, żeby jego odmowa została uznana za znak, że jest wolny od słabości ojca.

Lord Godalming wstał zza biurka i podszedł do barku. Był wysokim, postawnym mężczyzną. Idealnie skrojony garnitur podkreślał jego muskularną sylwetkę. Zachowywał się z taką klasą, że trudno było uwierzyć w te wszystkie

awanturyczne opowieści, które Quincey czytał na jego temat. Jedynie kilka siwych włosów wskazywało, że rzeczywiście może mieć ponad pięćdziesiąt lat. Ale nawet one nadawały mu dystygowany wygląd. Artur sięgnął po kryształową karafkę. Gdy mężczyzna odwrócił głowę, Quincey zauważył skazę: bliznę na jego prawym policzku oraz odcięty kawałek ucha. Ciekawe, jaka to chwalebna bitwa naznaczyła go w ten sposób?

Mężczyzna nalał sobie koniaku do kieliszka.

- Byłby pan łaskaw, panie Harker, wyjaśnić, co pana do mnie sprowadza?
- Jestem pewien, że pan wie.
- Nie mam najmniejszego pojęcia.
- Mój ojciec został zamordowany w zeszłym tygodniu.
- Owszem, słyszałem - odparł Artur chłodno. - Moje kondolencje. - Ujął kieliszek w obie ręce, by ogrzać nimi koniak, po czym delikatnie nim potrząsnął.

Quincey zastanawiał się, skąd się biorą ten jego chłód i dystans.

- Słyszał pan także, jak mniemam, że dwa tygodnie temu w Paryżu zamordowano Jacka Sewarda? - zapytał. Artur zmarszczył brwi, a jego twarz spochmurniała. Zamknął oczy. Przysunął kieliszek do nosa, delektując się aromatem trunku, ale nie odezwał się ani słowem. Quincey podniósł głos. - Słyszał mnie pan? Jack nie...

- Zrozumiałem, co pan powiedział. - Artur otworzył oczy i spojrzał na Quinceya tak, jakby chciał go zabić wzrokiem. - Jack był głupcem i wtykał nos tam, gdzie nie trzeba. Sam jest sobie winien.

- Jack Seward był pana przyjacielem!

Mężczyzna rzucił mu wściekłe spojrzenie.

- Jack Seward był morfinistą, który przez swój nałóg stracił majątek, reputację, dom i rodzinę!

Instynkt samozachowawczy kazał Quinceyowi się uspokoić. Ale czuł jednocześnie, że musi twardo bronić swego, jeśli chce zyskać szacunek tego człowieka. Wyprostował się i przyjął obronną postawę. Jednak gniew Artura szybko ustąpił miejsca melancholii.

- Jack Seward, jakiego znałem, umarł wiele lat temu - dodał, przetykając szybko koniak, jak gdyby topił w nim nieprzyjemne wspomnienia.

- Mój ojciec i doktor Seward zostali zamordowani w odstępie kilku dni. To chyba coś więcej niż zbieg okoliczności, prawda? - zapytał Quincey. - Panu i pana żonie może grozić niebezpieczeństwo.

Artur, który właśnie ponownie napełniał kieliszek, roześmiał się.

- Niebezpieczeństwo? Panie Harker, pan nie ma pojęcia, co to słowo znaczy.

Czy aby na pewno był to ten sam Artur Holmwood, który stanął do bitwy przeciwko Cyganom i władcy nieumarłych? Kto jak kto, ale on powinien rozumieć zagrożenie. Quinceya ogarnęła złość. Podbiegł do Holmwooda i złapał go za ramię.

- Doskonale pan wie, że powrócił, by dokonać zemsty. Musi mi pan pomóc go unicestwić.

Artur spojrział zimno na dłoń chłopaka, chwycił ją mocno i zrzucił ze swego ramienia.

- Postępuje pan nierozważnie, panie Harker. Głupio i nierozważnie. A więc nareszcie panu powiedziała?

- Nie, sam odkryłem prawdę - rzekł Quincey ze smutkiem.

- nie żyje. Widziałem na własne oczy, jak umierał. - Artur odłożył karafkę i wrócił za biurko. - Wszyscy widzieliśmy.

Jak ten człowiek może być tak ślepy? Jakich trzeba dowodów, by uwierzył?

- Mój ojciec został nabity na pal. Tępej - kto inny mógł to być?

- Panie Harker, w swoim życiu przeżyłem niejedno. Przeleżałem morze krwi, a bitwy, w których walczyłem, były istnym piekłem. Nie mam zamiaru do tego wracać. Dla mnie to zamknięty rozdział. - Artur podniósł mały dzwoneczek, którym wezwał kamerdynera.

Quincey uderzył pięścią w biurko.

- Jest pan tchórzem! - wykrzyknął. Był pewien, że ta zniewaga obudzi w nim człowieka, do którego tu przyszedł. Ale niebieskie oczy lorda Godalminga nie wyrażały żadnych emocji.

- Wracaj do domu, chłopcze - westchnął. - Zanim zrobisz sobie krzywdę.

Quincey usłyszał za plecami kroki kamerdynera.

- Rozumiem, że nasze spotkanie jest zakończone?

- Miłego popołudnia, panie Harker - rzekł Artur, po czym wziął do ręki niewielką książeczkę, otworzył na zaznaczonej stronie i zaczął czytać.

Kamerdyner podał Quinceyowi płaszcz.

- Proszę tędy.

Chłopak nie poruszył się. Wyrwał płaszcz z rąk kamerdynera. Jeszcze raz odwrócił się w stronę biurka i wybił książkę z rąk Artura, zmuszając go, by ten spojrział mu w oczy.

- Wie pan co? Gdy usłyszę o pana śmierci, nie będzie mi pana żal - rzekł, po czym ruszył szybko w stronę drzwi. Przystanął raz jeszcze na moment i obejrzał się za siebie, ale Artur Holmwood tylko wpatrywał się w puste miejsce nad kominkiem.

A potem powiedział niemal szeptem:

- Pewnie nikomu nie będzie.

Gdy kamerdyner prowadził Quinceya do drzwi, chłopak rozmyślał o zakończonym przed chwilą spotkaniu. Ta sama siła, która doprowadziła Jacka Sewarda do szaleństwa, zwiadła jego matkę na manowce i zniszczyła jego ojca, zabiła też ducha w tym człowieku. Lord Godalming nie stawał do pojedynków, by walczyć o honor. On liczył na śmierć. Posługiwał się mianem lorda Godalminga, bo nie było już Artura Holmwooda.

Rozdział XXV

iszący nisko księżyc przeświecał przez okna Scotland Yardu. Cotford siedział przy biurku i walczył ze snem. Leżał przed nim raport z sekcji zwłok Lucy Westenry i surowe, czarno-białe zdjęcia z jej ekshumacji. Po prawej stronie biurka spoczywały fotografie zwłok kobiety w białych szatach zamordowanej pięć dni wcześniej. Cotford porównywał oba zestawy zdjęć. Ciało Lucy Westenry zostało zbezczeszczone w taki sam sposób jak zwłoki niedawno znalezionej kobiety. Dla inspektora związek między tymi sprawami był oczywisty, ale musiał znaleźć na to niezbite dowody. Z tym, co miał, nie mógł się zwrócić do swoich zwierzchników - dla nich to wszystko były jedynie domysły. Przejrzał raz jeszcze zdjęcia i notatki w nadziei na znalezienie jakiejś drobnej wskazówki, czegoś, co wcześniej przeoczył, a co byłoby dowodem, że morderstwa te są dziełem jednej osoby. Potrząsnął głową, żeby odgo-nić senność. Nie spał od kilku dni.

- Inspektorze Cotford!

Głos sierżanta Lee brutalnie wyrwał go ze snu.

- Tak, o co chodzi? - zapytał, ocierając ślinę z policzka. Kark miał cały sztywny i obolały. Zasłonił ręką oczy przed oślepiającym blaskiem poranka. Cholera, zaspał!

- Znalaziono następne ciało! - wykrzyknął Lee.

- Gdzie? - Cotford momentalnie oprzytomniał.

- W Tamizie, niedaleko Tower.

Cotford porwał płaszcz i rzucił się do drzwi.

Nad brzegiem Tamizy, niedaleko Doków Świętej Katarzyny, zebrał się niewielki tłum. Inspektor Huntley nadzorował wylawianie zwłok. Na widok rozprutego ciała martwej kobiety przez tłum przebiegł szmer. Gdy tylko wydobyto zwłoki na błotnisty brzeg i przeciągnięto przez balustradę na ulicę, Huntley po rycer-

sku zdjął marynarkę i okrył nią piersi kobiety. Koroner przystąpił do oględzin zwłok, wymieniając cicho uwagi z inspektorem.

Niedaleko stała zapłakana kobieta w łachmanach i rozmawiała z policjantem, który spisywał jej zeznania.

Cotford złapał sierżanta Lee za ramię. Przedarli się przez tłum i podeszli bliżej, by słyszeć jej słowa.

- ... potem widziałam jeszcze Kristan, jak szła sama i skręciła na Devonshire Square. Mieszka tam, wynajmuje pokój za dwanaście pensów tygodnio wo... to znaczy mieszkała...

Tu głos jej się załamał i na nowo wybuchnęła płaczem. Cotford zauważył, że policjant ma w kieszeni chusteczkę, ale najwyraźniej nie uznał za stosowne podać jej prostytutce. Do diabła, przecież to kobieta! - zaklął w duchu Cotford.

Sam sięgnął do kieszeni i wystąpił z tłumem, ktoś go jednak ubiegł. Młoda kobieta przyjęła chusteczkę z wdzięcznością. Cotford stwierdził z zaskoczeniem, że owym mężczyzną był inspektor Huntley, który na jego widok zmarszczył brwi. Przyjacielskim gestem, który jednak wydał się Cotfordowi zbyt beczere-monialny, wziął pod ramię obu policjantów i odciągnął ich na bok.

- Co pan tu robi, sierżancie Lee? - zapytał Huntley ostro. - Teraz widzę, że obecność inspektora Cotforda na miejscu przestępstwa tamtej nocy nie była przypadkiem. Co za bzdury panu naopowiadał? Niech pan uważa, by jego reputacja nie zaszkodziła panu karierze. - Po czym spojrzał na Cotforda i dodał: - Jestem pewien, że inspektor Cotford się ze mną zgodzi.

- Ależ nie śmiałybym się panu sprzeciwić - odparł Cotford. - Niech pan tylko pamięta, że cel uświęca środki.

Lee odchrząknął i już miał coś rzec, kiedy Huntley uniósł rękę, nakazując mu milczenie.

- Nie chcę słyszeć niczego, co mogłoby zepsuć moją opinię na pański temat. - Lee ugryzł się w język, a Huntley znowu zwrócił się do Cotforda: - Inspektorze, zacznę może od podziękowań za pańskie uwagi na temat tamtej zbrodni. Sierżant Lee poinformował mnie, że znalazł pan kolejne plamy krwi i odciski dłoni. To, że przysłał go pan z tym bezpośrednio do mnie, a nie do naszych przełożonych, jest wyrazem pana solidarności zawodowej i szacunku dla regulaminu.

Cotford podziękował skinieniem głowy.

- Pragnę jedynie, by sprawiedliwości stało się zadość - rzekł.

- Świetnie - odparł Huntley. - Zatem w ramach tej samej solidarności za wodowej proszę, by wstrzymał się pan od wyciągania pochopnych wniosków. Znamy się dobrze, więc powiem wprost: nie ma żadnego związku między kobietą znaną parę dni temu a tą ofiarą, rozumie pan? To jest młoda prostytutka zamordowana przez zdeprawowanego klienta - częsty przypadek w tej okolicy. Natomiast kobieta z odciętą głową znaleziona tamtej nocy należała do wyższych sfer. Owszem, ma pan rację, została zamordowana przez osobę trzecią, ale dalej twierdzą, że motywem tej zbrodni było uczucie. Najprawdopodobniej reakcja zazdrosnego męża. Gwarantuję panu, że go dopadnę.

Cotford odpowiedział:

- Dla mnie to sprawa osobista. Nie szukam sławy, nie chcę też niczego panu udowodniać. Z przyjemnością dostarczę panu wszystkie znalezione do wody, zanim przekażę je wyżej. Tak jak powiedziałem - pragnę jedynie, by sprawiedliwość stało się zadość.

- Inspektorze Cotford, powiem zatem tak jasno, że już bardziej nie można - rzekł Huntley stanowczo. - Jeśli dowiem się, że wtrąca się pan w moje śledztwo albo sieje panikę, twierdząc, że te ostatnie morderstwa mają ze sobą coś wspólnego, nie będę miał innego wyboru, jak tylko dla dobra sprawy zgłosić to naszym przełożonym. Bardzo pana proszę, by nie stawiał mnie pan w tej kłopotliwej sytuacji. Nie warto ryzykować reputacji dla pogoni za uludą.

Po czym nie czekając na odpowiedź, poklepał Cotforda po plecach i podszedł do czekających nań dziennikarzy.

Zaniepokojony Lee szepnął Cotfordowi do ucha:

- Co to miało być?

- Huntley miał rację, sierżancie. Musi pan myśleć o rodzinie. Jeśli chce się pan wycofać z naszego śledztwa, nie będę miał do pana pretensji.

Lee spojrział Cotfordowi prosto w oczy.

- Jestem przy panu, dopóki ma pan rację, inspektorze. Dopóki ma pan rację - powtórzył.

Cotford uśmiechnął się. Podeszli do martwej kobiety. Choć miała mokre włosy, widać było, że jest ruda, tak samo jak Lucy Westenra. Jej twarz można by nawet uznać za ładną, gdyby nie szpecił jej grymas przerażenia. Martwe zielone oczy były szeroko otwarte i patrzyły pustym wzrokiem na Cotforda. Rozpłatanie gardło sugerowało raczej atak zwierzęcia niż czyn rozumnej istoty ludzkiej. Cotford był już pewien, że ściga szaleńca.

Czy marnuje cenny czas, szukając niezbitego dowodu? Czy jego rzetelna i empiryczna, ale powolna metoda kosztowała tę kobietę życie? Cotford zdał sobie sprawę, że właśnie czas jest tu na wagę złota. Pora na zmianę sposobu postępowania. Odwrócił się gwałtownie w stronę sierżanta Lee. Przypomniał sobie bowiem słowa zapłakanej kobiety. Ofiarę, Kristan, widziano ostatnim razem, gdy szła w stronę swojego mieszkania przy Devonshire Square.

Devonshire Square? To przecież niedaleko od... od hotelu, w którym zatrzymał się van Helsing.

- A niech go diabli! - zakrzyknął z wściekłością. - Proszę się stąd nie ruszać, sierżancie, i mieć oczy szeroko otwarte.

Po czym bez słowa wyjaśnienia odszedł szybkim krokiem.

Rozdział XXVI

Starzec poprawił się na miękkim aksamitnym krześle, podpierając się laską. Elegancka hotelowa restauracja, w której się teraz znajdował, była niegdyś wielką salą balową. Ale od kiedy był tu po raz ostatni, w ogóle się nie zmieniła, co zauważył nie bez przyjemności. Skończył już swoje *consomme* pomidorowe na zimno i czekał z niecierpliwością na stek i cy-naderki w cieście - specjalność lokalu. Smaku i zapachu tej potrawy nie dało się zapomnieć. Gdy do stolika zbliżył się młody człowiek ze srebrną tacą, staruszek poczuł, że nie może dłużej czekać. Jednak nie był to kelner, a chłopiec hotelowy.

- Czy nie widzisz, młody człowieku, że właśnie oczekuję na posiłek? - rzekł stary z irytacją.

- Proszę o wybaczenie, sir - odparł chłopak, unosząc błyszczącą przykrywkę i podsuwając mu tacę. - Właśnie przyszedł do pana telegram. Z Amsterdamu.

Staruszek spojrział na znajomą żółtą kopertę ze swoim nazwiskiem. Telegramy nie zawierają zazwyczaj dobrych wieści. Przeczucie mówiło mu, że tym razem nie będzie inaczej.

- Dziękuję - westchnął.

Wziął kopertę jedną ręką, a drugą położył na tacy pół korony. Młody człowiek oddalił się z ukłonem. Zatem jednak Maaijcke, chłopak na posyłki, znalazł jego notatkę z prośbą, by całą korespondencję przesyłać na adres hotelu.

Otworzył nożem kopertę i przeczytał:

Telegram

Mina Harker, Exeter,
do prof. Abrahama van Helsinga, Amsterdam
„QUINCEY ZACZAŁ WĘSZYĆ. PRZYJEŹDŹAJ
NATYCHMIAST. POTRZEBUJEMY CIĘ. MINA”.



Zawsze podziwiał charakter i silną wolę Miny Harker, cechy, które sprawiły, że była nieocenioną pomocą w czasie ich wyprawy. Do pewnego momentu uważał ją za równą mężczyznom, ale ten sam charakter i silna wola uczyniły ją nieprzewidywalną. Kobieta z jej intelektem jest bardzo niebezpieczna. W przeciwieństwie do mężczyzn, którymi - wyjąwszy popęd seksualny - rządzą rozum i logika, kobietami sterują głównie emocje i to one, jego zdaniem, są siłą napędową wszystkich ich decyzji.

Mina oparła się demonowi, to fakt. To jej lojalność wobec męża sprawiła, że wybrała drogę światłości. Teraz, po śmierci Jonathana, nic już nie trzymało jej na tej ścieżce. Czy jeśli Mina zostanie narażona na pokusę, oprze się i tym razem?

Wreszcie postawiono przed nim jego ulubioną potrawę. Znad jedzenia unosił się rozkoszny aromat, drażniąc jego zmysły. Raz jeszcze przeczytał telegram. Quincey Harker zaczął węszyć... Nic dziwnego, skoro tak długo ukrywano przed nim prawdę. Ale sekrety są jak pąki kwiatów pogrzebane pod śniegiem - zawsze w końcu wydostaną się na powierzchnię.

Stary zastanawiał się, czy Quincey będzie w stanie poradzić sobie z mrocznym sekretem, który kryła ich grupa. Cała nadzieja w tym, że odziedziczył niezachwianą wiarę, którą Jonathan Harker posiadał w młodości. A może i silną wolę matki? Oby nie. Jeśliby Quincey miał stanąć twarzą w twarz ze złem, tak jak niegdyś jego matka, musiałby dokonać wyboru. Młodość bywa lekkomyślna i buntownicza, a brak doświadczenia życiowego sprawia, że łatwo ją skusić. Gdyby chłopak dał się zwieść siłom zła, stałby się wówczas wielkim zagrożeniem.

Nagle przysłała mu do głowy straszna myśl - co, jeśli stanie kiedyś przed koniecznością zabicia młodego Harkera? Czy Bóg da mu siłę do zglądzenia chłopca, którego niegdyś trzymał na kolanach? Modlił się, by nigdy nie musiał podejmować takiej decyzji. Złe wiadomości zawsze niosą ze sobą przykre konsekwencje. Na skutek tej musi zrezygnować z posiłku. Stary wstał od stołu, chwycił laskę i pokuśtykał w stronę hallu. Ze smutkiem myślał o tym, jak mało zostało mu czasu, i że być może nigdy już nie będzie miał okazji skosztować tułtejszego steku i cynaderek w cieście. Skierował się w stronę windy. Westchnął ciężko. To właśnie takie niepozorne, wyjątkowe chwile nadają życiu smak. Nie są częste, a przed nim jest ich już naprawdę niewiele. Przeklinał Harkerów, że skradli mu jedną z nich. Jak mogli być tak głupi, by przez tyle lat ukrywać prawdę przed synem? Zachowanie Quinceya było normalną reakcją na takie postępowanie. I cóż z tego, że chcieli go w ten sposób chronić, skoro ich działania

wystawiły chłopaka na poważne niebezpieczeństwo? Teraz trzeba go było jak najszybciej odnaleźć. Ten demon już na niego czeka, on jednak musi dotrzeć do Quinceya pierwszy.

- A zatem wszystkie sępy wreszcie się zleciały - usłyszał za plecami męski głos, który jak gdyby czytał w jego myślach. Stary znał go, choć nie słyszał go od bardzo dawna.

- Cotford! - wyszeptał i odwrócił się w jego stronę.

Stojący pośrodku hallu policjant wydawał się zjawą z przeszłości. Postarzał się i przytył, ale wciąż widać było w nim dawną zawziętość. Cotford za młodu był gburowatym typem, który nie tracił czasu na konwenanse. Najwyraźniej nic się nie zmieniło. Nie uznał nawet za stosowne, by zdjąć kapelusz po wejściu do środka.

- Śmierć kroczy za tobą jak cień, panie van Helsing.

Van Helsing zrobił krok do przodu, wspierając się na lasce. Niezła sztuczka - pomyślał Cotford. Świetny rekwizyt, by odgrywać bezbronnego staruszka i odsuwać od siebie wszelkie podejrzenia.

Pokonał odległość między Tamizą a hotelem w takim tempie, że z trudem łapał oddech. Miał tylko nadzieję, że tego po nim nie widać. Pomyślał, że może nie bez powodu van Helsing upodobał sobie to miejsce. Zanim w 1884 roku powstał tu wysokiej klasy hotel, w budynku mieścił się zakład dla obłąkanych, podobny do tego, który prowadził dawny uczeń van Helsinga doktor Jack Seward.

Lata pracy w policji nauczyły Cotforda, że mordercy lubią wychodzić na łowy w pobliżu swej kryjówki. Great Eastern Hotel znajdował się przy Liverpool Street, która za skrzyżowaniem z Bishopsgate stawała się ulicą wiodącą do Devonshire Square, granicy Whitechapel. To właśnie tam ostatni raz widziano Kristan. Zatem obłąkany doktor rzucił się na swoją pierwszą ofiarę jeszcze tej samej nocy, kiedy przyjechał do Londynu. Cotford nie miał niepodważalnego dowodu, by go aresztować, ale nie zamierzał też stać z założonymi rękoma i czekać, aż ten sięgnie po kolejne niewinne życie. Miał nadzieję, że tak jak w przypadku pani Harker ta konfrontacja doprowadzi do demaskacji van Helsinga. Zdumienie malujące się na twarzy starego profesora świadczyło o tym, że nie spodziewał się jeszcze kiedykolwiek ujrzeć Cotforda. Zatem na razie wszystko układało się po myśli inspektora. Element zaskoczenia dał mu przewagę-

- A pan wciąż w policji, konstablu Cotford? - zapytał van Helsing.

- Teraz już „inspektorze Cotford”.
- To takie typowo angielskie: zatuszować porażkę awansem.

Cotford przełknął tę zniewagę. Rzekł:

- Kolejne dwie zmasakrowane kobiety znaleziono na Whitechapel, a tu znowu pan. W 1888 roku wymknął się pan sprawiedliwości. Ale tym razem pan i pańska zbrodnicza szajka już mi nie uciekniecie.

- Niech pan otworzy wreszcie oczy, panie Cotford. Nie ma ludzkiej sprawiedliwości, przed którą pan mógłby przywieść ciemne moce, jakie za tym wszystkim stoją.

To rzekłszy, van Helsing odwrócił się w stronę windy. Cotford spojrzął na niego z wściekłością. Gardził takimi jak on, gardził ludźmi, którzy zwali się szumnie naukowcami, ale gdy stawali przed pytaniami, na które nie znali odpowiedzi, zrzucali wszystko na siły nadprzyrodzone. Van Helsing był reliktem dawnej epoki, nieprzystającym do tego oświeconego stulecia.

Profesor nacisnął guzik, by przywołać windę. A wtedy po marmurowym hallu rozległ się echem ochrypły głos Cotforda:

- Odwiedziłem grób Lucy Westenry.

Van Helsing zatrzymał się w pół ruchu, a potem odwrócił powoli. W jego ukrytych za okularami oczach malował się gniew. To było dokładnie to, na co liczył Cotford.

Profesor wysyczał przez zęby:

- Idzie pan przez swoje nędzne życie, nie mając sobie nic do zarzucenia, wydaje się panu, że jest bezpieczny w swoim nowoczesnym świecie maszyn i tak zwanego oświecenia. I chociaż pod ziemią, tuż pod pana stopami, czai się prastare pogańskie zło, pan jednak woli go nie dostrzegać.

Wszyscy goście w hallu przystanęli zaintrygowani tą wymianą zdań. Cotford nie dbał o to. Proszę bardzo, mogą słuchać. To nie on ma powody do wstydu. Najwyższy czas obnażyć szaleństwo van Helsinga.

- Usunięto pana z Uniwersytetu Wije za wykradanie ciał z grobów - rzekł.
- Te pseudonaukowe sekcje zwłok polegały tylko na ich okaleczeniu i wbijaniu żelaznych kołków w martwe serca. - Czuł, że jego słowa, rozchodzące się echem po hallu, wywołują w ludziach grozę, ale był zbyt wściekły, by się tym przejmować. Widział na własne oczy, jak zabobonni ludzie profanowali ciała zmarłych. Ksiądz w jego rodzinnej wiosce także uważał, że postępuje zgodnie z Bożą wolą. - To pan - ciągnął inspektor - stracił licencję lekarską za eksperymentalne

transfuzje krwi, które doprowadziły do śmierci wielu pana pacjentów. Nie sprawdzał pan grup krwi. Twierdził pan, że byli ugryzieni przez wampiry...

- Żaden lekarz nie miał pojęcia o istnieniu grup krwi aż do 1906 roku. Proszę się więc nie wypowiadać na tematy, o których nie ma pan pojęcia. Działam w najlepiej pojętym interesie chorych. Robiłem wszystko, by ich uratować.

Cotford spoglądał na van Helsinga z pogardą. Jeśliby profesor poświęcił się nauce, a nie przesądom, mógł ratować życie ludzi, zamiast przyspieszać ich śmierć. Widział panikę na twarzy starego. Wiedział, po czyjej stronie stoją zgromadzeni w hallu. Serce waliło mu jak oszalałe. Nadszedł czas, by złamać van Helsinga.

- To pan i ci nieszczęśnicy, których pan zwiódł, zabiliście te biedne kobiety dwadzieścia pięć lat temu. Jest pan wcieleniem zła, panie van Helsing! Patrząc na pana, widzę Kubę Rozpruwacza!

Po hallu przebiegł szmer. Mężczyźni odruchowo zasłonili swoich bliskich. Dzieci schowały się za rodzicami. Wszyscy zaczęli odsuwać się od van Helsinga. Stał teraz sam na środku narażony na pełne potępienia spojrzenia.

Inspektor spodziewał się, że profesor uniesie się dumą i zacznie usprawiedliwiać się przed tłumem. Ale stary tylko przygarbił się i spojrzał na Cotforda ze współczuciem.

- Nic pan nie widzi. I właśnie to, czego pan nie widzi, zabije pana.

W jego tonie było coś złowieszczonego, coś, co sprawiło, że Cotforda przeszły ciarki, choć nie był strachliwym człowiekiem. Role się odwróciły. Teraz to Cotford był zdenerwowany. Czy to groźba?

Nadjechała winda. Van Helsing skinął na windziarza, żeby przytrzymał mu drzwi. Cotford chciał coś jeszcze dorzucić, ale wciąż brzmiały mu w głowie ostatnie słowa profesora, który właśnie zniknął w windzie. Wszystkie pary oczu wpatrzone były teraz w inspektora.

- Co za bzdury! - wykrzyknął. Ta konfrontacja była nieporozumieniem. Nigdy nie uda mu się zmusić profesora do przyznania się do winy. Cotford zrozumiał już, że jeśli chce przywieść Abrahama van Helsinga przed oblicze sprawiedliwości, musi uciec się do innych środków.

Rozdział XXVII

Trzeszłość stała się dla Miny pułapką, z której nie było ucieczki. Cela, w której utkwiała, zaczęła się gwałtownie kurczyć. Ukochany mąż został zamordowany, syn porzucił rodzinny dom, a ciągły lęk przed policją zaczynał wpędzać ją w paranoję. Zauważyła, że nie przestaje spoglądać przez okna. Bała się, że Cotford, z tym swoim wysokim pomocnikiem i bandą hien, która dla nich pracowała, mogą się zjawić w jej domu w każdej chwili. Potrzebowała nowego planu, jeśli miała ich przechytryć.

Po wyjeździe syna przez kilka godzin przeglądała porozrzucane po salonie teczki. Siedziała pośrodku tego rozgardiaszu niczym w zaklętym kręgu ruin. Jak mogła pozwolić Quinceyowi wyjechać? Teraz nie pozostało jej nic innego, jak przewidzieć jego następny krok i odszukać go. Jej syn, choć sam za nic by się do tego nie przyznał, potrzebował jej ochrony. Nad Anglią zapadła noc. Była na straconej pozycji, teraz to ich wróg rozdawał karty.

Mina otworzyła grubą teczkę z informacjami na temat każdego z uczestników tamtej wyprawy. Akta Artura Holmwooda leżały teraz na samym wierzchu, a zatem Quincey musiał je przeglądać. Wiedziała, że wystarczyłby mu rzut oka, by zapamiętać adres rezydencji lorda Godalminga. Artur - to miało sens. W końcu to jedyny mieszkający w Anglii świadek tamtych straszliwych wydarzeń i pewnie gdyby była na miejscu syna, sama spróbowałaby go odnaleźć. Niestety, Quincey nie wiedział, że Holmwood nie jest już tym samym człowiekiem co niegdyś i jego wyprawa będzie daremna. Nawet jeśli zostanie przyjęty, nie uzyska od niego żadnej pomocy. W przeciwieństwie do Harkerów, którzy po powrocie z Transylwanii starali się wrócić do życia towarzyskiego, Artur zaszył się w swojej rezydencji i coraz bardziej zasklepiony w skorupie gniewu i gorzycy, stworzył własną wizję tamtych wydarzeń. Pogardzał nimi wszystkimi.

Winił ich za śmierć swojej ukochanej Lucy. Jakby to on jeden boleśnie odczuł jej stratę - pomyślała Mina. Obarczył ją całą odpowiedzialnością za śmierć

narzeczonej. Dlatego gdy Quincey rzeczywiście zwróci się do niego, będzie miał szczęście, jeśli nie znajdzie w nim śmiertelnego wroga.

I co zrobi wtedy? Pojedzie ich śladami do Transylwanii? Spróbuje odnaleźć van Helsinga? Mina miała wrażenie, że zaraz pęknie jej głowa. Nie była już w stanie dłużej o tym myśleć. Od kiedy dowiedziała się o śmierci Jonathana, miała problemy ze snem. Straciła poczucie rzeczywistości, wiedziała tylko, że czas gra na jej niekorzyść.

Spoglądała na rozrzucone wokół ślady własnej przeszłości i zaczęła się zastanawiać, po co właściwie trzymała te wszystkie dokumenty. Może gdyby zniszczyła je, tak jak zrobił to Seward ze swoimi notatkami, Quincey byłby tu razem z nią, bezpieczny. Czy pozbycie się tego archiwum ułatwiłoby jej uwolnienie się od wspomnień? Nie namyślając się dłużej, wrzuciła wszystkie dokumenty do kominka. Obserwowała, jak płomienie trawią pożółkłe strony.

Gdy zjawi się tu Cotford z nakazem przeszukania, znajdzie tylko garść popiołu. Teraz już nie ma żadnych dowodów na to, że powieść Stokera jest czymś więcej niż dziełem chorej wyobraźni.

Stoker... No właśnie, kim on, u diabła, jest? I skąd się dowiedział? Wszyscy świadkowie tamtych straszliwych wydarzeń złożyli przysięgę przed Bogiem, że nigdy nikomu o nich nie opowiedzą. Czy to możliwe, że Jack Seward zdradził ich wszystkich? Niestety, nie było innego wytłumaczenia.

Mina była zmęczona. Pytania mnożyły się w ogromnym tempie. Potrzebowała snu, chociaż kilku chwil, żeby odświeżyć umysł. Kilka tygodni temu, gdy zaczęły ją nawiedzać koszmary, Jonathan przyniósł jej butelkę laudanum. Tłumaczył, że niepokoją go te problemy ze snem. Mina odmówiła. Podejrzewała, że Jonathan chce w ten sposób stłumić jej rzekomo skrywaną tęsknotę za dawnym kochankiem.

Wyjęła z kredensu butelkę laudanum. Ze zmęczenia nie była nawet w stanie odczytać sposobu dawkowania. Nalewając je, przypomniała sobie, że to właśnie jej odmowa zażycia tego lekarstwa stała się pierwszym krokiem do rozpadu ich małżeństwa. Mina szybko przełknęła płyn w nadziei, że zatrze bolesne wspomnienia.

Środek zaczął działać prawie natychmiast. Chwiejnym krokiem wróciła do gabinetu. Często myślała z żalem o smutnym końcu ich miłości. Ale teraz nie miało to znaczenia. Nieważne, czy byłby to Jonathan z czasów ich młodości czy

też ten łajdak z ostatnich lat, chciała po prostu raz jeszcze znaleźć się w jego ramionach.

Wzięła do rąk stojącą na stoliku obok fotela fotografię męża zrobioną w dniu, kiedy zdał egzamin adwokacki. Była z niego wtedy taka dumna. Narazie był panem samego siebie i mógł z nadzieją patrzeć w przyszłość. Dotknęła pieszczotliwie policzka męża.

- Jonathan, potrzebuję cię. Pomóż mi. Nie poradzę sobie sama.

Czuła, jak zapada się w fotelu. Powieki ciążyły jej coraz bardziej. W ostatnim przeblysku świadomości, gdy zamykała oczy, wydało jej się, że coś czerwonego sączy się spod przeszkłonych drzwi.

Nie była pewna, jak długo spała, gdy poczuła na swojej kostce delikatny oddech. Z trudem otworzyła oczy, ale nikogo nie zobaczyła. Była w stanie delirium, na granicy snu i zamroczenia wywołanego laudanum. Oparła głowę z powrotem o fotel, ze zdjęciem wciąż przyciśniętym do piersi. Wyobraziła sobie, że ponownie obejmuje męża.

Wtedy poczuła czyjś dotyk.

Był delikatny, czuły, nieco zmysłowy. Dłoń zaczęła wędrować od kostki w górę, wzdłuż łydki, sięgnęła nad pończochę. A potem odwróciła się i dotknęła miękkiej skóry po wewnętrznej stronie uda. Mina przygryzła wargę. Ten dotyk coraz bardziej rozpałał jej zmysły. Czuła, jak jej ciało ogarnia podniecenie. Gorąco pragnęła, by był to Jonathan.

Dłoń rozchyliła jej nogi. Krew zaczęła krążyć szybciej w żyłach. Pragnęła być kochana, pożądana, pragnęła znowu poczuć się kobietą. Jęknęła. Jej pierś falowała unoszona coraz szybszym oddechem.

Niewidzialne dłonie zsunęły z niej bieliznę, a potem sięgnęły głębiej. Wyprężyła ciało. Już miała poddać się tej namiętności, kiedy naszła ją przerażająca myśl. To przecież nie może być Jonathan. Jej mąż nigdy nie pozwolił sobie na poznanie sekretów jej ciała. Mina westchnęła. Nikt nie dotykał jej w ten sposób. Nikt... oprócz niego. Załkała. Nie, proszę - pomyślała - nie rób tego. Za wcześnie na to. Kocham Jonathana.

W myślach usłyszała głos: „Jonathan umarł na moich oczach. Teraz należysz do mnie”.

Mina próbowała krzyknąć. Zaczęła myśleć jaśniej. To jej kochanek zabił jej męża i w ten sposób sprzeniewierzył się ich miłości. A potem poczuła, jak ręce

te dotykają jej jednocześnie w tysiącach miejsc. Zadrzała. Nie mogła się już dłużej opierać. Wszechogarniająca rozkosz zawładnęła nią całkowicie. Otworzyła usta, a głowa powoli opadła jej do tyłu. Omdlała.

Niespodziewanie poczuła lodowaty powiew wiatru. Wiedziała, że leży na brzuchu, ale jej zmysły odbierały wszystko tak, jakby stała. Wiatr wył tak głośno, że myślała, iż ogłuchnie. Próbowała zatkać uszy, nie mogła jednak wykonać żadnego ruchu. Była jak sparaliżowana. Za to zmysły miała wyostrzone jak nigdy przedtem - do jej nozdrzy docierała intensywna woń lasu pomieszana z zapachem wody, błota i końskiego nawozu. Czują na skórze igielki mrozu.

Mimo że wcale nie chciała tego robić, otworzyła oczy. To, co ujrziała, wstrząsnęło nią. Chciała krzyknąć, lecz nie mogła wydać z siebie żadnego dźwięku. Straciła kontrolę nad ciałem. Stała na szczycie zrównanych blanków, spoglądając w dół na omiatane śniegiem pole. Płatki śniegu tańczyły na wietrze. Rozpoznała postrzępione wierzchołki Karpat.

Znajdowała się w Transylwanii, na szczycie najwyższej wieży zamku Draculi.

Usłyszała tętent kopyt. Ponad dwudziestu mężczyzn pędziło w stronę zamku. Cyganie. Pośród nich jechał ciągnięty przez zaprzęg wóz, na którym spoczywała trumna. Chwiała się na boki, ześlizgując za każdym razem, gdy wóz podskakiwał na nierównościach skutej lodem drogi. Gdy byli już w niewielkiej odległości od zamku, Cyganie otoczyli wóz i wyjęli broń.

Mina uświadomiła sobie, że oto właśnie przeżywa na nowo najmroczniejsze chwile swojej przeszłości, chwile, które przez ostatnie dwadzieścia pięć lat życia usilnie próbowała wyrzucić z pamięci.

Ale w jej wspomnieniach wyglądało to inaczej. Znowu siła panująca nad jej ciałem sprawiła, że spojrzała na wschód. Zobaczyła tam mężczyznę na szarym ogierze, przytrzymującego lejce białego konia, na którym jechała jasnowłosa kobieta.

Była nią... ona sama.

Jeźdźcem był profesor van Helsing. Co za dziwne uczucie - obserwować siebie... Zrozumiała, że stała się obserwatorem przeszłych wydarzeń. Nigdy przecież nie była na zamku Draculi. Czyżby nie żyła? Czy to jest czyściec? Myśl, że Bóg mógł ukarać ją przeżywaniem najstraszliwszych chwil jej życia przez całą wieczność, napelniła ją przerażeniem.

Nagle usłyszała wysoki dźwięk rogu. Odruchowo odwróciła głowę w stronę, z którego dochodził. Podobnie postąpili Cyganie. Rozpoznała nadsięgają-

ych z zachodu mężczyzn: Teksańczyka Quinceya P. Morrisa oraz doktora Jacka Sewarda. Na ich widok uspokoiła się. Może to prawda, że człowiek po śmierci jednoczy się z tymi, których kochał? Czuli, jak wśród Cyganów narasta strach. Nigdy przedtem nie widzieli teksańskiego rewolwerowca. W chwili gdy jeźdźcy pojawili się na horyzoncie, rozległ się wystrzał. To Jonathan i Artur zaatakowali Cyganów.

Plan, który uknuli kilka dni wcześniej, polegał na rozdzieleniu się i przebyciu Transylwanii różnymi środkami lokomocji. Teraz następował punkt kulminacyjny ich intrygi. Mieli w tym samym czasie zaatakować Cyganów, otaczając ich ze wszystkich stron. Był to plan Quinceya P. Morrisa, który nauczył się tej sztuki podczas walk z Indianami, jako oficer kawalerii.

Do tej pory plan przebiegał bez zakłóceń - wszyscy byli na miejscu. Gotowi do walki. Konie pędziły bez wytchnienia. Z pysków buchała im piana, nozdrza rozszerzały gorący oddech, a kopyta dudniły o stwardniały śnieg. Teraz rozpoczęła się walka z czasem - musieli dopaść Cyganów przed zachodem słońca.

Idąc za przykładem Jonathana i Artura, Teksańczyk i doktor Seward również otworzyli ogień. Huk broni palnej spłoszył konie, które zaczęły wierzgać kopytami i stawać dęba. Cyganie odpowiedzieli salwą.

Bramę zamku, częściowo zburzoną, blokowały powalone kamienie. Mina spostrzegła, że opadły gruz pochodził z rozpadającej się wieży, na której stała. Ponownie, nie za sprawą swej woli, spojrzała w kierunku toczącej się bitwy. Wciąż nie mogła pogodzić się z myślą, że obserwuje samą siebie. Wtedy jej wzrok padł na nadjeżdżającego Jonathana i widok ten na chwilę zaparł jej dech w piersiach. Zapomniała już, jak pociągająco wyglądał na koniu. Jej mąż, który w przeciwieństwie do Artura i Cjuinceya P. Morrisa nigdy nie szukał przygód, wyznał jej po latach, że podczas tamtej bitwy strach dosłownie go paraliżował. Ryzykował życie z jednego tylko powodu: by ocalić kobietę, którą kochał.

Wszyscy czterej dotarli w pobliże wozu z drewnianą trumną. Część Cyganów oderwała się od głównej grupy i ruszyła w ich stronę. Widać było, że napastnicy nie mają żadnej strategii i atakują na oślep.

Doświadczony w bitwie Quincey P. Morris chwycił lejce i wystrzelił z winchestera w ich stronę. Nie mieli szans utrzymać się na koniach. Pierwszy, potem drugi z wrogów padł zakrwawiony. Kula jednego z Cyganów odbiła się ze szczękiem od karabinu Sewarda. Doktor krzyknął, broń wyleciała mu z rąk. Artur powalił Cygana jednym strzałem. Pozostali jego towarzysze ruszyli na

Morrisa i Sewarda, który stał zdezorientowany. Tekszańczyk zaczął okładać kolbą napastników i krzyknął do bezbronnego doktora:

- Łap, do cholery, za szablę!

Spoglądająca z góry Mina stała jak zauroczona, widząc, jak łagodny Jack przytomnieje, z dzikim okrzykiem na ustach sięga po broń i rusza do ataku, dosłownie rzucając się na wrogów. Mogłaby przysiąc, że słyszy łomotanie jego serca.

Kolba roztrzaskała Sewardowi nos, zalewając go krwią. Czuli ją.

Odwróciła głowę, akurat by zobaczyć, jak profesor van Helsing i młoda Mina zeskakują z koni. Van Helsing, z wprawą doświadczonego łowcy, spokojnie wycelował i zabił napastnika, który zranił Sewarda. Huk wystrzału zaalarmował resztę. Kolejna grupa oderwała się od wozu i ruszyła w stronę profesora. Jego działania miały jeden cel: przerzedzić szeregi obrońców trumny. Zobaczyła, jak sama staje za plecami van Helsinga, który w tym czasie wyciągnął dwa sześciostrzałowe rewolwery i krzyknął:

- Słońce zachodzi! Nie mamy czasu! Jonathan, Artur, na wóz!

Chwyciła porzucony przez niego karabin i przyłączyła się do walki.

Nagle dobiegła ją nowa seria wystrzałów. To Jonathan i Artur rzucili się w stronę trumny. Podczas gdy każdy strzał Harkera chybił celu, skuteczność Artura była stuprocentowa. Cyganie skupili się wyłącznie na nim. Nagle jego głowa odskoczyła do tyłu. Gdy spadł z konia, cały był już we krwi.

Jack Seward najwyraźniej oswoił się już z walką. Wyciągnął pistolet. Tymczasem Quincey P. Morris spisał wierzchowca ostrogami i natarł prosto na Cygana, którego w wyniku siły zderzenia koń zrzucił z siodła. Po opróżnieniu swoich sześciostrzałowców van Helsing prawą ręką wyjął szablę przytroczoną do pasa, a lewą krótki, zakrzywiony nóż, po czym dał mistrzowski pokaz umiejętności szermierczych, pokonując trzech Cyganów naraz.

Mina zauważyła, jak jej młodsza wersja zastyga nagle w bezruchu. Do jej umysłu dotarły rozkazy księcia ciemności. Zalała ją fala miłości i uczucia, jakie do niej żywił. Nakłaniał ją także, by skierowała lufę w stronę van Helsinga i wystrzeliła. Walczyła ze sobą. Po chwili odrzuciła broń, a wtedy palący ból przeszył jej głowę. znowu wdarł się w jej myśli.

Profesor zatopił ostrze szabli w piersi Cygana i chwilę później podciął gardło drugiemu napastnikowi. Mina straciła przytomność i upadła na ziemię, ścisnąc złoty krzyżyk zawieszony na szyi.

Jack Seward zeskoczył z konia. Wokół niego leżały liczne ciała. Pochwycił jeden z karabinów należących do martwych Cyganów i zaczął strzelać do obrońców skrzyni.

Artur chwiał się na nogach. Krew płynęła z rany w miejscu, gdzie kula drasnęła policzek. Krwawił też oderwany kawałek prawego ucha. Podniósł z ziemi swego winchestera i dołączył do Sewarda, torując drogę Jonathanowi i Quinceyowi P. Morrisowi.

Teksańczyk, krzycząc dziko, wyciągnął nóż Bowie i skoczył na wóz ze skrzynią. Jonathan stał przez chwilę bez ruchu sparaliżowany strachem. Spojrzał na swoją żonę wijącą się z bólu za plecami van Helsinga. Mina, patrząc z góry, dojrzała teraz coś, czego wówczas nie mogła zauważyć. Na widok cierpiącej żony w Jonathanie zawrzało. Furia dodała mu siły i odwagi. Spojrzał na trumnę, wyjął szablę i ciął stojącego mu na drodze Cygana, po czym wskoczył na wóz, by wspomóc przyjaciela.

Razem zdarli wieko drewnianej trumny, ujawniając jej przerażającą zawartość - kościstą istotę o spiczastych uszach i ostrych zębach ubraną w kosztowny strój.

- Do licha, Harker! - wyrzucił z siebie z obrzydzeniem Cjuincey P. Morris. - Co to takiego?

- Wcielone zło - odparł Jonathan.

Jeden z napastników chwycił van Helsinga za gardło. Ten w ostatniej chwili zdołał schylić się i wyciągnąć z buta ukryty tam nóż. Błyskawicznie wbił go w podbrzusze mężczyzny. Ów zachwiał się i zwolnił uścisk. Profesor odchylił głowę i z całą mocą uderzył rannego. Mężczyzna upadł na ziemię. Van Helsing odwrócił się w kierunku Jonathana i Quinceya P. Morrisa. Zauważył ich wahanie i krzyknął:

- Nie patrzcie na niego! Atakujcie!

Było za późno. Bestia otworzyła oczy. Dwie czarne złowrogie kule wbiły wzrok w Quinceya P. Morrisa i Jonathana. Obaj znieruchomieli pod wpływem jej hipnotycznego spojrzenia. Tymczasem Mina zaczęła odzyskiwać przytomność. Stojąca na blankach kobieta zrozumiała, co się stało. Księżę ciemności odwrócił od niej swą uwagę i skupił ją na napastnikach.

Van Helsing podniósł z ziemi karabin i ruszył w kierunku wozu, przywołując Jacka i Artura. Choć Artur osłaniał ogniem sparaliżowanych strachem przyjaciół, jednemu z Cyganów udało się przedostać do wozu. Wyciągnął szablę i jej ostrze przeszło ciało Quinceya. Jęk rannego wyrwał Jonathana z transu.

- Quincey! - zakrzyknął. Odwrócił się i ujrzał, jak Cygan z zimną krwią wyszarpuje szablę z pleców jego przyjaciela. Teksańczyk przytrzymał się brzegu

trumny. Jego zabójca zamierzył się teraz na Harkera. Stalowe ostrze przecięło ze świstem powietrze. Jonathan odparował cios. Siła uderzenia zwała napastnika z wozu. Ten jednak szybko się otrząsnął i ruszył ponownie na Harkera.

Młodsza Mina wykrzyknęła:

- Jonathan!

Artur, Jack i van Helsing wystrzelili naraz, wszyscy celnie. Cygan spadł z wozu. Jonathan był ocalony. Spojrzał na żonę. Van Helsing krzyknął do niego:

- Zabij go, i to natychmiast! Zaraz zajdzie słońce!

Ognista kula niemal zrównała się z linią horyzontu. Znad ciała wystawionego na promienie słoneczne potwora zaczął unosić się dym.

Przerażona i skonfundowana Mina odwróciła wzrok od męża i spojrzała w stronę trumny.

Potwór zawył nieludzko, kiedy Quincey P. Morris resztkami sił zatopił nóż Bowie w jego piersi. Mina krzyknęła, gdy bestia wydała z siebie nieludzki jęk.

Quincey opadł zemdlny na otwartą trumnę. Bestia odepchnęła go tak silnie, że Teksaszczyk zatoczył luk w powietrzu i upadł ciężko na śnieg. Charcząc z bólu, potwór z trudem się uniósł. Z jego piersi tryskała ciemna krew. Zabójcze promienie słońca padały teraz wprost na niego. Wyciągnął ręce do Miny, a jego ciało płonęło żywym ogniem.

- Mino, najdroższa, pomóż mi!

Jonathan spojrzał na żonę. Nadszedł moment wyboru. Jej wahanie wzniciło tylko furie Jonathana. Chwycił za szablę i wskoczył na wóz. Bezдушny wzrok potwora spotkał się z jego wściekłym spojrzeniem.

- Niech cię piekło pochłonie, bestio!

Jonathan zamachnął się szablą, chcąc odciąć wrogowi głowę. Był jednak zbyt słaby i ostrze jedynie głęboko raniło bestię. Potwór uderzył na oślep. Siła ciosu odrzuciła Jonathana daleko w tył.

Wampir wyszarpnął ostrze z szyi. Z rany trysnęła struga krwi. Płomienie ogarnęły całe ciało. Zawył, chwiejąc się na nogach.

Jonathan podniósł się z ziemi, wydobył nóż kukri i ponownie ruszył do ataku, zdecydowany dokończyć dzieła. W tej samej chwili Mina ujrzała, jak jeden z rannych Cyganów celuje w jej męża.

Wiedziała, że już za chwilę, gdy słońce skryje się za Karpatami, jej książę będzie ocalony. Ale wiedziała też, że jeśli nic nie zrobi, jej ukochany mąż zginie. Podjęła jedyną słuszną decyzję, która miała prześladować ją do końca życia. Podniosła porzucony pistolet i jednym strzałem przerwała morderczy zamiar napastnika.

Jonathan ponownie uniósł nóż kukri. Chciał odciąć głowę płonącej bestii. Nie dane mu było jednak tego dokonać. Widok ukochanej, która wołała ocalić jego rywala, niż wypełnić jego rozkaz, był dla Draculi nie do zniesienia. Jonathan cofnął się przerażony, bo potwór zaczął się wic w katuszach. Spalone ciało spadało od kości. Jednak opłakiwał nie swoją śmierć, ale zdradę ukochanej.

Upadł, a trawiące go płomienie do reszty zniekształciły ciało, które wkrótce obróciło się w płonące zgliszcza. Po chwili, wciąż z nożem wbitym w pierś, wampir przemienił się w chmurę pyłu.

Było po wszystkim.

Mina zamarła, oglądając scenę, jaka rozgrywała się na jej oczach. Przeniosła wzrok na trumnę. Choć nie była pewna, czy przemawiają przez nią jej własne uczucia, poczuła niebywałą furję. Oto bowiem z trumny, niezauważona przez nikogo, zaczęła wydostawać się cienka struzka białej mgły. Sunąc tuż nad pokrytą śniegiem ziemią, popłynęła w stronę wrót zamku. Mina otworzyła usta, ale głos, który z nich wyszedł, nie należał do niej.

- Nie tym razem.

Nagle poczuła, że mknie przez kamienne komnaty zamku. W jakiś sposób jej ciało wiedziało dokładnie, dokąd zmierza. Jej stopy nawet nie dotykały ziemi. Słyszała świst wiatru i czuła jego podmuch. Znowu poczuła zimno i płatki śniegu na skórze.

Zatrzymała się gwałtownie. Przebywała teraz w ruinach starej kaplicy. Z budowli pozostało zapadnięte sklepienie i drewniane ławki przegniłe od deszczu, śniegu i wiatru. Na kamiennej posadzce leżały pozostałości rzeźby Chrystusa na krzyżu.

Skupiła wzrok na podstawie ołtarza. Z białej mgły powoli zaczął formować się ludzki kształt. Osłupiała, patrzyła na odradzające się ciało. To był . Miał skórę zwęgloną od ognia promieni słonecznych, poderżnięte gardło, a z jego piersi wystawał nóż Bowie. Z rany ciekła krew. Jednak, jakimś sposobem, wciąż żył. Nagle zawył przeraźliwie i zaczął się wic z bólu.

A zatem nie zginął. Podziwiała jego taktyczny geniusz, który zmienił drużynę nieustraszonych w bandę głupców.

Objął dłońmi rękojeść noża i próbował wyrwać go z piersi. Był jednak zbyt słaby. Mina chciała mu pomóc, ale siła, która kontrolowała jej ciało, pozwoliła jej tylko podejść spokojnie do niego. Słyszała stukot swoich butów na kamiennej posadzce, rozchodzący się echem po kaplicy. Za jej plecami świecił księżyc. Gdy cień kobiety padł na Draculę, ten uświadomił sobie jej obecność. Wyciągnął błagalnie rękę.

- *Sange!*

Mina nie знаła rumuńskiego, rozumiała jednak, że prosi o krew. Z jej gardła wydobył się śmiech, drwiący i zwycięski. Patrzyła bezsilnie, jak czarnym skórzanym butem z wysoką cholewką staje na rękojeści noża.

W oczach Draculi pojawiła się wściekłość. Mina uświadomiła sobie, że przemawia słowami, które podobnie jak język, jakim mówiła, nie są jej.

- Masz wysokie mniemanie o swojej moralności, a odtrąciłeś mnie dla tej dziwki!

Nie była w stanie tego pojąć. Co ona wygaduje?

- Profanacja! - warknęła, po czym docisnęła nóż i jednym pchnięciem zanurzyła go w sercu Draculi. Tym razem to nie Mina podejmowała decyzję. Chciała krzyknąć, ale zamiast tego zamruczała zadowolona.

Jęknął. Głowa opadła na bok, oczy straciły blask. Wargi, które Mina niegdyś całowała, wydały ostatnie tchnienie. Jej ukochany naprawdę umarł. I to nie ona była za to odpowiedzialna.

Przez tyle lat Mina pragnęła poznać prawdę - była świadkiem tego, jak księżę zmienia się w chmurę pyłu, ale nie widząc jego ciała, nigdy nie była pewna, czy naprawdę odszedł. Wolałaby nie znać prawdy. W niewiedzy tkwiła nadzieja, teraz odebrano jej nawet to.

Mina ujrzała, jak jednym zwinnym ruchem dłoni ubranej w czarną rękawiczkę ozdobioną wielkim rubinowym pierścieniem chwytła za kościaną rękojeść noża. Wyrwała go z piersi Draculi z prawdziwą satysfakcją.

Gdy wycierała ostrze, przez chwilę mignęła jej twarz odbita w lustrze stali. Ale to nie była ona, lecz nieznaną jej przepiękną kobietą o lśniących kruczoczarnych lokach i zimnych niebieskich oczach. Czując zapach krwi ofiary, drżała z rozkoszy.

Okrucieństwo tej kobiety napawało Minę wstrętem, mimo to nie była w stanie powstrzymać wypełniającej jej fali uniesienia. Zamknęła oczy i poddała się wszechogarniającej rozkoszy.

Gdy otworzyła oczy, dostrzegła ze zdumieniem, że wciąż znajduje się w swoim domu w Exeter. Drżała - ale nie tyle z powodu zwycięstwa, ile fizycznego zaspokojenia. Wciąż czuła dłonie, które tak ją pieściły. Kiedy ogarnęły ją fale rozkoszy, zaczęła krzyczeć. Jej orgazm był tak silny, że wypuściła z dłoni zdjęcie Jonathana, które rozbiło się o regał z książkami na drugim końcu pokoju. Czuła się cudownie. Leżała rozleniwiona, chwytając powietrze. Uśmiech pojawił się na jej ustach. Miała rację, tylko jeden człowiek mógł ją doprowadzić do takiego stanu. Już miała wypowiedzieć jego imię, kiedy nagle doszedł ją straszliwy odór otwartego grobu.

Otaczała ją czerwona mgła. Wypływała spod halek jej sukni. Kiedy uniosła się do góry i zaczęła przybierać kobiecy kształt, Mina rozpoznała w niej piękność ujrzaną w lustrze ostrza. To była ta diablica, która zabiła jej księcia.

Zaczęła podnosić się z fotela, ale kobieta popchnęła ją z powrotem na miejsce, a potem przywarła mocno do jej warg. Mina próbowała się opierać, lecz jej wysiłki były daremne. Gdy poczuła ukąszenie kłów i smak własnej krwi, jej umysłem zawładnęły przerażające obrazy zmasakrowanych ciał. Młode, nagie kobiety wisiały głowami w dół. Z ich poderżniętych gardel krew spływała strumieniem.

Wampirzyca odsunęła się z uśmiechem. Ciszę przerwał znajomy głos:

- Wszystko, co pozostało z twojego mrocznego księcia, to cień jego dawnej potęgi. Nadszedł twój czas, moja droga.

To rzekłszy, rozplynęła się w czerwonej mgle i zniknęła za przeszkłonymi drzwiami.

Mina osunęła się na podłogę i ścisnęła krzyżyk na szyi. Drząc na całym ciele, doczołgała się do szafki, obok której leżała przewrócona butelka whisky. Wyciągnęła korek i nerwowo przepłukała usta palącym płynem. Jęknęła z bólu, gdy alkohol dostał się do ran na języku. Zakrztusiła się, a ciemna struga spłynęła jej po brodzie. Próbowała się uspokoić. Ułamki obcych wspomnień wypełniły jej umysł. W jednej sekundzie wszystko zrozumiała. Obrazy, które ją zalewały, były wspomnieniami jej napastniczki. Ich krew się zmieszała. Mina знаła teraz myśli tej diablicy, jej pragnienia i pasje. Istota, która ją posiadała, była nieznanym do tej pory bohaterem całej historii. Zabójcą Draculi. Bestią, która poluje na członków bohaterskiej drużyny, zabijając jednego po drugim. Wrogiem Miny była hrabina Elżbieta Batory.

Rozdział XXVIII

„^r [^] rzemarznięty Quincey stał na nabrzeżu. Nisko wisząca mgła spo-
■[•]^{^^} wijąca całunem wody kanału La Manche. Słysząc było jedynie deli-
• katny plusk fal uderzających o drewniany falochron. W przeciwień-
* stwie do spokojnego otoczenia, w jego duszy szalała burza. Przę-
pował z nogi na nogę, mając nadzieję, że ruch przywróci czucie w wychłodzo-
nych stopach. Przemoczony płaszcz nie gwarantował nawet odrobiny ciepła.
Tak jak i przepelnione złością myśli nie rozgrzewały jego duszy.

Zaledwie tydzień temu jego przyszłość rysowała się pewnie i w pogodnych barwach. Podążał za głosem serca. Poczynił pierwsze kroki, by stać się aktorem i producentem, stawiając wreszcie swoje marzenia ponad życzeniami rodziny. Teraz jednak, kiedy jego ojciec został zamordowany i kiedy wyszły na jaw kłamstwa matki, mógł skupić się tylko na jednym. Musiał odnaleźć potwora, który zabił jego ojca, i zniszczyć go własnymi rękami. Nie chciał rezygnować z marzeń, ale żądza zemsty była silniejsza. Czuł, że stoi na rozdrożu. Marzenia musiały jednak poczekać.

Rzucił okiem na zegarek. Statek się spóźniał. Spojrzał w stronę morza, świadomy, że musi podjąć decyzję jeszcze przed jego przybyciem. Gęsta mgła unosząca się tuż nad powierzchnią wody zasłaniała wszystko. Nawet silny blask latarni morskiej nie był w stanie jej przeniknąć. Basarab wynajął szkuner, który miał go przywieźć do Anglii pod osłoną nocy, tak by ani prasa, ani tłumy wielbicieli nie dowiedziały się o jego przybyciu. Nabrzeże było puste. Nawet kapitan portu udał się już na spoczynek. Quincey był sam.

Spojrzał przez ramię na błyszczące złowrogo w świetle księżyca białe klify Dover wylaniające się sponad mgły. Po wodach niósł się gong pokładowego dzwonka. Gęsta mgła zaczęła się przerzedzać. Statek Basaraba zbliżał się do portu.

Quincey zmrużył oczy. Nie dostrzegł żadnego ruchu na bocianim gnieździe. Wysłał wzrok w ciemności, lecz na próżno. Miał wrażenie, że statek, tak jak i on, jest opuszczony i zdany na łaskę fal.



Nagle zauważył zarys nadpływającego szkunera. Od razu przypomniał mu się opis statku „Demeter” z książki Stokera, na którym jego wróg przybył do Anglii- Draculi także zależało na anonimowości. Ten diabeł systematycznie zabijał członków załogi, aż pozostał z niej tylko kapitan. Gdy statek roztrzaskał się Oskalisty wybrzeże Whitby, nieszczęśnika znaleziono martwego, przywiązane go do steru na mostku kapitańskim, z różańcem w ręku. Quincey pamiętał też, że nieopodal znaleziono zabitego psa. „Gardło miał poderżnięte, a brzuch rozplatany, jak gdyby pazurem dzikiej bestii”.

Quincey miał wrażenie, że szkuner Basaraba nie wytraca prędkości. A na pokładzie dalej nie było widać żywej duszy.

Nagle usłyszał głuchy łomot.

Odwrócił się w stronę doków, skąd dobiegał hałas. Było zbyt ciemno, by można było dostrzec cokolwiek. Powróciły do niego słowa, które matka rzuciła za nim, gdy wybiegał z domu: „Zapomnij o przeszłości, bo może cię spotkać los jeszcze gorszy niż ojca!”. Poczul dreszcz. Przypomniał sobie historie o tyranach, którzy zabijali nie tylko swoich przeciwników, ale i ich dzieci, aby w ten sposób uniknąć ich zemsty. Wiedział, że potwór, który zabił jego ojca, byłby i do tego zdolny. Quincey, sam na pustym nabrzeżu, znikąd nie mógł się spodziewać ratunku, nie miał też dokąd uciec. Wydawało się, że mgła otacza go kokonem. Czy Stoker aby nie pisał, że nieumarli mogli przybierać postać mgły?

I znowu łomot.

Quincey szybkim krokiem zaczął wycofywać się w stronę lądu. Jego serce biło niespokojnie.

Na morzu błysnęło jakieś światelko.

Z kolejnym uderzeniem Quincey odkrył źródło hałasu, odetchnął z ulgą i zaśmiał się z samego siebie. To poluzowane koło ratunkowe łomotało o nabrzeże. A więc nic mu nie groziło. Przynajmniej na razie.

Na pokładzie stała samotna postać, trzymając w uniesionej ręce latarnię. Dotarło do niego, jaki był naiwny, zakładając, że byłby w stanie pokonać Draculę. Jeśli jako śmiertelny człowiek zdolny był do takich okrucieństw, to mając niezwykłą moc nieumarłych, był niepokonany. Quincey zastanawiał się, czy wampiry można rzeczywiście zniszczyć sposobami opisanymi przez Stokera. Musiał przyznać, że - podobnie jak ojciec - nie ma doświadczenia w walce. Jonathan miał jednak walecznych przyjaciół. On zaś był zupełnie sam.

Uświadomił sobie, że jeśli jego matka mówiła prawdę, to nie może też po prostu unikać konfrontacji. Wiedział, że niezależnie od tego, gdzie się zaszyje, go odnajdzie.

Gwizdek bosmana przerwał jego rozmyślenia. Statek zwolnił i skierował się w stronę doków. Na dziobie majaczyła znajoma sylwetka Basaraba. Quincey zaczął się zastanawiać, co ma mu powiedzieć. Wiedział, że to z jego powodu aktor zdecydował się na tę podróż i wydał na nią mnóstwo pieniędzy. W jaki sposób miałby wyjaśnić mu swoją nagłą decyzję porzucenia pracy przy przedstawieniu? Jak miałby wyznaczyć mu prawdę? Jak większość jego rodaków, aktor żywił ogromny szacunek dla historycznego księcia. Jak miałby zaakceptować prawdę, że był on bestią, nieumarłym? Zrozumiał wreszcie rozterki Hamleta. Gdyby nie spotkała go cała ta sytuacja, zagrałby zapewne duńskiego księcia jako nierozgarniętego marudera, a nie tak jak powinien, jako mężczyznę doprowadzonego na skraj szaleństwa przez powagę decyzji, przed którą stoi. Naprawdę nie wiedział, co powinien zrobić.

Odwrócił się na dźwięk uderzenia kotwicy o wodę. A potem usłyszał zgrzyt łańcuchów, gdy trap obniżył się w stronę nabrzeża. Zobaczył na nim wysoką, majestatyczną postać Basaraba.

Quincey nie miał czasu. Musiał wykonać następny ruch.

- Panie Basarab, witamy w Anglii - rzekł, wyciągając rękę.

- Dostałem twój telegram - odpowiedział Basarab ze współczuciem. - Chcę, żebyś wiedział, że jeśli po śmierci ojca postanowiłeś zrezygnować z pracy przy sztuce, przyjmuję to ze zrozumieniem.

Niesamowite. Który to już raz Basarab odgadywał, co go trapi? Quinceya wzruszyły te słowa. Po raz pierwszy od śmierci ojca i odkrycia zdrady matki poczuł, że nie jest zupełnie sam. Być może aktor był jedyną osobą, na której mógł polegać.

Marynarze znieśli na brzeg bagaże.

- Myślałem sporo o tej sprawie - rzekł wreszcie Quincey. - I powiem szczerze, że zupełnie nie wiem, co robić.

- A co podpowiada ci serce?

Towarzystwo Basaraba działało na niego uspokajająco. Zrozumiał, że niezależnie od tego, jaką ścieżkę wybierze, może liczyć na jego pomoc.

Quincey nie był wojownikiem, nie miał domu, nie miał dokąd uciec. Być może jednak, dzięki wsparciu Basaraba, stałby się na tyle waleczny, by stawić

czoło przeciwnikowi. W końcu aktor był i odważny, i waleczny. Widział przecież, jak stanął do walki zaatakowany w Paryżu. Podjął decyzję. Dokończy swoją pracę i namówi Basaraba, by podjął się zagrania postaci złego Draculi, Nieumarłego. Potem, mając aktora po swojej stronie, stanie do walki. Tymczasem potrzebował czasu, by uczynić z niego kogoś więcej niż mentora. Chciał, by stał się jego sprzymierzeńcem.

Zrozumiał, że wcale nie musi dokonywać wyboru. Jeśli dobrze rozegra tę partię, uda mu się połączyć obie misje.

- Myślę, że powinienem poświęcić się pracy nad sztuką i oddać w ten sposób cześć mojemu ojcu - odparł. - Chociaż tyle mogę zrobić dla człowieka, którego prawie nie znałem. Niech będzie to wyraz miłości, której nie okazałem mu za życia.

Basarab uśmiechnął się z dumą.

- Zatem zrobimy wszystko, by ci się to udało.

Quincey miał wrażenie, że zdjęto mu z serca wielki ciężar. Przypomniał sobie swoje kłótnie z ojcem. Do tej pory był tak zagniewany i tak skupiony na własnych dylematach, że właściwie nie miał okazji, by należycie go oplakać. Odwrócił się, by Basarab nie dojrzał łez, które napływały mu do oczu. Nie chciał, by aktor odebrał je jako wyraz słabości czy niezdecydowania.

Basarab objął go ramieniem i przemówił łagodnie:

- Łzy nie są powodem do wstydu. Do tej pory pamiętam ten smutny dzień, gdy sam straciłem ojca.

- Jak zmarł?

- Byłem wtedy bardzo młody. Mój ojciec był wojownikiem, zginął z ręki własnych rodaków. - Twarz Basaraba stężała. Quincey zrozumiał, że jego mistrz dobrze zna znaczenie słowa „zemsta”.

- Ojciec byłby z ciebie dumny - rzekł Basarab, gdy szli ramię w ramię wzdłuż nabrzeża. - Niezależnie od tego, co się dzieje, więzi między ojcem a synem nic nigdy nie rozerwie.

Po raz pierwszy od wielu dni na twarzy Quinceya zagościł uśmiech. Basarab obdarzył go czymś, czego nigdy nie otrzymał od ojca: zaufaniem.

Rozdział XXIX

Stojący w drzwiach pubu Red Lion sierżant Lee podniósł wzrok na oświetloną nowym elektrycznym światłem tarczę Big Bena. Słońce zaczynało już kryć się za budynkiem parlamentu, a wieża zegara rzucała długi cień na Tamizę. Cotford miał się zjawić już piętnaście minut temu, a dla sierżanta każda kolejna chwila w pubie, wśród piwa lejącego się strumieniami, była coraz trudniejsza do zniesienia. Zaczynało mu dokuczać pragnienie, ale jako że był na służbie, nie mógł go zaspokoić. Wolał więc nie narażać się na pokusę i wyszedł na zewnątrz. Zresztą nie chciałby widzieć reakcji żony, gdyby dowiedziała się, że spędza ten wieczór w pubie. Tego dnia wypadała rocznica ich ślubu.

Lee spojrzął ponownie na zegar i zmarszczył brwi. Od ponad tygodnia wracał do domu tak późno, że nie miał nawet możliwości ułożyć dzieci do snu. Żywił nadzieję, że jego nieobecność tego właśnie wieczoru nie zirytuje żony jeszcze bardziej. Tłumaczył sobie, że kiedy się pobierali, Clara wiedziała, jak ważna jest dla niego praca. Czym była rezygnacja z kolacji przy świecach z ukochaną żoną wobec możliwości ocalenia życia kolejnej kobiety?

- Sierżant Lee?

Odwrócił się.

- Spóźnił się pan, sir - rzekł z wyrzutem.

Cotford nie bawił się w tłumaczenia, tylko spytał z niepokojem:

- Komu powierzył pan śledzenie podejrzanego? - A potem dodał z uśmiechem: - Temu młodemu Pricebwi?

Lee roześmiał się. On także lubił Pricea.

- Nie, chłopak był już wykończony. Nie spał od tygodnia. Odesłałem go do domu.

Widząc zaniepokojenie na twarzy Cotforda, dodał szybko:

- Proszę się nie martwić. Wszystko jest pod kontrolą. Podejrzany wydaje przyjęcie i na pewno nie ruszy się stamtąd przez następne kilka godzin.

- W porządku - rzekł uspokojony Cotford. - Proszę go teraz do mnie przyprowadzić.

- Jest pan pewien, sir? Jeśli aresztujemy go na oczach gości, wszyscy do wiedzą się o naszym śledztwie.

- Drogi Lee, to bardzo hermetyczne towarzystwo. Wątpię, by cokolwiek wydostało się poza to grono. Zresztą nie mamy wyjścia. Ta prowokacja jest naszą jedyną szansą.

Lee przytaknął i już miał odmaszerować, kiedy Cotford złapał go za ramię.

-1 na litość boską, proszę go wprowadzić tylnym wejściem, od strony Derby Gate - rzekł, wskazując na małą uliczkę między Parliament Street a Victoria Embankment. - Wtedy nikt was nie zauważy.

Lee uśmiechnął się. Cotford jak zwykle myślał o wszystkim.

- Nie ma szans, by van Helsing sam się przyznał - wyjaśnił inspektor. - Musimy więc sprawić, by jeden z jego dawnych współników zwrócił się przeciwko niemu.

Po tych słowach Lee oddalił się wreszcie. Obaj z Cotfordem czuli, że z tym podejrzanym nie pójdzie im łatwo. Jedno było pewne - to będzie długa noc.

Korpulentny inspektor cisnął na stół dzienniki Jacka Sewarda. Artur Holmwood obserwował zachowanie policjanta z sarkastycznym uśmiechem na twarzy. Był pewien, że Cotford blefuje. Jack nie mógł ich napisać. Ale gdy tylko rzucił okiem na fragment, który zaznaczył inspektor, nie miał wątpliwości, że to pismo dawnego przyjaciela. Wpadł we wściekłość. Jak Jack mógł złamać ich przysięgę i spisać na nowo wydarzenia tamtej tragicznej nocy? Jednak niczego po sobie nie pokazał. Nie da inspektorowi tej satysfakcji. Zamknął gwałtownie zeszyt i rzekł:

- Kto wie, co za narkotyczne wizje popchnęły Jacka do napisania takich bzdur.

Tajemnicą poliszynela było, że Jack był nie tylko niespełna rozumu, ale i uzależniony od morfiny. Niezależnie od zawartych w nich oskarżeń w sądzie dzienniki Jacka były bezwartościowe. Artur obserwował uważnie inspektora. Ten człowiek zapewne tylko stwarzał pozory flegmatycznego prostaka. Widać było, że zadał sobie wiele trudu, żeby wyprowadzić Artura z równowagi. PókJ przesłuchań, nie licząc stołu i paru twardych drewnianych krzeseł, był pusty. Zawieszona nisko nad stołem prosta metalowa lampa rzucała ostre światło,

od którego bolały go oczy. W pomieszczeniu było gorąco. Nie było wieszaka, nikt też nie zaproponował Arturowi, że weźmie od niego ubranie. Musiał gotować się w wieczorowym stroju i grubym zimowym płaszczu. Nie zaproponowano mu też nic do picia.

Wysiłki Cotforda, by go złamać, były daremne. Artur po oblężeniu twierdzy Tuyén Quang wpadł w ręce Chińczyków, a ci stosowali tak wyrafinowane metody tortur fizycznych i psychicznych, że w porównaniu z nimi Cotford był zwykłym amatorem.

- Być może to wzbudzi pana żywsze zainteresowanie - rzekł Cotford ze złośliwym uśmiechem, otwierając bladezieloną teczkę i podsuwając ją pod nos Arturowi.

Holmwood rzucił okiem na pierwszą stronę. Przeczytawszy tytuł, podniósł oczy na Cotforda.

- Raport z sekcji zwłok?

- Przeprowadzonej na Lucy Westenrze.

Tym razem Artur nie potrafił ukryć emocji. Cotford uśmiechnął się.

Holmwood był skonfundowany. Nigdy nie przeprowadzono żadnej sekcji.

Przecież nie było takiej potrzeby.

- Nie ma co zawracać sobie głowy medycznymi terminami - rzekł inspektor, odwracając raport na ostatnią stronę. - Przejdźmy od razu do podsumowania.

Wskazał na linijkę zapisaną ręcznym piśmem. Artur spojrzał na zaznaczone przez niego słowo.

- Zabójstwo? - przeczytał na głos. - Co za bzdury. Lucy zmarła przecież na skutek rzadkiej choroby krwi.

Słowa te z trudem przeszły mu przez usta. Znow nawiedziły go bolesne wspomnienia choroby Lucy. Jej niewyjaśniona utrata krwi, rozpaczliwe próby uzupełnienia jej ubytku transfuzjami oraz pieniądze wydane na specjalistów, z których żaden nie mógł zdiagnozować przyczyny. Żaden, z wyjątkiem profesora van Helsinga, który jednak mimo całej swej wiedzy nie był w stanie zapobiec pierwszej śmierci Lucy. Śmierci. Prawdziwy moment jej śmierci przesła-
dował go po dziś dzień.

- Panna Westenra pochodziła z bogatej rodziny - rzekł Cotford takim tonem, jak gdyby obwieszczał wielkie odkrycie. - Niedługo przed śmiercią, w przeddzień wyznaczonej daty waszego ślubu, zmieniła testament, na mocy którego stał się pan jedynym spadkobiercą całego jej majątku.

- Miał więc pan motyw - wtrącił Lee, który stał pod ścianą z tyłu pokoju, starając się robić groźne wrażenie. - Ten fakt razem z zapiskami doktora Sewarda to wystarczające przesłanki, by pana aresztować.

Artur zacisnął zęby, a jego dłoń sama zamknęła się w pięść. Krew zaczynała się w nim gotować. Wstrzymał na chwilę oddech, by stłumić narastający gniew. W pierwszym odruchu miał ochotę roztrzaskać im łby o ścianę, ale takie zachowanie byłoby po myśli Cotforda. Inspektor musiał blefować.

- To jakiś chory żart.

- Zapewniam pana, że nikomu nie jest do śmiechu. - Cotford wyjął z kieszeni fotografię i położył ją na stole. Cała krew odpłynęła Arturowi z serca.

Zdjęcie przedstawiało ludzki szkielet. Kaskada długich włosów spływała z odciętej od ciała czaszki, a spomiędzy żeber wystawał żelazny kołek. Biała suknia, którą Lucy sprawiła sobie na ślub, była przegniła, poplamiona brudem i zaschniętą krwią. To zdjęcie szczątków Lucy musiano zrobić niedawno. A zatem ten bydlak otworzył jej grób. Artur chciał odwrócić wzrok od tej koszarnej fotografii, ale nie umiał. Celowo nie wziął jej do ręki, żeby Cotford nie widział, jak bardzo się trzęsie.

Widok okaleczonych szczątków ukochanej wstrząsnął nim do głębi. Przez lata próbował wymazać z pamięci wydarzenia tamtej nocy, ale na próżno. Pamiętał, jak van Helsing zmusił go do wejścia do grobowca, w którym złożono ciało Lucy. Pamiętał, jak serce skoczyło mu z radości, gdy zobaczył ją żywą i piękną jak zaledwie parę dni wcześniej. Na początku pomyślał, że ma przywidzenia, aż odwróciwszy się, ujrzał twarz Jacka Sewarda zastygłą w szoku i przerażeniu. Lucy zaczęła go przywoływać. Jej głos był melodyjny i słodki jak zawsze. „Chodź do mnie, mój mężu. Pocałuj mnie. Będziemy razem. Na zawsze, tak jak sobie obiecywaliśmy”.

Pomyślał wtedy, że dostał od losu drugą szansę, by być z kobietą, która była mu droższa niż wszystko. Wciąż pamiętał, jak ogrzał go jej uśmiech tamtej zimnej nocy. Ruszył w kierunku jej wyciągniętych ramion, pragnąc ucałować jej usta. Wiedział, że gdy tylko znajdzie się w objęciach Lucy, cały ból, który czuł od jej pogrzebu, zniknie.

Już miał jej dotknąć, kiedy van Helsing wskoczył między nich i wyciągnął krucyfiks w stronę jego ukochanej. Ku przerażeniu Artura, Lucy zasyczała, obnażając kły, i plunęła krwią w stronę van Helsinga. Jej oczy zamieniły się w czarne kule. Cofnęła się w stronę trumny. Artur wiedział, że powinien być wdzięczny

profesorowi za ocalenie mu życia, ale mimo to z biegiem lat żywił do niego coraz większą urazę za to, że przeszkodził mu w tamtej sądnej chwili. Co mogłoby być straszniejszego w wiecznej młodości u boku ukochanej? Van Helsing próbował mu tłumaczyć, że ceną za to byłaby jego własna dusza - tyle że dwadzieścia pięć lat bez Lucy kosztowało Artura o wiele więcej. Tego jednak profesor by nie zrozumiał. Ostry głos Cotforda przywołał go do rzeczywistości.

- Proszę się przyznać. Jeśli złoży pan zeznanie przeciwko van Helsingowi, ocali pan swą nędzną głowę.

Czy inspektor naprawdę myślał, że on boi się szubienicy? Artur widział w życiu rzeczy o wiele gorsze od śmierci. Dla człowieka, który zszedł do świata podziemi, śmierć była błogosławieństwem. Przez pierwsze dziesięć lat po tamtej piekielnej nocy, w każdą rocznicę drugiej śmierci Lucy Artur zamykał się w swoim gabinecie, wpatrywał w portret ukochanej i polerował pistolety. Przykładał lufę do skroni, by zakończyć swoje cierpienie. Nade wszystko pragnął być z Lucy. Ale za każdym razem przypominał sobie słowa Biblii, że tych, którzy popełniają samobójstwo, czeka wieczne potępienie. Serce mówiło mu, że Lucy jest w niebie. To właśnie pragnienie, by ocalić jej duszę, sprawiło, że dał się przekonać van Helsingowi do wbicia żelaznego kołka w jej wampirze serce. Mimo to nie zaznał w życiu spokoju. Nie dość, że śmierć zabrała mu wtedy ukochaną po raz drugi, to jeszcze przez wszystkie te lata miało prześladować go poczucie winy, że się do tego przyczynił. Znalazł się w sytuacji bez wyjścia: gdyby się zabił, jego dusza poszłaby do piekła, a wtedy byliby rozdzieleni na wieki; teraz zaś cierpiał męki piekielne za życia. Pamiętał, jak trzęsły mu się ręce, gdy przebił serce Lucy. Nikt przed nim nie doświadczył takiego okrucieństwa losu - oto pan młody musiał zabić swą wybrankę w dniu, który miał być dniem ich zaślubin. Lucy nie chciała stać się upiorem. To był wszystkim winien.

Artur uświadomił sobie, że Cotford uważnie go obserwuje. Pora dowiedzieć się, jak dużo wie ten irlandzki pies i co właściwie knuje. Odepchnął dzienniki i raport w stronę Cotforda i bezczelnie rozparł się na krześle.

- Można by to uznać za łaskawą propozycję, gdyby pańskie dowody były czegoś warte. Jeśli byłby pan w stanie zdobyć nakaz aresztowania, już teraz się działabym w kajdankach.

- Niech pan nie igra z ogniem - rzekł Cotford ostrzegawczym tonem, wskazując na dzienniki. - Seward nie mógł żyć dłużej z poczuciem winy, za mierzal wydać van Helsinga i dlatego zginął z jego rąk.

Artur odparł z rozbawieniem:

- Z całym szacunkiem dla pana jako reprezentanta Scotland Yardu: to największa bzdura, jaką w życiu słyszałem. Jack Seward był pupilkiem van Helsinga, profesor traktował go jak syna. Ludzie w takiej zażyłości nie mordują się na wzajem. To zły trop.

- Gdy Jonathan Harker odkrył prawdę - dodał Lee - van Helsing jego również zabił.

- Van Helsing próbuje zacierać ślady - oświadczył Cotford. Pochylił się i rzekł poufale: - Jest pan następnym na jego liście.

- Szczerze w to wątpię - roześmiał się Artur. - Van Helsing ma siedemdziesiąt pięć lat, jest stary i schorowany.

- Nie twierdzą, że działa sam. W końcu kiedyś zwiódł pana i pańskich przyjaciół i nakłonił do popełnienia morderstwa.

Artur przestał się śmiać i spojrzał na niego z wściekłością. Na chwilę zapadła głęboka cisza, którą zakłócało jedynie tykanie zegara i oddech całej trójki. To była próba sił. Ten, kto się pierwszy odezwie, przegra.

Domyślał się już, jakim typem jest Cotford. Inspektor przypominał mu emerytowanego kapitana żeglugi, którego spotkał kiedyś w Szkocji. Kapitan, który wierzył w istnienie potwora z Loch Ness, poświęcił cały swój czas i majątek na poszukiwanie dowodów na jego istnienie. Cotford robił dokładnie to samo i tak samo jak kapitan opierał się jedynie na mitach i przypuszczeniach, nie mając żadnych faktów na poparcie swoich teorii. Łudził się, że zastraszony Artur przyzna się do winy i potwierdzi jego chorą tezę.

Westchnął. Ten inspektor nie ma pojęcia, z kim rozmawia.

Napięcie w pokoju narastało, wreszcie Cotford nie wytrzymał i odezwał się:

- A może van Helsing znalazł nową grupę łatwowiernych młodych ludzi i namówił ich, by mordowali dla niego?

Artur, słysząc te bzdury, pokręcił tylko głową. Stwierdził, że Cotford nie jest tak groźny, jak mu się z początku wydawało.

W oczach Cotforda było coś znajomego. To samo spojrzenie miał van Helsing, kiedy po raz pierwszy mówił o nieumarłym, Nosferatu. Spojrzenie człowieka przekonanego o własnej racji. Spojrzenie fanatyka. Artur był już pewien, że inspektor nie odpuści. Pójdzie za nim nawet na koniec świata, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nawet za cenę życia. Śmierć na szubienicy oznaczałaby koniec jego cierpień. Jeśli chodziło tylko o to, przyznałby się do każdego zarzutu

Cotforda. Ale musiał też myśleć o Beth i jej pozycji towarzyskiej oraz swoich bliskich, którzy ucierpieliby, gdyby pozwolił Cotfordowi skalać swoje nazwisko. Jego przygody dosyć już przyniosły wstydu rodzinie. Poślubił Beth z przyjaźni, by wyciągnąć jej rodzinę z ogromnych długów. Beth kochała Artura, ale on nie odwzajemniał głębi jej uczuć. By nie czuć bólu, rzuciła się w wir życia towarzyskiego. Artura i tak spalało poczucie winy. Beth od tygodni planowała to przyjęcie, zaprosiła na nie całą śmietankę towarzyską. Jego aresztowanie na oczach wszystkich gości było dla niej katastrofą. Choć Artur nie kochał jej tak, jak mąż powinien kochać żonę, uważał ją za swojego najlepszego - i jedyne - przyjaciela. Oskarżycielski wzrok i łyż wstydu w jej oczach, gdy go wyprowadzano, były dla niego ciosem w samo serce. Nie mógł pozwolić, by wyrok sądu jeszcze bardziej podkopał jej pozycję w towarzystwie. To było wszystko, co miała.

Artur wstał zza stołu i zaczął spokojnie wkładać rękawiczki.

- Dosyć oszczerstw już się nasłuchałem. Pochodzę z bardzo wpływowej rodziny. Spróbujcie jeszcze raz zakłócić mój spokój, a pożegnacie się z tą pracą. - To rzekłszy, ruszył w stronę drzwi.

- Pan i van Helsing możecie wmawiać sobie, że zabijając, walczyliście w ten sposób ze złem w postaci diabelskich mocy - rzekł Cotford. Artur zatrzymał się w drzwiach. - Ale ja znam prawdę, ponieważ widziałem ją na własne oczy. Zło istnieje w ludzkiej duszy... i idzie po pana.

Wychodząc, Artur odparł:

- Ono idzie po nas wszystkich.

Van Helsing miał mnóstwo rzeczy do zrobienia. Przeczytawszy telegram od Myny, zamierzał wrócić do pokoju po płaszcz i kapelusz, po czym od razu udać się na poszukiwanie Quinceya. Jednak bez porządnej kolacji i po wyczerpującej konfrontacji z Cotfordem czuł się zbyt słaby, by wyruszyć na swoją misję. Postanowił wypocząć i zacząć jutro z samego rana. Zmarnował zbyt wiele czasu na jałową dyskusję z tym konstabłem... ach, nie, inspektorem Cotfordem. Po tych wszystkich latach, które spędził, walcząc ze złem, po to, by ignoranci tacy jak Cotford mogli spać spokojnie, taką otrzymywał zapłatę. Oskarżony o morderstwo, też mi coś! On, van Helsing, przyjechał do Londynu w ważniejszym celu i lepiej, żeby Cotford nie wtrącał się w jego sprawy. Miał tylko nadzieję, że jeden dzień przerwy nie zagrozi Quinceyowi.

Do ścian pokoju hotelowego poprzypinał portrety historycznego pierwowzoru Draculi - rumuńskiego księcia Vlada Palownika - oraz rysunki przedstawiające jego krwawe wyczyny. Na pierwszym planie znajdowała się rycina, na której ucztował wśród tysięcy nabitych na pal wrogów, niczym w lesie ludzkich ciał.

Wpatrzony w te rysunki, myślał o tym, że ostateczna konfrontacja z Draculą jest jego przeznaczeniem, a zniszczenie tej diabelskiej kreatury raz na zawsze - jego powinnością. Robił to w imię Boga. Jeśli Cotford wejdzie mu w drogę, jego również zabije.

- Mój czas się zbliża, bestio - rzekł, spoglądając w oczy Draculi na portrecie. Na stole leżały krucyfiksy, hostie, woda święcona, drewniany kołek, nóż oraz naciągnięta kusza gotowa do wystrzału. - Przyjdź po mnie, a umrzemy razem. Nie ze starości, ale z honorem, w bitwie.

Nagle poczuł, że śmierć znowu ściska go za serce, a jej zimne palce blokują dopływ krwi. Nie, tylko nie teraz! Potrzebował jeszcze kilku dni!

Oparł się o stół i drżącymi rękami sięgnął po mosiężną fiolkę. Uważając, by tym razem jej nie upuścić, umieścił tabletkę nitrogliceryny pod językiem.

Uścisk śmierci zelżał, siły powróciły. Dobry Bóg zesłał mu ostrzeżenie: tym razem wszystko odbyło się dużo szybciej. Miał coraz mniej czasu. Spojrzał ponownie na twarz swojego śmiertelnego wroga, księcia Vlada Draculi. Po czym wyciągnął ręce ku niebu i wykrzyknął:

- Czekam na ciebie, szatanie!



Rozdział XXX

echali na północ, w stronę Londynu. Dowiedziawszy się o ostatniej rozmowie telefonicznej Quinceya z Hamiltonem Deaneem, Basarab spo-chmurniał. Bram Stoker postawił na swoim - nie zgodził się na jego udział w przedstawieniu. Posunął się nawet do tego, by zatelegrafować do Barrymorea do Ameryki i nakłaniać go do powrotu. Chłopak miał nadzieję, że gdy Basarab osobiście pojawi się w teatrze, to Stoker, widząc, że gwiazda takiego formatu jest żywo zainteresowana jego sztuką, zmieni zdanie. Basarab pogrążył się w rozmyślaniach. Tak samo jak jego nastrój pogorszyła się pogoda, a mgła zdawała się gęstnieć. Quincey zauważył napięcie na jego twarzy, uznał więc, że lepiej mu nie przeszkadzać. Gdy dojeżdżali na miejsce, Basarab wychylił się przez okno. Widać było, że myślami jest już w teatrze. Nie patrząc na Quinceya, rzekł do niego:

- Sam porozmawiam ze Stokerem. I nie życzę sobie, by ktokolwiek nam przeszkadzał.

Lodowaty ton jego głosu nappełnił chłopaka niepokojem.

- A co, jeśli Deane będzie chciał w tej rozmowie uczestniczyć? - Quincey złapał Basaraba za rękę, by powstrzymać go przed opuszczeniem dorożki, zanim nie da mu dokładniejszych instrukcji. Oczy Basaraba zapłonęły gniewem. Chłopak natychmiast cofnął dłoń, mając w pamięci podobną reakcję Artura.

Tak jak wtedy gdy po raz pierwszy rozmawiali o Draculi, gniew aktora momentalnie ustąpił. Basarab uśmiechnął się i usiadł obok chłopaka.

- Wiesz, kiedyś ksiązę stanął na czele czterdziestu tysięcy żołnierzy przeciwko tureckiemu najeźdźcy, którego siły liczyły trzysta tysięcy ludzi. Nigdy przedtem tak ogromna armia nie zebrała się po to, by zabić jednego człowieka. Ale kiedy ksiązę wyjechał im na spotkanie w otoczeniu trzydziestu tysięcy nabytych na pal muzułmańskich jeńców, na widok tego lasu ludzkich ciał jego wrogowie uciekli w popłochu.



Słowa te wprawiły Quinceya w zakłopotanie. Nie podobało mu się, że Basarab wyraża się z takim podziwem o człowieku, który zamordował jego ojca. Szybko jednak pomyślał, że mówi przecież o postaci historycznej, a nie o bestii, którą stał się książę, gdy postanowił odwrócić się od Boga. To nie był jeszcze ten moment, ale Quincey wiedział, że gdy nadejdzie, Basarab stanie u jego boku w walce przeciwko temu złu.

Aktor kontynuował:

- Tego dnia ocalił swój kraj i cały chrześcijański świat. Miał po swojej stronie tylko jednego sprzymierzeńca, strach. Strach, chłopcze, może być bardzo potężnym narzędziem. Zapamiętaj to sobie.

Dorożkarz otworzył drzwi i Basarab spokojnie opuścił powóz. Quincey wyszedł za nim, rozpamiętując ciągle jego słowa. Czy Basarab sugerował, że powinien zastraszyć Deane'a? Czy tak działają dżentelmeni za zamkniętymi drzwiami? Nie tego uczyli go rodzice. Mimo to Basarab imponował mu jako człowiek sukcesu, który wszystko zawdzięczał sobie. Quincey mu ufał. Może Basarab chciał mu w ten sposób udzielić cennej lekcji?

Przed wejściem do teatru czekał na nich nocny stróż. W zaciemnionym foyer czuć było znajomy zapach środków do charakteryzacji. Strażnik otworzył drzwi na widownię. Quincey szybko podążył za Basarabem.

Schodzili zaciemnionym zejściem. Na widowni światła również były zapalone tylko do połowy. Deane wyszedł im na spotkanie.

- Quincey! Pan Basarab! Witam panów!

Najpierw wyciągnął rękę do Basaraba. Przez jego twarz przebiegł grymas, uścisk dłoni aktora był zbyt silny. Za chwilę jednak znowu się uśmiechnął.

- Możemy od razu przejść do interesów?

Po czym wskazał im ręką, by poszli za nim. Basarab ani drgnął. W oczach mistrza Quincey zauważył złowrogi błysk. Wyglądało to tak, jakby chciał sprawdzić, do jakiego stopnia chłopak jest skłonny wykonywać jego polecenia i działać w jego interesie.

- Z całym szacunkiem, panie Deane - odezwał się Quincey - ale pan Basarab chciałby najpierw porozmawiać w cztery oczy z panem Stokerem.

Deane zaskoczony jego śmiałością odpowiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu:

- Zatrudnienie pana Basaraba było moją decyzją i pan Stoker musi się z nią pogodzić.

Surowość w jego głosie zbiła Quinceya z tropu. Nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. Miał jednak świadomość, że to dzięki Deanebwi Basarab otrzymał rolę, jednak jego mentorowi zależało na spotkaniu ze Stokerem. Postanowił więc wykorzystać to, że jest aktorem. Podeszedł do Deanea i spojrzał mu prosto w oczy. Próbował zachowywać się tak, jakby grał na scenie czarny charakter, naśladując przy tym zimną władczość Basaraba. Dostrzegł, że Deane poczuł się niepewnie. Jego przyjaciel miał rację. Strach ma wielką moc.

Quincey miał ochotę wypróbować, jak daleko zaprowadzi go ta taktyka, kiedy Basarab położył mu rękę na ramieniu i rzekł do Deanea:

- Proszę, panie Deane. Chciałbym uniknąć niepotrzebnych spięć. Proszę pozwolić mi porozmawiać z panem Stokerem na osobności. Mam nadzieję, że osobiście uda mi się go przekonać, że jestem idealnym odtwórcą tej niezwyklej postaci. Za pana pozwoleniem.

Jego uprzejmość zbiła chłopaka z tropu. Po co była ta cała szopka? Dlaczego Basarab chciał, by wyszedł przed Deaneem na łajdaka? Ale nagle wszystko zrozumiał. Po wcześniejszej groźbie Deane bardziej przychylnie podejdzie do uprzejmej prośby. To było genialne posunięcie. Basarab mógłby go wiele nauczyć, nie tylko w dziedzinie aktorstwa.

Deane uśmiechnął się, wskazując na drzwi wiodące za scenę.

- Ma pan moje błogosławieństwo.

Skloniwszy się uprzejmie, Basarab zniknął za kulisami.

Quincey odwrócił się w stronę sceny. Miał szczęście, że współpracował z tym wybitnym aktorem. On wiedział, jak postępować z ludźmi, by osiągnąć zamierzony cel. Z każdą chwilą spędzaną z Basarabem uczył się coraz więcej na temat taktyki, która będzie konieczna, by mógł dokonać planowanej zemsty.

Rozdział XXXI

-A[^] odpierając się laską, Stoker zasiadł za biurkiem w świątyni swego gabinetu. Miał naprawdę niewiele czasu, żeby ugłaskać Johna Barrymorea i przekonać go, by zechciał powrócić do Londynu. Tym * bardziej że w ostatniej wiadomości dał mu do zrozumienia, iż jest już na to za późno. Jego siostra, Ethel Barrymore, załatwiła mu miejsce w zespole Criterion Theatre na Broadwayu w sztuce famesa M. Barriego *A Slice of Life*. Sztuka miała być wystawiana krótko, zaledwie do końca miesiąca, a po jej zdjęciu z afisza planował udać się do Kalifornii.

Lata pracy z Henrym Irvingiem nauczyły Stokera jednego: jeżeli pisarz ma nakłonić aktora do współpracy, musi sięgnąć po naprawdę wielkie słowa. Zamierzał napisać monolog, o jakim marzą wszyscy aktorzy. Będą się zabijać o rolę Draculi. Ego nie pozwoli Barrymorebwi zrezygnować z niej na rzecz innego artysty, nie dopuści, by ktoś odebrał mu należną chwałę. Stoker zamierzał wysłać tekst do swojego przyjaciela George'a Boldta, menedżera hotelu Waldorf-Astoria w Nowym Jorku, w którym zatrzymywał się Barrymore, gdy pracował na Broadwayu. Boldt dopilnuje, by list Stokera trafił do rąk własnych artysty.

Pamiętki po Henrym Irvingu szczerze wypełniały i tak zagracony gabinet Stokera. Ściany obwieszane były afiszami, a w kącie stał drewniany manekin, ubrany w słynny kostium Mefistofelesa, w którym Irving wystąpił w pamiętnej inscenizacji *Fausta*. Bram spojrział na zawieszony nad kostiumem portret aktora w tym właśnie stroju. To Irving powinien grać Draculę, a nie Barrymore czy ten cały Basarab, którego Deane postanowił zatrudnić za jego plecami. Irving był głupcem. Gdyby posłuchał go wtedy, swoją karierę sceniczną zamknąłby wspaniałą rolą. Zamiast tego odszedł w zapomnieniu zniszczony przez alkohol. On zaś, jak zwykle, marzenia i życzenia innych stawiał przed swoimi. Koniec z tym. Poprzysiągł, że będzie wierny tylko sobie. To on, Bram Stoker, wskaże odtwórcę roli Draculi!

Był podekscytowany. Teraz właśnie powinien zacząć pisać. Wściekłość pozwoli mu wznieść się na wyżyny. Stoker zasiadł za biurkiem i zamoczył pióro w kałamarzu.

Jeszcze nie zaczął na dobre, gdy przerwało mu pukanie do drzwi. Rzucił pióro. Deane dobrze wiedział, że nie powinien mu przeszkadzać podczas pisania, zwłaszcza po takiej kłótni. Stoker już miał odprawić natręta, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł wysoki mężczyzna o przenikliwym spojrzeniu i kruczoczarnych włosach. Przez chwilę, gdy jego twarz kryła się w cieniu, Bram pomyślał, że to duch Irvinga przybywa, by przekląć go za zrujnowanie teatru. Gdy podszedł bliżej, Stoker uświadomił sobie z ulgą, że to tylko człowiek.

Jego gość był szczupły, miał głęboko osadzone oczy i pociągłą twarz o arystokratycznych rysach. Wyglądał jak jeden z europejskich władców. Stoker czuł się jak obiekt zainteresowania jakiegoś drapieżnika - odkąd wszedł, mężczyzna nie spuszczał z niego wzroku. Twarz ta miała w sobie coś dziwnego. W oczach intruza malowała się zawziętość, ale na ustach gościł uprzejmy uśmiech. Stoker znał tę twarz ze zdjęć. Basarab. Przypomniało mu się, co rzekła kiedyś Ellen Terry, jedna z głównych aktorek Irvinga: „Nigdy nie ufaj uśmiechniętemu aktorowi. To tylko maska”.

- Ostatnie poprawki? - zagaił Basarab.

Stoker zasłonił kartki.

- Spodziewałem się pana - rzekł. To była prawda. Obawiał się tej chwili od momentu, gdy poznał młodego Harkera. Co tak naprawdę wiedział ten chłopak? Ta wizyta nie mogła być zwykłym zbiegiem okoliczności. Im bardziej Deane zacieśniał kontakty z Quinceyem i Basarabem, tym większe było ryzyko, że wyjdzie na jaw prawdziwe pochodzenie jego książki. Stoker próbował stłumić poczucie winy. W końcu nie zrobił niczego złego. Po prostu połączył swoją własną opowieść z fantastyczną historią, którą usłyszał kiedyś w barze.

Praca nad książką o wampirach szła mu wtedy wyjątkowo opornie. Stoker przeklinał lata pracy w kancelarii za to, że zabiły jego wyobraźnię. Aż pewnego wieczoru spotkał w barze dziwnego człowieka, który gotów był snuć swą opowieść dopóty, dopóki on płacił za jego trunki. Niesamowita historia szaleńca stała się dla niego inspiracją i przekonała go, by zmienił imię swojego czarnego charakteru z hrabiego Wampira na hrabiego Draculę. Jego imię przypominało Stokerowi słowo *droch-fhoula*, po gaelicku „zła krew”, od którego ciarki przechodziły mu po plecach. Skąd mógł wiedzieć, że niektóre postaci z opo-

wieści wariata istniały naprawdę? Jego teatr nie mógł sobie pozwolić na żadne skandale. Cholerny Quincey Harker - pomyślał. - Dlaczego musiał pojawić się właśnie teraz?

Tymczasem z twarzy Basaraba zniknął uśmiech. Aktor odwrócił się i zamknął za sobą drzwi.

- Myślę, że możemy odłożyć na bok uprzejmości i od razu przejść do rzeczy.

- A zatem słucham pana.

- Pańska książka jest finansową klapą. Dlatego powinno panu zależeć, żeby sztuka okazała się sukcesem. Dlaczego nie chce pan, bym w niej zagrał? Przecież to tylko wyjdzie jej na dobre.

Słowa te ugodziły Stokera w samo serce. Jak ten zarozumialec śmiało wypominać mu marną sprzedaż jego książki?

- Jeśli Deane chce wojny, będzie ją miał - rzekł, starając się stłumić gniew.

- To ja kieruję tym teatrem. Zamknę go, zanim dostanie pan rolę. Która, tak na marginesie, już dawno została obsadzona.

Basarab roześmiał się, pokręcił głową, po czym zaczął zdejmować płaszcz i rękawiczki. Jego beczelność odebrała Stokerowi mowę.

- Oczywiście, jeśli miałbym w niej zagrać, w sztuce trzeba by wprowadzić pewne zmiany, tak samo jak i w pańskiej książce, którą można by potem wydać z poprawkami.

- Nie do wiary! Pan rzeczywiście jest tak arogancki, jak o panu mówią! - Stoker grzmiał oburzony.

Teraz już przejrzał grę Basaraba. Aktor postanowił potraktować tę rozmowę jako przesłuchanie. Lecz nie wyszło mu. Jego próbowalby nakłonić go, rozbudzając strach, nie za pomocą arogancji. Basarab nie pasował do tej roli.

- Pańska książka aż roi się od nieścisłości, błędnych założeń i marnych pomysłów - rzucił Basarab, podnosząc książkę Stokera ze stolika przy lampce.

- O pańskim ekscentrycznym zachowaniu krążą już legendy. Ale widząc pana postępowanie, muszę stwierdzić, że pan nie jest ekscentryczny, pan jest po prostu szalony! - krzyknął Stoker, podnosząc się z krzesła. Spodziewał się, że w drapieżnych oczach swego oponenta znajdzie gniew. Zamiast tego ujrzał w nich tylko smutek i rozdrażnienie. Nagle zawstydzził się swojej wcześniejszej oceny. Wyglądało bowiem na to, że Basarab niczego nie udaje. Chyba że był lepszym aktorem, niż zakładał.

- Dlaczego mnie pan prowokuje? - spytał Basarab. - Nie mam zamiaru z panem walczyć.

- Wielka szkoda. Bo ja mam zamiar posłać pana do stu diabłów! - Stoker znów usiadł i odwrócił się tyłem do aktora. Już i tak zmarnował na tego głupca zbyt wiele czasu.

Basarab stanął tuż za Stokerem. Położył mu delikatnie ręce na ramionach i wyszeptał prosto do ucha:

- Ostrzegam pana. Popelnia pan straszliwy błąd.

Stoker walczył, by nie okazać lęku, ale nie mógł opanować drżenia. Był pewien, że Basarab to poczuł. Zdradził się.

Quincey czuł, że Deane wciąż odnosi się do niego z dystansem. Stał teraz na scenie, pokazując mu wszystkie nowoczesne urządzenia, które zakupił. Wyłączył światło i cały teatr pogrążył się w ciemności. Mimo to Quincey wciąż go widział, jak próbuje po omacku sięgnąć do innego włącznika. Jak to możliwe? - zastanawiał się. Może gdzieś zza kulis przebija jakiś promień światła. Nagle w ciemności błysnęła iskra, a ciszę przerwało brzęczenie prądu.

- Patrz i podziwiaj. Oto cuda techniki dwudziestego wieku - rzekł Deane z dumą w głosie. Elektryczne lampy rozjaśniły scenę. Quincey ujrzał niezwykle trójkolorowy system oświetlenia sceny.

- A teraz spójrz na to. - Deane ustawił natężenie każdego światła na innym poziomie.

Quincey nie mógł wyjść z podziwu. Z oświetleniem gazowym takie sztuczki nie byłyby możliwe. Dzięki temu uda im się stworzyć na scenie nastrój, jakiego przedtem nie widziano w teatrze. Zauroczoney Quincey zaczął się śmiać jak dziecko.

Nagle zza kulis, z głębi korytarza dobiegł ich wściekły irlandzki akcent Stokera.

- Co się tam dzieje? - mruknął Deane. - Muszę sprawdzić.

Quincey przypomniał sobie słowa Basaraba: „Nie życzę sobie, by ktokolwiek nam przeszkadzał”. Nie mógł zawieść swojego mistrza. Gdy Deane ruszył w stronę kulis, chłopak wskoczył na scenę i zagroził mu drogę. Deane, zaskoczony jego szybkością, cofnął się przestraszony.

- Bardzo mi przykro, ale pan Basarab prosił, by mu nie przeszkadzano - rzekł chłopak.

- Wpakowałem w to przedsięwzięcie mnóstwo pieniędzy. Nie chcę żadnych problemów - odparł Deane, wyciągając rękę, by zepchnąć Quinceya z drogi. Chłopak stał jednak nieruchomo jak skała. Deane spoglądał na niego osłupiały. Tymczasem kłótnia za kulisami przybierała na sile.

- Zejdź mi z drogi! - krzyknął Deane. Był tak rozjuszony, że nie dbał o dobre maniery. Natarł na Quinceya, chcąc wymusić przejście.

- Nalegam, aby pan pozostał tutaj - rzekł chłopak. Wyciągnął rękę, żeby łagodnie zatrzymać Deanea.

Mimo że zaledwie go tknął, Deane stracił równowagę. Gdy przewrócił się na podłogę, na jego twarzy odmalowały się strach i zaskoczenie. Szybko podniósł się na nogi. Rzucił Quinceyowi wściekłe spojrzenie, po czym zszedł ze sceny, mrużąc pod nosem przekleństwo.

Quincey oszołomiony odprowadził go wzrokiem. Nie rozumiał, co się przed chwilą stało. Przecież ledwo go dotknął. Zaczynał się bać samego siebie. Czy właśnie takim mężczyzną chciał go widzieć Basarab?

Stoker odepchnął się od biurka i zrzucił z siebie ręce Basaraba. Odwrócił się.

- Nie obchodzi mnie, kim pan jest. Myśli pan, że szantażem wymusi pan tę rolę?

- Jest pan równie głupi jak pana pisarstwo - odparł Basarab, ignorując pytanie. - w pana książce przechadza się po mieście w ciągu dnia. Nie słusznie obarcza go pan winą za śmierć starej schorowanej matki Lucy i oskarża o karmienie swoich narzeczonych krwią małego dziecka. Nazywa go pan hrabią, chociaż był księciem. To obraza dla mojego narodu!

- Też mi coś! Pana naród ciągle żyje w średniowieczu. Mógłbym się założyć, że większość pana rodaków nie potrafi nawet czytać!

Oczy Basaraba zwęziły się złowrogo. Rzucił książkę na biurko. Cały pokój zadrżał.

- Pisze pan głupoty o rzeczach, których nie rozumie lub w które nie wierzy, oraz o ludziach, których nigdy pan nie spotkał. Jest pan kompletnym beztalenciem!

- Nie zamierzam się przed panem tłumaczyć - rzucił Stoker drżącym głosem. - jest fikcyjną postacią, którą sam wymyśliłem.

- Jeśli książkę był takim łajdakiem, jak pan twierdzi, to dlaczego nie zabił Harkera, gdy ten był więźniem w jego zamku?

- Mówi pan o tym wszystkim, jakby zdarzyło się naprawdę... - rzekł zdezorientowany Stoker.

- Gdyby zadał pan sobie nieco trudu, by sprawdzić kroniki portu w Whitby, dowiedziałby się pan, że statek „Demeter” rozbił się o skały podczas sztormu w 1888 roku, a nie w 1897, jak utrzymuje pan w swojej książce.

Stoker był już u kresu wytrzymałości. Musiał zakończyć tę rozmowę tu i teraz. Podniósł się i spojrzał Basarabowi prosto w oczy.

- Żądam, aby pan natychmiast opuścił...

Aktor, nie zważając na niego, kontynuował swój wywód:

- Załoga statku zmarła od zarazy, którą przywlokły szczury. Choroba po mieszała im zmysły i dlatego pozabijali się nawzajem. Nie było tam też żadnego psa i żadne gardło nie zostało rozprute, jak pan to ujął, „pazurem dzikiej bestii”!

Stoker był tak wściekły, że aż zaczęła drżeć mu powieka. Miał nadzieję, że aktor tego nie zauważy.

- Proszę stąd wyjść! - Wskazał na drzwi.

Nagle wydało mu się, jakby Basarab zaczął rosnąć. Pisarz zaczął się powoli cofać, przytrzymując się krawędzi biurka.

- To van Helsing zamordował Lucy Westenrę, a nie . To on sparta czył transfuzje krwi i zatrul krew dziewczyny. przemienił ją w wampi ra tylko po to, żeby ją uratować!

- Co pan wie o van Helsingu? - wyjąkał Stoker, uciekając w głąb pokoju. Przeszedł go lodowaty dreszcz.

Światło świecy rzucało cienie na twarz Basaraba.

- Arogancja van Helsinga może być porównywalna tylko z jego ignorancją. Pod miażdżącym wzrokiem Basaraba resztki odwagi Stokera stopniały zu pełnie. Zaczynało mu brakować tchu. Rzekł płaczliwym głosem:

- Jeśli przyszedł pan tu jako adwokat Quinceya Harkera, to ostrzegam pana...

- Niczym się pan nie różni od tych nadętych hipokrytów z pańskiej po wieści - rzucił mu Basarab. - Naprawdę wierzy pan, że wystarczy przeciwstawić się złu, aby je zniszczyć?

Stoker dotarł do ściany. Nie miał już dokąd się cofać. W pokoju jakby zabrakło światła. Basarab był tak blisko, że poza nim nie widział już nic innego. I do tego te czarne oczy! Stoker poczuł nagle, jak drętwieje mu lewe ramię. Ogarniał go chłód.

- był potworem, którego powołałem do życia!

- Nieprawda! Był bohaterem. Robił jedynie to, co konieczne, by przetrwać - rzekł Basarab z dumą. - Książę został wybrany przez samego papieża na przywódcę krucjaty. Stał sam w imieniu Boga przeciwko całemu imperium otomańskiemu. nigdy, przenigdy nie trząsłby się ze strachu przed takim osłem jak van Helsing i nie uciekałby jak tchórz do Transylwanii. Pana książka to stek oszczerstw!

Stoker cały był zlany potem. Oparty o ścianę, pocierał sztywne ramię. Czuł się jak w makabrycznym gabinecie luster. Odwrócił wzrok, żeby uniknąć przenikliwego spojrzenia Basaraba. Gdy próbował nabrać do płuc powietrza, ból powędrował od ramienia aż do szyi. Choć osuwał się na podłogę, zmusił się, by jeszcze raz spojrzeć w oczy Basaraba.

- Kim jesteś? - wyrzucił jednym tchem.

Basarab chwycił Stokera za szyję. Przypominał teraz warczącego wilka.

- Jestem twoim przeznaczeniem - odparł przerażająco spokojnym szepem. - Twoim sędzią. - Wreszcie z odrazą puścił Stokera.

Pisarza przeszył straszliwy ból. Zupełnie jakby uścisk Basaraba był tamą powstrzymującą falę cierpienia. Wydał z siebie chrapliwy jęk i objął rękami głowę. Upadł na podłogę. Basarab odwrócił się, nie okazując ani śladu współczucia. Stoker chciał wyciągnąć do niego rękę, ale był sparaliżowany. Nie był nawet w stanie krzyknąć.

Mógł tylko patrzeć bezradnie, jak Basarab zabiera ze sobą najdroższą jego sercu rzecz: powieść pod tytułem .

Ogarnęła go ciemność.

Quincey ciągle czuł na sobie spojrzenie Deane'a. Od incydentu na scenie nie zamienili nawet słowa. Chłopak ciągle przypatrywał się swoim dłoniom. Tak, zdecydowanie za mocno go popchnąłem - pomyślał.

Usłyszał kroki. Czy jego mistrz go zgani, czy pochwali?

Basarab wyłonił się zza kulis, trzymając w ręku jakąś książkę. Spojrzał na siedzącego na widowni Deanea i rzucił jakby od niechcenia:

- Wezwijcie doktora. Obawiam się, że pan Stoker miał udar.

Dopiero ciężkie kroki Deanea wchodzącego po schodach na scenę uświadomiły Quinceyowi, że się nie przesłyszał.

- Na co czekasz? Leć po doktora! - krzyknął do niego Deane, mijając go w biegu. Rzucił Basarabowi wściekle spojrzenie, a potem zniknął za kulisami.

Aktor nie zareagował. Chłopak zeskoczył ze sceny i ruszył do drzwi, by wykonać polecenie. Jeśli Stoker teraz umrze, już nigdy nie będzie miał okazji, by zapytać go o książkę, przeszłość jego rodziców, o Draculę. Musiał się spieszyć.

- Głupcy, głupcy! - rozległ się ze sceny gromki głos Basaraba. Quincey przystanął i odwrócił się w jego stronę. Aktor stał na środku i czytał. - „Czy istniał kiedyś diabeł tak wielki jak Attyla, którego krew płynie w tych żyłach?”

Chłopak wiedział, że Stoker potrzebuje lekarza i że każda minuta jest na wagę złota, lecz nie mógł oderwać oczu od sceny. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki Basarab przeistoczył się w hrabiego Draculę. Słychać było wyraźniej jego środkowoeuropejski akcent, a jego głos przepełniało cierpienie. Z postawy Basaraba była zarówno królewska elegancja, jak i wilcza drapieżność. Transformacja była tak szybka i niewiarygodna, że niemal nadnaturalna. Był to drastyczny kontrast z komiczną interpretacją Johna Barrymorea.

- „Ale dni wojny należą do przeszłości. - Basarab zniżył głos. - W tych podłych czasach pokoju drży się o każdą kroplę krwi, a chwalebna przeszłość rodu zdaje się tylko legendą”.

Światła rzucały na twarz Basaraba zimny blask. Jego spojrzenie obejmowało stulecia cierpienia. Całą wściekłość i przelaną krew.

Nie czytał już z książki, która z głuchym hukiem upadła na podłogę. Wściekłość i drapieżność ustąpiły. Jego udreżone oczy zaszkliły się łzami, ciało napięło, a głowa odwróciła w stronę światła. Na jego twarzy malowała się rozpacz. Aktor całkowicie zjednoczył się ze swoją postacią.

- Nie mogę dłużej uciekać przed czasem - rzekł, spoglądając wprost na Quinceya. - W tym wieku maszyn, dyplomacji i chłodnego rozumu nie ma miejsca na upiory błakające się po wioskach. Wybór jest jeden: przystosować się albo zginąć.

Quincey był poruszony. Oto bowiem Basarab dokonał niemożliwego - uczłowieczył potwora i uczynił z niego tragicznego bohatera. Tylko jeśli aktor tak bardzo podziwiał Draculę, jak uda mu się go namówić, by przeciwko niemu powstał?

Chciał się nad tym dłużej zastanowić, ale przypomniał sobie o chorym Stokerze. Wybiegł z teatru i pobiegł ulicą, wzywając lekarza. Jeden człowiek podał się za specjalistę i Quincey szybko sprowadził go do chorego Stokera.

Być może Basarab nie był sprzymierzeńcem, którego potrzebował. Utracenie Stokera, tego cennego źródła informacji, było pierwszą przegraną. Potwór wygrał bitwę, nie kiwnął nawet palcem.

Rozdział XXXII

Artur Holmwood po wejściu do hallu stwierdził z zaskoczeniem, że nikt na niego nie czeka. Służba posprzątała już po przyjęciu. W nieskazitelnym czystym domu panowała grobowa cisza.

Po tym jak zrujnował Beth jej starannie przygotowany wieczór, spodziewał się, że żona powita go w drzwiach litanią wyrzutów. Jej nieobecność była bardzo wymowna - nawet nie miała ochoty z nim rozmawiać. Wentworth, jego kamerdyner, miał polecenie, by czekać na niego aż do odwołania, powinien więc stać w drzwiach, by odebrać jego płaszcz, kapelusz i laskę. Pewnie zatem Beth zwolniła Wentwortha na noc, żeby Artur musiał sam sobie radzić - kolejna próba odplacenia za upokorzenie, którego doświadczyła.

Artur nie mógł zapomnieć koszmarnych zdjęć z ekshumacji Lucy. Miał nadzieję, że pomoże mu w tym alkohol. Rzucił płaszcz i kapelusz na ławkę w hallu, po czym udał się do gabinetu, prosto do barku, by nalać sobie koniaku. Nagle otworzył szeroko oczy, szklanka wyleciała mu z rąk.

Portret Lucy znów wisiał nad kominkiem.

Krew się w nim zagotowała. To musiała być sprawka Beth. Rozumiał, że czuła do niego żal, ale tego było już za wiele.

Nagle usłyszał w hallu dźwięk czyichś kroków.

- Beth? - Nie było odpowiedzi. - Wentworth?

I znowu cisza. Przez otwarte drzwi ujrzał cień przesuwający się po marmurowej podłodze hallu. Ktoś tam był.

- Halo! Jest tam kto? - krzyknął.

Odpowiedziały mu tylko kolejne kroki. Artur skoczył do drzwi.

- Spytałem, kto tam!

W hallu było pusto. Nagle poczuł przenikliwy chłód i usłyszał czyjś oddech. Rozejrzał się, ale najwyraźniej był tu sam. Wtedy zauważył otwarte okno. To podmuch chłodnego nocnego powietrza wywoływał dźwięk podobny do

oddechu. I oto cała tajemnica. Artur roześmiał się i podszedł do okna, by je zamknąć. Dobrze, że jego dawni towarzysze z Legii Cudzoziemskiej nie widzieli tego absurdałnego zachowania - drwinom nie byłoby końca. Zaryglował zasuwę i już miał zamiar wrócić do gabinetu, kiedy poczuł znajomy zapach. Bez? O tej porze roku? Serce stanęło mu, gdy przypominał sobie, że był to przecież ulubiony zapach Lucy... Sprowadzał dla niej te perfumy prosto z Paryża. W ciszy rozległ się miękki kobiecy głos:

- Arturze.

Odwrócił się, ale nie dojrzał nikogo.

- Beth? - Jego głos, odbijając się echem od wysokiego sklepienia, za brzmiał nienaturalnie głośno. Nagle rozległ się perlisty śmiech. Rozpoznał go. Nie, to niemożliwe. Umysł płatał mu figle.

- Arturze - powtórzył głos.

Teraz dochodził z góry. Artur spojrział na schody i to, co ujrzał, przeraziło go śmiertelnie. Po schodach powoli, kocim, kołyszącym krokiem schodziła jaśniejąca postać. Kaskada gęstych rudych włosów spływała na jej ramiona, porcelanowa biała skóra odbijała światło księżyca, a kształtne piersi falowały przy każdym kroku. Oczy miała czarne i bezduszne, a krwistoczerwone wargi pętnie nabrzmiałe. Powłóczysta biała szata nieskromnie odsłaniała jej wdzięki.

- Lucy? - wyszeptał Artur, wciąż nie wierząc własnym oczom. Odpowiedziała mu dźwięcznym śmiechem, odsłaniając przy tym ostre, błyszczące zęby.

Artur oddychał z trudem. Każdą cząstką siebie pragnął wziąć ją w ramiona, ale wiedział, że nie powinien. Lucy, jego ukochana, nie żyła.

Tak jakby czytała w jego myślach, zjawa spojrzała na niego ze współczuciem i rzekła:

- Wiem, najdroższy, jak bardzo pragniesz być ze mną.

Jej głos podziałał na niego kojąco. Miał wrażenie, jakby czas stanął w miejscu i cały ból ostatnich dwudziestu pięciu lat zniknął zupełnie. Lucy wyciągnęła dłoń. Biała mgła, która z nich popłynęła, zebrała się u jej stóp.

- Śmierć to dopiero początek, mój kochany. Życie sięga daleko poza ograniczenia ciała.

Unosząc się lekko w powietrzu, popłynęła w stronę Artura.

- Nie! To niemożliwe! - wykrzyknął. Przecież dopiero co widział zdjęcie szczątków Lucy w grobowcu. Najwyraźniej widok ten wstrząsnął nim tak, że aż pomieszał mu zmysły.

- Tak tu ciemno, Arturze. Jestem taka samotna... Tak bardzo pragnę cię przytulić!

Jak to? Lucy miała być przecież po stronie światłości! Van Helsing obiecał, że śmierć zapewni jej duszy wstęp do raju.

Lucy zbliżyła się do niego z wyciągniętymi ramionami. Artur tak bardzo chciał raz jeszcze wziąć ją w objęcia, tak samo jak tamtej pamiętnej nocy, kiedy ujrzał ją na cmentarzu. Tym razem van Helsing im nie przeszkodzi.

Była tuż przed nim. Artur zamknął oczy i poczuł na swych ustach jej delikatny pocałunek. Elektryzujący dotyk ukochanej sprawił, że czuł, jakby jego serce zabiło po raz pierwszy od ćwierćwiecza. Lucy nagle oderwała się od jego ust. Nie! Pragnął, by ten pocałunek trwał wiecznie.

- Lucy, nie musisz być sama. Pozwól mi towarzyszyć ci w ciemności.

Gdy spojrział na nią, jego serce zamarło. Piękne ciało Lucy w oczach uległo rozkładowi. Skóra na jej twarzy spurpurowiała, zaczęła pękać i gnić, a zapach bzu zastąpiła stęchlizna grobu. Oczy zapadły się w głąb czaszki, a usta przywarły do dziąseł, odsłaniając wysunięte kły. Z jej ramion wysypały się robaki i oblażyły szyję Artura, a z otwartych ust wytrysnęła fontanna wijących się larw. Artur cofnął się chwiejnie pod ścianę zamarły z przerażenia. Jego ukochana stała się potworem.

- Litości! - wykrzyknął.

Ciało Lucy roztopiło się w czarny szlam i zaczęło spływać po kościach. Zamiast melodyjnego głosu z ust jego ukochanej popłynął głuchy dźwięk.

- Litości? Taką, jaką miałeś dla mnie, mój kochany, gdy wbiłeś kołek w moje serce?

Warcząc jak wściekłe zwierzę, rzuciła się na Artura i cisnęła nim o ścianę. Szponami przekłuła nadgarstki jego rozłożonych ramion, przybijając go do boazerii jak do krzyża. Artur krzyknął z bólu.

Lucy otworzyła szczękę na całą szerokość i skierowała ostre kły w stronę gardła ofiary. Krzyki Artura umilkły w chwili, gdy wyrwała mu krtań. W ostatnich straszliwych sekundach dostrzegł jeszcze, że jego ukochana odchyła głowę w ekstazie, kąpiąc się w jego krwi.

- Lucy! - wykrzyknął i podniósł się przerażony. Wokół było ciemno. Nie wiedział, co się dzieje. Czyżby umarł? Gdy jego oczy przystosowały się do mroku, zdał sobie sprawę, że znajduje się we własnym łóżku. Dotknął szyi. Żadnej

rany ani krwi. To był tylko zły sen. Jego serce biło tak szybko, że myślał, iż dostanie ataku.

Usłyszał obok przytłumione łkanie. Spojrzał niepewnie w tamtą stronę.

Była to Beth. Płakała. Gdy spojrzała na niego, ujrzał w jej oczach tak ogromny ból, jakiego nigdy przedtem u niej nie widział. Domyślił się, co się stało. Krzyczał przez sen imię Lucy. Mógł sobie tylko próbować wyobrazić, co czuje teraz jego żona. Beth bez słowa wyskoczyła z łóżka, pobiegła do łazienki i zamknęła się w środku. Zza drewnianych drzwi wciąż dochodziły jej przytłumione szlochy.

Wiedział, że żadne słowa nie mogą ukoić jej bólu. Czuł do siebie wstręt. Wiedział, jak bardzo go kocha. Jednak im większym darzyła go uczuciem, tym bardziej on się od niej odsuwał. Nawet w obliczu śmierci nie zdradziłby swojej Lucy.

Pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Tak jak i cała reszta. Jonathan i Mina szybko zaprzyjaźnili się z Jackiem Sewardem. Gdy młody Harker zdał egzamin adwokacki i wyjechał do Transylwanii na spotkanie z Draculą, Mina szukała sposobów, by wypełnić pustkę w życiu. Lucy, jej najlepsza przyjaciółka, wiedziała, jak jej pomóc. Postanowiła wydać charytatywne przyjęcie, by zebrać pieniądze na ubogich z Whitechapel. Mina podeszła do tego pomysłu z entuzjazmem. Obie wierzyły gorąco, że mogą przyspieszyć nadchodzące przemiany społeczne. To właśnie na tym przyjęciu Jack, Quincey P. Morris i Artur znaleźli się w karneciku balowym Lucy i wszyscy trzej z miejsca się w niej zakochali. Zawarli wtedy dżentelmeńską umowę, że każdy z nich będzie uczciwie walczył o jej względy, a jeśli któryś z nich wygra, pozostali z honorem uznają swoją porażkę. Dzień, kiedy został wybrany przez Lucy, był dla niego najszcześniejszym dniem w życiu. Zgodnie z umową, jego przyjaciele wzniesli toast za ich promienną przyszłość. Obaj też mieli zostać drużbami na ich zbliżającym się ślubie. Ślubie, który miał się nigdy nie odbyć.

Artur powlókł się w stronę toaletki i spojrział na swoje umęczone odbicie w lustrze. Przez tak długi czas pragnął jedynie umrzeć, nie czuć niczego, połączyć się z Lucy w niebie. Ale pewnie z powodu poczucia winy tak samo jak pragnął śmierci, tak samo się jej bał. Zabijanie podczas wojny uważał za usprawiedliwione. Wiedział, że Bóg mu to wybaczy, gdyż walczył w słusznej sprawie. Jednak tamci trzej mężczyźni zabici przez niego w pojedynku to była inna historia.

Niezdolny do odebrania sobie życia ze strachu przed wiecznym potępieniem i oddzieleniem od Lucy, szukał innych, którzy zrobiliby za niego to, czego on sam nie potrafił. To on ich prowokował i obrażał, nie zostawiając im wyboru. Mimo że same pojedynki były uczciwe, czuł, że jedyną przyczyną ich śmierci było jego tchórzostwo.

Dotknął blizny na prawym policzku, a potem śladu po odciętym koniuszku ucha. Przypomniały mu się słowa Quinceya Harkera: „powrócił, by dokonać zemsty. Musi mi pan pomóc go unicestwić”.

Wrócił myślami do poranka po tamtej nocy, gdy wbił kołek w serce Lucy. Przyszedł wtedy do rodzinnej kaplicy, stanął przed krzyżem i przysiągł na jej grób, że nie spocznie, dopóki nie zniszczy potwora, który zabrał jego ukochanej życie.

Bóg zesłał mu sen o Lucy, żeby przypomnieć mu o złożonej dwadzieścia pięć lat temu przysiędze, a on musiał na to wezwanie odpowiedzieć. To był jedyny sposób, by mieć pewność, że będzie kiedyś z ukochaną. Jutro z samego rana pojedzie do Londynu i odszuka bestię.

Rozdział XXXIII

£. Δ ^ o tym jak Stokera zabrano do szpitala, Quincey wrócił do swojego mieszkania. Przez całą noc wyrzuty sumienia nie pozwoliły mu 1 zmrzyć oka. Choroba Stokera wyeliminowała go z gry, już nic nie * stało na przeszkodzie, by to Basarab otrzymał rolę Draculi. Deane był zdecydowanie za. Poza tym jako menedżer teatru nie mógł dopuścić do odwołania przedstawienia, a w tej sytuacji wszystkie decyzje należały do niego. Co mogło to oznaczać dla Quinceya?

Chłopak podziwiał wspaniałą kreację aktorską Basaraba, jednak nie potrafił pogodzić się z tą pozytywną wizją Draculi, jaką proponował aktor. Nie mógł pozwolić, by tak go usprawiedliwiał, czynił bardziej ludzkim. W pierwszym odruchu chciał nawet wyznać Basarabowi prawdę, ale co właściwie miałby mu powiedzieć? - Bohater pana kraju jest potworem, który zniszczył moją rodzinę i zamordował mojego ojca. Mam obowiązek pomścić go i zabić tę bestię.

Nie musiał wcale wymawiać tych słów na głos, by wiedzieć, jak absurdalnie brzmią. Zdenerwowany przechadzał się tam i z powrotem po pokoju.

Przed wszystkim powinien wrócić do Lyceum i przeprosić Deanea za swe prostackie zachowanie. Jeśli jego plan ma zadziałać, potrzebuje producenta po swojej stronie.

Quincey przyjechał do Lyceum przed południem. W gazetach nie wspomniano jeszcze ani słowem o chorobie Stokera. Nie było to takie dziwne, do zdarzenia doszło późnym wieczorem, zatem informacja nie mogła trafić do rannego wydania. Niepokoiło go za to, że Deane'a nie było jeszcze w teatrze, a żaden z pracowników nie miał informacji o stanie zdrowia pisarza. Zamierzał gdzieś usiąść, by poczekać na Deanea, gdy podszedł do niego dozorca teatru pan Edwards.

Był to zazwyczaj uśmiechnięty, pełen życia człowiek. Gdy więc zjawił się przed Quinceyem z grobową miną, chłopak od razu wiedział, że przynosi złe

wieści. Poczul ścisk w żołądku, bo od razu pomyślał o najgorszym: Deane był wściekły i odwołał produkcję.

Ale ta ponura wizja zbladła w porównaniu z rzeczywistością. Edwards wręczył mu wiadomość, którą zostawiono dla niego przy tylnym wejściu. Quincey zasępił się. Zostawił pracownikom Lyceum dokładne wytyczne, by uważali na młodą wyglądającą kobietę, która może twierdzić, że jest jego matką. Nikt, pod żadnym pozorem, nie miał prawa wpuszczać jej do teatru ani ujawniać miejsca jego pobytu.

Edwards rzekł przeproszającym tonem:

- Wczesnym rankiem zjawił się tu starszy pan, który twierdził, że jest pana dziadkiem. Powiedział, że to ważna sprawa rodzinna i że musi pana pilnie odnaleźć. Mam nadzieję, że nie będzie miał pan nic przeciwko temu, biorąc pod uwagę okoliczności, stwierdziłem, że lepiej będzie, gdy jednak dam mu pana adres. Czy zrobiłem coś złego?

Quincey zapewnił go, że wszystko w porządku, i podziękował za troskę. Lecz bynajmniej nic nie było w porządku. Jediną rodziną, jaka mu została, była jego matka. Ów człowiek, który podawał się za jego dziadka, był oszustem.

Gdy otworzył wiadomość, ścisk w żołądku przerodził się we wszechogarniającą panikę.

Zapadła noc.

Quincey stał przed smokiem z Fleet Street. Co za ironia losu. Cały dzień włóczył się po ulicach, nie mając odwagi wrócić ani do teatru, ani do mieszkania. Dzięki Edwardsowi tajemniczy nieznajomy zna jego adres i pewnie teraz czeka pod jego drzwiami. Jeśli się znudzi, może w każdej chwili wrócić do teatru. A Quincey czuł, że trzeba na niego uważać.

Próbował odgadnąć jego tożsamość. Miał trzy możliwości.

Pierwsza: Mina wiedziała, że gdyby przyszła do teatru osobiście, nie dostałaby żadnych informacji co do jego miejsca pobytu, przysłała więc w tym celu jakiegoś obcego człowieka.

Możliwość druga: mężczyzna ów pracuje dla Scotland Yardu. Być może chciał go przesłuchać w związku z udarem Stokera. Lecz Scotland Yard mógł go też szukać z innej przyczyny: coś złego stało się jego matce. Quincey bardzo ją kochał, choć dalej nie mógł jej ufać. Serce nakazywało mu jak najszybciej wysłać telegram z zapytaniem, czy jest cała i zdrowa. Potem powinien wrócić do mieszkania i w napięciu czekać na odpowiedź.

Zatrzymywał go tylko strach przed trzecią możliwością.

Stoker napisał w swojej powieści, że gdy jego ojciec spotkał Draculę w zamku w Transylwanii, demon przybrał wtedy postać starca. Ale to nie jest powieść, a on nie może ryzykować. Wpatrywał się w smoka z Fleet Street oświetlonego przez uliczne lampy.

Był straszliwie zmęczony. Nie mógł stać przez całą noc na ulicy, a jedynym miejscem, gdzie mógł się teraz czuć bezpiecznie, był hotel Basaraba. Aktor był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znał. Był jego przyjacielem. Z pewnością mu pomoże. Jednak przecież nie mógł narażać go na niebezpieczeństwo. Chłopak podniósł wzrok na okno kancelarii ojca - ciemne, puste i bez życia. Nie miał tu już co robić. Tylko jedno bezpieczne miejsce przychodziło mu teraz na myśl.

Obrócił się na pięcie i postanowił udać się do Mooney & Sons, ulubionego pubu ojca. Tłum zapewni mu anonimowość. Jeśli nieznajomy był policjantem albo wysłannikiem jego matki, nie wpadnie na to, by tam go szukać. A jeśli rzeczywiście był to , w miejscu publicznym nic mu nie grozi. Jednego chłopak był pewien - bestia nie zaryzykuje walki na otwartym polu.

Nadciągnęła gęsta mgła. Dwie przecznice dalej czekał na niego ciepły pokój, odpoczynek i gorący posiłek. Idąc ciemną uliczką, pomyślał nagle, że skoro drobnostka, jaką była przecież wiadomość zostawiona przez nieznajomego, wywołała u niego taki atak paniki, to jak może w ogóle myśleć o pokonaniu krwiożerczego Draculi.

Nagle z mgły wyłoniła się czyjaś ręka, chwyciła go za płaszcz i popchnęła w ciemną alejkę.

Był pewien, że to . A zatem już po nim. Zastanawiał się, jak długo cierpiał jego ojciec, zanim zmarł. nie będzie przebierał w środkach. Chłopak wiedział, że czeka go śmierć w męczarniach. Modlił się o siłę.

Z oparów mgły wyłonił się mężczyzna. Szedł o lasce. Zanim Quincey zdążył zareagować, przed oczyma błysnęła mu stal, która przecięła ze świstem powietrze. Już miał krzyknąć, kiedy poczuł na gardle ostrze rapiera.

- Wiesz, kim jestem? - usłyszał głos z obcym akcentem.

Mężczyzna wyszedł z ciemności. Był chudy i słaby, białe włosy opadały mu na twarz. Ubrania, mimo że dobrze skrojone, wisiały luźno na jego kościstym ciele. Napastnikiem okazał się stary schorowany człowiek. Choć widząc, że jest

od niego silniejszy, powinien odczuć ulgę, Quincey przeraził się jeszcze bardziej, w oczach starca było bowiem coś groźnego, jakaś mroczna i bezwzględna siła, może nawet błysk szaleństwa. Choć ten stary nie był Draculą, wyglądał na upiora.

- Van Helsing.

- Skoro znasz moje imię, wiesz też pewnie, do czego jestem zdolny - odparł. - Ostrzegam cię, przestań dociekać przyczyn śmierci ojca.

Po reakcji Artura Holmwooda Quincey nie był zdziwiony, że kolejny świadek tamtych wydarzeń próbuje odwieść go od zemsty. Jednak nie spodziewał się, że stary profesor pofatyguje się do Londynu, nie mówiąc o uganianiu się za nim nocą, w ciemnych, pustych uliczkach. Nie przyszło mu do głowy, że to sam van Helsing może być tym tajemniczym nieznajomym. Zapewne znudzony czekaniem pod domem, wyszedł na poszukiwania i domyślił się, że chłopak będzie kręcił się w pobliżu kancelarii ojca.

Odepchnął rapier od swojej szyi.

- Moja matka cię nasłała.

Ostrze błyskawicznie wróciło do szyi chłopaka, przypierając go do muru. Widząc zaciekle gniew w oczach napastnika, Quincey zrozumiał, że z tym człowiekiem nie ma żartów. Na dowód tego van Helsing przekreślił ostrzem, nacinając mu skórę. Ciepła krew pociekła mu po szyi. Najwyraźniej Quincey nie doceniał starego.

- Nie znajdziesz odpowiedzi - rzekł. - Tylko ciemność.

- Co to za sekret, który tak usilnie staracie się przede mną ukryć? - zapytał Quincey, mając nadzieję, że staruszek nie dostrzeże, jak drży mu głos.

Oczy van Helsinga błysnęły złowrogo. Quincey wstrzymał oddech. Zaczął wątpić, czy wyjdzie z tego spotkania żywy. Ale twarz staruszka nagle złagodniała. Choć jego oczy pozostały surowe, teraz rzeczywiście przypominał raczej kochającego dziadka niż mordercę.

- Większość ludzi idzie przez życie z niezachwianą wiarą - zaczął poważnie jak stary profesor dający ostatni wykład studentowi, w którym nie widzi potencjału, ale ma nadzieję, że coś z jego nauk w nim zostanie. - Inni, którzy nie mają tyle szczęścia, natrafiają na moment, kiedy ich wiara poddawana jest próbie i muszą wybierać między światłem a ciemnością. Nie wszyscy mają tyle siły czy mądrości, by dokonać właściwego wyboru.

Van Helsing cofnął ostrze i schował rapier do laski.

- Wracaj na Sorbonę - rzekł tonem prośby. - Ze względu na swoją matkę pozostań dzieckiem Boga i nie szukaj wiedzy, która przyniesie ci zgubę.

Po tych słowach wycofał się w stronę mgły i powoli odszedł. Ani razu nie obejrzał się za siebie. Lekcja była zakończona.

Quincey był oburzony. Mina wysłała van Hełsinga, by udowodnił mu, że jest słaby, nieporadny i potrzebuje ochrony. Już on jej pokaże. Pokaże im wszystkim.

Rozdział XXXIV



Dracula nie żyje. Teraz już Mina nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Oczami hrabiny widziała jego śmierć. Chciała opłakać ich obu, Draculę i Jonathana, ale nie było na to czasu. Musiała uciekać. Jeśli przeżyje, czeka ją wiele samotnych dni i nocy. Będzie mogła wówczas płakać po wszystkich, których straciła. Jeśli nie przeżyje, wszystko to będzie już bez znaczenia. Niewiele miała powodów do życia, skoro jej męża nie było na świecie, a syn opuścił ją przepelniony gniewem z powodu rzeczy, których nie rozumiał. Musiała się uzbroić nie tylko w broń, ale i w coś o wiele potężniejszego - w wiedzę. Nawet jeśli nie uda się jej przeżyć, chciałaby, by jej syn miał dokładne informacje na temat zła, jakie czai się wokół niego.

Postanowiła dowiedzieć się jak najwięcej o hrabinie Elżbiecie Batory. Profesor van Helsing mawiał, że aby pokonać wroga, trzeba go najpierw dobrze poznać, a to właśnie hrabina była teraz najzacieklejszym przeciwnikiem Miny.

Wymieszanie się krwi jej i wampirzycy doprowadziło do powstania mentalnego połączenia między nimi, jak z Draculą dwadzieścia pięć lat temu, i oznaczało, że hrabina będzie znała wszystkie myśli, pragnienia i sekrety Miny. Ale dzięki temu i Mina miała wgląd w umysł wampirzycy, skutkiem czego jej głowa pulsowała teraz od zgromadzonych przez wieki wspomnień Elżbiety Batory. W miejscowej księgarni Mina przejrzała stopy książek w poszukiwaniu informacji na temat losów hrabiny. Myślała, że pozna straszliwą historię o życiu potwora, jednak to, co znalazła, było raczej smutne i przejmujące. Jak wielu zbrojnych, hrabina nie urodziła się potworem, ale się nim stała. Choć Mina dotkliwie odczuwała ograniczenia wiktoriańskiego społeczeństwa, musiała przyznać, że sytuacja kobiet w szesnastym wieku była nieporównanie gorsza. Hrabina została wbrew własnej woli wydana za mężczyznę dwa razy od siebie starszego. Gdy wzrok Miny spoczął na imieniu Ferencza Nadasdyego, poczuła nagle wszechogarniającą, głęboką nienawiść. Jej umysł opanowały obrazy przemocy fizycznej

i gwałtu, uderzył ją też straszliwy smród. Zamknęła książkę z hukiem, jakby mogła się w ten sposób uwolnić od tych wizji.

Mimo to, niczym małe światełka w ciemności, w jej umyśle zaczął się zarysowywać coraz wyraźniejszy obraz. Znikoma ilość krwi hrabiny, która dostała się do jej organizmu, dała jej dostęp tylko do strzępów wspomnień, ale wystarczyły one, by ułożyć je w bolesną opowieść. Mina nie była zaskoczona, gdy dowiedziała się, że hrabina mówiła płynnie po węgiersku, łacinie i niemiecku, choć w tamtych czasach takie umiejętności u kobiet należały do rzadkości. Mina zanotowała tę informację i zakreśliła w kółko: „dobrze wykształcona”. Już samo to robiło z wampirzycy niebezpiecznego przeciwnika. Mina znalazła też wzmiankę o tym, że hrabina była ekspertem w dziedzinie jazdy konnej i szermierki, co było równie niepokojące.

Jeden fragment dał jej szczególnie do myślenia. Przeczytała, że gdy jej mąż był na wojnie, hrabina została w domu ze swoją ciotką, hrabiną Karłą. Mina ujrzała w myślach twarz Karli, a razem z nią młodą jasnowłosą dziewczynę... wiążącą na szubienicy. Co to oznaczało? Kim była ta dziewczyna? Czy została stracona? Mina starała się skoncentrować, ale wspomnienia te blakły niczym para na lustrze. Przeczytała, że związek z ciotką Karłą zakończył się nagle, kiedy rodzina Elżbiety wysłała uzbrojonego strażnika, by sprowadził dziewczynę z powrotem do męża.

Według historyków, wkrótce po powrocie hrabina wydała na świat dzieci. Jak było wówczas w zwyczaju, oddano je pod opiekę nianie, ale - choć Minie trudno było to sobie wyobrazić - hrabina uchodziła za oddaną matkę. A potem przeczytała, że dzieci Elżbiety, Ursula i Andrashad, jeszcze w dzieciństwie ciężko zachorowały i zmarły.

Ogarnęły ją głęboki smutek i gniew. Ujrzała, jak Ferenc okłada żonę pięściami, a potem kopie leżącą na ziemi bezbronną kobietę.

- Nie mam następców! - krzyczał. - Bóg karze mnie za twoje grzechy!

Mina czuła, jak hrabinę ogarnia zimna wściekłość, a serce zamienia się w kamień. Ze złamaną szczęką i z ustami pełnymi krwi wycodziła przez zęby - nie do męża, ale do Boga:

- Zabrałeś mi wszystko, co kochałam. Zatem teraz ja sprzymierzę się z Twoimi największymi wrogami. Teraz ja zabiorę ci wszystko, co jest ci drogie. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości - czy właśnie nie tak powiedziałeś?

Mina była w stanie zrozumieć cierpienie matki, która straciła dzieci. Ale tak ogromny gniew, jaki przepelniał Elżbietę w tej chwili, był jej całkowicie obcy. Od tej pory ta wściekłość na Boga i ludzi miała pochłonać hrabinę bez reszty.

Biorąc pod uwagę te wydarzenia, trudno się dziwić, że gniew Elżbiety skierował się przeciwko bezpośredniemu sprawcy jej nieszczęścia. W styczniu 1604 roku Ferenc Nadasdy został ciężko ranny nożem, najprawdopodobniej przez dziwkę, której nie chciał zapłacić. W umyśle Miny pojawił się obraz Ferencza śpiącego w swojej komnacie. Ujrzała delikatne dłonie hrabiny odwijające bandaż z torsu męża. I znów uderzył ją obrzydliwy smród - to Elżbieta srebrną łyżeczką nałożyła na ranę Ferencza łajno, a potem drugą ręką ostrożnie zawinęła bandaż z powrotem.

Kilka dni później Ferenc skonał w męczarniach. Przyczyną śmierci było zakażenie rany. Mina była zbulwersowana. Co za okrutny sposób pozbawienia życia drugiego człowieka, nawet jak podłego jak Ferenc.

Uwolniona z małżeńskich więzów i przekonana, że stoi ponad boskimi prawami i Biblią, hrabina zaczęła dawać upust swojej prawdziwej naturze. Nie ukrywając już swoich skłonności, wdawała się w romanse z miejscowymi kobietami. Gdy tylko zaczęły jej ulegać, wieśniacy z lęku, że zachowanie hrabiny spowodzi gniew Boży na nich i na ich ziemie, zwrócili się do władz o jej uwięzienie. Te z kolei poprosiły o interwencję jej rodzinę, która wysłała do Elżbiety księżę. Hrabina jednak wyrzuciła ich wszystkich. Rodzina Batorych, obawiając się utraty dobrego imienia, uwięziła Elżbietę w zamku, gdzie kobieta przebywała przez cztery lata. Mina ujrzała teraz we wspomnieniach „mrocznego nieznajomego”, który odwiedzał wówczas hrabinę, ale nie była w stanie stwierdzić, jaki był cel jego wizyt: uwolnić ją czy też uratować jej duszę. Mina wyteęzała umysł, by ujrzeć jego twarz, jednak na próżno. Zamknęła oczy i przez chwilę do jej myśli wślizgnął się obraz Draculi. Czy było to wspomnienie hrabiny czy też jej własne? Tego nie była pewna.

Czytała dalej. Historyczne teksty nie mówiły nic o następnych trzech latach życia hrabiny. Wyglądało to tak, jakby zapadła się pod ziemię. A później nagle, gdy zbliżała się do czterdziestego roku życia, Elżbieta powróciła do zamku na Węgrzech. Ale była już wtedy inną kobietą.

Wkrótce potem rodziny Batorych i Nadasdych nawiedziła seria brutalnych morderstw, a ze wsi zaczęły znikać młode dziewczyny. Na okolicę padł strach, a jako sprawczynię tych zbrodni wymieniano właśnie hrabinę. Obrazy w umyśle

Miny stały się teraz obsceniczne. Widziała sceny orgii, perwersyjnych praktyk, a nawet pogańskich rytuałów i elementów kultu diabła - skutki tego, że Elżbieta Batory zupełnie zerwała z Bogiem.

Lud szeptał przerażony, że nieznajomym, który jej dopomógł, jest czarno-księżnik i że on też nauczył ją czarnej magii. Służący płci męskiej uciekli z zamku, a ich opowieści o nieprawości i rozpuszcie mroziły krew w żyłach. Hrabina dopuszczała do swego otoczenia jedynie kobiety. Morderstwa mnożyły się, lało się coraz więcej krwi. Elżbieta Batory coraz bardziej przypominała potwora i najwyraźniej wypowiedziała wojnę Bogu i wszystkim, którzy w Niego wierzyli.

Po tych skargach władze najechały zamek hrabiny i aresztowały ją w trakcie orgii z trzema kobietami - jej służącymi - które piły krew innej młodej dziewczyny i kapały się w niej.

W zamkowych lochach odkryto potworne narzędzia tortur oraz uwięzione wieśniaczki - straszliwie okaleczone, zgwałcone, a niektóre już martwe. Gdy zaczęto kopać wokół zamku, natknięto się na dziesiątki szkieletów.

Służące hrabiny za udział w tych zbrodniach skazano na śmierć, po czym spalono ich zwłoki, a prochy rozsypano. Elżbietę Batory postawiono przed sądem i uznano za winną. Tylko interwencja wpływowej rodziny uratowała ją przed spaleniem na stosie. Zawarto kompromis - resztę życia miała spędzić w więzieniu.

Rodzina hrabiny ubolewała nad jej upadkiem. Urodzona w arystokratycznej rodzinie, wyróżniona przez Boga, uważana za najpiękniejszą kobietę swoich czasów, odrzuciła to wszystko i za swe grzechy miała spłonąć w ogniu piekielnym.

I znowu mgliste wspomnienia Elżbiety zagościły w umyśle Miny. Poczula, że oprócz owego mrocznego nieznajomego był jeszcze inny mężczyzna, który przyszedł hrabinie z pomocą. To on odpowiedział jej plan ucieczki. Ponieważ Elżbietę zamurowano w komnacie, zostawiając tylko niewielki otwór tuż nad podłogą, przez który podawano jej jedzenie, to właśnie tą drogą przekazano jej kartkę z informacją. Mina wyteżyła umysł i zobaczyła jej treść. Wiadomość napisana była po węgiersku i choć Mina nie знаła tego języka, wspomnienia zawarte w krwi hrabiny pozwoliły jej ją zrozumieć.

List informował Elżbietę Batory, że jej krew uległa mutacji. Gdy ludzki organizm zostaje zainfekowany jadem wampira, ciało opiera mu się, jednak zaraz po śmierci jad przejmuje nad nim kontrolę, przekształcając je w coś nowego i wspanialszego. Krew wampira zamienia martwe ciało w nieumarłe. Serce,

do niedawna ludzkie, zaczyna pompować jad i organizm budzi się do nowego życia. Tylko przebijając serce, można zniszczyć źródło jadu, a tym samym zabić wampira. A na końcu napisano, że serce nieumarłego bije tak wolno, że jego uderzenia są niewyczuwalne dla śmiertelnika.

Wreszcie Mina zrozumiała, co się z nią stało. Gdy wypła krew Draculi, jej ciało powstrzymało jad przed przejściem nad nią całkowitej kontroli. Ale mimo to uzewnętrznił się on w jeden sposób - zapewnił jej wieczną młodość. Jednocześnie z niepokojem i ciekawością, Mina zaczęła się zastanawiać, jakie inne skutki krew Draculi - a teraz i hrabiny - wyrze na jej ciało. Pociuszająca była myśl, że dopóki żyje i dopóki bije jej ludzkie serce, nigdy nie stanie się prawdziwym wampirem.

Gdy hrabina przez kilka dni nie tknęła jedzenia, do jej więzienia wezwano lekarza. Położył się na podłodze, spojrzał przez otwór w murze i ujrzał Elżbietę leżącą bez ruchu. Ścianę wyburzono. Hrabina nie dawała znaku życia - nie czuć było ani bicia jej serca, ani oddechu. Wszystko wskazywało na to, że umarła. Pod osłoną nocy, by uniknąć wścibskich spojrzeń, wywieziono jej ciało z zamku, zapieczetowano trumnę, pochowano i zapomniano o Elżbiecie.

Mina we wspomnieniach widziała ciąg dalszy: jak hrabina rozdziera pazurami trumnę, przekopuje się przez ziemię i uwalnia z grobu. W ten sposób wydostało się na świat straszliwe zło. To, z którym Mina miała do czynienia wcześniej, było zupełnie inne - hrabina i reprezentowali dwa różne oblicza ciemności. On zawsze miał jakiś powód. Natomiast Elżbieta Batory, pozbawiona resztek ludzkiego współczucia, zabijała dla rozrywki. Mina nigdy w życiu nie bała się tak jak teraz.

Już miała zamknąć książki, by zastanowić się, co dalej, kiedy jej wzrok przykuła pewna ilustracja: drzewo genealogiczne Elżbiety Batory. Przyjrzała się konksjom rodzinnym hrabiny. Jej dziadkiem był Stefan Batory, wojewoda siedmiogrodzki. Mina знаła jego imię. Tylko skąd? Przejechała palcem po kilku odgałęzieniach rodu Stefana Batorego i dotarła do nazwiska Heleny Szilagyi. I zadrżała. Teraz zrozumiała, że Draculę i hrabinę łączyło coś o wiele głębszego niż tylko żądza krwi.

Helena Szilagyi była żoną Vlada III Draculi.

Stefan Batory walczył u boku księcia Draculi, pomagając mu odzyskać tron po śmierci ojca. , jej mroczny książę, pojął za żonę kuzynkę Stefana, żeby zapewnić trwałość przymierza ze Świętym Cesarstwem Rzymskim.

uważał się za świętego wojownika Chrystusa i małżeństwo to miało mu pomóc w zjednoczeniu obu odłamów chrześcijaństwa w walce przeciwko imperium otomańskiemu.

Mroczny nieznajomy. Mina wiedziała już, że twarz Draculi nie pojawiła się w jej myślach bez powodu. To , daleki krewny Elżbiety, musiał przyjść jej z pomocą. Czarna magia, którą poznała, była z pewnością pocałunkiem wampira. Dlaczego , który uważał się za Bożego wojownika, przyczynił się do powstania takiego zła? Mina nie mogła tego zrozumieć.

Nieważne, jakie stosunki łączyły Draculę z hrabiną albo tym drugim człowiekiem, który dostarczył jej wiadomość, jedna rzecz była pewna: ocalił Elżbietę przed piekłem za życia, a ona po śmierci stworzyła swoje własne.

Z jej snu wynikało, że to właśnie hrabina zabiła Draculę. Dlaczego? Przypomniały jej się słowa wypowiedziane przez Elżbietę, zanim zatopiła nóż w sercu Draculi - „odtrąciłeś mnie dla tej dziwki”.

Z niedowierzaniem Mina uświadomiła sobie, że to ona była przyczyną wrogości między nimi. Zastanowiło ją to. i Elżbieta nie byli kochankami, ale musiała ich łączyć silna więź. Ponieważ planował uciec z Miną, hrabina nie mogła się pogodzić z odrzuceniem i przez lata trawiła ją zazdrość o rywalkę.

Teraz Mina zaczynała rozumieć sytuację. Hrabina postanowiła zniszczyć nie tylko ją, lecz i wszystkich, którzy jej zdaniem byli odpowiedzialni za to, że się od niej odwrócił. Nie dawało jej tylko spokoju pytanie, co popchnęło hrabinę do działania po tylu latach. Mogła się tylko domyślać, że miało to coś wspólnego z Jackiem Sewardem. Musiał się w jakiś sposób dowiedzieć o istnieniu hrabiny. To było jedyne wytłumaczenie. I jako że przyjaciele zignorowali jego ostrzeżenia, postanowił sam odnaleźć wampirzycę. W pojedynkę w starciu z nią nie miał jednak szans. Jego atak skierował ją tylko na nową drogę zemsty. Hrabina umiała czekać, aż nadejdzie odpowiedni moment. Grupa nieustraszonych, rozdzielona przez los, była teraz łatwym łupem. Mina rozumiała już słowa hrabiny: „nadszedł twój czas... Zabiorę ci wszystko, co jest ci drogim. Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie”.

Gdy Mina uświadomiła sobie ogrom szaleństwa hrabiny, cały pokój zaczął jej wirować przed oczyma. Zemsta, którą planowała Elżbieta Batory, była na miarę biblijnej plagi.

Mina musiała więc odnaleźć syna, zanim zrobi to wampirzyca.

Rozdział XXXV

Quincey wdrapał się na trzecie piętro swojej kamienicy przy Archer Street w dzielnicy Soho. Nie dość, że czynsz za pokój był stosunkowo niski, to ku jego zadowoleniu okolica zamieszkała była przez aktorów, malarzy i innego pokroju artystów.

♦ Do jego kawalerki znajdującej się obok wspólnej toalety wiodł długi korytarz. Gdy zmierzał w stronę mieszkania, przypominał sobie znowu słowa van Helsinga. Zastanawiał się, dlaczego nikt mu nie ufał - ani jego rodzice, ani Artur Holmwood. A może sama konfrontacja była próbą? To, że stary, schorowany człowiek o lasce był w stanie go pokonać, dowodzi, że nie nadaje się do walki z siłami ciemności.

Gdy włożył klucz do zamka, uświadomił sobie, że drzwi są otwarte. Dokładnie pamiętał, jak je zamykał. Zatem ktoś był w jego mieszkaniu. Nie było sensu uciekać. Jeśli w środku czekał, z pewnością słyszał zgrzyt klucza. Nadeszła więc pora, by udowodnić sobie i pozostałym, że jest człowiekiem godnym szacunku.

Popchnął drzwi. Skrzypnęły. Quincey powoli zajrzał do pokoju. W ciemności na tle okna Quincey ujrzał zarys wysokiej męskiej postaci. Zbierając się na odwagę, wykrzyknął:

- Kim pan jest? Co pan robi w moim mieszkaniu?

Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki i w mroku zabłysnął płomień. Quincey dostrzegł zarżące się cygareto i unoszący się dym. W pierwszym odruchu chciał uciec, ale pomyślał, że właśnie takiej reakcji spodziewaliby się jego matka i van Helsing. Zdławił więc strach i zrobiwszy krok do przodu, sięgnął do kontaktu. Żarówka zalała pokój światłem. Wysoki mężczyzna stał plecami do Quinceya i wyglądał przez okno.

Nie odwracając głowy, rzekł:

- Dobry wieczór, panie Harker.

Quincey rozpoznał i głos, i gęste blond włosy.

- Lord Godalming?

Artur Holmwood odwrócił się w jego stronę i wskazał na stojący na środku pokoju kufer podróżny, na którym leżała wizytówka, którą otrzymał od Quinceya. Był na niej jego adres. Mężczyzna był blady i zmęczony, a z jego niebieskich oczu biła pustka, jak gdyby zobaczył ducha. Quincey zastanawiał się, co mogło doprowadzić go do takiego stanu. Lord nie był typem, którego łatwo wystraszyć

Gość wrzucił zużytą zapalniczkę do kominka i przejechał po nim palcem. Jego biała rękawiczka pokryła się grubą warstwą kurzu. Nawet nie próbował ukryć swojej dezaprobaty dla warunków, w jakich żył chłopak.

- Pana również nasłala moja matka, by mi grozić? - zapytał ostro Quincey.

Zdezorientowany Artur pokręcił głową.

- Van Helsing nie pozostawił miejsca na wątpliwości - rzekł Quincey. Zdjął szalik i wskazał na ranę na gardle.

- Przez długi czas uważałem van Helsinga za człowieka bez skazy. - Artur westchnął. - Teraz już nie jestem tego taki pewien.

To był zupełnie inny Artur Holmwood niż ten, z którym Quincey rozmawiał ostatnio. Zaryzykował więc stwierdzenie:

- Przyszedł pan, by mi pomóc.

Twarz Artura stężała. Odwrócił się do chłopaka plecami.

- Lucy przyszła do mnie we śnie i otworzyła mi oczy.

Choć brzmiało to absurdalnie, Quincey ani przez chwilę **nie wątpił** w jego słowa.

Artur wyjrzał przez okno na Piccadilly Circus.

- Uznałem, że pora skończyć to, co zacząłem dwadzieścia pięć lat temu.

To rzekłszy, wyprostował plecy i podniósł głowę. Wziął głęboki oddech, a potem obrócił się w stronę Quinceya. Gdy spojrzał na chłopaka, w jego oczach malowała się zawziętość.

- Jeśli ma pan rację, panie Harker, i żyje, powinniśmy teraz złożyć przed Bogiem przysięgę. Bez względu na cenę, jaką przyjdzie nam za to zapłacić, powinniśmy raz i na zawsze zniszczyć tę bestię.

W jego głosie brzmiała determinacja.

Quincey po raz pierwszy poczuł, że ma w swej misji sprzymierzeńca. Mógł zacząć działać. Odpowiedział więc bez wahania:

- Przysięgam przed Bogiem, że pomszczę śmierć ojca i nie spocznę, dopóki nie dopadnę Draculi i na własne oczy nie ujrzę, jak kona.

Jedno kopnięcie wystarczyło, by otworzyć drzwi. W ciemności rozległ się pisk szczurów. Holmwood zapalił latarkę. Gdy znaleźli się w zdewastowanym mieszkaniu, Quincey zaczął szukać po omacku kontaktu. Artur położył mu rękę na ramieniu.

- To Whitechapel. Tu nie ma elektryczności.

Światło latarki padło na zardzewiałą lampę naftową stojącą na podłodze. Gdy zapłonęła, szczury rozpierzchły się po kątach. Chłopak był wstrząśnięty.

- Jak Jack mógł żyć w takich warunkach? Tu jest gorzej niż u mnie!

- Mówiłem już, nie był przy zdrowych zmysłach. - Na potwierdzenie swoich słów Artur wskazał na sufit, na którym wisiały symbole wszystkich znanych religii. Quincey rozpoznał tuż nad swoją głową symbol różokrzyżowców. Najwyraźniej doktor Seward zabezpieczał się, jak mógł, i chciał mieć wszystkie bóstwa po swojej stronie. Sufit oklejony był stronami wyrwanymi z ksiąg Starego i Nowego Testamentu, Tory i Koranu.

Quincey spojrział na ściany. Okazało się, że strony Biblii wyrwane były z różnojęzycznych wydań. Jego wzrok przykuły słowa wypisane czymś czerwonym... czy była to krew?

Vivus est.

- „On żyje” - przetłumaczył Quincey. - Powiedział pan, że Jack był obłąkany. „Przerażony” wydaje mi się bardziej odpowiednim słowem.

Twarz Artura nie zdradzała żadnych emocji. Podeszedł do słomianego materaca Sewarda i postukał łaską w deski podłogi. Jedna odpowiedziała głuchym dźwiękiem.

- Co pan robi? - spytał Quincey.

- Byłbyś tak łaskaw podać mi lancet ze ściany, o ten?

Oczy Quinceya powędrowały we wskazanym przez Artura kierunku. Nożem chirurgicznym Jacka przybita była do ściany połówka ze starości gazeta. Quincey wyciągnął lancet i przeczytał wyblakły nagłówek: „Kuba Rozpruwacz znowu atakuje”.

Być może Seward był szalony. Ale spośród tego chaosu wyłaniał się pewien wzór, złożony z kilku powtarzających się motywów: „Kuba Rozpruwacz, wampiry, religia, przedstawienia *Króla Ryszarda III*...

Głośne skrzypnięcie kazało mu znów spojrzeć w stronę Artura, który ostrzem lancetu podważył deskę w podłodze. Wyjął ją i sięgnął ręką w głąb. Czyżby sekretny schowek?

Holmwood wydobyl stamtąd zardzewiałe pudełko zamknięte na kłódkę

- Skąd pan wiedział, czego szukać?

Artur nie odpowiedział, tylko rzucił pudełkiem o ścianę, by roztrzaskać kłódkę. Ze środka wypadły fiołki z morfiną, skórzany pas oraz strzykawki, które potoczyły się po materacu.

- Nie zostawia się towarzysza walki, nawet jeśli stał się szaleńcem. Jak myślisz, kto płacił za jego nałóg, za ten pokój? - zapytał Artur.

Zaczął przyglądać się wnętrzu pudełka i sprawdził palcami ścianki. Niczego jednak nie znalazł. W bezsilnej złości cisnął nim o podłogę.

- Cholera! Miałem nadzieję, że jeśli Cotford coś przeoczył, z pewnością znajdę to tu.

Zaczął przetrząsać cały pokój, przewracając meble i otwierając puste szufelady. Quincey nie był zaskoczony jego wyznaniem - Holmwood był człowiekiem honoru. Udowodnił to na wiele sposobów.

Quincey podniósł lampę, by obejrzeć schowek dokładniej. Gromada karaluchów kłębiła się po czymś białym, skrytym pod podłogą.

- Proszę zaczekać! Tu jest coś jeszcze.

Tupnął nogą, by przepędzić robactwo, po czym podekscytowany sięgnął do skrytki i wyjął stamtąd stos związanych papierów. Podał go z dumą Arturowi, który podszedł do biurka i rozsupłał sznurek. Quincey przyświecił mu lampą.

Na górze znajdował się zbiór ostemplowanych listów, a pod nimi leżało coś grubego i prostokątnego, owiniętego w biały papier. Artur odłożył na bok koperty i rozerwał opakowanie, odsłaniając żółtą książkę w twardej oprawie. Quincey wiedział, co to jest, zanim jeszcze Artur odwrócił ją okładką do góry.

Gdy odczytał tytuł, Holmwood zbladł jak ściana.

Na okładce widniało: Bram Stoker, .

Podejrzewali, że zna adres Ringu - rezydencji Artura w East Finchley - zatem nie byłoby tam bezpieczni. Quincey uznał, że powinni schronić się w kancelarii jego ojca. W ciągu ostatnich lat unikał tego miejsca, chociaż ojciec ściągał go tam pod byle pretekstem, jak gdyby miał nadzieję, że samo przebywanie w tych murach zaszczerpi w nim prawniczego bakcyła. A czy istnieje lepsze miejsce do ukrycia niż takie, w którym nawet sami byśmy siebie nie szukali?

Pamiętał dzień, kiedy ojciec sprezentował mu klucze do kancelarii. Z miłością i dumą oświadczył wtedy: „Pewnego dnia to biuro będzie twoje”. Quincey pomyślał z zalem, że za miłość ojca odpłacił jedynie nienawiścią.

Gdy znaleźli się już w biurze Jonathana Harkera, Quincey zajął się sortowaniem kopert. W pewnym momencie od pracy oderwał go głośny łomot. To Artur z obrzydzeniem rzucił książkę Stokera na stół. Nie był w stanie dalej czytać.

- Jak Jack mógł uczynić coś takiego? Po tym wszystkim, co dla niego zrobiłem. Wszyscy złożyliśmy przysięgę, że będziemy trzymać to w tajemnicy. Dlatego między innymi wspierałem go finansowo, by pomóc mu wytrwać w tej obietnicy. - Uderzył pięścią w blat biurka. Pamiętał doskonale dzień, kiedy po bitwie z Cyganami ocaleni złożyli dłonie na Biblii, przysięgając, że nie zdradzą szczytów krwawego pościgu za Draculą.

- Skąd pewność, że to Seward zdradził wszystko Stokerowi?

Artur wskazał na książkę i listy.

- Jack czuł potrzebę, by o tym rozmawiać, a my nie chcieliśmy go słuchać.

Quincey chciał rzec coś stosownego, ale stwierdził, że lepiej wrócić do przeglądania korespondencji doktora. Zatrzymał się na chwilę przy poszarpanym kawałku papieru. Ten różnił się od pozostałych. Pochylone eleganckie pismo z pewnością należało do kobiety. List pochodził od żony Jacka. W chłodnym tonie informowała go: „Nie przyjeżdżaj do Ameryki i trzymaj się z daleka od naszej córki”.

Część podpisu była zatarta. Quincey pomyślał, że gdzieś w Ameryce mieszka córka Jacka, która nie dostanie szansy, by pogodzić się z ojcem. Może nawet nigdy nie dowie się o jego śmierci.

Artur podszedł do biurka Jonathana i wyjął z szuflady butelkę whisky. Zaśmiał się przy tym głośno, mówiąc:

- W tej jednej sprawie stary Jonathan był niezawodny, zawsze miał pod ręką jakąś butelczynę.

Strząsnął kurz ze szklanki i nalał sobie solidną porcję trunku. Kiedy Quincey ujrzał podpis na następnym liście, nie mógł uwierzyć własnym oczom.

- Co to takiego? - spytał Artur ujrzawszy, jak zbladł.

- Ten list pochodzi od... - Imię to uwięzło mu w gardle. - ... Basaraba.

- Twojego przyjaciela, tego aktora z Rumunii? Pokaż.

Artur wyjął list z trzęsących się rąk chłopaka i zaczął czytać. Quincey rzucił się do przeglądania pozostałych kopert.

- A tu kolejny - rzekł, biorąc do ręki drugi list.

Artur był tak samo zaskoczony jak Quincey. Przyłączył się do poszukiwań - Oto następny. - Quincey porównał znalezione listy. - I ten również. Se-ward i Basarab najwyraźniej korespondowali ze sobą. Artur zaczął je sortować według daty.

- Skąd Basarab znał Sewarda? - spytał.

Chłopak nie odpowiedział. Z trudem zbierał myśli. Przypomniał sobie głos, który usłyszał tamtego wieczoru, kiedy to gościł u Basaraba w jego garderobie: „Panie Basarab! Niech się pan ratuje!”. To musiał być Seward. Jego śmierć nie była nieszczęśliwym wypadkiem. Jak dużo wiedział aktor? Czy od początku wykorzystywał go do swoich celów? Klucz do tej zagadki znajdował się w listach.

Do zachodu słońca udało im się poukładać wszystkie koperty, dzięki czemu uzyskali kompletny obraz korespondencji między Basarabem a Sewardem. Chłopak przypiął jeden z listów do tablicy.

- Z tego listu od Basaraba wynika, że dowiedział się o szczegółach waszej wyprawy od Cyganów, którzy przeżyli bitwę pod zamkiem Draculi. Tylko dlatego skontaktował się akurat z Sewardem i z nikim więcej z waszej grupy?

Holmwood podszedł do tablicy z kolejnym listem.

- Z daty wynika, że jest to drugi list Basaraba do Sewarda. Prosi w nim Jacka o pomoc w schwytaniu kogoś, kogo podejrzewa, że jest Kubą Rozpruwaczem.

Quincey przypomniał sobie stary artykuł z gazety w pokoju doktora. Odszukał następny list. W kopertach znajdowało się wiele wycinków z gazet, a wszystkie dotyczyły makabrycznych morderstw kobiet. Daty sięgały dziesięciu lat wstecz. Artur rozłożył je na stole i porównał. Obejrzał dokładnie rysunki przedstawiające miejsca zbrodni i schematy rozmieszczenia ran na ciałach ofiar. Uderzyło go podobieństwo do morderstw Kuby Rozpruwacza z 1888 roku.

Artur podniósł się nagle.

- To takie proste... Dlaczego nie wpadłem na to wcześniej?

Pochylili się razem nad papierami.

- Te wycinki sugerują, że morderstwa Kuby Rozpruwacza nie skończyły się w 1888 roku. Morderca jedynie opuścił Londyn. Przez ostatnie dwadzieścia pięć lat zabijał kobiety w całej Europie. Każdy z tych artykułów stanowi dowód

zbrodni. Sprytny pomysł, trzeba przyznać. Dopóki Kuba Rozpruwacz przenośli się z miasta do miasta, z kraju do kraju, był nieuchwytny. Policja nie mogła kontaktować się ze sobą na bieżąco, więc nikt nie był w stanie złożyć w całość poszczególnych elementów tej układanki. W każdym mieście zdarzyły się serie pięciu lub sześciu morderstw. I zawsze ofiarami były prostytutki. Zabójstwa ustawały bez żadnej przyczyny. A przyczyna była prosta: Kuba Rozpruwacz zmieniał miejsce.

Quincey wrócił do listów, przypomniał sobie pewien charakterystyczny nagłówek - Moskiewski Teatr Artystyczny. Porównał datę na liście z datą na wycinku. Pasowały do siebie. Pokazał list Arturowi, wskazując na drugi akapit.

- To była pierwsza wiadomość do Sewarda, wysłana, kiedy Basarab był w Moskwie z *Królem Ryszardem III*. - Sięgnął po kolejny list, tym razem ozdoby nagłówkiem teatru Odeon, i znalazł odpowiadające dacie wycinki z gazet. - Ten list został wysłany przez Basaraba, kiedy był już w Paryżu. Niech pan patrzy, więcej wycinków, więcej morderstw. - Quincey spojrzął na Artura z zapalem odkrywcy. - Nie widzi pan? Kuba Rozpruwacz zatacza pętlę i wraca na zachód. Do Anglii.

- Basarab wykorzystywał swoje *tournee* po Europie do ścigania mordercy - dokończył Artur.

Obaj pomyśleli o tym samym. Quincey już miał powiedzieć to na głos, kiedy Artur go powstrzymał.

- Nie! Nie mamy jeszcze niezbitego dowodu.

- Może i nie, ale z jakiego innego powodu Basarab kontaktowałby się z Sewardem? Dlaczego Seward miałby ścigać Kubę Rozpruwacza? Kuba Rozpruwacz jest wampirem. Nie ma innej możliwości.

Artur podszedł do tablicy i przyjrzał się raz jeszcze ułożonym po kolei listom.

- Wiem, co chcesz powiedzieć, Quincey, ale nie mamy stuprocentowej pewności. Jediną rzeczą, jakiej możemy być pewni, jest to, że Seward próbował nas ostrzec przed Kubą Rozpruwaczem. Zginął, bo chciał nam pomóc.

Quincey wiedział, że Artur nie boi się prawdy, tylko nie chce wyciągać pochopnych wniosków. Dla niego natomiast wszystko było jasne:

- Jeśli boisz się to powiedzieć na głos, zrobię to za ciebie. Jest Kubą Rozpruwaczem. To musi być on. *Vivus est!* Seward napisał to własną krwią. Do kogo innego mogło się to odnosić?

- Nie tak szybko. Musimy najpierw dowiedzieć się, kim jest Kuba Rozpruwacz, i zbadać dokładnie, co łączy go z nami - rzekł Artur. - Tylko w ten sposób potwierdzimy naszą teorię. Potrzebujemy dowodów.

Quincey pomyślał, że to strata czasu. Jeśli Basarab znał Sewarda i skłonił go do poszukiwań Kuby Rozpruwacza, musiał wiedzieć, że tym mordercą jest . Aż zagotowała się w nim krew, gdy przypomniał sobie, jak Basarab bronił Draculi, posunął się nawet do tego, że pokazał go jako bohatera tragicznego. Z drugiej strony wezwał Sewarda na pomoc w schwyтaniu wampira, po czyjej więc stronie tak naprawdę stoi?

Quincey spojrzал na zegarek. A potem sięgnął po płaszcz.

- Mówiłeś, że potrzebujemy dowodów. Chodźmy więc ich poszukać.

- Tylko gdzie?

- Na próbie. Już jestem spóźniony. Czas, bym stanął twarzą w twarz z moim droгим mistrzem. Jest mi winien wyjaśnienie.

Artur wybiegł za chłopakiem.

Gdy zmierzali w stronę teatru, usłyszeli nawoływania gazeciарza sprzedającego „Daily Telegraph” na rogu Wellington Street:

- Francja ustanowiła protektorat w Maroku! Badacze biegunа południowego zaginęli! Bram Stoker, kierownik teatru Lyceum, walczy o życie!

Quincey wręczył chłopakowi pół szylingа i chwycił gazetę. Przebiegł wzrokiem przez artykuł о Stokerze. Potwierdzał on, że Stoker miał udar. Zmiał gazetę i rzucił ją na ziemię. Nic mu po niej.

Gdy dotarli do teatru, przywitał ich kierownik kasy Joseph Hurst. Quincey skierował się w stronę wejścia na widownię, jednak Artur powstrzymał go, wskazując na wywieszony we foyer afisz: „W przygotowaniu: Historia pełna grozy - Wielki rumuński aktor - Nowa sztuka Brama Stokera - Produkcja: Hamilton Deane i Quincey Harker”.

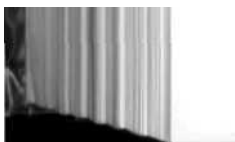
- Jak mogłeś nam to zrobić?! Teraz, kiedy znasz prawdę! - wykrzyknął oburzony. - Nie pozwolę, byś kpił sobie ze śmierci Lucy i szargał moje imię!

- Pańskie imię nie pojawia się w sztuce - rzekł Quincey.

- To znaczy?

- Deane uznał, że zamiast zatrudniać trzech aktorów, oszczędniej będzie połączyć pana, Quinceya P. Morrisа i doktora Sewarda w jedną postać.

- Słucham? To dla mnie zniewaga!



Quincey pokręcił głową. Ci arystokraci są naprawdę dziwni.

- Czy aby nie powiedział pan przed chwilą, że nie życzy sobie, by szarga no pańskie imię?

- Tak, racja - przyznał Artur.

Tymczasem w foyer pojawił się Deane. Był zaskoczony widokiem Quinceya i zachowywał odpowiedni dystans.

- Próby zostały odwołane ze względu na szacunek dla pana Stokera - po informował go chłodnym tonem.

- Dlaczego nic o tym nie wiem? - spytał Quincey.

- Nie jestem pewien, czy chcę pana jeszcze widzieć w swoim teatrze - wyjaśnił bez ogródek Deane.

- Rozumiem - skinął głową chłopak. - A gdzie mogę znaleźć Basaraba?

Na dźwięk tego imienia Deane skrzywił się.

- Powiedziałem mu, że Stoker został wypisany ze szpitala i że chcę go od wiedzieć, by dowiedzieć się o stan jego zdrowia. Basarab nie dość, że miał czele ność zabronić mi tego, to jeszcze zostawił mi scenariusz ze swoimi poprawkami i dokładnymi instrukcjami, jak przebudować dekoracje. Moi ludzie pracują teraz na okrągło, żeby zdążyć przed jutrzejszą wieczorną próbą. A wracając do pana pytania - nie mam pojęcia, gdzie się podziewa ten arogancki łajdak!

Kiedy Quincey wystąpił do przodu, przestraszony Deane natychmiast się wycofał. Chłopak poczuł się zawstydzony jego reakcją.

- Przepraszam pana, panie Deane... za wszystko. Błagam, muszę natychmiast porozmawiać z Basarabem. To sprawa niecierpiąca zwłoki.

Deane z wyraźną ulgą przyjął jego przeprosiny. Artur wyczuł panujące między nimi napięcie i spojrzał na Quinceya pytająco.

- Basarab poprosił o przerwę do jutra, do wpół do siódmej wieczorem - odparł Deane. - Mogę więc przypuszczać, że wtedy się tu zjawi.

Niepewnie uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

Gdy odeszli, Artur spytał:

- O co tu, do diabła, chodzi? Wyglądało, jakby ten człowiek się ciebie bał.

Quincey usłyszał w jego głosie nutkę szacunku. Musiał przyznać, że po raz kolejny nauki Basaraba okazały się pożyteczne. Żałował, że nigdy nie zapytał aktora, gdzie właściwie się zatrzymał. Teraz miał zapłacić za swoją bezmyślność.

- Może i się boi, ale naprawdę przeraża go Basarab. Niestety, dopiero jutro przekonamy się, czy jego strach jest uzasadniony.

Wyraźnie zamyślony Artur odpowiedział:

- Ani Deane, ani Basarab nie są teraz naszym problemem. Mamy ważniejszą sprawę na głowie. Musimy dowiedzieć się, dlaczego van Helsing cię zaatakował. Co on knuje?

Leżąc w hotelowym łóżku, van Helsing myślał o Quinceyu. Syn Miny Harker bawi się zapalkami, trzeba dopilnować, żeby przez niego cały świat nie stanął w ogniu. Chłopak uważa się za buntownika. Mina rozpieszczała go, Jonathan próbował kontrolować, a żadne z nich nie było wobec niego wystarczająco stanowcze. Van Helsing miał nadzieję, że może jego słowa odniosą skutek i wystraszą chłopaka na tyle, by nakłonić go do powrotu na Sorbonę. Jeśli okaże się inaczej i Quincey ulegnie mocom ciemności, stanie się potężnym przeciwnikiem. On, van Helsing, zrobi wszystko, by do tego nie dopuścić, prędzej poderżnie chłopakowi gardło, niż pozwoli, by wpadł w ręce Draculi.

To oczekiwanie było nie do zniesienia. Van Helsing zrobił wszystko, by dowiedzieć się o jego przyjeździe do Londynu. Był łatwym łupem. Skoro zabił Jacka i Jonathana, to dlaczego jego trzymał jeszcze przy życiu?

Spojrzał na arsenał zgromadzony na stole. Nie był głupcem. Musiał wiedzieć, że van Helsing jest przygotowany na spotkanie. Oprócz śmierci profesor najbardziej bał się tego, że księżę wzgardzi nim i uzna za obłąkanego, nieszkodliwego staruszka.

Poczuł nagle, jak coś szorstkiego ociera mu się o nogę. Na kocu pojawiło się wyrzuszenie, które chwilę później zaczęło się przemieszczać. Potem następne i kolejne. Wpatrywał się w nie z niedowierzaniem. Czyżby to był koniec? Przy pierwszym ugryzieniu van Helsing krzyknął z bólu. Cokolwiek kryło się pod tą pościelą, rozrywało go na strzępy.

Odrzucił kołdrę. Masa popiskujących, wstrętnych szczurów przykryła go całego, kłusząc wściekle. Van Helsing zaczął krzyczeć z bólu. Wił się, chcąc je z siebie zrzucić. Nagle jeden ze szczurów wbiegł mu na pierś, zdążając w kierunku szyi. Starzec złapał go i rzucił nim o ścianę.

Wyskoczył z łóżka. Strach i adrenalina to było za dużo jak na jego wiek. Chwycił się za serce i osunął na podłogę. Ból był tak ogromny, że nie był nawet w stanie krzyczeć. Próbował sięgnąć do fiolki na nocnym stoliku, lecz upadł pokonany nową falą bólu. Czuł, że tym razem śmierć go pokona.

Uświadomił sobie, że w pokoju zapadła cisza. Szczury zniknęły. Na jego ciele nie było nawet śladu po ugryzieniach. Ale cienie wciąż go otaczały i teraz wiedział już, że szczury były jedynie preludium do wielkiego finału.

Przez moment, pomimo strasznego bólu, poczuł iskierkę radości. A zatem nadeszła ostateczna bitwa. Zebrał wszystkie siły i wyciągnął rękę po fiolkę, zrzucając przy tym ze stolika okulary. Cienie zwały się teraz w jeden wirujący kształt, który rozbił stolik w drzazgi. Buteleczka z lekarstwem upadła na podłogę. Nagle dobiegło go oghuszające wycie wilków, które nie pozwalało mu skupić myśli.

Van Helsing musiał decydować - fiołka czy broń?

Mroczny cień wypełniał już cały pokój. Nagle z jego wnętrza zaczęła wyrzuchać się ogromna postać. Profesor miał niewiele czasu. Ostatkiem sił oparł się rękami na łóżku i rzucił całym ciałem na pokryty bronią stół. Jeśli ma zginąć, bestia umrze razem z nim.

Postać przybrała ludzki kształt. Dłoń van Helsinga już niemal dotykała naciąganej kuszy, kiedy mglista zjawą uderzyła w stół, który rozleciał się na kawałki. Broń upadła na podłogę. Profesor nie miał szans, by jej dosięgnąć.

A więc to koniec. Czekał na ostateczny cios. Nie miał już woli walki. Jego ciało poddało się. Sam duch nie wystarczał.

- Wybaczcie, przyjaciele - wyszeptał. - Zawiodłem was.

Wycie wilków wzmogło się. Van Helsing miał nadzieję, że jego serce tym razem go nie zawiedzie i przestanie bić natychmiast, by oszczędzić mu bólu. Ale śmierć nie była dla niego łaskawa. Wciąż żył, gdy kły bestii zatopiły się w jego szyi.

Rozdział XXXVI

H *SL* ina za wszelką cenę musiała odnaleźć Quinceya. Wszystkie te-
legamy, jakie wysłała do profesora van Helsinga, pozostały bez y y V
odpowiedzi. Musiała liczyć się z tym, że została ze swoją misją ^>» *
sama. Quincey był gdzieś daleko, niczego nieświadomy i narażony na
niebezpieczeństwo. A hrabina była najgroźniejszym przeciwnikiem, z jakim do
tej pory Mina miała do czynienia.

Wyjęła klucz, który chowała w toalecie, i zbiegła do piwnicy. Stanęła
przed jednym z pomieszczeń, nieotwieranym od dwudziestu pięciu lat ze
względu na Quinceya, włożyła klucz do przerdzewiałego zamka i spróbowała
go przekręcić. Niestety, ani drgnął. Mina spróbowała raz jeszcze, z większą de-
terminacją. Na próżno. A niech do diabli! - zaklęła w duchu. W tym samym
momencie nastąpił głośny trzask i drzwi się otworzyły. Mina z zaskoczeniem
stwierdziła, że wyłamała framugę koło zamka. Najpierw przeraziła się swoją
siłą, ale szybko uspokoiła się, tłumacząc sobie, że drewno było przegniłe od
wilgoci.

Podniosła lampkę, którą przyniosła ze sobą, i weszła do ciemnego po-
mieszczenia. Na półce wraz z pokrytymi pleśnią, zapomnianymi pamiątkami
leżało stare drewniane pudełko, które niegdyś wraz z Jonathanem zabrali do
Transylwanii. Po rozpadzie framugi nie powinna być zaskoczona, widząc jego
opłakany stan. Serce jej stanęło, gdy podważyła wieko. Biblia była nasiąknięta
wodą. Czosnek i tojad zgniły. Zawartość butelek dawno temu wyparowała, noże
zardzewiały, a drewniany młotek i kołki ozdobione złotymi krzyżami popękały
i zaczęły murszeć. Kiedyś powierzyli swoje życie zawartości tego pudełka. Te-
raz niewiele z niego zostało, tak samo jak z ich grupy.

Mina wróciła szybko na górę, do gabinetu, po jedyną użyteczną broń, jaka
została w jej domu. Fizycznie nie mogła się równać z hrabiną. Żeby mieć ja-
kiekolwiek szansę w starciu z wampirzycą, potrzebowała czegoś niezawodne-
go. Wzięła do ręki katanę - grawerowany, ceremonialny miecz japoński, który

Jonathan dostał od jednego z klientów. Inskrypcja na niej głosiła: „Jonathano-
wi Harkerowi - w imię przyjaźni angielsko-japońskiej, 30 stycznia 1902 roku”.

Mina szybkim ruchem wydobyla kataną z pochwy. Odrzuciła przy tym rękę do tyłu i uderzyła łokciem o mahoniową szafkę. Skrzywiła się z bólu, a miecz wypadł jej z ręki.

Trzask.

Gdy odwróciła się, okazało się, że łokciem roztrzaskała brzeg szafki. Podwinęła rękaw i obejrzała łokieć. Choć nie czuła bólu, stłuczenie zaczynało już puchnąć i sinieć. Spojrzała na rozciętą skórę. Z rany płynęła strużka krwi. Ale i to jej nie bolało.

Czyżby zatem krew Draculi dodała jej sił? Po tylu latach? A może tak działała krew hrabiny? Jeśli tak i jeśli w ten sposób hrabina dała Minie moc, przez którą ich nieuniknione starcie będzie bardziej wyrównane, trzeba by to uznać za ironię losu.

Rozejrzała się i dostrzegła kulisty szklany przycisk do papieru leżący w rogu biurka. Wzięła go do ręki i ścisnęła. I nic.

Spróbowała znowu, z całej siły, i znów bez rezultatu. Czyżby szafkę uszkodziła przypadkiem? A niech to!

Z wściekłością uderzyła kulą o blat biurka. Ku jej zaskoczeniu roztrzaskała się na kawałki. Mina otworzyła dłoń. Była cała poraniona, w ranach tkwiły kawałki stłuczonego szkła. Jednak i tym razem prawie nie czuła bólu.

Po raz pierwszy od tygodni Mina uśmiechnęła się.

Dlaczego dopiero teraz ujawniły się te moce? Może po prostu nigdy wcześniej nie wybuchała takim gniewem. Albo dopiero teraz ich potrzebowała. Niezależnie od przyczyny jej nowo odkryte zdolności na pewno przydadzą się w walce z hrabiną.

Oparła dłonie na bokach ciężkiego dębowego biurka, które dwóch wielkich mężczyzn ledwo wniosło do domu. Wzięła głęboki oddech i próbowała je podnieść. Jej naprężone mięśnie zaczęły drżeć z wysiłku, ale biurko nie poruszyło się nawet o milimetr. Zamknęła oczy i przypomniała sobie hrabinę. Poczowała silny przypływ emocji, biurko jednak ani drgnęło. Mina oparła się zniechęcona o mebel. Z głośnym skrzypinięciem biurko przesunęło się po parkiecie. Była zdezorientowana. Posiadała niezwykłą siłę, lecz zupełnie nie potrafiła nad nią zapanować. Musiała się nauczyć, musiała się dowiedzieć, jak ją kontrolować.

Jej rozmyślenia przerwało gwałtowne pukanie do drzwi gabinetu.

- Przepraszam panią - usłyszała głos Manninga. - Przyszedł jakiś dżentelmen, który chciałby z panią porozmawiać.

Mina westchnęła.

- Przykro mi, Manning, ale muszę cię poprosić, być go odprawił. Nie mam teraz ochoty na towarzystwo. Ów dżentelmen z pewnością to zrozumie.

- Powiedziałem mu, że nie życzy sobie pani, by jej przeszkadzano, ale wręczył mi swoją wizytówkę i stwierdził, że zrobi pani dla niego wyjątek.

Mina podeszła do drzwi i wzięła od niego małą białą wizytówkę.

Ujrawszy widniejące na niej nazwisko, o mało nie wypuściła jej z rąk.

- Mam go odprawić? - spytał Manning.

- Nie. - Mina wiedziała, że skoro zjawił się u niej ten człowiek, to nie zrobił tego z błahego powodu. Spojrzała raz jeszcze na zakrwawioną dłoń. On nie może się o tym dowiedzieć - pomyślała, po czym rzekła do Manninga: - Zaprowadź go do salonu. Zaraz tam przyjdę, muszę się tylko doprowadzić do porządku.

Artur Holmwood obserwował odchodzącego Quinceya. Rozumiał, że chce zostać sam. On też potrzebował czasu, by przemyśleć wszystkie informacje, jakie uzyskali w mieszkaniu Sewarda. Czy rzeczywiście mógł być Kubą Rozpruwaczem? Artur ledwo pamiętał jesień 1888 roku, kiedy cały Londyn był sparaliżowany strachem. Miał wtedy własne problemy - w tym samym czasie jego ojciec i Lucy walczyli ze śmiercią. Wciąż nie mógł uwierzyć, że przeżył. Morderstwa nawiązujące do zbrodni popełnionych przez Kubę Rozpruwacza trudno jednak było uznać za zwyczajny zbieg okoliczności. Podobnie ciężko sobie wyobrazić, że ktokolwiek inny niż Palownik mógł zabić Jonathana w ten sposób, w dodatku w takim miejscu jak Piccadilly Circus. I to bez świadków. Jeśli rzeczywiście powrócił do Anglii, groziło im śmiertelne niebezpieczeństwo. Należało ostrzec członków dawnej grupy. W każdym razie tych, którzy jeszcze zostali przy życiu. Czuł się odpowiedzialny, mimo to wcale nie miał ochoty kontaktować się z Miną Harker. Nie mógł wykluczyć możliwości, że księżę ciemności i na niej szuka zemsty, wierząc, że zdradziła go dwadzieścia pięć lat temu. Musiał też wziąć pod uwagę, że Mina, niezwiązana już przysięgą małżeńską, mogła stanąć po stronie demona, który zabrał mu Lucy. Ta kobieta zawsze była dla niego zagadką. Trudno było przewidzieć, jak zareaguje na wiadomość, że żyje. Pomimo tych wątpliwości postanowił zrobić

to, co dyktowało mu poczucie honoru. Mina powinna poznać wszystkie fakty. Co z nimi zrobi - to już jej sprawa. Chociaż on, niestety, będzie musiał również ponieść konsekwencje jej wyboru.

Służący Harkerów zabrał od Artura płaszcz i wprowadził go do salonu.

- Czy wasza lordowska mość życzy sobie czegoś do picia? - zapytał starszy kamerdyner.

- Nie, dziękuję.

Uwagę Artura przykuły fotografie na kominku. Widok szczęśliwej rodziny Harkerów przypomniawszy mu o jego stracie. Zdjęcie musiano zrobić dawno temu, podczas świąt Bożego Narodzenia. Quincey był jeszcze taki mały. On, Artur, wraz z Lucy pogrzebał nadzieję na osiągnięcie szczęścia. Mina natomiast, po piekle Transylwanii, powróciła do normalności, stworzyła rodzinę z mężczyzną, którego kochała, wychowała dziecko. Miała życie, jakiego jemu nie dane było zaznać. Oczy Holmwooda powędrowały w stronę zdjęcia Lucy i Miny. Jego obecność tutaj była dla Artura profanacją. W końcu to Jonathan i jego firma sprowadzili Draculę do Anglii. I - chcąc, nie chcąc - to Mina przywiodła tego demona do Lucy. Jak śmiała trzymać to zdjęcie! Był rozżalony i wściekły, czuł, że emocje za moment wezmą nad nim górę. Usłyszał za plecami skrzypnięcie drzwi. Odwrócił się gotów wyładować całą wściekłość na Minie. Ale ujrzawszy ją, oniemiał. Czuł, jakby cofnął się w czasie. Mina wyglądała dokładnie tak samo jak wiele lat temu, gdy widział ją po raz ostatni. Przez krótką chwilę spodziewał się, że do pokoju wejdzie Lucy. Były nierozłączne. Nagle stanęły mu przed oczami zdjęcia z ekshumacji ukochanej. Lucy była martwa i zimna, tak jak jego serce, podczas gdy ta kobieta pozostaje wciąż piękna i młoda. Nie dziwił się już, że Jonathan zaczął topić smutki w alkoholu. Mina była symbolem ich tragicznej przeszłości.

Jednak czarna żałobna suknia i skromna biżuteria Miny ostudziły jego gniew. Stwierdził, że przynajmniej ma na tyle przyzwoitości, by nie afiszować się ze swoim piętnem.

- Czas obszedł się z panią łaskawie, pani Harker - rzekł z przekąsem.

- Widzę, że pan również się nie zmienił, lordzie Godalming - odparła Mina tym samym tonem.

- Niech mi pani wierzy, powrót do tego domu nie jest dla mnie żadną przyjemnością.

- Jeśli przyszedł pan z poczucia obowiązku złożyć mi kondolencje, może pan uznać tę powinność za spełnioną i nie męczyć się dłużej. - Mina odwróciła się i ruszyła w stronę drzwi.

- Zaczekaj.

Zatrzymała się niepewnie.

Artur wiedział, że agresja i drwina były pewną drogą do zrażenia do siebie tej upartej kobiety. Zmienił nieco ton.

- Przyszedłem, żeby cię ostrzec. Wiem, że zabrzmiało to niewiarygodnie, ale mam przesłanki, by wierzyć, że ten, którego uznaliśmy za zmarłego, wrócił z grobu.

Mina odwróciła głowę. Nie ujrzał na jej twarzy zaskoczenia, którego się spodziewał.

- Doprawdy, nic się nie zmieniło. To dalej ten sam Artur, który z zaciśniętymi zębami wypełnia swoje obowiązki.

O co tej kobiecie chodzi? - pomyślał ze złością, a na głos rzekł:

- Nie traktuj mnie jak Jacka. Nigdy nie dawałem się zwieść bzdurnym teoriom.

- Wiem, że wciąż mnie nienawidzisz. Słyszę to w twoim głosie. I masz do tego prawo. Ale nigdy nie dałam ci powodu, byś mi nie ufał. Pamiętaj, że to ja doprowadziłam was do Draculi. Dotrzytałam przysięgi.

-1 to jedyny powód, dla którego tu jestem. Mam na sumieniu kilka rzeczy, Mino. Ale to, że zignorowałem ostrzeżenia Jacka i potraktowałem go jak szaleńca... Opuszczenie przyjaciela w potrzebie to coś, czego wstydzę się najbardziej.

Wyjął zbiór wycinków, które zabrał z domu Sewarda. Dopiero gdy odbierała je od niego, zauważył bandaże na jej dłoni.

- Co się stało? - zapytał.

- Stłukłam szklanę, nic poważnego - rzuciła szybko, zabierając się do lektury notek. Przez moment patrzyła na niego zaskoczona. - Przecież to o Kuby Rozpruwaczu.

- Zwróć uwagę na opisy tych morderstw. Pierwszego dokonano 31 sierpnia 1888 roku w Londynie. Zaledwie tydzień po tym jak statek „Demeter” z Draculą na pokładzie rozbił się u wybrzeży Whitby. Ostatnie morderstwo popełniono 9 listopada 1888 roku. Dzień przed tym jak wymknął nam się z zasadki i uciekł do Transylwanii.

Mina słuchała nieporuszona.



Artur wyjął listy Sewarda.

- Jack wierzył, że Kuba Rozpruwacz jest wampirem - oświadczył. - Go tów był zaryzykować życie, by to udowodnić, i dlatego zginął z jego ręki. Oto rozwiązanie zagadki jego śmierci. Zapomnij o tym, co widziałaś. Odsuń na bok emocje. Logika i dowody niezbicie wskazują na to, że i Kuba Rozpruwacz to jedna i ta sama osoba.

Mina roześmiała się.

- Ech, Arturze, zawsze byłeś najodważniejszy z nas wszystkich. Byłeś też na tyle mądry, by zostawić myślenie van Helsingowi.

Artur zacisnął pięść.

- Przyszedłem tu, by cię ostrzec przed niebezpieczeństwem, a ty śmiesz drwić sobie ze mnie?

Pomyślał, że może Mina chce go w ten sposób zmylić. Odwieść od tej teorii, by chronić Draculę. Może planuje dołączyć do swego kochanka w szeregach nieumarłych.

Mina, jak gdyby czytała mu w myślach, nagle spowaźniała.

- Do Londynu przybył wampir, to prawda. Ale nie jest nim .

Artur podskoczył z wrażenia. Jeszcze jeden wampir?

- O czym ty mówisz? To nie pora na żarty. Tu chodzi o ludzkie życie.

- Ja nie żartuję. Zostałam zaatakowana we własnym domu. Mogłam zginąć.

- Jak widzę, udało ci się przeżyć. Co zrobił ten okropny wampir? Rzucił szklanką i uciekł?

Mina zwężyla gniewnie oczy.

- Wysłuchałam twoich teorii. Teraz ty posłuchaj mnie. Słyszałeś może o węgierskiej hrabinie Elżbiecie Batory?

- Nie, a powinienem?

- Czterysta lat temu na Węgrzech hrabina Elżbieta Batory brutalnie zamordowała sześćset pięćdziesiąt dziewcząt. Do jej ulubionych zajęć należała kąpiel w ich krwi. Wierzyła, że dzięki temu zachowa wieczną młodość. Czy aby nie tak mógł by brzmieć zimny historyczny opis działalności wampira? A jeśli przypuszczenia Jacka są słuszne, czy nie pasuje to też dokładnie do zbrodni Kuby Rozpruwacza?

- Co za bzdury. Wiadomo przecież, że Kuba Rozpruwacz był mężczyzną. Nie przekonasz mnie, że kobieta byłaby zdolna do takich okrucieństw.

- Twoje uprzedzenia cię zaślepiają. Rozpruwacza nigdy nie złapano, więc o jego płci można jedynie spekulować. A dlaczego niby nie kobieta?



- Czarna wdowa. No, naprawdę - Artur zastanawiał się na głos. Dalej jednak nie ufał Minie, miał wrażenie, że coś przed nim ukrywa. - Ale Jonathan został nabity na pal. Jeśli nie nazywano hrabiny Palownikiem czy może raczej Palowniczką, to nie widzę związku.

- Może hrabina chciała nas w ten sposób wywieść w pole, żebyśmy pomyśleli, że żyje.

Artur wciąż miał wątpliwości.

- Załóżmy, że to była hrabina Batory i że rzeczywiście jest Kubą Rozpruwaczem. Czego może od nas chcieć? Dlaczego chciałyby nas zabić? To nie ma sensu.

Mina otworzyła skórzaną księgę na stronie z drzewem genealogicznym i wręczyła ją Arturowi. Powiodła palcem od imienia Elżbiety Batory do Władcy III Draculi. Nie widziała potrzeby tłumaczyć mu całej historii, miała nadzieję, że ten jeden fakt wystarczy.

- i Elżbieta byli spokrewnieni. Był jej kuzynem.

Nagle wszystko stało się dla niego jasne. Przybyła, by pomścić jego śmierć. Nie miało już znaczenia, co Mina myśli o Draculi ani czy go pragnie. Hrabina winiła ich wszystkich za śmierć członka rodziny. Mina i Artur byli po tej samej stronie barykady. Musiał jej zaufać, ale wolał zachować umiar.

- Musimy się natychmiast skontaktować z van Helsingiem - rzekł.

- Próbowałam. Nie odpowiada na moje telegramy.

Już miał opowiedzieć jej o konfrontacji Quinceya ze starym profesorem, gdy nagle uświadomił sobie ponurą rzecz. Wykrzyknął:

- Basarab!

Twarz Miny spopieliała.

- Co powiedziałeś?

Artur wcisnął Minie listy do ręki, wskazując na podpisy.

- Jack współpracował z Basarabem, żeby odnaleźć Kubę Rozpruwacza.

- Jeśli hrabina wiedziała o Jacku i zabiła go - wykrzyknęła Mina, czytając list - z pewnością wie i o Basarabie!

Na widok paniki w jej oczach Arturowi niemal zrobiło się jej żal. Musieli działać.

- Quincey planował spotkać się z Basarabem na próbie, dziś wieczorem, o wpół do siódmej.

Mina rzuciła okiem na zegar stojący na kominku.

- Ostatni pociąg do Londynu odjeżdża z Exeter za dwadzieścia minut. Po winniśmy dotrzeć na Waterloo dziesięć minut po szóstej. Nie mamy czasu do stracenia. Quincey jest w niebezpieczeństwie!

Pobiegła na górę, w czasie gdy Artur udał się do hallu po swój kapelusz, płaszcz i laskę.

Mina wróciła po chwili, niosąc torebkę oraz coś, co wyglądało jak katana.

- Na co się tak gapisz? Jak dobrze wiesz, potrafię o siebie zadbać.

Artur uznał jej komentarz za wysoce niestosowny. Mina nigdy nie potrafiła przystosować się do swojej roli w społeczeństwie. W żaden sposób nie można jej było nazwać damą. Nie znał innej równie irytującej kobiety. Kto wie, co tam roi się w tej głowie? Wierzył Minie, miał jednak swoje wątpliwości. Była przekonująca, to fakt, i miała na ręku bandaże. Z drugiej strony nie widział żadnych innych śladów walki. Jeśli hrabina Batory rzeczywiście ją napadła, czy na pewno doszło do walki? Jeśli nie, alternatywa była co najmniej przerażająca. i Mina mogli uknuć spisek, by zwabić go w pułapkę.

Powinien się pilnować, by nigdy nie stanąć do Miny Harker plecami. W każdym razie musi sam porozmawiać z Basarabem.

Gdy spieszyli do drzwi, podbiegł do nich Manning.

- Jak dobrze, że jeszcze panią zastałem. Właśnie przybył ten telegram. Kolejne kondolencje...

- Dziękuję - rzekła Mina, łapiąc w locie telegram, po czym wrzuciła go do torebki i wyszła.

Rozdział XXXVII



alon gazu uniósł się w górę i wyrwał się z ust Hamiltona Deanea w postaci głośnego beknięcia. Stojący obok pracownik teatru spojrział na niego spod oka.

Od udaru Stokera Deane cierpiał na dolegliwości żołądkowe, a że na głowę zważyło mu się mnóstwo spraw związanych z teatrem, nie miał nawet czasu na to, by jakoś im zaradzić. Im więcej problemów, tym bardziej buntował się jego organizm.

Deane był w pełni świadomy, w jakie bagno się wpakował. Nie posiadał praw do *Draculi* i w razie śmierci Stokera musiałby je negocjować z despotyczną panią Stoker. Na samą tę myśl włos mu się jeżył na głowie. Do tego musiał ciągle uspokajać sponsorów, a to był początek długiej listy problemów.

Basarab mnożył wymyślne żądania. Zażyczył sobie zastąpienia dekoracji ruchomą wielopoziomową konstrukcją, która miała się przekształcać z zamku w Transylwanii w zakład w Whitby, a potem w opactwo Carfax. Na skutek tego majster zrezygnował z pracy i Deane sam musiał doglądać robotników. Z powodu choroby Stokera sztuka została bez reżysera. Deane zakładał, że to on go zastąpi. Basarab miał jednak inną wizję i sam wziął na siebie tę rolę, nie konsultując się z nim. Choć był wściekły, nie miał odwagi stanąć twarzą w twarz z ekscentrycznym aktorem. Może było to irracjonalne, ale obawiał się, że może skończyć jak Stoker.

Był głodny i przemęczony, do pierwszej próby została niecała godzina, a od problemów, które zwały się na barki, bolały go i głowa, i żołądek. Na każdym kroku ktoś czegoś od niego chciał. Garderobiana wyszła od Basaraba cała we łzach, sponsorzy domagali się, by informować ich o wszystkim na bieżąco, a prasa dopominała się o wywiady. Do teatru chyłkiem starali się wdrzeć wielbiciel Basaraba, by choć przelotnie ujrzeć swego idola. Deane przekonał się już, że praca w teatrze nie jest tak wspaniała, jak mu się wydawało, gdy zawierał tę feralną umowę ze Stokerem.

Jeszcze przed szóstą, pół godziny przed planowanym rozpoczęciem próby, w teatrze stawiała się już większość zespołu. Nie było to nic niezwykłego - na początku pracy nad spektaklem wszyscy mieli w sobie mnóstwo entuzjazmu i energii. Aktorzy potworzyli na widowni hałaśliwe grupy i zajęli się przekazywaniem najnowszych plotek z teatralnego światka.

W tym czasie Deane próbował przeprowadzić rozmowę z oświetleniowcem. „Próbował”, bo nie był w stanie zrozumieć ani słowa z tego, co mówił ów ulokowany w kabinie na tyłach teatru szkocki inżynier, który bawił się właśnie swoimi nowymi kosztownymi zabawkami. Szkot pracował nad oświetleniem do aktu pierwszego. Próbował oddać blask księżyca świecącego nad Transylwanią, używając nowej lampy Kliegla, model numer 5. Deane stwierdził, że światło to jest za mocne jak na gotycką nocną scenę, i kazał mu je przyćmić. Szkot pokiwał głową, ale gdy Deane się oddalił, światło znów przybrało na intensywności. Także i problemy żołądkowe Deanea.

- Nie tak jasno, idioto! - ryknął producent głośno, by przekrzyczeć gwar rozmów na widowni. Wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. Deane poczuł niemiły ścisk w żołądku. Zdał sobie sprawę, że zaczyna tracić nad sobą kontrolę i zachowywać się jak kanalia. Już miał obrócić swój wybuch w żart, kiedy przypomniał sobie sytuację z Harkerem. Strach był skuteczniejszy od szacunku. Oświetleniowiec z miejsca wykonał jego polecenie, jednak w pośpiechu po mylił się i zmienił światła na niebieskie.

- Niebieskie?! Nie, nie, nie! Więcej czerwieni! Ile razy mam ci powtarzać? W tej scenie opowiada o bohaterskich dniach wojny! Światło musi być czerwone!

Usłyszał na widowni zbiorowe westchnienie, a potem głos:

- A co pan wie o wojnie, panie Deane?

Zesztywniał. Dotarło do niego, że to nie jego autorytet ani lęk przed nim wywołał poruszenie na widowni, ale pojawienie się Basaraba.

Gwar rozmów ucichł, wszyscy wpatrywali się w aktora z prawdziwą nabożnością, czekając na następane jego słowo. Basarab wyglądał imponująco. Ubrany był w czarno-złotą satynową szatę z ciągnącym się trenem i niósł przed sobą połyskujący w blasku światel pałasz, jak gdyby był on lekki jak piórko.

To Deane pełnił obowiązki dyrektora, producenta i - tymczasem - zastępcy reżysera, a Basarab, o tej porze, był na scenie nieproszonym gościem. Odparł z wściekłością:



- Co wiem o wojnie? Oczywiście nie tyle co pan.

Nagle umilkł, poczuwszy ostrze pałasza Basaraba na gardle. Nie drewnianej atrapy, używanej przez aktorów ze względów bezpieczeństwa, lecz prawdziwej stali.

- Bitwy, panie Deane, nie da się odtworzyć na scenie zwykłą grą światła - rzekł Basarab zimno. W jego głosie wyczuwało się gniew. - Miecz zaciśnie ty w dłoni, żądza krwi tętniąca w żyłach i zalewająca wojownika dzika radość, gdy odbiera się wrogowi życie - to właśnie jest bitwa. Walka jest sztuką, panie Deane. Sztuką dla sztuki, której dzisiejszy świat zupełnie zapomniał.

Gniew Basaraba ustąpił miejsca melancholii. Deane miał wrażenie, że ten człowiek naprawdę wierzy w brednie, które opowiada.

Gdy opuścił broń, Deane sięgnął do gardła, ale nie znalazł ani śladu krwi. Czy to kwestia szczęścia, czy też niezwykłych umiejętności Basaraba? W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że aktor jest niespełna rozumu.

Nagle główne drzwi otworzyły się z hukiem. Wszyscy na widowni odwrócili głowy. Ich oczom ukazał się kolejny nieproszony gość. Deane, by mu się lepiej przyjrzeć, zasłonił oczy przed ostrym światłem padającym ze sceny. Któż śmie tak bezczelnie przerywać mu próbę?

Gdy intruz wyłonił się z cienia, Deane uświadomił sobie, że to kobieta. Była olśniewająca. Miała kruczoczarne włosy, które kontrastowały z gładką śnieżnobiałą skórą. Jednakże jej naturalne piękno przyćmiewał fakt, że była ubrana jak mężczyzna. Deane uznał za wysoce niestosowne, by kobieta nosiła spodnie.

Kobieta zaczęła klaskać i krzyknęła z sarkazmem:

- Brawo, brawo! Co za niezwykły występ, strofy prawdziwie godne Szekspira!

Odwróciła się w stronę grupy młodych aktorek. Uchyliwszy kapelusza, uśmiechnęła się do nich znacząco.

- Dobry wieczór paniom.

Deane uznał, że tego już za wiele. Może i jest zbyt słaby, by przeciwstawić się Basarabowi, ale bezczelność tej kobiety nie ujdzie jej płazem. Ruszył w jej stronę.

- Za pozwoleniem, nie wiem, kim pani, do diabła, jest, ale to jest zamknięta próba...

Basarab błyskawicznie zagroził mu drogę. Wycedził przez zęby:

- Ostrzegam pana, panie Deane, lepiej, by nie zamienił pan więcej słowa z tą diablicą.

Deane zerknął na kobietę, która rzuciła mu mrozące krew w żyłach spojrzenie. Odwrócił się w stronę aktora. Śmiertelna powaga malująca się na jego obliczu jeszcze bardziej go zdezorientowała.

Basarab z kamienną twarzą odwrócił się w stronę kobiety. Odpowiedziała mu nienawistnym uśmiechem. Deane mógłby się założyć, że tych dwoje łączy jakaś nieprzyjemna historia.

- Spodziewałem się ciebie, hrabino - rzekł Basarab.

- W starym porzekadle jest wiele prawdy - rzekła zagadkowo. Podeszła bliżej sceny, stukając laską o podłogę. Pokręciła głową, jakby nie wierzyła własnym oczom. - Czas rzeczywiście zdaje się leczyć rany.

- Niektóre rany są zbyt głębokie, by się zagoić.

Basarab ledwo panował nad przepełnionym wściekłością głosem.

Kobieta wybuchnęła śmiechem. Była szczerze rozbawiona.

- Nie zmęczyły cię jeszcze te tanie słowne gierki?

- Może wolisz poważniejszą rozrywkę? - odparł Basarab, potrząsając pałaszem.

Kobieta wyprężyła się jak żmija gotowa do ataku.

- Jasne, czemu nie? - mruknęła, a jej oczy załśniły na myśl o czekającej ją walce. - Dopiero finałowe pojedynki są prawdziwie ekscytujące.

Podczas krótkiego postoju w Salisbury Artur wyskoczył na peron i podbiegł do jednej z postawionych niedawno budek telefonicznych. Zapłacił dyżurnemu i podał swój londyński numer. W tym czasie rozległ się pierwszy gwizd lokomotywy. Po uzyskaniu połączenia mężczyzna wręczył mu słuchawkę i Artur zamknął się w drewnianej budce.

- Proszę zajmować miejsca w wagonach! - wykrzyknął zawiadowca.

Mając nadzieję, że bez niego nie odjadą, Artur szybko rzucił Wentworthowi polecenie, by powóz czekał na niego na stacji Waterloo dziesięć po szóstej, zgodnie z rozkładem jazdy pociągu.

- Nie spóźnij się! - krzyknął na koniec.

Zabrzmiał ostatni gwizdek. Nie troszcząc się o wręczenie napiwku ani o odłożenie słuchawki, Artur popędził do pociągu, który powoli ruszał z miejsca, i dopadł go w ostatniej chwili.

Stado kóz, które weszło na tory w pobliżu Basingstoke, opóźniło pociąg, który przez to dojechał na stację Waterloo kwadrans po szóstej. Na domiar złego

od ponad dwunastu lat dworzec był w ciągłej przebudowie i teraz oto wejście od strony północno-wschodniej okazało się zabarykadowane. Artur i Mina zmuszeni byli więc skierować się w stronę wyjścia południowego i zatoczyć pętlę do miejsca, gdzie czekał na nich powóz. A czas naglił. Quincey powinien dotrzeć na próbę za pięć minut, a ich od teatru dzieliło przynajmniej dziesięć minut drogi.

Artur, jak przystało na dżentelmena, otworzył przed Miną drzwi do powozu i podał jej rękę. Odmówiła i zaczęła sama wspinać się do środka. No tak, zapomniał już, że jej niezależna natura uważa takie gesty za obrazę. Jednak nadepnąwszy sobie na rąbek spódnicy, Mina omal się nie przewróciła, a torebka oraz zawinięta w szal broń wypadły jej z rąk. Portfel, klucze i telegram, który wręczył jej Manning, wysypały się na chodnik. Artur uśmiechnął się do siebie. Masz za swoje - pomyślał. Mina schyliła się, by je pozbierać, ale Artur, poirytowany, chwycił ją w tali i wepchnął do środka. Nie mieli czasu na zabawę. Szybko podniósł jej rzeczy i wskoczył do powozu.

- Stangret! Galopem! - zakrzyknął.

Oślupiały stwierdził, że Mina siedzi na tylnym siedzeniu, zmuszając go, by zajął przednie. Co za kobieta! Niepisane prawa cywilizowanego społeczeństwa głosiły, że tylne miejsce zarezerwowane jest dla mężczyzn. A do tego nienawidził jechać tyłem do kierunku jazdy.

Powóz ruszył ostro, ale dla zniecierpliwionego Artura - niewystarczająco szybko. Wychylił się przez okno i uderzył w dach laską.

- Szybciej, człowieku, szybciej! - krzyknął.

Mina przewróciła oczami.

- Artur, uspokój się. Musimy zachować zimną krew.

Poczuł się urażony jej protekcyjnym tonem. Odnosiła się do niego, jakby był dzieckiem, które zjadło zbyt dużo słodczy. Zdenerwowany, cisnął rzeczami, które wypadły jej z torebki.

Wyczuwając jego zaciętrzewienie, Mina, być może po raz pierwszy w życiu, stwierdziła, że lepiej trzymać język za zębami. Zebrała wszystko i ułożyła obok siebie na siedzeniu, potem odwróciła się od niego i otworzyła telegram, by mieć pretekst do ignorowania współpasażera.

Nagle jęknęła przerażona i spojrzała na Artura ze łzami w oczach. Otworzyła usta, ale nie była w stanie wymówić ani słowa. Dopiero po chwili wyrzuciła z siebie drżącym głosem:

- Van Helsing przyjechał do Londynu. Twierdzi, że został zaatakowany w hotelowym pokoju przez... - Urwała. Imię uwięzło jej w gardle.

Tyle lat znał Minę, a chyba po raz pierwszy widział, jak traci głos.

- Przez kogo, do diabła?

- Przez Draculę.

- Wiedziałem! - wykrzyknął Artur triumfalnie i wyrwał jej telegram, by zobaczyć te słowa na własne oczy. Chciał dowodu. I oto miał go w ręku.

- Van Helsing prosi, byśmy natychmiast do niego przybyli - wyszeptała Mina. Siedziała z zastygłą twarzą i rękami złożonymi tak, jakby dalej trzymała w nich telegram.

Dla Artura czas nagle wstrzymał swój bieg. Jego świat zaczął drżeć w posadach. Pierwszy raz od dwudziestu pięciu lat poczuł autentyczny strach. Po chwili wróciły spokój i odwaga. Lucy nie była już tak odległa, a zbliżającą się śmierć witał z otwartymi ramionami. Zawsze widział wewnętrzny porządek w chaosie bitwy. Na wojnie świat był prosty. Dobro albo zło, czarne albo białe. Przeżyć albo zginąć. Zabić lub zostać zabitym. W czasach pokoju czuł się zagubiony w morzu szarości. Dopiero wojna dawała mu poczucie ładu. Szykował się do bitwy.

Wystawił głowę przez okno i warknął na woźnicę:

- Szybciej, do diabła!

Opadł na siedzenie z uśmiechem na ustach i uczuciem radosnego podniecenia. Wiedział, że Mina nie podziela jego entuzjazmu. Była pogrążona w rozmyślaniach. Był ciekaw, o czym tak intensywnie myśli. żył. Było więc prawie pewne, że to on zamordował Jonathana. Kiedyś uległa jego czarowi, teraz musiała żyć ze świadomością, że dawny kochanek zamordował jej męża. I jeszcze ta hrabina, która zdaniem Miny była jej prawdziwym wrogiem. Czy i Elżbieta Batory współpracowali ze sobą? Czy ta kobieta w ogóle istniała? Miał wiele pytań, ale jednej rzeczy był pewien. Śmierć już na nich czekała.

Z dziennikami Sewarda i stertą dowodów w rękach inspektor Cotford przemknął niczym burza między rzędami znudzonych policjantów siedzących przy biurkach. Cały poczerwieniał ze złości, prychnął i fukał, był przy tym świadomy, że zachowuje się jak dziecko w ataku złości, lecz czy nie miał do tego prawa? Odrzucono jego hipotezy i ochrzczono je mianem „steku bzdur” zakwestionowano

zarówno jego profesjonalizm, jak i zdrowie psychiczne. Żaden z kolegów nie rzucił mu nawet współczującego spojrzenia. Ich, podobnie jak sądu, nie interesowały zbrodnie z przeszłości.

Cotford rzucił dokumenty na biurko. Jego interesowały.

- Cholerne głąby! Tchórze! „Nie ma sensu odgrzebywać spraw sprzed lat” też mi coś!

Wyjął piersiówkę i ostudził swój gniew kilkoma łykami whisky. Tylko wtedy go zauważano. Gdy stary, gruby, stuknięty Cotford łamał kolejny punkt regulaminu, pijąc na służbie.

Lee podszedł do niego i położył rękę na piersiówce, powstrzymując go przed kolejnym łykiem.

- Inspektorze, proszę. Nie na oczach wszystkich.

- Prokuratura odmówiła wydania nakazu aresztowania van Helsinga i Godalminga! - rzekł rozwścieczony Cotford. - „Zapiski szalonego morfinisty nie są wystarczającym dowodem - przedrzeźniał głosy swoich zwierzchników. - Potrzebujemy czegoś więcej”!

Lee wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Nie tak dawno obiecał mu, że będzie przy nim, dopóki inspektor będzie miał rację. Szefostwo Scotland Yardu jasno dało do zrozumienia, że ma na ten temat inne zdanie. Zapewne Huntley będzie składał zeznanie w tej sprawie. W ten sposób Cotford nie tylko zrujnował swoją karierę, ale i nadszarpnął jego reputację.

- Idę do domu, sir - odparł oschle. - Muszę porozmawiać z żoną. Obawiam się, że konsekwencje naszych przygód nie będą dla mnie miłe.

Cotford opadł ciężko na krzesło, starając się oszacować skutki swoich czynów. To już koniec. Ta sprawa wyciągnie na światło dzienne przeszłość i jego historia znowu trafi do prasy. Dostanie naganę za narażenie na szwank dobrego imienia Scotland Yardu. Przyśpieszona emerytura była nieunikniona.

- Pieprzyć ich! - zaklął Cotford, sięgając znowu po piersiówkę.

- A, byłbym zapomniiał - rzekł Lee chłodno, wyciągając z kieszeni kopertę zaadresowaną czerwonym atramentem. - To przyszło poranną pocztą. Bez adresu zwrotnego. - Wręczył Cotfordowi list i opuścił biuro.

- Zapewne liścik miłosny od tajemniczej wielbicielki - mruknął Cotford z przekąsem.

Policjanci przy biurkach wrócili do swojej pracy. Cotford rozdarł kopertę i otworzył list. Lecz jeszcze zanim przeczytał pierwsze słowo, rozpo-

znał pismo. Choć tak właściwie te krwawe gryzmoły trudno było nazwać pismem.

Czuł, jakby cofnął się w czasie o ćwierć wieku. Serce tłukło mu się w piersi jak oszalałe. A jednak miał rację!

Poderwał się z krzesła i wybiegł z pokoju, wołając sierżanta Lee. Złapał go w połowie schodów. Był tak podekscytowany, że dopiero po chwili udało mu się wyrzucić z siebie:

- To od niego! Dwadzieścia pięć lat temu też pisał listy. Kpiąc sobie z Aberberline'a. Kpiąc sobie ze mnie. Raz przysłał list umazany krwią jednej z ofiar, by udowodnić, że to rzeczywiście on. - Cotford uniósł kopertę. - To jest to samo pismo, ten sam podpis i sposób adresowania! To on! Udało nam się, sierżancie! Wywabiliśmy go z kryjówki!

Lee spoglądał zdziwiony na Cotforda, który cieszył się jak wariat. Inspektor wcisnął mu list do ręki.

- No co się tak gapisz? Czytaj!

Sierżant podszedł sceptycznie do tych rewelacji.

- Najprawdopodobniej to jakiś dowcipniś, który wiedział o oryginalnych listach Rozpruwacza i próbuje się pod niego podszywać - rzekł.

Ale Cotford i na to miał argument.

- To niemożliwe. Wiadomość o tym, że odgrzaliśmy tę sprawę, nie prze dostała się jeszcze do prasy. Do dzisiejszego ranka nikt poza nami o niczym nie wiedział. A ten list musiał zostać wysłany kilka dni temu.

Przygaszona twarz sierżanta nagle się ożywiła. Musiał przyznać inspektorowi rację.

Otworzył list i zaczął czytać:

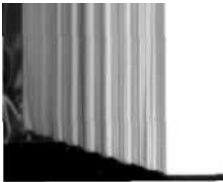
*Drogi Panie,
odpowiedzi, których Pan szuka, są w posiadaniu Quinceya
Harkera. Znajdzie go Pan w środę wieczór w teatrze Lyceum.
Wtedy wszystko się wyjaśni.*

Pozdrowienia z piekła.


Lee podniósł wzrok na Cotforda. -
To dziś!

Cotford znowu się uśmiechnął. A zatem odzyskał partnera. Nie wiedział, jakie były zamiary jego przeciwnika, ale chociaż udało mu się nawiązać z nim kontakt - po raz pierwszy od ćwierćwiecza. Tym razem się nie pomyli i nie pozwoli, by morderca mu się wymknął. Niezależnie od tego, jak się to wszystko ułoży, dziś wieczorem nastąpi koniec tej historii.

- Sierzancie Lee, proszę zebrać ludzi.



Rozdział XXXVIII

ekwizytoria na zapleczu teatru była idealnym miejscem do przeprowadzenia decydującej bitwy. Był to słabo oświetlony labirynt kostiumów i dekoracji sięgających od podłogi do sufitu. Z każdego kąta ' dochodziło syczenie lamp gazowych. Elektryczne światła unowocześniały jedynie obszary teatru przeznaczone dla widowni. Pracownikom odmawiano takich luksusów. Między rzędami wieszaków na kostiumy i półek na rekwizyty migotały długie cienie.

Elżbieta Batory czekała ukryta w mroku, uśmiechając się do siebie. Ależ on był przewidywalny. Wydawało mu się, że Bóg jest po jego stronie. Kroczył pewnie naprzód, odważnie dzierżąc przed sobą pałasz. Nie bał się, a powinien. Tak jakby nie wiedział, że Bóg odpłaca za lojalność męczeńską śmiercią. A więc chodź do mnie - pomyślała. - Chodź i giń.

Hrabina uwielbiała grę w kotka i myszkę. Widziała koniec ostrza i wzrok Basaraba szukający jej między kostiumami. Nie był dla niej godnym przeciwnikiem. Żaden mężczyzna nie był. Jeśli nawet Bóg nie mógł jej zabić, to jaką szansę miał Basarab?

Nagle przeciwnik natarł ostro, przewracając jeden z wieszaków, ale hrabina zdążyła już uciec. Była nadludzko szybka.

- Skoro uważasz, że jesteś taka potężna, wyjdź z ukrycia i stań twarzą w twarz do walki, więdźmo! - ryknął Basarab.

Och, ta gra była cudowna. Lecz jeszcze nie pora. Najpierw trzeba wyrównać rachunki.

- A czy to ja ciebie szukałam? - odezwała się drwiąco z ciemności. - Tak łatwo cię rozgryźć. Zaślepiają cię próżność i arogancja. Ty naprawdę wierzysz, że pomimo wszystkich twych win Bóg i tak jest po twojej stronie.

Basarab śledził jej ruchy, czekając na odpowiednią okazję, by uderzyć.

- Miałem nadzieję, że uda mi się ciebie ocalić. Wyciągnąć z ciemności, w której sama się zanurzyłaś.

Hrabina przystanęła. Podniosła głowę i wyjrzała znad półek.

- Ślubowałeś być mi towarzyszem. Stać u mego boku.

Zauważyła, że Basarab się wzdrygnął. Rany z przeszłości najwyraźniej się nie zagoiły. Przemówił tak szczerze, że hrabina niemal uwierzyła w jego słowa:

- Tak, byłem kiedyś na tyle głupi, by sądzić, że możemy działać razem. Był moment, że naprawdę cię kochałem.

- Wiedziałeś, że to nie ma szans.

- Sama postanowiłaś wystąpić przeciwko boskim i ludzkim prawom.

- Ach, to dlatego chciałeś mnie zabić. - Po tych słowach wampirzyca znów skryła się w ciemności. Pobawi się jeszcze trochę.

Basarab podniósł pałasz i rozłupał nim drewnianą półkę w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się hrabina. Natarł wściekle, przewracając regały i rozrzucając rekwizyty.

- Gdy ujrzałem, jakie zło zaległo się w twojej duszy, nie miałem innego wyboru!

Elżbieta Batory pojawiła się na przeciwległym końcu rekwizytorni, naprzeciwko Basaraba. Spodziewał się, że hrabina teraz uderzy, ale dla niej ta gra była zbyt wyborna, by kończyć ją tak szybko.

- Twój Bóg zabrał mi wszystko, co było mi drogie. Jego wyznawcy ścigali mnie za uczucia, których nie mogę kontrolować. Dlaczego zabraniasz mi się na nich mścić? Zejdź mi wreszcie z drogi.

Basarab opuścił pałasz, gotów pokojowo zakończyć tę konfrontację.

- Wracaj na Węgry. Zostaw w spokoju Quinceya, jego rodzinę i przyjaciół.

Zrobił krok w jej stronę. Hrabina cofnęła się i wyszeptala z ciemności:

- Gdy nakłaniałeś Sewarda i jego przyjaciół, by weszli mi w drogę, powinieneś był przewidzieć, że spłynie ona ich krwią.

Skoro Basarab tak kochał grę, postanowiła zaserwować mu jej trochę na koniec. Hrabina wciągnęła powietrze i napinając ciało, siłą woli sprawiła, że na jej skórze pojawił się krwawy pot. Cofnęła się do kąta przy lampie. Basarab był dezorientowany. Wiedział, że ukryła się przed nim, i czuł jej intensywny zapach.

Zaryzykował i rzucił się do ataku.

- Jeśli nie skończysz z tym bezsensownym zabijaniem, zniszczę cię!

- Już raz upozorowałeś własną śmierć, by uciec przed moim gniewem! - rzekła hrabina i uśmiechnęła się. Pora na finał. - Teraz naprawdę umrzesz.

Współczucie, jakie zachował dla niej, miało okazać się zgubne. Zobaczyła panikę w jego oczach, gdy uświadomił sobie, że wpadł w sidła czarnej wdowy. Może na razie się wycofała, ale to na niego czeka śmierć. Jak cudownie.

Oczy hrabiny pociemniały. Rozchyliła usta i obnażyła kły, warcząc przy tym dziko. Basarab zamierzył się pałaszem, ale nie uderzył odpowiednio szybko. Hrabina wybiła się do góry i wylądowała za plecami Basaraba, rzucając w jego kierunku zapaloną lampę. Pod jego stopami buchnęły płomienie. Tren satynowej szaty zajął się ogniem. Gdy zorientował się, że jego ubranie płonie, krzyknął przerażony. Snop iskier uleciał w powietrze i padł na kostiumy, które zajęły się w mgnieniu oka. Po chwili całe pomieszczenie stanęło w płomieniach. Basarab padł z krzykiem na podłogę, starając się ugasić ogień.

Hrabina zaśmiała się i spokojnie otworzyła drzwi. Zatem i ten rachunek został wyrównany. Pora iść dalej.

Artur Holmwood mógł winić tylko siebie. Parę lat wcześniej rada miasta zwróciła się do niego o datkę na generalny remont mostu Waterloo. Artur jednak odmówił. Uważał, że ponoszenie kosztów naprawy mostu nie ma nic wspólnego z działalnością filantropijną i powinno być finansowane z funduszy publicznych. Na remont zabrakło pieniędzy i rada sukcesywnie zaczęła ograniczać dostęp do mostu. Co jakiś czas zamykano go w celu wykonania doraźnych robót konserwacyjnych i kolejny ich etap trwał właśnie dziś. Choć teatr Lyceum znajdował się zaledwie parę kroków od drugiego końca mostu Waterloo, powóz Holmwooda, wraz z tłumem ludzi, którzy również opuścili dworzec, zmuszony był do objazdu przez most Westminsterki.

Gdy tylko przejechali przez most, stangret skręcił w prawo na Victoria Embankment i ruszył w kierunku Wellington Street, przy której znajdował się teatr. Ogiery pędziły bez wytchnienia. Już mieli skręcić w Savoy Street, która prowadziła ich prosto do teatru, gdy okazało się, że niedawno zrobiono z niej ulicę jednokierunkową. Przejechali więc dalej na wschód pod mostem Waterloo, minęli Kings College i skręcili w uliczkę wiodącą na północ, w stronę Strand. Zamiast dojechać do Lyceum w dziesięć minut, wlekli się pół godziny. Nawet Mina straciła cierpliwość. Wiedziała już, że nie mają szans dotrzeć do teatru przed Quinceyem.

Coraz wyraźniej dobiegał ich gwar. Hałas dochodził z Wellington Street, a tam właśnie był Quincey. Świadomość tego obudziła w nich najgorsze lęki. Artur zastukał łaską w sufit. W odpowiedzi stangret popędził konie, ale to nie uspokoiło Miny.

Już mieli skręcić w Wellington Street, kiedy zza rogu wypadł pędzący prosto na nich czarny powóz bez woźnicy.

Stangret ściągnął wodze z całej siły. Konie zarżały przeraźliwie. Siła zderzenia przewróciła oba powozy i wyrzuciła mężczyznę w powietrze.

Artur zdążył jeszcze usłyszeć trzask, a potem nastąpiła ciemność.

Wzdłuż Wellington Street biegali ludzie z wiadrami wody. Powozy próbowały jak najszybciej wydostać się z pułapki, ale tłumy gapiów torowały im drogę. Powietrze było gęste od krzyków i czarnego popiołu.

Gdy Quincey przedarł się wreszcie przez tłum, jego oczom ukazał się trawiony pożarem teatr. Języki ognia wydostawały się przez okna. Część dachu zapadła się ze strasznym hukiem. Piekielna czerwonopomarańczowa łuna rozświetlała nocne niebo nad Londynem. Z płonącego teatru, dusząc się i krztusząc, wypadali ludzie. Mieli osmalone ubrania, a ich twarze pokryte były sadzą, niektórzy byli dotkliwie poparzeni. Quincey gapił się oniemiały, kiedy nagle dostrzegł chudą postać Hamiltona Deane'a wytaczającego się spomiędzy zasłony dymu. Chłopak podbiegł do niego i chwycił go kurczowo za ramiona.

- Panie Deane! Co się stało?

- Przyjechała jakaś kobieta, hrabina... - wyrzucił z siebie Deane. - Basarab razem z nią poszedł za kulisy... a potem... były już tylko płomienie... wszędzie.

- Basarab! - Chłopak potrząsnął Deaneem, by wydobyć z niego więcej informacji. - Wie pan, czy udało mu się wydostać?

- Nie jestem pewien... ale nie sądzę. - Quincey odsunął go i ruszył w stronę teatru. Deane krzyknął za nim: - Quincey, nie! To samobójstwo!

Chłopak już był na schodach, kiedy powstrzymał go żar bijący ze środka. Chciał uratować człowieka, który był mu bliższy niż ojciec, swojego przyjaciela i mistrza. Z drugiej strony pragnął także odnaleźć tego, który go wykorzystał, okłamał i zawiódł jego zaufanie. Nie miało znaczenia, która motywacja była silniejsza, wiedział jedno: musi za wszelką cenę ocalić Basaraba. Odwrócił twarz od płomieni, wziął głęboki oddech, po czym wpadł w sam środek piekła.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętała Mina, zanim straciła przytomność, był głośny trzask i uczucie, że ktoś na nią pada. Gdy oprzytomniała, zobaczyła stojącego nad sobą Artura.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Chyba tak. W każdym razie żyję - odrzekła. Artur podał jej rękę. Tym rażeni przyjęła ją, nie traktując tego gestu jako upokarzającej demonstracji męskiej siły. Z jego pomocą wydostała się przez okno i uwolniła z przewróconego powozu. Jej długa suknia utrudniała całe zadanie.

- Usłyszałam jakiś trzask. Złamałeś sobie coś?

Artur wskazał na swoją laskę. Leżała na bruku przełamana na pół.

Nagle dosłyszeli jęk i spojrzeli w stronę leżącego w kałuży krwi stangreta. Natychmiast ruszyli mu na pomoc. Okazało się, że złamana kość nogi przebiła mu skórę, a z otwartej rany obficie płynie krew.

- O Boże! Może mieć uszkodzoną tętnicę. - Mina jęknęła, po czym sięgnęła po szal i ciasno związała nim nogę powyżej rany, by zatamować upływ krwi. Kiedy zauważyła, że Artur jej nie pomaga, uznała to za dowód jego pychy i arogancji - najwyraźniej stwierdził, że osobie jego stanu nie godzi się kalać rąk po mocą służącemu. Podniosła głowę, by go zgromić, lecz natychmiast pożałowała swej pochopnej oceny. Artur bowiem pobiegł, by wezwać pomoc, a przy okazji sprawdzić, co się dzieje na Wellington Street.

- Pali się! - krzyknął nagle. - Wygląda na to, że płonie Lyceum!

Oboje pomyśleli o tym samym: ten pożar nie może być przypadkiem.

- Biegnij! - odezwała się Mina. - Znajdź Quinceya. Ja się zajmę tym nie szczęślikiem.

Holmwood w milczeniu skinął głową i zniknął za rogiem Wellington Street.

Mina zacieśniła prowizoryczną opaskę na nodze rannego. Chciała pobiec za Arturem, ale nie mogła przecież zostawić człowieka w tym stanie. Dostrzegła ludzi, którzy z okien przyglądali się wypadkowi.

- Czy ktoś mógłby mi pomóc? - krzyknęła. - Mam tu ciężko rannego, który potrzebuje lekarza!

Ludzie natychmiast cofnęli się w głąb mieszkań i zaczęli zamykać okiennice. Tak, lubili się gapić na tragedię, ale nie chcieli się w nic angażować. Nie miała wyjścia. Syn był dla niej najważniejszy. Zostawiła rannego i podążyła w ślad za Arturem.

Gdy mijała czarno-złoty powóz, drzwi otworzyły się nagle. Mignęły jej przed oczami ciemne włosy, jasna skóra, czarne oczy i białe ostre kły. W ułamku sekundy zorientowała się, że zaatakowała ją kobieta... i że kobieta ta jest wampirem.

Rozdział XXXIX

Artur przedzierał się przez tłum. Gryzący dym kazał mu mrużyć oczy. Im mocniej parł do przodu, tym bardziej go odpychała ludzka fala. Czuł się tak, jakby szedł przez ruchome piaski. Sytuacja była beznadziejna.

Nagle masa gapiów rozstała się, by zrobić miejsce trzem konnym wozom strażackim. Artur podążał tuż za kawalkadą, która torowała sobie drogę przez morze ludzi. U podnóża schodów zrobiło się zbiegowisko. Gawiedź jak zahipnotyzowana obserwowała tańczące języki ognia.

- Z drogi! Ruszać się! - krzyczał Artur, idąc tuż za dwoma strażakami. Żar był nie do wytrzymania. Jeśli jeszcze ktoś znajdował się w środku, nie miał szans na przeżycie. Przez pęknięte okna widać było walące się ściany. Strażacy nie próbowali nawet dostać się do wnętrza. Pilnowali, by sąsiednie budynki nie zajęły się ogniem, i polewali je wodą. To już nie była akcja ratunkowa. Teatr był zgubiony.

Artur przedarł się wreszcie pod same schody, wszedł po kilku stopniach, by mieć lepszy widok na zgromadzony przed teatrem tłum, i zaczął szukać wzrokiem Quinceya. Miał nadzieję, że chłopak nie zdążył wejść do środka, a jeśli nawet, to że udało mu się na czas wydostać.

Nagle ujrzał niskiego kościstego człowieka pokrytego sadzą i popiołem, który przedzierał się w stronę strażaków.

- Quincey Harker jest w środku! - krzyczał Hamilton Deane. - Błagam, musicie mu pomóc!

Strażak odepchnął go i rzekł:

- Jeśli to prawda, to już dawno po nim.

Serce Artura zamarło. Poczul się zupełnie bezsilny, a dla człowieka czy-
nu nie ma nic gorszego. Tak samo bezradnie przyglądał się śmierci Lucy, a po-
tem Quinceya P. Morrisa. Nie - powiedział sobie. Nie tym razem. Nie będzie
stał beczynnym w obliczu kolejnej tragedii. Powziąwszy decyzję, ruszył w górę
po schodach. Lecz gdy próbował wejść do środka, natychmiast dosięgły go pło-
mien, zmuszając do wycofania.

Strażak krzyknął za nim:

- Stój! Rozum ci odjęło?

Płomienie na chwilę się cofnęły i Artur zrobił jeszcze kilka kroków naprzód. Miał wrażenie, że się roztapia. Już chciał przekroczyć próg, gdy szalące płomienie i piekielny żar odepchnęły go z powrotem. Czuł się, jakby stał u wrót piekła.

Zrozpaczony, zaczął krzyczeć:

- Quincey!

Z każdym oddechem Quincey miał wrażenie, że ogień wypala mu płuca. Dym gryzł go w oczy. Ale jakimś cudem dalej był w stanie oddychać. Osłonił twarz przed płomieniami i przedzierał się w stronę kulis.

- Panie Basarab! Gdzie pan jest? Niech się pan odezwie!

Kopnięciem otworzył drzwi wiodące za kulisy. Siła ognistego podmuchu przewróciła go na plecy. Wydostające się stamtąd płomienie pobiegły do sufitu, który natychmiast stanął w ogniu. Nagle rozległ się głośny dźwięk. To szalący ogień pochłaniał tlen. Quincey wiedział, że znalazł się w trzewiach bestii i za chwilę zostanie strawiony. Przedzierając się pod kłębam dymu, dotarł do następnych drzwi. Przywarł całym ciałem do ściany i dotknął klamki. Oparzony, natychmiast cofnął rękę i krzyknął z bólu. Drzwi jęknęły, a drewno zaczęło się rozszerzać pod wpływem temperatury. Quincey w ostatniej chwili osłonił twarz. Drzwi wyleciały z zawiasów i pękły na pół, a płomienie wystrzeliły kulą ognia na korytarz. Dalsze poszukiwania nie miały sensu. Cały budynek trzeszczał i drżał w posadach, lada moment mógł runąć. Jeśli Quincey chciał przeżyć, musiał natychmiast stamtąd uciekać.

Już miał się rzucić do ucieczki, kiedy coś go powstrzymało. Przez kłęby dymu dostrzegł uwiecznione pod gruzami ciało. W osmalonej ręce ofiara wciąż ścisnęła pałasz.

- Basarab! - krzyknął Quincey i nie zważając na piekielny żar, wskoczył do środka. Spalona twarz aktora była teraz nie do poznania. Gdyby chociaż wybiegł na korytarz, mógł liczyć na ocalenie. Teraz, wraz z jego śmiercią, odpowie dzi, których szukał Quincey, na zawsze miały pozostać zagadką.

Kim mogła być hrabina, o której wspomniał Deane? Quinceyowi nie przyszło łatwo opłakanie ojca. A teraz, chociaż Basarab go okłamał, łzy same napływały mu do oczu. W najczarniejszych wizjach nie byłby w stanie przewidzieć, że

jego pojedynek z Draculą będzie miał tak straszliwe konsekwencje. Dym dławił go i oślepił, tak samo jak i lzy.

Nagle usłyszał niepokojący trzask i zanim zdążył zareagować, sufit runął mu na głowę. Chłopak nie miał szansy uciec przed opadającymi ciężkimi belkami. Poczul ostry ból. Jedna z nich przygniotła mu pierś.

I tak oto został pogrzebany pod gruzami.

Ciemnowłosa Kobieta w Bieli wyskoczyła z powozu. Twarz miała wykrzywioną dzikim grymasem, a jej czarne oczy i wyszczerzone białe kły błyszczały złowrogo. Z całej siły uderzyła Minę w pierś. Obie przewróciły się na ziemię.

Nikt na Wellington Street nie interesował się tym, co dzieje się w przyległych uliczkach. Uwaga wszystkich skierowana była na płonący teatr. Mina była zdana sama na siebie. Wampirzyca zawyla triumfalnie, szponiastymi dłońmi odepchnęła jej głowę do tyłu, obnażając szyję. Potem usiadła na niej, przyciskając Minę do ziemi. Ta starała się wyrwać, ale jej przeciwniczka była zbyt silna.

- Moja pani przesyła ci wyrazy dozgonnej miłości - wymruczała, zbliżając kły do gardła Miny.

Ta jednak wiedziała, jak wygląda pocałunek wampira. Bestia chciała rozszarpać jej gardło.

- Nie! - wykrzyknęła. Po tym wszystkim, co przeszła, nie zamierzała umierać w ten sposób.

Odezwał się w niej pierwotny instynkt przetrwania. Jej nowo odkryta moc, która do tej pory pozostawała w uśpieniu, nagle się przebudziła. Bestia która drzemała w jej krwi, krwi Draculi, miała powstać. Jej serce zaczęło bić niezwykle szybko, a skażona krew zawrzała, dodając mięśniom niezwyklej siły i prędkości. Zanim wampirzyca zdołała rozplatać jej szyję, Mina zepchnęła ją z siebie. Kobieta w Bieli przeleciała szerokim łukiem, uderzyła w uliczną latarnię, po czym runęła na bruk z głuchym łoskotem. Człowiek nie przeżyłby takiego upadku. Latarnia, pod wpływem zderzenia, przełamała się na pół i spadła na wampirzycę, przygniatając ją swoim ciężarem.

Mina spoglądała na swoje ręce z niedowierzaniem.

Podniosła wzrok w chwili, gdy wampirzyca uniosła metalową latarnię tak lekko, jak gdyby była to zwykła ułamana gałąź drzewa, i rzuciła nią w Minę. Ta zrobiła błyskawiczny unik, po czym ruszyła w stronę powozu Artura, gdzie zostawiła swoją broń.

Gdy tylko chwyciła katanę i przygotowała się do ataku, wampirzyca zagroziła jej drogę. Mina zaatakowała. Kobieta w Bieli zalała się krwią.

Celowałam przecież w głowę, nie w korpus - pomyślała i raz jeszcze zamachnęła się mieczem. Słysząc było świst przecinanego w pędzie powietrza, gdy ostrze zbliżało się do szyi wampirzycy.

Ze zwierzęcym skowytom bestia wyciągnęła rękę, by zablokować cios. Ostrze ześlizgnęło się po kości. Wampirzyca chwyciła zakrwawioną katanę i złamała ją na pół. Mina poczuła, jak broń wyslizguje się z jej palców, a ona traci równowagę. Szarpnięcie było tak mocne, że gdy w końcu zatrzymała się na kole powozu, to roztrzaskało się na kawałki. Żelazna oś uderzyła ją w plecy. Mina na chwilę straciła dech w piersiach i osunęła się ciężko na ziemię.

- Walczysz jak mężczyzna - wy dyszała wampirzyca. - Myślałam, że ksiązę wybrał sobie bardziej uległą kobietę.

Mina odzyskała wreszcie oddech.

- Nie wszystkie kobiety są niewolnicami tych, których kochają.

Urażona wampirzyca zawyla dziko. Skoczyła na Minę z tak niewiarygodną szybkością, że jej postać rozmazała się Minie przed oczami.

A wtedy w jej umyśle pojawił się obraz jej księcia. Słyszała tylko jedno słowo:

-Walcz!

W tym samym momencie, w którym dopadła ją wampirzyca, Mina poczuła, że traci kontrolę nad swoim ciałem. Tak jakby krew Draculi płynąca w jej żyłach sama odpowiadała na rozkazy swego pana. Chwyciła złamaną łaskę Artura i wyciągnęła ją przed siebie. Ruchy wampirzycy były tak szybkie, że nawet nie była w stanie ich zarejestrować.

Kobieta w Bieli nacierała z impetem. Już nie mogła się zatrzymać i nadziała się na prowizoryczną włócznię, która przebiła jej serce. Lodowata krew trysnęła Minie na twarz i ręce. Uczucie chłodu wywołało dreszcze. Triumfalny okrzyk wampirzycy przerodził się w agonalne wycie.

Umierając, zdumiona spojrzała na Minę i wychrypiała:

-Ale jak...?

- Twoja pani cię nie ostrzegła? Jestem dziwką Draculi! - rzekła Mina szyderczo, po czym obróciła wampirzycę w powietrzu i rzuciła jej ciałem o najbliższy budynek z taką siłą, że tynk odpadł od ścian. Ciemnowłosa wampirzyca osunęła się na ziemię. Na zawsze zamknęła oczy, a jej twarz odzyskała ludzkie rysy.

uratował jej życie, lecz przecież odpowiadał za śmierć jej przyjaciela i ukochanego męża. Targały nią sprzeczne uczucia. Gdy wróciwszy na miejsce wypadku, zastała stangreta martwego, pomyślała, że może gdzieś głęboko w środku jest takim samym mordercą jak .

Krzyki i bicie dzwonów na Wellington Street przerwały jej rozmyślenia. Quincey! Szybko wyprzęgła jednego z koni. Do diabła z etykietą! Podniosła spódnicę, przerzuciła nogę przez koński grzbiet i usiadła na nim okrakiem. Chwytnąjąc się kurczowo grzywy, uderzyła obcasami w boki ogiera i ruszyła galopem w stronę teatru. Torowała sobie drogę przez ogarnięty paniką tłum. Wciąż kierował nią instynkt, nie miała więc litości dla tych, którzy stanęli jej na drodze i byli nie dość szybcy, by uniknąć końskich kopyt. Gdy zbliżali się do płonącego teatru, koń stanął dęba, jednak Mina trzymała się go na tyle mocno, że nie spadła. wciąż nad nią czuwał. Wreszcie dotarła pod schody. Ale było już za późno. Ogień przedarł się przez dach, wyrzucając w powietrze snop iskier, które rozświetlały noc.

Nagle jej wzrok padł na kilku strażaków, którzy szamotali się z jakimś mężczyzną. Rozpoznała go od razu.

- Artur!

Holmwood odsunął ich i podszedł do niej chwiejnym krokiem. Pokręcił głową. W oczach miał łzy. Był zrezygnowany. Widziała go w takim stanie tylko raz. Jej serce zadrżało.

- Co się stało? Gdzie jest mój syn?!

Artur nie znał lęku. Ale teraz nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

Łamiącym się głosem rzekł:

- Mino, tak mi przykro. Quincey nie żyje.

Rozdział XL

1 **A** **istnieje** większa tragedia dla rodzica, niż przeżyć własne dziecko. Artur Holmwood nie miał potomstwa, nie musiał się więc obawiać, że kiedykolwiek przekona się o prawdziwości tego stwierdzenia. Teraz spoglądał bezradnie na Minę, która stała bez ruchu otępiała, jakby uszło z niej całe życie. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w płonący budynek. Mimo całej niechęci, jaką do niej żywił, nigdy jej nie życzył takiej tragedii. Polubił Quinceya, bardziej nawet, niż był w stanie sam się do tego przyznać. Chłopak był lekkomyślny, ale on był taki sam w jego wieku. Miał nadzieję, że życie oszczędzi mu losu, jaki spotkał jego ojca i Jacka. Losu, który stał się udziałem Lucy i który z pewnością czekał ich wszystkich.

Strażacy zaczęli odpychać tłum, który w nabożnej ciszy wpatrywał się w ogień. Zaprzestali polewania budynku, zwinęli węże. Pozostało już tylko czekać na nieunikniony koniec.

Artur na żądanie strażaka chwycił wodze i odsunął na bok konia, na którym siedziała Mina, tak by nie stała jej się krzywda. Naszła go nagle niepokojąca myśl. Czy byłaby zdolna, by z rozpaczyci rzucić się w ogień? Obserwował ją kątem oka, próbując odgadnąć jej zamiary. Ale chyba niepotrzebnie się martwił. Wyglądało na to, że wróciło w nią życie.

Gdy oddalili się kilka kroków, Mina nagle wskazała na wejście i krzyknęła:
- Quincey!

Był pewien, że to desperacja przywiodła ją do szaleństwa. Ale spojrzawszy w tamtą stronę, na własne oczy przekonał się, że Mina ma rację. Spomiędzy ścian ognia chwiejnym krokiem wyszedł Quincey Harker i lawirując między gruzami, zmierzał w kierunku wyjścia. Od strony dachu rozległy się głośne trzaski pękającego drewna. Na murach teatru pojawiły się rysy. Budynek zapadał się. Mina przerażona zeskoczyła z konia. Artur rzucił się do schodów, dobiegając do wejścia w tym samym czasie co Quincey. Chłopak cały był pokryty sadzą

i tak oszołomiony, że zupełnie nie zdawał sobie sprawy, co się wokół niego dzieje. Płaszcz na nim płonął.

Artur chwycił go za rękaw.

- Uciekaj! - krzyknął i pociągnął chłopaka za sobą. Od kolumn zaczęły od padać duże fragmenty gipsu. Artur pchnął Quinceya, a potem sam skoczył za nim. Uratowali się w ostatniej chwili. Budynek runął, a tłum jęknął z przerażenia. Gęsta chmura czarnego smolistego dymu buchnęła w niebo. Jedyne grecka fa sada teatru wciąż stała.

Mina przyskoczyła do syna, by ugasić na nim płonący płaszcz. Rozdarła mu rękaw, szukając oparzeń.

- Quincey, jesteś ranny?!

Chłopak cały się trząsł. Nie odpowiedział, lecz nie musiał. Na jego skórze nie było ani zadrapania.

Artur pokręcił głową z niedowierzaniem. Widział w swoim życiu wiele ofiar bitew i wojennej pożogi, ale nigdy nie spotkał się z niczym podobnym. To nie było szczęście. To był cud.

Nagle z tłumu wybiegł mężczyzna z torbą lekarską i ruszył w ich stronę. Wkrótce dołączyli do niego przejeżdżający strażacy. Mina spojrzała na Artura z paniką w oczach. Nie mogli zobaczyć Quinceya z bliska.

Artur ruszył naprzód i zagroził im drogę.

- Stać! Proszę się zatrzymać!

Mężczyźni przystanęli. Artur odwrócił się w stronę Mina i Quinceya i wykrzyknął:

- Musimy stąd uciekać!

Quincey miał łzy w oczach.

- Basarab... On nie żyje.

Nie było czasu na opłakiwanie. Holmwood doskoczył do niego, a gdy pomagał mu podnieść się na nogi, usłyszał westchnienie. Najbliżej stojący dostrzegli już, że chłopak uszedł z pożaru bez szwanku. Artur za wszelką cenę chciał uniknąć sensacji. Odciągnął Quinceya na bok, podczas gdy Mina wróciła po konia. Gawiedz nie była w stanie wytłumaczyć sobie tego niezwykłego ocalenia, ale on tak. Mina zyskała wieczną młodość po wypiciu krwi Draculi. Krążyła ona w jej ciele, gdy Quincey dojrzewał w łonie matki. Krew wampira płynęła zatem i w jego żyłach.

Oddalili się od tłumu i ruszyli w górę ulicy. Po raz pierwszy Artur ujrzał w mroku promyk nadziei. popełnił pierwszy taktyczny błąd. Jego krew

dała Quinceyowi umiejętność regeneracji, a możliwe, że chłopak posiadał też nadludzką siłę. Tym samym bezwiednie dostarczył swoim przeciwnikom potężną broń, której mogli użyć przeciwko niemu.

Cotford zaklął pod nosem. Ponieważ straż pożarną na Waterloo zamknięto dwa lata temu, jednostka przy Scotland Yardzie cierpiała na nadmiar obowiązków. Gdy dwa wozy policyjne próbowały przedrzeć się przez Whitehall, w stronę Strand, woźnica ciągle musiał ustępować drogi strażakom. Pożar, do którego jechali, był naprawdę ogromny. Miało się wrażenie, jakby cały Londyn wyległ z domów, by oglądać to widowisko. Pełne strażaków i gapiów ulice były niemal nieprzejezdne. A oni, wraz z Lee oraz kilkoma uzbrojonymi policjantami, którzy do nich dołączyli, by dojechać na spotkanie z Kubą Rozpruwaczem, musieli jakoś dostać się do teatru Lyceum.

Zniecierpliwiony Cotford wyrzwał przez okno i zobaczył, że drugi z powozów także utknął w tłumie. Krzyknął na tłoczących się gapiów:

- Z drogi! Ruszać się!

Siedzący obok niego Lee poszedł za jego przykładem i wychylił się z drugiej strony.

- Policja, z drogi!

Cotford zaklął jeszcze siarczyściej, gdy dojechali do mostu Waterloo i okazało się, że zamknięto go z powodu remontu - znowu! Wykrzyczał do woźnicy:

- Skręć w prawo w King William Street. Pojedziemy przez St Martin, mi niemy tłum i w ten sposób nadrobimy drogi.

Ogarnęła go bezsilność i poczucie, że niepowtarzalna szansa wymyka mu się z rąk. To samo czuł dwadzieścia pięć lat temu, gdy pozwolił uciec Kubie Rozpruwaczowi. Jeśli tego wieczoru coś pójdzie nie tak, okazja, by wyrównać z nim rachunki, może się już nie powtórzyć.

Obserwując Quinceya, który szedł wsparty na ramieniu Artura, Mina z trudem powstrzymywała łzy. Tak bardzo pragnęła przytulić syna, pocieszyć go, tak jak to robiła przez całe jego życie. Dzisiaj prawie go straciła, a mimo to nie była w stanie w pełni wyrazić swoich emocji.

- Myślałem, że mogę ci ufać - warknął Quincey na Artura. - Co ona tu robi?

Tego było za wiele. Mina skoczyła do niego i potrząsnęła nim.

- Nie wolno ci tak mówić. Wciąż jestem twoją matką. I nie zmienisz tego Ani tego, że cię kocham.

- Nie mamy czasu na rodzinne kłótnie. - Holmwood zareagował stanowczo. - Musimy znaleźć van Helsinga. I to szybko!

Quincey miał zamiar zaprotestować, lecz Artur popchnął go do przodu, zmuszając do przeciskania się przez tłum. Już i tak zmarnowali dużo czasu, kierując się na Wellington Street, ale nie było innej drogi. Skrzyżowanie było zablokowane przez wozy strażackie i gapiów. Przedzieranie się przez to zbiegowisko przypominało wiosłowanie pod prąd rzeki. Musieli zawrócić i przejść raz jeszcze obok teatru. Spłoszony ogier o mały włos nie zrzucił Miny z grzbietu. Holmwood zerwał sobie z szyi krawat i przewiązał zwierzęciu oczy, mocno ściskając uprząż. Kierowali się na północ. Quincey podsumowywał zdobyte informacje.

- Chcesz powiedzieć, że to hrabina wywołała pożar, by zabić Basaraba? - spytał Artur.

Chłopak skinął głową.

Artur rzucił Minie ostre spojrzenie. Wiedziała doskonale, co ma na myśli. Pojawienie się hrabiny Batory, śmierć Jonathana i Jacka, do tego telegram od van Helsinga - to mogło znaczyć tylko jedno: żyje i wrócił do Anglii. Druga możliwość była jeszcze bardziej przerażająca. Zna sekret, który tak długo przed nim ukrywała, i wrócił, by wyrównać rachunki. Był gotów sięgnąć po najsroższe środki, nawet jeśli miało to znaczyć alians z hrabiną i pozbycie się jej.

- O co chodzi? - zapytał Quincey, widząc jej zaniepokojenie.

- wrócił. Jest tutaj, w Londynie...

- Mino Harker! Arturze Holmwood! - usłyszeli za plecami znajomy, za barwiony irlandzkim akcentem głos: - Stać!

Mina zobaczyła dwa wozy policyjne zbliżające się Tavistock Street. Z jednego wysiadł Cotford, a zaraz za nim Lee.

- Zostajecie zatrzymani w celu przesłuchania - krzyknął sierżant. - Proszę się nie ruszać!

Za nimi z powozu wyłoniła się reszta policjantów. Podążali za sierżantem Lee, który korzystając ze swej postury, torował sobie drogę przez tłum.

Nie mieli chwili do stracenia. Mina popchnęła syna w stronę Artura i wykrzyknęła:

- Bierzcie konia!

Tłum powoli ustępował miejsca policji. Artur szybko wskoczył na koński grzbiet, ściągnając przepaskę z oczu zwierzęcia. Quincey stał nieruchomo zdezorientowany.

- Co to? Co się tutaj dzieje?!

Holmwood chwycił go za kołnierz i podciągnął na konia.

- Łapcie ich! - krzyknął Cotford. - Nie pozwólcie im uciec!

Artur wyjął z kieszeni pistolet i wystrzelił w powietrze. Tłum wydał okrzyk przerażenia, a potem gapie rzucili się w popłochu do ucieczki. Jeden z policjantów wyciągnął strzelbę i zatrzymał palec na spuście. Lee podbił lufę w powietrze, krzycząc:

- Nie strzelaj do tłumu, idioto!

Artur ponownie wystrzelił.

- Oszalał pan? - krzyknął Quincey.

- Owszem. I to wiele lat temu - odparł Artur z szelmowskim uśmiechem, po czym spiął konia i zakrzyknął: - Ha!

Koń zarżał dziko, wierzgnął kopytami i ruszył przed siebie galopem w kierunku Bow Street.

- Stać! - wrzeszczał Cotford. Wyciągnął pistolet i skierował lufę w stronę Quinceya. Teraz, gdy tłum się rozproszył, miał możliwość oddania czystego strzału. Z wyrazu jego twarzy można było mniemać, że ma zamiar nacisnąć spust.

- Nie! Nie mojego syna!

Mina podbiegła i stanęła między policjantem a uciekającym Quinceyem.

- A niech to diabli! - zaklął Cotford. - Za nimi! - rozkazał podwładnym.

Dwóch policjantów zaczęło biec za uciekinierami, pozostali rzucili się w stronę najbliższego powozu.

Inspektor powstrzymał Pricea i innego młodego konstabla, Marrowa.

- Poczekajcie! Wy dwaj zostajecie ze mną.

Jego gniew skupił się na Minie.

- Dziękujemy pani za pomoc w identyfikacji zbiega. Dokąd jadą?

Mina zebrała się w sobie.

- Nie mam zielonego pojęcia. A tak właściwie, czego pan chce od mojego syna?

Inspektor skrzywił się i już szykował do przemowy, kiedy ich uszu dobiegł przesywający krzyk. Wszyscy zwrócili wzrok w stronę biegnącej kobiety.

- Morderstwo! Morderstwo! - krzyczała.

Chwilę później Cotford, Price i Marrow, wraz z Miną, którą zabrali ze sobą, znaleźli się w bocznej uliczce, w miejscu gdzie rozbił się powóz Holmwooda.

Tej nocy Londyn miał długo nie zapomnieć. Widowiskowy pożar, cudowne ocalenie, a teraz morderstwo w centrum miasta, i to tak nietypowe - ofiara z przebitym sercem. Cotford obejrzał łaskę, która wystawała groteskowo z zakrwawionej piersi kobiety.

Inspektor zwrócił się w stronę tłumu i triumfującym głosem obwieścił:

- Na broni, której użył morderca, widnieje herb rodziny Holmwoodów. - Chwycił Minę za płaszcz, ukazując wszystkim jej pochłapane krwią ubranie, po czym zwrócił się do niej: - Byłaby pani tak łaskawa wyjaśnić nam, skąd na pani tyle krwi?

- Mój syn został ranny w pożarze.

- Sir, proszę spojrzeć na to - wykrzyknął Price, podnosząc z ziemi zakrwawioną kataną.

Cotford przekazał Minę w ręce konstabla Marrowa i zaczął przyglądać się złamanemu ostrzu. „Jonathanowi Harkerowi - w imię przyjaźni angielsko-japońskiej, 30 stycznia 1902 roku” brzmiała inskrypcja na broni.

- Jak miło z pani strony, że użyła broni z wygrawerowanym nazwiskiem męża.

Mina już zamierzała odpowiedzieć, gdy uświadomiła sobie, że właściwie nie dysponuje żadnym racjonalnym wyjaśnieniem.

- Nie musi pani nic tłumaczyć - rzekł Cotford, uśmiechając się. - Zbadamy pani krew i mogę się założyć, że krew pobrana z narzędzia zbrodni potwierdzi pani winę. Zamordowała pani tę kobietę. - Cotford odwrócił się do konstabla Marrowa i nakazał: - Sprowadźcie koronera. Tym razem nie ma żadnych wątpliwości. Osobiście dopatrzę poszukiwania dalszych dowodów.

Z całych sił Mina starała się nie okazać zdenerwowania, uświadomiła sobie jednak, że za tę sprawę może już wkrótce zapłacić głową.

Hrabina Elżbieta Batory stała na szczycie pokrytej patyną kopuły budynku naprzeciwko ruin teatru Lyceum. Wędrujący w górę dym niósł ze sobą odurzający zapach palonego ludzkiego mięsa. Ze swej bezpiecznej kryjówki obserwowała ruchy uczestników jej wielkiej gry. Artur Holmwood i ów chłopak poświęcili kobietę, by zapewnić sobie ucieczkę. Dżentelmeni. Inspektor Cotford chwycił przynętę. Wszystko układało się po jej myśli. Zdumiewała ją prostota ludz-



kiego umysłu. Jak łatwo można było nim manipulować... Nic dziwnego, że Bóg wybrał sobie właśnie ludzi i wyniósł ich ponad inne stworzenia.

Wybuchnęła nagle dzikim, niepohamowanym śmiechem. O tak, bez wątpienia była istotą wyższą. Jeszcze tej nocy zakończy swą grę. Przegrani stracą życie, a ona odniesie kolejne zwycięstwo nad Bogiem. Nie musiała się martwić o własne przetrwanie. Bez wątpienia to ona była najsilniejsza.

Spojrzała na płonące ruiny teatru, rozkoszując się zwycięstwem nad Basarabem.

- Dobranoc, mój słodki książę.

Po tych słowach odwróciła się i zniknęła w ciemności. Tej nocy czekało ją mnóstwo pracy.

Rozdział XLI

Quincey kurczowo trzymał się Artura Holmwooda, ale niezależnie od tego, jak mocno go obejmował, i tak ledwo mógł utrzymać się na koniu. Gdy minęli wóz strażaków, jeden z nich pociągnął za dzwonek, żeby zaalarmować policję. Artur ściągnął lejce i błyskawicznie zmienił kierunek jazdy. Quincey o mało nie spadł z konia. Opuściła go cała odwaga. W niczym nie przypominał bohatera walczącego ze złym demonem. Znad ramienia Artura ujrzał nadjeżdżający z naprzeciwka policyjny samochód. Holmwood znowu szarpnął lejce. Wierzchowiec skręcił i pogalopował przez Alexandra Gate w kierunku Hyde Parku. To było świetne posunięcie. Samochód nie miał szans przejechać przez wąski Buck Hill Walk. A więc jednak technologia ma swoje ograniczenia.

Zatrzymali się przy sztucznym stawie Serpentine i Quincey po raz pierwszy od dłuższego czasu miał okazję nieco rozluźnić zaciśnięte dłonie. Artur rozejrzał się po parku, obmyślając najlepszą drogę ucieczki.

- Musimy się stąd wydostać i dotrzeć do van Helsinga, a przy okazji nie dać się złapać.

- Ten szaleniec mi groził - warknął ze złością Quincey. - Wolę się od niego trzymać z daleka.

- Nie zachowuj się jak dziecko. Van Helsing jest nam potrzebny. W końcu przeżył spotkanie z Draculą.

- Ale jak do niego dotrzemy? Policja jest wszędzie. A my nawet nie wiemy, gdzie się ten wariat podziewa...

- Po przyjeździe do Londynu zamieszkał w Great Eastern Hotel. Odnajdziemy go dzięki temu tele... - Nagle usłyszał w oddali niepokojące odgłosy i za milki w pół słowa, wsłuchując się w dochodzące ich dźwięki.

Quinceya ogarnęło to samo niepokojące uczucie jak wtedy, gdy zawalił się dach w teatrze. Coś dziwnego i tajemniczego działo się z jego ciałem i umysłem, a on nie miał pojęcia, co to jest.

Na długo przed Arturem rozpoznał, co to za odgłosy. -

Psy!

- Ogary - dodał Artur zaraz potem.

Ku zdziwieniu Quinceya, zamiast puścić się galopem, Holmwood zsiadł z konia i pociągnął chłopaka za sobą.

- Co pan robi? Na nogach nie mamy szans!

- Koń może i jest szybki, lecz to płochliwe zwierzę. Na widok ujadających psów stanie dęba, a my wylądujemy na ziemi.

Artur krzyknął na konia, klepnął go w zad i zwierzę pogalopowało swobodnie przez park.

- Za mną - wyszeptał Artur i skierował się w stronę północnej granicy parku. Oderwał gałąź z najbliższego drzewa i idąc tyłem, zacierał ślady ich stóp, pozostawiając w ten sposób jedynie wiodące na wschód odciski końskich kopyt.

- Nasz zapach powędruje w dwóch kierunkach. W najlepszym wypadku opóźni to pościg, a w najgorszym - rozdzieli ich.

Quincey poczuł się jak mały chłopiec bawiący się w wojnę. Jaki był głupi, myśląc, że same chęci uczynią z niego wojownika. Podążał za Holmwoodem i był pod coraz większym wrażeniem jego niezwykłych umiejętności.

Po wyjściu z parku przeszli przez Bayswater Road, a potem przez Sussex Square w stronę stacji kolejowej na Paddington. Quincey nie był zaskoczony tym, że wejścia do niej były obstawione przez policję. Przechodząc przez Praed Street, podnieśli kołnierze. Słyszając dzwonek telefonu, jeden z konstabli na stacji otworzył kluczem niebieską budkę telefoniczną. Chłopak uświadomił sobie z bólem, że obecna technologia pozwala przekazywać wieści o pościgu szybciej, niż oni są w stanie uciekać.

Odległe ujadanie psów przerwało jego rozmyślenia. Gambit Artura okazał się nieskuteczny. Ogary wciąż były na ich tropie. Policjanci na stacji, poinformowani o ich ucieczce, rozglądali się teraz uważnie. Holmwood chwycił Quinceya za rękę. Minęli stację i skierowali się w stronę pobliskiego szpitala. Przed budynkiem stała grupka ludzi, zapewne rodziny pacjentów. Artur miał nadzieję, że zajęci swoimi problemami, nie zauważą dwóch prześlizgujących się między nimi zbiegów. Starali się iść w miarę wolnym i swobodnym krokiem, by nie budzić podejrzeń. Ujadanie psów sprawiło, że wszyscy odwrócili głowy. Quinceya ogarnęła panika. Miał ochotę rzucić się do ucieczki.

Artur wyczuł to. Chwycił go mocno i wyszeptał przez zaciśnięte zęby:

-Stój!

- Nie mamy szans przedostać się przez ulice! - odparł wściekle Quincey. - Policja jest wszędzie.

- Nie przejdziemy ulicami - wyjaśnił Artur z uśmiechem. - Ale pod nimi.

Quincey nagle stracił równowagę i przewrócił się. Mało brakowało, a jego twarz wylądowałaby w cuchnącej cieczy. Znajdował się przed wejściem do małego śmierdzącego kanału. Artur minął go i bez wahania wszedł do wody, po czym obejrzał się na Quinceya: chłopak miał zrobić to samo. Quincey spojrzał na cuchnące odchodami ścieki.

Ujadanie psów słychać było coraz bliżej.

Artur syknął:

- Ten smród zabije nasz zapach i psy zgubią trop. Wskakuj natychmiast!

Quincey zaczerpnął oddechu, zatkał palcami nos i podążył za Holmwoodem.

Myślał o tym, że mieli być bohaterami ścigającymi złoczyńców, a teraz umorusani ekskrementami, usiłowali umknąć psom.

Gdy za zakrętem odkryli porzuconą na brzegu drewnianą łódź, wyglądało na to, że wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście. Nie zastanawiając się długo, wpełnęli ją do wody i wskoczyli do środka. Artur chwycił za jedyne wiosło i zaczął wiosłować. Przy tunelu na Warwick skręcił w prawo. Quincey, który myślał, że płyną na zachód, odezwał się:

- Trzeba było skręcić w lewo.

Artur, urażony, że chłopak kwestionuje jego decyzje, spojrzał na niego gniewnie.

- Van Helsing pisze w swoim telegramie, że zaatakował go w jego własnym pokoju w Great Eastern Hotel. Następna linijka zawiera w sobie podpowiedź: „Renfield jest moim schronieniem w ogromnym domu patrona dzie ci, niedaleko królewskiego krzyża”. Z tego wniosek, że van Helsing wciąż jest w mieście.

Quinceya zupełnie to nie obchodziło. Położył rękę na wiosle, zatrzymując Holmwooda w pół ruchu.

- Powinniśmy stąd zniknąć, póki się da. Zawsze możemy wrócić za parę dni, gdy wszystko się uspokoi.

Oczy Artura zapłonęły dziwnym blaskiem, w którym oprócz odwagi malowało się coś jeszcze, jakiś błysk szaleństwa, który niemile przywiódł Quinceyowi na myśl spojrzenie van Helsinga.

Artur odepchnął jego rękę i wrócił do wiosłowania.

Nagle spod ławki, na której siedział, dobiegło bulgotanie. Stało się jasne, dlaczego porzucono łódkę - przeciekała. Cuchnąca woda wypełniała powoli dno. Quincey rozejrzał się wokół w poszukiwaniu wiadra, nie znalazł. Powstrzymując wymioty, zaczął wylewać wodę dłońmi. Na próżno.

Płynęli właśnie pod ulicami otaczającymi Regent's Park. Woda napełniała łódkę szybciej, niż Quincey był w stanie ją wylewać. Artur, choć wiosłował co sił, nie był z siebie zadowolony.

- Że też w Oksfordzie nie wybrałem drużyny wioślarskiej, tylko szer mierkę - mruknął pod nosem.

Woda sięgała im już powyżej kostek. Quincey zdał sobie sprawę, że mimo jego wysiłków łódka nie utrzyma się dłużej na powierzchni. Doszedłszy najwyraźniej do tych samych wniosków, Artur skierował się do wylotu kanału, a potem popłynął w kierunku gazowni. Tam porzucili przeciekającą łódź. Kierowali się na południe. Quinceyowi zrobiło się ciężko na sercu na widok unoszących się w nocne niebo kłębow dymu. Teatr wciąż się tlił i miał się dopalić dopiero za kilka dni. Wraz z Lyceum spłonęły wszystkie jego marzenia i aspiracje. Jego przyszłość runęła w gruzach razem z budynkiem. Nie będzie już producentem, a Basarab nigdy nie przemówi ze sceny. Na myśl o nim Quincey wzdrygnął się. Nie wiedział, czy ma opłakiwać, czy przeklinać swego mistrza. W jego głowie kłębiło się mnóstwo pytań, ale nie będzie mu już dane poznać na nie odpowiedzi. Był przegrany, i to w tak młodym wieku. Czuł się staro. Wiedział, że śmierć jest blisko.

Zorientował się, że Artur zmierza w stronę stacji kolejowej St Pancras. Postanowił przerwać panujące między nimi milczenie.

- Powiedział pan, że van Helsing ciągle jest w mieście - odezwał się.

- Jak już powiedziałem, w telegramie napisano: „w ogromnym domu patrona dzieci”. Van Helsing przeniósł się do Midland Grand Hotel, a ten znajduje się przy stacji St Pancras. Święty Pankracy jest patronem dzieci, do tego stacja umiejscowiona jest niedaleko Kings Cross, co można przetłumaczyć albo jako królewskie skrzyżowanie, albo właśnie jako królewski krzyż.

Quincey nie podzielał entuzjazmu Artura. I cóż z tego, że złamał szyfr van Helsinga? Żeby dostać się do hotelu, i tak musieli przedrzeć się przez stację kolejową pełną policyjnych patroli.

Gdy zbliżyli się do neogotyckiego hotelu, jego rozmiary i splendor zaparły Quinceyowi dech w piersiach. A do tego na tle nocnego nieba budynek wyglądał

złowieszczo i niepokojąco. Artur popchnął chłopaka za jedną z arkad, by ukryć się przed nadjeżdżającym wozem policyjnym. Z jego środka wyłonił się wysoki oficer w mundurze i podniósł do góry rysunek, by wszyscy policjanci mogli mu się przyjrzeć.

- Lee - mruknął Artur na jego widok.

Quincey musiał przyznać, że Lee ma do dyspozycji ich bardzo wierne podobizny. Pewnie było to dzieło jednego z ulicznych artystów pracujących na Strand, którzy za szylinga gotowi byli uwiecznić na papierze podobiznę każdego przechodnia.

Artur wyjął cygaro i rzucił Quinceyowi pudełko zapalek. Pochylił głowę i schował się za kolumnę. Quincey w lot pojął jego plan. Potarł zapalną ręką osłonił ją przed wiatrem. Policjanci, którzy dopiero co widzieli ich podobizny i przyglądali się każdemu z przechodniów, ich minęli bez słowa. Dwaj mężczyźni odwróceni, by spokojnie zapalić cygaro, nie budzili najmniejszych podejrzeń. Artur wypuścił dym i położył rękę na ramieniu Quinceya, by powstrzymać go przed pochopnym działaniem. Poczekali jeszcze chwilę, dopóki Lee nie wrócił do wozu i nie odjechał.

- nieźle nas urządził. Gdziekolwiek się ruszymy, czeka nas pułapka - wymruczał chłopak, zmierzając za Arturem w stronę głównego wejścia do hotelu. - Naprawdę myśli pan, że ten obłąkany staruszek może nas ocalić?

- Ocalić? - Artur przystanął w drzwiach i spojrzał na niego zdziwiony. - Dla mnie, gdy wreszcie zniszczę Draculę, nie ma to żadnego znaczenia. - To rzekłszy, odwrócił się i wkroczył do hotelowego hallu.

Rozdział XLII



spoczywa Bram Stoker, były impresario największego aktora wszech czasów sir Henryego Irvinga".

Stoker starał się wygnać z myśli ten obraz, ale za każdym razem gdy zamykał oczy, miał pod powiekami te słowa, które z pewnością zostaną wyryte na jego nagrobku. Kurtyna jego życia wkrótce opadnie, a bisów nie będzie. Los nie szczędził mu ironii nawet pod koniec. Rozpoczął życie jako przykute do łóżka dziecko i również ostatnie swoje dni spędził jako unieruchomiony starzec. Ze sparaliżowaną lewą stroną ciała stał się więźnikiem własnej fizyczności, nie mógł się ruszyć ani nawet sam jeść. Musiał znosić upokorzenia z powodu tego, że był kąpany i przewijany jak niemowlę. Całe życie szczylił się tym, że ciężko i uczciwie zarabia na chleb. Nie miał pojęcia, czym mógł obrazić Boga, że ten zesłał mu taki los. Tyle porażek w życiu musiało być karą za naprawdę ciężkie grzechy. Ze smutkiem myślał o tym, że bez jego nadzoru nad przedstawieniem sztuka okaże się kłapą, a wtedy jego powieść odejdzie w zapomnienie i będzie zbierać kurz na zapleczach księgarń. Wtedy to *Portret Doriana Graya* Oscara Wilde'a pozostanie największą gotycką powieścią swoich czasów.

Pomyślał, że gdzieś w niebie Irving zapewne śmieje się z niego. Spadek w postaci teatru nie miał być szansą na spełnienie marzeń, ale raczej policzkiem. Gdy Stoker osiągnie bramy raj, będzie w nich czekał - w towarzystwie kobiet i z butelką whisky w ręce - pijany Irving, po to by napawać się tym widokiem. Wiedział nawet, co od niego usłyszy: „A nie mówiłem? Jesteś kompletnym beztalenciem. Buchalter zawsze zostanie tylko buchalterem”.

Big Ben, znajdujący się zaledwie parę przecznic od jego domu, zaczął wybijać kolejną godzinę. Każde jego uderzenie zdawało się odliczać chwile, jakie pozostały mu do końca życia. Dziewięć uderzeń, dziewiąta godzina. Jego żona poszła już spać, pielęgniarzka też. Tej pory nienawidził najbardziej. Unieruchomiony, bez towarzystwa, złapany w pułapkę swoich myśli.

Nagle w pokoju zrobiło się przeraźliwie zimno. Czyżby zgasł ogień w piecu? Starał się podźwignąć na poduszkach i zawołać pielęgniarkę. Ale niestety, mógł tylko częściowo poruszać ustami.

Ledwo był w stanie przekręcić głowę na tyle, by ujrzeć, że cienie, które spowiadały pokój, powołane do życia przez blask księżyca sączący się przez rolety, zaczęły się poruszać. Stoker znowu chciał krzyknąć, jednak z jego na wpół sparaliżowanych ust wydobył się tylko bełkot.

Powiódł wzrokiem po sypialni w poszukiwaniu innej duszy przebywającej tu razem z nim. Nie dojrzał nikogo. Natężył słuch, by dosłyszeć jakiś szmer, ale na darmo. Dziwne drapanie sprawiło, że wstrzymał oddech. Najpierw pomyślał, że to mysz buszująca pod podłogą, lecz potem stwierdził, że brzmi to raczej jak rycie dłutem w drewnie. Bał się coraz bardziej. Teraz był już pewien, że ktoś jest z nim w pokoju. Nagle ogarnęło go wrażenie, że cienie odrywają się od ścian i zacierają w kierunku jego łóżka. Stoker złożył dłoń w pięść i z całej siły uderzył w zagłówek. Spoglądał w niedowierzaniu, jak jeden z cieni zaczyna przybierać ludzki kształt. Stoker był pewien, że to senny koszmar. Poluzował pasy, dzięki czemu mógł się obrócić na bok, i spróbował prawą ręką sięgnąć wózka inwalidzkiego, który stał przy łóżku. Jeśliby udało mu się na nim usiąść, być może zdołałby wydostać się z pokoju. Już miał dotknąć poręczy, gdy nagle usłyszał świst powietrza. Coś ciężkiego uderzyło go w pierś, przewracając z powrotem na plecy. Usłyszał warczenie, ale nie był w stanie stwierdzić, skąd dochodziło. Dźwięk dobiegał teraz ze wszystkich stron, jak gdyby sfora wilków otaczała jego łóżko. Czarny cień rzucił się naprzód i nakrył go. Był ciężki jak człowiek i przygniótł go mocno do łóżka. Stoker próbował bronić się resztkami sił.

Krzyknął, bo oto coś wkłuło mu się w szyję. Nie bolało go, ale czuł, że wysysano mu krew z ciała. Cień był żywy, on zaś miał wkrótce umrzeć.

Stoker zrozumiał, że popełnił straszliwy błąd. Szaleniec, którego spotkał wiele lat temu w barze, nie chciał go zabawić swoją pijacką opowieścią. Ten człowiek próbował go ostrzec. Wampiry naprawdę istnieją.

Po raz ostatni ujrział światło księżyca, gdy cień odsunął się od niego. Teraz już widział, co uderzyło go w pierś. Był to jego własny egzemplarz *Draculi*. Na okładce, wydrapane niczym pazurem dzikiej bestii, widniało słowo: „KLAMSTWA!”.

Rozdział XLIII

Quincey myślał, że nic nie zrobi na nim większego wrażenia niż katedra Notre Dame. Ale rozmiary i ostentacyjny przepych Midland Grand Hotel były oszałamiające. Zastanawiał się, co tu właściwie

robi - on, obdartus w cuchnącym i czarnym od sadzy ubraniu.

◆ Przywarł do zielonej marmurowej kolumny, jak gdyby chciał wtopić się w otoczenie i trzymać z dala od eleganckich gości przechadzających się po hallu.

W przeciwieństwie do niego, Artur ruszył dumnym, pewnym krokiem w stronę recepcji. Nie dbał o to, jak wygląda ani jak pachnie, nawet o to, że jego przemoczony buty zostawiają mokre ślady na pięknej marmurowej podłodze. Był w końcu Arturem Holmwoodem i żądał, by go szanowano. Do Artura podbiegł przejęty recepcjonista.

- Lord Godalming! Co za niezwykła wizyta! Gdybym wiedział o pana przybyciu, kazałabym sprowadzić dla pana krawca i pokojowego.

- Krawca? A na cóż mi on, na Boga? - zapytał Artur, nie dając się zbić z tropu.

- Mógłby przygotować dla pana garnitur w niecałe...

Artur przerwał mu gestem ręki.

- To nie będzie konieczne. Szukam tylko gościa o nazwisku Renfield.

„Renfield jest moim schronieniem”. Quincey wreszcie zrozumiał ukrytą w telegramie wskazówkę. Van Helsing zdradził im, gdzie się ukrywa. Może jednak zdecydował się im pomóc.

Nic dziwnego, że Midland Grand nie był już postrzegany jako najlepszy hotel w Londynie. Był rok 1912, a oni ciągle nie zdecydowali się na zainstalowanie windy. Jakby tego było mało, van Helsing, czy raczej pan Renfield, musiał wybrać pokój na samej górze. Niewątpliwie, by móc skorzystać z dachu jako potencjalnej drogi ucieczki.

Wspinaczka po wielkich krętych schodach wydawała się nie mieć końca. Holmwood szedł wytrwale, nie spoczął ani na moment. Quincey za to musiał już po raz drugi zrobić mały postój. Łapiąc oddech, spojrzął do góry, by przyrzyć się kobaltowemu sklepieniu usianemu złotymi gwiazdami. Miał wrażenie, jak gdyby te schody wiodły do nieba. Gdy dotarli na górę, w niszy na półpiętrze ujrzeli malowidło na płótnie przedstawiające świętego Jerzego zabijającego smoka. Quincey pomyślał, że to trafna metafora ich misji.

W połowie korytarza Artur zatrzymał się i rozejrzał, by się upewnić, że są sami. Spokojnym ruchem wyjął rewolwer i sprawdził, czy wszystkie komory są załadowane.

- Nie mamy pewności, że telegram rzeczywiście został wysłany przez van Helsinga. Lepiej być przygotowanym na wypadek, gdyby to była pułapka.

- Czy zgodnie z tym, co pisał Stoker, nie powinien pan mieć srebrnych kul? - zapytał Quincey.

- To nie ta bajka. - Artur uśmiechnął się pobłaźliwie. - Mylisz wszystko, tak samo jak Stoker. Srebrne kule są zarezerwowane dla wilkołaków, pa nie Harker.

Quincey nie podzielał jego rozbawienia. Jeśli to jest pułapka, grozi im teraz śmiertelne niebezpieczeństwo. Może i Artur nie dbał o życie, ale Quincey - tak. Holmwood podszedł do ostatnich drzwi i wyszeptał:

- To tu.

Chłopak już miał stanąć przed nimi i zapukać, kiedy Artur odciągnął go do tyłu. Wskazał na przestrzeń między podłogą a drzwiami. Quincey myślał, że spali się ze wstydu. Oczywiście. Gdy staną na wprost drzwi, osoba po drugiej stronie dojrzy ich cienie. Artur wskazał na framugę. Drzwi były otwarte i lekko uchylone - celowo. To nie wróżyło najlepiej.

Artur dał mu znak, żeby się przygotował.

Serce podchodziło Quinceyowi do gardła, ale mimo to kiwnął głową. Artur z prędkością błyskawicy pchnął drzwi i wskoczył do pokoju z uniesionym rewolwerem. W pokoju było ciemno. Światło z korytarza oświetlało jedynie połowę ogromnego apartamentu. Zasłony były zaciągnięte. Gdy Quincey popchnął za sobą drzwi, Artur wyszeptał gniewnie:

-Nie, zaczekaj!

Chłopak skoczył, by je zatrzymać, ale było już za późno. Zatrzasnęły się, odcinając ich od korytarza i zarazem jedyne źródła światła. Ogarnęły ich te-

* *f*

raz egipskie ciemności. Quincey przeklinał siebie w myślach. Kolejny idiotyczny błąd.

Podłoga po lewej stronie skrzypnęła pod ciężarem czyichś kroków. Zatem nie byli sami.

- Ostrzegam, mam rewolwer - odezwał się Artur.

Ponownie usłyszeli kroki, tym razem bliżej. Artur odwrócił się i uniósł broń, pociągając za siebie Quinceya.

Nagle z ciemności wyłoniła się ręka i dotknęła jego ramienia. Chłopak aż podskoczył, był tak przerażony.

Wokół nich, jakby ze wszystkich stron, rozległ się głęboki głos:

- Dobry wieczór, panowie.

Artur przygotował broń do strzału.

Rozdział XLIV



iorąc pod uwagę, ile czasu zajęło Cotfordowi dostanie się do teatru, nie powinien mieć pretensji do koronera, że zjawił się tak późno po ciału ostatniej ofiary. Nie chcąc ryzykować, że podczas sekcji zwłok mógłby coś przeoczyć, Cotford podążył za jego wozem do szpitala przy Carey Street, obok budynku sądu, gdzie miała zostać wykonana obdukcja. Siedzący w środku policyjnego wozu Cotford delectował się smakiem cygara. Gdy dym doleciał do siedzącej naprzeciwko Miny Harker, kobieta rzuciła mu gniewne spojrzenie. Cotford z satysfakcją dotknął rękojeści zakrwawionej katany, niepodważalnego dowodu winy. Wkrótce udowodni współudział Miny w morderstwie. Koronna Służba Prokuratorska domagała się więcej dowodów, zatem będzie je mieć. I nareszcie wszyscy przyznają mu rację.

Przejeżdżali właśnie niedaleko zaułka, w którym zaatakowano Jonathana Harkera i Kobiętę w Bieli. Cotford spojrzał na Minę ciekaw, czy jest tego świadoma, ale jej twarz, tak samo jak w kostnicy, nie zdradzała żadnych emocji. Czy była tak przebiegła, czy jednak niewinna? Intuicja mówiła mu, że to van Helsing odpowiedzialny jest za śmierć Jonathana Harkera. Pomyślał o połamanych dębowych skrzyniach. Było oczywiste, że van Helsing jest zbyt stary, by działać samemu. Zatem by wcielić w życie swoje zbrodnicze plany, musiał zwerbować nowych zwolenników. List od Kuby Rozpruwacza, napisany z pewnością przez szalonego profesora, nie pozostawiał wątpliwości, że Cjuincey jest kluczem do rozwiązania zagadki. Podczas śledztwa w sprawie zabójstwa Jonathana Harkera Cotford zebrał też kilka informacji na temat jego syna. Dowiedział się, że chłopak jest niespełnionym aktorem zmuszonym przez ojca do wstąpienia na Sorbonę. Ciekawe... Inspektor zdecydował się nawet ponieść osobiście koszty międzynarodowej rozmowy z Braithwaitem Lowerym, byłym współlokatorem Quinceya na Sorbonie. Braithwaite stwierdził, że młodemu Harkerowi brakuje piątej klepki i że nienawidzi ojca. W ostatniej rozmowie Quincey wyznał koledze, że poznał „kogoś niezwykłego” i że rzuca studia, by „podążać za

swoim nowym przeznaczeniem". Kilka dni później jego znienawidzony ojciec został nabity na pal na Piccadilly Circus. Im więcej Cotford dowiadywał się na temat młodego Harkera, tym bardziej był przekonany, że jest on współwinny nowej serii zbrodni van Helsinga.

Mógł się założyć, że tym „kimś wyjątkowym”, o kim mówił Quincey, jest nie kto inny jak sam Abraham van Helsing. Harker junior był tak łatwower-ny i podatny na wpływy, że pewnie dał się uwieść jego chorym naukom. Był do tego młody i sprawny fizycznie, a zapach krwi i podniecenie pierwszym mor-derstwem mogły dodać mu sił na tyle, że był w stanie rozbić dębowe skrzynie w zaułku. A przy tym nienawidził ojca do tego stopnia, że nie miałby oporów, by go brutalnie zamordować, co mogło być ostatnią próbą lojalności wobec van Helsinga. Wszystko pasowało do siebie idealnie. Cotford był pewien, że Koron-na Służba Prokuratorska się z tym zgodzi. Gdy skręcali we Fleet Street, wyjrzał przez okno na rysującą się na horyzoncie znajomą kopułę katedry Świętego Pawła wystającą sponad mgły, a potem spojrzał znowu na Minę Harker. Wciąż zachowywała kamienną twarz, on jednak wiedział, że już nie na długo. Prze-słucha ją, tym razem nie w tajemnicy, ale w majestacie prawa. Będzie bezlitosny. Przyciśnie ją do muru i nie odpuści, dopóki kobieta nie zdradzi kryjóWKi van Helsinga i nie opowie wszystkiego o jego zbrodniach.

PodjeRzewał od dawna, że aby przeprowadzić krwawe dzieło, profesor mu-siał zwerbować nowych zwolenników swoich okultystycznych praktyk. Dok-tor Seward, targany poczuciem winy, groził ujawnieniem jego zbrodni. Cot-ford przypuszczał, że to van Helsing prowadził czarny powóz, który potrafił Sewarda w Paryżu, pozbywając się w ten sposób pierwszego ze swoich daw-nych współników. Pozostali wtedy jeszcze Jonathan, Mina i lord Godalming. Nie ulegało wątpliwości, że van Helsing postanowił wyeliminować ich wszyst-kich jednego po drugim. Śmierć Jonathana znowu zjednoczyła pozostałą przy życiu dwójkę.

Przypuszczał, że to właśnie Quincey podłożył ogień w teatrze Lyceum. Być może była to nieudana próba zamordowania własnej matki oraz lorda Godal-minga. Doszedł do wniosku, że Quincey uciekł z Arturem, by móc go zabić z dala od świadków. Oby więc sierżant Lee odnalazł ich, póki Godalming jest jeszcze przy życiu. Wszystkie drogi ucieczki z miasta zostały zablokowane, za-tem było to tylko kwestią czasu. Nie można było też wykluczyć, że van Helsing wszystko ukartował - postanowił pozbyć się każdego ze swoich współników,

nawet tego najnowszego, a samemu znów umknąć sprawiedliwości. Wszystkie elementy układanki zaczynały do siebie pasować. Ta noc zatrze lata porażek. Nareszcie szale Temidy się zrównoważą. Tylko jednej rzeczy brakowało do jego zupełnego triumfu - samego van Helsinga.

Jadąc Fleet Street, konstabl Price ściągnął lejce. Przed nimi wylaniał się właśnie złowrogi posąg smoka. Mgła spowijała kolumnę, na której był osadzony, wywołując złudzenie, że bestia unosi się w powietrzu z rozłożonymi, błoniastymi skrzydłami. Price zerknął na Marrowa, który siedział obok niego z karabinem w rękę. Ze sposobu, w jaki jego oczy śledziły mijanego smoka, wywnioskował, że Marrow myśli o tym samym.

Biorąc pod uwagę niezwykle wydarzenia tego wieczoru, nie należało się dziwić ich wybujałej wyobraźni. Po raz pierwszy w swojej policyjnej karierze dostali do ręki broń, Scotland Yard nieczęsto na to pozwalał. Do tego doszły pożar w wielkim teatrze i brutalne morderstwo tej nieszczęsnej kobiety. Price słyszał, jak sierżant Lee i inspektor Cotford szeptali imię Kuby Rozpruwacza. Czy to możliwe? Czyżby brał udział w śledztwie dotyczącym najsłynniejszej nierozwiązanej zagadki Scotland Yardu? Niczego bardziej nie pragnął.

Tymczasem mgła gęstniała i coraz bardziej utrudniała widoczność. Price zmrużył oczy, żeby ustalić, gdzie się znajduje, i nagle ogarnęło go bardzo silne wrażenie, że ktoś śledzi ich wóz. Marrow musiał czuć to samo, ponieważ również obejrzał się za siebie. Ulica była pusta, ani żywej duszy. Price zamrugał oczami. Zmysły zaczęły płatać mu figle, ponieważ wydało mu się, jakby mgła za nimi stała się krwawoczerwona. To wina tych nowych elektrycznych lamp - pomyślał.

A zaraz potem stanęło mu serce, gdyż usłyszał niepokojący dźwięk, jak gdyby trzepot skrzydeł drapieżnego ptaka. Może to był jastrząb? Tyle tylko że dźwięk ten był dużo mocniejszy. Dochodził tuż znad ich głów. I słyhać go było coraz bliżej.

Rozdział XLV

j» ^ olmwood trzymał przed sobą gotowy do wystrzału rewolwer. J^^k- - Spodziewałem się was - usłyszeli w ciemności głos z obcym akcentem.

1 I Quincey, trzymający rękę na ramieniu przyjaciela, poczuł, że Artur się rozluźnia. O co chodzi? Dlaczego nie strzelił?

Nagle światło rozjaśniło pokój. Oto stał przed nimi sam profesor van Helsing. Jedną rękę wciąż trzymał na kontakcie, a drugą wspierał się o laskę.

- Profesor! - wykrzyknął Artur, chowając pistolet. - O Boże, mogłem pana zastrzelić! Jest pan bezpieczny, co za ulga!

To rzekłszy, ruszył do przodu, by uścisnąć starego przyjaciela. Staruszek odparł z szelmowskim uśmiechem.

- Wiesz, że nie mogłem się powstrzymać od dramatycznego *entree*.

Quincey skrzywił się. Rana na jego szyi zadana przez van Helsinga zaledwie dwa dni temu zapiekła go znowu. Tak jakby ciało ostrzegało go, by uważał na tego człowieka, który jeszcze niedawno mu groził. Poczul nagły przypływ irytacji, że Artur puścił tamten atak w niepamięć.

Holmwood zasypywał van Helsinga dziesiątkami pytań i nie czekając na odpowiedź, rzucał następne:

- Czy nic się panu nie stało? Jak pana odnalazł? Jak udało się panu uciec?

- Użyłem swojego rozumu i zastosowałem taktykę, jakiej się nie spodziewałem... - zaczął van Helsing, ale zaraz przerwał i spojrzał z wahaniem na Quinceya, jak gdyby nie był pewien, czy może mówić wszystko w jego towarzystwie.

Artur skinął głową - chłopak został we wszystko wtajemniczony. Mimo to van Helsing odwrócił się do niego tyłem.

Quinceya rozwścieczył ten ostantacyjny brak szacunku i pogłębił w nim złość na Artura, że van Helsingowi na to pozwala. Zwrócił też uwagę, że profesor nie odpowiedział na pytanie. No właśnie, jak uciekł Draculi?

- Dobrze, że mnie znaleźliście - wyszeptał. - Mam nadzieję, że madame Mina poinformowała was o moim telegramie.

Jak na kogoś, kto niedawno stanął oko w oko z Draculą i uszedł z życiem, van Helsing był dziwnie spokojny, zupełnie inny od tego szalonego staruszka, który niedawno go zaatakował. Chłopak zauważył teraz zastawiony bronią stół i zaczął się zastanawiać, dlaczego profesor tak szczelnie zasłonił okna. Przypominał sobie unoszący się znad zgliszczy spalonego teatru dym, który spowił cały Londyn. Dlaczego tracili czas na czcze pogawędki? Im dłużej zwlekali, tym większe było ryzyko, że zostaną odkryci przez policję lub Draculę. Musieli jak najszybciej zaplanować następny ruch.

Artur streścił van Helsingowi odkrycia Míny na temat hrabiny Batory, a Quincy przyjrzał się w tym czasie rozłożonej na stole broni. Obok torby podróżnej leżało kilka krucyfiksów, drewniany kołek, nóż Bowie i buteleczki, w których - jak przypuszczał - znajdowała się woda święcona. Na środku leżała kusza, naciągnięta i gotowa do wystrzału. Nigdzie nie zauważył tojadu ani nawet czosnku.

Mimo to cały czas uważnie obserwował van Helsinga, którego najwyraźniej wiadomość o nowym wampirze nie zaskoczyła - tak jakby wiedział już o istnieniu hrabiny. Profesor pokuśtykał w stronę stołu i trzęsącymi się rękami otworzył butelkę brandy. Wydawał się słaby i bezbronny, niepodobny pod żadnym względem do człowieka, który niedawno przystawił mu rapier do szyi.

Van Helsing wreszcie zwrócił się do niego:

- Wygląda na to, panie Harker, że postanowił pan postąpić wbrew mojej... radzie.

Sposób, w jaki wymówił słowo „rada”, sprawił, że chłopak zazgrzytał zębami ze złości.

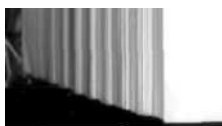
- Moja skłonność do ulegania naciskom skończyła się wraz ze śmiercią mojego ojca.

- No i dobrze - odparł van Helsing z chytrym uśmiechem, po czym nalał brandy do dwóch szklanek. - To się nawet świetnie dla mnie składa, że pan tu jest.

- A to dlaczego?

Van Helsing nie odpowiedział, tylko podał szklankę Arturowi, który odłożył na stół oglądany nóż i wziął od niego alkohol.

- Gdybym tylko posłuchał Sewarda... - Westchnął. Wychylił zawartość szklanki, by zmyć przykre wspomnienia. - Być może on, Jonathan i Basarab ciągle by żyli.



- Basarab? - powtórzył van Helsing zaintrygowany.
- Znany rumuński aktor - wyjaśnił Artur, podczas gdy profesor wsparty na lasce podał drugą szklankę Quinceyowi.
- Nie, dziękuję - odparł chłopak. Chciał, by wiedzieli, że nie jest taki jak ojciec.

Van Helsing nic nie powiedział, tylko odstawił szklankę. Widać było, że myślami jest gdzie indziej. Uważa mnie za narwane dziecko - pomyślał Quincey. Postanowił znów sprowadzić rozmowę na Basaraba i pochwalić się tym, czego się o nim dowiedzieli.

- To korespondencja między nim a doktorem Sewardem doprowadziła nas do Draculi i hrabiny Batory.

- Basarab - powtórzył van Helsing powoli i z rozmysłem, delektując się każdą głoską tego imienia. Znowu stanął tyłem do Quinceya. - Arturze, a za tem nasze wspólne przygody niczego cię nie nauczyły?

- Do czego pan zmierza? - spytał Artur wyraźnie zmieszany.
- Powiedz mi, widziałeś kiedyś tego Basaraba na własne oczy? - spytał van Helsing.

- Nie, ja nie, za to Quincey tak. A dlaczego pan pyta?

- Genialne. - Van Helsing zachichotał.

Quincey, zniercierpliwiony tą błazenadą, miał ochotę złapać za fraki tego starego wariata i wytrząsnąć z niego odpowiedź. Wtrącił się do rozmowy.

- Profesorze, jeśli wie pan coś, czego nie wiemy, proszę nas oświecić i nie trzymać dłużej w mroku niewiedzy.

Van Helsing wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę. Westchnął.

- Mrok, panowie, i ciemność... Poza nią nie ma nic innego - rzekł. - Już przegraliście. Jego droga jest jedynym wyjściem, jakie nam zostało.

- Czyja droga? - spytał poirytowany Quincey.

Jak gdyby znajdował się na sali wykładowej, van Helsing podniósł rękę i położył ją na klapie marynarki, wzmagając napięcie wśród swoich słuchaczy. Potem spojrział ponurym wzrokiem na Quinceya i rzekł:

- „" to tytuł, który przyjął, gdy został księciem. Prawdziwe nazwisko Draculi brzmi... Yladimir Basarab!

Rozdział XLVI

Słyszysz to? - spytał Price usadowiony na koźle policyjnego wozu, obserwując uważnie niebo. Siedzący obok niego konstabl Marrow nie słuchał, gdyż wpatrywał się w gęstniejącą na ulicy błyszczącą czerwoną mgłę.

- Co to jest, u diabła?

- Spójrz! - Price wskazał na wiszące nisko, kłębiące się złowrogo chmury.

Marrow podniósł karabin.

- Nie podoba mi się to. Widziałeś kiedyś czerwoną mgłę?

Drżenie w głosie Pricea zdradzało jego narastający strach.

- To chyba nie mgła. Nie wiem, co to takiego, w każdym razie jest też za nami.

Marrow odwrócił się i ujrzał gęstą czerwoną mgłę *zbliżającą* się do nich z coraz większą prędkością.

- Wygląda tak, jakby nas ścigała.

- Chyba raczej chce nam odciąć drogę. Jest prawie... - Priceowi nie dane było dokończyć zdania. Konie bowiem zatrzymały się nagle i obaj musieli przytrzymać się poręczy, żeby nie spaść z wozu.

Wóz koronera, który jechał przed nimi, również nagle się zatrzymał. Konie z jego zaprzęgu zaczęły rżeć i parskać, jakby wyczuły niebezpieczeństwo.

Marrow odwrócił się.

- Jest tuż za nami!

Price szarpnął lejcami.

- Ruszać się, szkapy! - krzyknął, ale konie zaczęły wierzgać, odmawiając współpracy.

Krwawoczerwona mgła utworzyła teraz mur przed wozem koronera. Wóznica raz po raz uderzał lejcami, aż wreszcie konie ruszyły z miejsca. Marrow złapał Pricea za rękę.

- Musimy wyjechać z tej ulicy.

Tymczasem powóz przed nimi pokonał zaporę z czerwonej mgły. Price uświadomił sobie, że wstrzymywał oddech. Musiał wyglądać jak idiota. Przecież to tylko mgła - starał się uspokoić. A może jednak nie?

Marrow powiedział z większym naciskiem:

- Mówię ci, musimy się stąd wydostać!

Price jednak nie miał zamiaru działać wbrew poleceniom.

- Weź się w garść, chłopie. Przypominam wam, konstablu Marrow, że do staliśmy wyraźne rozkazy.

Nagle, przy akompaniamencie dźwięku, który brzmiał jak ryczenie dzikiej bestii z otchłani piekielnej, wóz koronera wystrzelił z czerwonej mgły i przeleciał obok w otoczeniu końskich łbów, nóg i wnętrzości. Sam powóz eksplodował w powietrzu, a jego wrak uderzył o bruk i przejechał po kamieniach z przenikliwym zgrzytem, wysyłając w powietrze snopy iskier. - Uciekajmy! - krzyknął Marrow w panice.

Tym razem ani Pricebwi, ani koniom nie trzeba było dwa razy powtarzać: jakimś cudem udało im się pokonać mur z czerwonej mgły i pędząc galopem, skręcili w najbliższą uliczkę.

Price nie przejmował się już, dokąd jada, byle tylko uciec jak najdalej.

Na ostrym zakręcie Cotfordem i Miną zarzuciło na jedną stronę, a potem powóz podskoczył tak gwałtownie, że kobieta uderzyła się w głowę i zraniła aż do krwi.

- Co się tam, u diabła, dzieje? - zaklął Cotford, podciągając się z powrotem na siedzenie, po czym wyjrzał przez okno. Mina, przetarłszy rozciętą brew, zaczęła żałować, że w wozie nie ma drugiego okna. Nie miała pojęcia, co dzieje się na zewnątrz, ale coś mówiło jej, że są w poważnym niebezpieczeństwie. Była pewna, że dzięki swojej nowo odkrytej sile mogłaby uciec w każdej chwili. Ale jej aresztowanie odciągnęło uwagę Cotforda od Quinceya i Artura, dając im w ten sposób więcej czasu na ucieczkę i odnalezienie van Helsinga.

Serce się jej ścisnęło na myśl o starym profesorze. Była wdzięczna losowi, że nic mu się nie stało, ale jego telegram ją zaniepokoił. Czyżby rzeczywiście ciągle żył? Jak to możliwe? Przecież widziała oczyma hrabiny jego śmierć w zamkowej kaplicy. A może telegram był podstępem wampirzycy? Nie, na pewno nie. Nie przyjmowała do wiadomości, że mógłby się sprzymierzyć z taką diablicą jak Elżbieta Batory. A z drugiej strony - jeśli książę w jakiś sposób przeżył i poznał sekret Miny - kto wie, do czego był zdolny?

Myśl o tym, że Quincey i Artur mogliby wpaść w szpony hrabiny, kazała jej zmienić zdanie. Musi uciec Cotfordowi. Musi ich uratować. Wóz jeszcze raz przechylił się gwałtownie i Cotford ponownie uderzył o ścianę. Mina, rzucona o sąsiednią, wreszcie była w stanie dojrzeć coś przez okno. Gdy tylko zobaczyła czerwoną mgłę, zrozumiała natychmiast, dlaczego powóz porusza się w tak dziwny sposób. Ogarnęła ją panika. Czy mgłą kieruje hrabina? Czy też? A może oboje?

- Co się dzieje, do cholery? - krzyknął Cotford. Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się. Jego wzrok napotkał oczy Myny. Dotknął złamanej katany.

Mina, widząc ten absurdalny gest, o mało nie wybuchnęła śmiechem. W tej chwili ona była najmniejszym zmartwieniem Cotforda.

Nagle gdzieś nad ich głowami rozległ się krzyk. Cotford skoczył do okna. Mina ponad jego ramieniem ujrzała, jak jeden z konstabli spada z wozu, a karabin wylatuje mu z rąk. Cotford zakrzyknął, ile sił w płucach:

- Price! Co ty, do cholery, wyprawiasz? Masz natychmiast zatrzymać powóz, to rozkaz!

Nie było odpowiedzi. Cotford wyjął klucz i sięgnął do drzwi. Minie zrobiło się go żal. Nie miał pojęcia, z czym ma do czynienia. Nie namyślając się, złapała go za ramię.

- Jeśli życie panu miłe, niech pan nie wychodzi na zewnątrz!

- Jakoś nie ufam pani radom, pani Harker.

Mina zrozumiała, że w żaden sposób nie przekona go, jak wielkie grozi mu niebezpieczeństwo. Puściła jego rękę. Jest wolnym człowiekiem, niech zatem przypieczeruje swój los. Ona musi się zająć czymś innym, w grę wchodzi bowiem życie jej syna.

Marrow usłyszał trzepot skrzydeł, ale zanim zorientował się, skąd dochodzi ten dziwny dźwięk, poczuł ostre ukłucie na policzku, a potem poszybował w górę. Po zderzeniu z błotnistą ziemią poczuł, że ma wybity bark. Usłyszał chrupnięcie gruchotanych kości i pomyślał, że koła powozu przejechały mu po nogach. Na szczęście okazało się, że tylko zmiażdżyły jego karabin. Udało mu się podnieść. Żył! Lewa strona twarzy była zimna, wilgotna i pulsowała od bólu. Podniósł rękę i poczuł, że wielki płat skóry drży na wietrze. Ciepła krew spływała mu po twarzy. Dotykał właśnie swojej gołej czaszki.

Choć mdliło go, udało mu się zrobić kilka kroków naprzód. Znajdował się niedaleko Tamizy, w Tempie Gardens. Przeszywał go straszliwy ból, a do tego

nie mógł ruszyć lewą ręką. Ale biorąc pod uwagę los koronera i jego koni, powinien cieszyć się, że w ogóle żyje. Obawiał się, że Price, Cotford i jego więźni nie będą mieć tyle szczęścia.

Nie minęła chwila, gdy czerwona mgła natarła wprost na niego i ponownie usłyszał trzepot skrzydeł. Nie tracił czasu na próby ustalenia, skąd dobiega ten dźwięk. Wciąż miał ze sobą rewolwer. Wyciągnął go i już miał wycelować, kiedy nagle poczuł silne uderzenie wiatru w twarz i szarpnięcie w ramieniu. Próbował unieść broń, ale nie był w stanie ruszyć ręką. Spojrzał w dół i ujrzał leżącą na trawie oderwaną dłoń ściskającą rewolwer. Zdezorientowany, uniósł prawe ramię i ujrzał tryskający krwią kikut. Wrzasnął, gdyż właśnie ogarnął go potworny ból.

Nad jego głową rozległ się znowu trzepot skrzydeł. Mignęły mu przed oczami szpony ogromnego ptaka. Nagle odrzuciło go do tyłu, a potem usłyszał dźwięk, jakby wylewano na ziemię wiadro wody. Ogarnął go chłód i poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Spojrzał w dół. Był wypatroszony od genitaliów aż do piersi, a jego wnętrzności wylewały się z ciała. Zrobiło mu się niedobrze. Chciał zwymiotować, ale padając, uświadomił sobie, że nie ma już czym.

- Proszę usiąść i się nie ruszać! - warknął Cotford na Minę, otwierając w biegu drzwi wozu. Musiał sprawdzić, co się dzieje. Wyszedł z pędzącego pojazdu, stanął na podpórce na nogi i chwycił się dachu. Wiatr uderzył w niego z taką siłą, że mało go nie zdmuchnął. Dojrzał, jak siedzący na kozle Price zawzięcie uderza konie lejcami.

- Price! Co z tobą, do cholery? Zatrzymaj wóz! To rozkaz!

Price nie zareagował. Cotford przesunął się po podpórce, trzymając się poręczy tak mocno, że aż palce mu zbieleły. Gdy pojazd zarzucił w lewo, jego nogi ześlizgnęły się i zawisły w powietrzu. Powóz tymczasem nabierał prędkości. Jako młody kadet Cotford potrafił wykonać sto podciągnięć. Teraz potrzebował zrobić tylko jedno, na wagę życia, ale nie był w stanie.

Udało mu się jednak podnieść jedną stopę, którą umieścił z boku wozu, potem odepchnął się z całej siły, postawił drugą nogę na dolnym stopniu i podciągnął się. Przytrzymując się mocno poręczy, po krótkich zmaganiach z napierającym wiatrem wspiał się wreszcie na kozioł. Z tego miejsca ujrzał wiszące nisko, kotłujące się czarne chmury. Nigdy przedtem nie widział takiej burzy.

Konstabl Price odwrócił się w jego stronę. Miał twarz obryzganą krwią i dzikie spojrzenie.

- Zaraz nas dopadnie. Nie uda nam się uciec.

Cotford nie miał wątpliwości, że Price postradał zmysły. Wyciągnął ręce po lejce, ale przerażony chłopak dalej trzymał je kurczowo. Próbując mu je wyrwać, Cotford zauważył coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Spod wozu wydobywała się połyskująca krwawoczerwona mgła. Cotford widział coś podobnego tylko raz w życiu i nigdy nikomu o tym nie powiedział. Wtem Price krzyknął przeraźliwie i na oczach Cotforda czerwona mgła owinęła go całunem i porwała z kozła. Inspektor spoglądał z niedowierzaniem, jak chłopak unosi się w górę i znika w wirze burzowych chmur.

Słowa van Helsinga o pogańskim złu odbiły się teraz echem w jego głowie. To, co się tu działo, z pewnością było diabelską sprawką. Ale nie było czasu, by zastanawiać się, o czym dokładnie mówił van Helsing: konie pędziły jak szalone i Cotford musiał się skupić, by lejce nie wyleciały mu z rąk.

Konstabl Price chciał krzyknąć, ale czerwona mgła wdarła mu się do ust. Miała obrzydliwy zgniły smak. Chłopak poczuł, że zgniata jego ciało jak orzech. Nie mógł oddychać. Nie słyszał nic, oprócz trzepotu skrzydeł. Zaczął się wic w panice. Jednocześnie cały czas wznosił się coraz wyżej, a jego lot ku niebu zdawał się trwać wieczność. Myślał, że serce mu pęknie ze strachu.

Nagle poczuł ostry ból w szyi, a potem spokój. Ogarnęło go zmęczenie. Chciało mu się spać. Rozumiał, co się z nim działo, lecz nie miał już siły, by z tym walczyć. Z jego ciała odpływała cała krew, poczuł się słaby i lekki jak piórko. A wtedy mgła wypuściła go z objęć. Jego przerażenie nie trwało długo. Bezlitosne ulice Londynu wyszły mu na spotkanie i gdy Price uderzył o bruk, poczuł, jak gruchoczą mu kości. A potem nastąpiła ciemność.

Rozdział XLVII

Artur Holmwood odwrócił się i z niedowierzaniem spojrzął na Quinceya. Oszołomienie na twarzy chłopaka było dowodem, że obaj usłyszeli to samo. I - Basarab? Nie, to niemożliwe. - Quincey potrząsnął głową zaskoczony. - Głupcy! - rzucił profesor. - Pogódźcie się z prawdą, tak samo jak Seward. Tak samo jak ja to zrobiłem. nie jest naszym wrogiem.

Artur cofnął się, jak gdyby słowa van Helsinga zadawały mu fizyczny ból. Tak samo jak Seward? Jednocząc siły z mordercą Lucy, Jack zdradził ich wszystkich. Każdy z nich ryzykował życie, by zglądzić tego potwora. Quincey P. Morris był umierający, kiedy zdołał jeszcze wbić nóż w pierś Draculi. Czy ich poświęcenie było na darmo? Kłamstwa. Kłamstwa. Kłamstwa! To wszystko musiały być kłamstwa!

- Quincey P. Morris nie zginął na próżno! - wykrzyknął.

- To hrabina jest prawdziwym złem - rzekł spokojnie van Helsing. - Dowiedziałem się o morderstwach popełnionych przez Kubę Rozpruwacza, przybył do Anglii w 1888 roku w jednym celu - by zniszczyć hrabinę. Nie uciekł do swego zamku z lęku przed nami. To hrabina uciekła ze strachu przed Dracula. Przeszkodził mi w pościgu za nią, tak jak się spodziewała. Oszukała nas wszystkich. Rany, jakie zadaliśmy Draculi, osłabiły go tak, że pozwoliły hrabinie zadać śmiertelny - jak jej się wydawało - cios. Quincey P. Morris zginął, walcząc po złej stronie barykady.

- zamordował moją Lucy! Jest potworem, musi zginąć!

- Gniew zaślepił cię zupełnie - westchnął van Helsing.

Odwrócił się plecami do Artura, jak gdyby zdegustowany postawą dawnego ucznia.

Artur brutalnie chwycił go za rękę.

- Nigdy nie sprzymierzę się z - warknął. - Nie obchodzi mnie, czy próbował powstrzymać Kubę Rozpruwacza. Jeśli rzeczywiście była nim hrabina, to zabijemy ich oboje.

- Jesteś głupi i impulsywny. Nie powinieneś przyprowadzać tu chłopca.
Van Helsing próbował uwolnić się z uścisku. Oburzony zdradą profesora Artur puścił go i odepchnął - na tyle mocno, że van Helsing upadł na podłogę.

- Profesorze! - wykrzyknął Quincey i skoczył mu na pomoc. Potrząsnął nim. Żadnej reakcji. - Profesorze van Helsing! - powtórzył, chwyciwszy go za nadgarstek. Quincey spojrzał na Artura z paniką w oczach. - Nie wyczuwam pulsu!

- O Boże! - jęknął Artur. Przyskoczył do van Helsinga, ale jego palce również nie znalazły tętna.

- Proszę mi pomóc go odwrócić - rzekł chłopak.

Van Helsing jęknął. Quincey, przestraszony, o mało się nie przewrócił. Wiedząc, że profesor się porusza, Artur wstał i cofnął się osłupiały. Jak to możliwe? Przecież puls już zaniknął. Van Helsing nie żył!

Profesor oparł się na rękach i wstał chwiejnie na nogi. Długie zmierzwiłone białe włosy opadały mu na twarz, ukrywając ją w cieniu.

- Jeśli do nas nie dołączycie... - odezwał się głosem, który zmroził Arturo w krew w żyłach. Nagle starzec nie był już tak bezbronny, jak im się do tej pory wydawało. Van Helsing ruszył gwałtownie, odrzucając głowę do tyłu. Gdy ujrzeli czarne kule jego oczu i długie, ostre kły - dotarła do nich straszliwa prawda. Warknął groźnie: - ... to znaczy, że jesteście przeciwko nam!

To rzekłszy, rzucił się na nich. Było za późno na ucieczkę.

„Nie uda ci się jej prześcignąć!” - krzyknęła Mina.

Cotford wiedział, że kobieta ma rację. Czerwona mgła po porwaniu Price'a wycofała się na chwilę, ale teraz nacierała znowu, deptając im po piętach. Konie były mokre od potu, stało się więc oczywiste, że nie utrzymają dłużej tego morderczego tempa. Cotford musiał obmyślić jakiś plan. Szarpnął lejce i skręcił z powrotem do głównej ulicy. Chciał znaleźć się wśród ludzi. Ciekaw był, jak mgła zareaguje na obecność świadków.

Nagle usłyszał dziwny trzepot skrzydeł. Mignęły mu przed oczami sięgające w dół łapy gigantycznej bestii. Spróbował uchylić się przed ostrym pazurem, lecz był zbyt wolny. Skrzywił się z bólu, gdy szpon rozorał jego ciało, tuż pod ramieniem.

Przyłożył rękę do rany. Była głęboka, a ból przeraźliwy. Krew płynęła z niej strumieniem. Mimo to Cotford nie zwalniał tempa, prowadząc konie galopem przez labirynt uliczek. Czerwona mgła została w tyle.

Wreszcie ujrzał swoje wybawienie: szły z dużymi czarnymi literami „PICCADILLY RLY”. Resztką sił zatrzymał konie na środku wysepki na Aldwych. Kilka powozów i samochodów, którym zajechał drogę, zahamowało nagle z piskiem. Przechodnie przystanąli z zaciekawieniem. Cotford zeskoczył na ziemię, odwrócił się i z ulgą stwierdził, że mgła nie wyszła na główną ulicę. Podbiegł do drzwi powozu i otworzył je.

- Niech pani wysiada!

Mina zawahała się przez chwilę, a potem ujęła zakrwawioną rękę Cotforda i z jego pomocą wysiadła z pojazdu. Spojrzała na rozorane ramię inspektora. Gdy dotknęła jego rany, wiedziała już, że nie będzie w stanie zatamować upływu krwi. Spojrzała na Cotforda. Sama nic tu nie pomoże.

- Musi pan wezwać lekarza.

Cotford jednak nie myślał o sobie. Wpatrywał się w kłębowisko czarnych chmur zasłaniających zupełnie księżyc i gwiazdy.

- Chodźmy! - Chwycił Minę za rękę i pociągnął ją za sobą w stronę stacji metra Strand. Oboje przystanęli na chwilę, słysząc trzepot skrzydeł dobiegający sponad wirujących czarnych chmur tuż nad ich głowami.

- Metro to pani jedyna szansa! - krzyknął Cotford, starając się zagłuszyć ryk wiatru, wyciągnął z kieszeni garść monet i wepchnął je do ręki Miny. - Proszę powiedzieć van Helsingowi, że się myliłem... we wszystkim.

- Nie! Ta bestia przyszła po mnie! - zaprotestowała Mina, starając się we tknąć mu monety z powrotem. - Niech się pan sam ratuje!

- To wszystko moja wina. Moje zaślepienie naraziło panią, pani rodzinę i przyjaciół na straszliwe niebezpieczeństwo. Dopiero teraz to widzę. Niech mi pani wybacz!

Dźwięk skrzydeł nad ich głowami stawał się coraz głośniejszy. Bestia była tuż-tuż.

- Niech pani idzie! Szybko! - Cotford popchnął Minę ku schodom, a sam odwrócił się i wyciągnął z kieszeni płaszcz z łamaną katanę. Za jego plecami rozległy się kroki zbiegającej po schodach Miny, a potem stało się coś dziwnego - usłyszał tuż przy uchu jej szept, słodki i delikatny:

- Zostało panu wybaczone.

Przez tyle lat prześladowała go śmierć tamtych młodych kobiet. Teraz już wiedział, dlaczego jego dusza nie mogła znaleźć spokoju. Przez cały czas nie dopuszczał do siebie prawdy, że zabójca nie był człowiekiem. W nocy, gdy ścigał Kubę Rozpruwacza i upadł, widział tę samą krwawoczerwoną mgłę. To przez nią zgubił drogę i potknął się o krawężnik. Zatem bestia, która szła teraz po niego, była jego przeznaczeniem. Gdyby udało mu się dziś uratować choć jedną osobę... może nadałoby to sens dziełu jego życia.

Bestia nareszcie wynurzyła się spomiędzy chmur. Ryknęła, odsłaniając rząd ostrych zakrwawionych zębów, i błysnęła czerwonymi ślepiami. Skóra gargulca pokryta była łuskami niczym u jaszczurki, ze skroni wyrastały zakrzywione rogi, a z pleców dwa ogromne błoniaste skrzydła. Długi mięsisty ogon, nabity łuskami i ostro zakończony, walił na boki, miażdżąc przy każdym ruchu drogę i kamienne mury. Potwór leciał w stronę Cotforda z szeroko rozwartymi łapami.

Rozległy się krzyki przerażonych ludzi rozbiegających się na wszystkie strony. Cotford został sam na placu boju. Modlił się jednocześnie o odwagę i zbawienie swojej duszy. Nadszedł czas, by wyrównać rachunki. Owinął chustkę

wokół złamanej katany i ściskając tę prowizoryczną rękojeść, ruszył do ataku – uniósł ostrze i wycelował w serce przelatującego nad nim potwora. Był jednak zbyt wolny. Bestia leciała tak szybko, że udało mu się zaledwie wbić broń w jej nogę. Usłyszał, jak gargulec, rycząc z bólu, rozbija się o ziemię za jego plecami.

Cotford już miał się odwrócić, by kontynuować walkę, gdy ujrzał kątem oka śmiertelny ogon zmierzający szybko w jego stronę.

Ostatnią myślą, jaka zagościła w jego głowie, było ostrzeżenie van Helsinga: Właśnie to, czego nie widzisz, zabije cię.

Mina zbiegała po schodach na peron stacji metra. Na jej widok oczekujący na pociąg pasażerowie zaczęli pierzchać na boki. Mina spojrzała na swoje ręce – były pokryte krwią Cotforda, a jej suknia poplamiona krwią Kobiety w Bieli. Rozległ się gwizdek, ruszyła więc w stronę ostatniego wagonu pociągu, który właśnie wjechał na peron. Już miała wejść do środka, kiedy usłyszała dziwny dźwięk podobny do odgłosu, jaki wydaje odbijana piłka.

Odwróciła się i ujrzała odciętą głowę Cotforda, która toczyła się po schodach, aż wreszcie uderzyła o peron z okropnym chrupnięciem i zatrzymała się zwrócona twarzą w stronę Myny. Kobieta spodziewała się, że na obliczu Cotforda zastąpi wyraz przerażenia, tymczasem malował się na nim absolutny spokój, jakiego inspektor nigdy nie zaznał za życia.

Wtem wstrząsnęło ją przeraźliwe skrzeczenie, a zaraz po nim dobiegł ją dźwięk rozbijanych cegieł. Po schodach wiodących na peron przesunął się cień skrzydlatej bestii.

Rozległ się drugi gwizdek. Mina była już zmęczona ucieczką. Wolałaby stanąć do walki, wiedziała jednak, że im dłużej trwa ten pościg, tym więcej czasu zyskują Quincey, Artur i van Helsing. Tymczasem metalowe drzwi ostatniego wagonu zamknęły się tuż przed jej nosem. Chwyła je, z całej siły rozepchnęła na boki i wypadła do środka w chwili, gdy pociąg ruszał z miejsca.

Po tym jak ujrzeli umazaną krwią kobietę i odciętą głowę toczącą się po peronie, doktor Max Windshoeffel i jego żona postanowili nie wsiadać do tego pociągu, tylko poczekać na ostatni, który zabierze ich na Finsbury Park. Max odciągnął żonę od makabrycznego widoku odciętej głowy i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien wezwać policji. Jako lekarz uważał to za swój obywatelski

obowiązek. Jego rozmyślania przerwał jednak huk towarzyszący rozbijaniu cegieł i przenikliwe skrzeczenie.

Nagle na peron wleciała skrzydlata bestia podobna do smoka. Doktor i jego żona byli zbyt przerażeni, by krzyczeć. Przez chwilę potwór, waląc ogonem na boki, rozcinał biało-zielone płytki stacji metra, a potem zanurkował w tunelu, jakby ścigał pociąg. Wtedy Max Windshoeffel zmienił zdanie. Postanowił nie mówić nikomu o tym, co tu zobaczył.

- Wysiadać! - wysyczała Mina do nielicznych pasażerów znajdujących się w wagonie. Roztrzaskała siedzenie przed sobą i wyrwała z niego ostro zakończony kawałek drewna. Jej zachowanie, zakrwawione ubranie oraz przerażający dźwięk rozchodzący się echem po tunelu sprawiły, że wszyscy szybko przenieśli się do przyległego wagonu.

Mina wyjrzała przez okno z tyłu pociągu i ujrzała ścigającego ją gargulca. Nagle ogarnęło ją to samo uczucie, które towarzyszyło jej w snach przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Czują zbliżającą się obecność Draculi. To on. Idzie po mnie! - pomyślała.

Skrzydła bestii rozbiły fragment ściany tunelu, zostawiając za sobą pokruszone cegły i wielką chmurę pyłu. Mina ścisnęła drewniany kołek.

- A zatem przybywaj. Czas nie jest już po twojej stronie.

Powietrze rozdarł ostry podmuch wiatru i szponiasta łapa roztrzaskała tylne drzwi wagonu. Metalowe i ciężkie, gruchnęły z hukiem o podłogę. Mina spodziewała się ujrzeć w drzwiach gargulca lypiącego na nią okiem, a jej oczom ukazała się jedynie błyszcząca czerwona mgła wdzierająca się do wagonu. Gdy zebrała się na podłodze, w środku czerwonego wiru zaczęła się formować ludzka postać.

Mina coraz intensywniej myślała o Draculi. A jeśli to rzeczywiście on? Możliwość ujrzenia jego twarzy po tylu latach podniecała ją mimo świadomości, że tej nocy popełnił wiele okrucieństw. To uczucie było silniejsze od niej.

Gdy mgła rozproszyła się, ze środka wyszła wysoka, ubrana na czarno postać. Oczekiwanie zaparło Minie dech w piersiach.

- Książę - wyszeptala.

- Wybacz, że cię rozczarowałam - rzekła z drwiącym uśmiechem hrabi na Batory.

Miłość wzbierająca w sercu Miny natychmiast przerodziła się w nienawiść. Hrabina ruszyła w jej stronę. Mina zauważyła tkwiącą w jej nodze katanę Jonathan, jednak najwyraźniej nie spowalniało to jej ruchów.

- Nie zaskoczysz mnie, hrabino - warknęła Mina, trzymając przed sobą kołek. - Tym razem jestem przygotowana na spotkanie z tobą.

Elżbieta Batory zaśmiała się.

- Może i krew Draculi dodała ci nieco siły - odparła. - Ale nie myśl sobie, że możesz się ze mną mierzyć. Jestem królową mego gatunku.

- Ty chora, okrutna sadystko - wyszczała Mina. - Przysięgam na Boga, że uwolnię świat od ciebie albo zginę w walce.

- Och, z pewnością zginiesz, moja droga. I to ze świadomością, że twój syn i wszyscy twoi przyjaciele również umrą tej nocy. Przyrzekam ci, ich śmierć będzie okrutna i bolesna... tak samo jak twoja.

Na te słowa w Minie zawrzało. Za nic nie pozwoli, by ta diablica skrzywdziła Quinceya. Zetrę jej ten szyderczy uśmiech - pomyślała i z bojowym okrzykiem na ustach ruszyła naprzód.

Gdy uniosła rękę i skierowała drewniany kołek prosto w jej serce, hrabina zamruczała z rozkoszy, wyciągnęła dłoń i złapała kołek w powietrzu. Pociągnęła go, rzucając Minę na kolana, prosto w swoje szpony. A potem chwyciła ją za włosy, odchyliła jej głowę do tyłu, odsłaniając alabastrową szyję, i wyciągnęła nóż. Mina знаła go: zakrzywiony lancet do amputacji był ulubionym narzędziem Kuby Rozpruwacza. Przerazona, starała się uwolnić z żelaznego uścisku hrabiny, ale jej opór jeszcze bardziej podniecał wampirzycę. Trawiona perwersyjną namiętnością Elżbieta Batory uniosła nóż, by podciąć Minie gardło, rozkoszując się myślą o krwawym akcie, który miał zaraz nastąpić.

Mimo swej nowo odkrytej siły Mina nie była w stanie sprostać wampirzycy. Prawie czterysta lat picia ludzkiej krwi uczyniły hrabinę istotą niemal niewyciężoną. Mina zawiodła syna. Pozostała jej tylko modlitwa.

Z ostrzem gotowym do ciosu, hrabina pochyliła się, polizała ucho Miny i wyszeptła głosem pełnym słodyczy:

- Czas na spotkanie ze śmiercią.

Rozdział XLIX

Van Helsing rzucił się na Artura i Quinceya i cisnął nimi o ścianę. Był tak blisko, że mógł ujrzeć w ich oczach swoje oblicze. Czyli jednak mit, że wampiry nie mają odbicia, jest fałszywy - pomyślał. Uzmysłowił sobie także, dlaczego są tacy przerażeni: z twarzą wykrzywioną wściekłością, czarnymi oczyma i ostrymi, wystającymi kłami w niczym nie przypominał tego schorowanego van Helsinga, którym do niedawna był.

Gdy pił krew Draculi, nie zdawał sobie sprawy, jakiej doda mu to mocy. Z kruchego, trzęsącego się staruszka zmienił się w silnego wojownika. Znowu czuł się młody, znowu panował nad swoim ciałem. Zaczynał nowe życie.

Quincey oprzytomniał szybciej niż Artur, ale van Helsing nie dał mu szansy na reakcję. Jednym ruchem podniósł go z ziemi, jakby był lekki jak piórko, po czym rzucił nim o dębową szafę, rozbijając wielkie lustro.

Zaczął się śmiać, widząc niedowierzanie na twarzy Artura Holmwooda.

- To ja opowiedziałem Stokerowi naszą historię. Moja pierwsza nieudolna próba osiągnięcia nieśmiertelności...

- To ty nas zdradziłeś?

Jaka zdrada? Van Helsing zrezygnowany pokręcił głową. Dla Artura wszystko było albo czarne, albo białe. Profesor chwycił go za klapy garnituru i rzucił na aksamitny szezlong. Miał nadzieję, że teraz Artur go wysłucha.

- Masz oczy, a nie widzisz. To, że poprosiłem Stokera o napisanie mojej biografii, nie było zdradą - rzekł. - Chciałem przy jego pomocy podzielić się zdobytą wiedzą i doświadczeniem. Moja historia miała być ostrzeżeniem dla przyszłych pokoleń, przewodnikiem, jak stawić czoło nadprzyrodzonym ciemnym mocom, które zwalczałem przez całe życie. A zamiast tego Stoker zrobił z niej tani horror.

Van Helsing poczuł poruszenie za swoimi plecami. Odwrócił się i ujrzał, jak Quincey zerka niepewnie w stronę zastawionego bronią stołu. W tym samym czasie poczuł na plecach delikatne muśnięcie. Dopiero gdy zobaczył przelatu-

jące obok kawałki roztrzaskanego drewna, zorientował się, że coś na nim rozbito. Spojrzał na zaskoczonego Artura, który wciąż trzymał w rękach połamane nogi krzesła. Wyczuł, że Quincey ruszył w stronę broni. Dwie pieczenie na jednym ogniu - pomyślał. Chwycił Artura i rzucił nim o chłopaka, pozbawiając ich na chwilę tchu - i miał nadzieję, że także ochoty do walki. To zaczynało być nawet zabawne. Liczył na to, że po tym bolesnym pokazie sił Artur posłucha głosu rozsądku. Zamiast tego ten zatwardziały głupiec sięgnął do kieszeni i wyjął złoty krucyfiks.

- Od dwudziestu pięciu lat nie ma dnia, bym nie żałował, że nie dołączyłem do Lucy - wyrzucił z siebie Artur. Zbliżał się do van Helsinga z wyciągniętym przed siebie krzyżem. - Powstrzymałeś mnie. Kazałeś mi ją zniszczyć. Kazałeś mi wbić kolek w jej serce, by zakończyć jej „diabelską egzystencję”, jak to nazwałeś.

- Lucy, Lucy... ciągle ta Lucy - westchnął zniecierpliwiony van Helsing. - Mam już dość biadolenia o tej dziewczynie.

To powiedziawszy, wyciągnął rękę i pochwycił krzyż. Niech się wreszcie przekonają. To, że wstąpił w szeregi nieumarłych, nie oznaczało od razu, że sprzymierzył się z diabłem.

- Jak to możliwe? - wyjąkał Artur osłupiały.

- Że krucyfiks na mnie nie działa, podczas gdy odpychał Lucy? Z tej sa mej przyczyny, dla której nie przestraszysz nim księcia Draculi. Tylko ci, którzy żyją w lęku przed Bogiem, boją się jego symboli. - Po tych słowach wyrwał mu krzyż z ręki i rzucił nim przez pokój. - Gdyby przyszedł do ciebie w chwili śmierci, jakiego dokonałbyś wyboru?

Artur nie odpowiedział, tylko skoczył do stołu z bronią. Głupiec. Van Helsing zablokował mu drogę.

- Czy nie lepiej zrobić to po dobroci? Możesz pójść za mną - rzekł van Helsing tonem prośby. Odwrócił się do Quinceya i spojrzał mu w oczy. - Obaj możecie.

- Nigdy! - krzyknął chłopak i rzucił się na niego. Artur doskoczył do stołu po nóż, ale profesor obalił go na ziemię, a potem odwrócił się i chwycił Quinceya.

- Lepiej umrzeć w bitwie, niż dożyć starości i czekać bezczynnie na śmierć. - Zaśmiał się i odchylił głowę chłopaka do tyłu. - Próbowałem cię ostrzec, synu.

Nie miał zamiaru skrzywdzić chłopca, którego niegdyś trzymał na kolanach. Artur wydawał się już stracony - żyjąc przez dwadzieścia pięć lat w ciągłym

gniewie, stał się już ślepy na prawdę. Jednak w van Helsingu tliła się jeszcze nadzieja, że uda mu się chociaż przekonać Quinceya. Obiecał Draculi, że nie zrobi chłopakowi krzywdy, tylko osłabi go na tyle, żeby można go było zawieźć do matki. Obliznął kły w oczekiwaniu na smak krwi swojej pierwszej ofiary.

- Zdrajca! - krzyknął Artur. Rozległ się strzał i van Helsing poczuł ostry ból w plecach.

Druga kula przeszła przez van Helsinga i drasnęła rękę Quinceya. Chłopak krzyknął z bólu. Van Helsing wypuścił go ze swego żelaznego uścisku. Gdy trzecia kula przeszła jego ciało, Artur odezwał się do niego:

- Byłeś naszym przyjacielem.

- I wciąż mogę nim być - odparł van Helsing. - Tak samo jak .

Jeszcze nie jest za późno.

- Nie wyrzeknę się swojej wiary - odparł Artur.

Van Helsing warknął gniewnie. Wiara? Co Artur może o tym wiedzieć? Dopiero gdy uświadomił mu, jakie zło chodzi po ziemi oraz jaka jest moc szatana, dopiero wtedy Artur odnalazł wiarę. Jeśli był aż tak gorliwym wyznawcą, powinien wiedzieć, że skoro Bóg stworzył wszystkie żyjące istoty, stworzył też wampiry. I to On dał nieumarłym tę samą wolność wyboru między ścieżką dobra i zła, którą dostał od niego człowiek. Z nieludzką szybkością skoczył do Artura, by wyrwać mu z ręki rewolwer. Chciał go w ten sposób zmusić do słuchania. Ale Holmwood walczył jak lew. Huknęły dwa strzały. Ciało Artura zadrzęło. W jego błękitnych oczach ujrzeć można było zdziwienie. Obaj spojrzeli na kałużę, którą tworzyła wypływająca z jego piersi krew.

Van Helsing wyszeptał ze smutkiem:

- Dopiero teraz, na końcu, rozumiesz, czym jest lęk przed śmiercią.

- Artur! - wykrzyknął Quincey.

Na początku wydawało się, że Artur kiwa głową, lecz zaraz potem stało się jasne, że nie jest już w stanie utrzymać się na nogach. Runął na podłogę.

- Nie! - krzyknął Quincey i rzucił się na profesora. Ten bez wysiłku złapał chłopaka za gardło i rzucił nim o biurko koło okna. Potem przyskoczył do niego i przycisnął jego twarz do blatu. Nachyliwszy się nad chłopakiem, odsłonił kły.

Rozdział L

Trancis Aytown nie miał w życiu szczęścia. Zawsze omijały go ważne wydarzenia. Jako fotograf pracował niegdyś wraz ze słynnym Johnem L. Thomsonem, który udokumentował na przepięknych zdjęciach życie londyńskiej ulicy. Thomson postanowił z tym samym zamiarem udać się do Chin, ale Aytowna odstraszała tak daleka podróż. Thomson pojechał więc sam i został nadwornym fotografem chińskiego cesarza, a po powrocie - brytyjskiej rodziny królewskiej. Gdyby tylko Aytown skorzystał z tej okazji, jego życie wyglądałoby teraz zupełnie inaczej.

Ten wieczór przypominał mu jego głupotę. Zarabiał teraz na życie, robiąc zdjęcia turystom wychodzącym z teatrów na West Endzie. Dziś akurat pracował przed teatrami Globe i Olympic i o pożarze Lyceum dowiedział się dopiero wtedy, gdy pozostały z niego jedynie dymiące zgliszcza. A przecież mógł zrobić mnóstwo zdjęć płomieni i sprzedać je „Daily Telegraph” albo „Timesowi”.


Gdy właśnie ustawił się na rogu Wych i Newcastle, by zrobić zdjęcia gości opuszczających okoliczne teatry, usłyszał krzyki dobiegające z miejsca kilka przecznic dalej. Chwycił za aparat i ruszył pędem w tamtym kierunku.

Przed stacją metra Strand panował chaos. Wozy policyjne otoczyły wejście do środka. Aytown podszedł do jednego z policjantów.

- Co się tu dzieje?
- Zginął człowiek - odparł tamten. - Jakieś dzikie zwierzę uciekło z zoo.

Z zoo? Dziwne. Londyńskie zoo znajdowało się przecież dobrych parę mil na północ, w Regents Park. Jak zbiegłe zwierzę mogło przebyć taką odległość niezatrzymane przez policję? Tajemnicza sprawa. Nagle Aytown ujrzał na ulicy dziwny cień. Spojrzał do góry. Chmury burzowe przesłoniły księżyc, złowrogi cień zaczął się poruszać, a potem zniknął w wejściu do stacji metra. Wszystko to było coraz bardziej zagadkowe.

Rozdział LI

łoń hrabiny unieruchomiła szyję Miny jak drewniana rama, na której jest osadzona gilotyna, a jej ostrzem miał być lancet, który właśnie zaczął zbliżać się do gardła ofiary. Mina uniosła ręce, by powstrzymać śmiertelny cios, i zacisnęła palce na ramieniu wampiry. Ostrze zatrzymało się o cal od jej skóry. Hrabina wybuchnęła śmiechem, po czym przewyciężając opór Miny, zaczęła przybliżać ostrze do jej szyi. Mina zrozumiała teraz, że daje tej diablicy dokładnie to, czego ta pragnie: walkę. Im większy stawiała opór, tym bardziej rosło podniecenie hrabiny. Była już na skraju wyczerpania i w heroicznym geście postanowiła odebrać hrabinie przyjemność zabicia jej. Zamknęła oczy i puściła rękę przeciwniczki.

Nagle rozległ się grzmot. Mina otworzyła oczy i zobaczyła hrabinę, która stała oszołomiona, trzymając w opuszczonej dłoni lancet. Niespodziewanie opadł na nie deszcz iskier i kawałków drewna. Mina usłyszała huk, jakby coś ciężkiego wylądowało na podłodze. Elżbieta Batory z niedowierzaniem wpatrywała się w zerwany dach wagonu. Kiedy Mina odwróciła wzrok od hrabiny, zauważyła, że w wagonie jest ktoś jeszcze. Przyglądała się skulonemu ciemnemu mężczyźnie. Miał nisko zwieszoną głowę, którą okalały gęste kruczoczarne włosy, i piękne dłonie o długich, szczupłych palcach. Nawet pochylony, wyglądał na niezwykle wysokiego człowieka.

Serce Miny zadrżało z radości. Znała te ręce. Widziała je, jak zabijały, jak były umazane krwią. Czowała na sobie ich miłosne pieszczoty. Mężczyzna powoli wyprostował się. Nie jest już sama. Wrócił do niej, i to właśnie wtedy kiedy najbardziej go potrzebuje. Ale czy po tylu krzywdach, które mu wyrządziła, jest w stanie dalej ją kochać?

Gdy podniósł głowę, czarne włosy opadły do tyłu i odsłoniły twarz. Rzucił hrabinie wściekłe spojrzenie. Właśnie takim zapamiętała go Mina. Był zarazem piękny i przerażający, łagodny i bezlitosny. Od dwudziestu pięciu lat pragnęła wypowiedzieć jego imię.

Na ten dźwięk hrabina ścisnęła ją jeszcze mocniej. Wampirzyca skierowała swój gniew na mężczyznę i wyszczała:

- Twoja zdolność do oszukiwania śmierci jest wprost niewiarygodna.

Mina poczuła radość. W oczach Draculi dostrzegła taką samą tęsknotę jak ta, którą skrywała w swoim sercu. Jego spojrzenie potwierdzało to, w co tak bardzo pragnęła wierzyć. Owszem, był zabójcą, jednak mężczyzna, którego kochała, nie sprzymierzyłby się z tak bezlitosną bestią jak Elżbieta Batory. Czarne oczy Draculi odpowiedziały hrabinie nienawistnym spojrzeniem. Jego twarz wykrzywiła się w gniewie. Hrabina miała otrzymać zapłatę za całe okrucieństwo, jakiego się dopuściła, a jej śmierć miała być straszliwa. Warknęła przez zaciśnięte zęby:

- Chodź do mnie, hrabino. Chodź i giń.

Hrabina odrzuciła rękę do tyłu i Mina poczuła, że unosi się w powietrzu. Nagle jej głowę rozerwał straszliwy ból, gdy zatrzymała się na metalowej ścianie wagonu. W ostatnim błysku przytomności pomyślała: powrócił.

Hrabina Batory spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Jakim cudem on jeszcze żyje? Przecież zabiła go już dwa razy. Zawrzała gniewem. Nigdy nie nasyci się zemstą. Niczego tak mocno nie pragnęła, jak zniszczyć tego rycerza Boga. Niech zginie wreszcie on, ci wszyscy przekleńcy hipokrycy, którzy wierzą w Jego istnienie, a nawet Bóg sam. Wzniósł się w powietrze i wycełowała lancetem w oko. Jeśli okaże się wystarczająco szybka, oślepi go i zyska przewagę.

Ostrze hrabiny nie zdążyło sięgnąć celu, gdy wyskoczył jej na spotkanie. Zwarli się w uścisku. Jej przeciwnik przygwoździł ją do sufitu poruszającego się pociągu metra. Potem kopnął hrabinę kolanem w brzuch. Odpadła od sufitu i uderzyła w okno. Odłamki szkła poleciały w głąb tunelu. ruszył, by dokończyć dzieła i wypchnąć ją na zewnątrz, ale hrabina oderwała się od ściany, z krzykiem przeleciała przez wagon i jak taran uderzyła swego przeciwnika w splot słoneczny. zawył z bólu, poleciał do tyłu i uderzył w ławkę, która połamano się na kawałki. Chcąc wykorzystać zdobytą przewagę, błyskawicznie rzuciła się na niego i z łatwością zanurzyła lancet w jego brzuchu. Zapach krwi, która buchnęła z rany, uderzył ją w nozdrza. Oszołomiona jego intensywnością, zadała cios raz jeszcze. wył z bólu.

Wampirzyca nabrała pewności siebie. Księżę nie jest już tym wojownikiem którego znała. Jest słaby.

Hrabina zawsze uważała się za królową swego gatunku. Teraz była i królem Boży wojownik miał zaledwie kilka chwil życia. Pozbywszy się takiego przeciwnika, będzie mogła wreszcie zrealizować swój plan. Tym, dla których Bóg i jego obłudni naśladowcy nie mieli litości, okaże dobroć i łaskę. Nieszczęśnicy bez grosza przy duszy, odmieńcy seksualni, obłąkani, chorzy i kalecy - wywyższy wszystkich poniżonych i spełni swe odwieczne marzenie. Staną się jej wiernymi sługami. Tym, którzy przyrzekli wierność Bogu, połamię kości kołem powołanej przez siebie inkwizycji. Będzie żerować na bogatych i możnych, tak jak oni dotąd żerowali na słabszych. Zmiażdży armie. Obróci w perzynę Bazylikę Świętego Piotra i własnoręcznie rozszarpie gardło papieżowi. Stworzy świat na nowo, na obraz i podobieństwo swoje. Śmierć Draculi będzie pierwszym znakiem zwiastującym jej nadejście.

Chwyciła Draculę za gardło. Nie stawiał oporu. Nie miał siły, stracił zbyt dużo krwi. Zanurzyła kły w jego szyi. Chciała wyssać z niego nie tylko krew, ale całą jego moc. upadł ciężko na podłogę. Jego opór nie miał sensu. Gdy hrabina była jeszcze człowiekiem, on zrobił jej to samo. Wypił jej krew i zostawił umierającą. Nie ośmielił się jej zabić - byli w końcu rodziną, kochał ją. Lecz hrabina nie miała takich zahamowań. Będzie pić aż do końca i z rozkoszą przyglądać się, jak umiera.

Mina ocknęła się z potwornym bólem głowy. Podniosła powieki, jednak wszystko było rozmazane. Ujrzała dwie niewyraźne postaci ubrane na czarno, zwarte w walce na drugim końcu wagonu. Jedna miała zdecydowaną przewagę. Choć Mina nigdy nie znajdowała upodobania w zabijaniu, tym razem świadomość przelewania krwi wprawiła ją w podniecenie. Chciała krzyczeć: zdychaj bestio, zdychaj! Chciała ujrzeć na własne oczy, jak rozrywa hrabinę na strzępy. Nie wymaże to wprawdzie z jej pamięci straszliwych wspomnień, ale z pewnością uczyni je mniej bolesnymi.

Gdy usiadła i przyjrzała się dokładniej, zauważyła swoją pomyłkę. To hrabina wbijała kły w szyję Draculi, a on starał się uwolnić z jej uścisku. Z jego brzucha buchała krew. Jak to możliwe? Wreszcie Mina zrozumiała, dlaczego się ukrywał: hrabina była od niego silniejsza. Skoro on nie był w stanie jej zniszczyć, to jaką szansę mieli Mina, Artur i Quincey, nawet z pomocą van Helsinga?

Mina rozejrzała się po wagonie w poszukiwaniu jakiejś broni. Nie znalazła nic oprócz kawałka długiego, grubego kabla elektrycznego, który zwisał ze ściany w miejscu, gdzie rozerwał dach pociągu. Co miałaby z nim właściwie zrobić? Związanie nim hrabiny było raczej niemożliwe. Zauważyła nagle wyrwane drzwi leżące na podłodze. Przywiązała do nich jeden koniec kabla, a potem odwróciła się w stronę walczących.

Zebrawszy w sobie resztki sił, chwycił hrabinę i odepchnął jej głowę, wciskając jej kciuk do oka. Kleista maź wypłynęła z oczodołu. Hrabina wyrwała kły z gardła Draculi i zawyla z bólu. Teraz on odchylił głowę wampirzycy, próbując dostać się do szyi.

Hrabina odepchnęła dłoń Draculi. Czarna jama po oku bluznęła krwią. Zrzuciła Draculę na podłogę i odchyliła głowę do tyłu, wyjąc z bólu. Mina wykorzystała tę chwilę słabości i zarzuciła kabel na szyję wampirzycy. Ta wycedziła przez zęby:

- Ty dziwko!

W odpowiedzi Mina wykopała połamane drzwi przez wyrwę w ścianie wagonu. Słychać było kołatanie ślizgającego się po szynach metalu. W tunelu co rusz unosił się snop iskier. W końcu drzwi zablokowały się niczym kotwica.

Mina cieszyła się przepojonym nienawiścią wzrokiem hrabiny, gdy ta uświadomiła sobie, co się stało. Ruszyła w stronę Miny, ale w tym właśnie momencie kabel obwiązany wokół jej szyi pociągnął ją za sobą w głąb tunelu.

Mina podbiegła do wyrwy w ścianie i z uwagą zaczęła wpatrywać się w mroczną przestrzeń, jakby w każdej chwili spodziewając się, że hrabina Batory stanie na nogi i znów zacznie ich ścigać. Tymczasem wampirzyca ślizgała się po torach, aż metalowe ostrze katany, wciąż tkwiące w jej nodze, zahaczyło o szynę, wywołując eksplozję iskier.

Hrabina zaczęła się trząść, gdy przeszył ją prąd. Jej całe ciało rozjarzyło się na niebiesko. Stawała się coraz jaśniejsza, aż nagle pochłonęły ją płomienie. Z jej gardła wyrwał się nieludzki jęk. Rzuciła się histerycznie, ale nie mogła uciec. Była unieruchomiona, gdy pochłaniał ją ogień.

Czy to możliwe - pomyślała Mina - że zabiłam królową wampirów?

Francisowi Aytownowi została już ostatnia płyta fotograficzna. Postawił aparat na drewnianym statywie w nadziei, że nadarzy mu się okazja do zrobienia zdjęcia wartego publikacji. Zauważył, że prześcieradło zakrywające zwłoki

jest u góry poplamione krwią. Pomyślał, że ofiara mogła zostać zdekapitowana. Czyżby zatem szczęście wreszcie się do niego uśmiechnęło?

Aytown ustawił się tuż obok wejścia do stacji metra. Za zdjęcie bezgłowej ofiary powinien skasować okrągłą sumkę. Niestety, ciało jeszcze przez jakiś czas miało pozostać tam, gdzie było. Aytown podsłuchał rozmowę konstabli, z której wynikało, że nie mogą znaleźć koronera.

W oddali rozległ się gardłowy dźwięk. Jego natężenie z każdą chwilą rosło, aż stało się nie do wytrzymania, i wszyscy w pobliżu stacji musieli zatkać uszy.

Z wejścia do metra buchnęła eksplozja czerwonopomarańczowych płomieni. Aytown nie wierzył własnym oczom. Oto bowiem ze środka wyłoniła się ogromna, skrzecząca bestia i miotając się, przeleciała przez Aldwych. Nie zważając na ogłuszający ból w uszach, Aytown chwycił aparat i uwolnił migawkę. Nie miał czasu na ustawienie zdjęcia i modlił się tylko, by udało mu się uchwycić absolutną grozę tego, co widział w obiektywie. Jeśli tak, to los rzeczywiście się do niego uśmiechnął. Zdjęcie to będzie warte fortunę. To nie było zbiegłe z zoo zwierzę. To był najprawdziwszy, ziejący ogniem smok!

Rozdział LII

- **Ak**^ rofesorze, w imię Boże, zaklinam pana! - jęknął Quincey.

■ **Jj**^P Van Helsing spojrział na niego ze smutkiem i odpowiedział:

1 - To ja cię proszę po raz ostatni, dołącz do nas.

* - Nie mogę - odparł Quincey drżącym głosem. - zhańbił moją matkę i zabił mego ojca.

Profesor zrezygnowany pokręcił głową.

- Nie pozostawiasz mi wyboru - syknął, po czym błyskawicznie wbił kły w szyję młodzieńca.

Nagle zorientował się, że unosi się w powietrzu. Z hukiem wylądował po drugiej stronie pokoju na stole z bronią, który rozpadł się na kawałki. Chłopak spojrział na swoje ręce.

- Boże, miej mnie w swej opiece! - wyszeptał, przerażony własną siłą.

Van Helsing usiadł zaskoczony, próbując pojąć całą tę niespodziewaną sytuację. Czy ten chłopak naprawdę dysponuje aż taką mocą? Powoli zaczynał rozumieć, dlaczego pragnął, by chłopakowi nie stała się żadna krzywda. Widocznie księżę doskonale orientował się, jak cennym sprzymierzeńcem w walce przeciwko hrabinie Batory może być Quincey Harker. Tyle że chłopak przepelniony był także nienawiścią, co mogło uczynić z niego groźnego przeciwnika. Podjął decyzję. Quincey musi zginąć. Van Helsing miał nadzieję, że zrozumie powody jego decyzji.

Porwał z podłogi nóż Bowie i z niezwykłą szybkością rzucił się na Quinceya. Chwycił go za gardło i przygwoździł do ściany. Zamachnął się nożem, by wbić go chłopakowi w serce. Niech Bóg i mu wybaczą.

Wtem usłyszał dziwny trzask. Nóż wypadł mu z ręki - nie miał siły go utrzymać. Ciężar Quinceya zdawał się przytłaczający. Co się dzieje? A wtedy poczuł znajomy uścisk śmierci.

- Nie! - jęknął. - *Nog niet!* - Jeszcze nie.

Spojrział w dół. Drewniane ostrze beltu wystawało z jego piersi. Odwrócił się i ujrzał broczącego krwią Artura Holmwooda opartego o przeciwległą ścianę. W rękach trzymał kuszę. Był cały zakrwawiony.

Strzała przeszła serce. Nagle ogarnął go wielki smutek. Wpatrywał się w Holmwooda załzawionymi oczami.

- Jest jeszcze tyle rzeczy, których muszę się dowiedzieć, które muszę poznać, zobaczyć. Nie mogę umrzeć. Jeszcze nie teraz.

- Giń, profesorze! - warknął Artur. - Niech cię piekło pochłonie! - Po czym odrzucił kuszę i z okrzykiem natarł na van Helsinga.

- Artur, zaczekaj! - krzyknął Quincey.

Ale było za późno. Artur rzucił się na profesora, a siła rozpędu pchnęła ich na okno. Gdy spadali w stronę bezlitosnej ziemi, van Helsing uświadomił sobie, że nie mając innych sprzymierzeńców u boku, jest zbyt słaby, by pokonać hrabinę. Gdy nie będzie nikogo, kto by ją powstrzymał, hrabina zniszczy ludzkość.

Boże, czemuś nas opuścił?

Rozdział LIII

Qdy pociąg zbliżał się do stacji przy Finsbury Park, Mina podbiegła do nieprzytomnego Draculi opartego o jedną z długich ławek w wagonie. Choć stracił dużo krwi, wiedziała, że żyje. Takie rany, jakie miał na szyi i w brzuchu, zabiłyby każdego śmiertelnika, ale u niego zaczynały się już goić.

Jakby wyczuwając jej obecność, otworzył oczy i rzucił jej spojrzenie pełne miłości. Czy ktoś, kto patrzy na nią w ten sposób, może być bez serca? Mina przyklękła przy nim, a on wyciągnął do niej rękę. Czowała się dokładnie tak jak przed bramą jego zamku w Transylwanii, kiedy cały w płomieniach, z nożem wbitym w serce, prosił ją o pomoc, a ona postanowiła ocalić Jonathana. Teraz jej mąż już nie żył. I ta myśl kazała jej odsunąć się od księcia.

- Zabiłeś Jonathana.

spojrzał na nią ze smutkiem. Ból malujący się w jego oczach nie pozostawiał wątpliwości, że tymi słowami zraniła go bardziej niż hrabina swoimi ciosami.

- Jeśli naprawdę w to wierzysz, nigdy mnie nie znałaś.

Mina przypomniała sobie głos Draculi, który słyszała, gdy walczyła z Kobietą w Bieli. Uratował ją. Powinna była wiedzieć, że nigdy by jej nie skrzywdził. Choć zdolny był do straszliwych okrucieństw, nigdy jej nie okłamał. nie byłby w stanie zabić Jonathana. Za bardzo ją kochał.

Ujęła jego dłonie. Ich dotyk przyprawił ją o dreszcze i przywołał wspomnienia ich pierwszej wspólnej nocy. Chciała poczuć raz jeszcze tamtą pasję. Jonathan był miłością jej życia, ale to był jej prawdziwą namiętnością.

Przeraźliwy zgrzyt wyrwał Minę z rozmyślań. To pociąg hamował. Podniosła wzrok i ujrzała pasażerów gapiących się z drugiego wagonu. Wkrótce ona i będą otoczeni.

Musieli uciekać.

Jeszcze zanim pociąg zatrzymał się zupełnie, Mina i wyskoczyli na peron. Książę szedł niepewnym krokiem. Mina przerzuciła jego ramię przez swoją szyję, a drugą ręką owinęła go w pasie. Bała się: , którego niegdyś znała, był wszechpotężny, a ten był zaledwie cieniem samego siebie z przeszłości. Jednocześnie czuła się z nim związana bardziej niż kiedykolwiek. Po raz pierwszy nie miała wątpliwości, że on również jej potrzebuje.

Gdy pokonali schody i wyszli ze stacji, Mina spojrzała w nocne niebo i wy-
czuła, o czym myśli jej towarzysz. Wiem, gdzie chcesz jechać - odpowiedziała
również w myślach - ale nie dotrzemy tam przed wschodem słońca.

skinął głową. Mina dostrzegła jednokonny wóz stojący po drugiej stronie
ulicy. Woźnicy nie było w zasięgu wzroku, za to z tyłu leżał gruby wełniany
koc. Mina chwyciła go i już miała pomóc Draculi usadowić się na wozie, kiedy
omiotły ich jasne światła kabrioletu z opuszczonym dachem.

I znowu usłyszała w głowie myśl Draculi: samochód będzie szybszy.

Oparła go o wóz, podała mu koc i wyskoczyła przed samochód.

- Proszę uważać! - krzyknął kierowca, hamując z piskiem. - O mało pani
nie przejechałam...

Nie było mu dane skończyć, ponieważ Mina porwała go z siedzenia i wy-
rzuciła na ulicę. Ośłupiały mężczyzna oddalił się szybko, wołając o pomoc.
Mina odwróciła się do Draculi. Uśmiechnął się.

Gdy podniosła dach, wspiął się na siedzenie pasażera.

Ludzie na ulicy gapili się na nich. Niektórzy zaczęli podchodzić bliżej, by
pomóc kierowcy. Nie było więc chwili do stracenia. Mina usiadła za kierowni-
cą, zwolniła hamulec ręczny, włączyła bieg i popędziła Seven Sisters Road na
północ Londynu.

Gdy spojrzała na Draculę, była pewna bardziej niż kiedykolwiek, że po-
magając mu, dokonała słusznego wyboru. Hrabina musi zginąć, a on, nawet tak
osłabiony, jest ich najlepszą bronią. Pomyślała o Quinceyu. Wybór Draculi, by
udać się właśnie tam, był doskonały. Znajomość terenu da im przewagę. A ona
musi sprowadzić syna właśnie tam, do jedyne miejsce, gdzie będzie bezpiecz-
ny. Do jedyne miejsce, gdzie wszyscy będą się czuć bezpiecznie, nawet jeśli
teraz poczucie bezpieczeństwa jest tylko złudzeniem.



Rozdział LIV

Quincey wychylił się przez okno ostatniego piętra Midland Grand Hotel i ujrzał leżące na chodniku powyginane ciała Artura Holmwooda i van Helsinga. Profesor miał roztrzaskaną potylicę. Pod jego głową utworzyła się kałuża krwi, która powoli wypełniała popękaną siatkę chodnika. Jakby w kontraście z tym widokiem, na twarzy profesora malował się absolutny spokój. Van Helsing wyglądał jak człowiek, który wreszcie poznał odpowiedź na nurtujące go pytania. Ciało profesora zamortyzowało upadek Holmwooda. Z głową opartą na piersi van Helsinga Artur sprawiał wrażenie, jakby spał. Odszedł z godnością. Przełykając gorzkie łzy, Quincey uświadomił sobie, że wygrał. Niczym wielki generał, rozproszył siły i doprowadził do zwycięstwa. Tymczasem on sam nie docenił przeciwnika i za jego błąd Artur Holmwood zapłacił życiem. Teraz nadeszła jego kolej.

Na Euston Road zdążyła się już zgromadzić grupa gapiów. Quincey wiedział, że musi natychmiast uciekać. Był wciąż poszukiwany przez policję. Sprawdzano każdy dom, każdą ulicę. Nie miał wątpliwości, że tam gdzie powstaje zbiegowisko, będzie i policja.

Quincey zbiegł po schodach i wyszedł przed hotel. Był w oplakanym stanie. Utrata krwi po postrzale wywoływała takie zawroty głowy, że ledwo trzymał się na nogach. Powinien był zemdleć. Ale mimo to nie słabł. To przez tę krew. Przeklętą krew Draculi. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek tak naprawdę był człowiekiem.

Znajdował się już na ulicy, gdy usłyszał, że z ust Artura wydobywa się jęk. Tłum zamarł.

- Artur! - krzyknął Quincey, rzucając się w stronę rannego.

Do diabła z policją. W jego jedynym przyjacielu wciąż tliła się iskierka życia. Chłopak przedarł się przez tłum, przykląkł przy Arturze, wziął go na ręce i delikatnie objął jego głowę. Przez tłum przeszedł szept: „morderstwo”. Kątem

oka Quincey dostrzegł, że kilka osób opuściło zbiegowisko - z pewnością pobiegły po policję. Nie miał zatem zbyt wiele czasu.

Twarz Artura zbladła i nabrzmiała. Krew broczyła mu z piersi, nosa i ust. Był dzielny, lecz widać było, że bardzo cierpi. Z trudem łapał oddech.

Quincey na próżno starał się powstrzymać łzy. Ujął dłoń przyjaciela. Van Helsing zarzucał Arturowi, że boi się śmierci, jak gdyby to mogło uzasadnić jego niegodziwą zdradę. Ale Quincey nie widział na twarzy Artura strachu, tylko spokój. Po tylu latach wreszcie miał dostać to, czego pragnął.

Jedyną przerażoną osobą był Quincey. Odezwał się drżącym głosem:

- Arturze, coś się ze mną dzieje. Widziałeś, do czego jestem zdolny. Jestem przeklęty. Jestem potępiony. Jeśli diabelska krew Draculi płynie w mojej matce, ten jad jest i we mnie. Co mam robić? Nie zostawij mnie! Nie możesz mnie opuścić!

Artur pokręcił głową i odezwał się słabym głosem:

- To nie przekleństwo. Nie rozumiesz? To może być błogosławieństwem. Jesteś tak silny jak on. Możesz go pokonać. Możesz pokonać i Draculę, i hrabinę Batory - to mówiąc, uściśnął rękę chłopaka. Gdy kaszlnął, na jego ustach pojawiła się krwawa piana. Jego ciało zaczęło tężeć. Wyrzucił z siebie resztkę sił:
- Pochowaj mnie obok Lucy...

Chłopak patrzył bezradnie, jak w Arturze gaśnie życie. Nadszedł kres wszystkich jego zmagania. Quincey wreszcie zrozumiał, dlaczego ten człowiek przez tyle lat szukał śmierci. Ostatnie jego słowa to wyjaśniały. Dopiero ona dawała mu to, czego pragnął ponad wszystko inne - zjednoczenie z wielką miłością jego życia.

Quincey spojrział na swoje brudne zakrwawione ręce. Artur powiedział, że jego siła może być błogosławieństwem, bo dzięki niej może pokonać Draculę. Czy moc ta nie zdeprawuje go tak samo jak jego wroga? Czy zło nie przeniknie go na wskroś podczas pogoni za potworem, który nałożył na niego klątwę?

Tam gdzie wszystko się zaczęło.

Tuż za uchem usłyszał szept matki. Rozejrzał się wokół przestraszony. Nie było jej nigdzie w zasięgu wzroku. Nie było nikogo, poza tłumem gapiów.

Tam gdzie wszystko się zaczęło, mój synku.

Tym razem dźwięk brzmiał wyraźniej. To był głos jego matki, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Ale skąd dochodził?

Quincey delikatnie położył ciało Artura na ziemi. Nie wiedział, co robić. Nie miał żadnego planu. Był zupełnie sam.

Tam gdzie wszystko się zaczęło, mój synku.

Ta sama krew, która płynęła w Minie, obudziła się także w nim. Stoker w swojej książce opisał psychiczny kontakt między Draculą i Miną. To powiązanie utworzyło teraz trójkąt. Kolejnym razem wraz ze słowami Miny przyszły i obrazy: podupadły stary klasztor stojący na szczycie klifu, a obok cmentarz i kamienna ławka wychodząca na morze, którego fale uderzają o skały.

Wszystko zaczęło się w Whitby, w opactwie Carfax. Mina była tam razem z Draculą. Czekali na niego.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk alarmu. Słyszał turkot kół i stukot końskich kopyt. Prowadzony przez towarzyszących mu gapiów, nadjeżdżał wóz policyjny. Kiedy zatrzymał się przed hotelem, z powozu wysiadł wysoki policjant. Na jego widok Quincey zamarł. To on rozdawał plakaty z podobizną jego i Artura. Quincey zdecydował, że musi wreszcie skończyć całą tę koszmarną sprawę raz na zawsze.

Może zniszczenie Draculi było jego przeznaczeniem. Może Bóg pokazywał mu sposób, w jaki mógł wykorzystać swoją moc, czyniąc coś dobrego. Nic innego mu nie pozostało. Może powinien spróbować ocalić chociaż swoją duszę. Pojedzie do Whitby, do opactwa Carfax. Mając Boga po swojej stronie, stanie twarzą w twarz z tym diabłem. Jeśli zabije Draculę, być może przełamie klątwę i ocali siebie i matkę przed wiecznym potępieniem. A jeśli zginie w bitwie przeciw tak ogromnemu złu, to miał nadzieję, że ten czyn wystarczy Bogu i dzięki niemu zyska przebaczenie.

Wysoki policjant, który kierował poszukiwaniami, torował sobie drogę przez tłum. Pora uciekać.

Gdy rzucił się do ucieczki, usłyszał za sobą okrzyki przerażenia. Wyczuł zaskoczenie policjanta. Biegł z nadludzką prędkością, szybciej niż jakikolwiek z ludzi. Pozwolił klątwie działać. Nareszcie był wolny.

Rozdział LV

Słońce rozpoczynało swoją powolną wędrówkę po niebie. i Mina mieli za sobą całą noc jazdy. Kierowali się na północ i jak dotąd podróżowali w całkowitym milczeniu. Mina pogrążyła się w rozmyślaniach. Niezależnie jednak od tego, o czym myślała, wciąż wracała do niej ta sama kwestia - zaślepienie i obsesja wiedzą do zguby. Potwierdzeniem tego było wszystko, czego doświadczyła, mimo to nie mogła opanować złości. Po raz kolejny odtwarzała w pamięci straszliwe wydarzenia ostatniej nocy. Myślała o ogromie śmierci i zniszczenia, jakie zostawiła za sobą hrabina przez wieki swej krwawej działalności. Im więcej Mina o niej myślała, tym bardziej robiła się wściekła. A im bardziej robiła się wściekła, tym mocniej dociskała pedał gazu. Od ściskania drążka sterowniczego aż zbieleły jej palce. Nie dość, że hrabina ją zhańbiła i próbowała zamordować, to na dodatek groziła Quincyowi śmiercią. Mina nie miała już żadnych wątpliwości. Po raz pierwszy jej ludzka krew pulsowała w tym samym rytmie co wampiryczna. Pragnęła tylko jednego - raz na zawsze zniszczyć hrabinę Elżbietę Batory.

Wyprzedziła ciągnięty przez muła wózek z mlekiem. Przestraszone zwierzę nagle przystanęło, a mleczarz obrzucił ją stekiem wyzwisk. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, jak szybko jedzie. Musiała się opanować i przemyśleć wszystko spokojnie. Nie mogła pozwolić na to, by złość przejęła kontrolę nad jej decyzjami, wtedy niczym nie różniłaby się od hrabiny. W piętnastym wieku szlachta musiała wykazywać się bohaterstwem, by zjednać sobie ludzi. Ale to nie odwaga szlachty trzymała chłopów w posłuszeństwie, gdy przychodziło do płacenia podatków. Tym czymś był strach. Wieśniacy liczebnością przewyższali szlacheckie rodziny stukrotnie. Szlachta musiała więc być na tyle okrutna, by podtrzymywać w swoich poddanych strach, i na tyle brutalna, by odstraszyć rywali od potencjalnego ataku. Krew nie miała wtedy zbyt dużej wartości. Śmierć i zabijanie były na porządku dziennym, a brutalność powszechnie akceptowano jako formę społecznej kontroli. Jediną rzeczą, która różniła umiłowanych wład-



ców od znienawidzonych tyranów, było to, czy ich okrucieństwo miało uzasadnienie. To właśnie w tamtych mrocznych wiekach wzrastali i Elżbieta Batory. Byli ostatnimi relikami zamierchłej epoki.

Nagle Mina dostrzegła powóz stojący na środku drogi. Gwałtownie pociągnęła za hamulec, ostro skręciła kierownicą i zjechała na bok, o mało co nie rozbijając się o drzewo. Przez chwilę nie mogła dojść do siebie, tylko oddychała ciężko, aż wreszcie odważyła się spojrzeć na podłogę. Nawet nie drgnął. Leżał wciśnięty w kąt podłogi, przykryty kocem, osłonięty od słonecznego światła. Wydawało się, że nie ma pojęcia o tym, co się wokół niego dzieje. Mina westchnęła. Ta istota budziła w niej mieszane uczucia. Był zdolny do niezwykłej odwagi i głębokiej miłości, do tego lojalny, wierny i szczodry. Tyle że, oprócz tych wszystkich zalet, wyróżniała go skłonność do niewysłowionego okrucieństwa. Obawiała się tego, co może stać się z Quinceyem, gdy znajdzie się pod wpływem Draculi. I cóż z tego, że jej ukochany ochroni ich przed hrabiną, jeśli będzie to ze szkodą dla duszy jej syna?

spał. Dzień był dla niego czasem wypoczynku i regeneracji.

Mina próbowała w myślach wyśledzić hrabinę, ale natrafiała jedynie na widok przesłoniętego chmurami nieba. Nie wiedziała, jak powinna interpretować te obrazy. Być może to, że spróbowała tak niewiele krwi hrabiny, spowodowało, że nie mogła nawiązać lepszego, mocniejszego kontaktu. Bez wątpienia o to właśnie chodziło hrabinie. Oczywiście, tak straszliwie poparzona, musiała ukryć się na jakiś czas, by zaleczyć rany. Pytanie - na jak długo?

Mina wjechała z powrotem na drogę. Musiała znaleźć miejsce, które znała na tyle dobrze, by zaplanować obronę. Miejsce, które mogło zagwarantować bezpieczeństwo jej i Quinceyowi. Musiała dotrzeć do opactwa Carfax.

Właśnie wróciła do Anglii, kiedy dowiedziała się o śmierci Lucy. Mimo że Mina i Jonathan już byli wtedy małżeństwem, nie dane im było przeżyć nocy poślubnej. Jonathan nie ostraszył się jeszcze ze straszliwych przeżyć, jakich doświadczył w Transylwanii. Mimo to znalazł w sobie dość siły, by dołączyć do grupy, odszukać i zniszczyć skrzynie sprowadzone przez wampira. To właśnie tej nocy po raz pierwszy przyszedł do niej. Trudno opisać jej zaskoczenie, gdy odkryła, że książę jest tak samo zrozpaczony wiadomością o śmierci Lucy jak i ona. Całą odpowiedzialnością za cierpienie przyjaciółki obarczył van Helsinga. Nie wiedziała, w co wierzyć. Jej przystojny, opiekuńczy książę

w niczym nie przypominał potwora, o jakim opowiadał profesor. Ponieważ nie chciała przyznać się do spotkania z Draculą, Jonathanowi powiedziała, że prawdę o śmierci Lucy książę przekazał jej we śnie. Bojąc się, że bestia ma nad nią kontrolę, van Helsing zdecydował, że Mina powinna być wykluczona z dalszych działań grupy. Napisała wtedy w swoim dzienniku: „Przez tyle lat Jonathan pokładał we mnie pełne zaufanie, teraz nie mówi mi nic. Trudno mi się pogodzić z taką izolacją”.

Mina czuła wtedy wielką złość na męża, a ich stosunki były napięte. To właśnie wtedy gdy przebywali u Sewarda w Whitby, nocą przyszedł do niej. Przysiągł jej wieczną miłość i ofiarował spełnienie wszystkich marzeń i pragnień. Niczego nieświadomy Jonathan spał obok, gdy pozwoliła, by zabrał ją ze sobą do Carfax. To właśnie wtedy tam, w ruinach opactwa, pierwszy raz od wielu miesięcy czuła się naprawdę kochana. U boku Draculi znalazła spokój i bezpieczeństwo.

- Nie miałam nigdy odwagi wrócić do Whitby - rzekła na głos, jak gdyby sama chciała się przekonać, że postępuje słusznie. - Nie byłam w Carfax od tamtej spędzonej wspólnie nocy. Od kiedy...

Nie była w stanie dokończyć zdania, tak silne emocje wzbudziły w niej własne słowa. Tak, doskonale wiedziała, jak bardzo pragnie powtórzyć tamtą noc w Carfax.

Myslała, że śpi, zaskoczyło ją więc, kiedy nagle usłyszała jego głos:

- Jest tak, jak być powinno. Wszystko skończy się tam, gdzie się zaczęło.

Mówił jak wojownik. nie uznawał kompromisów. Hrabina - wręcz przeciwnie - przetrwała wieki, knując intrygi i wycofując się, gdy groziło jej niebezpieczeństwo. natomiast uderzał tam, gdzie inni bali się choćby postawić stopę. Musiał znaleźć ujście dla swojej odwagi, ale też dla okrucieństwa. Ale cena była wysoka - krew pociągała za sobą jeszcze więcej krwi. Ciągnęła walka nie dawała szans na normalne życie. A Mina nie chciała, by taka egzystencja stała się udziałem Quinceya.

Przyszłością był jej syn. Musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, by przeżył. Dzięki krwi, która płynęła w jej żyłach, miała siłę, by obronić syna przed hrabiną - a on potrzebował teraz ochrony bardziej niż kiedykolwiek. Nie znał jeszcze prawdziwej mocy wampirów. Wiedziała, że wiadomość, którą przesłała mu w myślach, dotarła do niego i że jest w drodze do Carfax. Jeśli dobrze oszacowała czas potrzebny hrabinie na zebranie sił, mieli spore szansę na ucieczkę.

Jeżeli Quincey dotrze do opactwa, zanim hrabina ich namierzy, może uda się im wsiąść na statek do Ameryki. Gdy ukryje Quinceya gdzieś w bezpiecznym miejscu, poza zasięgiem hrabiny, wróci do Anglii i zamiast uciekać przed pościgiem, zacznie sama polować na wampirzycę. Ofiara stanie się drapieżcą. Razem z Draculą wytropią hrabinę, dowiedzą się, gdzie kryje się w ciągu dnia, i zniszczą ją, gdy będzie leżała bezbronna w trumnie.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi. Jechali już od wielu godzin i Mina miała czas, by przemyśleć wiele spraw. Na szczęście, racjonalne myślenie wygrało z pierwotnymi instynktami. Zaślepienie i obsesja być może cechowały hrabinę, Cotforda i Draculę, lecz nie ją. Ona i Quincey przetrwają, ponieważ wiedzą, kiedy się wycofać. Poczekają, a gdy nadejdzie odpowiedni moment - uderzą.

Sierżant Lee otworzył drzwi szafy i przyczajony za nimi, ostrożnie spojrzął w ciemność. Nic, jedynie wiszące na wieszakach ubrania. Zamykając szafę, wyjrzał przez okno i przyjrzał się nocnemu niebu. Padał deszcz. Z oddali dobiegł grzmot, a zaraz po nim pojawiła się błyskawica. Zaciągnął zasłony.

- Teren czysty, nie ma się czego obawiać.

- Jeszcze pod łóżkiem - szepnął lekliwie głos za jego plecami.

No tak. Jeszcze pod łóżkiem. Z jego wzrostem nie było mu łatwo tarzać się po podłodze, ale dla świętego spokoju usłuchał. Wsadził głowę po łóżko. Nic. Nawet zagubionej skarpetki.

- Czysto - oświadczył. - Nie ma tu żadnych potworów.

Gdy podniósł się na nogi, ujrzał pełne ulgi twarze swoich dzieci - pięcioletniego syna i czteroletniej córki. Uśmiechnął się do nich. Oboje leżeli w łóżkach schowani pod kołdrami. Nienawidził okłamywać swoich dzieci. Dobrze wiedział, że potwory istnieją naprawdę. Nie te z dziecięcej wyobraźni, takie jak gobliny czy trolle, ale prawdziwe bestie, które czaiły się w ciemnych zaułkach Londynu, by wyrządzić krzywdę innym. Robił wszystko, by je doprowadzić przed oblicze sprawiedliwości. Ale wolał, żeby jego dzieci pozostały nieświadome ich istnienia, dopóki się tylko da.

Wyglądził kołdry, pochylił się i ucałował dzieci.

- Dobranoc. Kolorowych snów.

- Nie zapomnij o drzwiach, tatusiu - wyszeptala córka.

- Będą uchylone, jak zawsze. - Lee uśmiechnął się. - Kocham was - dodał. Jego dzieci uważały, że światło z korytarza odstrasza potwory.

Gdyby tylko to było takie proste.

Gdy wyszedł na korytarz, żona czekała już na niego, by powiedzieć mu dobranoc. Dostrzegł malującą się na jej twarzy troskę, wziął ją więc pod ramię i zaprowadził do salonu. Musiał z nią porozmawiać, ale nie chciał, by usłyszały to dzieci.

- Co im powiesz? - spytała z wyraźnym niepokojem.

- Nie martw się. Wszystko będzie dobrze - odparł.

Telegram, który otrzymał ze Scotland Yardu wczesnym wieczorem, bardzo go przygnębił, a jego żony omal nie przyprawił o atak hysterii. Był on oficjalnym potwierdzeniem smutnych wieści zasłyszanych już od inspektora Huntleya, który tego ranka odwiedził okolice stacji Strand. Inspektor Cotford, koroner, konstabl Price i towarzyszący im policjanci, wszyscy zginęli. Szefowie Scotland Yardu mieli wiele pytań i Lee miał rozpocząć dzisiejszą nocną zmianę od zeznań w biurze zastępcy komisarza na temat poczynań inspektora Cotforda. Otrzeptał kurz z kolan i poprawił śnieżnobiałą koszulę.

Gdy tylko dowiedział się, że Cotford zginął, spełniając swoją misję, chciał natychmiast kontynuować jego śledztwo. Ale gdy pierwszy gniew minął, zdał sobie sprawę, że nie może sobie pozwolić na zemstę. Nie chciał, by obsesje zawładnęły nim tak samo jak Cotfordem. Wiedział, że van Helsing i Cotford byli podobni do siebie bardziej, niż kiedykolwiek chcieliby się do tego przyznać. Poddali się swym mrocznym maniom. Czy wyznanie prawdy wróci Cotfordowi życie albo potwierdzi tożsamość Kuby Rozpruwacza? Nie. Za to on, Lee, dostanie naganę albo od razu zostanie zwolniony za udział w nielegalnym śledztwie. Nie może ryzykować kariery, mówiąc zwierzchnikom to, czego nie chcą słyszeć. Jak wyżywi rodzinę, nie mając pracy? Zapewnienie bliskim wysokiego poziomu życia - to jest kryterium, według którego powinien być oceniany mężczyzna, a nie to, ilu przestępców zakuł w kajdanki. I to go różniło od Cotforda. Wiedział, że ta praca to walka z wiatrakami, że przestępczości nie da się wyeliminować. Lee spojrział w stronę dziecięcego pokoju i wyobraził sobie swoje pociechy pogrążone w spokojnym śnie. Nie czuł się winny z powodu tego, że postanowił zdradzić inspektora Cotforda i okłamać przełożonych. Składając oficjalne zeznanie, stwierdzi, że Cotford postradał zmysły, co zresztą nie będzie aż tak dalekie od prawdy. Powie też, że zdał sobie sprawę z szaleństwa inspek-

tora i właśnie z tego powodu odmówił przyłączenia się do śledztwa w sprawie tajemniczych zabójstw. A nie poinformował przełożonych o jego poczynaniach, ponieważ nie chciał spiskować za jego plecami i działać tym samym wbrew regulaminowi. Huntley obiecał mu, że nie zostanie powiązany ze sprawą. A zastępca komisarza, będąc tak jak Lee dawnym wojskowym, powinien przyjąć to wyjaśnienie i uszanować jego lojalność. Taki obrót sprawy może nawet pomóc mu w karierze, ukazując go jako człowieka godnego zaufania.

Włożywszy płaszcz i kapelusz, ucałował żonę i poprosił, by położyła się spać. Gdy tylko usłyszał dźwięk zamykanych drzwi sypialni, wrócił ukradkiem do swojego gabinetu i otworzył dolną szufladę. Wyjął stamtąd stary, sporządzonej jeszcze przez Abberlinea profil podejrzanego - ten sam, który Cotford znalazł w aktach Kuby Rozpruwacza w archiwum Scotland Yardu. Ciarki przeszły mu po plecach.

Gdy wrócił do salonu, podsycił ogień w kominku. Znowo odezwało się w nim poczucie winy. Na podstawie dowodów zebranych w Midland Grand Hotel wydedukował, że to Artur Holmwood zaatakował van Helsinga, potem obaj zginęli na skutek upadku. Jeśli Cotford miał rację i van Helsing rzeczywiście był Kubą Rozpruwaczem, wówczas sprawa jest zakończona. Inspektor nigdy nie szukał chwały. Pragnął jedynie sprawiedliwości, a jej stało się zadość. Natomiast jeśli chodzi o Minę Harker... No cóż, nigdy nie mieli mocnego dowodu na to, że miała związek z którąkolwiek z badanych przez nich zbrodni. Jednakże Lee był pewien, że to Quinceya Harkera widział pochylonego nad ciałem Holmwooda. Nie mógł jednak spekulować, powinien trzymać się faktów, a fakty były takie, że nie miał nic na młodego Harkera. Za to sprawa morderstw przy Fleet Street należała do Huntleya. Niech więc inspektor się tym martwi.

Wrzucił akta van Helsinga do kominka. Ogień strawił je natychmiast. Lee skończył z Kubą Rozpruwaczem. Nieważne, czy była to słuszna decyzja. Postanowił nigdy już nie wracać do tej historii. I miał nadzieję, że Bóg mu to wybaczy.

Skłębione chmury zakryły księżyc, pograżając całą okolicę w ciemności. Pędzący wzdłuż wybrzeża koń zadrżał, słysząc odległy huk pioruna. Gdy chwilę później błyskawica przecięła nocne niebo, stanął dęba, a potem spłoszony, pogalopował przed siebie. Quincey chwycił mocniej lejce, by nie wylądować na ziemi. Kiedy już udało mu się opanować zwierzę, poklepał je przyjacielsko po karku.

Miał wrażenie, że pogoda robi wszystko, by opóźnić jego podróż. Czy aby Stoker w swojej książce nie pisał, że księżę może kontrolować aurę? Już mało kto ocalał, by potwierdzić słowa pisarza. wie, że przybywam - pomyślał.

Spiął konia, zmuszając go ponownie do galopu. To przez tę krew. wiedział o wszystkim, co dzieje się w jego głowie. Nie było mowy o zaskoczeniu. Quincey rozumiał, że jego szansę na wygraną są znikome, mimo to nie zamierzał odstąpić od obranego celu. musiał zginąć.

Gdyby jeszcze dwa miesiące temu ktoś zapytał go, czy wierzy w siły nadprzyrodzone, zaśmiałby mu się w twarz. Teraz wiedział już, jak bardzo się mylił. To jemu przypadło zadanie dokończenia mrocznej misji, jaką dwadzieścia pięć lat temu rozpoczęła grupa śmiałków.

Mknąc przez wrzosowiska, zastanawiał się nad swoim przeznaczeniem. Po raz pierwszy w życiu droga, którą podążał, była wolna od poczucia winy, wyrzutów sumienia, strachu czy niepewności. Tym razem dobrze wiedział, czego chce. Mówi się, że ci, którzy zaprzeczają swojemu powołaniu, nigdy nie odniosą sukcesu. Zastosował to myślenie przy wyborze swojej kariery. Tyle że jego skutki okazały się dużo poważniejsze, niż mógłby się spodziewać.

O mały włos zleciałby z konia, na szczęście w ostatniej chwili uchylił się i uniknął uderzenia gałęzi, która niespodziewanie przed nim się pojawiła. Tylko za sprawą nowo odkrytych mocy i dzięki błyskawicznemu refleksowi nie leży właśnie na ziemi z rozbitą głową. Byłaby to wyjątkowo bezsensowna śmierć. Quincey nigdy szczególnie o niej nie rozmyślał. Był młody i jeszcze do niedawna uważał się za niepokonanego. Gdyby to tylko była prawda. Czuł, jak wraz z nadchodzącą burzą narasta w nim żądza krwi. Przypomniał mu się cytat z *Makbeta* - roli, o której wiedział, że nigdy nie będzie miał okazji zagrać na scenie: „Mam jeszcze miecz i w tarczy mam osłonę: dopóki walczę, nie wszystko stracone. Stawaj!”¹⁹.

Kiedy hrabina Elżbieta Batory lądowała na schodach bazyliki Saint Denis, nocne niebo zaczynało powoli ustępować blademu błękitowi jutrzeńki. Gdyby ktoś ją teraz ujrzał, mógłby pomyśleć, że to jeden z gargulców zszedł z dachu i przystanął u stóp świątyni. Czarna opończa skrywała poparzone ciało i niemal całkowicie zlewała się z ciemnymi murami bazyliki.

¹⁹ William Shakespeare, *Romeo i Julia. Hamlet. Makbet*, akt V *Makbeta*, scena VII, tłum. S. Barańczak, Kraków 2006, s. 551.

Skierowała się w stronę wejścia do kościoła. Doskwierał jej straszliwy ból. Ogień poparzył ją dotkliwie, wywołując ściągnięcie mięśni. Każdy ruch wywoływał szarpnięcie w powoli regenerującym się ciele. Marzyła o odpoczynku w pełnych miłości objęciach swoich Kobiet w Bieli. One skwapliwie zajęłyby się jej ranami i zrobiłyby wszystko, by spełnić każdą jej zachciankę. Jakże tęskniła za ich kojącymi słowami i czułym dotykiem. Ale jej przyjaciółki nie żyły. Dwa kolejne powody, by zadać ból Draculi i Minie.

Spojrzała na wyrzeźbione nad kamiennym portalem wyobrazenie Trójcy Świętej. Choć mogła zwyczajnie wejść do środka, to świadomość, że jest to dom Boży, kazała jej wkroczyć tak, by przypomnieć Mu o swojej sile. Zadowolona, rozłupała ciężkie drewniano-żelazne drzwi. Nawet tak zraniona, wciąż była niezwykle silna. Ściągnęła kaptur i przeszła wyzywającym krokiem przez ogromny gotycki przedsionek słynnej królewskiej nekropolii, miejsca wiecznego spoczynku wszystkich francuskich monarchów. Jej oko spoczęło na figurze Chrystusa konającego na krzyżu. Nawet Jego Syn był słabszy od niej.

Gdy promienie wschodzącego słońca dotknęły okien, witraże zamigotały żywymi kolorami. Nie zwracając uwagi na ból, który ogarnął jej ciało, hrabina przeszła obok rzeźb ostatnich królów z dynastii Burbonów w kierunku grobowców. Podłoga pięknie zdobionego wnętrza pokryta była onyksowymi płytami nagrobnymi. Ludwik XVI leżał po prawej stronie, a Maria Antonina po lewej. Złote litery na czarnym kamieniu głosiły: „Maria Antonina Austriaczka, 1755-1793”. Ale hrabina wiedziała, że nie złożono tu szczątków królowej. To znaczy - nie wszystkich. Spojrzała na nieoznaczoną onyksową płytę umieszczoną przed grobem Marii Antoniny. Zacisnęła zęby i rozbiła ją poczerniałą ręką. Ze środka wyciągnęła ozdobioną krzyżem szkatułkę z kości słoniowej. W oku hrabiny zabłysła łza. Krwawy pot wystąpił na poranioną twarz, sprawiając jej jeszcze większy ból. To pudełko było prezentem od kogoś, kogo szczerze kochała. wyrzucił jej, że nie jest zdolna do takiego uczucia. Jak bardzo się mylił. Prawda była taka, że z rozpaczy po śmierci najdroższej osoby gotowa była spalić świat. Chciała zemścić się na tych, którzy ją skrzywdzili. Zawartość pudełka była w swoim czasie rzeczą najdroższą jej sercu. Ostatnim razem gdy stała w tym miejscu, podważyła ten sam kamień i ukryła pod podłogą pudełko. To był jej rewanż, prezent dla ukochanej, znak, że jej śmierć została pomszczona. A także obietnica, że cały świat i sam Bóg zapłacą za to, co jej uczynili.

Nie zważając na ból w palcach, szarpnięciem podważyła wieczko. Światło świec odbiło się od ukrytego w środku przedmiotu. Hrabina delikatnie przejechała po nim palcami: był to nóż Bowie poplamiony zaschniętą krwią. Ten, który należał do Teksańczyka, Quinceya P. Morrisa, i który przebił pierś Draculi dwadzieścia pięć lat temu. Chcąc przypieczętować odnowienie swego przyrzeczenia, polizała zaschniętą krew na wciąż ostrym nożu. To była krew Draculi. I smakowała wybornie. Tym nożem zada ostatni cios swojemu wrogowi.

Ostrożnie odłożyła pudełko na miejsce. Podczas ostatniego spotkania z Draculą popełniła błąd. Nie doceniła jego i Miny. Drugi raz go nie powtórzy. Nie miała wątpliwości, że w żyłach Miny płynie krew Draculi. Hrabina uśmiechnęła się, nie zważając na ból zwęglonej twarzy. Ona także piła jego krew. Przygwoździ go tym nożem do ściany i każe mu patrzeć, jak odrywa Minie głowę. I zanim umrze, będzie oglądał ją, Elżbietę Batory, kąpiącą się w krwi tej dziwki.

Tym razem zależało jej na czasie. Jeśli ma odnieść zwycięstwo, musi działać szybko. wciąż nie miał zbyt wiele siły, a Mina ciągle była tylko śmier-telniczką. Hrabina przypuszczała, że księżę będzie próbował przekonać ukochaną, by dołączyła do szeregów nieumarłych. By ich zniszczyć, musi ich dopaść, zanim to się stanie. Musi uderzyć, i to szybko.

Odwróciła się i skierowała w stronę wyjścia. Był jeszcze jeden śmiertelnik, który miał w sobie tę przeklętą krew: Quincey Harker. Syn Miny również musi zginąć. Gdy zabraknie tych dwojga, hrabina zgniecie Draculę jak insekta. A wtedy już nikt nie będzie w stanie stawić jej czoła. Boży świat stanie się jej zabawką.

- *Que faites-vous?* - rozległ się za jej plecami męski głos.

Odwróciła się i ujrzała młodego mnicha trzymającego latarnię. Na jej widok zamarł z przerażenia. Stał po przeciwnej stronie przedsionka, ale wyczuła jego strach.

- *C'est le Diable!* - krzyknął.

Nazwał ją diabłem. No, to nie do końca tak. Hrabina ruszyła w jego stronę. Chociaż uwielbiała Lucyfera za jego odwagę zerwania z niebem, miała nadzieję, że uda jej się odnieść sukces tam, gdzie jemu się nie powiodło.

Podeszła bliżej. Mnich wyciągnął krzyż i krzyknął:

- *Sanctuaire!*

Co za głupiec! Przecież dla niej nie było miejsc świętych. I natychmiast rzuciła się na niego.

- *Antichńście!*

Uciszyła go wreszcie, zanurzywszy kły w jego szyi. Po wykwintnej krwi Draculi krew mnicha smakowała jak tanie wino mszalne. To nie miało znaczenia. Dzięki niemu nasyci swój głód, zanim wyruszy w drogę powrotną do Anglii.

Po wypiciu ostatniej kropli rzuciła ciałem mnicha przez nawę, rozbijając je o rząd wotywnych świec. Potem dla ochrony przed słońcem nasunęła kapтур aksamitnej opończy na poczerniałą głowę, opuściła kościół i ruszyła przez uliczki Paryża. O tak wczesnej porze po mieście kręciło się niewielu ludzi, a ci, którzy ją widzieli, mogli wziąć ją za przemykający cień. Już czuła uzdrawiające działanie świeżo wypitej krwi. Ból powoli ustępował. Zanim słońce wzejdzie nad horyzont, ona będzie z powrotem w Anglii. Jej stopy oderwały się od ziemi. Przebijając warstwę chmur, spojrzała jeszcze na znikający pod nią ląd i poszybowała nad kanałem La Manche. Już niedługo znajdzie schronienie przed słońcem w swoim czarnym powozie. Gdy zaśnie snem wampira, jej ciało się zregeneruje. W tym czasie jej klacze ruszą do miejsca zwanego Whitby. Tam, w zrujnowanym opactwie, hrabina da upust swoim pragnieniom. Doskonale. Boży wojownik zginie w jednej z Jego zrujnowanych świątyń. A ona sięgnie po iskrę, za pomocą której Lucyfer próbował spalić niebo, sprowadzi ją na ziemię i roznieci ogień, który pochłonie świat.

Rozdział LVI

Kiedy mijali stary letni domek rodziny Westenrów, Mina zwolniła, by mu się przyjrzeć. Widok był tak znajomy, że prawie widziała wybiegającą ze środka Lucy.

Przypomniała sobie dzień, kiedy ją poznała. Były wtedy nastolatkami. Rodzice Miny prowadzili w Whitby sklep. By mogli jakoś związać koniec z końcem, Mina musiała w wolnym czasie pomagać im w pracy, przez co nie dane jej było cieszyć się zabawą i towarzystwem rówieśników. Lucy z kolei była bogatą dziewczyną mieszkającą na wzgórzu. Ona też czuła się wyizolowana, lecz nie z powodu braku przyjaciół. Miała w sobie ogromną ciekawość i nienasycony apetyt na życie. Pewnego letniego ranka wymknęła się z domu i sama pojechała do miasta, by zobaczyć, jak żyją „prości ludzie”, jak nazywała ich jej matka. Tego dnia trafiła do sklepu rodziców Miny, by kupić sobie nieco słodczy. Mina z początku myślała, że to litość dla smutnej, samotnej, „prostej” dziewczyny kazała Lucy zaproponować jej przyjaźń, ale uczucie okazało się szczere. Przyśpieszyła. Spoglądając na drogę, zwróciła wzrok ku górującemu nad miastem klifowi. Na tych zdradliwych skałach wznosił się jej cel, opactwo Car-fax. Na samym szczycie znajdowała się kamienna ławka, na której znalazła pogrążoną w lunatycznym śnie Lucy. Dziewczyna miała na szyi dwie niewielkie ranki. Ślady, które, jak się jej wydawało, pozostawiła sama Mina, nieudolnie upinając szal na ramionach przyjaciółki. Tej samej okropnej nocy rozbił się statek „Demeter” i wkroczył w ich życie.

Odległy grzmot pioruna przerwał jej rozmyślenia. Z południa nadciągały ciemne chmury, a morze zaczęło huczeć od skłębionych fal. Burza była coraz bliżej. Mina musiała dostać się na szczyt klifu, zanim wezbrane deszczem wody rzeki wyleją, rozmywając drogę. Nacisnęła na gaz. Samochód minął sto dziewięćdziesiąt dziewięć stopni, które prowadziły na szczyt wzgórza. Mina i Lucy lubiły się po nich ścigać. Lucy ze swoim mnóstwem szeleszczących hałek zawsze przegrywała, ale i tak za każdym razem na nowo podejmowała wy-



zwanie. Na kamiennej ławeczce opowiadała Minie o swoich trzech zalotnikach, Quinceyu P. Morrisie, Arturze Holmwoodzie i Jacku Sewardzie. Niech Bóg ma ich w swojej opiece.

Samochód minął hotel, który był niegdyś letnią rezydencją Holmwoodów. Gdy zaczął padać deszcz, Mina wjeżdżała właśnie na drewniany most zawieszony ponad wzburzoną rzeką Esk. Zaczęła myśleć o nocy, gdy przybył do Whitby. To tam spotkał Lucy po tym, jak opuścił „Demeter”. Statek stał się dla niego głodową pułapką. Marynarze byli ciężko chorzy, a ich skażona krew nie nadawała się do picia. Nie mógł się też żywić szczurami, gdyż i one były nosicielami zarazy. Chociaż dla niego choroba nie była zagrożeniem, taka krew mogłaby go doprowadzić do śmiertelnego zatrucia. Każdy głodny człowiek po tak długim poście rzuciłby się żarłocznie na jedzenie, wydawałoby się więc, że powinien wysać z Lucy krew aż do ostatniej kropli. Mimo to on zaspokoił tylko pierwszy głód, tak by Lucy przeżyła, i pozostawił ją na kamiennej ławeczce, gdzie znalazła ją Mina. Na swój sposób okazał się miłosierny.

Trzask. Stary butwiejący most zaczął buntować się przeciwko ciężarowi samochodu. Mina zaczęła się zastanawiać, czy nie zawrócić. Most zaprotestował gwałtowniej. Chmury burzowe nie zakryły jeszcze słońca, a zatem nie mogła porzucić samochodu i zostawić Draculi na pastwę losu.

Trzask. Już miała zacząć się cofać, kiedy wyciągnął rękę spod koca i przycisnął jej stopę. Samochód rozpędził się do maksymalnej prędkości. Ostatnie kilka metrów pokonali na moment przed zawaleniem się mostu. W chwili gdy tylne koła dotknęły ziemi, konstrukcja runęła do spienionej rzeki. skrył się z powrotem przed promieniami zachodzącego słońca.

Samochód z mozołem piał się po stromej Green Lane. Koła buksowały na błotnistej drodze. Dojechawszy do rozwidlenia, Mina zwolniła i skręciła w Abbey Lane. Ujrzała znajomy budynek, w którym mieścił się niegdyś zakład doktora Sewarda. Biedny Jack. Miał takie dobre serce.

Zbliżali się do opactwa. Drzewa zniknęły, jak gdyby cała okolica była przeklęta i żadne życie nie miało tu szans na przetrwanie. Burzowe chmury zasnuły niebo. Nareszcie dotarli do celu podróży. Zrujnowane mury opactwa osadzone na niegościnnym klifie górowały nad uśpionym Whitby. Monumentalna gotycka budowla o pustych strzelistych oknach pięła się ku niebu i w uroczystej ciszy pełniła straż nad przyległym spowitym mgłą cmentarzem, otulając go upiornymi cieniami. Gdy dwadzieścia pięć lat temu Mina przekraczała próg opactwa,

przyszła tu po to, by pożegnać się ze swoim księciem. Teraz przybyła tu w tym samym celu.

Plan, który ułożyła, był następujący: zostawi Draculę, by w pojedynkę odparł atak hrabiny, a ona tym samym zyska czas, by wywieźć Quinceya za ocean. Rozumiała, że jej nie odmówi, ale opuszczenie go w walce mogło oznaczać dla niego tylko jedno - śmierć. Wzdrygnęła się. Czyżby była tak zimna i wyrachowana? Tak. Wiedziała, że dla syna zrobi wszystko.

Zatrzymała samochód przy zachodniej bramie opactwa.

- Dojechaliśmy - rzekła, gasząc silnik. - Słońce już zaszło.

zaczął się podnosić na siedzeniu, otworzył drzwi i wyszedł z samochodu. Koc zsunął się z jego barczystych ramion. Stojąc w deszczu, odchylił głowę do tyłu, zamknął oczy i wciągnął głęboko powietrze. Błyskawica, która przecięła nocne niebo, oświetliła jego postać. Na ciele nie było już żadnych śladów zadanych ran, choć stracił dużo krwi. Wyglądał tak, jak zawsze pamiętała go Mina: groźnie i po królewsku. Tak jakby powrót do Carfax wlał w niego nowe życie.

W oddali rozległo się niesione silnym wiatrem wycie. Mina nie wiedziała, czy to pies, czy wilk. odwrócił się w stronę, skąd dobiegał dźwięk, ale jego niewzruszona twarz nie zdradziła Minie, czy to zawodzenie było powitaniem, czy ostrzeżeniem.

Deszcz dudnił o ziemię, gdy wyciągnął do niej rękę. Każda chwila przybliżała ją do decyzji, której tak się obawiała. Ujęła jego dłoń i przeszli szybko w stronę wejścia do opactwa.

Czarny powóz hrabiny Batory mknął na północ. Gdy wyjrzała przez okno, okazało się, że ciemność znów spowiła ziemię. Spała wiele godzin. Lot do Francji i z powrotem kosztował ją sporo wysiłku. Spojrzała w lustro na swoją zniszczoną twarz. Krew mnicha pozwoliła jej odzyskać siły, ale nie zaczęła regenerować ran. Może to i lepiej - pomyślała. Taka jej postać może uspić czujność Draculi, dając mu złudne poczucie przewagi, co w nadchodzącej bitwie może wyjść na jej korzyść. Och, jak ona uwielbiała tę grę.

Zaśmiała się. zawsze miał o sobie zbyt wysokie mniemanie. Ostatnia noc w metrze pokazała to, o czym tak naprawdę zawsze wiedziała: jest od niej słabszy. Popelnia błędy. Nie wypił z Lucy Westenry całej krwi i w ten sposób zostawił świadka, który sprowadził na niego grupę nieustraszonych. Nie

* ^

wyciągnął wniosku z lekcji, która niemal doprowadziła do jego zguby. Rzadko żywił się ludzką krwią. To była jego największa słabość. Nie potrafił zaakceptować tego, czym tak naprawdę jest. Był wampirem, ale ciągle myślał o sobie jak o człowieku. Minęło już ponad pięćset lat, a on wciąż nie był w stanie przyjąć bez poczucia winy tego mrocznego daru i boskiej mocy nieumarłych. Powóz pędził wzdłuż wybrzeża, a hrabina śniła o chwili, kiedy to obejmie cały świat w swe niepodzielne władanie. Jej czas nadchodził. Czuli to.

Rozdział LVII

H śki ury opactwa Carfax odzwierciedlały przeszłość Miny. Niegdyś [w] wspaniałe, pełne nadziei i obietnic, teraz zaś zniszczone działaniem czasu, stały się jedynie pustą skorupą pozbawioną życia. Nawet pokryte kurzem pajęczyny na ścianach i połamanych świecznikach zostały opuszczone przez swoich budowniczych. Wiatr wiejący od nadciągającej burzy gnał po korytarzach opuszczonego opactwa. Zewsząd dobiegały ją jęki i świsty, jak gdyby uwięzione w murach duchy przeszłości domagały się uwolnienia. Ta budowla była świadkiem wielu krwawych konfliktów, poczynając od wojny rzymsko-celtyckiej, przez inwazję wikingów, aż do wojen saksońsko-normandzkich. W młodości Mina nigdy nie zapuszczała się nocą na te tereny ze strachu, że natknie się na duchy, które podobno często widywano w okolicach opactwa.

Znajdowała się teraz w wielkiej kamiennej komnacie będącej niegdyś biblioteką, w której mnisi w ciszy studiowali swoje księgi. Był to pierwszy pokój, który książę odnowił po swoim przyjeździe do Whitby ćwierć wieku temu. Stare meble przykryte zakurzonymi prześcieradłami wyglądały jak duchy. Butwiejące drewniane półki ugięły się od tomów zapisanych w każdym możliwym języku. Pokrywający je kurz był tak gęsty, że Mina z trudem odróżniała kolory okładek, nie mówiąc już o tytułach. Zerknęła na pęknięte lustro wiszące nad kominkiem. Choć ujrzała w nim młodą kobietę, czuła się tak stara i pozbawiona życia jak to niszczone opactwo. Dostrzegła orzechową skrzynię, którą przywiozła ze sobą do Whitby w 1888 roku. Choć mieszkała wtedy w Londynie, po wyjeździe Jonathana do Transylwanii postanowiła spędzić lato z Lucy. Gdy zawiązał się jej romans z Draculą i zaczęła planować wraz z nim ucieczkę z Anglii, przewiozła tę skrzynię do opactwa. Potem jednak rozsądek wziął górę i zmieniła zdanie. Ponieważ chciała szybko zapomnieć o swojej zdradzie, opuściła opactwo w pośpiechu i zapomniała o skrzyni. Gdy teraz ją odkryła, uśmiechnęła się - wyglądało na to, że los znał jej przeznaczenie na długo przed nią.

Otworzyła skrzynię i znalazła w niej sukienkę, którą dostała od Lucy. Nigdy jej nie włożyła. Wówczas uznała jej styl za zbyt prowokacyjny. Ale teraz, dwadzieścia pięć lat później, wyglądała ona jak skrojona według najnowszej paryskiej mody. Być może Lucy żyła w nieodpowiednich czasach. Mina spojrzała na czarną nobliwą suknię, którą miała na sobie. Ubierała się jak matrona w średnim wieku w próżnej nadziei, że ułagodzi Jonathana. Nie musiała już dłużej tak robić. Czarna suknia opadła na pokrytą gruzem posadzkę. Mina sięgnęła do skrzyni i po chwili poczuła, jak lekki miękki materiał otula jej ciało. Z poczuciem winy pomyślała, że chciałyby się tak ubierać dla Jonathana. Spojrzała w lustro. Wyglądała dużo bardziej powabnie i kusząco. Migoczące światło z kominika odbiło się od złotego krzyżyka spoczywającego na jej piersi.

Nie mogąc już dłużej spoglądać na swoje odbicie, Mina podeszła do katedralnego okna. Jej miarowe kroki odbiły się echem w pustej sali. Wyrzała na zewnątrz. Światło błyskawicy rozjaśniło upiorną okolicę, rzucając długie cienie między nagrobkami. Czowała, że Quincey jest coraz bliżej, i miała nadzieję, że dotrze do opactwa, zanim burza rozpęta się na dobre. Zaraz po jego przybyciu zamierzała przedstawić Draculi swój plan.

- Do twarzy ci w tej sukni - usłyszała za sobą jego głos. Nie słyszała, jak wszedł. Bała się odwrócić w jego stronę, żeby nie zmienić postanowienia. A może jeszcze bardziej obawiała się, że ulegnie swoim mrocznym pragnieniom. On nie ukrywał pożądania w swoim głosie, gdy dodał: - Jesteś uczną... dla oka.

- Znalazłam swoją starą skrzynię - odpowiedziała powoli. Uświadomiła sobie, jak odważna jest jej suknia i jak wiele odkrywa. - Zostawiłam tu dużą część swej przeszłości.

Zapadła krepująca cisza. zrozumiał ukryte znaczenie jej słów.

- Ten dom, tak jak i ja, należy do ciebie.

Jego głos brzmiał smutno, melodyjnie i hipnotycznie. Mina zdała sobie sprawę, jak bardzo za nim tęskniła. Nie! Nie powinna myśleć o sobie. Musi pamiętać o synu. Teraz liczy się tylko Cjuincey i jego ucieczka, może tego nie zrozumieć.

Nagle dotarł do niej obraz Quinceya pędzącego na koniu. Ubranie miał poplamione krwią... Został postrzelony? Na myśl o tym ogarnęła ją wściekłość. Zaczęła krzyczeć:

- Jak mogłeś narazić Quinceya na niebezpieczeństwo?! Van Helsing mógł go zabić!

- Van Helsing oczernił mnie, próbując wyolbrzymić swoje zasługi w opisaną przez Stokera historię - odparł twardym głosem, w którym nie słychać było żalu. Zrobił krok w jej stronę, jednak Mina odwróciła się do niego plecami, nie chcąc pozwolić, by znowu się zbliżył. - Nigdy nie szukałem zemsty na Jonathanie ani na reszcie za to, że chcieli mnie zabić. Rozumiałem, że w gruncie *xutcpj* mieli szlachetne intencje, gdyż próbowali cię chronić. Ale van Helsing przekroczył granicę.

Jego głos zmiękł. podszedł jeszcze bliżej i stanął za jej plecami. Mina odwróciła głowę i zauważyła, że wpatruje się w czarny horyzont za oknem, rozświetlany raz po raz błyskami latarni morskiej.

- I Quincey zmusił go, by za to zapłacił - dodał.

Mina poczuła, że krew w niej tężeje. Ze sposobu, w jaki wypowiedział imię jej syna, wyczuła, że ma wobec niego swoje plany.

- Odebrałbyś mi jedynego syna? - spytała zimno.

- By przetrwać to, co nadchodzi - potwierdził beznamiętnym głosem. - Quincey musi zaakceptować prawdę. Musi pogodzić się z tym, kim jest.

Serce Mina zaczęło gwałtowniej bić.

- To nie my powinniśmy decydować o jego losie.

Quincey galopował wzdłuż Zatoki Robin Hooda. Fale rozbijały się z hukiem o skały. Zimny kwietniowy wiatr przybierał na sile. Grzmot, który rozległ się w niebie, brzmiał jak nawoływanie do bitwy.


Koń nagle wierzgnął, a potem padł na błotnisty brzeg. Quincey wyleciał z siodła. Podniósł się z błota i chwiejnym krokiem zbliżył do konia. Obawiał się, że jego wierzchowiec złamał nogę. Gdy przykląkł przy nim, ujrzał, że koń pokryty jest gęstym potem. Z trudem oddychał. Droga bez chwili wytchnienia wykończyła go. Zwierzę było bliskie śmierci.

Błyskawica przecięła nocne niebo. Quincey dojrzał ruiny opactwa wznoszące się na dalekim klifie. Był coraz bliżej celu.

Koń spróbował się podnieść, ale znowu upadł. Nie był w stanie utrzymać się na nogach. Quincey nie miał czasu, by czekać, aż zwierzę wydobrzeje. Pogłaskał je po grzywie. Choć sam był gotów zginąć za tę sprawę, nie wymagał od konia takiego poświęcenia.

Nie mając czasu do stracenia, ruszył pieszo w dół śliskiej skalistej ścieżki na spotkanie ze swoim przeznaczeniem.

Rozdział LVIII

zasy, gdy dzieci były pionkami w wojennej grze dorosłych, dawno już minęły. Zostaw mojego syna w spokoju - powiedziała Mina. Wiedziała, że stąpa po cienkim lodzie. Przywoływanie bolesnego dzieciństwa Draculi nie było bezpiecznym manewrem. Wieki temu oraz jego młodszy brat Radu zostali zakładnikami tureckiego sułtana. Te lata rozłąki z rodziną wyrządziły im niewyobrażalną krzywdę. Dopiero po śmierci ojca, który zginął w bitwie, mógł powrócić do domu. Po ojcu odziedziczył tron Wołoszczyzny i stał się bojownikiem o wiarę. Resztę życia poświęcił zemście. Kiedy stał się nieumarłym, dalej podążał tą samą ścieżką. Jako wojownik w służbie Pana uważał, że istoty takie jak hrabina Batory stanowią zagrożenie, które należy jak najszybciej usunąć.

Mina nie mogła dopuścić, by Quincey został kolejną ofiarą odwiecznej wojny Draculi.

- Quincey zasługuje na normalne życie. Najlepiej będzie, jeśli zabiorę go daleko stąd. Daleko od Anglii. Daleko od hrabiny.

Oczy Draculi spoglądały na nią bez wyrazu. Ponieważ pił jej krew, znał jej najskrytsze myśli, dlatego spodziewał się tej chwili. Nie odwracając od niej wzroku, dotknął blizny na swojej szyi. Ślady te niewiele już przypominały rozległą ranę, którą zadały mu kły hrabiny. Regeneracja następowała bardzo szybko.

- Elżbieta piła moją krew - rzekł. - Teraz wszyscy jesteśmy połączeni. Gdziekolwiek uciekniemy, odnajdzie i nas, i Quinceya. Musimy stanąć do walki.

- Nie masz na tyle siły, by jej sprostać. Ostatniej nocy omal cię nie zabiła.

Jego kamienna dotąd twarz zmieniła wyraz. Przez chwilę Mina miała wrażenie, że dostrzega w jego oczach ból. Odwrócił się od niej, po czym położył rękę na piersi i wziął głęboki oddech, jak gdyby chciał powiedzieć coś nieprzyjemnego. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zamiast tego zamknął oczy, koncentrując się na następnych słowach, i dopiero wtedy przemówił spokojnym głosem:

- Dwadzieścia pięć lat temu Jonathan Harker i Elżbieta Batory niemal mnie nie zniszczyli. Moje rany jeszcze się nie zagoiły.

Odwrócił się i rozdarł koszulę na piersi.

- O Boże! - jęknęła Mina.

Jego ciało przedstawiało sobą straszliwy widok. Pokryta bliznami skóra opinała kości tak ciasno, że można było policzyć wszystkie żebra. Mina rozpoznała ślady po ciosach noża zadanych przez Quinceya P. Morrisa i Jonathana oraz przez hrabinę. Nie była w stanie odwrócić wzroku ani powstrzymać łez współczucia, które płynęły jej po twarzy. Po raz pierwszy tak się przed nią obnażył, odsłonił wszystkie swoje lęki i słabości. Był to akt czystej miłości, oddania się drugiej osobie. Nie było już między nimi tajemnic. Do tej pory jej miłość do Draculi zbudowana była na namiętności, ale teraz zajął w jej sercu miejsce, które dotychczas było zarezerwowane dla Jonathana. Mina wyciągnęła rękę. Drżącą dłonią dotknęła jego zniekształconej piersi. Nareszcie wszystko rozumiała.

- Dlatego potrzebowałeś pomocy Sewarda... - rzekła ze łzami w oczach. Delikatnie pogłaskała oszpeconą skórę nad jego sercem, miejsce, z którego piła niegdyś krew i które przebił potem nóż Bowie Quinceya P. Morrisa.

delikatnie położył swoją zimną dłoń na jej ręce, ich palce splotły się ze sobą.

- Robiłem wszystko, co w mojej mocy, by chronić ciebie i Quinceya przed Elżbietą - wyszeptał. Podniósł jej podbródek, by spojrzała głęboko w jego ciemne oczy, jakby chciał, aby przez nie zajrzała w jego duszę. - Jednak teraz nie ma ucieczki, Mino. Elżbieta nas zabije, jeśli do mnie nie wrócisz.

Wiedziała, czego od niej oczekuje, lecz to oznaczało porzucenie wiary, tego, co było dla niej tak ważne. Nie miała nic więcej. Musiała zwalczyć swoje pragnienia.

- Może i wyglądam jak młoda dziewczyna, którą niegdyś znałeś - odrzekła, wciąż patrząc mu w oczy - ale przez wszystkie te lata wiele się nauczyłam i zmadrzałam. Nieważne, jak słodkie są twoje słowa ani jak delikatny jest dotyk - jesteś potworem. Mordercą.

wyprostował się z dumą.

- Jestem rycerzem Świętego Zakonu Smoka. Stoker i van Helsing nie po zostawili mi wyboru i dlatego...

- To nie jest średniowiecze. Nie możesz, ot tak, zabić człowieka, ponieważ oszkalował cię w swojej książce - przerwała mu Mina.



- Gdy żyłem, byłem narzędziem w ręku Boga - rzekł hardo. -
Walczyłem, by chronić chrześcijański świat. Nie znałem niczego oprócz wojny i zabijania. Pragnąłem nowego życia, drugiej szansy. Gdy pojawiła się taka możliwość, skorzystałem z niej, nie bacząc na konsekwencje. Tak, umarłem i narodziłem się na nowo, ale nie zabijam dla rozrywki. Potrzebną mi do życia krew wypijam z dzikich zwierząt, morderców, gwałcicieli i złodziei. Wciąż jestem narzędziem Bożej sprawiedliwości. - Otworzył szeroko oczy. Mina pamiętała to hipnotyczne spojrzenie. Poczwała, jak krew uderza jej do głowy, a wraz z nią zaczęły zalewać ją obrazy. - pozwolił, by ujrziała to, co widział on, by poznała, co musiał czynić w imię Boga. - Zostałem stworzony na Boże podobieństwo - mówił dalej - lecz jestem istotą doskonalszą od człowieka. Czyż wilk nie żywi się owcą? Jak wszyscy wielcy łowcy, jestem samotnikiem. Nie ma smutniejszego dźwięku niż wycie wilka. Jest samotny, przeklinany przez człowieka, nierozumiany, ścigany i zabijany bez litości. - pochylił się. Zbliżył usta do jej ucha. Czuła na sobie jego lodowaty oddech. Pragnęła poczuć jego pocałunek. Ale jednocześnie chciała się wyrwać i uciec. - Mino, zrozum, błagam, bez ciebie jestem zgubiony - wyszeptał. - Moją jedyną zbrodnią jest to, że nie rozumiem tych czasów. Czy człowiek, który kocha cię tak bardzo jak ja, może być naprawdę zły?

Mina odwróciła się, nie mogła dłużej patrzeć mu w oczy.

- Kiedyś, dawno temu, z chęcią zostawiłabym Jonathana i uciekła z tobą, ale czasy, kiedy nasz związek miał szansę powodzenia, już minęły. Dla mnie liczy się jedynie mój syn.

Wiedziała, że jej słowa brzmią nieprzekonująco. Kłamstwo było daremne.

- Przestań! - zażądał. - Sama się oszukujesz. Wiem, że wciąż mnie kochasz. Nie walcz z sobą. Wróć do mnie. Oświeć mnie. Tylko będąc razem, możemy ocalić świat od Elżbiety. To jedyna droga.

- Proszę mnie, bym przyjęła twój mroczny dar. Bym stała się taka jak ty.

- Jeśli uciekniesz z Quinceyem do Ameryki, rozproszymy nasze siły i odłożymy na nieokreśloną przyszłość bitwę, która odbędzie się na nieprzygotowanym gruncie, a jej wynik będzie niepewny. Dziś jesteśmy w korzystniejszej sytuacji. Nawet jeśli Elżbieta mnie pokonała, z pewnością poważnie bym ją osłabił. Jeśli cię przekonam, to jako wampir zrodzony z mej potężnej krwi będziesz mieć moc, by chronić Quinceya. Będziesz w stanie sprostać rannej Elżbiecie.

Mina ścisnęła krzyżyk na swojej szyi.

- Nie mogę.
- cofnął ręce, a jego twarz stężała.
- Zatem diabeł wygrał.

Po czym wyszedł z pokoju, zostawiając Minę bardziej samotną niż kiedykolwiek.

Cofnęła się do okna i wyjrzała przez nie w bezksiężycową noc. Gdzie był Quincey? Musiała szybko podjąć decyzję, a byłoby to prostsze, gdyby wiedziała, że jest przy niej, bezpieczny. Nagle usłyszała głośny huk pioruna. Nigdy nie bała się burz, nawet gdy była dzieckiem. Teraz natomiast zdjęła ją groza. Ten grzmot był ostrzeżeniem.

Nadprzyrodzone zmysły Miny wykryły czyjaś obecność. Wiedziała dokładnie, co to znaczy. Hrabina była już blisko.

Elżbieta Batory uśmiechnęła się na widok dwóch statków wielorybicznych, które walcząc ze strugami deszczu, próbowały zawinąć do portu w Whitby. Wycie wiatru zwiastowało jej przybycie. Wieśniacy biegali w panice, próbując zabezpieczyć domy przed burzą. Gdy jej powóz mijał małe kamienne chatki, słyszała znajome krzyki przerażenia. W jakiś sposób ci maluczcy wyczuwali siłę zła. Hrabina złowiła spojrzenie pomarszczonej, bezzębnej starowinki. Rozkoszowała się grozą malującą się na jej twarzy, zanim stara przeżegnała się i zamknęła z trzaskiem okiennice. Hrabina delektowała się ludzkim strachem. Sycił ją, ogrzewał jej krew, sprawiał, że serce biło jej szybciej. Był orzeźwiający. Odurzający.

Konie prowadzące jej powóz nagle wierzgnęły i stanęły w miejscu. Hrabina wychyliła się i ujrzała, że most na rzece runął. Biorąc pod uwagę zbliżającą się burzę, jej konie nie miały szans przekroczyć wzburzonej rzeki. Lot z tego miejsca do opactwa zbytnio podkopałby jej siły. A ona potrzebowała całej swojej mocy na nadchodzącą bitwę. Cofną się i pojedą dłuższą trasą do kamiennych stopni u podnóża klifu. Noc była jeszcze młoda.

Spojrzała na cel swojej podróży - opactwo wznoszące się na skalistym klifie. W oknie w zachodnim skrzydle dojrzała sylwetkę kobiety skapaną w ciepłym migoczącym świetle. Hrabina chciwie oblizła wargi. Jeszcze tej nocy skosztuje mięsa tej dziwki i wykapie się w jej krwi.

Rozdział LIX

Ale ma nie ma już wątpliwości, jaka powinna być jej kolejna decyzja. Klasztorne mury nie poddawały się szalejącej burzy. Ona / y W także się nie podda.

w>» • Zeszła po schodkach do miejsca, gdzie znajdowały się dawne cele mnichów. Korytarz prowadził przez wiele drzwi, a na jego końcu widniały wielkie dębowe wrota wiodące do komnaty opata.

często powtarzał, że wampiry nie są złe z natury. Nie wierzył, że gdy człowiek zmienia się w nieumarłego, skazuje swoją duszę na potępienie. Dobro i zło były tylko i wyłącznie wynikiem podejmowanych decyzji. Mina, mając w pamięci przykład Lucy, wiedziała, co może uczynić z nowo powstałego wampira głód krwi. Opętana pragnieniem Piękna Pani, jak pisano o niej w gazetach, bezlitośnie wabiła małe dzieci wprost w swoje objęcia. Co się stało z jej duszą? Choć Lucy za życia nie była zła, to jako wampir stała się potworem. Mina modliła się, by nie spotkał jej los przyjaciółki.

Czuła, że hrabina jest coraz bliżej. Nic innego się teraz nie liczyło. Wiedziała, że chcąc uratować syna, będzie musiała rzucić na szalę zbawienie swojej duszy.

Umocniona w swoim postanowieniu, postawiła kaganek na podłodze i pchnęła wielkie dębowe drzwi. Stał przed paleniskiem wpatrzony w huczący ogień. Wyrwany z rozmyślań, odwrócił się w jej stronę. Oświetlone blaskiem dziesiątek świec rozmieszczonych po całej komnacie miejsce to - jako jedyne w opactwie - wydawało się pełne życia i energii. spojrzął na nią z tęsknotą i nadzieją. Mina przekroczyła próg.

- Quincey sam zdecyduje o swoim losie. Nie będziesz decydował za niego - rzekła surowo. - Ta kwestia nie podlega dyskusji.

skinął głową.

- Jeśli taka jest cena, niech tak będzie.

Powoli ruszył w jej stronę. Serce Myny zaczęło walić jak oszalałe. Za chwilę jego dłonie znajdą się na jej ciele. Niepewnie sięgnęła do złotego krzyżyka na

swojej szyi i szarpnęła. Łańcuszek pękł, a krzyżyk upadł na podłogę. Pragnienie w oczach Draculi narastało.

Delikatnie położył dłonie na jej ramionach. Były zimne, co jeszcze zwiększyło drżenie jej ciała. Powoli ucałował usta. Potem podniósł ją do góry, nie odrywając od niej wzroku.

- Razem - wyszeptał, pieszcząc ustami jej ucho - będziemy świadkami na rodzin i upadków całych narodów. Razem doświadczymy, czym jest wieczność.

Położył ją na łóżku. Dotykał jej tak, jak Jonathan nigdy nie potrafił. Jego dłonie i usta badały jej ciało. Znał na pamięć każde miejsce, które dostarczało jej rozkoszy. Dzięki niemu znów czuła się kobietą. Był tak silny, a jednocześnie tak delikatny. Zsunął z niej suknię i z zachwytem zaczął przyglądać się jej nagości. Choć żył w świecie mroku, nie gasił świec, jak czynił to Jonathan, gdy tylko zaczynali się kochać. On pragnął delektować się każdym fragmentem jej ciała. Gdy pocałował jej szyję, serce Mina zaczęło bić jeszcze szybciej. Nie czuła strachu, ale całkowite oddanie. Pragnęła go. To, jak ją pieścił, jak delikatnie w nią wszedł, było dowodem jego miłości. Wiedziała, że dla niego jej zadowolenie jest najważniejsze. Zapadała się w ich wspólnym rytmie, a każdy ruch przybliżał moment spełnienia.

Łaskocząc ją oddechem, szepnął jej do ucha:

- Chwycimy świat za gardło i wyssamy z niego wszystko, czego pragniemy.

Przez całe życie walczyła z narzuconymi jej rygorami. Pocałunek nieśmiertelności, który złoży na jej szyi, złamie te okowy. Nie będzie jej ograniczać nic oprócz praw i zasad, które sama sobie wyznaczy.

Jego dłoń wślizgnęła się między jej uda. Mina nie mogła się już dłużej powstrzymać. Zarzuciła mu ramiona na szyję i przyciągnęła bliżej siebie. Nagle, w żarze namiętności, wszystko stało się jasne. Wszystkie konflikty i dylematy rozpięchły się. Kochała Draculę. Kochała go tak, jak nigdy nie była w stanie kochać Jonathana. Ona i byli jednością.

- Niech mi Bóg wybaczy, ale wciąż cię pragnę - rzekła.

otworzył usta, szykując się, by zanurzyć kły w jej szyi. Mina powstrzymała go gestem ręki. Zatrzymał się. Nie był na nią zły. To miała być jej decyzja.

- Jest jeszcze coś, co muszę ci powiedzieć. Okłamałam cię. Skrywałam przed tobą wielką tajemnicę i znowu cię zdradziłam.

powoli pokręcił głową.

- Wiedziałem o tym od zawsze.

Mina uśmiechnęła się nareszcie wolna od ciężaru winy. Odchyliła głowę.

Książę ciemności wgryzł się mocno w jej szyję. Pił z niej, a ciałem Miny wstrząsały dreszcze - kołysała się w erotycznej mieszance bólu i rozkoszy. Nie zastanawiała się już, czy razem z utratą krwi traci swoją duszę.

Nagle oderwał się od jej szyi, jęknął i złapał się za pierś. Wstrząsnęły nim konwulsyjne drgawki. Działo się z nim coś dziwnego. Cierpiał. Cofnął się, dysząc ciężko, po czym zawył i zerwał z siebie resztki ubrania. Jego wyniszczona, pokryta bliznami pierś zmieniała się na jej oczach. odradzał się. Popatrzył na Minę z niedowierzaniem.

- To krew, którą piłaś niegdyś z mojej piersi, zaczyna mnie uzdrawiać. - Był ocalony. Krew, którą tyle razy nazywała przeklętą, pozwoli Draculi stanąć do walki z hrabiną i ochroni Quinceya. - Krew jest życiem. Krew jest naszym życiem.

Mina jęknęła. Objęła głowę Draculi i przyciągnęła jego kły do swojej szyi, by dokończył dzieła. Nadszedł czas, by umrzeć w jego ramionach i odrodzić się. W ekstazie zamknęła oczy, żegnając się z ludzkim życiem.

Quincey podbiegł do rybaka, który przywiązywał do brzegu swą niewielką drewnianą łódkę.

- Opactwo Carfax! Które dy?

- Opactwo Carfax? Poczekał synu, chyba opactwo Whitby?

- Nie, opactwo Carfax! Wie pan, gdzie to? - zapytał Quincey zniecierpliwiony.

Rybak pokiwał głową.

- No, ale tam lepiej nie zachodzić.

- Opactwo Carfax czy Whitby, jeden diabeł. Które dy?!

Rybak przeżegnał się, w jego oczach błysnął autentyczny strach. Quincey uświadomił sobie, że przemoczony, pokryty błotem i krwią musi prezentować sobą straszny widok.

- Przepraszam, ale to sprawa życia i śmierci! Muszę się dostać do opactwa!

Stary rybak pokręcił głową i wskazał na ścieżkę wiodącą w stronę lasu.

- Niech cię Bóg prowadzi, synu!

Quincey rzucił się pędem we wskazanym kierunku. Wiatr był tak silny, że spychał go w tył. Czyżby to kierował tę burzę przeciwko niemu, by

zyskać na czasie? Jego umysł nie odbierał już żadnych sygnałów od matki. Przeraziło go to.

Przedzierał się mozolnie przez lasy Stainsacre. Ślizgał się w błocie, każdy krok był dla niego coraz trudniejszy. Wreszcie stanął przed opuszczonym, zdezastowanym budynkiem - dawnym zakładem doktora Sewarda. Mech, bluszcz i chwasty porastały jego kamienne ruiny, jak gdyby natura próbowała wymazać pamięć o burzliwych wydarzeniach, które miały tu niegdyś miejsce. Według powieści Stokera, to właśnie przez to pole biegł Renfield do opactwa Carfax. Quincey pomyślał, że chociaż jego rodzice przeklinali Draculę, to jego zbrodnie przyniosły im bezpośrednią korzyść - wszak ich bogactwo zostało zbudowane na nieszczęściu tego człowieka. Może więc cierpienia, jakich doświadczała jego rodzina, były karą Bożą?

Wreszcie wyłoniły się przed nim mury opactwa. Było ono o wiele większe, niż Quincey sobie wyobrażał. W samotnym oknie na niższym piętrze pobłyskiwało pojedyncze światełko. Blask latarni morskiej rzucał długie, upiorne cienie na zrujnowane blanki.

Ruszył przez otwarte pole w stronę murów. Miał wrażenie, że deszcz i wiatr jeszcze się nasiliły. Quincey zawziął się, zebrał wszystkie siły i resztę odległości pokonał biegiem.

Gdy wreszcie dotarł do bramy, oparł się o nią, by odsapnąć chwilę i skryć się pod jej lukiem przed deszczem. Ku jego wielkiemu zaskoczeniu, okazało się, że drzwi są otwarte. Ustąpiły pod naporem jego ciała i Quincey z impetem upadł w przedsionku na twarz. Choć stopy ślizgały mu się po posadzce, udało mu się podnieść na nogi. Wyjrzał przez okno, by sprawdzić, czy nikt go nie śledzi, ale ujrzał jedynie płyty nagrobne oświetlone blaskiem błyskawicy. Na zewnątrz byli tylko zmarli.

Ruszył krętymi korytarzami w głąb opactwa. Dotarł wreszcie do długiego przejścia z wieloma drzwiami. Na jego końcu znajdowały się jeszcze jedno uchylone wrota, zza których padało światło. Quincey uspokoił skołataną nerwy i wpadł do środka.

Ale w pokoju nie było nikogo.

Dziesiątki stopionych świec utworzyły kałuże wosku. W kącie stało puste nieposłane łóżko. Dogasający żar w kominku, jedyne źródło światła, rzucał migotliwy blask. Obok łóżka leżały bezładnie rzucone ubrania. Odwrócił się i na-

depnął na coś twardego. Gdy spojrzął pod nogi, jego serce zamarło. To był krzyk jego matki. Nigdy się z nim nie rozstawała. Wściekły podniósł go z ziemi i wybiegł na korytarz. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. Próbował otworzyć każde z przerdzewiałych drzwi. Wszystkie były jednak zamknięte.

Świt był już blisko. będzie musiał znaleźć miejsce na spoczynek i to gdzieś - jeśli w powieści Stokera było choć trochę prawdy - gdzie światło słoneczne nie ma dostępu.

Wkrótce znalazł główne schody i szybko zbiegł na sam dół. Przesiąknięte smrodem zgnilizny podziemie trąciło wilgocią. Im głębiej zanurzał się w ciemność, tym bardziej czuł, że zbliża się czas porachunków z Draculą.

Wąski korytarz prowadził do ogromnej sali. Quincey znajdował się w grobowcu. Ściany wyłożone były rzędami kamiennych półek, a na każdej z nich leżał szkielet. Musiano tu pochować setki ciał.

Obok wejścia leżał stary zardzewiały kaganek. Quincey podniósł go. Szkło wciąż było ciepłe, zatem ktoś zostawił go tu niedawno. Gdy szukał w kieszeni zapalek, które dostał od Artura, prosił Boga, żeby były na tyle suche, by dały się zapalić. Jego modlitwy zostały wysłuchane. Przyłożył ogień do nasiąkniętego oliwą knota i kaganek rozbłysnął światłem.

Przeszedł kilka metrów do przodu, a wtedy światło kaganka padło na środek pomieszczenia, na trzy wielkie kamienne sarkofagi. Na jednym z nich wyryty był podpis po łacinie: „Opat Carfax”.

Wtedy zauważył drewnianą skrzynię stojącą pod ścianą. Na niej napis: „WŁASNOŚĆ VLADIMIRA BASARABA”.

Basarab! To imię było jak trucizna. Gorączkowo rozejrzał się po grobowcu i dostrzegł leżącą w kącie zardzewiałą łopatę. Postawił kaganek na sarkofagu, chwycił ją i uderzył nią o ścianę, przełamując drewniany trzonek na pół. Z tym prowizorycznym kołkiem w ręku przyskoczył do skrzyni. Z całej siły podważył wieko, nie zważając na to, że rani sobie przy tym rękę.

Gdy pokrywa uniosła się, chłopak wydał z siebie triumfalny okrzyk. Pamiętając z książki Stokera, co stało się z Quinceyem P. Morrisem, zamknął oczy, by nie dać się zahipnotyzować Draculi, i uniósł zaostrzony koniec kołka, by wbić go w serce potwora. Otworzył oczy w ostatniej sekundzie, aby się upewnić, że trafi w samo serce - i zamarł, nie mogąc uwierzyć własnym oczom.

Bo oto w skrzyni leżała jego matka. Nie żyła.

Roztrzęsiony, odrzucił złamany trzonek i dotknął jej twarzy. Poczł rysi tej, która uśmiechała się do niego od dzieciństwa, widział usta, które całowały go w szczęściu i cierpieniu. Teraz były zimne. Bez życia. Nie dane im już będzie się pogodzić ani wyrazić skruchy. zwyciężył.

Jego palce, poranione przy odsuwaniu wieka, pozostawiły drobne ślady krwi na białych ustach matki. Położył rękę na jej sercu, żegnając się z nią w milczeniu. Nagle znieruchomiał, gdyż jego wrażliwe zmysły wyczuły słabe bicie serca. W przerażeniu dostrzegł, że nozdrza jego matki poruszają się. Zlizala z ust krople jego krwi. Otworzyła oczy. Niegdyś łagodne i niebieskie, tworzyły teraz czarne kule. Powoli rozchyliła usta, odsłaniając wydłużone kły. Wydała z siebie przeraźliwy i ogłuszający krzyk, niczym ranne, rozjuszone zwierzę w pułapce. I zanim Quincey zdołał zareagować, szponiaste palce Miny chwyciły go za gardło.

Rozdział LX

—^ /* a ziemię spływały potoki deszczu, niczym lzy z nieba - jak gdyby Bóg
^ [%k| wiedział, że ta noc położy wreszcie kres Jego rządóm. Huczące fale szalały po wzburzonym morzu. Błyskawica przecięła nocne niebo.

^ Rozpędzony powóz hrabiny podskakiwał gwałtownie na podniszczonym bruku Church Street. Inne drogi prowadzące do opactwa stały się błotnistymi strumieniami i uniemożliwiły cały ruch. Powóz zatrzymał się u podnóża wschodniego klifu, przy stu dziewięćdziesięciu dziewięciu stopniach wiodących na szczyt. Dalej już nie zajędzie. Stąd hrabina będzie musiała wspiąć się po wykutych w skale schodach.

Wyszła na ulewę. Krople deszczu na jej nagiej czaszce były gorzkim przypomnieniem tego, w jaki sposób straciła swe piękne bujne loki. Ciało wciąż jeszcze nie ostygło i przy zetknięciu z zimnym deszczem z sykiem unosiła się z niego para.

Dostrzegła przed sobą czarną postać. Mężczyzna stał na skale odwrócony plecami do hrabiny, wpatrzony w szalejące morze, jak gdyby nie był świadom ani jej obecności, ani ulewnego deszczu. Hrabina obnażyła kły. Tak cicho, jak tylko mogła, zakradła się w jego stronę. Deszcz zagłuszył moje kroki - pomyślała.

Gdy tylko ta myśl zagościła w jej głowie, deszcz nagle ustał. Chmury rozstąpiły się i na stojącą na skale postać padł blask księżycy.

- Czas, żebyś odpowiedziała za wszystkie swoje grzechy. - Głęboki głos dobiegł ją niesiony wiatrem. Mężczyzna odwrócił się w jej stronę. - ... Erzsebet.

Nienawidziła dźwięku swojego imienia w ojczystym języku, a tym bardziej w ustach Draculi - brzmiało to raczej jak przekleństwo niż pozdrowienie. Każdą komórką swego ciała pragnęła rzucić się na niego i rozerwać go na strzępy. Od wieków czekała na tę chwilę. Ale jeśli on chce jeszcze trochę pograć w te swoje gierki, proszę bardzo, niech się nacieszy. W końcu czym jest tych kilka chwil w stosunku do czekającej ją wieczności? Powstrzymała się więc od złośliwej

riposty. Wystarczającą satysfakcję dało jej wyobrażenie, jak wyrywa Draculi ten długi język i wiesz go sobie na szyi.

Gdy podeszła bliżej, spojrzała mu w oczy. Zdradziły go. Najwyraźniej nie spodziewał się, że będzie tak pokiereszowana. Gdyby hrabina miała usta, uśmiechnęłaby się. Ale one, tak samo jak jej nos i powieki, zostały strawione przez pożar.

- Przysięgając mi miłość, rozdarłeś mi gardło i zostawiłeś na pewną śmierć - wysyczała. - Lecz teraz, gdy mam za sobą wszystkie diabelskie moce, stoję przed tobą i przysięgam, że więcej już śmierci nie oszukasz.

stał na skale, spoglądając na nią z góry.

- Ostrzegam cię. Bóg jest po mojej stronie.

- To właśnie ślepe oddanie temu bezlitosnemu Bogu będzie twoją zgubą. odsunął opończę jedną ręką, a drugą wykonał zamaszysty ruch.

W blasku księżyca hrabina dostrzegła migotanie stali.

- Co powiesz na tradycyjne sposoby? - rzucił.

Hrabina spojrzała na wbite w ziemię miecze.

Podeszła bliżej, wpatrując się w klingi.

- Miecz twojego ojca? - spytała, wskazując głową na jeden z nich.

- Tak - potwierdził i wskazał na drugi. - A ten jest jednym z wielu, które należały do mojego brata.

- Pochlebiasz mi.

Hrabina zbliżyła się jeszcze bardziej i przyjrzała się mieczom uważniej. Szczerby na klingach nie pozostawiały wątpliwości, że widziały one wiele bitew i przelały mnóstwo krwi. Doskonale. Dziewicze ostrza nie nadawałyby się na tę okazję. Oba miecze były tej samej długości i tak samo wyważone. Hrabina podniosła je i ścisnęła w kościstych rękach. Potarła nimi o siebie. Tnące krawędzie były ostre jak brzytwa. Rękojeść pierwszego miecza wykonana była z drewna, z ostro zakończoną główką, która odwrócona, mogła służyć jako krótki nóż. Drugi miał rękojeść z kości słoniowej z okrągłą gałką i jelcem wygiętym w literę „V”, z końcówką skierowaną w stronę uchwytu. Doświadczony fehmistrz mógł wykorzystać taki kształt jelca, by osłabić silniejszą część ostrza przeciwnika, znajdującą się bliżej rękojeści. To była broń Radu. To była broń dla niej.

Bez ostrzeżenia rzuciła pierwszym mieczem w głowę Draculi, zamachnąwszy się jednocześnie drugim z zamiarem odcięcia mu głowy.



Z prędkością błyskawicy przerzucił ciężar ciała na jedną stronę i złapał za rękojeść miecza, unikając tym samym ataku hrabiny. A potem obrócił broń i przyjął pozycję - z rękojeścią przy brzuchu i ostrzem skierowanym w szyję przeciwnika.

Zmasakrowana twarz hrabiny wykrzywiła się w czymś, co miało być uśmiechem. lubił się popisywać.

Westchnęła. Pomyślała o swoim nauczycielu. Żałowała, że go tu nie ma, by był świadkiem upadku Draculi.

- Czy zastanawiałeś się kiedyś, Vladzie, kto nienawidzi cię bardziej niż ja? zmarszczył brwi zdziwiony jej pytaniem.

- Niezależnie od tego, czy to człowiek, czy też ktoś z naszych szeregów, ilu wrogów można sobie przysporzyć w ciągu całego życia?

- Ale czy przez te wszystkie lata nie zastanawiałeś się nigdy, kto skierował mnie na tę drogę zemsty? - ciągnęła hrabina. - Kto sprawił, że jestem tym, kim jestem? - Poczula, że próbuje wdrzeć się do jej umysłu, by poznać tożsamość jej mistrza. Nie stawiała oporu. Chciała zachwiać jego wiarą i wzbudzić gniew, który odbierze mu zdolność racjonalnego postępowania. Delektując się tą chwilą prawdy, rzekła: - Nie jestem sama na tej wojnie z Bogiem, ale jedną z wielu. Być może masz się za odważnego, skoro stajesz sam do takiej bitwy. Ale jesteś aroganckim głupcem, myśląc, że możesz zmienić losy świata.

warknął. Dojrzał w jej umyśle diabelską twarz jej mistrza. Znał jego imię aż nazbyt dobrze. Nienawiść między nimi była legendarna. W jego oczach błysnęła wściekłość. Z dzikim krzykiem wznosił miecz nad głowę i zeskoczył ze skały. Hrabina uniosła swój, by odparować cios. Zdumiała ją jego furia. Ostrza zwarły się ze szczękiem, aż posypały się iskry. Ten dźwięk był niczym dzwon obwieszczający koniec wszechrzeczy.

Mina poczuła ludzką krew. Gdy otworzyła oczy, uderzyło ją intensywne światło kaganka, zbyt silne dla jej nadwrażliwych wampirzych oczu. Zanim zamknęła je ponownie, zdążyła jeszcze dostrzec przed sobą ludzką sylwetkę. Na szczęście zapach krwi był tak ostry i odurzający, że jej powonienie pozwalało jej bez problemu zlokalizować człowieka. Na myśl o nadchodzącej uczcie poczuła podniecenie. Krew to życie! Czula, jak gdyby po dniach błakania się po pustyni nareszcie odnalazła oazę. Otworzyła szeroko usta i przejechała językiem po



zaostrzonych zębach. Gdy usłyszała szybkie i rytmiczne bicie serca swojej ofiary, warknęła dziko i odchyliła głowę jak kobra gotowa do ataku.

- Mamo? - dobiegł ją drżący głos.

Był to zaledwie szept, ale w jej uszach rozległ się niczym grzmot pioruna. Zatrzymała się. Nie mogła go nie rozpoznać - był to głos jej syna. Światło kaganka wciąż ją oślepiało, lecz Mina zwalczyła ból i nie zamknęła oczu. W ciągu kilku sekund przystosowały się one do światła. Była zdumiona tym, co ujrzała. Wszystko wydawało się żywsze, wyraźniejsze. Mogła nawet dostrzec ciepło bijące z ciała naprzeciw niej. Wreszcie ujrzała ukochaną twarz. To był jej syn - znów przy niej, cały i zdrowy. Ale niedana jej była radość pojednania. Quincey stał osłupiały, z wyrazem absolutnego przerażenia na twarzy. Minę załało przytłaczające poczucie winy i wstydu - silniejsze niż w całym dotychczasowym życiu.

- Quincey, wybacz mi.

Poczuła, jak w miarę zwiększania się przewagi rozumu nad instynktami jej kły z powrotem się chowają. Spojrzenie syna raniło ją. Tak bardzo pragnęła go teraz pocieszyć - miał rację. Jeśli wciąż doświadczała bólu i poczucia winy, jeśli wciąż czuła miłość, musiała wciąż mieć duszę. Nie była demonem.

- Moja matka nie żyje - rzekł Quincey i cofnął się przerażony.

- Nie! Nie mów jak van Helsing - rzekła Mina błagalnie. Rozpaczliwie szukała w głowie odpowiednich słów. Quincey wzdrygnął się na dźwięk imienia profesora. Mina przypomniała sobie, że doprowadził do jego śmierci. Widziała wzburzenie w oczach syna. Wahał się. Musiała mu szybko wszystko wyjaśnić.

- Van Helsing się mylił. A ja wciąż jestem twoją matką.

Wyciągnęła do niego ramiona, prosząc o wybaczenie.

Energia promieniejąca z jego ciała zmieniła kolor z biało-niebieskiego na intensywną czerwień. Jego spojrzenie również miało inny wyraz. To zimny umysł przewyciężał emocje.

- Nie! - krzyknął. Odepchnął ją od siebie z taką siłą, że upadła na skrzynię, a potem osunęła się na zimną, wilgotną posadzkę. Była wciąż słaba po przemianie i z braku pożywienia.

Z trudem podniosła się na nogi. Quincey cofał się dalej, kręcąc głową z obrzydzeniem i niedowierzaniem. Energia emanująca z niego raz jeszcze zmieniła kolor, tym razem na czarny. Nagle Mina wyczuła w jego umyśle jedną dominującą myśl: „zabić”.

- Quincey, nie możesz! - krzyknęła, zamierzając chwiejnym krokiem w jego stronę. - Nawet tak nie myśl!

Odwrócił się i podniósł z ziemi złamany trzonek łopaty. Ścisnął go tak mocno, że krew z poranionych palców zaczęła kapać na ziemię. Mina cofnęła się, by uchronić się przed jej odurzającym zapachem.

Po twarzy Quinceya płynęły łzy. Nie wyrzekł ani słowa więcej, tylko obrócił się na pięcie i wybiegł jak burza.

- Quincey, zaczekaj! To był mój wybór - krzyknęła za nim. - Robiliśmy wszystko, by ocalić cię przed hrabiną!

Po kilku krokach przewróciła się. W tym stanie nigdy nie dogoni syna ani nie ma szans powstrzymać go przed popełnieniem straszliwego błędu. Potrzebowała krwi, by odzyskać siły. Musiała dotrzeć do niego, zanim odnajdzie Draculę. Wiedziała, że księżę nie zrobi Quinceyowi krzywdy nawet w obronie własnej, nigdy nie złamie słowa. Obawiała się naiwności Quinceya. Nie znając prawdy, mógł sprzymierzyć się z hrabiną, by dokonać zemsty na Draculi.

Bodźce atakowały jej zmysły z taką siłą, że nie była w stanie skupić się na pogoni za synem. Czula ciała rozkładające się w grobach, pleśń rosnącą na kamieniach, zwierzęce odchody, wilgoć w powietrzu, słyszała wyraźnie rozlegające się echem kroki wbiegającego po schodach Quinceya. Dźwięk skapujących z sufitu kropel ogłuszał ją. Zrozumiała, co musiała czuć biedna Lucy, doświadczając tej samej nadwrażliwości zmysłowej. Zatruta krwią po nieudanej transfuzji van Helsinga, zapadła w śpiączkę, a potem nagle obudziła się w trumnie - nie dość, że nie wiedziała, co się dzieje, to jeszcze trawiło ją przemożne, niezrozumiałe pragnienie krwi. Nie miała nikogo, kto by nią pokierował. ścigany przez członków drużyny nie mógł być jej przewodnikiem. Mina widziała oczami wyobraźni, jak Lucy chwytła pierwszą ofiarę, na jaką się natknęła, i pije z niej krew. Przypadkiem było to dziecko. I ją męczyło teraz przeogromne pragnienie, lecz musiała się skupić. wszystko jej wytłumaczył. Była świadoma tego, co się z nią dzieje, i tego, co powinna zrobić, by uratować Quinceya.

Potrzebowała krwi. Nie odczuwała ludzkiego głodu. To pragnienie było o wiele silniejsze. Jad, który zamienił ją w wampira, odżywił komórki jej ciała, był źródłem jej siły i życia. Ale bez nowych zapasów krwi jej ciało nie mogło objawić pełni nowej mocy. Czula, jak jej organizm wchłania cenną substancję, jednak im mocniej działał jad, tym więcej pokarmu potrzebował. Musiała znaleźć pożywienie, zanim sama siebie unicestwi.

Nagle ogłuszyło ją bicie dziesiątek małych serc i tupot łapek po kamiennej posadzce grobowca. Mina odwróciła głowę. Jej kły się wydłużyły, a oczy pociemniały. Skupiła wzrok na kilku szczurach przemykających w ciemnościach. Przewyciężając obrzydzenie, rzuciła się na nie, chwyciła i kłami zaczęła rozdzierać ich gardła. Przeróżliwe piski drażniły jej uszy. A mimo to ona piła, nie miała wyboru. „Krew jest życiem!”

Rozdział LXI

Turia, z jaką zaatakował ją, zaskoczyła hrabinę. Siła każdego ciosu spychała ją w tył. Po każdym uderzeniu jej miecz drżał, a wibracje rozchodziły się po całym ciele, wywołując ból w rękach. Nie była w stanie nacierać, mogła jedynie parować jego ciosy. Zaczęła się cofać w górę, wzdłuż śliskich schodów prowadzących na szczyt klifu. Wybór dłuższej drogi pozwolił jej nieco lepiej zregenerować siły. Będzie ich teraz potrzebować. Jeśli ma pokonać Draculę, musi dać z siebie wszystko.

Był coraz bardziej pewny siebie. Z zaciśniętymi zębami, skupionym wzrokiem i furią szaleńca atakował ją, zmuszając do cofania się po kamiennej platformie. Zaciśnęła zęby. Nie chciała, by dowiedział się, jak przez niego cierpi. Przypomniały jej się słowa mistrza: uczymy się przez ból. To nie był ten sam, z którym walczyła w metrze. Domyślała się, że to krew Miny dodała mu sił. Nią zajmie się później.

Hrabina słabła z każdym ciosem przeciwnika, a to jeszcze bardziej go syciło. Nacierał coraz mocniej, ale w jej głowie już kiełkował plan, jak odwrócić sytuację. Pozwalała, by w Draculi wzrastało fałszywe poczucie przewagi. Może i był od niej silniejszy, lecz to ona była szybsza.

Atakował z taką mocą, że hrabina nie miała już prawie siły, by podnieść dłoń i sparować cios. Triumf na jego twarzy zadziałał na nią mobilizująco. Nie miała wyjścia - odwróciła się, wbiegła po kilku schodach na górę i przystanęła na następnej platformie. Miecz trzymała opuszczony w dół, jakby nie miała już siły się bronić. Czekwała, gdy szedł powoli w jej stronę, delectując się każdą chwilą zbliżającą go do zwycięstwa. Był tak pewny siebie, że opuścił miecz, jak gdyby już nic mu nie groziło.

Chodź do mnie, mój drogi. Chodź i giń.

Spodziewała się, że gdy dotrze na platformę, od razu pchnie ją mieczem. Ale on tylko stał nieruchomo i patrzył na nią, na to, co zostało z jej piękna. Widziała, jak smutek zajmuje miejsce wściekłości. Domyślała się, co

książę teraz czuje. Zabijając ją, zabije część siebie. Byli tacy sami, byli nieumarzonymi skazanymi na samotność. Mogli działać razem, być kompanami, ale gdy ona odwróciła się od Boga, musiał stanąć przeciwko niej. Jednak najwyraźniej uznał, że czas najwyższy zakończyć tę trwającą od wieków wojnę. Jego zimne spojrzenie nie pozostawiało żadnych wątpliwości - zdecydował się odebrać jej życie. Głupiec.

uniósł miecz, by jednym ciosem odciąć jej głowę. Zawsze taki szlachetny, nawet teraz chciał zaoszczędzić jej bólu.

W ostatniej chwili zaczęła działać. Zanim ostrze miecza Draculi przecięło jej szyję, hrabina Batory wykorzystwała swoją szybkość i zwinność. Błyskawicznie padła na kolana i wygięła się do tyłu. Miecz Draculi świsnął tuż nad jej twarzą i przeleciał dalej, pociągając go za sobą swoim ciężarem i rozpędem. Hrabina wykorzystując kształt swojego jelca, złapała weń miecz Draculi i posłała go na mokną ziemię. Jej przeciwnik był teraz bezbronny. Sięgnęła do opończy po nóż Bowie. Już po nim.

Zanurzyła głęboko zakrzywione ostrze i rozorwała jego ciało od brzucha aż po pierś. przewrócił się z krzykiem. Podniósł obie ręce ku ranie, jak gdyby chciał zatamować upływ krwi.

Hrabina upuściła miecz, uniosła w górę zakrzywiony nóż i podetknęła Draculi pod nos.

- A to pamiętasz? - Przerażenie, jakie błysnęło w jego oczach, było dla niej wystarczającą odpowiedzią. - Nadszedł twój czas. Nasza wojna dobiegła końca i to ja zwyciężyłam. Jestem istotą doskonalszą i będę rządzić światem według własnego uznania. Człowiek padnie mi do stóp, błagając Boga o pomoc. Tyle że tak jak odwrócił się ode mnie, Bóg odwróci się też od człowieka. On zabrał mi wszystko to, co kochałam. Zabrał mi dzieci. Jego prawa skierowały przeciwko mnie moją rodzinę, a mąż usprawiedliwiał nimi swoje tortury. Przez niego odrzucił mnie mój własny lud. Dlatego za nic mam i Jego, i Jego prawa. Możesz odejść, boży szaleńcze. Tak, przybyłeś mi na ratunek, gdy tego potrzebowałam, ale kiedy okazało się, że nie mogę się zmienić, chciałeś mnie zabić. Czy ja nie zasługuję na zemstę? Właśnie wyrównuję rachunki. W moim świecie nie znajduje się miejsce dla Boga.

Nóż, który należał kiedyś do Quinceya P. Morrisa, wykonany był ze zwykłego metalu, ale to nie on, lecz wspomnienia z nim związane miały prawdziwą moc. Odwróciła broń w dłoni, tak by mógł dokładnie obejrzeć ostrze,



którego użyła w Transylwanii. Wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Nie docenił przeciwnika.

- Tym razem ostrze Teksańczyka dokończy dzieła - warknęła hrabina. cofał się w dół schodów, ale nie tylko ze strachu przed nią. Wzrok miał wbity w horyzont za jej plecami. Odwróciła głowę i ujrzała purpurę malującą się na niebie.

Zbliżał się świt. Czas naglił.

Usłyszała wrzask. Odwróciła się, by zobaczyć, jak w jej stronę pędzi. Uderzył ją barkiem prosto w pierś i przewrócił. Podniósł jej miecz. Skoczył w powietrze, przeleciał nad nią i gdy wylądował na stopniu powyżej, natychmiast zamachnął się, chcąc rozłupać jej głowę.

Czy on się niczego nie nauczył? Hrabina błyskawicznie przeturlała się na bok, a ostrze Draculi utkwiło w kamieniu. Jej słuch złowił dźwięk pęknięcia osłabionej ciosami stali. Sięgnęła po jego miecz, wciąż pogrzebany w ziemi. Oboje wydobyli broń w tym samym momencie. Hrabina, wznosząc miecz przed sobą, odwróciła się, by natrzeć na Draculę. Wiedziała, że zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki.

zaczął się zmieniać: gadzie oczy, popielatozielona skóra, zaostrome uszy. Wydłużona szczeka ukazała rząd straszliwych, ostrych kłów. Nowa twarz Draculi była doskonałą bronią, wzbudzała w ludziach paniczny strach. Na hrabinę jednak w ogóle to nie działało. Nawet tyle nie zostało w niej z człowieka.

Rzuciła się na księcia. Stał zwarła się ze stałą. Teraz to ona swoimi szybkimi ciosami zmuszała Draculę do cofania się. Może i nie miała jego siły, ale częstotliwość jej uderzeń osłabiała jego energię. Byli już prawie na szczycie, skała przestała osłaniać jego plecy przed słońcem. Hrabina zamierzała walczyć tak, by pozostać w cieniu Draculi. Być może zyska w ten sposób tylko minutę, lecz tyle powinno wystarczyć.

Czuła, że słabnie z każdym jej uderzeniem. Cofał się coraz bardziej chwiejnym krokiem. Jego rana broczyła krwią. Promienie słońca dotykały jego pleców. Hrabina uderzała coraz szybciej. Jeszcze tylko kilka uderzeń i pozbawi go możliwości obrony. A wtedy przebiję mu serce.

Mina chwiejnym krokiem szła przez kręte korytarze opactwa. Nie miała ze sobą pochodni ani lampy, jednak widziała wszystko wyraźnie - nie była już bowiem istotą światła, ale nocnym drapieżką.



Jej ciało pogrążyło się w cierpieniu. Na przemian czuła skręcający głód i ataki nudności. Nagle zakręciło jej się w głowie i aby nie upaść, oparła się o ścianę. Poczowała szarpnięcie w piersi i zwymiotowała krwią. Zastanawiała się, czy jej ciało odrzuca krew szczurów. Być może wampir tuż po przemianie może pić tylko ludzką krew.

Wokół niej dominowały odgłosy burzy. Ale słyszała też inny dźwięk - wyraźnie, choć dobiegał ją z oddali. Były to uderzenia deszczu i wiatru o drewno. Drzwi. To odkrycie dodało jej sił. Dźwięk prowadził ją jak światło latarni wskazującej statkom drogę pośród sztormu. Czuła zapach wilgoci, dymu z odległych świec, nawet martwych szczurów, które sama zabiła. Czuła też zapach Cjuinceya. Wiedziała, że szedł tą drogą. Wreszcie zrozumiała, co miał na myśli, mówiąc, że wampiry funkcjonują na wyższym poziomie niż śmiertelnicy. Choć była słaba, potrafiła o wiele więcej niż człowiek. Jednak w swoim strachu o syna i tęsknocie za swoim kochankiem wciąż była zbyt ludzka.

Wiedziona dźwiękiem i zapachem, znalazła duże drewniane drzwi prowadzące na zewnątrz. Wybiegła bez zastanowienia. Ale zaraz cofnęła się z bólu i ze strachu. Słońce! Właśnie wschodziło nad horyzontem. Instykt kazał jej schować się przed światłem. Powinna ukryć się w ciemnościach, lecz jej pragnienie, by ocalić Quinceya, było silniejsze niż wszystko inne. Odczuwała działanie promieni słonecznych niczym miliony igiełek wbijających się w skórę. Bolało, ale przez jakiś czas mogła wytrzymać.

Biegła przez chwilę na oślep, aż wreszcie jej wzrok przystosował się do światła. Znowu zrobiło jej się słabo, a nudności powróciły. Jednak z braku krwi w żołądku nie miała już czym wymiotować. Upadła na ziemię. Gdy podniosła głowę, dostrzegła Quinceya stojącego między grobami. Dosłyszała też szcęk mieczy. Oczy zapiekły ją od słońca, zmrużyła je. Skierowała wzrok w tę samą stronę co Quincey.

Kamienne schody. Na tle bladego światła widać było dwie walczące postaci. Wiedziała, że to i hrabina Batory. Wiedziała też, że Quincey zastanawia się, czy powinien interweniować. W swojej naiwności mógł stwierdzić, że hrabina jest jego sprzymierzeńcem. Mina z trudem stanęła na nogach. Musiała dotrzeć do niego, zanim jej syn zacznie działać.

Quincey obserwował walkę jak sparaliżowany. wycofywał się. Koścista istota, która go atakowała, była szybka jak błyskawica i swoimi bezlitosnymi ciosami zmuszała go, by cofał się w stronę szczytu, a tym samym w kierunku

wschodzącego słońca. Teraz Quincey miał pole do popisu. Potrzebował tylko odwagi. Ale nie mógł się ruszyć.

Ta poparzona istota musiała być ową hrabiną, przed którą ostrzegał go van Helsing, samym Kubą Rozpruwaczem. Jeśli Quincey przyłączy się do niej teraz, kiedy się cofa, osiągnie zwycięstwo. Jego instynkt podpowiadał mu, że nie można jej ufać. Jednak rozum mówił: wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

Hrabina syknęła przez zęby. Zwycięstwo było na wyciągnięcie ręki. Wschodzące słońce odbierało jej przeciwnikowi siły. Jego ruchy stały się ociężałe, a rany broczyły krwią. Bronił się coraz słabiej. Czas więc uderzyć z całej siły. Żeby zmobilizować całą swoją energię, hrabina sięgnęła pamięcią do przeszłości i przywołała wszystkie wspomnienia cierpień, jakich doznała w ciągu życia. I uderzyła z furją.

Uszkodzona stal wreszcie nie wytrzymała. Ostrze pękło, a przewrócił się na plecy. Hrabina wyczuła jego strach. Ogarnęła ją dzika radość. Nareszcie dopełni zemsty. Nie wypuszczając z lewej ręki noża, prawą uniosła miecz i skierowała go pionowo w dół, w stronę serca Draculi.

Nie mógł uciec. Śmierć nadchodziła. Gdy była pewna, że już nic go nie uratuje, ujrzała, że wyraz przerażenia na jego twarzy przeradza się w okrutny uśmiech. Gdy ostrze znalazło się zaledwie kilka cali od jego serca, lewą dłonią ścisnął pękniętą klingę i choć jej ostrze odcięło mu palce, miecz hrabiny ześlizgnął się po niej i uderzył obok. Iskry posypały się z miejsca, gdzie wbił się w kamień. Hrabina pod wpływem impetu poleciała wprost na swojego śmiertelnego wroga. A wtedy prawą ręką zanurzył pęknięty miecz w jej brzuchu. Ostrze przeszło na wylot jej poranione ciało.

Hrabina postawiła wszystko na jedną kartę i przegrała. Wszystkie jej intrygi, podstępny, plany obróciły się wniwecz. To nie tak miało się skończyć. Choć czuła niewyobrażalny ból, to o wiele gorszy do zniesienia był triumfalny uśmiech Draculi na jego z powrotem ludzkiej twarzy. Był prawdziwym mistrzem. Wejrzał w jej duszę i zrozumiał jej obsesję oraz pychę, którą ona przypisywała jemu. I tak jak ona zagrała na jego emocjach, zadając pierwszy cios nożem Bowie, tak i odegrał się na niej. Specjalnie zaczął walkę osłabionym mieczem. Specjalnie udawał strach. Był aktorem, grał więc słabego, wiedząc doskonale, że pewność siebie hrabiny ostatecznie doprowadzi ją

do zguby. Zapomniała o złotej zasadzie swojego mistrza: nie wolno nie doceniać przeciwnika.

wyjął pęknięte ostrze z jej brzucha i odrzucił miecz na bok. Spojrzał na swojego śmiertelnego wroga bez satysfakcji.

- Prawdziwy rycerz Boga zawsze zwycięży.

Te słowa doprowadziły ją do furii. Krzycząc, ostatkiem sił wsparła się na mieczu wetkniętym w kamienny stopień, podniosła się i trzymanym w drugiej ręce nożem poderżnęła Draculi gardło. Trysnęła krew. Zapominając o bólu i ranach, hrabina wybuchła gromkim śmiechem. Zaskoczenie malujące się na obliczu Draculi, który zranioną ręką próbował powstrzymać krwawienie, było wspaniałym widokiem.

Twarz księcia wykrzywiła się w straszliwym gniewie. Zwinął prawą rękę w pięść i uderzył ją w brzuch. A potem usłyszała okropne dźwięki wydawane przez miażdżone narządy i trzask gruchotanych kości. Czuła, jak jego pięść wędruje w górę jej ciała i sięga między żebra.

- Bóg cię kochał - wycharczał. - Zabijałaś, ponieważ nie chciałaś przyjąć Jego miłości. Jesteś odpowiedzialna za wszystkie swoje zbrodnie.

Dłoń Draculi otoczyła jej serce i ścisnęła. Gdy wyszarpała rękę z jej ciała, hrabina spoglądała w osłupieniu na swoje wciąż bijące czarne serce zaciśnięte w jego pięści.

Zawyła agonalnie i z furią zanurzyła nóż w jego piersi. Wiedziała, że nie ma już tyle siły, by przebić nim jego serce. Utrata krwi oraz promienie wschodzącego słońca powinny jednak dokończyć dzieła. Ich pojedynek zakończył się remisem. Oboje wygrali i przegrali jednocześnie.

Nie chcąc umierać u stóp swojego wroga, hrabina odepchnęła się od miecza i jej ciało stoczyło się ciężko po kamiennych schodach. Przez całą drogę w dół słyszała trzask pękających kości, ale nie czuła bólu. wkrótce będzie martwy. I chociaż ona nie zobaczy tego na własne oczy, jego śmierć oczyści drogę dla nowego porządku. Gdy umierała, pomyślała na koniec, że hrabina Elżbieta Batory - łona, wykorzystywana, lekceważona i zastraszana - powstała z własnej śmierci i stała się narzędziem zniszczenia świata.

Odpowiednie epitafium dla tej, od której odwrócił się Bóg.

Quincey obserwował, jak hrabina stacza się po schodach. został sam. Krew płynęła z niego strumieniem. Za kilka chwil padną na niego bezpośrednio promienie słońca.



* f

Chłopak zacisnął mocno pięść wokół złamanego trzonka łopaty. Nadszedł czas na działanie. musi zginąć.

- Quincey, zaczekaj! - usłyszał za plecami krzyk matki.

Jej głos tylko podsycił w nim żądzę krwi. Ruszył przed siebie. Czas, by ten, który zniszczył jego rodzinę, odpowiedział za swoje czyny.

- ! Stań do walki!



Rozdział LXII

Choć słońce dopiero rozpoczynało wędrówkę po niebie, skóra Miny była już całkiem czerwona. Jej umysł kazał ciału się podnieść, ale mięśnie reagowały z opóźnieniem. Brakowało jej tchu w piersiach, nie mogła biec dalej. Potrzebowała świeżej krwi. W tym stanie nie miała szans powstrzymać syna. Krzyknęła rozpaczliwie:

- Quincey, zatrzymaj się! Zaczekaj!

Quincey, wznosząc ułamany trzonek łopaty nad głową, z wojennym okrzykiem na ustach natarł na Draculę, ale ten nawet się nie odwrócił. Zaskoczony Quincey zatrzymał się. Choć nie był wojownikiem, wiedział, że atak od tyłu nie jest honorowy.

Do licha z honorem, to sprawa życia i śmierci!

Jeszcze raz złożył się do ciosu. Nagle powstrzymał go przeszywający ból, jak gdyby ktoś wbijał mu w czaszkę gwóźdź. Usłyszał w głowie głos Basaraba: Czy naprawdę jesteś w stanie mnie zabić, Quincey? Mnie, którego kochałeś?

Quincey zamarł, zmagając się z wypełniającymi jego umysł myślami. Czuł się tak, jakby nie miał już kontroli nad ciałem ani umysłem. Kłębiące się chmury przesłoniły słońce. Chłopak zrozumiał, dlaczego jego wróg nie reaguje. Był pochłonięty kontrolowaniem pogody i jego umysłu. Dopiero teraz odwrócił się w jego stronę.

Planując zniszczyć wroga, Quincey nie przewidział, że gdy spojrzy w twarz Draculi, będzie to też twarz Basaraba. Z rozplatanym gardłem i brzuchem, z krwawymi kikutami paków i nożem wbitym w pierś wyglądał tak słabo i kruch, że Quincey ze zdumieniem odkrył w sobie współczucie dla niego. Ale to nie było współczucie dla Draculi, który zamordował jego ojca i zbęzczył jego matkę. To było współczucie dla Basaraba.

- To jednak ty. Słyszałem od van Helsinga... ale mimo to miałem nadzieję...

- Nie miał już siły na walkę, która toczyła się w jego głowie.

Quincey wypuścił broń i cofnął się pokonany.

- Nie mogę tego zrobić.

Głos w jego głowie stał się mocniejszy, bardziej pewny siebie: Czy imię jest takie ważne? czy Basarab... Wciąż jestem tym samym człowiekiem, który cię kocha.

cierpiał straszliwie, ale mimo ogromnego bólu udało mu się powiedzieć:

- Wybacz, że cię oszukałem. Ale bym zyskał trochę czasu, hrabina musiała myśleć, że zginąłem.

W umyśle Quinceya eksplodowały obrazy, z których wynikało jasno: to hrabina Batory była zła, a wszystkie działania Draculi miały jeden cel - chronić Minę i jej syna. Quincey nie wiedział, co o tym myśleć. Czy te obrazy są prawdziwe? A może są tylko złudzeniem, które ma go powstrzymać przed zemstą? Kiedy uświadomił sobie, jak zwodził go Basarab, Quincey zaczął krzyczeć:

- Kochałem cię. Ufałem ci! A ty wykorzystałaś mnie i zdradziłaś!

Promienie słoneczne przedarły się przez chmury i dotarły do Draculi. Jego skóra zaczęła znikać, odsłaniając kości. Wraz z rozkładem ciała, jego moce słabły. Chmury zaczęły się rozstępować.

- Zapytaj sam siebie, dlaczego nie możesz mnie zabić - wyszeptał. - Jestem tym, czym ty. Nie możesz mnie zabić, bo wtedy zabiłbyś siebie.

Quincey pokręcił głową. Nie miało znaczenia, jaka naprawdę jest hrabina. Gdyby nie przyjechał do Anglii, gdyby nie zaczął nękać jego rodziny, ona nigdy by tu nie przybyła. Był zarazą, sprowadzał na świat ból i zniszczenie. Nieważne, z czyjej ręki zginął Jonathan Harker. To zaczął to wszystko.

Przed nim nie stał już Basarab, którego kochał, ale żywy trup, zły i do cna zepsuty. Quincey wreszcie był wolny od jakichkolwiek dylematów. Chwytał Draculę za opończę i przyciągnął go do siebie. Dzielił ich jedynie wystający z piersi wampira nóż.

- Zamordowałeś mojego ojca!

Spodziewał się oporu, lecz zamiast tego tylko uśmiechnął się do niego. Poruszone mięśnie twarzy zaczęły odpadać od kości.

- Quincey, nie jesteś głupi - rzekł cicho i ze szczerością w głosie. - Nie pojąłeś jeszcze prawdy? Nie zamordowałem człowieka, którego uważałeś za ojca, Quincey. Bo to j a jestem twoim ojcem.

Szok był tak ogromny, że Quincey rozluźnił uścisk i opadł na kamienne schody. Jednak zaraz potem chłopak przyskoczył do niego i umieścił obie dłonie na rękojeści noża wbitej w jego pierś.

- Kłamiesz!

nie stawiał oporu. Rozłożone ramiona księcia dawały Quinceyowi pełną władzę nad jego życiem i śmiercią.

- Zrób to, jeśli jesteś w stanie.

Ten ruch musiał wyssać z niego resztki siły, ponieważ chmury nad jego głową rozstały się zupełnie i promienie słoneczne padły wprost na niego.

Moment decyzji, przed którą ostrzegał go van Helsing, nadszedł. Czy wciąż był dzieckiem bez charakteru czy też mężczyzną, który potrafi wypełnić swoją powinność? Quincey wpatrywał się w tego, który był jego wrogiem i twierdził, że jest jego ojcem. Spod opończy i nieosłoniętych części ciała wampira zaczęła unosić się para. Quincey się wahał. Gdy wbije nóż aż po rękojeść i przebije jego serce, będzie takim samym mordercą jak ta bestia. Czy właśnie tego chciał Bóg?

Twarz Draculi wykrzywiła się gniewem.

- Chciałeś znać prawdę, czyż nie? Oto sekret, który wszyscy tak rozpaczliwie kryliśmy przed tobą: powstałeś z mojego nasienia, to moja krew płynie w twoich żyłach.

Ból na nowo przeszył czaszkę Quinceya. Zrobił krok w tył, zdejmując ręce z noża. Głos, który słyszał tym razem, nie należał do Basaraba, ale do Miny: Wybacz mi, synu. On mówi prawdę.

Wszystko w jego życiu okazało się kłamstwem. Spojrzał na Draculę. Jego skóra powoli zniknęła, ale na Quinceya promienie słoneczne nie oddziaływały. Zatem wciąż jest człowiekiem... a to oznacza, że wciąż ma wolną wolę. Może wybierać.

- Jestem synem Jonathana Harkera i dzieckiem Boga.

spojrzał na Minę, nie miał już siły walczyć.

Potem podniósł się z ziemi i ruszył ku krawędzi klifu, zmieniając się po drodze w kulę ognia. Słońce dopełniło dzieła zniszczenia. Światło pokonało ciemność.

Quincey obserwował bez emocji, jak płonące ciało Draculi spada wprost w spienione fale. Usłyszał krzyk matki. Nic nie czuł.

Mina krzyknęła przerażona, ujrawszy, jak jej ukochany rzuca się z klifu. Po chwili nie było już po nim śladu, zaledwie smuga czarnego dymu. Tak długo nie chciała przyznać się przed sobą, że kocha Draculę, zmarnowała tyle czasu. Ich miłość miała być wieczna, a teraz nic z niej nie zostało.

Znad jej rąk zaczął unosić się dym. Promienie słoneczne, padając na nią bezpośrednio, zadawały jej niewypowiedziany ból. Chwiejąc się, przeszła kilka kroków, ale zaraz upadła. Ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Resztką sił próbowała doczołgać się do Quinceya. Może teraz, znając prawdę, zechce wybaczyć jej winy.

Jednak nie odwrócił się do niej. Stał nieruchomo, wpatrując się w morze.

- Chodź do mnie, kochanie - odezwała się błagalnie. - Muszę ci jeszcze tyle powiedzieć. Przed tyloma rzeczami ostrzec.

Quincey spojrzął na swoje zakrwawione ręce. Słowa, które wypowiedział, były dla niej ciosem w samo serce:

- Moja matka nie żyje.

Po tych słowach odwrócił się na pięcie i zaczął biec, nie oglądając się za siebie.

Mina patrzyła na oddalającego się syna, a jej serce wypełniała pustka. Straciła wszystko. Uratowała Quinceya, choć cena, jaką musiała za to zapłacić, była naprawdę wysoka. Dzięki niej jej syn mógł sam wybrać swoją przyszłość. Ona została sama. Wszyscy, których kochała, nie żyli. Nie po to zdecydowała się na wieczność, by spędzać ją w samotności. Czy cuda nieśmiertelności mogą cieszyć, gdy nie można ich oglądać w towarzystwie ukochanych osób?

Choć płomienie objęły już jej nogi, udało jej się dobrać do krawędzi klifu. Nie czuła już bólu, przenikała ją tylko dojmująca świadomość, że życie dobiega końca. Nie mogła się doczekać, aż znowu zobaczy Jonathana, Lucy i wszystkich swoich przyjaciół. Pragnęła połączyć się ze swoim księciem. Miała nadzieję, że Bóg poznał jej szczerze zamiary i że w swej mądrości wybaczy jej.

Stała na krawędzi skały. A potem pochyliła się lekko do przodu i runęła w dół.

Widziała zbliżające się skały i swoje odbicie w wodzie. Potem otulił ją mrok. Zasnęła.

Rozdział LXIII

Starszy marynarz John Coffey był wykończony. Łeb mu pękał. Wraz z kolegami z załogi pił wczoraj do późna w nocy i teraz pokutował. Był ciepły, pochmurny dzień, ale słońce starało się przedrzeć przez złowrogie chmury. Morze falowało niespokojnie. Coffey zastanawiał się, jak poradzi sobie na statku jego schorowany organizm, jeśli pogoda jeszcze się pogorszy. Ogromny transatlantyk, na którym pracował Coffey, zbyt duży, by pomieścić się w małym lokalnym porcie, zakotwiczony był w Roches Point, dwie mile od wybrzeża Queenstown. Coffey zastanawiał się, po jakiego diabła robią teraz takie duże statki. Na kim chcieli zrobić wrażenie? Na takiej łajbie było dużo więcej pracy za takie same marne grosze.

Bardzo często załoga liniowca zakotwiczzonego z dala od brzegu towarzyszyła pasażerom na promie kursującym między statkiem a portem. Coffeya przypisano do promu „America” - jednego z małych statków kołowych używanych do dowozu pasażerów. Queenstown było jego rodzinnym miastem. Jednak choć był tak blisko, nie dane mu będzie postawić nogi na ukochanym brzegu. Miał rozkaz odbyć ten rejs tak szybko, jak to możliwe. Liniowiec miał wyruszyć w swą dziewiczą podróż, a jego właściciele i kapitan zamierzali pobić rekord prędkości na trasie do Nowego Jorku. Nie było czasu do stracenia.

Coffey pracował na morzu od dwóch lat, na różnych łajbach. Zaharowywał się po łokcie, a i tak w oczy nieraz zaglądała mu bieda. Praca na tym nowym liniowcu była najlepszą robotą w jego życiu, ale zarobki nie pozwalały mu na żadne oszczędności.

Prom „America” podniósł kotwicę i odbił od liniowca. Wiózł na pokładzie siedmiu pasażerów, którzy mieli wysiąść w Queenstown. Gdy płynął przez zatokę Cork w stronę nabrzeża, przekrwione oczy Coffeya pobiegły w stronę neogotyckiej katedry Świętego Kolmana. Osadzona na zboczu wzgórza, tuż pod szczytem, górowała nad całym Queenstown. Jej budowa trwała już ponad czterdzieści lat i sądząc po rusztowaniach zdobiących dzwonnice, była na ukończeniu. Coffey uśmiech-

nał się na ten widok. Ten port był bramą do Ameryki. Dla tysięcy irlandzkich imigrantów kraj ten dawał szansę na nowe życie. Coffey był w owym zimnym, rozrastającym się Nowym Jorku wiele razy, ale zawsze tęsknił za tym cichym portowym miasteczkiem. Nie mógł zrozumieć, jak ktokolwiek może chcieć opuścić taką spokojną przystań. Chciał tam zawitać i dziś, ale nie było mu to pisane. Na domiar złego prom miał wysadzić swych siedmiu pasażerów na nabrzeżu oznaczonym numerem trzynaście. Co za pechowa liczba. Tym bardziej chciał się pomodlić w kościele, zanim wejdzie na pokład i wyruszy w kolejną podróż za ocean. Coffey westchnął i spojrzął na brzeg. Stało tam ponad sto osób, biedacy, którzy przybyli tu z całej Europy, by w Ameryce szukać lepszego losu. Bóg jeden wie, co tam znajdują.

Gdy już skończyli sprawdzanie biletów i zaznaczanie nazwisk na liście, zajęli się załadunkiem bagażu.

Nagle z brzegu dobiegł ich krzyk:

- Zaczekajcie!

Coffey podniósł wzrok i ujrzał biegnącego w ich stronę włóczęgę. Zapewne liczył, że uda mu się dostać na statek.

- A ty niby dokąd się wybierasz? - zapytał.

- Proszę mi wybaczyć - wydyszał obdartus. Miał akcent rodem z wyższych sfer. Dziwne. A do tego w jego oczach było coś niepokojącego. Podobne puste spojrzenie widział Coffey u swojego ojca. Było to spojrzenie człowieka, który był na wojnie i doświadczył straszliwych rzeczy. Mężczyzna wręczył Coffeyowi znajomy dokument z wypisanym na środku jasnoczerwonym napisem: „karta pokładowa”.

- Pokład B, pierwsza klasa? - spytał Coffey, spoglądając z powątpiewaniem na jego łachmany. Przeczytał nazwisko na dokumencie. - Chcesz mi wmówić, że jesteś doktorem Fieldingiem?

Cokolwiek by chłopak powiedział, i tak nie będzie to wiarygodne. Wyglądał na młodszego od Coffeya i na takiego, co dopiero skończył szkołę, a nie prowadził praktykę lekarską. Z pewnością ukradł bilet prawdziwemu doktorowi Fieldingowi. Coffey spojrzął na podejrzaną torbę zwisającą mu z ramienia.

- I mam rozumieć, że to twoja torba lekarska?

- Cóż... Miałem wypadek, co zresztą po mnie widać. Zgubiłem ją - odparł, zaciskając dłoń na skórzanych paskach torby.

- Zgubiłeś? Razem z całym bagażem? - spytał Coffey. Spodziewał się, że chłopak, widząc, iż został zdemaskowany, rzuci się do ucieczki. Zamiast tego



ten posłał mu takie spojrzenie, że aż dreszcz przeszedł mu po plecach. - Proszę mi pokazać licencję i paszport - zażądał.

Tymczasem włóczęga wydobyl z kieszeni portfel i wręczył go Coffeyowi. Marynarz otworzył go i ze zdumieniem ujrzał zielony banknot. Po chwili zorientował się, że to dolar amerykański. Jasnożółtym kolorem wydrukowana była na nim liczba „20”, tak samo jak i słowa: „w złocie”. Coffey zamrużył oczami. Jego palce nerwowo przewróciły go na drugą stronę, by sprawdzić, czy jest prawdziwy. A wtedy zauważył, że banknotów jest pięć. Sto dolarów. Tyle nie zarabiał nawet w rok. Spojrzał ponownie na włóczęgę. Te pieniądze były dla niego szansą na nowe życie. Był pewien, że doktor Fielding zginął z ręki tego diabła, a teraz ten sam diabeł kusi jego.

- Pańskie dokumenty są w porządku - rzekł. - Zapraszamy na pokład, doktorze.

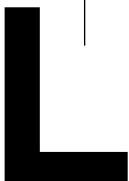
W doku stały jeszcze skrzynie, które miały być przetransportowane na linowiec. Podczas ich przenoszenia na prom Coffey obiecał sobie, że jeszcze tego dnia postara się pójść do spowiedzi w nowej katedrze.

„Doktor Fielding” znajdował się już na pokładzie. Wszedł na promenadę i zaczął się przechadzać wzdłuż balustrady. Złowił krzywe spojrzenia pasażerów pierwszej klasy. Zapewne uznali go za biedaka, który bezczelnie pcha się tam, gdzie nie powinien.

Spokój. Nareszcie chwila spokoju. Dla człowieka, który nie wiedział już, kim jest, miano „doktor Fielding” brzmiało równie dobrze jak każde inne. Kiedyś nosił imię po Quincey P. Morrisie, dzielnym człowieku, który zginął w walce ze złem. Ale teraz Quincey Harker nie był tego godzien. Odtwarzał w pamięci swoją ucieczkę z opactwa Carfax. Przypominał sobie chwilę, gdy pojął, że jego matka nie żyje.

Potem przez kilka dni włóczył się bez celu - był człowiekiem bez przyszłości i bez przeszłości. Nie wiedział, co robić. Czy to był cud czy łut szczęścia, że odzyskał konia, którego wcześniej ukradł, by dostać się do Carfax? Gdy zwierzę opadło z sił, okazał mu litość. Jak koń go odnalazł - nie miał pojęcia. Gdy zmierzzał do opactwa, był tak pochłonięty obsesyjną myślą o zemście, że nie zauważył torby przytroczonej do końskiego siodła. Poddał się woli Bożej i Wszechmogący wskazał mu ścieżkę.

Gdy otworzył torbę, znalazł w niej portfel doktora, a w nim trzysta dolarów amerykańskich i bilet pierwszej klasy na statek do Nowego Jorku. W pierwszym



odruchu chciał odnaleźć doktora i zwrócić mu jego własność. Miał nadzieję, że będąc synem Draculi, wciąż jest zdolny do uczciwych czynów. Niestety okazał się zwykłym tchórzem.

Teraz, gdy tak stał na pokładzie tego potężnego statku, czuł, że jego wielka przygoda dopiero się zaczyna.

Gdy już pomógł pasażerom trzeciej klasy przedostać się na pokład liniowca, Coffey zaczął ostatnie zadanie przewidziane na ten poranek. Miał przenieść ładunek z promu na transatlantyk. Gdy statek będzie odpływał, Coffey planował wykorzystać całe zamieszanie, schować się na promie „America” i wrócić na nim do Queenstown. A potem poczekać, aż na wybrzeżu zrobi się pusto i wyslizgnąć się z promu niezauważony. Postanowił od razu pójść do kościoła, by się wyspowiadać. Chciał zacząć nowe życie.

Związał liną dwie ostatnie skrzynie, a potem wraz z kamratami pociągnął je po trapie przez luk do ładowni liniowca. Na bokach obu skrzyń wypisane były słowa: „WŁASNOŚĆ VLADIMIRA BASARABA. QUEENSTOWN, IRLANDIA. CEL: NOWY JORK, STANY ZJEDNOCZONE AMERYKI”.

Marynarze zamknęli drzwi do ładowni. Nadeszła pora na ucieczkę. Coffey wycofał się na prom tak, by nikt go nie widział, i czmychnął na dolny pokład. Gdy ukrył się w ładowni pod płóciennymi workami, dotknął pieniędzy w kieszeni, by upewnić się, że rzeczywiście tam są. Potarł je na szczęście. Ostrożnie unióśł worek, żeby móc obserwować przez bulaj, co dzieje się na zewnątrz. Ujrzał, jak jego kamraci wbiegają po trapie i wchodzą na transatlantyk. Na razie wszystko układało się idealnie.

Prom zawinął z powrotem do doku numer trzystaście. Coffey obserwował przez bulaj, jak wielki transatlantyk wyrusza w swój dziewiczy rejs. Rzucił po raz ostatni okiem na wymalowaną na rufie nazwę statku, który szybko zniknął mu z oczu, i ukrył się na nowo pod workami. Postanowił, że poczeka z ucieczką do zmroku, aż załoga opuści prom. Nagle poczuł, że ogarnia go przerażenie. Coś mówiło mu, że życie włóczęgi oraz pozostałych osób na pokładzie jest w niebezpieczeństwie. I jeszcze raz pomodlił się, żeby ten wielki transatlantyk, „Titanic”, okazał się rzeczywiście niezatapialny.

Posłowie

Abraham (Bram) Stoker urodził się 8 listopada 1847 roku w Irlandii, w Clontarf niedaleko Dublinia. Jego ojciec John Abraham Stoker był urzędnikiem w brytyjskiej administracji w Irlandii. Jego matka, Charlotte Thornley, pochodząca ze Sligo w zachodniej Irlandii, była działaczką społeczną. Oboje byli protestantami, członkami Kościoła Irlandii. Bram był trzecim z ich siedmiorga dzieci, miał czterech braci (William Thornley, Thomasa, Richarda i Georgea) oraz dwie siostry (Margaret i Matilde).

Jako dziecko został przykuty do łóżka przez ciężką chorobę, której przyczyny lekarze nigdy nie znaleźli. Matka umiała mu wtedy czas opowieściami i legendami z rodzinnego Sligo, w tym niesamowitymi historiami o chorobach i śmierci. Po kilku latach jego tajemnicza choroba zniknęła bez śladu i gdy w 1864 roku rozpoczął studia w Trinity College w Dublinie, był już silnym młodym człowiekiem wybijającym się w uniwersyteckich konkurencjach sportowych, przede wszystkim w piłce nożnej, biegach i podnoszeniu ciężarów. Wiódł też prym w konkursach oratorskich i był przewodniczącym The Philosophical Society.

Po ukończeniu studiów poszedł w ślady ojca i rozpoczął pracę w irlandzkiej administracji, pisując jednocześnie recenzje teatralne dla miejscowej gazety. Jedna z nich, dotycząca przedstawienia *Hamleta*, doprowadziła do spotkania z Henrym Irvingiem, uznanym później za największego aktora szekspirowskiego epoki wiktoriańskiej. Między mężczyznami zawiązała się przyjaźń. W 1878 roku, wkrótce po ślubie z dublińską piękną Florence Balcombe (do której zalecał się również Oscar Wilde), Stoker przyjął posadę menedżera w nowo otwartym teatrze Irvinga, Lyceum, którą to funkcję pełnił aż do śmierci aktora w 1905 roku. Większość jego utworów, w tym , powstała w czasie wolnym od pracy, na którego nadmiar jednak nie narzekał. Do jego podstawowych obowiązków należało organizowanie *tournee* krajowych i zagranicznych trupy teatralnej Irvinga i prowadzenie ksiąg rachunkowych; był też sekretarzem aktora. Bez niego trudno sobie wyobrazić osiem amerykańskich *tournee* teatru, podczas których zaprzyjaźnił się z podziwianymi przez siebie od lat Waltem Whitmanem oraz

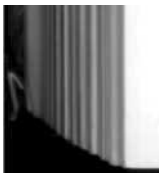
Markiem Twainem. Praca w Lyceum u boku słynnego Henryego Irvinga (któremu w 1895 roku królowa Wiktorja nadała tytuł szlachecki) sprawiła, że Stoker zetknął się z wieloma znanymi osobistościami swoich czasów. Do kręgu jego znajomych zaliczali się lord Alfred Tennyson, sir Richard Burton i William Gladstone. Lecz najbardziej znaczący wpływ na Stokera wywarł sam Irving. Jego wspomnienia o Henrym Irvingu (*Personal Reminiscences of Henry Irving*) wydane w 1906 roku są hołdem złożonym człowiekowi, któremu tak wiele zawdzięczał.

Choć zasłynął jako autor *Draculi*, Stoker napisał też kilka innych powieści i opowiadań. Zmarł 20 kwietnia 1912 roku (zaledwie pięć dni po zatonięciu „Titanica”), na skutek zapalenia nerek i dwóch udarów. Jego prochy spoczywają na cmentarzu w dzielnicy Golders Green w Londynie. W nekrologu w londyńskim „Timesie” napisano, że Stoker przejdzie do historii przede wszystkim dzięki swojej znajomości z Henrym Irvingiem. Jak dobrze wiemy, stało się inaczej.

został po raz pierwszy opublikowany w 1897 roku w Londynie. Z zapisków Stokera* dowiadujemy się, że pracował nad książką z przerwami przez ponad sześć lat, w tym podczas wakacji i *tournee* z teatrem po Ameryce Północnej. Pierwotnie powieść nosiła tytuł *Nieumarły*. 18 maja, na kilka dni przed publikacją, na scenie teatru Lyceum odbyło się publiczne odczytanie tekstu w celu ochrony teatralnych praw autorskich. *Nieumarły* został wystawiony dla małej grupy pracowników teatru i przypadkowych widzów. Odczyt trwał ponad cztery godziny i składały się na niego duże fragmenty powieści najwyraźniej zebrane przez Stokera w pośpiechu. Ostateczna decyzja, by wydać książkę pod tytułem , zapadła niemal w ostatnim momencie.

Istnieje spór, czy Stoker zamierzał kiedykolwiek napisać kontynuację *Draculi*. Plotka głosi, że planował stworzyć inną opowieść, w której dotrze do Ameryki**. Nigdy jednak nie znaleziono dowodów na potwierdzenie tej hipotezy. Zakończenie powieści jest jednak na tyle niejednoznaczne, że nie wyklucza kontynuacji i ponownego pojawienia się demonicznego hrabiego. Sposób, w jaki zniszczono Draculę, jest bowiem sprzeczny z metodami zabijania wampirów uwypuklonymi wcześniej w tekście, czyli wbiciem kołka w serce,

* *Bram Stokers Notes for : A Facsimile Edition*, przepisane i opatrzone komentarzem przez Roberta Eighteen-Bisanga oraz Elizabeth Miller, McFarland, 2008. (Wszystkie przypisy w posłowniu pochodzą od autorów). ** Roger Sherman Hear, cyt. za: David Skal, *Hollywood Gothic*, Faber and Faber 2004.



a następnie ścięciem głowy. Zamiast tego hrabia zostaje podziurawiony dwoma nożami: kukri i Bowie. Co więcej, nie zostało powiedziane, czy nóż Harkera, kukri, odciął Draculi głowę. Niejednoznaczne jest też oświadczenie Miny, że „ciało wampira obróciło się w proch”. Czy oznacza to ostateczne zniszczenie? A może rozproszenie jest kolejnym przejawem zdolności Draculi do zmiany kształtów? Za interesujące można też uznać to, iż Stoker (albo jego wydawca) zmienił oryginalne zakończenie, w którym ogromny wybuch miał zmieść zamek Draculi z powierzchni ziemi. Czy przez tę zmianę zakończenie miało się stać bardziej dwuznaczne? Tego nie wiemy. Oczywiście, biorąc pod uwagę niekonsekwencje, od jakich roi się tekst *Draculi*, można to uznać za rezultat niedbałości albo pośpiechu Stokera, który chciał jak najszybciej skończyć książkę. Niezależnie od tego, jaka jest prawda, powieść ta stała się źródłem licznych prequelów i sequele, co jest kolejnym dowodem jej niezwykłego uroku i siły oddziaływania.

: *Nieumarły* jest wieloaspektową kontynuacją powieści. Dacre Stoker i Ian Holt śledzą w niej losy postaci, które przeżyły spotkanie z Draculą: doktora Jacka Sewarda, Artura Holmwooda (lorda Godalminga), Abrahama van Helsinga oraz Jonathana i Miny Harkerów. Na skutek tragicznych wydarzeń życie każdego z nich, zarówno osobiste, jak i zawodowe, obróciło się w ruinę. Seward popadł w uzależnienie od morfiny. Artur bezskutecznie próbował ukoić ból po śmierci Lucy poprzez małżeństwo z inną kobietą i izolację od dawnych przyjaciół. Van Helsing, teraz już stary, schorowany człowiek, wciąż ogarnięty jest obsesją odnalezienia wampira. Małżeństwo Jonathana i Miny na skutek wspomnień o Draculi, jakie żywi każde z nich, jest niemal w stanie rozkładu.

Patrząc przez pryzmat obecnych losów tych postaci, przeżywamy na nowo niektóre kluczowe wydarzenia z powieści Stokera: śmierć Lucy, szaleństwo Renfielda, „chrzest krwi” Miny, pościg za Draculą do Transylwanii i ostateczną konfrontację z wampirem. Elementem jednoczącym jest Quincey Harker, syn Jonathana i Miny. Wspomniany krótko w zapiskach Jonathana Harkera na końcu powieści, jest przedstawicielem nowego pokolenia.

Akcja *Draculi: Nieumarłego* rozgrywa się w 1912 roku - jest to data wybrana celowo. Pozwala na pojawienie się w powieści samego Brama Stokera, który zmarł 20 kwietnia 1912 roku. Jeszcze bardziej istotne dla akcji jest to, że autorzy mogą wpleść w jej zakończenie wątek wypłynięcia „Titanica” (co również nastąpiło w kwiet-

niu). To wydarzenie ukazuje możliwość, że rzeczywiście dostanie się do Ameryki, i wiąże się z domniemanymi planami Stokera, by kontynuować powieść.

Ta decyzja pociągnęła za sobą konieczność zmiany dat wydarzeń w stosunku do oryginalnej powieści. Akcja *Draculi* rozgrywa się w 1893 roku, co można wywnioskować zarówno z notatek autora, jak i z odniesień w obrębie samego tekstu. Żeby wykorzystać postać Quinceya Harkera i osadzić swoją opowieść w 1912 roku, Stoker i Holt musieli przenieść akcję *Draculi* o kilka lat wcześniej. Wybór padł na rok 1888, tak samo obfitujący w wydarzenia jak rok 1912. To właśnie w 1888 roku, od sierpnia do listopada, w londyńskiej dzielnicy Whitechapel z rąk Kuby Rozpruwacza zginęło pięć kobiet. To, że Stoker wiedział o tych morderstwach, nie ulega wątpliwości. Nawet nawiązuje do nich bezpośrednio w przedmowie do islandzkiego wydania *Draculi* z 1901 roku. Odkrywanie tożsamości słynnego mordercy staje się jednym z wątków *Draculi: Nieumarłego*

, którego poznajemy w tej powieści, jest kimś więcej niż wampi-ryczny hrabia Brama Stokera. Po pierwsze, został wyraźnie określony jako Vlad Palownik, słynący z okrucieństwa piętnastowieczny wołoski gospodar. Połączenie *Draculi* Stokera z Vladem nie jest pomysłem nowym, zostało spopularyzowane przez Raymonda McNallyego i Radu Florescu w ich bestsellerowej książce *In Search of* z 1972 roku, a potem rozpowszechniło się w literaturze i filmie. W rzeczywistości w *Draculi* połączenie to jest dosyć dyskusyjne. Imię „Vlad” nie występuje nigdzie w powieści Stokera (ani w jego zapiskach), tak samo jak nie ma w niej odniesienia do okrucieństw, z jakich zasłynął wołoski gospodar. Ostatnie badania udowodniły wręcz, że Stoker nie posiadał zbyt wielu informacji o prawdziwym *Draculi* - znał jedynie jego przydomek, wiedział, że przekroczył Dunaj, by walczyć z Turkami i że miał „niegodziwego brata”*. Dla wielu Vlad do tego stopnia przeniknął do opowieści o *Draculi*, że obie postaci stały się nierozdzielne. Pojawienie się Vlada w tej powieści jest niemal oczekiwane.

Stoker i Holt wykorzystali postać Vlada-*Draculi* w sposób twórczy. W ich powieści przybywa on do Anglii jako Basarab (jest to nazwisko rodowe rodziny królewskiej, z której pochodził Vlad), rumuński aktor, który szturmem zdobywa deski europejskich teatrów. To Quincey sprowadza Basaraba do Anglii, tak jak niegdyś jego ojciec *Dracule*. Jak wynika z zapisków Stokera, pierwotnie

* Elizabeth Miller, : *Sense & Nonsense*, Desert Island Books, 2006, rozdział 5.

hrabia miał dotrzeć na wyspę przez Dover, port, do którego przybył Basarab. Zmiana na Whitby nastąpiła po wizycie Stokera w tym miasteczku na północno-wschodnim wybrzeżu Anglii, po której postanowił on uczynić z niego główne miejsce akcji swojej powieści.

Nie ulega wątpliwości, że postać Basaraba jest hołdem złożonym sir Henry'emu Irvingowi, którego śmierć w 1905 roku wyklucza aktywną obecność w powieści. Podobieństwo do Irvinga jest wyraźne. Basarab przyciąga młodego Harkera, podobnie jak niegdyś Irving samego Stokera. Quincey ma nadzieję, że Basarab wcieli się w postać Draculi w inscenizacji powieści. Sam Stoker mógł mieć podobne plany. To, że Basarab okazuje się hrabią Draculą z powieści Stokera, jest sprytną grą opartą na powszechnym wśród badaczy (aczkolwiek dyskusyjnym) poglądzie, że Stoker świadomie stworzył postać wampira na wzór swojego despotycznego pracodawcy.

Rzecz jasna, nie wszystkie postaci w tej powieści wzięte są z *Draculi* Stokera. Mimo to znawcy tematu rozpoznają wiele intrygujących odniesień. Niektóre są nieznaczące, na przykład postać Braithwaitea Loweryego, współlokatora Quinceya z Sorbony. Nazwisko to pojawia się bowiem w *Draculi* na jednej z kamiennych płyt wskazanych przez pana Swalesa na cmentarzu w Whitby. W rzeczywistości właśnie tam Stoker je znalazł. Kolejnym przykładem jest postać wymieniona w pierwotnym zarysie *Draculi* - i później wykreślona - detektyw o nazwisku Cotford. W *Draculi: Nieumarłym* postać ta zostaje wskrzeszona jako inspektor Cotford, który pracował niegdyś przy sprawie Kuby Rozpruwacza pod nadzorem starszego inspektora Fredericka Abberlinea (postaci rzeczywistej) i wciąż trawiony jest obsesją rozwiązania tej zagadki, by odkupić w ten sposób wcześniejszą porażkę.

Stoker i Holt umieścili w swojej opowieści wiele innych autentycznych postaci. Najbardziej oczywistą jest sam Bram Stoker. Z powodu ograniczeń narzuconych przez wybrane ramy czasowe autorzy musieli nieco ponaginać fakty z jego życia. W ich książce jako właściciel wciąż działającego teatru Lyceum nadzoruje produkcję sceniczną opartą na swojej powieści. Przyznaje, że jest wynikiem połączenia jego własnej opowieści o wampirach z zasłyszaną od starego człowieka historią, którą uważał za zmyśloną. W konfrontacji z Basarabem (który przyczynia się do jego udaru) Stoker musi stawić czoło zarzutom dotyczącym kilku „faktów” ze swojej powieści, rumuński aktor wytyka mu bowiem niespójności i fałszywe wnioski.

Kolejną historyczną postacią, która pojawia się na kartach powieści, jest Elżbieta Batory, niesławna węgierska hrabina, znana z kąpiei we krwi młodych

dziewcząt. Tak samo jak w przypadku Vlady Palownika jej imię jest bardzo często łączone ze Stokerem i jego powieścią. Co do Elżbiety Batory dowodów na ten związek jest jednak jeszcze mniej. Ale jej obecność dodaje *Draculi: Nieumarłemu* mocy i pozwala autorom przesunąć ciężar „absolutnego zła” z Draculi na inną postać.

Wśród wielu perełek w tej książce epizodycznie występują postaci, których pojawienie się jest jawnym ukłonem (choć czasem tylko z imienia) w stronę osób związanych z teatrem i / lub historią Draculi w dwudziestym wieku, takie jak Hamilton Deane, Tom Reynolds, John Barrymore, Raymond Huntley, Vincent Price, Christopher Lee i Louis Jourdan. Inne, niezwiązane ze Stokerem i jego powieścią, wyraźnie osadzają powieść w 1912 roku. Prawdziwą postacią jest chociażby Henri Salmel, lotnik, który przeleciał z Londynu do Paryża w marcu 1912 roku. Ale prawdopodobnie najbardziej pomysłowe jest włączenie do powieści postaci Johna Coffeya. Choć nic go nie łączy ze Stokerem ani , przeszedł on do historii jako marynarz, który opuścił „Titanica” w Queensland z powodu irracjonalnego lęku przed tym, co spoczywało w ładowni wielkiego liniowca.

Tworząc sequel oparty na słynnym dziele, Stoker i Holt swobodnie potraktowali zarówno fakty, jak i fikcję, począwszy od pożaru w teatrze Lyceum, a skończywszy na umiejscowieniu zakładu doktora Sewarda w Whitby. Rozwinęli także wątki wielu postaci z powieści Stokera, takie jak wcześniejsze powiązanie Renfielda z kancelarią Hawkinsa, zaloty Jonathana i Miny w Exeter i utworzenie zakładu Jacka Sewarda. Zmieniłi nawet kluczową datę z oryginalnej powieści - przekładając ucieczkę Draculi z Londynu do Transylwanii o kilka dni, tak aby jego obecność w Londynie 9 listopada czyniła z niego podejrzanego o morderstwa Kuby Rozpruwacza.

Puryści miejscami mogą być zbulwersowani pojawieniem się takich odstępstw w stosunku do oryginalnego tekstu. Choć może się wydawać, że autorzy tylko poświęcają wierność oryginałowi dla celów artystycznych (co samo w sobie jest zupełnie uzasadnione), to mamy tu jednak do czynienia z czymś innym. Autorzy ustanawiają na nowo „prawdziwy” tekst *Draculi*, który z kolei wpływa na kształt tego sequela. Jednocześnie ukazują w swojej powieści, że nie istnieje jeden , ale wiele *Draculów*, począwszy od najwcześniejszych zapisków Stokera, a skończywszy na ostatnich hollywoodzkich adaptacjach, i że tak naprawdę granice między nimi są zatarte. Potrzeba, by na nowo ustanowić tekst *Draculi*, jest znakiem trwałej mocy i oddziaływania powie-

ści. Cytując profesora Abrahama van Helsinga z powieści Stokera z 1897 roku:
„I tak oto krąg poszerza się coraz bardziej, jak fale, które tworzy rzucony
w wodę kamień”.

Elizabeth Miller
Toronto, luty 2009

Elizabeth Miller, profesor honorowy Memorial University of Newfoundland, znana jest na całym świecie jako ekspert w tematyce Draculi, zarówno bohatera powieści Brama Stokera, jak i postaci historycznej. Współredagowała (wraz z Robertem Eighteen-Brisangiem) zbiór *Bram Stokers Notes for . A Fascimile Edition*, opublikowała też książki: *A Handbook* oraz wielokrotnie nagradzaną *. Sense & Nonsense*. Wygłasza wykłady po obu stronach Atlantyku, brała udział w wielu dokumentalnych programach telewizyjnych i audycjach radiowych. Na światowym kongresie Draculi w Rumunii w 1995 roku przyznano jej honorowy tytuł „baronowej rodu Draculów”. Obie strony internetowe, które redaguje - strona Draculi i Research Centre - są dostępne pod adresem www.blooferland.com.

Opowieść Dacre'a

Ponieważ noszę nazwisko Stoker, nic dziwnego, że całe życie interesowałem się dziełem mojego przodka Brama Stokera. Najmłodszy brat Brama, George, z którym podobno pisarz był najbardziej związany, był moim pradziadkiem, a zatem jestem prawnukiem stryjecznym Brama. Na studiach napisałem referat na jego temat, próbując dociec, co skłoniło go do napisania *Draculi*. Przy okazji tych badań zrozumiałem, że z perspektywy mojej rodziny z powieścią tą wiąże się tragiczna historia.

Bram Stoker zmarł, nie doczekawszy popularności swojej książki. W chwili jego śmierci sprzedaż powieści była tak niska, że wdowa po nim, Florence, sądziła, że „zmarowane” przez Brama siedem lat, które poświęcił na badania i pisanie, nigdy nie przyniosą jej żadnych korzyści finansowych. Ponieważ pozostałe dzieła jej męża - zarówno beletrystyka, jak i książki naukowe - zostały już wycofane z druku, Florence była przekonana, że resztę swoich dni przeżyje, zaciskając pasa.

Dopiero dziesięć lat po śmierci Brama Stokera jego wyobraźnia literacka utrafiła w gusta czytelników. Opowieści o wampirach i horror jako gatunek zyskiwały na popularności, przez co sprzedaż *Draculi* wzrosła. Pośmiertnie pisarz zaczął zyskiwać uznanie jako prekursor nowoczesnej powieści wampirycznej i horroru.

W 1922 roku Florence dowiedziała się, że bez jej zgody zrealizowano film oparty na książce jej zmarłego męża. Jako spadkobierczyni praw autorskich miała prawo do zysków z tej czy innych filmowych wersji książki, a trzeba pamiętać, że niewielki dochód, jaki przynosił, był ważnym źródłem jej utrzymania.

Florence Stoker zwróciła się do sądu i pozwała niemiecką firmę Prana Films, która wyprodukowała film *Nosferatu - symfonia grozy*, nieautoryzowaną adaptację *Draculi*, za naruszenie praw autorskich. Sprawa była bardzo skomplikowana i na skutek licznych apelacji ciągnęła się przez trzy i pół roku. W 1925 roku zakończyła się wreszcie wygraną Florence, która zaraz potem dowiedziała się, że firma Prana Films zbankrutowała, więc chociaż odzyskała ona

koszty sądowe, nigdy nie dostała żadnej finansowej rekompensaty za nadużycie praw autorskich.

Po tym prawniczym koszmarze Florence została jedynie satysfakcją, że wszystkie kopie *Nosferatu - symfonii grozy* zostały zniszczone - a przynajmniej tak jej się wydawało. Ze zdziwieniem wkrótce jednak odkryła, że jedna kopia ocalała i zaczęła się pojawiać w kinach w Londynie w 1928 roku, a rok później w Stanach Zjednoczonych. Sfrustrowana, zaprzestała walki.

Mimo to potwierdziła swoje prawa do spuścizny literackiej męża i zyskała nadzór nad scenicznymi adaptacjami *Draculi* w Wielkiej Brytanii, za które trafiły do niej należne tantiemy. Później otrzymała pieniądze za sprzedaż praw autorskich Universal Studios w 1930 roku, ale dobra finansowa passa nie trwała zbyt długo.

Po podpisaniu umowy z Universalem okazało się, że Bram Stoker nie dopełnił wszystkich formalności w amerykańskim urzędzie ochrony praw autorskich, przez co w 1899 roku stał się w Stanach Zjednoczonych własnością publiczną. Od tamtej pory Florence musiała się zadowalać jedynie tantiemami z obszaru Wielkiej Brytanii.

Utrata przez nią praw autorskich na terenie Stanów Zjednoczonych oznaczała, że Hollywood, podobnie jak każdy człowiek czy instytucja, mogło dowolnie dysponować historią napisaną przez Brama Stokera i jego bohaterami. Przez cały następny wiek nigdy więcej nie zwracano się do rodziny Stokerów o opinię lub zgodę na którekolwiek z setek wcieleń *Draculi*.

Jako Stoker dorastający w Ameryce Północnej widziałem dobrze, jaki wpływ cała ta sprawa wywierała na moją rodzinę. Pokolenie mojego ojca miało negatywny stosunek do wszystkiego, co wiązało się z Hollywood i *Draculą* z wyjątkiem, oczywiście, oryginalnej powieści Brama Stokera. Nie poruszałem tej kwestii w moim referacie, ale zawsze tkwiła mi ona w pamięci. Uważałem za niesprawiedliwe, że moja rodzina została odcięta od dziedzictwa mojego stryjecznego pradziadka. Czułem też, że Stokerowie powinni mieć jakiś wpływ na postać *Draculi*, którym całkowicie zawładnęła kultura popularna. Niestety, przez długi czas nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać.

Wiele lat po skończeniu studiów poznałem interesującego człowieka Iana Holta. Ian był scenarzystą zafascynowanym *Draculą* od dzieciństwa. Jako prawdziwy idealista miał plan, który zainspirował mnie do buntu przeciwko temu, co dzieje się z *Draculą*. Chciał zmienić historię. Jego pomysł był prosty: przywrócić twórczą kontrolę nad powieścią Brama Stokera i jej bohaterami, pisząc

sequel opatrzony nazwiskiem mojej rodziny. Ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że żaden ze Stokerów nigdy nie rozważał takiego pomysłu. Zaintrygowany, postanowiłem dołączyć do szalonego planu Iana i stać się współautorem tej kontynuacji.

Podczas pisania *Draculi: Nieumarłego* towarzyszyło mi silne poczucie obowiązku i odpowiedzialności rodzinnej. Chciałem wraz z Ianem stworzyć *Draculę* bliskiego wizji Brama Stokera. Pragnęliśmy wskrzesić oryginalne wątki i bohaterów. Postacie, jakie Bram wymyślił ponad sto lat temu. Tyle książek i filmów odeszło od jego wizji - dlatego chociaż w niewielkim stopniu chcieliśmy przywrócić zarówno *Draculi*, jak i jego autorowi ich godność.

Jestem dumny, że w misji wskrzeszenia pierwotnego *Draculi* otrzymałem wsparcie całej mojej rodziny. Sądzę, że Bram Stoker byłby również dumny, że członek jego rodziny przywrócił należne miejsce jego dziedzictwu.

Opowieść Iana

Nie wstydzę się przyznać, że uwielbiam horrory. W dzieciństwie największe wrażenie zrobił na mnie klasyczny film z 1931 roku, *Toda Browninga z Belą Lugosim* w roli głównej. Gdy miałem dziesięć lat, mama kupiła mi na *Halloween* płytę, na której Christopher Lee czytał *Draculę* Brama Stokera. Notatka zamieszczona na okładce zmieniła moje życie, ponieważ dzięki niej dowiedziałem się, że Transylwania naprawdę istnieje i że był postacią historyczną. Zapragnąłem wówczas pojechać do tej krainy i odnaleźć starego hrabiego.

Dopiero zainspirowany płytą, przeczytałem książkę. Byłem zaskoczony, jak bardzo różniła się od filmów - a widziałem każdy film o *Draculi*, jaki kiedykolwiek powstał. Powieść była bardziej inteligentna, wyrafinowana i mroczna. Bohaterowie okazali się bardziej skomplikowani i fascynujący, niż mógłbym sobie wyobrazić. Poczulem się oszukany przez Hollywood. Pragnąłem zemsty. Pragnąłem krwi!

Piętnaście lat później nadarzyła się ku temu sposobność. Pewnego wieczoru, przerzucając kanały, natrafiłem na program o powstawaniu *Draculi* Francisza Forda Coppola. Reżyser trzymał w ręku książkę z 1972 roku pod tytułem *In Search of . The History of and Vampires* napisaną przez stypendystów Fulbrighta, profesorów Raymonda McNallyego i Radu Florescu (potomka księcia *Draculi*). Coppola wykorzystał ich badania dotyczące życia historycznego księcia, które stały się inspiracją początkowej sceny jego filmu.

Zanim się obejrzałem, już byłem w samolocie, w drodze na spotkanie z profesorami z Boston College. Po pokazaniu im moich notatek do scenariusza, który planowałem napisać na podstawie ich książki, profesorowie sprzedali mi do niej prawa za symbolicznego dolara i stali się moimi partnerami, mentorami i dobrymi przyjaciółmi.

Przyjaźń, jaka zawiązała się między mną a McNallym i Florescu, przyniosła owoce w wielu dziedzinach. Wkrótce zacząłem z nimi podróżować i towarzyszyć im podczas wykładów poświęconych powieści Brama Stokera i wpływowi tej książki na naszą kulturę. To z kolei zaowocowało zaproszeniem na Pierwszy Światowy Kongres Draculi w Bukareszcie, w 1995 roku, który zebrał naukowców z całego świata zajmujących się tematyką wampiryczną. Nareszcie pojechałem do Transylwanii. Tam spędziłem noc w ruinach zamku Draculi w Poienari i odwiedziłem jego pałac w Targoviste, gdzie stanąłem na balkonie wieży, z której książkę spoglądał na swój las ciał nabitych na pal. Odwiedziłem też miejsce narodzin Draculi w Sighisoarze i jego pusty grób w monastyrze na wyspie na jeziorze Snagov. Nareszcie spełniło się moje marzenie z dzieciństwa.

Dzięki znajomościom z Pierwszego Światowego Kongresu Draculi zostałem zaproszony do Transylwańskiego Towarzystwa Draculi, organizacji naukowej poświęconej studiom na temat słynnego wampira. A dzięki ludziom tam poznanym zaznałem się z profesorem Elizabeth Miller, największym światowym autorytetem w dziedzinie wampirów, Draculi i Brama Stokera.

Profesor Miller poprosiła mnie o zabranie głosu na zjeździe miłośników Draculi w Los Angeles w 1997 roku, zwołanym z okazji stulecia pierwszego wydania powieści. To było marzenie wielbiciela horrorów. To właśnie tam powstał pomysł stworzenia kontynuacji *Draculi* Brama Stokera. Sama idea nie była nowa, ale nikt przedtem nie zakładał, że do powstania tej powieści przyczyni się ktoś z rodziny Stokerów. Zapewnienie tego stało się moim celem.

Wtedy skontaktowałem się z nestorem rodu Stokerów. Wciąż mając w pamięci sprawę praw autorskich do *Nosferatu - symfonii grozy* i lata, podczas których ignorowało ich Hollywood, członkowie tego pokolenia nie chcieli mieć ze mną nic wspólnego. Ale nie poddałem się. Po prostu dalej tworzyłem plan filmu, czekając na dzień, kiedy do głosu dojdzie młodsze pokolenie. Pięć lat później poznałem Dacrea Stokera, prawnuka stryjecznego Brama. Wyłożyłem mu swój pomysł stworzenia kontynuacji *Draculi*, którą wówczas planowałem jako scenariusz

filmu. Dacre podszedł do pomysłu z entuzjazmem i zasugerował, że przed filmem powinna powstać książka. Skwapliwie zgodziłem się, by napisać ją wspólnie.

Dacre skontaktował się z licznymi członkami swojej rodziny i przedstawił im nasz pomysł. Gdy tylko zrozumieli, że miał to być owoc prawdziwej fascynacji, że nasze intencje są czyste i że pragniemy przywrócić światu oryginalną wizję Brama i jego bohaterów, Stokerowie nareszcie udzielili mi swojego wsparcia.

: *Nieumarły* jest ukoronowaniem marzeń całego mojego życia i lat ciężkiej pracy. To mój prezent dla każdego maniaka horrorów. Pragnę, by w oczach czytelników książka ta - mimo jednoczesnej jej modernizacji - okazała się bliska oryginalnej gotyckiej wizji Brama Stokera. Wiercie mi, jestem świadomy, jaki ze mnie szczęściarz. Dostałem ogromny dar od losu, ponieważ chociaż w niewielkim stopniu moje imię łączone będzie z moim idolem, Brame Stokerem - człowiekiem, który stworzył współczesny horror.

Pisanie powieści

Dacre

Gdy Ian zaproponował mi udział w tym projekcie, wybuchnąłem śmiechem. Pomyślałem sobie: Jak mogę napisać książkę, zwłaszcza takiego kalibru? Ian zapewnił mnie jednak, że jest to możliwe. Mieliśmy ściśle ze sobą współpracować i dzielić się po równo pisarskimi obowiązkami. Nasi wydawcy mieli nam pomagać, Ian znał też słynnego historyka Alexandra Galanta, który miał zadbać o zgodność z prawdą historyczną.

Teraz musieliśmy stworzyć ciekawą historię, Ian z entuzjazmem i umiejętnie połączył swoje pomysły z moimi. To zadanie okazało się prostsze, niż nam się wcześniej wydawało, a to dlatego że obaj czerpaliśmy pomysły od samego Brama Stokera. Czasem czuliśmy, jakby jego duch był z nami podczas pisania

1 prowadził nas przez liczne pozostawione przez siebie wskazówki.

Obaj z Ianem wydedukowaliśmy z pozostawionych przez Brama notatek, że on - albo jego wydawca - myślał o kontynuacji *Draculi*. Pierwszym dowodem na to był według nas sprzedany ostatnio na aukcji w Christie, napisany na maszynie manuskrypt Brama Stokera, który miał inne zakończenie. W tej wersji powieść kończy się wybuchem wulkanu, na skutek którego zamek Draculi

wpada do ogromnego strumienia lawy. Ta scena została wycięta z ostatecznej wersji na rzecz obecnego, dwuznacznego zakończenia. Poza tym „śmierć” Draculi w zakończeniu powieści nie jest zgodna z zaleceniami van Helsinga, jak powinno się zabić wampira. Twierdził on bowiem, że w tym celu trzeba wbić wampirovi kołek w serce, a potem uciąć mu głowę. Natomiast Draculi wbija się nóż w serce i podcina gardło. Naszym zdaniem były to sugestie, że Bram Stoker planował napisanie kontynuacji.

Jako członek rodziny Stokerów uznałem, że Bram powinien stać się jednym z bohaterów tej powieści, by nareszcie padł na niego blask sławy, łan czytał przedmowę do islandzkiego wydania *Draculi* z 1901 roku, w której autor twierdził, że opisane przez niego wydarzenia rzeczywiście miały miejsce. Obaj uznaliśmy, że ten pomysł mojego stryjecznego pradziadka może stać się ważnym motywem naszej historii.

Możecie też zapytać, po co mieszać w to wszystko Kubę Rozpruwacza. I tutaj znów zaczerpnęliśmy inspirację u mojego słynnego krewnego. Oto kolejny fragment przedmowy do islandzkiego wydania: „seria zbrodni Draculi nie zniknęła jeszcze z pamięci - to wydarzenia, które zdają się pochodzić z tego samego źródła i które w tym samym czasie wywołały w ludziach taką samą odrazę jak morderstwa popełnione przez Kubę Rozpruwacza”. Bram Stoker sugerował więc, że zbrodnie Kuby Rozpruwacza były tej samej natury co zbrodnie Draculi. Stało się to punktem wyjścia jednego z wątków naszej historii i ze zdumieniem obserwowaliśmy, jak łatwo wszystkie elementy układanki wpadały na swoje miejsce.

Gdy już wiedzieliśmy, że naszym czarnym charakterem będzie Kuba Rozpruwacz, musieliśmy wraz z łanem określić, kto będzie tym nieuchwytnym seryjnym mordercą. Obaj czytaliśmy opowiadanie *Gość Draculi* wydane po śmierci Brama Stokera. Wielu badaczy twierdzi, że było ono częścią osobnej powieści, ale zostało pocięte przez wydawcę. Niektórzy sugerują nawet, że Bram Stoker zamierzał wykorzystać to opowiadanie jako początek sequeła *Draculi*. Bohaterem opowiadania jest Jonathan, który natyka się na grób z wystającym z niego żelaznym kołkiem. Napis na grobowcu głosił: „Hrabina Dolingen z Grazu w Styrii, znaleziona martwa w 1801 roku”. Oprócz tego był tam też napis po rosyjsku: „Zmarli podróżują szybko” - znak, że jest to grób wampira. Niektórzy badacze twierdzą, że Bram Stoker, pisząc *Draculę*, inspirował się krwawymi czynami historycznej postaci, hrabiny Elżbiety Batory, i że uczynił Draculę hrabią ze względu na przydomek jej nadany - „krwawa hrabina”. Przypuszcza się tak-

że, że hrabina z *Gościa Draculi* to sama Elżbieta Batory. Spodobała nam się ta teoria i zdecydowaliśmy się ją rozwinąć.

Ian dotarł do informacji, że Elżbieta Batory była daleką krewną Draculi. Stwierdziliśmy, że to również mogłoby posłużyć naszym celom, i ten pomysł również wykorzystaliśmy. Według opowieści przekazywanych głównie przez saksońskich skrybów, książę był sprawcą wielu okrutnych czynów. To samo mówi się o hrabinie Batory, która służyła z kąpielni we krwi swoich ofiar. Zaintrygowało nas, że dwie najbardziej znane postaci w historii, które są dzisiaj (słusznie lub nie) wiązane z legendami o wampirach, mogą być spokrewnione. Tak samo jak Bram Stoker w 1897 roku stworzył krwawego hrabiego ukształtowanego w luźny sposób na wzór postaci historycznej, tak samo zrobiliśmy i my w 2009 roku z hrabiną Batory.

Gdy mieliśmy już zarys intrygi, Ian zasugerował, żebyśmy udali się do Rosenbach Museum w Filadelfii, by odnaleźć notatki robione przez Bramę Stoke-
ra podczas pisania *Draculi*. W zapiskach tych znalazłem postać, którą planował on umieścić w swojej powieści, ale zrezygnował z tego pomysłu we wczesnej fazie pracy nad książką. Postacią tą był detektyw o nazwisku Cotford. Zawsze zdumiewało mnie, że Bram, tak drobiazgowy człowiek, nie zawarł w powieści wątku policyjnego śledztwa w sprawie zagadkowych śmierci spowodowanych przez Draculę. Postanowiliśmy wykorzystać postać Cotforda w naszej książce i sprawić, by dzięki jego detektywistycznej pracy czytelnik wraz z nim odkrywał zagadkę będącą rdzeniem naszej powieści.

Ian

Następnie Dacre i ja skupiliśmy się na postaci hrabiego Draculi stworzonej przez Bramę Stokera. Był to twardy orzech do zgryzienia. Pod koniec dziewiętnastego wieku, gdy Bram pisał swoją powieść, historyczny książę był na Zachodzie bardzo mało znaną postacią, prawie zapomnianą przez historię. Bram zebrał kilka faktów z życia księcia Draculi i połączył je z wymyślonymi przez siebie wydarzeniami. Czy zrobił to specjalnie, by oddzielić swojego hrabiego od historycznego księcia? A może w swoich poszukiwaniach nie mógł dotrzeć do pełnej historii księcia Draculi i po prostu wypełnił luki własną wyobraźnią?

Po wskazówce sięgnęliśmy do notatek Bramy. Jego bohater był tajemniczą, wyrafinowaną i złożoną postacią łączącą w sobie wiele sprzeczności: czasem jawił

się jako dobrze wychowany i odczytany szlachcic głęboko związany z historią swojego kraju, a innym razem był niczym dzikie zwierzę rządzone najprymitywniejszymi instynktami przetrwania. Był człowiekiem piętnastego wieku próbującym dostosować się do otaczającej go dziewiętnastowiecznej rzeczywistości, który czasem wychodził naprzeciw nowoczesności, a czasem ją odrzucał. Jego moralny kompas wywoływał wewnętrzne rozdarcie, gdy próbował uzasadnić swoją potrzebę odbierania ludziom życia. Zabijał tylko wtedy, kiedy było to konieczne i - według niego - dla wyższego dobra.

Natychmiast wyczułem, że może nie tyle losy postaci hrabiego Draculi z powieści Stokera są bardzo podobne do opisów historycznego księcia Draculi, ile podobna jest do nich sama postać. Hrabia również walczył ze zmianami, próbował przywrócić świat z mrocznych czasów krucjat. On także próbował usprawiedliwić swoje krwawe czyny, twierdząc, że nie miał innego wyjścia lub że jego ofiary same sprowadziły na siebie swój los własnymi postępkami.

W czasach gdy Bram Stoker pisał swoją powieść, nie miał szans stworzyć postaci hrabiego na wzór historycznego księcia. Ale obaj czuliśmy, że podobieństwa między obiema postaciami nie są zwykłym zbiegiem okoliczności.

Od ukazania się w 1972 roku książki *In Search of* granice między historycznym księciem Draculą a hrabią Brama Stokera zaczęły się w masowej wyobraźni nieodwracalnie zacierać. A już na zawsze postaci te złączyły się przez pierwszą scenę *Draculi* Francisa Forda Coppoli. Opierając się na podobieństwach bohatera Brama i postaci historycznej oraz biorąc pod uwagę funkcjonujący w powszechnej świadomości obraz historycznego księcia, Dacre i ja uznaliśmy, że nie mamy innego wyboru, jak tylko raz na zawsze połączyć obie postaci. Jesteśmy przekonani, że gdyby Bram pisał *Draculę* teraz, to biorąc pod uwagę bogactwo dostępnych dziś historycznych informacji na temat księcia Draculi, jako tak drobiazgowy człowiek musiałby stworzyć postać, która odzwierciedlałaby historyczne zapiski.

Niektórzy, czytając naszą powieść, mogą słusznie stwierdzić, że nasz bohater, w przeciwieństwie do postaci z książki Brama Stokera, nie jest całkowicie czarnym charakterem. W powieści Brama był opisywany jedynie oczyma swoich wrogów, przez ich dzienniki i listy. My postanowiliśmy oddać głos Draculi. Dzięki temu mogliśmy połączyć księcia Draculę z hrabią Draculą i zaprezentować go jako wielowymiarowego antybohatera. Inni wciąż postrzegają go jako złego, ale gdy sam ma możliwość mówienia o swoich doświadczeniach, pre-

zentuje inny punkt widzenia. Zatem my nie zmieniamy wizji Brama, lecz tylko pokazujemy inną perspektywę. Ten zabieg miał też odświeżyć naszą opowieść.

Od dawna powtarzamy, że jednym z głównych powodów napisania tej powieści było zarządzenie brutalnemu wykorzystywaniu powieści Brama Stokera do własnych celów, jakiego dopuszczało się Hollywood i wielu autorów. Nie chcemy przez to powiedzieć, że odczuwamy niechęć wobec innych wersji. Chodzi tylko o to, że z literackiego punktu widzenia żaden film ani książka nie uchwyciły w pełni istoty powieści Brama Stokera i jego bohaterów. Nawet w klasycznym filmie Toda Browninga z Belą Lugosim w roli tytułowej - jedynym filmie powstałym za zgodą rodziny Stokerów - postać Artura Holmwooda nie została uwzględniona w scenariuszu, a w scenie początkowej zamiast Jonathana Harkera do zamku Draculi podróżuje Renfield.

Prawdziwy problem pojawił się, kiedy w Hollywood postanowiono zrobić sequel tego filmu oparty na *Gościu Draculi*. Podobno Florence Stoker nie chciała wyrazić na to zgody, dopóki nie będzie mieć zagwarantowanego większego nadzoru nad produkcją. Właśnie w trakcie tych negocjacji prawa autorskie Brama Stokera zostały unieważnione przez amerykański urząd ochrony praw autorskich. Przez to w Hollywood mogli zrobić taki film, jaki tylko chcieli. Skoro Florence domagała się większej kontroli, a Bela Lugosi za ponowne wcielenie się w rolę Draculi - większego honorarium, postanowiono zatrudnić Johna Balderstona do napisania *Córki Draculi*, pomijając tym samym zupełnie Belę i Florence. Film poniósł porażkę, ale machina poszła w ruch. Od tej pory każdy mógł napisać powieść o Draculi albo zrobić o nim film według własnego widzimisie. I korzystano z tej okazji do woli.

Przez to stanęliśmy przed kolejnym dylematem. Wiemy, że jest ogromna grupa fanów Draculi, którzy widzieli tylko filmy i nigdy nie czytali książki, i oczywiście chcieliśmy zainspirować wielu z nich do przeczytania powieści Brama Stokera. Naszym największym marzeniem jest, by wszyscy miłośnicy Draculi - zarówno książki, jak i filmów - czerpali radość z naszej powieści. Wiemy, że jest kilka obszarów, z którymi fani filmów tak się zżyli i które są tak zrośnięte z legendą o Draculi, że nie moglibyśmy ich zignorować. Prosimy więc o wybaczenie literackich purystów, ale czuliśmy, że to konieczne ustępstwa, poczynione w nadziei pogodzenia raz na zawsze wszystkich fanów Draculi.

Ustępstwa te są następujące: romans Miny z Draculą, zdolność wampirów do chodzenia w świetle dnia, do latania i zmiany postaci, broń używana do ich zniszczenia oraz lokalizacja i nazwy niektórych miejsc geograficznych.

Jeśli chodzi o romans Miny z Draculą, Dacre i ja zgodziliśmy się, że musimy podejść do tej kwestii z większą ostrożnością niż twórcy którejkolwiek z filmów i że powinniśmy brać pod uwagę, iż Bram Stoker nigdy wprost nie napisał o takim romansie. Mając to na uwadze, skupiliśmy się na ustępie z dziennika Miny z powieści Brama Stokera, który wydał nam się podejrzenie dwuznaczny. Fragment ten następuje po słowach Miny o tym, że odwiedził ją we śnie, i głosi: „Przez tyle lat Jonathan pokładał we mnie pełne zaufanie, teraz nie mówi mi nic. Trudno mi się pogodzić z taką izolacją”.

Obaj z Dacreem uznaliśmy za dziwne, że reakcją Jonathana i van Helsinga na sen Miny jest odcięcie jej od swoich planów, gdyż do tego czasu była równoprawnym członkiem grupy. Było to jeszcze, zanim Mina piła krew Draculi. Uznaliśmy, że to idealnie miejsce, by wpleść w nie ich romans bez przerabiania opowieści Brama Stokera. Wyobraziliśmy sobie, że podczas tego „snu” przychodzi do Miny, by wyjaśnić jej tę historię ze swojego punktu widzenia w nadziei, że zachęci swoich towarzyszy do zaprzestania pościgu. Mina, nie chcąc się przyznać przed resztą, że rozmawiała z Draculą, ponieważ zawiązał się między nimi romans (jeszcze nie fizyczny), oświadczyła, że odwiedził ją tylko we śnie. Jonathan i van Helsing oczywiście uznają to za podejrzenie i odsuwają Minę od swoich planów. Jej reakcją na tę zniewagę z ich strony jest powrót do Draculi, a wreszcie fizyczny z nim związek. Wplatając w ten sposób romans Draculi z Miną do opowieści Stokera, mieliśmy możliwość dochowania wierności oryginalnej powieści i jej fanom, bez ignorowania miłośników filmu.

W powieści Brama Stokera hrabia może przechadzać się w świetle dnia, ale jest wtedy słabszy niż w nocy. Zniszczenie wampira przez światło słoneczne było wynalazkiem F.W. Murnaua w *Nosferatu - symfonii grozy*. Mimo to wampiry obracające się w proch pod wpływem słońca tak mocno zakorzeniły się w masowej wyobraźni, że wielu czytających po raz pierwszy książkę Brama Stokera uznaje to za jego niedopatrzenie.

Wiele innych aspektów tradycji o wampirach również ewoluowało przez wieki. Wyobrażenia o wampirach Brama Stokera mijają się z obecnymi i z tym też musieliśmy się zmierzyć w naszej książce. Dlatego też postanowiliśmy zwrócić się do nauki i wykorzystać ją, by - bardzo ostrożnie - unowocześnić wampiry Brama według obowiązujących obecne tendencji. Nie zrobiliśmy tu niczego, czego by pisarz sam nie przewidział. Nasz dowód znowu pochodzi z przedmowy do islandzkiego wydania z 1901 roku: „I jestem przekonany, że wydarzenia te muszą



pozostać do pewnego stopnia niepojęte, aczkolwiek badania w dziedzinie psychologii i nauk przyrodniczych mogą w ciągu najbliższych kilku lat dać logiczne wyjaśnienie tak dziwnych wypadków, których obecnie ani badacze, ani tajna policja zrozumieć nie są w stanie". Zatem sam autor twierdził, że dziwne wypadki, jakie opisuje w swojej powieści, są w jego czasach niemożliwe do wyjaśnienia, ale spodziewał się, że w najbliższych latach nauka znajdzie ich logiczne wytłumaczenie.

Dlatego wraz z Ianem założyliśmy, że wampiry obracają się w popiół na słońcu z powodu alergicznej reakcji zawirusowanej wampirycznej krwi, która przekształca DNA wampira. Oczywiście w 1912 roku, kiedy toczy się akcja naszej powieści, takie terminy, jak DNA, wirus czy grypa, nie były jeszcze znane. Zamiast tego używamy więc słowa „jad”. Wampiryczny wirus przekształca ludzkie DNA w DNA wampira. Kolejnym skutkiem tej transformacji jest zdolność do kontroli około siedemdziesięciu procent własnego mózgu, których człowiek jeszcze nie używa lub o których nie wiemy zbyt wiele, co pozwala uaktywnić u wampirów nadludzkie moce. Zmienianie się w mgłę, gargulca itp. wyjaśniamy jako wywołane telepatycznie złudzenie. Jeśli chodzi o zdolność wampirów do szybkiego przemieszczania się, a dokładnie: latanie, zwróciliśmy się do badań nad telekinezą i lewitacją - zdolnością do przemieszczania przedmiotów lub własnego ciała za pomocą umysłu. Skoro wampiryczny wirus zwiększa moc mózgu, nietrudno już zrozumieć, jak takie rzeczy są możliwe.

Wyjaśniliśmy też kwestię broni, jaka może być użyta przeciwko wampirom. I znów zwróciliśmy się do nauki, a w niektórych przypadkach połączyliśmy ją z religią. Żeby wytłumaczyć, dlaczego symbole religijne, takie jak krzyż, odstraszają tylko niektóre wampiry, zwróciliśmy się do psychologii. Te wampiry, które za życia wierzyły w Boga, ale popełniły złe czyny, prześladowane są poczuciem winy i boją się symboli religijnych jako znaku ostatecznego potępienia ich dusz. Wampiry, które nie wierzyły w Boga, nie boją się jego symboli. Poparzenie skóry, które występuje, gdy wampir z poczuciem winy ma fizyczny kontakt z symbolami religijnymi lub zostaje pokropiony wodą święconą, jest wynikiem nadmiernej reakcji psychosomatycznej.

Jeśli chodzi o wampiry i lustra, nie potrafiliśmy znaleźć w nauce żadnego wyjaśnienia tego zjawiska, więc w naszej książce podważyliśmy tę teorię. Co do czosnku, stwierdziliśmy, że wampiry mogą mieć na niego alergię. To samo z tojadem. Srebro natomiast przez długi czas było kojarzone z wilkołakami, więc przy tej wersji pozostaliśmy.

Ostatnim ustępstwem jest lokalizacja i nazwy kilku miejsc geograficznych. Bram Stoker umieścił swoją historię w wielu miejscach, od Transylwanii po Londyn, Exeter i Whitby. Gdy Deane i Balderston pisali swoją sztukę, tak częsta zmiana dekoracji była w teatrze niewykonalna. Rozwiązaniem było umieszczenie akcji tylko w dwóch miejscach: Transylwanii i Whitby. To uproszczenie zostało powielone w licznych wersjach filmowych opowieści, powodując dezorientację fanów. W powieści Brama Stokera nie było opactwa Carfax, co jest ogromnym zaskoczeniem dla rzeszy wielbicieli filmu, którzy nigdy nie czytali książki. Owszem, Bram Stoker napisał, że kupił dom zwany Carfax, i umieścił go w Purfleet, jakieś dwadzieścia mil na wschód od Londynu. Jeszcze bardziej mylące jest istnienie starych ruin opactwa Whitby, z których Bram Stoker czerpał inspirację, kiedy pisał fragmenty powieści rozgrywające się w Whitby. I tutaj znowu w nadziei rozwiązania konfliktu wynikłego z pomieszania filmów, sztuki i oryginalnej powieści połączyliśmy Carfax i opactwo Whitby w jedno miejsce: opactwo Carfax w Whitby.

Ta sama idea kompromisu przyświecała nam, gdy staraliśmy się rozwiązać problem związany z lokalizacją letniego domku rodziny Westenrów i zakładu doktora Sewarda. Oba umieściliśmy w Whitby, tak jak w sztuce i wielu filmach. W naszej książce wyjaśniliśmy, dlaczego Bram Stoker, nasz bohater, postanowił umieścić w swojej powieści przytułek w Purfleet - wówczas bowiem nie wiedział, że opowiedziana przez niego historia wydarzyła się naprawdę. Uznał tę zasłyszaną w pubie niewiarygodną historię za brednie szaleńca. Stąd też stwierdził, że może zmieniać w niej fakty według własnego uznania. W naszej powieści Bram Stoker odkrywa jednak, że historia ta jest prawdziwa, i odstępstwa, na które sobie pozwolił, mszczą się na nim. I to dosłownie.

Dacre

Gdy przeglądałem zapiski Brama Stokera w Rosenbach Museum, znalazłem jeszcze kilka smakowitych kąsków, które postanowiliśmy włączyć do naszej książki. Po pierwsze, Bram Stoker początkowo miał wiele różnych pomysłów na tytuł swojej powieści, zanim zdecydował się zatytułować ją *Nieumarły*. Później, zapewne w wyniku sugestii wydawcy, na krótko przed publikacją zmienił go po prostu na *Dracule*. I stąd nasz tytuł.

W zapiskach tych znalazłem też listę potencjalnych nazwisk bohaterów, które Bram Stoker wymyślił, ale z sobie znanych powodów nigdy ich nie użył.

Wraz z łańcem postanowiliśmy wykorzystać je i nadać je kilku pomniejszych postaciom w naszej książce. Te postaci to: Kate Reed, która odkrywa nabite na pal ciało Jonathana Harkera; doktor Max Windshoeffel, który widział gargulca wlatującego do tunelu metra; oraz Francis Aytown, fotograf, który widzi na stacji „zionącego ogniem smoka”.

W *Draculi: Nieumarłym* wpleliśmy wiele odniesień do *Draculi* Brama Stokera i do kilku najlepszych adaptacji w nadziei, że ucieszy to prawdziwych entuzjastów i badaczy tematu. Wiele z postaci, które znalazły się w naszej książce, żyło naprawdę.

Oto współlokator Quinceya na Sorbonie Braithwaite Lowery. W powieści Brama Stokera nazwisko to wskazywał kapitan Swales na nagrobku na cmentarzu w Whitby. Nasz Braithwaite Lowery wspomina, że pochodzi z rybackiej rodziny, co sugeruje, że może być wnukiem Braithwaite'a Loweryego pochowanego w Whitby. Nazwisko partnera Cotforda, sierżanta Lee, jest hołdem oddanym aktorowi Christopherowi Lee. Pojawia się u nas także nazwisko porucznika Jourdana z La Surete, nasz ukłon w stronę Louisa Jourdana, odtwórcy roli Draculi w znakomitym miniserialu BBC z 1978 roku, który obaj z łańcem uznaliśmy za najwierniejszą adaptację powieści Brama Stokera. Doktor Langella jest odniesieniem do fantastycznego, szarmanckiego Draculi Franka Langelli. Nazwisko inspektora Huntleya nawiązuje do Raymonda Huntleya, który pierwszy zagrał Draculę w inscenizacji Hamiltona Deanea. To tylko kilka przykładów.

Jeśli chodzi o historyczne postaci, które pojawiają się w naszej książce, to jest nią chociażby Henri Salmet, francuski awiator, który pierwszy przeleciał z Londynu do Paryża w marcu 1912 roku. Jest i lord Northcote, wybrany w 1880 roku do Izby Gmin z okręgu Exeter. Frederick Abberline rzeczywiście nadzorował śledztwo w sprawie morderstw Kuby Rozpruwacza w 1888 roku. Iwan Lebiedkin był nadwornym probiercą rosyjskiego cara w latach 1899-1900. A Hamilton Deane, rzecz jasna, był autorem i producentem sztuki. John Barrymore to legendarny aktor teatralny i filmowy, dziadek Drew Barrymore. Tom Reynolds był znanym brytyjskim aktorem, który jako członek teatru Lyceum odtwarzał postać van Helsinga w produkcji Hamiltona Deane'a. Starszy marynarz Coffey był rzeczywiście członkiem załogi „Titanica”, który rzekomo wyczuł grożące statkowi niebezpieczeństwo, gdy ten stał jeszcze w porcie w Queens-town w Irlandii, i w ostatniej chwili opuścił pokład. I tak samo jak Bram Stoker

skorzystaliśmy z ówczesnych rozkładów jazdy pociągów, nazw ulic i miejsc, które w wielu wypadkach istnieją do dziś.

Ostatnia decyzja, jaką podjęliśmy, zanim zaczęliśmy pisać, dotyczyła wielu pytań, które Bram Stoker w swojej powieści pozostawił bez odpowiedzi. Ponieważ napisał *Draculę* w formie listów i dzienników, miał ograniczoną możliwość rozwinięcia historii swoich bohaterów. To pozostawiło ogromną lukę, nad którą fani sprzecali się przez lata. Obaj z Ianem czuliśmy, że musimy wreszcie odpowiedzieć na pytania, które przez długi czas pozostawały bez odpowiedzi: jak poznały się Lucy i Mina i jak zawiązała się ich przyjaźń, jak Teksańczyk zaprzyjaźnił się z synem angielskiego lorda i pochodzącym ze średniej klasy doktorem, jak ci trzej mężczyźni zaczęli rywalizować o rękę Lucy, jak Mina i Jonathan poznali się i zakochali, jak Renfield dostał się pod wpływ Draculi i dlaczego był tak ważny dla doktora Sewarda i grupy nieustraszonych. Mamy nadzieję, że uznacie, iż w *Draculi: Nieumarłym* dobrze zajęliśmy się tymi problemami.

W końcu najważniejszym celem, jaki nam przyświecał, było naprawienie szkód wyrządzonych powieści Brama Stokera. Pracowaliśmy nad tym ciężko. W ten sposób ja, jako Stoker, i Ian, jako największy na świecie fan Draculi, pragniemy przeprosić go za utratę praw autorskich i kontroli nad jego nieśmiertelną powieścią na ponad wiek.

A na koniec pragniemy powiedzieć, że - tak jak sugerował niegdyś Bram Stoker - wszystkie te straszliwe wydarzenia, które Ian i ja opisaliśmy w swojej książce, być może naprawdę miały miejsce.

Miłych snów.

Dacre Stoker i Ian Holt

Podziękowania

Ian Holt

Przede wszystkim pragnę podziękować moim rodzicom, Dolores i Sonny'emu. Bez Waszego ciągłego wsparcia i zachęty nie przetrwałbym tych ciężkich chwil. Kocham Was.

Chciałbym poświęcić tę książkę pamięci Ruth i Boba Kaufmanów, J. Boyce'a Harmana juniora i profesora Raymonda McNally ego. Ich miłość, przyjaźń, wsparcie i przewodnictwo umożliwiły powstanie tej książki. Dla mnie życie dalej, ponieważ będę miał Was w pamięci przez resztę swoich dni. Niech Bóg Was wszystkich błogosławi.

Dziękuję również:

Profesorowi Radu Florescu. Postawił pan na nieznajomego. Pański geniusz, poświęcenie, zaufanie i przyjaźń pomogły stworzyć nowego mnie.

Moim starym przyjaciółom, Johnowi Florescu i sir Davidowi Frostowi, którzy pomogli mi zrozumieć, jak dobrze jest żyć bez strachu i dążyć śmiało tam, gdzie inni wahają się postawić stopę. Ich wsparcie, które zapewniali mi od samego początku, dało mi siłę, by się nie poddawać.

Profesor Elizabeth Miller, która przetała mi szlaki i umożliwiła spełnienie tego snu.

Laurze Stoker i świętej pamięci Nicolae Paduraru, założycielowi i przewodniczącemu Transylwańskiego Towarzystwa Draculi, dżentelmanowi i naukowcowi. Wy pierwsi uwierzyliście, że to możliwe.

Jenne Stoker, która zatelefonowała i doprowadziła do naszego spotkania.

Dacrebwi Stokerowi, mojemu partnerowi literackiemu i współnikowi w interesach, bratu i przyjacielowi. Jesteś moim wiernym druhem. Jesteś Stokerem z krwi i kości. Dacre, UDAŁO NAM SIĘ!

Beli Lugosiemu, Todowi Browningowi, Hamiltonowi Deanebwi, Johnowi Balderstonowi, Budowi Abbottowi i Lou Costello za podsycanie koszmarów u małego chłopca, które przerodziły się w przygodę życia.

Beli Lugosiemu juniorowi, za to, że podzielił się ze mną historią cierpienia swego ojca i własnymi problemami z dzieciństwa.

Frankowi Langelli, W.D. Richterowi i Johnowi Badhamowi. Wasz film zainspirował mnie jako dziecko do podjęcia ryzyka i sprawił, że zacząłem widzieć Draculę jako tego, kim naprawdę był - romantycznego rycerskiego bohatera.

Christopherowi Lee za nagranie, które zmieniło bieg mojego życia. Sir, uszlachetnił pan horror. Nie mogę chwalić pana Lee bez uznania talentu Petera Cushinga i pracy Hammer Horror.

Janowi de Bontowi, którego przewodnictwo, wielka wizja i odwaga zainspirowały mnie do sięgania wyżej, niż myślałem, że jestem w stanie sięgnąć. Chrisowi Stanleyowi z Blue Tulip, którego niezwykły talent do wyszukiwania nieruchomości sprawił piłkę w ruch.

Ernestowi Dickersonowi, jednemu z najsympatyczniejszych ludzi i najlepszych reżyserów, jakich znam.

Kenowi Atchityemu, Chi-Li Wongowi i Mikebwi Kuciakowi z AEI, moim menedżerom i przyjaciółom, za ich ciężką pracę, mądre kierownictwo, doświadczenie i znajomości. Jestem Wam wdzięczny za niezachwianą wiarę i wsparcie.

Dannyemu Barorowi z Barror International, naszemu agentowi, który zaklinał deszcz.

Całemu utalentowanemu, fantastycznemu, cierpliwemu, wyrozumiałemu i oddanemu zespołowi wydawnictwa Dutton, a szczególnie naszemu nieustraszonemu liderowi Brianowi Tartowi, naszej opiekunce, przewodniczącej, psychologowi, przyjaciółce i jedynemu w swoim rodzaju wydawcy, fantastycznej Carrie Thornton. Każdy pisarz powinien mieć to szczęście, by pracować z Wami wszystkimi. Składam na Wasze ręce moje podziękowanie, uznanie i wdzięczność.

Ronowi Gwiazdzie i Amy Wagner z Abrams Artists, moim agentom i przyjaciółom. Oboje dbacie o dobre imię Waszej profesji - nikt nie robi tego lepiej od Was.

Shannon Mullholland z Moda Entertainment, naszemu guru do L&M i agentce. Jesteś super, nietoperzyco.

Peterowi Fieldsowi, motorowi naszych działań i opiekunowi - z Tobą i Twoim zespołem u boku nigdy się nie martwię.

Specjalne podziękowania dla Alexandra Galanta, mojego partnera w pisaniu filmów i współnika w interesach, przyjaciela i brata, który był moim konwojentem podczas całej tej wyboistej podróży. Trudno przecenić Twoje rewelacyjne badania, bezinteresowne poświęcenie i niezwykły talent.

Dziękuję też:

Carmen Gillespie, która naświetliła wszystko z kobiecej perspektywy i zaprojektowała nasze logo, wskrzeszając zapomnianą wiktoriańską sztukę wyplatania. Jeśli gdzieś nie widnieje logo nietoperza, oznacza to, że nie jest to oficjalny produkt spółki Brama Stokera.

Cynthii Galant, która pozwoliła, bym kraść jej tatę przez kilka godzin dziennie.

Doktorowi Dre, mojemu najlepszemu przyjacielowi i bratu, za całe jego wsparcie, zachętę, mądrość i godziny spędzone na cierpliwym wysłuchiwanie o moich problemach podczas dni zwątpienia.

Graigowi F. Weichowi, jednemu z moich najbliższych i najdawniejszych przyjaciół, którego przerażający pierwotny projekt graficzny został usunięty w ostatecznej redakcji z powodu ograniczeń ilościowych. Obejrzyjcie dzieła Graiga dotyczące *Draculi: Nieumarłego* na naszej stronie www.theundead.com i nie omieszkajcie obejrzeć jego prac, zbyt fajnych, by je opisać słowami, na www.beyondcomics.tv.

Dacre Stoker

Chciałbym zadedykować *Draculę: Nieumarłego* wszystkim tym, w których płynie krew Stokerów, irlandzka z pochodzenia, a teraz rozprzestrzeniona po całym świecie.

Specjalnie podziękowania składam moim dzieciom, które pewnego dnia odkryją, że całkiem fajnie mieć takie geny.

Dziękuję też mojemu świętej pamięci ojcu, Desmondowi, i jego bratu, wujkowi Paddyemu, nestorowi naszego rodu, oraz mojemu świętej pamięci ojcu chrzestnemu, mojemu imiennikowi, Henryemu Hugh Gordonowi Dacrebwi Stokerowi, dowódcy łodzi podwodnej z czasów pierwszej wojny światowej, który przyczynił się do zmiany biegu historii w bitwie o Gallipoli.

Moja praca nad tą książką nigdy nie byłaby możliwa bez wsparcia i zachęty ze strony mojej żony Jenne, której poszukiwania przywróciły nam zaginione elementy dziedzictwa Stokerów.

Jestem również wdzięczny: Towarzystwu Brama Stokera za ich wysiłki w celu podniesienia świadomości literackiej dotyczącej spuścizny Brama Stokera; Douglasowi Appleyardowi, naszemu rodzinnemu genealogowi, i wszystkim,

którzy wspierają Dublin Irish Gothic Literature i podtrzymują pamięć o moim przodku; Johnowi Moorebwi za udostępnienie swojej kolekcji; Johnowi Stokoe z „Whitby Gazette” i Suttcliff Studios za dostarczenie inspirujących zdjęć historycznych miejsc; Johnowi Stokerowi za poczynione przygotowania, i Elizabeth Miller, „strażniczce Draculi”.

Składam też podziękowania grupie nieustraszonych dwudziestego pierwszego wieku: Ianowi Holtowi, którego entuzjazm wciąż mnie zadziwia; Alexandrowi Galantowi i jego rozległej wiedzy na temat epoki wiktoriańskiej, oraz Carrie Thornton, która wykazywała niezwykłą cierpliwość i zrozumienie podczas redakcji naszej książki.

Specjalne podziękowania składam personelowi Rosenbach Museum w Filadelfii oraz tamtejszej bibliotece za udostępnienie notatek Brama.

Spis treści

Prolog	5
Rozdział I	9
Rozdział II.....	16
Rozdział III	23
Rozdział IV	29
Rozdział V	35
Rozdział VI	42
Rozdział VII.....	48
Rozdział VIII	55
Rozdział IX	58
Rozdział X	68
Rozdział XI	74
Rozdział XII.....	79
Rozdział XIII	85
Rozdział XIV	89
Rozdział XV	91
Rozdział XVI	98
Rozdział XVII	107
Rozdział XVIII.....	115
Rozdział XIX	118
Rozdział XX.....	120
Rozdział XXI	128
Rozdział XXII	133
Rozdział XXIII.....	140
Rozdział XXIV	144
Rozdział XXV	152
Rozdział XXVI.....	156
Rozdział XXVII.....	161
Rozdział XXVIII	172
Rozdział XXIX.....	176
Rozdział XXX	184
Rozdział XXXI.....	187
Rozdział XXXII.....	195

SPIS TREŚCI

Rozdział XXXIII	200
RozdziałXXXIV	205
RozdziałXXXV	211
Rozdział XXXVI	222
Rozdział XXXVII	230
Rozdział XXXVIII.....	239
Rozdział XXXIX	244
Rozdział XL	249
Rozdział XLI	256
Rozdział XLII.....	261
Rozdział XLIII.....	263
Rozdział XLIV	266
Rozdział XLV.....	269
Rozdział XLVI	272
Rozdział XLVII	277
Rozdział XLVIII.....	279
Rozdział XLIX	284
Rozdział L.....	287
Rozdział LI.....	288
Rozdział LII	293
Rozdział LIII	295
Rozdział LIV	297
Rozdział LV	300
Rozdział LVI.....	310
Rozdział LVII.....	314
Rozdział LVIII	317
Rozdział LIX.....	321
Rozdział LX	327
Rozdział LXI.....	333
Rozdział LXII.....	340
Rozdział LXIII	344
Posłowie	349
Noty od autorów	357
Podziękowania.....	371

